

Judith Krantz

Tylko Manhattan

Oficyna Wydawnicza "Almapress"

Warszawa 1991

PWZN

"Print 6"

Lublin 1995

Adaptacja na podstawie
książki pod tym samym
tytułem wydanej przez
Oficynę Wydawniczą

"Almapress"

Warszawa 1991

Dla Steve'a, który wie doskonale, dlaczego wciąż dedykuję mu książki.

Z wyrazami nieustającej miłości.

1.

Maxi Amberville, z typową dla siebie niecierpliwością, jak zawsze lekceważąc przepisy, zerwała się z fotela, zanim samolot Concorde znieruchomiał, i pognąła wąskim przejściem do przodu. Inni pasażerowie zachowywali wyniosły spokój, jak przystało tym, którzy zapłacili podwójną cenę za bilet pierwszej klasy z Paryża do Nowego Jorku i nie odczuwają dalszej potrzeby pośpiechu. Kiedy mijala ich w locie, kilka brwi uniosło się elegancko na widok tak niewybaczalnie ładnej dziewczyny w nieprzystojnym pędzie.

- Czemu trwa to tak długo? - zapytała stewardesę.

- Jeszcze nie przyjechaliśmy, madame.

- Przyjechaliśmy? Oczywiście, że przyjechaliśmy. Niech diabli wezmą te maszyny... więcej czasu spędzają na ziemi niż w powietrzu. - Maxi zadrżała z wściekłości, każdym ciałem, naładowanego nerwową energią i upartym dążeniem do celu, wyrażając dezaprobatę dla Air France.

- Może madame zechce wrócić na swoje miejsce?

- Nie zechcę, do licha. Spiesz mi się. - Maxi uparcie tkwiła w przejściu. Jej krótkie, ciemne, niesforne włosy tu sterczały, tam gęstą grzywką opadały na czoło i przysłaniały oburzoną twarz. Przykuwałyby uwagę w pokoju pełnym pięknych kobiet, gdyż sama uroda stawała się w jej obecności czymś nieistotnym i nieciekawym. W przyćmionym świetle kabiny płonęła oczekiwaniem, jak gdyby zaraz miała wejść na salę balową. Ubrana była w starą, mocno ściągniętą paskiem kurtkę zamszową w kolorze koniaku i znoszone dzinsy wetknięte w botki na płaskim obcasie, które zawsze nosiła w podróży. Pasek torebki przerzuciła przez ramię jak koalicyjkę, a gdy niecierpliwie odgarniała grzywkę, odsłaniała nad prawym okiem grube pasmo siwizny, z którym przyszła na świat.

Concorde zahamował wreszcie ze szmerem, a stewardesa z pełną godności pogardą patrzyła, jak Maxi wypada przez nie do końca otwarte drzwi, z paszportem amerykańskim w wolnej dłoni.

Przed najbliższym punktem kontroli paszportowej Maxi przystanęła i podała paszport do sprawdzenia. Urzędnik otworzył go, przyjrzał się fotografii, zaczął czytać od niechcienia, a potem z uwagą.

- Maxime Emma Amberville? - zapytał.

- Owszem. Czy to nie straszne zdjęcie? Proszę posłuchać, ja się spieszę.

Nie mógłby pan tego podstemplować i mnie przepuścić?

Kontroler obserwował ją z bacznością rezerwą. Spokojnie nacisnął parę klawiszy komputera.

- Która - zapytał wreszcie - jest Maxime Emmą Amberville Cipriani Brady Kirkgordon?

- Wiem, wiem. Nazwisko w najlepszym razie nieporęczne.

Ale zgodne z prawem.

- Mnie ciekawi, dlaczego w pełnym brzmieniu nie figuruje w tym paszporcie.

- Stary paszport był ważny do lata, a ten dostałam w ambasadzie w Paryżu... Widać, że jest nowy.

- Czy oficjalnie zmieniła pani nazwisko?

- Oficjalnie? - Maxi poczuła się dotknięta. - Za każdym razem rozwodziłam się oficjalnie. Wolę nazwisko panięskie, więc do niego wróciłam. Chce pan usłyszeć całą historię mojego życia? Wszyscy pasażerowie tego cholernego samolotu mnie wyprzedzą. Teraz będę musiała czekać na kontrolę celną!

- Bagażu jeszcze nie wyładowano - zauważył rozsądnie.

- O to chodzi! Nie mam żadnego bagażu. Gdyby się pan nie spierał o moją ponurą przeszłość, już bym siedziała w taksówce. Och, do jasnej cholery! - jęknęła rozwścieczona.

Kontroler nadal oglądał paszport. Fotografia nie potrafiła oddać jej elektryzującej żywotności i choć przywykł do złych zdjęć, ani przez moment nie wierzył, że to właśnie ją przedstawia. Ukazywało głównie grzywkę i obojętnie uśmiechnięte usta, podczas gdy stojąca przed nim zagniewana kobieta, z włosami nastroszonymi niczym pióra rozzłoszczonego ptaka, miała w sobie odwagę, śmiałość, więc musiałyby ją zauważyć jak raketę wystrzeloną przed nosem. Ponadto wyglądała za młodo na osobę zamężną, a cóż dopiero trzykrotnie, choć sądząc po dacie urodziła się przed dwudziestu dziewięciu laty.

Kontroler niechętnie przybił w paszporcie pieczętkę z datą 15 sierpnia 1984 roku, po czym go zwrócił, ale najpierw zrobił specjalną nieczytelną adnotację na odwrocie jej deklaracji celnej.

Płynnym ruchem, ze zwinnością urodzonej mieszkanki Nowego Jorku, Maxi cisnęła torebkę na stół i niecierpliwie rozejrzała się za celnikiem.

Zgromadzeni w kącie wielkiej sali, dopijali poranną kawę, nie spiesząc się z rozpoczęciem pracy. Paru z nich równocześnie spostrzegło Maxi i gwałtownie odstawilo kubki. Jeden, młody i ryży, wysforował się na czoło i ruszył ku niej.

- Co ci tak śpieszno, O'Casey? - zapytał go kolega i przytrzymał za ramię.

- Komu śpieszno? - O'Casey odtrącił jego dłoń. - Tak się składa, że gołąb jest mój - oznajmił, szybko podchodząc do Maxi i w swej determinacji o kilka jardów wyprzedzając najbliższego kolegę.

- Witamy w Nowym Jorku - powiedział. - Hrabina Kirkgordon, o ile mnie wzrok nie myli.

- Och, daj spokój z głupimi tytułami, O'Casey. Wiesz, że już dość dawno rzuciłam biednego Chłopczyne. - Maxi spojrzała na niego lekko zaniepokojona, rękami wsparta pod boki. Ma pecha, że wpadła w łapy zadufanego w siebie, piegowatego, bynajmniej nie odrażającego Josepha O'Caseya, we własnym mniemaniu podobnego do Sherlocka Holmesa. Prawo powinno zabraniać takim jak on urzędnikom państwowym dręczenia przyzwoitych obywateli.

- Jakżebyś mógł zapomnieć? - odparł zdumiony. - Zaraz po rozwodzie próbowała pani

przemycić mnóstwo nowej garderoby od Saint Laurenta. Zawsze była z pani kiepska krawcowa, panno Amberville... bardzo niefachowo poprzyszywała pani te etykiety Saksa. Czy nigdy nie przyjmie pani do wiadomości, że badamy europejskie kolekcje mody, ledwie je sfotografują?

- Dobrze to o tobie świadczy, O'Casey. - Maxi poważnym skinieniem głowy wyraziła aprobatę. - Będę o tym pamiętać. A tymczasem bądź uprzejmy sprawdzić mi torebkę. Strasznie się dziś spieszę.

- Ostatnim razem spieszyła się pani z dwudziestoma butelkami Shalimaru, tymi po dwieście dolarów, a jeszcze przedtem z nowym Patkiem Polo na ręce, który nosiła pani na widoku, bez wątpienia wspominając historię skradzionego listu. Ten zegarek ze szczerego złota wart był co najmniej osiem tysięcy dolarów. A potem, zaraz, zaraz, nie tak dawno temu chodziło o drobiazg, o norki od Fendiego, te przefarbowane na różowo, które rzekomo kupiła pani dla zabawy na pchlim targu za niecałe trzysta dolarów.

Piętnaście tysięcy dolców w Mediolanie, o ile mnie pamięć nie myli. - Uśmiechnął się rad z siebie. - Nie ma to jak pamięć do szczegółów.

- Shalimar był prezentem dla przyjaciółki - sprzeciwiła się Maxi. - Ja nie używam perfum.

- Ale prezenty należy wyliczać, jak piszą w deklaracji - obojętnie stwierdził O'Casey.

Maxi podniosła na niego wzrok. Te irlandzkie oczy nie wyrażały litości.

Uśmiechały się, owszem, lecz nie całkiem nieszkodliwie.

- Masz absolutną rację, O'Casey - przyznała. - Jestem niepoprawną przemytniczką. Zawsze nią byłam i przypuszczalnie zawsze będę. Nie wiem, dlaczego to robię, i chciałabym przestać. To nerwica. Jestem chora.

Potrzebuję pomocy. Ucieknę się do niej, gdy będę mogła. Ale przysięgam, że tym razem - ten jeden jedyny raz - nic nie mam przy sobie. Przyleciałam w interesach i muszę szybko dostać się do miasta. Powinnam już tam być, na litość. Przeszukaj mi torbę i przepuść mnie - błagała. - Proszę.

O'Casey bacznie się jej przyglądał. Taka była ładna, ta ryzykantka, że na sam widok jej twarzy przeszły go ciarki. Cała reszta, bo jak wszyscy celnicy nauczył się odgadywać wymowę ciała, niczego w tej chwili nie zdradzała. Bóg raczy wiedzieć, co ona przemyca, jeśli potrafi stać tak niewinnie.

- Nie mogę, panno Amberville. - Z żalem pokręcił głową.

- Kontroler paszportów zna pani przeszłość i zrobił na deklaracji adnotację, więc nie wolno pani po prostu przepuścić. Będziemy musieli poddać panią kontroli osobistej.

- Do cholery, przeszukaj przynajmniej torebkę! - zażądała Maxi, już nie tonem petentki.

- Oczywiście nie trzyma pani tego w torebce. Cokolwiek to jest, musi być na pani - odparł O'Casey. - Trzeba będzie zaczekać na celniczkę. Powinna się stawić za godzinę czy dwie, a już ja dopilnuję, żeby panią wzięła na pierwszy ogień.

- Kontrola osobista? Żartujesz! - wykrzyknęła Maxi szczerze zdziwiona. Od dwudziestu dziewięciu lat prawie zawsze stawiała na swoim, więc utwierdziła się w przekonaniu, że jej nie obowiązują zwykłe zasady. I z pewnością bez jej zgody nikt niczego Maxi Amberville nie zrobił. Nigdy! Przenigdy.

- Nie żartuję - odrzekł spokojnie O'Casey, z czymś na kształt uśmiešku.

Maxi popatrzyła na niego niedowierzająco.

Mówił serio, ten maniak na punkcie władzy. Ale każdy mężczyzna ma swoją cenę, nawet Joe O'Casey.

- Joe - powiedziała z głębokim westchnieniem - znamy się od lat, prawda?

I nigdy nie byłam złą obywatelką, co? Skarb państwa lepiej wyszedł na pobieranych ode mnie grzywnach niż na normalnych opłatach celnych.

- To właśnie mówię, ilekroć panią przyłapię, ale pani nie chce słuchać.

- Nigdy nie wwoziłam narkotyków, nie pasteryzowanego sera ani salami z zarazą pyska i racic... Joe... czy możemy ubić interes? - Skala jej głosu wyrażała wszystko, od przymilności do leciutkiej, lecz nieomyślnej nieprzyzwoitości.

- Nie biorę łapówek - warknął.

- Wiem - westchnęła. - Wiem aż za dobrze. Ale to twoja sprawa, Joe.

Jesteś neurotycznie uczciwy. Nie, ja chcę ubić interes.

- Co to za bzdury, panno Amberville?

- Mów do mnie Maxi. Proponuję rzetelną, uczciwą wymianę: ciało za zbędną kontrolę osobistą.

- Ciało? - powtórzył tępo, choć dobrze zrozumiał jej intencję i sama perspektywa tak szczodrej nagrody wystarczyła, aby zapomniał o noszonym mundurze.

- Oddam ci własne ciało, wolne od cła, chętnie, ciepłe, calutkie, Joe O'Casey. - Maxi od niechcenia przesunęła czubkiem palca między jego dwoma palcami, nie spuszczając go z oczu. Przesłała mu spojrzenie wynalezione przez Kleopatę, a przez siebie udoskonalone. Mężczyzna się załamał.

Poznała to po rumieńcu tak silnym, że prawie zakrył piegi. - Dziś wieczór o ósmej u P.J. Clarke'a? - spytała niemal obojętnie.

Bez słowa skinął głową. W rozmarzeniu zrobił na torebce znak kredą i gestem wskazał jej wyjście.

- Jestem punktualna - rzuciła Maxi przez ramię, oddalając się spieszenie - więc nie każ mi czekać.

W dwie minuty później już się odprężyła, odchylona na oparcie długiej granatowej limuzyny, w której czekał szofer, Elie Franc, znany jako najsprytniejszy i najszybszy w mieście.

Nie trzeba go było namawiać do pośpiechu, gdyż tylko patrol drogowy potrafiłby go prześcignąć, a Elie sprytnie omijał policyjne zasadzki.

Maxi zerknęła na zegarek i stwierdziła, że mimo nieznośnie długich formalności po przylocie zdąży na czas. Jeszcze wczoraj rano zażywała w Quiberon w Bretanii musujących kąpiele w gorącej wodzie morskiej, zalecanych po wyjątkowo szalonym lecie, kiedy została przez swego brata Toby'ego wezwana telefonicznie do powrotu na niespodziewane zebranie zarządu Wydawnictw Amberville'a.

Ich ojciec, Zachary Amberville, założyciel wydawnictw swego imienia, zginął w wypadku zaledwie przed rokiem. Jego spółka należała do największych koncernów prasowych w Ameryce i zebrania zarządu były zwykle zaplanowane z góry.

- Nie podoba mi się ten pośpiech, Złotowłosa - powiedział Toby. - Węszę kłopoty. Przypadkiem coś mi się obilo o uszy. Dlaczego nie dostałaś zawiadomienia? Zdążysz w tak krótkim czasie?

- Naturalnie. Spluczę tylko sól pod prysznicem, złapię samolot z Lorient do Paryża, tam przenocuję i przylecę concorde, kiedy wy w Nowym Jorku będziecie jeszcze spali. Nie ma sprawy - odparła. I rzeczywiście, gdyby nie zwłoka spowodowana przez O'Caseya, byłaby raczej za wcześnie niż dokładnie na czas.

Po raz pierwszy od momentu wylądowania Maxi zdała sobie sprawę, że choć dzień jest chłodny jak na koniec sierpnia, z każdą chwilą robi się cieplej.

Zdjęła kurtkę i poczuła jakieś drapanie w talii, pod paskiem dżinsów.

Zdziwiona sięgnęła ręką i wyłowiła cienki platynowy łańcuszek, który zapięła tam przed sześcioma zaledwie godzinami w swym ulubionym apartamencie w paryskim hotelu Ritza. Z łańcuszka zwieszała się olbrzymia czarna perła od Van Cleefa i Arpelsa, oprawiona w dwa pióropusze z brylantów. Coś takiego, pomyślała Maxi, wieszając sobie klejnot na szyi.

Był płomiennie barokowy, niesłychanie bogaty i strasznie rzucał się w oczy.

Jakże mogła zupełnie o nim zapomnieć? A przecież grosz zaoszczędzony to grosz zarobiony, triumfowała w porywie radości, jak ktoś, kto dzięki oszustwu wygrał w monopol.

2.

Elie zahamował raptownie przed nowym Budynkiem Amberville'a przy skrzyżowaniu Pięćdziesiątej Czwartej ulicy z aleją Madisona. Maxi nie czekała, aż wysiadzie i otworzy jej drzwiczki. Znów zerknęła na zegarek, wyskoczyła z limuzyny i pognała przez oszklone atrium, wysokości czterech pięter, nie dostrzegając dziesiątków drzew, z których każde kosztowało tyle co mały samochód, nie patrząc na setki doniczek ze zwisającymi storczykami i paprociami. Nie w głowie była jej botanika, kiedy ściągała ekspresową windę, aby się udać na piętro dyrekcji do sali konferencyjnej imperium zapoczątkowanego w roku 1947 przez jej ojca jednym małym magazynem handlowym. Rozsunęła ciężkie drzwi i stanęła jak wryta na widok zebranych, rękami wsparta pod boki, w rozkroku, w pozie, jaką nieraz przybierała, odkąd nauczyła się stać prosto. Nie wszystko na świecie działo się zawsze po jej myśli, co uzasadniało głęboki sceptycyzm.

- Po co to zebranie? - zwróciła się do grupy starszych redaktorów, wydawców i dyrektorów handlowych w momencie ciszy, jaka poprzedziła okrzyki zdziwienia i powitania. Wiedzieli jednak tyle co ona i wielu przygnało do miasta przerywając urlopy. Różnica polegała na tym, że ich zawiadomiono o zebraniu, podczas gdy ona dowiedziała się o nim przypadkiem.

Niejednokrotnie opuszczała takie zebrania, na które normalnie ją zapraszano, niesłychane było natomiast to, że nie dostała zawiadomienia.

Drobny, dandysowaty, siwowłosy mężczyzna odłączył się od reszty i podszedł do niej.

- Pavka! - wykrzyknęła radośnie Maxi, ściskając Pavkę Mayera, dyrektora artystycznego dziesięciu czasopism Wydawnictw Amberville'a. - Co się dzieje? Gdzie moja matka i Toby?

- Chciałbym to wiedzieć. Nie lubię podróżować w pośpiechu z Santa Fe, że nie wspomnę o opuszczeniu wczorajszej opery. Twojej matki jeszcze nie ma - odrzekł Pavka.

Znał i kochał Maxi od jej urodzenia, rozumiał, że całe jej skomplikowane życie polega na czerpaniu wszelkich uciech dostępnych na naszej planecie.

Obserwował ją w okresie dorastania i przypominała mu poszukiwacza złota, gorączkowo przenoszącego się z jednej działki na drugą, tu znajdującego uncję czy dwie kruszcu, tam tylko bezwartościowe kamyki, i szybko ruszającego gdzie indziej, wciąż w poszukiwaniu tej żyły czystego złota - czystej zabawy - tej wielkiej złotodajnej żyły, na którą, jak wiedział, dotychczas nie natrafiła. Ale nie traciła wiary w jej istnienie i Pavka Mayer nie wątpił, że jeśli ktoś ją znajdzie, tym kimś będzie Maxi.

- Wszystko to wygląda mi bardzo dziwnie - mruknęła Maxi.

- Mnie także. Ale powiedz, mała, co robiłaś przez całe lato?

- Och, to co zwykle... łamałam serca, odstawiałam numery, dręczyłam playboyów, nie przestrzegałam uczciwych reguł gry, byłam na wysokich obrotach, dotrzymywałam kroku złotym młodzieńcom. Wiesz, Pavka kochany, takie moje zwykłe letnie zabawy, jakoś wychodziłam na

swoje, tu i tam pouwodziłam... nic poważnego.

Pavka ogarnął ją spojrzeniem doświadczonego dyrektora artystycznego. Choć tak dobrze ją znał, zawsze go trochę zdumiewała - i jakby lekko porażała prądem - sama jej fizyczna obecność, bo Maxi była jakoś realniejsza od innych ludzi, bardziej osadzona w rzeczywistości. Wzrostu zaledwie średniego, około pięciu stóp i sześciu cali, pięknie zbudowana, nie zajmowała właściwie dużo miejsca, lecz swą mesmeryczną energią wytwarzała wokół siebie wibrującą przestrzeń. Z figurą wielkiej kurtyzany z belle époque, szczupła w talii, o znakomitych bujnych piersiach i krągłych biodrach, nie przytłaczała zmysłowością, a męski, piracki, śmiały styl ubrania dodawał jej kobiecości. Jej zielonych ponad wszelkie oczekiwania oczu, dokładnie barwy jadeitu - świeżych, roziskrzonych i czystych - nie mąciła troska.

Pavka wiedział, że istoty Maxi nie da się uchwycić na zdjęciu, bo nie ma tej surowej budowy kostnej niezbędnej do fotografii, ale nie mógł napatrzeć jej ciemnym prostym brwiom, zawsze uniesionym w lekkim wyrazie zdziwienia nad figlarnymi, patrzącymi przed siebie oczami. Jej delikatnie uformowany nosek byłby klasyczny, gdyby się trochę nie zadzierał do góry, dzięki czemu minę miała dowcipną i ożywioną, zaś siwe pasmo włosów podkreślało czerń wieczysto potarganej, kapryśnie opadającej, gęstej, krótkiej grzywy. Pavkę jednak najbardziej pociągały usta Maxi. Dolna warga nieco odchyłona jakby w uśmiechu, górna wygięta w kształcie śmiałego łuku, z maleńkim pieprzykiem na lewo od głębokiego rowka pośrodku. To usta prawdziwej czarodziejki, mówił sobie ze znanstwem mężczyzny, który ponad pięćdziesiąt lat z wzajemnością kochał kobiety.

Pavka nadal zachwycił się Maxi, gdy drzwi ponownie się otwały i wszedł Toby Amberville. Maxi podbiegła do brata.

- Toby - szepnęła, zanim przystanął w pół kroku, otworzył ramiona i przygarnął ją do siebie. Przez długą chwilę tuliła się do niego w milczeniu, wznosząc ku niemu twarz, tak że mogli się pocierać nosami.

- Co się dzieje, Toby? - zapytała cicho.

- Nie wiem. Od kilku dni nie mogę się skontaktować z matką. To zagadkowe, ale chyba się dowiemy. Świetnie wyglądasz, mała - dodał i zwolnił uścisk.

- Kto to mówi?

- Ja. Czuję to w twoich włosach. Policzki masz opalone słońcem wysokogórskim, nie southampton'skim. I przybyło ci ze trzy czwarte funta tu, w pośladkach. Bardzo przytulnie. - Delikatnym ruchem odsunął ją od siebie i szedł dalej, jej brat, zaledwie o dwa lata starszy, brat, który więcej o niej wiedział na podstawie dotyku jej dłoni czy wypowiedzianych przez nią trzech słów niż ktokolwiek inny na świecie.

Toby Amberville, wysoki, na pozór niespożyty mężczyzna, był poważny i skupiony, przez

co wyglądał na więcej niż swoje trzydzieści jeden lat. Na pierwszy rzut oka nie przypominał Maxi, ale podobnie jak ona całkowicie wypełniał przestrzeń. Jego wrażliwe i pełne usta zdawały się zaprzeczeniem silnej brody, upartej determinacji budzącej lęk wielu osób, mimo iż śmiał się beztrudnie i cechowała go krzepka, zdrowa uroda. Wokół bursztynowych oczu zaczynały mu się rysować zmarszczki będące dla niezbyt bystrego obserwatora oznaką zęza albo krótkowzroczności u człowieka, który jest zbyt próżny, aby nosić okulary.

Maxi ociągała się z tyłu i patrzyła, jak swobodnym, pewnym krokiem idzie do krzesła pozostawionego mu z woli ojca, gdy skończył dwadzieścia jeden lat, krzesła czekającego podczas każdego zebrania zarządu i zajmowanego coraz rzadziej, w miarę jak choroba, barwnikowe zwyrodnienie siatkówki, czyniła postępy i tracił wzrok. Czy stosunkowo nie zmienione jest widzenie lunetowe? - zastanawiała się Maxi. Trudno było powiedzieć, co Toby widzi, a czego nie widzi, bo cechą tej choroby jest zmienność wzroku zależnie od otaczających warunków, od odległości i kąta widzenia, od tego, czy światło jest jaskrawe, czy przyćmione, i od dziesięciu innych czynników, tak absolutnie nieprzewidzianych, że czasami widział dokładnie, co tym trudniejszym do zniesienia czyniło powrót do niemal zupełnej ślepoty. Ale Toby to znosił, pogodził się ze swoim stanem, o ile to było możliwe, myślała Maxi słuchając, jak brat wita się z różnymi osobami, które natychmiast poznaje i do których się zwraca na dźwięk ich głosu. Zapomniała na moment, dlaczego jest w tym dużym pokoju, i pogрузыła się w tkliwych rozmyśleniach o bracie.

- Maxime. - Jej imię wymówił głos o słabym brytyjskim akcencie, srebrzysty głos, tak piękny, że Maxi zadrżała. Tylko na głos matki podskakiwała, a przecież brzmiał tak, jakby go nigdy nie podnoszono, aby wydać rozkaz, poprosić o przysługę, a cóż dopiero wyrazić gniew. Głos o tak pewnej i wdzięcznej tonacji, pełen tak chłodnego, giętkiego uroku, osiągał wszystko - czy prawie wszystko - czego właścicielka zapragnęła. Maxi dodając sobie odwagi obróciła się na powitanie matki.

- Kiedy przyjechałaś, Maxime? - zapytała Lily Amberville nieco zdziwiona.

- Myślałam, że jeszcze jeździsz na nartach w Peru. Albo w Chile? - Odgarnęła na bok grzywkę córki dobrze znanym pieszczotliwym gestem, który świadczył o stałej dezaprobach dla tej fryzury. Maxi poczuła próżny gniew, od lat nie wyrażany słowami. Czemu, myślała, tylko matka wywołuje we mnie uczucie, że jestem brzydka?

Lily Amberville, od trzech dziesięcioleci otoczona aurą uwielbienia, tak jak bardzo nieliczne spośród bogatych i wspaniałych wielkich piękności, objęła córkę godnie jak królowa, a Maxi odwzajemniła uścisk ze zwykłą mieszaniną złości i utęsknienia.

- Jak się masz, mamó. Wyglądasz wspaniale - powiedziała zgodnie z prawdą.

- Szkoda, że nie zawiadomiłaś nas o przyjeździe. - Lily nie odwzajemniła komplementu i jakby puściła go mimo uszu. Sprawiała wrażenie niemal zdenerwowanej, uświadomiła sobie Maxi,

choć to słowo nigdy nie kojarzyło się z Lily. Zdenerwowanej i dość napiętej.

- Chyba coś się pokręciło, mamo. Nie zawiadomiono mnie o dzisiejszym zebraniu. Nie miałabym o nim pojęcia, gdyby nie telefon Toby'ego...

- Najwyraźniej trudno było się skomunikować... może jednak usiądziemy - niejasno odparła Lily Amberville i odpłynęła, pozostawiając Maxi w drzwiach. Podszedł do niej Pavka Mayer.

- Usiądź przy mnie, ty diable. Jak często trafia mi się taka okazja?

- "Diable"? Nie widziałeś mnie dwa miesiące - oświadczyła Maxi ze śmiechem. - Mogłam się przecież poprawić.

- Diableł - obstawał przy swoim Pavka, kiedy przechodziła za nim przez pokój. Bo jak inaczej, myślał, opisać jej kwintesencję, jej ciętość, werwę, dociekliwość, czujność i talent do przysparzania kłopotów, fascynujących kłopotów, których ani by nie chciał, ani nie mógł unikać?

- Poprawić? Moja Maxi? - zakpił. - Czy mam sądzić, że siedmiu krasnoludków dało ci tę zdumiewającą czarną perłę, bo taka byłaś niewinna, taka nietykalna, taka czysta, tak podobna do Królowy Śnieżki?

- Właściwie tylko jeden, i to absolutnie normalnego wzrostu - odrzekła bez wstydu Maxi i szybko schowała po raz wtóry zapomnianą perłę w wycięcie bluzki. Taka biżuteria na pewno nie nadaje się do noszenia w dzień.

Nim zajęła miejsce obok Pavki, czyjaś dłoń zbyt mocno schwyciła ją za ramię. Odwróciła się raptownie, sztywna z niezadowolenia. Jej stryj, Cutter Dale Amberville, młodszy brat jej ojca, pochylił się i ucałował ją w czoło.

- Co tu robisz, Cutter? - zapytała chłodno.

- Lily prosiła mnie, bym przyszedł. Jeśli chodzi o ścisłość, dziwi mnie twój widok. Byłem przekonany, że porzuciłaś nas i przebywasz w ciekawszych miejscach. Tak się cieszę, że wróciłaś, Maxime. - Jego głos brzmiał ciepło i serdecznie.

- Gdzie, twoim zdaniem, miałam przebywać, Cutter? - Tylko dlatego, że starała się nad sobą zapanować, nie zdradziła głosem niechęci.

- Wszyscy sądzili, że jeździsz na nartach w Peru albo w Chile i jesteś nieosiągalna. Że to ma coś wspólnego z helikopterami i lodowcami.

- Czy dlatego nie zawiadomiono mnie o dzisiejszym zebraniu?

- Naturalnie, moja kochana. Zdawało się, że nie warto próbować. Nie mieliśmy numeru telefonu. Dobrze jednak, że się myliłem.

- Nigdy nie słuchaj plotek, Cutter. Toby wiedział, gdzie jestem, więc oczywiście jego należało spytać. Ale, jak się okazuje, i jego nie powiadomiono. To rzeczywiście bardzo dziwne. Co więcej, nawet gdybym była nad Amazonką, zawsze lubię pozostawać w kontakcie - stwierdziła żywo.

- Musiała zająć zwyczajna pomyłka. - Cutter Amberville uśmiechnął się, a ten uśmiech rozjaśnił jego młodzieńcze niebieskie oczy, pozbawił rysy nieznośnej dystynkcji, rozbrajająco obnażył jeden krzywy ząb i wytworną ambasadorską głowę przemienił w głowę robotnika portowego. Cutter zawdzięczał swoje szczęście bezspornej sile tego uśmiechu i dawno już zapomniał, jak w czasach szkolnych ćwiczył go przed lustrem, delikatnymi poruszeniami mięśni twarzy przenosząc wyraz ciepła i szczerości z ust do oczu.

Cutter od trzech lat mieszkał na Manhattanie, gdzie powrócił w roku 1981, po z górą dwudziestopięcioletniej nieobecności, z rzadka przerywanej krótkimi wizytami. W tym okresie dziwnie mało się zmienił, zachował szczupłą sylwetkę i formę znakomitego sportowca. Jego krótko przystryżone włosy nie posiwiały, oczy rzucały niebieskie błyski, a sposób bycia miał wciąż ujmujący. Ten obdarzony przemożnym urokiem mężczyzna oczarował wiele kobiet, lecz przyświecał mu jakiś ciemny ukryty cel, coś tajemniczego.

Zdawał się nie odczuwać potrzeby wesołości ani towarzystwa ludzi, których nie uznał za przydatnych. Przez całe życie Zachary Amberville darzył brata głęboką miłością.

Cutter wciąż mierzył w Maxi z broni swego uśmiechu. Dłoń nadal zaciskał na jej ramieniu mocno, wręcz opiekuńczo. Oswobodziła się gwałtownie, nie zważając na to, że sprawia wrażenie niegrzecznej, i padła na krzesło obok Pavki. Nie zrażony odprawą Cutter delikatnie, lecz poufale musnął jej włosy, na co skrzywiła nos z obrzydzenia. Cóż, u diabła, sprowadza Cuttera na zebranie, pomyślała zdziwiona. Dotychczas w żadnym nie uczestniczył.

Obserwowała matkę, jak charakterystycznie płynnym krokiem, z niewzruszoną dumą i elegancją byłej tancerki, podchodzi do szczytu stołu. Lily zajęła miejsce sąsiadujące z krzesłem od śmierci Zachary'ego Amberville'a zawsze pustym, różnym od pozostałych, bo było zniszczone, poobijane i boleśnie przypominało obecnym roześmianego śmiałka i zapaleńca, rubasznego, pełnego fantazji mężczyznę, który odszedł tak nagle.

Nie wolno się rozpląkać, ze złością powiedziała sobie Maxi. Widok krzesła za każdym razem tak żywo przywodził na pamięć ojca, że łzy gwałtownie napływały do oczu, choć z całych sił starała się je powstrzymać. Bogu wiadomo, jak często przez ten rok oplakiwała uwielbianego ojca, zawsze jednak usiłowała to robić po kryjomu. Takie objawy smutku nieodmiennie wprawiały ludzi w zakłopotanie i były niestosowne w sali konferencyjnej.

Maxi wstrzymała dech, skupiła się i zdołała zachować opanowanie. Oczy jej błyszczały, ale nie popłynęła ani jedna łza. Bez publicznego manifestowania żalu patrzyła na idącego za Lily Cuttera. Gdzie on chce usiąść? - zadała sobie pytanie. Wyglądało na to, że nie ma dla niego dodatkowego krzesła. Z niedowierzaniem obserwowała matkę, która równie precyzyjnym, jak zdumiewającym gestem szczupłej dłoni wskazała Cutterowi miejsce zajmowane dotąd wyłącznie przez jej męża.

Jak ona może! Jak śmie pozwolić, aby Cutter tam usiadł? - wykrzyknęła w duchu Maxi, a serce jej łomotało. Z boku dobiegł ją niewyraźny szept niedowierzania, jaki się wyrwał Pavce, a wokół stołu rozległy się szybko tłumione szmery. Atmosfera w pokoju wibrowała pod wpływem tego nieoczekiwanego postępu Lily, ludzie zaś ukradkiem wymieniali zdziwione spojrzenia. Cutter natomiast, jakby niczego nieświadomy, usiadł z tym samym co poprzednio wyrazem twarzy.

Zachary Amberville władał swą spółką przy pomocy osób zgromadzonych dziś na tej sali. Po jego śmierci wdowa zaczęła przychodzić na zebrania zarządu, czego nie robiła za życia męża. Była teraz właścicielką kontrolnego pakietu akcji. Dostała siedemdziesiąt procent akcji spółki, pozostałe trzydzieści mieli Maxi, Toby i ich młodszy brat Justyn.

Maxi i czasem Toby próbowali brać udział w posiedzeniach, kiedy byli w mieście. Ale Maxi nigdy nie słyszała, aby matka wyraziła jakieś zdanie czy uczestniczyła w podejmowaniu decyzji, czego sama też nie robiła. Redaktorzy każdego z czasopism, wydawcy i dyrektorzy handlowi, z Pavką Mayerem na czele, nadal zarządzali olbrzymim przedsiębiorstwem, jak za czasów Zachary'ego, z oddaniem, kompetentnie, bardzo biegle i z równym zapalem.

Zapadło krótkie milczenie. Ponieważ nikt nie znał porządku dziennego, czekano, aż poda go Lily Amberville. Ona jednak milczała ze spuszczonej oczyma. Maxi osłupiała, tak zdumiona, że nie mogła złapać tchu, patrzyła, jak Cutter odsuwa krzesło jej ojca od stołu, przechyla się do tyłu i z całkowitą swobodą obejmuje przewodnictwo zebrania.

- Pani Amberville prosiła mnie, abym dziś do was przemówił - zaczął cicho. - Po pierwsze żałuję, że niektóre osoby musiały wezwać w tak krótkim terminie, lecz musi coś podać do wiadomości, a czuła, że wszyscy powinni się o tym możliwie szybko dowiedzieć.

- Co, u diaska...? - ściszone głosem zwrócił się Pavka do Maxi.

Potrząsnęła głową, zacisnęła wargi i z wściekłością patrzyła na Cuttera.

Czemu matka poprosiła go, aby przemówił do zarządu? Dlaczego mówi nie ona, tylko ten bankowiec, obcy tu i nie uprawniony do uczestnictwa w zebraniu spółki?

Cutter wciąż siedział spokojnie i przemawiał miarowym, apodyktycznym tonem.

- Pani Amberville, jak wam wiadomo, przez rok po nieoczekiwanej i tragicznej śmierci mojego brata nie dokonała żadnych zmian w strukturze Wydawnictw Amberville'a. Zastanawiała się natomiast poważnie nad przyszłością spółki, jej dziesięciu czasopism i nieruchomości. Teraz, jak sądzę, nadszedł czas, aby sobie uświadomić, że choć sześć magazynów bezspornie wybija się w swych dziedzinach, cztery mają trudności. - Urwał, aby napić się wody, a serce Maxi zaczęło bić jeszcze szybciej. Jej przebiegły stryj przemawia niczym generał. "Jak sądzę", powiedział, a przy długim stole ludzie siedzieli w absolutnej ciszy, czekając na to, co ma oznajmić, a czego dotychczas nie oznajmił.

- Wiemy - niespiesznie ciągnął Cutter - że mój brat wolał tworzyć czasopismo niż cieszyć

się jego sukcesem; bardziej go interesowało rozwiązywanie problemów kulejącego magazynu niż maksymalne wykorzystywanie potencjału pisma zdrowego. To stanowiło jego wielką siłę, lecz teraz, gdy go zabrakło, stało się słabością. Tylko drugiemu Zachary'emu Amberville'owi wystarczyłoby uporczywości, woli przetrwania lat trudnych, a zwłaszcza wiary we własne zdolności twórcze, nieodzownej do dalszego przelewania zysków z sześciu poczytnych magazynów w głodne gardła naszych magazynów słabych.

“Naszych”, oburzyła się Maxi w duchu. Od kiedy, Cutter, masz udziały w Wydawnictwach Amberville'a? Od kiedy masz prawo mówić “nasze”? Siedziała jednak we wrogim, trwożnym milczeniu i czekała, a serce jej się ścisnęło na widok jego groźnej władczości.

- Trzy nasze najnowsze czasopisma, “Długość Fali”, “Ogród” i “Wakacje”, przynoszą straty w tempie, z którym wprost nie sposób się pogodzić. “Guziki i Kokardy” od lat mają wartość czysto sentymentalną...

- Chwileczkę, proszę pana - przemówił wreszcie Pavka Mayer, a jego głos przedarł się przez opanowany, układny potok wymowy Cuttera. - To słowa biznesmena, a nie wydawcy. Znam w szczególności dalsze plany Zachary'ego dla “Długości Fali”, “Ogrodu” i “Wakacji” i mogę pana zapewnić, że na razie nie oczekiwał zysków. Ale to tylko kwestia czasu, bo zaczną przynosić zyski. Co do “Guzików i Kokard”, czuję...

- Tak, co z “Guzikami i Kokardami”, Cutter. - przerwała gwałtownie Maxi i nagle wstała. - Nie wiesz zapewne, bo nie masz pojęcia o interesach, że ojciec zawsze nazywał je swoim dzieckiem. Przecież na nich zbudował całą tę cholerną spółkę!

- To luksus, moja droga. - Cutter całkowicie zignorował wypowiedź Pavki Mayera. - Luksusem było utrzymywanie przy życiu czasopisma, ponieważ dawno temu przyniosło mu szczęście, luksusem, na jaki twój ojciec mógł sobie pozwolić.

- A cóż się, u licha, zmieniło? - wykrzyknęła Maxi. - Jeśli on mógł sobie pozwolić, my też możemy. Jakim prawem mówisz nam wszystkim, na co możemy sobie pozwolić? - Dygotała z gniewu, który znalazł ujście.

- Moja droga Maxi, mówię w imieniu twojej matki, nie własnym. Ona ma pakiet kontrolny... O czym zdajesz się zapominać. Naturalnie to dla ciebie zaskakujące, że brutalne fakty przedstawia ktoś spoza firmy. - Patrzył na nią obojętnie, a jednak, lekko ku niej zwrócony, do niej kierował te słowa.

- Dopóki żył twój ojciec, on decydował o wszystkim, co nawet ty, moja droga, porywcza Maxi, musiałabyś przyznać. Ale dziś zabrakło wśród nas Zachary'ego Amberville'a, który podjąłby trudne decyzje. Tylko twojej matce przysługuje to prawo, tylko ona może to zrobić. Ona uważa, że powinna prowadzić interesy przynoszące zysk, skoro nie kieruje nimi geniusz twego ojca. Ma obowiązek patrzeć na rachunek strat i zysków, na saldo.

- Ja przeglądam zestawienia, Cutter. Toby i Justyn także. W zeszłym roku osiągnęliśmy wielomilionowe zyski. Temu nie zaprzeczasz, co? - wyzywająco zapytała Maxi.

- Na pewno nie. Ale nie liczysz się z zacieklą konkurencją, jakiej co miesiąc musimy stawiać czoło, aby się utrzymać na rynku czasopiśmienniczym.

Dość lekkomyślne jest ignorowanie faktu, że jedna trudna, bolesna decyzja... konieczna decyzja, Maxi, jaką twoja matka chce podjąć, wydatnie zwiększy dochody spółki.

- Lekkomyślne! Zaczekaj, Cutter, nie godzę się na takie...

- Przepraszam, Maxi, to niewłaściwe słowo. Ale zdajesz sobie sprawę, że twoja matka nikomu, absolutnie nikomu nie musi się tłumaczyć, prawda?

- Wiem o tym, twierdzą natomiast, że spółka nie ma trudności finansowych - obstawała przy swoim Maxi, zbuntowana, uparta i zdecydowana, że w świecie pozostawionym przez ojca nic nie powinno się zmienić.

Siedzący obok Pavka Mayer powziął równie stanowcze postanowienie. Kiedy słuchał Cuttera Amberville'a, zawładnęły nim wspomnienia Zachary'ego, który w tylu trudnych dla czasopism okresach kierował grupą wydawniczą z niesłabnącą odwagą i wyobraźnią. Zachary'ego, jego przyjaciela, który nigdy nie próbował ukrywać swych prawdziwych pobudek i uczuć; Zachary'ego, który rzucał się w wir każdego zebrania z zapalem, wywołując u kolegów wrażenie, że są mu równi, że wraz z nim podejmują wyzwania. Pavka o wiele lepiej niż Maxi wiedział, że Wydawnictwa Amberville'a nie są w trudnym położeniu, lecz przeciwnie niż ona nie mógł korzystać z przywileju akcjonariusza. Z ponurą miną patrzył, jak Cutter, lekceważąc protesty Maxi, jakby jej w ogóle nie widząc, rozgląda się dokoła stołu i przelotnie napotyka wzrok każdego członka grupy.

- Wydawnictwa Amberville'a - mówił - znajdują się w sytuacji, w której niedopuszczalne jest ponoszenie dalszych łatwych do przewidzenia strat.

Pani Amberville postanowiła możliwie szybko zaniechać druku czterech nierentownych czasopism. Boleje nad tą decyzją, ale sprawa nie podlega dyskusji.

Swobodnie odchylił się do tyłu, niewrażliwy i obojętny, świadomy, że jego słowa, niezależnie od tego, co powiedział, wywołają reakcję zgromadzonych w pokoju mężczyzn i kobiet, bo wielu z nich złamały właśnie karierę zawodową.

Dokoła rozległy się zaleknione, pełne niedowierzania głosy. Maxi podeszła do Toby'ego i coś zawzięcie szeptała mu do ucha. Raptem zapadła cisza. To Lily Amberville, zdziwiona powszechnym sprzeciwem, tym razem w defensywie, co rzadko jej się zdarzało i było prawie nie do pomyślenia, uniosła obie śliczne dłonie.

- Proszę! Bardzo proszę, widzę, że jednak muszę coś powiedzieć. Rozumiem, że ze szkoda dla pana Amberville'a poprosiłam go, aby wam oznajmił tę przykrą nowinę. Nie przewidywałam...

nie spodziewałam się takiego zaniepokojenia... to przecież zwykła decyzja... ale powinnam była z każdym z was pomówić osobno. Niestety było to ponad moje siły. Proszę o moją decyzję nie winić pana Amberville'a i nie uważać, że oznajmił o niej bezprawnie. Nawet nie zdążyłam jeszcze dzieciom powiedzieć, dlaczego poprosiłam go, aby mówił w moim imieniu... ja... - Lily błagalnie zwróciła się do Cuttera i zamilkła. Ujął jej rękę i znów rozejrzał się dokoła stołu, absolutnie opanowany, jak treser lwów dowodzący swej przewagi w klatce.

Maxi obserwowała ich w stanie buntowniczego pomieszania. Dlaczegoż Cutter miałby mówić w imieniu jej matki? Acz niechętnie, musiała sobie przypomnieć wieczór, kiedy miała piętnaście lat, a Cutter w czasie jednej z rzadkich wizyt w Nowym Jorku nocował w domu jej rodziców. Leżała w łóżku i przygotowywała się do egzaminu, on zaś wszedł w szlafroku rozglądając się za czymś do czytania. Zapytał, czego się uczy, i zbliżywszy się zajrzał do książki. Nagle poczuła, jak jego ręka wsuwa się w wycięcie piżamy, chwytając za nagą pierś, obmacuje sutek. Odskoczyła gwałtownie, z ustami otwartymi pod wpływem szoku, gotowa krzyknąć, a on cofnął się z uśmiechem i wypowiedział gładkie, obłudne słowa przeprosin. W tym momencie Maxi zrozumiała jednak, czego chciał, on zaś wiedział, że ona wie. Nigdy już nie ponowił próby, ale Maxi, ilekroć znalazła się w tym samym co on pokoju, musiała wspominać tę przelotną chwilę złego kontaktu. Dlaczego Cutter trzyma rękę jej matki?

- Wczoraj - oznajmił patrząc na Maxi z triumfem tak pewnym, tak absolutnym, jakby nie doznawał żadnych wzruszeń pani Amberville i ja wzięliśmy ślub.

3.

Zachary Anderson Amberville nie miał w sobie nic z Andersonów, żaliła się jego matka, Sara Cutter Anderson z Andover w stanie Massachusetts. Chłopiec niewątpliwie przypominał jednego z francuskich, hugenockich Amberville'ów, przybyłego z Lafayette'em, aby walczyć o niepodległość Ameryki. Służył on w pułku markiza de Biron i postanowił osiąść w Nowej Anglii. Mniej więcej co pokolenie przychodził na świat w tej rodzinie ciemnowłosy i ciemnooki chłopiec lub dziewczynka, osiągał wzrost zaledwie średni i w wieku dojrzałym zdradzał godną ubolewania skłonność do tycia. Najstarszy jej syn był właśnie taki, utyskiwała, aby ukryć dumę, której nie wypadało okazywać.

Jej przodkowie Andersonowie byli surowymi Szwedami. Cutterowie zaś... cóż, Cutterowie pochodzili z Andover. Oczywiście żadna z dwóch gałęzi jej rodu nie miała już pieniędzy, ale i Amberville'om wiodło się nieszczerólnie, zważywszy ich lepszy start w tym kraju. Wszyscy mogliby uchodzić za dość niezaradnych, zdecydowanie prowincjonalnych, gdyby Zack nie zdradzał tyle dynamizmu, ambicji i ruchliwości, ile można oczekiwać po całej dużej rodzinie świeżych imigrantów.

Urodził się w roku 1923, w kilka lat po ślubie Sary Anderson z Henrym Dale'em Amberville'em, młodym redaktorem małej lokalnej gazety, zamieszkałym opodal Andover. Siedmioletni Zack co dzień o świcie roznosił gazetę swego ojca wzdłuż wyznaczonej trasy. Dzielnie usiłował włączyć do sprzedaży "Saturday Evening Post", lecz szczęście mu nie dopisywało, bo w Stanach Zjednoczonych właśnie zaczął się kryzys i ludzie stopniowo ograniczali zbędne wydatki.

Drugim dzieckiem Amberville'ów była córka Emilia, przezywana Myszką Minnie, a w końcu tylko Minnie. W roku 1934, kiedy urodziło się ich ostatnie dziecko, Cutter, gazeta Henry'ego Amberville'a przestała w następstwie kryzysu przynosić nawet niewielkie dochody. Zack chodził do miejscowej średniej szkoły państwowej, nie do szkoły w Andover, jak wszystkie pokolenia Amberville'ów, a po lekcjach potrafił zawsze upolować jakieś płatne zajęcie: nalewał wodę sodową, dostarczał artykuły spożywcze do domów, rąbał drzewo, był chłopcem na posyłki u lokalnych sklepikarzy.

Nie zważał, co robi, dopóki mógł powiększać rodzinne fundusze. W lecie pracował u ojca, uczył się zawodu, próbował sprzedawać ogłoszenia i wyręczał Henry'ego, na którego spadło teraz wiele obowiązków, bo w miarę pogłębiania się kryzysu pozwalniał nieliczny personel.

Zachary świetnie się uczył i przeskoczył klasę piątą i ósmą oraz drugi rok szkoły średniej. Wiosną ostatniego roku nauki, kiedy miał lat zaledwie piętnaście, starał się o stypendia w różnych college'ach. Marzył o uniwersytecie Harvarda, ponieważ studiując w Cambridge mógłby być niedaleko rodziny. Powodowany silnym poczuciem odpowiedzialności za rodziców, Minnie, a

zwłaszcza czteroletniego brata Cuttera zaproponował, że po szkole średniej pójdzie do pracy i zapomni o college'u, lecz na to Amberville'owie nie chcieli się zgodzić. "Damy sobie radę, Zachary, jeśli nie będziemy musieli płacić za twoją naukę, nie wyobrażaj sobie jednak, że pozwolę, aby mój syn nie studiował..." Głos ojca zamarł z przerażenia na myśl tak potworną.

Zachary'emu Amberville'owi zaoferowano pełne stypendium włącznie z książkami, wiktem i mieszkaniem, jedynie na uniwersytecie Columbia na Morningside Heights. W ciągu wieków Amberville'owie i Cutterowie, Andersonowie i Dale'owie oczywiście odwiedzali Manhattan, żaden z nich natomiast nie spędził więcej niż jedną noc w mieście, które zgodnie uznali za zbyt hałaśliwe, zbyt rojne, zbyt drogie, zbyt pełne obcokrajowców, zbyt skomercjalizowane, jak je w końcu określił ktoś ku powszechnemu zadowoleniu. "Właściwie wcale nie amerykańskie."

Piętnastoletni Zachary Amberville, silnie zbudowany, choć jeszcze nie w pełni wyrosnięty, o dwa cale niższy niż w latach późniejszych, gdy mierzył pięć stóp i dziesięć cali, o trzy lata młodszy od większości kolegów, pod względem umysłowym zdecydowanie ich przewyższał. Od tak dawna był niezależny, odczuwał taką potrzebę opieki nad rodziną, że cieszył się autorytetem rzadko spotykanym u studentów pierwszego roku. Z miejsca budził szacunek mimo wrodzonego niedbalstwa i zmierzwionych czarnych włosów, które przeczesywał ręką, pociągając za siwy kosmyk, ilekroć coś go zaskoczyło.

Był jak ubrany, nie zastanawiał się nad swoim wyglądem. Był pełen polotu, gotów na każdą przygodę, gadatliwy, szalenie ciekawy nowych ludzi i rzeczy, a jego serdeczny śmiech rozbrzmiewał w całym akademiku. Nie tykał alkoholu, nie wyrażał się ordynarnie i nigdy nie spędził nocy poza domem, ale cechowały go odwaga i wielkość nie poddające się zwykłym studenckim ocenom.

Zachary Amberville miał dobre, szerokie usta, duży, tępy nos i niesłychanie bystre, wesołe, żywe zielone oczy pod łukiem gęstych brwi. Nie był przystojny, ten ciemny Amberville, ale dawał się lubić od pierwszego wejrzenia i porywał swym entuzjazmem.

W Nowym Jorku zakochał się z miejsca. "Zdobędę Manhattan, Staten Island i Bronx", nucił ucząc się wśród regałów Biblioteki Lova. Te słowa nieśmiertelnej piosenki, napisanej w roku 1925 przez Rodgersa i Harta, stale cisnęły mu się na usta. Zdobędę Manhattan, o tak, zdobędę i utrzymam! - przysięgał sobie, ilekroć miał kilka wolnych godzin i jechał koleją podziemną do centrum. Przemierzył miasto na piechotę od Battery do Harlemu, od rzeki do rzeki, poznał mosty i parki, aleje i boczne ulice, z wyjątkiem muzeów poznał wszystko; tylko z zewnątrz, za cenę biletu i niekiedy najlepszego na świecie hot doga kupowanego z wózka na ulicy Delancey.

Pieniądze na przejazdy, hot dogi i zaspokojenie innych skromnych potrzeb zarabiał pracując dorywczo jako kelner w Lwiej Jamie, barze z kanapkami na terenie miasteczka uniwersyteckiego. Każdego dodatkowo zdobytego centa posyłał do domu i uznał, że nie stać go na luksus porzucenia

Lwiej Jamy na rzecz "Spectatora", codziennej gazety uniwersyteckiej. W rzeczywistości nie chodziło o niechętnie dokonanie wyboru. Odpowiedzialnością za rodzinę obarczał się w sposób naturalny.

Zachary Amberville zaplanował swe przyszłe życie. Po ukończeniu studiów zostanie chłopcem na posyłki w "New York Timesie". Niewątpliwie, rozumował, gdy w lecie prawie sam wydawał codzienną gazetę, bo ojciec coraz bardziej podupadał na zdrowiu, zdoła ich namówić, aby go zatrudnili... znał się na wszystkim, co dotyczyło prasy, od druku po kolportaż. Wydział dziennikarski uniwersytetu, osądził, byłby stratą cennego czasu, na którą w żadnym razie nie mógł sobie pozwolić.

Zdołał się przyłączyć do wycieczki szkolnej i zwiedził budynek "New York Timesa", zobaczył jego piekielne czeluście i pracujące wielkie maszyny drukarskie. Od chłopca na posyłki do reportera, od reportera do... tu zawodziła go wyobraźnia, oszołomiona bogactwem i różnorodnością perspektyw, jakie stwarzała ta najlepsza gazeta.

Świat miał inne plany dla studentów w 1941 roku. Nazajutrz po wypowiedzeniu wojny osiemnastoletni Zachary Amberville, student ostatniego roku, zaciągnął się do piechoty morskiej. Mógł zaczekać na powołanie i przypuszczalnie, prawie na pewno, dostałby odroczenie, zdołałby zrobić dyplom, ale spieszno mu było zakończyć wojnę i powrócić do "New York Timesa". "Gdzież jest ulica taka jak Mott Street w lipcu?" - śpiewał przekrzykując ryk silników swojego myśliwca, na którym odbywał niezliczone loty na Pacyfiku; bohater, major w dniu swoich dwudziestych pierwszych urodzin, podpułkownik w dniu zwycięstwa nad Japonią, a w sześć miesięcy później, na Hawajach, rozwścieczony pułkownik.

- Co, do cholery, znaczy, że nie mogę jeszcze wrócić do domu? Już wiele miesięcy temu powinienem zostać zwolniony, sir. Przepraszam, sir.

- Przykro mi, panie pułkowniku, ale jest pan potrzebny generałowi.

- Do diabła, sir, a czy ci, co pierwsi się zaciągnęli, nie powinni pierwsi pójść do cywila? Generał ma dziesiątki innych oficerów, na co, u licha, ja mu jestem potrzebny?

- Zdaje się, że ma pan niezwykle zdolności organizacyjne, panie pułkowniku.

- Jestem pilotem myśliwca, nie gryzipiórkim. Przepraszam, sir.

- Wiem, co pan czuje, panie pułkowniku. Jeszcze raz porozmawiam o panu z generałem, ale dobrze to nie wygląda. Powiedział: "Powtórz Ambervilleowi, że jeśli tak bardzo zależy mu na zwolnieniu, powinien się zaciągnąć do Wojskowych Sił Powietrznych".

- To cholerna zniewaga, sir!

- Wiem, panie pułkowniku, wiem.

Dopiero w dziesięć miesięcy po zakończeniu drugiej wojny światowej Zachary Amberville powrócił wreszcie do Nowego Jorku. Jego ojciec zmarł w roku 1943, lecz Sara Amberville nadal

mieszkała w rodzinnym domu pod Andover. Rentę po mężu dostawała skromną, jednak żołąd syna, regularnie przesyłany i skrupulatnie oszczędzany, pomagał w utrzymaniu młodszych dzieci.

Świeżo upieczony cywil zaszedł najpierw do J. Pressa. Nie mógł się pokazać w redakcji "Timesa" w mundurze i z medalami. Śmiesznie by to wyglądało. Chłopcy na posyłki musieli się odpowiednio ubierać, tłumaczył sobie, kiedy zawiązywał pierwszy od z górą pięciu lat krawat, jaki sam wybrał; czerwony krawat w białe groszki, który odzwierciedlał błyskające w oczach rozradowanie. Zachary nie chciał też wyglądać na członka Ivy League, chociaż Bóg świadkiem, że jedyny zaproponowany przez J. Pressa garnitur, dostępny dla jego kieszeni, był ze sztywnego, włochatego tweedu i świetnie pasowałby w Harvardzie, gdyby dobrze leżał i został uszyty dwadzieścia lat wcześniej. Ładnie się prezentuje tylko nowiutka szczoteczka do zębów, myślał Zachary Amberville, kiedy przyglądał się w długim lustrze swemu ledwie rozpoznawalnemu odbiciu.

- Nie rozumiem - powiedział do recepcjonistki w budynku "Timesa". - Po prostu nie rozumiem.

- Mamy tylu chłopców na posyłki, ilu nam potrzeba, a jest lista oczekujących - powtórzyła cierpliwie.

- Ale ja mam wieloletnie doświadczenie. Wydawałem gazetę. Proszę tylko o jakąś pracę na początek. Nie chcę być redaktorem działu miejskiego.

- Niech pan posłucha, "Times" obiecał wszystkim chłopcom na posyłki, kiedy szli do wojska, że praca będzie na nich czekać, jak wrócą. Bogu wiadomo, że wrócili nie wszyscy, ale ci, co wrócili, pierwsi zostali zatrudnieni. Ponadto są zwolnieni z wojska absolwenci szkół dziennikarskich. Faktem jest, że mamy chłopców na posyłki, którzy uczyli się w szkołach dziennikarskich. Wielka szkoda, że nie ukończył pan studiów.

Potem oczywiście inni byli oficerowie...

- Pułkownicy piechoty morskiej?

- Mamy byłego generała, proszę pana, tylko jednego, ale prawdziwego.

- Sił Powietrznych?

- Skąd pan wie?

- To pasuje. Ci dranie. Przepraszam panią!

- Wpisać pana na listę oczekujących? - zaproponowała tłumiąc chichot.

- Nie mam czasu czekać. Ale dzięki i za to. - Kiedy wychodził z budynku "Timesa", Amberville minął grupkę ożywionych uczniów, którzy mieli zacząć zwiedzanie. Odwrócił się i po raz pierwszy w życiu kupił "Daily News".

Otworzył gazetę na stronie z ogłoszeniami o pracy.

Spółka Pięciogwiazdkowe Guziki świetnie prosperowała w czasie wojny, kiedy racjonowano metal, tkaniny i skórę, a guziki dało się robić z byle czego. “Zmień swoje guziki, zmień swój wygląd” - zachęcali i sprzedawali miliony guzików z piór, pomponów i cekinów. Robili znakomite guziki, tłumaczył Zachary'emu pan Nathan Landauer, guziki niezawodne, guziki, które nosiło się z dumą.

- Jestem tego pewien - odparł Zachary oglądając rozwieszane na ścianach kartony z przypiętymi do nich setkami wzorcowych guzików.

- Tyle tylko, że ta praca wydaje się trochę, no, nie całkiem taka, jakiej według mnie pan szukał - ciągnął Landauer podziwiając mundur pułkownika Sił Powietrznych Piechoty Morskiej, cztery rzędy odznaczeń i po żołniersku przystrzyżone włosy.

- To redagowanie pisma, prawda?

- Tak... jeśli organ spółki guzikarskiej nazwie pan “pismem”... szczerze mówiąc, nigdy tak o tym nie myślałem... po prostu uważałem to za dodatkową usługę dla naszych klientów, panie pułkowniku, i sposób na wyrobienie w naszych pracownikach poczucia przynależności do jednej wielkiej rodziny.

- Ale wydaje pan to co miesiąc, ma pan stałego drukarza w New Jersey, redakcję i sekretarkę na pół etatu, a pensja wynosi sześćdziesiąt pięć dolarów tygodniowo?

- I owszem.

- Chciałbym dostać tę pracę, proszę pana. Bardzo bym chciał.

- Ma ją pan, pułkowniku.

- Mów mi Zack. Wracam za godzinę. Muszę się tylko przebrać w coś wygodniejszego. Zmienić guziki, odmienić szczęście.

- Nathan Landauer popatrzył za nim tęsknie. Lepszych guzików nie widział od bardzo, bardzo dawna. Nathan junior, choć napawał go dumą, odsłużył trzy lata w marynarce, w stopniu zwykłego marynarza, i jeśli miał u munduru przyzwoity guzik, nigdy go nawet ojcu nie pokazał.

- Nat - zwrócił się Zachary Amberwille do Nathana Landauera juniora przy pastrami - czy nie chcesz dokonać w życiu czegoś więcej niż tylko produkować guziki, choć to ci zapewnia niezłe utrzymanie? Doskonałe utrzymanie.

- Cóż innego mogę robić? To rodzinny interes i tata się spodziewa, że za pięć lat, po jego przejściu na emeryturę, ja poprowadzę firmę. Ma mnie jednego, sam stworzył wszystko dosłownie od zera. To największa firma guzikarska na Siódmej alei. Wpadłem w potrzask, Zack. Nie mogę złamać mu serca. Dobry z niego facet.

- Wspaniały facet. Ale nie wpadłeś w potrzask. Jedną ręką możesz prowadzić interes, a drugą...

- Co drugą?
- Do spółki wydawać magazyn.
- Indianin mówi: "Nigdy nie inwestuj w show business".
- Co to ma do rzeczy?

- Nie widziałeś Rekordu Annie? Ethel Merman pyta wodza Siedzącego Byka, dlaczego jest taki bogaty, a on odpowiada: "Indianin nigdy nie inwestuje w show business"... Moim zdaniem magazyn to show business. Nie mam o tym pojęcia.

- Masz pojęcie o paskach? O kokardach? O galonach? O konikach i haftkach, i sztucznych kwiatach, zatraskach i wykończeniu szydełkowym, i...

- Nie można chodzić ulicą Czterdziestą Szóstą i nie wyrobić sobie jakiegoś wyobrażenia, Zack, wszystko to stanowi część Siódmej alei... odzież wymaga jeszcze czegoś oprócz guzików, nawet jeśli tata nie chce się z tym zgodzić. Taak, pewnie, że mam pojęcie, ale co z tego?

- Miesięcznik "Przybrania". Nowe czasopismo.
- Bynajmniej mnie nie olśniłeś. Nie jesteś Conde Nastem, mój przyjacielu.

- Mogłoby zaspokoić potrzeby. Tysiące producentów odzieży w tym kraju wyrabiają tysiące różnych części garderoby, a żaden nie wie, co jest nowego, co się dzieje, co z przybrań można dostać.

- Chyba jakoś sobie radzą mimo braku bieżącej informacji, nie zauważyłeś?

- Pewnie, i koło też nie było potrzebne, dopóki ktoś o nim nie pomyślał.

- Miesięcznik "Przybrania"... byłyby tam barwne zdjęcia ładnych dziewcząt w samych tylko trykotowych peruczkach na cipki?

- Nie, Nathanie juniorze, ty plugawy marynarzu. Byłyby informacje, ogłoszenia, sprawozdania z tego, co się dzieje na Siódmej alei, gdzie handluje się przybraniami, wzmianki o tym, czego używają projektanci w danym miesiącu, może nawet będą używać w następnym, relacje z Paryża, wiadomości o tym, jak prosperują różne spółki, kto zmienia pracę, kto awansuje, ogłoszenia i jeszcze raz ogłoszenia. Pismo czarno-białe, na papierze średniej jakości, żeby farba drukarska nie brudziła rąk, ale nie nazbyt wyszukane, z dużą, ładną fotografią twojego ojca na pierwszej okładce.

- W miarę jak słońce powoli zachodzi nad pięknym śródmiejskim centrum odzieżowym, zaczynam pojmować, czego chcesz, panie pułkowniku. A zawsze myślałem, że lubisz jeść lunch w mojej fascynującej kompanii.

- Byłbyś właścicielem połowy.

- Ile wyniósłby koszt?

- Według moich najbardziej optymistycznych szacunków potrzebowalibyśmy co najmniej piętnastu tysięcy dolarów, nim zaczęlibyśmy robić pieniądze. Chyba nie zebralibyśmy tylu

prenumeratorów, aby... och, przynajmniej przez pół roku nie byłoby zysków i oczywiście musiałbym zrezygnować z pracy w Pięciogwiazdkowych Guzikach, aby poświęcić czas na zdobywanie ogłoszeń i pisanie do magazynu, więc wliczyłem w to moje pobory.

- Jaką część tych piętnastu tysięcy dolarów byś zainwestował?

- Pomysł i moją pensję. Nie byłbym płatny, dopóki pismo nie przyniosłoby dochodu.

- Z czego byś żył?

- W twoim mieszkaniu jest mnóstwo miejsca, dwóch może jeść równie tanio jak jeden, dziewczęta chętnie płacą za siebie, a do pracy i tak chodzę na piechotę.

- Ja wyłożyłbym całą sumę?

- A któżby?

- Ty byłbyś redaktorem?

- A któżby?

- Chryste, wiem, że mnie łatwo ugadać... ale co ja będę z tego miał?

Prócz połowy nie istniejących zysków?

- Ty byłbyś wydawcą. Ma go każdy magazyn, Bóg wie dlaczego. I byłbyś właścicielem połowy pisma, kimś więcej niż producentem guzików. Gdybyś poznał nową dziewczynę, na pytanie, z czego się utrzymujesz, mógłbyś odpowiedzieć: "Jestem wydawcą, moja mała."

- A gdyby zapytała o tytuł pisma?

- Mógłbyś zrobić, co zechcesz... skłamać cokolwiek... a gdy wreszcie trafisz na dziewczynę, która cię naprawdę pokocha, będziesz mógł go zdradzić. Ale tytuł musi pozostać taki, Nat, musi mówić, co jest w środku, bo inaczej nikt tego nie kupi.

- "Playboy". Będę im mówił, że nazywa się "Playboy" - rzekł Nathan junior rozmarzony.

- To parszywy tytuł dla pisma, Nat, ale rób, jak uważasz. Chodźmy do twojego banku, póki jest otwarty.

Miesięcznik "Przybrania" wyszedł na czyste wody w ciągu czterech miesięcy i wkrótce Zack Amberville mógł sobie wypłacać sto dolarów pensji tygodniowo. Ponieważ nadal mieszkał u Nathana juniora, prawie wszystkie pieniądze wysyłał matce.

Minnie była na pierwszym roku college'u Dana Hall, a czternastoletni Cutter uczył się w Andover. Sara Amberville znalazła pracę w sklepie z upominkami i jej skromna pensja w połączeniu z zarobkami Zachary'ego pozwalała na posyłanie młodszych dzieci do najlepszych szkół, choć żadne z nich nie dostawało stypendium. Minnie miała szczęście, że się dostała do Dana Hall, ale była tak ładna, zabawna i wesoła, że nikomu nie szkodziły zdobywane przez nią z dużym wysiłkiem trójki. Cutter natomiast, rozgarnięty leń, wolał nie przykładać się do nauki, dokonał wyboru z zimną krwią, bo zbyt inteligentnym chłopcom groziła niepopularność, a jemu nade

wszystko zależało na popularności.

Cutter Dale Amberville już w kolebce zdradzał podobieństwo do Andersonów.

Szybko wyrósł na wysokiego, bardzo jasnego blondyna, ze szwedzkimi niebieskimi oczami swoich przodków, na przystojnego młodzieńca, którego zżerał zły, paskudny robak. Gardził życiem na granicy ubóstwa. Jak daleko sięgał pamięcią, zawsze wiedział, że jest jednym z biednych Cutterów, biednych Andersonów, biednych Dale'ów i biednych Amberville'ów w małej społeczności, gdzie te cztery rodziny były ze sobą w jakimś stopniu spokrewnione i gdzie różnice zamożności ściśle obliczano i pomijano milczeniem.

Cutter z góry patrzył na obrany przez ojca zawód. Kto by wkładał serce w gazetę najwyraźniej niedochodową? Co za człowiek dokonałby takiego wyboru?

Brak szacunku dla ojca był jednak niczym w porównaniu z absolutnym wstrętem, jaki czuł do brata, ilekroć musiał sobie uświadomić, że Zachary go utrzymuje. Ale przekonanie o własnej niezwykłości nie pozwalało mu szukać pracy. Nie dopuszczał myśli, że będąc spokrewniony ze wszystkimi najlepszymi rodzinami w mieście mógłby im dostarczać artykuły spożywcze albo stać za ladą i nalewać wodę sodową. Matka zresztą niczego takiego nie sugerowała, nie chciała bowiem, aby brał na swoje barki ten sam ciężar co Zachary.

Sara Amberville nigdy nie podejrzewała, co Cutter czuje w stosunku do brata, nie wiedziała, że Zachary zawsze wydawał się jej najmłodszemu dziecku obrzydliwie, strasznie wszechmocny. Cutter żywił dla Zachary'ego pogardę z domieszką bezpodstawnej trwogi. Ilekroć Zachary znalazł czas, wpadał do spokojnego domu niczym gwałtowny, nieznośny, potencjalnie niebezpieczny wichur i wypełniał go swą hałaśliwą, roześmianą, nieokrzesaną obecnością, natychmiast skupiał na sobie całą uwagę matki i ojca. Cutter nie wątpił, że rodzice, dumni z tego niemal obcego, głośnego, zuchwałego, śmiałego brata, który nie mieszkał w domu, odkąd on, Cutter, skończył pięć lat, zapominają o jego istnieniu i zupełnie się nim nie interesują.

Rozgoryczony wciąż powracał do kilku wspomnień z dzieciństwa, powtarzał je jak zdrowaśki w różańcu. Swego czasu, kiedy miał osiem lat, grał główną rolę w szkolnym przedstawieniu, ale rodzice myśleli tylko o tym, że jego brat poszedł na wojnę. Przez następne cztery lata, choć zdobył wielką popularność w szkole, choć został tenisowym mistrzem juniorów stanu Massachusetts, rodzice ustawicznie czekali, każdej minuty, każdego dnia wyczekiwali wiadomości od drugiego syna, bohatera wojennego, pilota. A kiedy wojna wreszcie się skończyła, czyż matka w końcu zwróciła się do niego? Nie. Nigdy. Ani razu. Czy kilkunastoletni chłopak mógł przynieść do domu i pokazać matce coś, co dałoby się porównać z listem Zachary'ego, który donosił o nowym piśmie, jakie wydaje w Nowym Jorku? Z egzemplarzem tego pisma?

Cutter Amberville, nieodmiennie przeświadczony, że Zachary zagarnął dla siebie wszystko, co mieć warto, stał się skryty i zgorzkniały i nie dawał rodzicom szansy włączenia się w jego życie.

Wiedział, iż ciężki, wszechwładny cień brata pozbawił go należnej mu miłości i uwagi. Zepchnięto go na bok, na margines życia rodziców, a szczodrość braterską traktował jak rzucane psu kości. Im więcej dawał Zachary, tym więcej Cutter mu zawdzięczał, a im więcej Cutter zawdzięczał bratu, tym bardziej go nienawidził, to uczucie zaś, namiętne i stałe, zrodzone z młodzieńczej, niewypowiedzianej zawiści, było silniejsze od miłości.

W Andover Cutter możliwie mało mówił o swojej rodzinie. Na pewno nie zamierzał się przyznać, że za szkołę płaci pracująca matka i brat, redaktor czasopisma, którego tytuł budził w nim wstyd. Skoncentrował się na szukaniu popularności, a za narzędzie miało mu służyć pochlebstwo. Nauczył się zadawać te chytne pytania ukazujące innych chłopców w jak najlepszym świetle, a w wieku, kiedy regułą są egocentryczne przechwałki, poznał, co może osoba gotowa słuchać i podziwiać. Robak toczący serce był jego nauczycielem. Cutter wybijał się w sportach, lecz z rozmysłem uczył się średnio. Wkrótce został skończonym dworakiem, który zabiegał o względy kolegów wyłącznie z bogatych i wpływowych rodzin. Odznaczał się urodą, wielką wrodzoną dystynkcją i siłą. Jego dobrze ostrzyżone włosy porastały długą, mocno sklepioną czaszkę; niebieskie oczy potrafiły przykuć wzrok innych ludzi wyrazem powagi i szczerości. Nauczył się też nie posługiwać za często tym wyćwiczonym uśmiechem, na pozór tak uroczo naturalnym.

Zachary szczyił się tym poważnym, imponującym nastolatkiem, choć dziwnie mało miał mu do powiedzenia, kiedy się spotykali, zresztą z rzadka, bo młody Cutter Amberville wszystkie ferie i weekendy spędzał teraz w domach, gdzie uchodził za bardzo mile widzianego gościa.

W jesienny poniedziałek 1948 roku Nathan Landauer junior wszedł do wynajętej przez Zachary'ego redakcji z trwożną radością i głębokim zażenowaniem, które malowały się na jego sympatycznej twarzy.

- Poznałem dziewczynę, Zack - wymamrotał. - W sobotę na meczu futbolowym.

Była z facetem, który zna twoją rodzinę z Andover, ale jej na nim nie zależy, więc go namówiłem, żeby się ulotnił.

- W Nowym Jorku jest milion dziewcząt, a ty znasz połowę... Co ona w sobie ma wyjątkowego? - spytał Zachary kładąc nogi na biurku.

- Wszystko. Jest świetna. Podałem jej nawet tytuł pisma, to znaczy prawdziwy tytuł.

- I nie pękła z upokarzającego śmiechu?

- Nie, właściwie nie. Uznała to za bardzo ciekawe, nie tylko ciekawe, lecz także dziwne, zważywszy że ja jestem wydawcą "Przybrań", ty redaktorem, a ona mnie nie zna. Powiedziała, że to twoja celowa robota.

Czyżby, Zack? Nawiasem mówiąc, dlaczego mnie nie przedstawiłeś?

- Komu?

- Minnie.

- Minnie? Jakiej Minnie?

- Twojej siostrze Minnie. Najpiękniejszej, najcudowniejszej, naj... dlaczego mi nigdy o niej nie wspomniałeś? Miałem się za twojego najlepszego przyjaciela.

- To mi nie przyszło do głowy. Jest jeszcze dzieckiem... ma osiemnaście lat... a ty jesteś byłym marynarzem o brudnej wyobraźni, któremu chodzi tylko o to, żeby się z dziewczyną przespać.

- Jestem byłym marynarzem o wyobraźni już nie brudnej. Zawróciłem ze złej drogi. Posłuchaj, Zack. Odkup moją połowę "Przybrań". Właściwie oddam ci ją za darmo.

- Czyś ty oszalał? Dlaczego miałbyś ją sprzedać? Zarabiamy na tym cholerną kupę forsy dzięki ogłoszeniom, nowej prenumeracie i niskim kosztom produkcji.

- Wiem, ale nie lubię robić interesów z rodziną... w ten klasyczny sposób traci się przyjaciół.

- Z rodziną? Wolnego. Czy nie za dużo sobie wyobrażasz? Minnie nie ma tu już nic do powiedzenia?

- Po meczu poszliśmy na drinka. Po drinku na obiad. Przy obiedzie postanowiliśmy się pobrać. Za dwa tygodnie zostaniesz moim szwagrem. - Nathan junior wyglądał na swoje dwadzieścia pięć lat, kiedy wkraczał w wiek męski.

- Mój Boże, mówisz serio, marynarzu Landauer?

- Pewne rzeczy wie się od razu. Ja od razu wiedziałem o Minnie, a ona o mnie. Taka korzyść płynie z moich doświadczeń.

- Jesteście dla siebie wprost stworzeni. Minnie nigdy nie brakło doświadczenia. - Zachary wstał i serdecznie uściśnął byłego współnika. - Ile chcesz za swoją połowę?

- Zapłać mi, ile uznasz za uczciwe. Pożyczę ci pieniądze.

- Miłość z każdego robi frajera - krzyknął Zack i zatańczył z Natem walca dokoła pokoju. - Gratulacje, frajerze!

Posiadanie magazynu, fakt, że stał się jego jedynym właścicielem, wyzwoliło w Zacharym wszystkie ambicje, jakich dotychczas nie bardzo śmiał żywić. Kryzys naznaczył go bardziej, niż to sobie uświadamiał, a pewna wrodzona ostrożność zawsze trzymała na wodzy przemożne pragnienie, aby tworzyć, ryzykować, rządzić.

Wkrótce po ślubie swej siostry Minnie zaczął wydawać drugie pismo, "Styl". Z tego wszystkiego, czego się dowiedział o przemyśle odzieżowym i magazynach mody, wywnioskował, że jest miejsce na periodyk dla kobiet, których nie stać na rzeczy lansowane przez "Vogue" i "Harper's Bazaar", które są w sposób oczywisty za stare na "Mademoiselle", a zbyt wyrafinowane na "Glamour", z rumianymi modelkami prosto z college'u.

Zwrócił się do banków o pieniądze na "Styl" i otrzymał pożyczki na podstawie bilansu miesięcznika "Przybrania". Późne lata czterdzieste i wczesne pięćdziesiąte były dobre dla wydawców, bo w okresie powojennej koniunktury Amerykanie, spragnieni dóbr materialnych, kupowali czasopisma z równą zachłannością jak nowe samochody.

"Styl" przynosił zyski niemal od pierwszego numeru. Zachary Amberville posiadał bezcenny dar odkrywania i lansowania nowych talentów, "Styl" zaś swój natychmiastowy sukces w dużej mierze zawdzięczał zdolnościom nieznanego ilustratora, Pavki Mayera, którego Zack zaangażował najpierw jako rysownika wykonującego czarno-białe szkice dla "Przybrań".

Osiemnastoletni Pavka przybył do Stanów w roku 1936 z Berlina, gdy jego rodzina podjęła mądrą decyzję wyjazdu z Niemiec. Wojnę spędził w wojsku, w dniu desantu wylądował na plaży Utah, w oficjalnym charakterze tłumacza, a nieoficjalnym, w miarę jak armia przedzierała się do Paryża, dostawcy mleka, jabłecznika i świeżego mięsa w zamian za koce, mydło i cukier.

Niekiedy nawet jakiś jeep znikał na trasie handlowej Pavki.

- Weź się za to, Pavka - powiedział Zachary Amberville drobnemu, eleganckiemu mężczyźnie, starszemu od siebie zaledwie o pięć lat. - Wykorzystaj, jakich chcesz fotografików, modelki, papier, drukarzy.

Konkurencja jest zbyt silna. Nie możemy oszczędzać, musimy po prostu dać czytelnikowi więcej niż ktokolwiek inny.

Pavka ściśle współpracował z redaktorką działu mody, jeszcze jedną nieznaną osobą nazwiskiem Zelda Powers. Zachary wytropił ją u Normana Norella - bo nawet wielki Norell nie mógł projektować bez guzików - i natychmiast docenił jej ekscentryczny, błyskotliwy, niepowtarzalny styl.

Pochodziła z Chicago, namiętnie interesowała się modą, gotowa robić wszystko, byle być blisko produkcji odzieży.

- Słuchaj, Zelda - powiedział jej Zachary. - Nie masz pojęcia o redagowaniu magazynu mody. Dlatego chcę cię zaangażować. Daj mi takie pismo, jakiego nikt jeszcze nie wydawał. Takie, jakie sama chciałabyś czytać. Żadnych naśladownictw... coś absolutnie oryginalnego. Rób, cokolwiek zechcesz, byleby ci, co dają ogłoszenia, byli zadowoleni, i bylebyś jak najrzadziej pokazywała ich odzież. Pamiętaj, kim są twoi czytelnicy... daj im marzenia, na które ich stać, ale zrób to po swojemu.

Zdaniem obserwatorów tylko dzięki Pavce i Zeldzie "Styl" nieoczekiwanie pojawił się jako licząca się siła. Ale znajomi Zachary'ego Amberville'a wiedzieli swoje.

W roku 1951 Zachary zarobił piąty milion. Pierwszy przyniosły mu "Przybrania" i "Styl", następne "Styl", a zwłaszcza "Siedem Dni". Ten tygodnik wydawał od 1950 roku w dużym

formacie, z fotografiami takimi jak "Life" i "Look". Osobiście badał nawyki czytelnicze Amerykanek i doszedł do wniosku, że nie ma kobiety tak wzniosłej, aby po kryjomu nie czytywała magazynów filmowych, jeśli miała pewność, że nikt jej na tym nie przyłapie.

Rozumiał urok rubryk towarzyskich i znaczenie mężczyzn w rodzaju Waltera Winchella, wprowadzających czytelnika za kulisy. Wiedział, że takie rubryki zawsze będą w każdej gazecie, choćby część ludzi nad tym ubolewała.

Przeciętny, czyli prawie każdy człowiek chciał wiedzieć o osobach nieprzeciętnych, chciał wiedzieć o nich wszystko, mówił sobie Zachary przemierzając ulice Manhattanu. Oczywiście wyobraźni widział duży lśniący tygodnik z mnóstwem barwnych fotografii; nie przeładowany tekstem, listami i artykułami wstępnymi, nie zainteresowany farmerami, futbolem czy Środkową Ameryką, nie zatroskany o resztę świata i jego niedole, nie lekko prawicowy jak "Life" czy lekko lewicowy jak "Look", lecz całkowicie apolityczny i zdecydowanie niepoważny. Opowiadający o minionych siedmiu dniach w życiu ludzi, których otacza blask, podniecenie i sława, opowiadający czytelnikom amerykańskim inaczej niż dotąd, bez cienia szacunku, bez zachowywania tajemnic, jeśli to nie groziło procesem o zniesławienie, szargający świętości, a mimo to świadomy, że gwiazdy filmowe i członkowie rodzin królewskich są ciekawszy od reszty śmiertelników, choć Stany Zjednoczone to demokracja. Zwłaszcza dlatego, że to demokracja.

Zachary zaangażował tylu najlepszych pisarzy, ilu się dało, do pisania artykułków towarzyszących licznym zdjęciom.

- Nie ma to być literatura - powiedział im - tylko pierwszorzędna, pasjonująca lektura. I macie się nie bać... jak może zauważyliście, nie jesteśmy narodem intelektualistów. Wielka szkoda, ale fakt pozostaje faktem. Chcę, żeby to było fascynujące, świeże i napisane na wczoraj.

Dyrektorem artystycznym "Siedmiu Dni" został Pavka Mayer i zrobił z tego coś tak piekielnie eleganckiego, że czytelnicy nie dostrzegali, jakie jest przyziemne. Najlepsi na świecie fotograficy z zachwytem gnali na wsze strony, opłacani lepiej niż przez "Life" czy jego europejskiego rywala "Paris Match". "Siedem Dni" stało się szalonym, łatwym, klasycznym przebojem i niemal w ciągu jednej nocy weszło narodowi w nałóg.

Pod koniec 1951 roku Zachary Amberville postanowił się wybrać do Londynu.

Pracował zbyt ciężko i kolejno omijała go przyjemność angażowania szefów biur europejskich, obserwowania, jak stawiają pierwsze kroki.

Najważniejszym z zagranicznych biur było biuro londyńskie, z wyjątkiem paryskiego biura "Stylu", toteż w Londynie postanowił zatrzymać się najpierw. Jego sekretarka uznała za niezły pomysł wykorzystanie pobytu w Anglii na ostrzyżenie się i uszycie paru garniturów.

- To nawet nie sugestia, złotko.

- Wcale nie miała nią być, proszę pana. Na pańskim stanowisku nie wypada tak wyglądać. Nie ma pan jeszcze trzydziestki i przy odrobinie starania byłby pan bardzo przystojnym mężczyzną - z determinacją stwierdziła panna Briny.

- Jestem czysty, prawda? Moja koszula także. Nawet buty mam wyczyszczone.

Więc o co chodzi?

- Każda sekretarka tylko tak się wyróżnia jak jej szef. Pan podważa moją pozycję w Śniadaniowym Klubie Sekretarek. Szef każdej innej szyje na zamówienie garnitury na Savile Row, strzyże się w St. Regis przynajmniej co dziesięć dni, buty staluje u Lobba, a pan... pan nawet nie chodzi do Barneya - stwierdziła z przekąsem. - Nie należy pan do żadnego ekskluzywnego klubu, zjada pan kanapkę przy biurku zamiast bywać w najlepszych restauracjach, nigdy nie fotografuje się pan w nocnych lokalach z pięknymi dziewczynami... nie wiem, jak mam pana tłumaczyć.

- Mówiłaś im kiedy, ile zarabiasz?

- Mężczyzna nie staje się szykowny dzięki temu, że przepłaca sekretarkę - prychnęła panna Briny.

- Pomyliły ci się wartości, złotko. Ale pomyślę o tym strzyżeniu.

Zachary nie chciał się usprawiedliwiać sekretarce ze swego życia prywatnego. To nie jej interes. Według niego towarzyskie zajęcia znanego w mieście kawalera polegały na nieróbstwie. Nie miał na nie czasu ani go nie interesowały. Znał sporo kobiet, diablo atrakcyjnych, ale jakoś dotąd się nie zakochał. Zbyt egoizm? Nadmierne zaabsorbowanie czasopismami? Za wielki cynizm? Nie, po co się oszukiwać, cholerny romantyzm. Podświadomie wymarzył sobie dziewczynę, a jeśli to nie było staroświeckie, to cóż?

Łagodną, czystą, pełną ideałów: typ rzadki na Manhattanie. Tak nierzeczywistą, jak piękną i pewnego dnia przegna ją z myśli, zadowoli się wspaniałą, rozsądną babką obdarzoną poczuciem humoru. Potrzebował żony, choćby tylko po to, aby go broniła przed sekretarką.

4.

Nikt w arystokratycznej rodzinie nie mógł sobie rościć pretensji do tego, że rozumie hrabiankę Lily Davinę Adamsfield. Wszystkich jednak napawała dumą jak rzadki portret Leonarda da Vinci, ze czcią przekazywany z pokolenia na pokolenie skarb rodzinny. Była jedynym dzieckiem dziesiętnastego baroneta i drugiego wicehrabiego Evelyn Gilberta Basila Adamsfielda i wicehrabiny Maxime Emmy Adamsfield, z domu hrabianki Maxime Emmy Hazel. Liczni jej krewni obojga płci, bezwzględnie uczciwi, zdrowi, tacy jak trzeba, robili to, czego po nich oczekiwano. Zarządzali rodowymi majątkami, polowali, łowili ryby, kolekcjonowali, zajmowali się ogrodami i działalnością dobroczynną, zawierali małżeństwa z odpowiednimi młodszymi przedstawicielami własnego świata i płodzili odpowiednie, zadowolające potomstwo.

Och, ale Lily! Jak tyle jej przyjaciółek zaczęła w wieku lat czterech uczyć się tańca. Szkoła panny Vacani była i jest właściwą instytucją, do której zgodnie ze zwyczajem posyła się małe arystokratki i młodsze dziewczynki z rodziny królewskiej na lekcje walca i polki. Przechodzą przez nią niemal wszystkie, tak jak się uczą konnej jazdy. Lecz Lily, jako jedna z bardzo niewielu, z garstki wytrwałych, których liczby nie można przewidzieć, od pierwszej chwili została całkowicie opętana przez balet.

Rodzice stwierdzili z czasem, częstokroć pełni żalu, że nie potrafią ugasić tej namiętności.

Jako ośmioletnia dziewczynka Lily przeszła próby w Królewskiej Szkole Baletowej i uczęszczała do niej trzy razy w tygodniu, po lekcjach. Uczepiła się baletu, jakby to było powołanie, jak nawiedzona.

- Gdybyśmy byli katolikami - powiedziała jej matka do ojca - ta dziewczyna liczyłaby dni do włożenia habitu.

- Na pewno nie jest gadułą - utyskiwał ojciec. - Można by sądzić, że już złożyła śluby milczenia.

- Nie, mój drogi, to niezupełnie sprawiedliwe. Po prostu Lily z trudem wyraża myśli... nigdy nie przychodziło jej to z łatwością. Może dlatego taniec jest dla niej tak ważny - odparła uspokajająco lady Maxime.

Jedenastoletnią Lily przyjęto po próbach do Średniej Królewskiej Szkoły Baletowej, gdzie mogła się uczyć innych przedmiotów i tańca. Całkowicie pochłonięta pracą, ganiając z koleżankami z jednej lekcji na drugą, nie przejmowała się koniecznością zrezygnowania z wszystkich zajęć, jakim tradycyjnie poświęcają się inne dziewczęta z jej sfery. Kontakty utrzymywała wyłącznie z rodzicami, nauczycielami i koleżankami, a nawet te ograniczały się do niezbędnego minimum. Lily chodziła do szkoły nie po to, aby zawierać przyjaźnie z rywalkami, bo już mając lat osiem prawie jak osoba dorosła rozumiała istotę zacieklej rywalizacji w świecie baletu, ciągłej rywalizacji, której

kresem jest dopiero ostateczne przejście tancerki na emeryturę.

Przez całe lata najbardziej się bała, że może nadmiernie wyrosnąć. Pięć stóp i siedem albo siedem i pół cala wzrostu, nie daj Boże pięć stóp i osiem cali, przekreśliłoby jej przyszłość. W rozmowach z koleżankami obsesyjnie powracał temat wzrostu i drugiego wielkiego niebezpieczeństwa, że może “doznać obrażeń”. Z tą straszną, stałą możliwością wszystkie musiały się wciąż liczyć.

Kiedy ukończyła szkołę średnią, nauczyciele zgodzili się, że jest na tyle obiecująca, aby jeszcze przez rok uczyć się w szkole prowadzonej przez sir Charlesa Forsythe'a, wielkiego tancerza i nauczyciela, ukształtowanego przez Anthony'ego Tudora i Fredericka Astona. Przez ten dodatkowy rok ćwiczeń nabierze ostatecznych umiejętności, które pozwolą jej zwycięsko przejść próby w jednym z wielkich zespołów baletowych.

Lily Adamsfield wyrosła na dziewczynę wyjątkowej urody, o szaroniebieskozielonych oczach zmiennych jak opale: księżycowych oczach, których nigdy nie podziwiała w lustrze. Istniały jedynie po to, aby je powiększać stylizowanym czarnym makijażem przed wyjściem na scenę. Śliczne ręce o długich palcach miały tylko przedłużać te omdlewające, słabe gesty, które wymagają siły robotnika portowego, aby wyglądać naturalnie. Miała drobne piersi, szerokie, dobrze zarysowane ramiona, ręce i nogi prawie za długie w stosunku do tułowia, lecz idealnie spełniające wymogi baletu; żadnej ociężałości czy tłuszczu, proste plecy, wyjątkowo wdzięczną szyję; ciało stworzone wyłącznie do tańca. Jej bose stopy po zdjęciu baletek sprawiały wrażenie tysiącletnich.

Lily nigdy się nie zastanawiała, że traci przyjemność posiadania wielbicieli, gdyż myślała wyłącznie o partnerach; jedyne kryterium ich oceny stanowiły podskoki, liczba skoków i pewność, z jaką chwyтали ją w talii, unosząc w górę. Miewała sporadyczne kontakty z chłopcami z własnej sfery, ale rozmowa z nimi sprawiała jej trudność. Po wyjściu z klasztornej sfery baletu mówiła głosem, mimo całej swej srebrzystej słodczy, drżącym, wręcz nieśmiałym.

Nie miała pojęcia, w co się ubrać, jeśli nie były to ukochane, znoszone rajstopy, trykoty i swetry, w których ćwiczyła podobna do ruchomego tobołka ze szmatami. Całą odzież wybierała dla niej wicehrabina Adamsfield, kobieta o wyrobionym smaku. Lily nie miała talentu do konwersacji, praktyki w przekomarzaniu, nie znała się na sporcie, filmach, nowych samochodach czy koniach. Każdy jej rówieśnik, któremu spodobała się ta uroda wschodzącego księżyca, prędko dawał za wygraną, gdyż nie potrafił wzbudzić jej zainteresowania czy choćby uwagi, i odchodził w poszukiwaniu dziewczyny bardziej ożywionej.

Mimo to rodzice i liczni krewniacy Lily nie martwili się o wyhodowanego przez siebie dziwnego łabędzia. Lily jest cudownie inna, cóż więc szkodzi, że w młodości nie odniesie szybkiego towarzyskiego sukcesu? Zostanie z czasem przedstawiona na dworze. Oczywiście wykona przepisowy dyg, zostanie sfotografowana przez Lenare'a, wkroczy w świat dorosłych. Lily

jednak nie pozwoliła sobie na debiut, na przyjęcie, na sezon. Nie miała czasu na te rytuały, bo pisana jej była sława. Zaiste wszyscy znajomi wiedzieli, że córka Adamsfieldów zostanie drugą Margot Fonteyn. Kochająca rodzina tak wierzyła w przyszłość Lily jak ona sama.

Nie poczytywała sobie za zasługę, że urodziła się z takim ciałem, wiedziała natomiast, że bez ślepej gotowości do podjęcia prawie nieznośnej harówki, bez niezłomnej determinacji samo ciało tancerki nic by nie znaczyło. Mięśnie, ścięgna i stawy, długość rąk i nóg to szczęśliwy przypadek. Aby jednak zostać primabaleriną, nie wystarcza samo ciało, potrzeba czegoś jeszcze, czegoś więcej niż talent, czegoś w duszy, a czymkolwiek by było, wiedziała, że to ma.

Na widok tej nieśmiałej, nie umalowanej dziewczyny, z długimi blond włosami niedbale opadającymi na twarz, z wahaniem wchodzącej do pokoju, unikającej rozmowy, poruszającej się z naturalnym, olbrzymim wdziękiem, patrzącej parę metrów przed siebie, nikt by się nie domyślił, że zżera ją ciągła ambicja. Była szalenie, fałszywie dumna i nosiła w sobie tę silną roślinę dumy ukrytą tak dobrze jak świeżo poczęte dziecko.

- To wyjątkowo utalentowana artystka - mówił znajomy głos. - Z pewnością przyjmą ją do Królewskiego.

Wychodząca ze szkoły i już spóźniona na obiad Lily zawahała się w korytarzu. Sir Charles rozmawiał z kimś za współprzymkniętymi drzwiami. Któż taki, zadała sobie w udreće pytanie, która z jej koleżanek, z jej rywalek, tak łatwo dostałaby się do Baletu Królewskiego? W minionym roku otrzymała lwią część głównych ról kobiecych, ale widocznie musi mieć rywalkę. Jane Broadhurst? Anitę Hamilton? Czy są dość dobre, aby występować w Covent Garden? Obie sprawne, ale czy aż tak dobre? Stała bez ruchu i czekała na ciąg dalszy.

- Mogłaby też spróbować w innych zespołach... nawet w balecie nowojorskim. - Lily zacisnęła pięści. Ten drugi głos należał do jej nauczycielki baletu, Almy Grey. - Albo może w Kopenhadze... potrzebują nowych tancerek, odkąd Laurę i tamte dwie zwabiono do Nowego Jorku.

Królewski i Duński? - powtórzyła z niedowierzaniem Lily. To wprost niemożliwe. Nikomu prócz niej nie mogło przypaść tak dobre miejsce.

- Owszem, moja droga - kategorycznie stwierdził sir Charles. - Najlepsze zespoły na świecie rzucają się na Lily. Piętnaście lat temu, nawet dziesięć, powiedziałbym, że jest może za wysoka, ale teraz te pięć stóp i siedem cali to żadna przeszkoda, skoro przestała rosnąć. Żałuję, że jest aż taka dobra...

- Ach - westchnęła nauczycielka baletu - serce się kraje... kiedy ktoś jest tak bliski, tak bardzo bliski. W tym roku prawie... tak, Charles... prawie przełamała tę barierę. Mówię ci, że chwilami modliłam się za nią patrząc, a potem... nie, powiedziałam sobie, nie, to się po prostu nie stanie. Jest taka piękna, pod względem technicznym niczego jej nie brakuje.

A jednak... jakoś... to coś, czego nie potrafimy nazwać, a co publiczność natychmiast poznaje, co ją podrywa z miejsc, tego czegoś najzwyczajniej nie ma.

- Często uważałem to za kwestię poniekąd osobowości - mówił sir Charles w zadumie.

- Ja nie próbuję tego analizować. Wolę nazywać to magią - odparła Alma Grey.

- Może tańczyć wszystkie drugie role w każdym najlepszym zespole międzynarodowym - rozsądnie zawyrokował sir Charles - i główne role w gorszych zespołach.

- Primabalerina? Nie zgadzam się. Lily nigdy nie będzie primabaleriną.

Mój drogi Charlesie, musisz przyznać, że primabalerin prawie nie ma - ostro stwierdziła Alma Grey.

- Są bezsporne primabaleriny i większe primabaleriny, zwane czasem "Assoluta" na pociechę, gdy się zestarzeją, ale to są chyba pobożne życzenia... Nie ma czegoś takiego jak "prawie" primabalerina... z czym niechętnie muszę się zgodzić.

- Dziwny zawód, Charles, kiedy się człowiek nad tym zastanowi. Często myślę, że to coś nienaturalnego i strasznie niesprawiedliwego. Choć uczymy z takim wysiłkiem, choć one tak ciężko pracują, nikt nie może naprawdę być pewien, dopóki już nie poświęci młodości... och, naturalnie są wyjątki, osoby, o których wie się natychmiast. Lily jednak nigdy do nich nie należała.

- A ileż ich w życiu widziałaś, moja droga?

- Tylko cztery, Charles, wiesz doskonale. Czekam na piątą. Zawsze kiedyś pojawi się następna.

- Może w przyszłym roku? A może jeszcze za rok?

- Można żywić nadzieję.

Zazdrość, myślała Lily, gdy na oślep wybiegła na ulicę i o mało nie wpadła pod taksówkę. Starcy, obrzydliwi starcy, zasuszeni, podli, godni pożałowania, ciemni, a nade wszystko zazdrośni, po świńsku zazdroszczą jej młodości, talentu, tego talentu, którego żadne z nich nigdy nie miało, dwoje starców bredzi o czymś, czego, jak przyznają, nawet nie potrafią określić, wylewa niby to krokodyle łzy, zachłystuje się, pozwala sobie na wydawanie o niej sądów, z takim przejęciem mówi, że nie jest dość dobra, a jednocześnie musi przyznać, dosłownie musi przyznać, że chciałby ją mieć każdy zespół baletowy na świecie.

Zazdrość. Zna zazdrość, odkąd zaczęła tańczyć, wściekała się Lily, jak najszybciej idąc do domu. Poznawała zazdrość koleżanek, ilekroć ją wyróżniano, chwalono, dawano jej główną rolę. Zazdrość oznaczała, że ona jest najlepsza, była czymś nieomylnym, jedynym uczuciem nie do ukrycia, jedynym hołdem, który rozpraszał wszelkie wątpliwości. Zazdrość była jej sprzymierzeńcem. Lecz obrzydzeniem napełniało ją odkrycie, że nawet sir Charles i Alma Grey nie są wolni od zazdrości... oni mieli rzekomo być nauczycielami, wskazywać drogę, troszczyć się i nie

wdawać w rywalizację; mieli być ponad to, ale widocznie tego nie można po człowieku oczekiwać.

Zejdą do grobu pełni zawiści, pomarszczeni, wymizerowani, zasuszeni z zazdrości, bo czymże może to być? Zemdliło ją na myśl o nich, prawie by ich żałowała, gdyby nie budzili takiego absolutnego wstępu. Przyśpieszyła kroku, nieomal pobiegła, usiłując przegnać z myśli podsłuchane słowa. Po co tracić choćby jeszcze jedną minutę na zastanawianie się nad czymś, co przecież nie może być prawdą? Szła z wysoko podniesioną głową, wyprostowana, krokiem primabaleriny, najpiękniejszym, na jaki stać ludzkie ciało.

- Co tak późno, Lily? Czy wszystko w porządku? - zawołała lady Maxime z salonu.

- Oczywiście, mam. Przepraszam, że musieliście czekać... jedną minutkę.

Do diabła z panną Briny, myślał Zachary Amberville, powinien albo zabrać ją ze sobą, albo nie słuchać jej krawieckich uwag. Stał bez marynarki przed masywnym stołem zawalonym osuwającymi się wciąż belami najpiękniejszych jedwabi i bawełn na świecie, gładkich, w paski, w duże i małe kraty, oszalałymi materiałami koszulowymi. Dział zamówień u Turnbulla i Assera nie był miejscem dla mężczyzny, który nie cierpi zakupów, a przede wszystkim nie ma wyrobionego poglądu na to, czego szuka. Po godzinie doradzania i drapowania różnych tkanin na ramionach Zachary'ego grzeczny młody sprzedawca wreszcie zostawił go samego, aby się zastanowił nad wyborem. Przyniósł dziesiątki mniejszych próbek w małych książeczkach, ale im większy był wybór, tym trudniejsza decyzja.

Jasnoniebieskie? To wydawało się jedynie rozsądne i bezpieczne, lecz Zachary nie chciał się ograniczyć do zamówienia koszul w tym samym kolorze, w jakim od lat je kupował. Nie mógł też wynieść się po cichu, skoro zajął sprzedawcy tyle czasu. Zaczął zdecydowanie eliminować materiały w jego wyobrażeniu nieodpowiednie i te bele odkładał na bok. O jednym się przekonał w ten sobotni ranek, a mianowicie, że Brytyjczycy wysoko cenią krzykliwe materiały koszulowe. Nigdy nie widział tylu jaskrawych pasków, śmiałych kratek i krat tak wyzywających, że tylko gangster mógłby je brać pod uwagę.

Zaabsorbowany, zdeterminowany, zdecydował się w końcu na cztery możliwe materiały i tak jak mu to pokazał sprzedawca, owinał się nimi. Przeglądał się w lustrze i skonsternowany kręcił głową. W małym, słabo oświetlonym pokoiku wszystkie wybrane przez niego materiały w spokojne prążki wydawały się niemal identyczne. Wyglądał, jakby miał na sobie namiot beduiński.

- Przepraszam, czy mógłbym prosić o radę - zwrócił się do kobiety, którą od pewnego czasu kątem oka dostrzegał na małej kanapce, gdzie czekała na starszego mężczyznę konferującego z jego sprzedawcą.

- Słucham? - spytała zaskoczona, jakby wyrwana ze snu.

- Rada. Potrzebna mi rada kobiety. Czy zechciałaby pani wstać i popatrzeć? Proszę

powiedzieć, co pani sądzi o tych paskach. Niech pani nie będzie grzeczna... jeśli się nie podobają, proszę mówić szczerze.

Podszedłbym bliżej, ale nie chcę wlec materiałów po podłodze. Jestem zakotwiczony przy tym stole, a sprzedawca przestał się mną interesować.

- Wezwę go tutaj.

- Proszę się nie kłopotać, postawił na mnie krzyżyk. Potrzebne mi świeże oko.

Lily Adamsfield wstała niechętnie i podeszła do niego. Dziwne maniery, ale czego można się spodziewać po Amerykaninie?

U licha, jest strasznie młoda. Cóż, to nie będzie miało znaczenia, pomyślał Zachary w przypływie absolutnej pewności. Zakochał się w Lily od pierwszego wejrzenia, zakochał się w jej owalnej twarzy okolonej prostymi pasmami gęstych jasnych włosów, zakochał się w oczach, w ich szarej głębi rozjaśnionej błyskami jak zasnute mgłą morze, w ustach pełnych słodczy, ze śladem rozkosznego smutku, który należało scałować. Zakochał się raz na zawsze. Oto jego dziewczyna. I taka wrażliwa. Gdyby wiedział, że wymarzona dziewczyna naprawdę istnieje, dawno by po nią przyjechał. Pozwolił opaść na ziemię materiałom i ujął dłoń Lily.

- A teraz pójdziemy na lunch - powiedział.

Ledwie osiemnastoletnia hrabianka Lily Davina Adamsfield, królowa nimf w sukni od Normana Hartnella, uszytej z bezcennych koronek, i Zachary Anderson Amberville pobrali się w miesiąc później, w styczniu 1952 roku, z błogosławieństwem oszołomionych wicehrabiostwa Adamsfield. Ślub u świętej Małgorzaty w Westminster odbył się w obecności czterystu pięćdziesięciu osób, włącznie z niedawno koronowaną królową Elżbietą i księciem Filipem, panną Briny, Pavką Mayerem, całą rodziną Landauerów i Sarą Amberville.

Brakowało tylko Cuttera, który akurat zdawał egzaminy. Lily posadziła sir Charlesa, Alnę Grey i koleżanki ze szkoły baletowej w drugim rzędzie, tuż za królową i swoimi rodzicami.

Niech się dobrze, porządnie przyjrzą, myślała, starannie wybierając dla nich miejsca, niech zobaczą, jaka jest szczęśliwa, choć rezygnuje z kariery, z pewnej przyszłości primabaleriny. Zawsze będzie tańczyć. Taniec jest nieodzowny, lecz nie będzie występować na scenie. Trudnej, pełnej wyrzeczeń egzystencji, której przyświeca tylko jeden cel, nie da się pogodzić z triumfalnym, promiennym, bezpiecznym życiem u boku tego niezwykle silnego Amerykanina, wielbiącego ją, pokładającego w niej bezgraniczną wiarę.

Jak powiedziała zdumionej matce, codzienne wieczorne występy byłyby nie w porządku w stosunku do Zachary'ego. Praca w nowojorskim balecie nie wchodzi obecnie w rachubę.

- Będę miała to co najlepsze z dwóch światów... a rezygnuję tylko z tytułu, ze słowa "primabalerina". Gdybym tak zmarnowała życie dla tego słówka, mamó? Nie mogę wyjść za

Zachary'ego i robić tego, co w moim przekonaniu chciałam. Muszę dorosnąć, a dorastanie polega na wyborze. Tak, to ofiara, masz rację, ale chcę ją złożyć. Muszę ją złożyć. To nie pójdzie na marne, obiecuję. Wszystkie te lata nie zostały strwoniowane... po prostu z tamtego wyrosłam. Wierz mi, mam, wiem, co robię.

Nauczył ją całować, myślał Zachary w stanie euforii, w jakim trwał od momentu poznania Lily. Nie umiała całować, nigdy jej nie całowano, a gotów był się założyć o wszystko, co miał, że gdyby nie przyjechał do Anglii, do końca życia mógłby nie znaleźć w Stanach dziewczyny podobnej do Lily i nigdy nie całowanej.

A teraz musiał nauczyć ją miłości. Gdyby to było już rok później, już w dużym domu wybranym przez nią w Nowym Jorku, gdyby szli do łóżka w znajomym pokoju pełnym pięknych rzeczy, jakie ona kupi, do łóżka nie tak wyiębionego, z pościelą mniej nieskazitelną i elegancką od pościeli w apartamencie dla nowożeńców u Claridge'a. Przyjazna pościel, niech to diabli, mogłaby pomóc. Albo nawet hotel francuski. Claridge był zbyt majestatycznie brytyjski. Jutro będą w Paryżu, ale jutro to nie dzisiaj.

Gdybyż był jednym z Amberville'ów, którzy od wieków musieli stawiać czoło tradycyjnej nowoangielskiej nocy poślubnej z dziewiczą panną młodą, bo nic innego nie wchodziło w rachubę i tego właśnie nauczono go oczekiwać.

Potrzebował tradycji. Jakichś zwykłych, staroświeckich, tradycyjnych wartości. Może w przyszłym roku będzie głosował na republikanów.

Nagle przypomniał sobie swoje pierwsze doświadczenie, z uczennicą szkoły pielęgnarskiej przy szpitalu św. Łukasza, mieszkającą w internacie naprzeciwko akademika. Był piętnastoletnim studentem pierwszego roku i ona też była młoda, lecz starsza od niego. Obojętne, ile miała lat, wiedziała natomiast dokładnie, gdzie, kiedy, a zwłaszcza jak. Znajomość rzeczy... o to chodzi. Każda dziewczyna, z jaką się od tamtej pamiętnej nocy kochał, choć trochę znała się na rzeczy i żadna nie była dziewicą.

Ale przedtem nie był zakochany. Więc i on pozostał swego rodzaju dziewicą, dwudziestodwujęcioletnią dziewicą pod względem uczuciowym, dziewiczym pilotem myśliwca, dziewiczym właścicielem trzech periodyków, dziewiczym multimilionerem, dziewiczym kochankiem dziesiątków kobiet, ich niezliczonej gromady.

- Przestań myśleć - powiedział sobie na głos w swej garderobie. - To nie pomaga.

Na chwilę uspokoił go widok Lily przed ogniem płonącym na kominku w ich olbrzymiej, wyłożonej boazerią sypialni. Nie przyszło mu do głowy, kiedy ją brał w ramiona i czuł chłód jej skóry, że to niesłychane opanowanie, z jakim stoi tak spokojnie w białym peniuarze z satyny i koronki, zawdzięcza setkom prób Giselle, utrwalonym w mięśniach wspomnieniom Coppelu, wieczorom, gdy tańczyła rolę Odetty w Jeziorze łabędzim. Wypracowywana przez sto pięćdziesiąt

lat klasycznego baletu postawa pozwala każdej tancerce być w każdej sytuacji gotową na podniesienie kurtyny. Kiedy jednak Zachary i Lily znaleźli się w szerokim łóżku, kiedy odłożyła peniuar na krzesło i została tylko w satynowej nocnej koszuli na wąskich ramiączkach, zdał sobie sprawę, że drży, choć w pokoju jest tak ciepło.

- Chodź, maleńka, to wszystko jest takie cholernie głupie - oznajmił i razem z pościelą zaniósł Lily przed kominek, gdzie usiadł w głębokim fotelu, a ją posadził sobie na kolanach.- Czuję się tak, jakbyśmy mieli wezwać kelnerów i pokojówki, aby patrzyli... przypomina mi to znane z lektury królewskie noce poślubne w dawnych czasach, kiedy wszyscy stali dokoła, kładli biednych nowożeńców do łóżka, gapili się i niewątpliwie opowiadali sprośne dowcipy.

- Opowiedz mi sprośny dowcip - poprosiła Lily próbując się uśmiechnąć.

- Nie zrozumiałabyś chyba tych, które znam. Zresztą nigdy nie pamiętam pointy. To jedna z rzeczy, które mi się nie udają, ale dzięki temu jestem znakomitym słuchaczem, bo każdy dowcip uważam za nowy.

- Co jeszcze ci się nie udaje? - zapytała z powagą.

- Nie umiem grać w golfa, wygrywać na wyścigach, choć bardzo lubię stawiać, nie potrafię zapamiętać roczników win ani odróżnić bordeaux od burgunda, nie udało mi się zostać chłopcem na posyłki w "New York Timesie".

- Mam na myśli rzeczy, które ci się naprawdę nie udały, poważne, nie do odrobienia - rzekła bez uśmiechu.

- Nie sądzę, aby mi się naprawdę coś nie udało. I nie zamierzam do tego dopuścić. Nigdy.

- Takie zrobiłeś na mnie wrażenie w dniu, kiedy cię poznałam... wrażenie mężczyzny, któremu się wszystko udaje.

- Kochanie, w twoim głosie przebija zawziętość. - Zdumiony spojrzał na Lily, swoją tajemniczą, lekliwą, niedoświadczoną oblubienicę, każdym gestem wyrażającą jakby pieszczotę, a zarazem głód, nagle tak zdecydowaną, jakiej nigdy jeszcze nie widział.

- Ty mnie wcale nie znasz, Zachary. Jestem zawzięta - powiedziała głosem tak anielskim z natury, że się po prostu roześmiał i pocałował ją w usta.

Odwzajemniła pocałunek z tą nieporadną gotowością, która go tak wzruszała.

Pod warstwą koców otoczył Lily ramionami. Była teraz cieplejsza, bardziej odprężona, nie dygotała. Bezceremonialnie przebiegł palcami po kręgach jej szyi, z zachwytem dotknął zdumiewającego łuku, jakim szyja przechodziła w ramiona. Ręka zapuściła się do obojczyka, wyczuła siłę, moc pod mięśniami szczupłego barku. Dużą dłońią mógł objąć jej ramię. Było delikatnie napięte, co w niepokojący sposób uprzytomniło mu różnicę tworzywa, z jakiego ich zrobiono. Ona przypominała stal obleczoną jedwabiem, on był ciałem, zwykłym ciałem.

Jego żyłami popłynęło podniecenie, rozprzestrzeniało się, jak pożar lasu wzniecony

piorunami w kilkunastu różnych miejscach jednocześnie, lecz zdołał nad sobą zapanować. Wiedział, że może Lily nauczyć miłości nie na siłę, lecz tak powoli i delikatnie, jak to jest w ludzkiej mocy, albo jeśli nie będzie to w ludzkiej mocy, z nieludzkim opanowaniem. Mijały minuty, a tymczasem Lily, siedząca z zaciśniętymi powiekami, uprzytomniła sobie, że czubki palców Zachary'ego suną lekko od barku do łokcia. Ramięczko nocnej koszuli, cienki satynowy wałeczek, ześliznęło się i błysnęła drobna pierś w kształcie spodka, z małym, płaskim sutkiem, tak bladoróżowym, że prawie się nie odznaczał na białym tle skóry. Zachary dostrzegł tę pierś w blasku kominka, wstrzymał oddech, bezlitośnie ścisnął uda i nie pozwolił ręce dotknąć czarownego wzgórką. Nie jest jeszcze na to przygotowana, mówił sobie, lekko muskając wargami szyję poniżej włosów. Lily siedziała na jego kolanach cicha i nieruchoma, niemal pozbawiona ciężaru, lecz wyczuwał, że jest napięta i ledwie oddycha.

- Odpręż się, kochanie, moja maleńka, nie zrobię nic, czego nie będziesz chciała, nie ma pośpiechu, jest mnóstwo czasu - szeptał, ona jednak niczym nie zdradzała, że słyszy. Pieszczotliwie przebiegł palcami od łokcia do nadgarstka i nakrył jej rękę otwartą dłonią. Szybkim, zaskakującym ruchem odwróciła dłoń do jego dłoni, którą położyła sobie na piersi. - Nie, kochanie, nie musisz tego robić, tak jest dobrze - powiedział cicho i cofnął rękę. Ona robi tylko to, co w swoim przekonaniu robić powinna, myślał. Bez słowa całowała jego usta chłodnymi wargami, bardziej jak zagrożone dziecko niż jak kobieta. Zaciął zęby, żeby nie wsunąć jej do ust języka. Przez ten miesiąc nauczył ją całować bez zaciskania warg, lecz nie zawsze to robiła, a dziś akurat nie chciał jej niczego narzucać.

Lily prędkim poruszeniem drugiego ramienia zrzuciła drugie ramięczko. Z nogami wciąż owiniętymi w koce i z zamkniętymi oczami siedziała wyzywająco wyprostowana na kolanach Zachary'ego, naga do pasa, a jej dziewczęco niedojrzałe piersi tworzyły wściekle erotyczny kontrast z niemal chłopięcymi szerokimi barami. Tors mogłaby mieć wyrzeźbiony z kości słoniowej, myślał Zachary, zdolny policzyć jej zębra, dostrzec bicie serca, żyły na klatce piersiowej tworzące niezapomniany wzór pod bladą skórą.

Bardzo wolno powiódł palcem wskazującym po najgrubszej żyłce nad piersiami, ostrożnie, aby nie zawędrować między piersi, za prędko nie pozwolić sobie na śmiałość. Musiał założyć nogę na nogę, bo choć ścisnął uda, członek wyrwał się w górę, obdarzony własnym życiem.

Lily jakby zadrżała. Z zimna czy wreszcie z niecierpliwości?

Zastanawiając się nad tym dotknął palcem brodawki, musnął ją leciutko, ciekaw reakcji Lily. Ona nie cofała się ani nie napierała, lecz jemu się zdawało, że brodawka twardnieje, że wyraźnie sterczy, a kiedy dotknął drugiej, z radością spostrzegł, że też reaguje na pieszczotę. - Tak, tak, tak trzeba, tak jest dobrze, przyjemnie - mamrotał przez zaciśnięte zęby, starając się nie spłoszyć jej teraz, kiedy zaczyna odczuwać przyjemność.

Drażnił jej sutki jeszcze przez parę minut, zataczając wokół nich małe kręgi, wciąż powracając do czubków, teraz wyraźnie stwardniałych, aż w końcu nachylił głowę i wziął jeden twardy pęk do ust, długo okrążył go językiem, zanim odważył się ssać. W tym momencie Lily trochę się napięła, więc przestał i z uczuciem zbliżonym do czci pomyślał, że po raz pierwszy usta mężczyzny dotknęły jej ciała, jej miejsc sekretnych. Ona jednak kolejnym nagłym i zdecydowanym ruchem ręki przyciągnęła jego głowę, drugą ręką zaś ujęła pierś i podała mu, włożyła do ust szepcząc: - Nie przerywaj.

Wkrótce obie brodawki, wilgotne, pomarszczone i sterczące, utworzyły małe wysepki ukrwionej tkanki. Widząc to Zachary uniósł Lily, i której po drodze do łóżka opadła koszula, położył ją ostrożnie, a sam wyciągnął się w pewnej odległości, żeby nie wyczuła niecierpliwych drgań sztywnego członka. Wsparł się na łokciu i drugą ręką próbował głaskać jej cieką talię, elegancko wąskie biodra, prężne, twarde, doskonale rozwinięte uda, poznawać kształt ciała, jakiego nigdy nie widział u żadnej kobiety. Naga Lily była boska, wiedział to, niczym posąg bogini z jakiejś innej cywilizacji, z wyższej jej formy. Z coraz większą czcią, boleśnie przemieszana z najdzikszym pożądaniem, patrzył na włosy łonowe Lily, jasne i lekko skręcone, nadspodziewanie gęste, porastające wzgórek Wenerzy, na włosy łonowe kobiety, nie dziewczyny. Pod dotykiem jego ręki nieznacznie zadygotała, zaczęła obracać głowę, z wciąż zamkniętymi oczyma, nie odepchnęła go jednak ani nie wyciągnęła dłoni, aby go dotknąć. Prawie jakby spała, pomyślał, jakby chciała, aby ją wziął przez sen.

Zachary z pewnej odległości dotykał zaofiarowanego mu ciała Lily, pieścił je, dopóki mógł to znieść, po czym przyciągnął ją do siebie i podłożył jej ramię pod głowę. Palec wolnej ręki dokładnie zwilżył sobie w ustach i łagodnie, starannie rozdzielił jej włosy łonowe, by znaleźć wejście do pochwy. Powoli, po milimetrze, zagłębiał palec, niespokojnie wypatrując w jej twarzy oznak bólu czy lęku. Nie zmieniła wyrazu twarzy, choć wargi miała znów zaciśnięte, a szczęki zwarte.

Zachary wielokrotnie zwilżał palec i za każdym razem ostrożnie powracał do ciepłego tunelu, nie napotykać na opór nawet wówczas, gdy nie mógł już sięgnąć głębiej. Nie orientował się, czy zwilgotniała sama, czy też on ją zwilżył, ale wiedział, że teraz musi w nią wejść. Wsparty na łokciach i kolanach opuścił się akurat na tyle, aby zaokrąglonym, ukrwionym czubkiem penisa dotknąć otworu. Potem pchnął i zagłębił się trochę i znów trochę.

Poruszał się nieskończenie wolno, a na czoło wystąpiły mu kropelki potu.

Wciąż badawczo wpatrywał się w jej twarz, gotów się wycofać, gdy za bardzo będzie bolało, ale Lily miała twarz pozbawioną wyrazu, choć oddech nieco szybszy. Nie ruszała się, leżała pod nim ulegle i pozwalala się wypełniać.

W końcu, po długich minutach, przyjęła cały jego pulsujący członek i Zachary wyciągnął

nogi na materacu, a podpierał się tylko łokciami, by jej nie zmiażdżyć. Czuł nabrzmiewanie, powiększanie się penisa, choć sam ani drgnął. W miękkim, gorącym, ciasnym wnętrzu nie mógł już wytrzymać. Orgazm nastąpił bez pchnięcia, a po frustracjach minionej godziny skurcze były tak gwałtowne, tak silne, tak niemożliwe do opanowania, że szybko wlał w nią strumień spermy, doznając czysto zwierzęcej ulgi.

Przez chwilę, zasłuchany w bicie własnego serca, nie pamiętał o Lily, ledwie jednak oprzytomniał, stoczył się z niej i wziął ją w ramiona, obsypał jej twarz gradem pocałunków wyrażających dziką wdzięczność, pomieszanych ze łzami, których nie potrafił powstrzymać. Nie spodziewał się, że ją pobudzi. W przyszłości, stopniowo i bardzo ostrożnie, nauczy ją cieszyć się seksem, a na razie zdumiewa go jej odwaga, wzrusza to, że mimo wrodzonej skromności nie dała mu odczuć, jaki jest brutalny, do głębi ujmuje gotowość, z jaką pozwałała się brać, jedynie zamkniętymi oczami zdradzając, ile ją to kosztuje wysiłku.

- Bolało, kochanie? - zapytał na koniec.

- Nie, oczywiście, że nie. - Otworzyła oczy i uśmiechnęła się do niego.

Skądże mógł wiedzieć, że jej ciało zaprawiono do akceptowania bólu, przyjmowania go z radością, skwapliwie? Jakże mógł zrozumieć, że te nowe doznania są niczym w porównaniu z wgnieceniem baletek? Przez wiele godzin dziennie, od ósmego roku życia, znosiła ustawiczny ból i nauczyła się to robić z uśmiechem, ból uważany przez tancerza, jak przez każdego innego sportowca, za nieodłączną część życia.

Lily oczekiwała po nocy poślubnej czegoś innego, czegoś brutalnego podniecającego i nieznanego, czegoś o wiele bardziej szalonego niż to, co czuła, kiedy silny partner podnosił ją wyżej niż ktokolwiek przedtem.

Oczekiwała pojedynku dwóch ciał, po którym oba pozostaną obite, obolałe, spocone i wyczerpane jak po wielkim występie. Nie tych długich, przewlekłych pieszczot, nie ukradkowego badania ciała, które dawno temu przestała uważać za coś więcej niż instrument, ciała, które wcale jej nie onieśmielało. Och, jakże chciała i potrzebowała być wzięta, wykorzystana, pokonana, bezlitośnie ciśnięta w świat dotychczas obcy, znany jedynie z żartów innych uczennic, świat fascynujący, choć przez nią odrzucany.

Nie mogła zrobić nic więcej, myślała Lily, nie знаła odpowiednich ruchów, właściwych pozycji, lecz niewątpliwie jej bezruch musiał wskazywać, że pozwoli Zachary'emu na wszystko. Nieznośne było dla niej uczucie niezdarności, nieporadnego posługiwania się mięśniami, ale tylko Zachary mógł ją tego nauczyć. To on jest doświadczony, myślała zapadając w sen. On musi sprawić, aby to nabrało dla niej wagi. Ona zrobiła, co mogła. Teraz on musi uczynić to cudownym, tak, cudownym, cudowniejszym niż poklask.

Amberville'owie wrócili na Manhattan po dziesięciu dniach spędzonych w Paryżu. Zachary nigdy na tak długo, prawie na sześć tygodni, nie oddalał się od swych redakcji, a teraz, poza przelotnymi wizytami w biurze londyńskim i paryskim, nie przeprowadził zaplanowanej inspekcji. Ale był zbyt szczęśliwy, aby się tym przejmować.

Każdej z dziesięciu nocy kochał się z Lily, co noc godzinami, w ciszy i błogości, jakby powoli, cał po calu zwiedzał nowe, opromienione blaskiem księżyca okolice. Ona przypominała melodię, myślał, cudowną melodię w minorowej tonacji, dla innych niedosłyszalną.

Lily nigdy niczego mu nie odmawiała, tylko jednej nocy, kiedy po raz pierwszy musnął ustami miejsce, gdzie schodziły się jej uda, na chwilę położyła dłonie na włosach łonowych. Natychmiast zrozumiał, że nie jest przygotowana na tę ostateczną poufałość, i nie ponawiał prób. Był pewien, że już wkrótce dzięki swej cierpliwości i tkliwości zdoła ją nauczyć znajdowania przyjemności w seksie. Uspokajał się tym, że Lily nie czuje do tych spraw wstrętu, tylko jeszcze nie umie pójść na całego. Wymaga to czasu i ustawicznego pamiętania, czym dla osiemnastoletniej dziewczyny - jeszcze niemal dziecka - jest małżeństwo z dwudziestodwuletnim mężczyzną.

Świadomość, że Lily zawsze czeka gotowa go przyjąć, pozwalała mu łagodzić wszelką szorstkość, pośpiech, każdy gest, który mógłby, jak podejrzewał, wydać się zwierzęcy, zbyt brutalny, zbyt przerażający dziewczynie tak jak ona wrażliwej.

Po pierwszej nocy stwierdził, że zawsze musi ją brać po raz drugi; sam jej bezruch działał podniecająco jak najsilniejszy afrodyzjak. Zachary, zaspokojony za pierwszym razem, mógł pozostawać w niej o wiele dłużej, leżeć spokojnie, wsłuchiwać się w jej oddech, całować ją delikatnie, gdy tymczasem członek twardniał mu coraz bardziej bez tarcia, i dopiero w chwili orgazmu kołysać się na jej miednicy leciutko, aby nie posiniaczyć tej niesłychanie delikatnej, przyjmującej go w milczeniu istoty, którą świeżo poślubił.

5.

Cutter Amberville postanowił studiować raczej w Kalifornii niż w jakiejś wyższej szkole na Wschodzie. Pragnął się znaleźć możliwie najdalej od brata i tej części kraju, gdzie na dźwięk nazwiska Amberville ludzie natychmiast pytali o pokrewieństwo z Zacharym. W Stanford, czyli na "Farmie" - jak żartobliwie przezywali studenci Berkeley ze swej tradycyjnie wysokiej pozycji intelektualnej opodal San Francisco tę elitarną, konkurencyjną uczelnię - znalazł towarzystwo podobne do tego, w jakim się obracał w Andover: bogatych chłopców, chłopców posiadających coś, czego pragnął.

W Stanford Cutter musiał się bardziej przykładać do nauki niż w Andover, lecz już wkrótce opanował umiejętność robienia tylko tego, co niezbędnie konieczne, i oszczędzania jak najwięcej czasu na dalsze doskonalenie się w wybranych dziedzinach: w tenisie, squashu, żeglarstwie, polo i narciarstwie. Uprawiał sporty bezsprzecznie dżentelmeńskie, sporty ludzi bogatych, wymagające wieloletnich ćwiczeń, budzące podziw i zaufanie, jeśli młody człowiek zdołał się w nich wybić. Potrzebna była do nich zręczność, koordynacja ruchów, wytrzymałość, a zwłaszcza w przypadku polo i nart gotowość do popisania się odwagą fizyczną. Nie było ryzyka - żadnego sensownego ryzyka - którego na koniu czy nartach nie podjąłby Cutter, ponieważ odwaga fizyczna, myślał z wyrachowaniem, choć nigdy by się do tego nie przyznał, uchodziła na ogół za prawdziwą, czystą i prostą. Jego brat, jego wróg w ani jednym sporcie nie był dobry.

Sporą część swych talentów poświęcił Cutter tenisowi i squashowi. Podczas gdy inne wybrane przez niego dyscypliny wymagały współzawodnictwa ze zwierzęciem czy żywiołami, w takich sportach człowiek rywalizował z człowiekiem. Wygrana wymagała wysiłku, lecz była niczym w porównaniu z umiejętnością i techniką przegrywania kilku rozstrzygających gemów, którą z czasem opanował Cutter, gemów świetnie rozgrywanych z paroma starannie dobranymi ojcami przyjaciół; z wyjątkowo jak na swój wiek dobrymi graczami; z dyrektorami banków mogącymi kiedyś w przyszłości zaoferować mu pracę, w której kontakty często oznaczają prowizje. Przegrywanie w tenisa, przegrywanie z humorem, przekonująco i bez budzenia podejrzeń, że nie za bardzo usiłuje wygrać, stało się jednym ze szczególnych atutów Cuttera Amberville'a, równie ważnym jak jego dobre maniere i uroda, ważniejszym nawet niż bezsporna odwaga.

- Wczoraj poszłam na sprawunki z pierwszą panią Amberville - kwaśno poinformowała Zelda Powers Pavkę Mayera, kiedy pili drinka przed lunchem.

- Och? Ta złośliwa uwaga jest całkiem w twoim stylu, moja droga. Nie zapominaj, że ona jest bardzo młoda i bardzo brytyjska, a z tego, co mówi Zachary, prawie od urodzenia wyłącznie absorbował ją balet. Nie powinno cię dziwić, że umie się ubierać tylko w spódniczkę baletnicy.

- Ale hrabianka Lily nie wie, co na siebie włożyć... teraz.- Zelda złośliwie, z ukosa

popatrzyła na Pavkę.

- Zły gust? Czy też po prostu taki sobie zwykły gust prowincjonalny?

Brytyjczycy nie słyną z umiejętności prezentowania się korzystnie.

- Byłyśmy u Bergdorfa, u Saksa, u Bonwita, we wszystkich dobrych nowojorskich sklepach, bo Zachary nie pozwolił załatwić tego hurtem, a ona patrzyła na suknie naszych najlepszych projektantów z takim zainteresowaniem, jakbym ją zabrała na wystawę dżdżownic - z przekąsem stwierdziła Zelda. - Nie zadała sobie nawet fatygi, żeby cokolwiek przymierzyć. A naprawdę nie ma się w co ubrać, bo jej matka za późno dowiedziała się o ślubie i nie zdążyła skompletować wyprawy, żadna z nich nie miała też pojęcia, co w Nowym Jorku noszą młode mężatki. Przywiozła same pastelowe tweedy, w których wyglądała na skrzyżowanie Alicji w krainie czarów z młodzianką koronowaną głową składającą oficjalną wizytę w nieprzyjaznym kraju.

- Ale jest bardzo, bardzo piękna - rzekł Pavka cicho.

- Nie przeczę, że jest piękna... chciałam jedynie pomóc... wiesz, że dla Zachary'ego zrobiłabym wszystko. Tak czy owak, zaprowadziłam ją w końcu do Mainbochera, gdzie się ożywiła, zdradziła oznaki jakiegoś zainteresowania i zanim wyszliśmy, zamówiła trzydzieści siedem różnych kompletów, niemal całą kolekcję. Pierwsze przymiarki będą za tydzień.

- No i cóż w tym złego? Masz problem z głowy, prawda?

- Wszystko się we mnie wywraca. Mainbocher w jej wieku! Rzeczy szyte na zamówienie, najdroższe w całych Stanach Zjednoczonych... bardzo spokojne, Pavka, w bardzo dobrym stylu, absolutnie idealne, które można nosić na lewą stronę, jeśli się zechce. Ubierają się tam najbogatsze mieszkanki Nowego Jorku, kobiety należące do specjalnej wąskiej elity. Do Mainbochera człowiek dochodzi powoli, niech to licho! A założę się, że nikt nigdy nie zamówił tylu rzeczy naraz w ciągu jednej wizyty. Ta, ta nastolatka... nawet nie zapytała o cenę... to jej w ogóle nie przyszło do głowy.

- I cóż z tego? Zachary może sobie na to pozwolić.

- Mniejsza o pieniądze, ja nie mogłam znieść jej nastawienia. Czy on ci mówił, jaki dom kupuje? Jedyne w mieście, który łaskawie uznała za dobry.

- Coś tam wspomniał, ale nie zwróciłem na to uwagi.

- Pokazała mi ten dom. Wiesz, Pavka, jaki jest Zachary. Prosty, rozsądny, nic nie robi na pokaz. Czy twoim zdaniem chętnie zamieszka w pałacu z jasnoszarego marmuru, zajmującym pół ulicznego kwartału, dwupiętrowym, z salą balową, mój drogi, i wielkim ogrodem na tyłach? Tylko we dwoje? To połowa Fricka; nie dom, lecz prawdziwa rezydencja.

- Szalenie mu się spodoba, jeśli ją uszczęśliwi. - Pavkę bawiło występowanie w roli adwokata diabła.

- Ale dlaczego, na litość boską, takiemu dzieciakowi miałby być do szczęścia potrzebny taki pałac? Kto dziś tak mieszka? Pomyśl tylko o remontach, o urządzeniu wnętrza, o służbie niezbędnej

do utrzymania porządku, o kimś, kto będzie tej służbie wydawał polecenia, bo ona tego nie potrafi albo nie zechce zwracać sobie tym głowy. Pomyśl o ogrodnikach.

Ogrodnicy w Nowym Jorku! Nie wyobrażasz sobie, nawet w przybliżeniu, ile to będzie kosztować, co?

- Nie. Ale oboje wiemy, że Zachary może sobie na to sto razy pozwolić.

Nie jestem zwolennikiem decydowania, na co inni ludzie mają wydawać swoje pieniądze, i ty chyba też nie, Zeldo... nigdy dotąd tego nie robiłaś. - Dla złagodzenia tych słów czule ją uszczypnął.

- Chcesz powiedzieć, że jestem zazdrosna, tak, mój kochany?

- No?

- Oczywiście, że jestem. Powinnam się wstydzić. Ale się nie wstydzę.

- Nawet Zelta Powers pozwala sobie na absolutnie normalną kobiecą reakcję. Uwaga, możesz stracić na oryginalności. A to mogłoby niekorzystnie się odbić na nakładzie "Stylu".

- Na to nie stawiaj.

- Nie będę. I musisz jeszcze się napić. Nalegam. Nawet zapłacę.

W latach kawalerskich, tuż po zakończeniu wojny, Nat Landauer i Zachary Amberville niejedno popołudnie spędzili na wyścigach z Barneyem Shore'em, miłym, rudym jak marchewka dwudziestokilkuletnim młodzieńcem, który dzielił z Natem pokój w Syracuse. Podobnie jak Natowi pisane było zarządzanie spółką Pięciogwiazdkowe Guziki, Barney miał odziedziczyć rodzinny interes, coś, co od niechcienia nazywał "półkami".

- Półki na odzież? - zapytał go kiedyś Zack.

- Nieee, na czasopisma.

- Robicie je?

- Nieee, my je zapelniamy - zbył Zachary'ego Barney, bo nie chciał się odrywać od lektury programu wyścigów, poważnego zajęcia równie korzystnego dla nich obu. Dopiero jako wydawca "Stylu" Zachary docenił znaczenie instytucji zwanej Półksiężycem, założonej przez Joe'ego Shore'a, ojca Barneya, będącej obok Curtisa, Warnera, Select i NICD jednym z głównych w kraju dystrybutorów czasopism.

Bez tych potężnych przedsiębiorstw wydawanie periodyków nie byłoby zapewne możliwe. Dopóki Zachary był właścicielem tylko miesięcznika "Przybrania", sprzedawał jego egzemplarze na prenumeratę, ale stworzywszy "Styl" podpisał z Joe'em Shore'em trzyletnią umowę na krajowy kolportaż, ustanawiając wzór na przyszłość. W pierwszym roku istnienia "Stylu" płacił Półksiężycowi dziesięć procent od ceny wydrukowanej na okładce za każdy sprzedany egzemplarz, w drugim i trzecim roku sześć procent. W zamian za to Półksiężyc występował jako bankier "Stylu"

i płacił z góry za wydrukowane egzemplarze.

Joe Shore, mężczyzna łądząco łągodny, przesądzał o istnieniu magazynu, bo to on decydował, ile egzemplarzy prześle różnym hurtownikom, którzy z kolei dostarczą je poszczególnym detalistom, a ci wreszcie - wydawcy modlili się, aby możliwie szybko - wyłożą je na półki w widocznych miejscach.

Zachary Amberville z miejsca przypadł do gustu upartemu, cichemu Joe'emu Shore'owi, którego aprobatę niełatwo było zdobyć, ale raz zdobytą traciło się dopiero za niedotrzymanie umowy handlowej. Zabójstwo, podpalenie, włóczęgostwo z zamiarem śmiecenia nie mogłyby zrazić Joe'ego Shore'a do lubianego, słownego człowieka.

- Joe - zwrócił się do niego w 1953 roku Zachary podczas wspólnego lunchu - chcę, żebyś poznał Lily. Czy nie przyszedłbyś z żoną, Barneyem i tą jego nową dziewczyną do nas na obiad od wtorku za tydzień?

- Bardzo chętnie, Zack. Chwileczkę, mówiłeś o wtorku?

- Tak. Nie o najbliższym, ale następnym.

- Każdego innego wieczora, Zack, z przyjemnością, ale nie we wtorek, w żaden wtorek.

Żona by mnie zabiła.

- Takiego przyjemnego faceta? Miałem was za idealne małżeństwo.

- Zack, nie żartuj z kpiarza.

- Powiedz, co jest we wtorek wieczór?

- Milton Berle. We wtorek o ósmej.

- I co z tego?

- Ile razy zamieszczałeś coś o Miltonie Berle'u w "Siedmiu Dniach"?

- Nie jestem pewien... oglądam te cholerstwa i zastanawiam się dlaczego, ale redaktor działu telewizyjnego mówi, żebym mu zaufał. Odkąd podwoilem mu pensję, żeby go ściągnąć z "Life'a", nie próbuję przewidzieć, co zrobi.

Osobiście nigdy nie miałem dużo czasu na telewizję, a Lily wcale się nią nie interesuje. Może - uśmiechnął się Zachary - ma trudności językowe.

- To straszne. Po prostu nie wiesz, co tracisz. - Joe Shore ze zdumieniem pokręcił głową. - Założę się, że jeszcze nie masz własnego telewizora.

- Raz oglądałem program u Barneya i widziałem tylko gromadę karzełków.

Muszą się bardziej starać. Zawsze wolę film czy show na Broadwayu. Kawy?

Wyobraźcie sobie, myślał Zachary idąc rojnymi ulicami, Joe Shore, obdarzony tak wielką rzeczywistą władzą jak żaden z jego znajomych, nie może się umówić na obiad we wtorek wieczorem z powodu Milтона Berle'a. Czy oglądają go Eisenhower i Mamie? A senator Joseph

McCarthy i Estes Kefauver?

On sam nie potrafił długo wysiedzieć bez ruchu, chyba że czasem na meczu baseballowym. Telewizja stanowiła konkurencję na rynku ogłoszeń, ale nie aż tak groźną jak inne magazyny. Raptem przystanął na rogu Piątej alei i Pięćdziesiątej Drugiej ulicy. Czy w całym kraju życie zamiera we wtorek o ósmej? Pewnie tak i pewnie zamiera ze względu na Lucille Ball i Sida Caesara, i Miesiąc miodowy, i diabli wiedzą co jeszcze? On, Zachary Amberville, jest krótkowzrocznym, tępym osłem, który o mało nie popełnił fatalnego błędu, kiedy uznał, że może oceniać czytelników amerykańskich według własnego gustu. Ale nie aż takim osłem, aby nie wiedzieć, że nim jest, i jakoś temu nie zaradzić. "Tydzień Telewizyjny"? Za rzeczowe. "Ten Tydzień w Telewizji"? Za długie. "Tygodnik Telewizyjny"? To miało w sobie coś jawnie intelektualnego, posmaczek "Harper's" albo "The Atlantic". "Twój Tydzień w TV"? Jeszcze za długie. "Tydzień w TV". To się nada. Przeszedł na drugą stronę ulicy, wyraźnie wyobrażając sobie pierwszy numer. Kwadratowy, formatu osiem na osiem, na dobrym papierze, mnóstwo fotografii i tekstu, i oczywiście programy telewizyjne, a na okładce duże kolorowe zdjęcie Milтона Berle'a. Przyspieszył kroku i wrócił do swej redakcji już - choć jeszcze sobie tego nie uświadamiał - o dziesiątki milionów dolarów bogatszy, niż kiedy wychodził na lunch.

Na wiele miesięcy przed sporządzeniem wszystkich planów przeróbek wielkiego domu z szarego marmuru przy ulicy Siedemdziesiątej Wschodniej Lily stwierdziła, że jest w ciąży. Najpierw zareagowała strachem; jak się to odbije na jej wyglądzie? Potem uśmiechnęła się do siebie. To typowa reakcja tancerki, ona zaś zrezygnowała z kariery na rzecz normalnego życia.

Dziecko będzie potwierdzeniem, jeśli go potrzeba, że jest kobietą wolną, ma swobodę decyzji i po raz wtóry odtrąca ten hermetyczny światek, z którego się usunęła. Co rano przez godzinę ćwiczyła przy drążku w dużym apartamencie hotelu Waldorf Towers, gdzie Amberville'owie chwilowo zamieszkali, ale odkąd przybyła na Manhattan, ani razu nie poszła na balet.

Ćwiczenia weszły jej w nawyk, pomagały zachować figurę, nic więcej.

Jej cudowne nowe stroje! Przerazona podniosła ręce do ust. Za parę tygodni nie będą już pasować. Cóż, na to po prostu nie ma rady. Pójdzie dziś po południu do Mainbochera i poprosi go o zaprojektowanie całej garderoby ciążowej. Napisać do matki zaraz czy nawet zadzwonić? Matka nie będzie miała zbyt wiele czasu na rozejrzenie się za odpowiednią niańką, która przyjedzie z Anglii zająć się niemowlęciem. Doktor Wolfe kazał jej pilnować wagi... dobry lekarz, myślała, ale głupie zalecenia. Czy choć raz w życiu nie pilnowała wagi? Lily zaczęła odczuwać radość. Jej małe piersi tancerki nieuchronnie nabiorą zmysłowego powabu. Jak ładnie jej będzie z dużymi dekoltami. Powie Mainbocherowi, że na wieczór chce mieć suknie głęboko wycięte pod szyją,

cudowne, szerokie, wiązane pod biustem w stylu cesarstwa. Może się przecież cieszyć biustem, dopóki go będzie miała, bo oczywiście nie zamierza karmić dziecka piersią. Robiły to wszystkie jej kuzynki, co uważała za potworną stratę czasu; godzinami siedzieć cierpliwie, w dzień i w nocy, gdy jakieś maleństwo ssie cię, jakbyś była krową, niemowlę niezdolne przypuszczalnie zapamiętać, że je tak karmiono, a już na pewno okazać wdzięczności.

Musi powiedzieć projektantom wnętrz, gdzie ma być pokój dziecienny. Dość daleko od jej sypialni, żeby w żadnym razie nie przeszkadzał jej płacz dziecka. To bezspornie najbardziej irytujący z odgłosów przyrody, a ona nie zamierza go znosić, tak jak nie zamierza kupować gotowych strojów.

W jej wieku zostać matką? Cóż, równie dobrze może to załatwić, dopóki jest młoda, tak jak zawsze robiono to w rodzinach królewskich, zwłaszcza że nie ma wyboru. Ale trochę szkoda, bo tak niedawno przyjechała na Manhattan, tak niedawno zaczęła sobie uświadamiać, jak to jest, kiedy można mieć wszystko, czego się zapragnie, ledwo się tego zapragnie, ledwo się odczuje leciutki ślad pożądania. Ale niemowlę nie oznacza odkładania przyjemności na długo. Choć już w Londynie wiedziała, że Zachary jest szalenie bogaty, dopiero teraz zrozumiała, że jest o wiele, wiele bogatszy, niż sądziła, i znacznie hojniejszy od znanych jej dotychczas mężczyzn. Ojciec był dosyć skąpy, jeśli się nad tym zastanowić, uważał, że dzieciom nie należy dawać dużego kieszonkowego. Ona nigdy nie potrzebowała kieszonkowego, bo nie miała na co go wydać, ale odkąd rzuciła balet, okazało się, że mnóstwo rzeczy chce kupić. Sklepy Manhattanu budziły nieodparte pokusy, a dość... przyjemnie... było wiedzieć, że wszystko w nich może nabyć, że wszystko pragnie jej dać Zachary.

“Zamożny” - obrzydliwe słowo. Bogaty. Da się wymówić tylko wyraźnie.

Bogaty. Bardzo, bardzo bogaty. Może, kiedy dziecko będzie się już dobrze prezentować, pozwoli zrobić zdjęcie dla “Stylu”. Pani Amberville z dzieckiem. Nie, nie dla “Stylu”. Nie jest adresowany do bardzo bogatych.

Pewnie dlatego tak dobrze się rozchodzi. Zatem dla “Vogue” albo jeszcze lepiej dla “Town & Country”. Po głębszym namyśle uznała, że bardziej oryginalnie będzie po raz pierwszy ukazać się na łamach czasopism, które całe towarzystwo nowojorskie czytuje co miesiąc, w charakterze młodej matki niż kolejnej młodej mężatki.

Oczywiście towarzystwo nowojorskie to jedna wielka kpina. W Londynie do towarzystwa albo się należy, albo nie należy. Córka wicehrabiego pozostaje córką wicehrabiego niezależnie od tego, za kogo wyjdzie za mąż. Ma się tam krewnych, przodków, swoje miejsce w konstelacji. Dziewczyna może wyjść za mąż za posiadacza tytułu albo za kogoś z prowincji - nawet za Amerykanina - ale wszyscy zawsze będą pamiętać, kim była przed ślubem. Będzie się to liczyć jeszcze przez wiele pokoleń, może i zawsze, może za sto lat ludzie powiedzą: “O tak, lady Melinda... jej pra-pra-prababka była córką jakiegoś bankiera, zanim wyszła za hrabiego jak mu

tam.” Snobizm, chyba straszny snobizm. Ale tak już było.

Za to Nowy Jork! Tyle tutejszych “wielkich dam” w trzecim - najwyżej czwartym pokoleniu - pochodzi od rekinów finansowych, oni zaś byli zwyczajnie złodziejami, którym się powiodło. Naturalnie są potomkowie pielgrzymów z “Mayflower” i to Towarzystwo Cincinnati, potomkowie oficerów armii Waszyngtona. Innymi słowy, dumiała Lily, potomkowie mieszkańców kolonii zbuntowanych przeciw niezłemu zresztą królowi przed niespełna dwustu laty. Przynależność do tego towarzystwa najwyraźniej strasznie imponowała, choć Zachary, który mógł zostać jego członkiem, nie zwracał sobie tym głowy. W ciągu paru tygodni poprzedzających ślub dowiedziała się od matki, że z pięćdziesięciu rodzin, w swoim mniemaniu historycznie “nowojorskich”, tylko nieliczne mogły pretendować do tego, iż w Starym Świecie miały naprawdę dobrych przodków. Van Rensselaerowie, których herb pochodził od księcia orańskiego, nie mieli już ziemi. Livingstonowie natomiast żyli i prosperowali, wywodzili się zaś ze szlacheckiego szkockiego rodu Callenderów; Pellowie też byli w Anglii arystokratami, a rodowody Duerów i Rutherfordów zadowolilyby każdego. Przodkom należy się cześć, myślała kpiąco Lily, ale czyż nie powinni mieć trochę więcej patyny na grobach? Zaledwie na kilka lat przed Rewolucją Amerykańską Ludwik XIV, król Francji, sprzedawał tytuły po sześć tysięcy sześćset liwrów - ile mogłoby to być na dzisiejsze pieniądze? - pozostawiając puste miejsce, żeby świeżo nobilitowany Francuz mógł wpisać swoje nazwisko. Naprawdę tak nieliczni mogli się wylegitymować szlachectwem dawniejszym niż sprzed paru stuleci.

Nawet Adamsfieldowie do czternastego wieku byli tylko ziemianami. Nie, taki snobizm to rzecz paskudna i niegodna Lily.

Ale. Ale będzie mieszkać na Manhattanie i z szacunku dla samej siebie wymaga należnych względów. Kiedy niemowlę przestanie stać na zawadzie, pozna kilka rzeczywiście przyzwoitych osób. Będą ją wciągać do wielu komitetów charytatywnych czy jak tam nazywają działalność dobroczynną - to chyba taka nowojorska mania - ona wybierze kilka, bardzo starannie. Zbyt szybkie zawieranie w nowym miejscu przyjaźni nie świadczy o rozsądku, często powtarzała jej matka. Bo przez następne dziesięć lat trzeba je zrywać.

Lily przeciągnęła się rozkosznie. Dom, wspaniałe antyki kupowane, aby go zappełnić, wciąż nowe stroje, Manhattan u jej stóp, służba, podróże, kiedy w Nowym Jorku zrobi się zbyt upalnie albo za zimno, biżuteria, którą zaczyna oglądać i porównywać u wielkich jubilerów Manhattanu... wszystko to jakby się zlewało w jeden miły, urozmaicony krąg rozrywek. Musiała być szalona, żeby przez większą część życia przestrzegać żelaznej dyscypliny, która nie pozwalała na żadne przyjemności z wyjątkiem przelotnych momentów zadowolenia z wyjątkowo udanego występu. Baletnice, zwłaszcza primabaleriny, były prawdziwymi niewolnicami, myślała potrząsając głową.

Niewolnicami nieznośnie trudnych wzorców narzucanych samym sobie, niewolnicami

swych nauczycieli, swych ciał, a nade wszystko widzów, którzy kupują bilety i żądają w zamian doskonałości, nieświadomi zapewne jej ceny.

Tancerki przypominają tresowane zwierzęta, od młodości uczone przeskakiwania przez obrycze, ale przeciwnie niż zwierzęta są niewolnicami z wyboru. Jakież to szczęście, że w porę uciekła. Bo gdyby została primabaleriną, co oczywiście ją czekało, z o wiele większym trudem porzucałaby to obsesyjne życie.

Dzwonek telefonu wyrwał Lily z zadumy.

- Och. Tak, kochanie, spałam wyśmienicie - powiedziała do Zachary'ego. - Nie, nic specjalnie nowego, kolejny dzień rozmów z tapicerami i wnętrzarzami... Nie bądź głupi, mój drogi, dobrze się bawię. - Mogła pewnie zatelefonować, kiedy się dowiedziała o dziecku, ale jakoś wyleciało jej to z głowy. Cóż, wieczorem będzie na to czas. On naturalnie zrozumie, że wkrótce już nie będą mogli ze sobą sypiać. Wkrótce, całkiem niedługo.

Odłożyła słuchawkę i znów ją podniosła. Zadzwoi do panny Varney, swojej sprzedawczyni u Mainbochera, i umówi się na jutro. Nie... na dziś po południu. Na co czekać?

- Nie karmić piersią mojego syna? Nie, kochanie, tego chyba nie mogłam powiedzieć.

- Lily najmilsza, daj spokój. Nie pamiętasz? Wyraźnie słyszałem, jak mówiłaś Minnie, że wszystkie te bzdury o przeciwciałach w mleku matki to wymysł amerykański, a liczy się świeże powietrze i dobra niańka.

- Może. Na pewno masz rację. Ale czy to ważne, skoro zmieniłam zdanie?

Gdzie ta pielęgniarka z moim synem? Powinna tu być pięć minut temu.

Zachary, nie mógłbyś jej poszukać? Boję się, że personel szpitalny mógł dla własnej wygody dać mu butelkę mieszanki... oni nie cierpią karmiących matek. To im przysparza pracy.

Podczas gdy Zachary przemierzał szpitalne korytarze w poszukiwaniu pielęgniarki, jakiegokolwiek pielęgniarki, Lily niecierpliwiła się w łóżku.

Tobias przyszedł na świat przed trzema dniami, poród był łatwy, i ledwie go ujrzała, z czubkiem kręconych blond włosów, puciołowatego, idealnie kształtnego, uprzytomniła sobie, że nigdy dotąd nie kochała. Ani rodziców, ani baletu, ani Zachary'ego, ani siebie. Bynajmniej nie oczekiwała, że zaskoczy ją przyływ uczuć macierzyńskich, lecz cały dzień po porodzie przepłakała, bo zamiast u jej boku syn przebywał w sali z innymi niemowlętami. Był nią, częścią jej ciała, więc jakże mogli go zabrać, jak gdyby do niej nie należał? Po prostu nie dało się załatwić pozostawienia go u niej, w małym łóżeczku, wyjaśnił lekarz. Chyba wszystkie matki wołały takie rozwiązanie i nie starczyło sprzętu nawet dla połowy. Gdyby poprosiła o to parę miesięcy wcześniej, powiedział, ale przecież parę miesięcy temu nie mogła przewidzieć, że jej dzieckiem będzie Tobias.

Naturalnie urodziła chłopca. Te brednie, jakie ludzie plotą o tym, że mniejsza o płęć, byle dziecko było zdrowe! W głębi duszy każdy wie, że pierwszy powinien być chłopiec. Wiedzieli o tym jaskiniowcy i później wszyscy inni.

- Oto on! - powiedział Zachary otwierając drzwi pielęgniarce. - I chyba głodny. Ten wrzask mnie na niego naprowadził.

- Musi płakać, to dobre na płuca - oświadczyła Lily tonem znawcy, tak jak przed nią robiła to jej matka, i skwapliwie wyciągnęła ramiona.

- Czy mam państwa zostawić samych z dzieckiem? - spytała pielęgniarza.

- Teraz nie będzie mi siostra potrzebna, dziękuję. Nie pogniewasz się, mój drogi Zachary? Nie mam jeszcze wprawy... Chyba wolałabym być sama.

Wróć, och, za godzinkę. On się nie lubi spieszyć.

- Jesteś pewna? - Zachary starał się ukryć głębokie rozczarowanie. - Niczego nie będzie ci potrzeba? - Z miłością patrzył na nią, wspartą na poduszkach w jedwabnych powłóczkach bogato ozdobionych piękną starą koronką, podobnie jak prześcieradła i kołdra przyniesionych z domu. Lily nigdy nie wyglądała tak anielsko jak teraz, z włosami rozsypanymi na ramionach. W uszach miała olbrzymie szafiry w brylantowej oprawie, które jej kupił u Van Cleefa i Arpelsa - szafiry za chłopca. Szkatułka na naszyjnik i bransoletki od tego garnituru stała otwarta na stoliku obok łóżka, same klejnoty zaś piętrzyły się pod lampą, jak pojmane sny letniej nocy.

- Jeśli będę czegoś potrzebować, kochanie, mam tu na stoliku doskonały dzwonek i obiecuję się nim posłużyć. A teraz idźcie oboje, zanim mój syn obudzi całe miasto.

Spór na temat wpływu środowiska i dziedziczenia może się toczyć w nieskończoność, a tymczasem nie dałoby się zaprzeczyć, że Tobias Adamsfield Amberville powinien wyrosnąć na potwora. Dziecko tak zwariowanego ojca i matki uważającej je za przedłużenie swojej osoby, której niczego nie odmawiała, musiało być zepsute.

- To na pewno krew Andersonów w jego żyłach - zauważyła babka, Sara Amberville. - Wiecie, protestancki etos pracy.

I Lily, w szóstym miesiącu ciąży z drugim dzieckiem, roześmiała się wesoło.

- On jak dotąd niewiele ma roboty, Saro.

- Popatrz na niego, jak poważnie i metodycznie przekopuje ogród. Można by pomyśleć, że dostaje wynagrodzenie od łopaty. Ani razu w czasie mojej wizyty nie płakał, tak spokojnie kładzie się do łóżka o wyznaczonej porze i zdaniem niani nie sprawia właściwie żadnego kłopotu. Zjada wszystkie jarzyny, czego nie robił nawet Zachary. Mam nadzieję, że drugie niemowlę będzie równie łatwe.

- Drugie niemowlę ma być towarzyszem zabaw Tobiasa. Źle być jedynakiem i dlatego tak

prędko się o nie postarałam. Gdyby nie to, wystarczyłoby mi do szczęścia patrzeć, jak mój syn dorasta.

Sara Amberville milczała. Nie przywykła jeszcze do synowej i nigdy nie przywyknie. Bała się jej właściwie, bo wiedziała, że jeśli narazi się Lily, przestanie widywać wnuka, a zapewne i syna. Minnie została skazana na wielomiesięczną banicję, kiedy ośmieliła się skomentować fakt, że skoro idealne ubranka dla dzieci szyje się w Stanach, lekką przesadą jest sprowadzanie ich z Londynu, zwłaszcza iż Toby tak szybko z nich wyrasta.

- Spójrz, wraca. Spiesz się na lunch - powiedziała do Lily.

- Zaczekajmy do jutra, aż przyjdzie ogrodnik - parsknęła śmiechem Lily.

- Będzie zdziwiony?

- Tobias wykopał mu wszyściutkie tulipany. Miały zakwitnąć na przyszły tydzień. Jesienią ogrodnik zasadził czterysta cebulek.

- Ho, ho, ho - mruknęła Sara Amberville. Nie zdawała sobie sprawy, że Lily od początku wiedziała, co robi Tobias. Od dwóch godzin powstrzymywała się ze wszystkich sił, zagryzała wargi i modliła się o odwagę potrzebną, aby milczeć. Cóż, może na Manhattanie łatwo jest o dobrych ogrodników. W Andover ten problem w ogóle nie istniał. Być babką to nie takie zabawne, jak sądziła. Ale cóż jest zabawne?

Maxime Emma Amberville była najbrzydszym niemowlęciem, jakie Lily potrafiła sobie wyobrazić: trochę podobna do oskubanego kurczaka, w ogóle bez włosów, krzywonoga, z potówką czerwoną, która wystąpiła już pierwszego dnia. Miała kolkę, wrzeszczała, czy była głodna, czy nie. Okazała się najtrudniejszym noworodkiem w szpitalu, jak zwierzyła się Lily przełożona pielęgniarek.

- Mam nadzieję, że kazałaś tej przełożonej się odpieprzyć! - wybuchnął Zachary, gdy żona powtórzyła mu tę uwagę.

- Zachary! Bynajmniej tego nie zrobiłam. Biedaczka odchodziła od zmysłów.

Zapewniłam ją tylko, że jutro zabieramy małą do domu. Tak naprawdę to się martwię o nianię. Co będzie, jeśli odejdzie? Ogromnie przywiązała się do Tobiasa.

- Niania ma za mało roboty, a dostaje za dużo pieniędzy.

- Zadzwoiłam do agencji i zaangażowałam drugą opiekunkę. Mają kobietę ze świetnymi referencjami, niejaką pannę Hemmings, specjalistkę od trudnych przypadków. Będzie tu w chwili naszego odjazdu ze szpitala i natychmiast obejmie obowiązki. Na szczęście pokój Maxime nie sąsiaduje z pokojem Tobiasa, więc ona nie będzie go budzić.

- O Jezu, Lily, dzieciak ma zwykłą kolkę, nie jest trędowaty. Mnie akurat mała wydaje się pełna życia i ładna. Podobna do mnie, niech to kule biją.

- Nie bądź głupi, mój drogi. Wiesz, że jesteś szalenie atrakcyjny.
- Nie widziałas moich fotografii z tego okresu - rzekł z uśmiechem.
- Chyba z czasem... wyładnieje - mruknęła niewyraźnie Lily. - Bo zbrzydnąć już nie może.

Kolka i potówka czerwona Maxime ustąpiły równocześnie. W ciągu sześciu miesięcy dziewczynka przytyła na tyle, że chude nóżki wyprostowały się i pokryły fałdkami, włosy, skoro już zaczęły rosnać, były gęste i proste, ku słodkiemu, triumfalnemu zadowoleniu Zachary'ego z siwiutkim pasmem dokładnie w tym miejscu co u niego. Była taka żywa, że w ciągu dwudziestu dwóch miesięcy zdołała wykończyć opiekunkę wyspecjalizowaną w trudnych przypadkach.

- Miewałam chore niemowlęta, madame - powiedziała panna Hemmings ze łzami - niemowlęta tak spokojne, że oczywiście coś musiało być nie w porządku; miewałam niemowlęta nadmiernie żywe, które wchodziły wszędzie, nawet do ścieków; miewałam niespełna roczne niemowlęta, które potrafiły się wdrapać na drzewo i to robiły; miewałam niemowlęta, których przez cztery lata nie można było nauczyć siadania na nocniku, miewałam najróżniejsze niemowlęta, jakie moim zdaniem mieć można, ale Maxi... muszę sobie odpocząć, madame, żeby się nie załamać nerwowo.

- O nie! Proszę tego nie robić, panno Hemmings. Proszę, bardzo proszę, niech pani nie odchodzi! - błagała Lily.

- Muszę, madame. Zanadto ją kocham. Maxi jest taka rozkoszna i taka nieznośna. Nie potrafię jej ukarać, a to dla dziecka niedobre.

- Sądziłam, że pani powinna sobie z czymś takim poradzić - chłodno stwierdziła Lily. Ta kobieta wyraźnie postanowiła odejść. - Obawiam się, że Maxi została do gruntu popsuta. Ma swoje zachcianki... niewątpliwie pani powinna była coś z tym zrobić.

- Próbowałam, madame, ale...

- Ale się nie udało; to aż takie proste, prawda?

- Jeśli pani chce spojrzeć na to w ten sposób, i owszem.- Ton panny Hemmings zdradzał, że nie da się wciągnąć w dyskusję, Lily zaś ogarnęła silna irytacja.

- Moim zdaniem pani ponosi pełną odpowiedzialność za niezdyscyplinowanie Maxi, panno Hemmings, i niestety nie będę mogła dać pani dobrych referencji.

- Pani o tym zadecyduje, madame. Wątpię jednak, czy znalezienie innej opiekunki rozwiąże problem Maxi.

- To się okaże! Jestem pewna, że ktoś inny sobie z nią poradzi - odparła Lily z wściekłością.

- Nie lubię winić rodziców - rzekła panna Hemmings, bo zraniło to jej zawodową dumę - ale opiekunka ma ograniczone możliwości. A teraz wybaczy pani, madame...

- Chwileczkę, co właściwie ma pani na myśli mówiąc o winie rodziców, panno Hemmings?

- Maxi jest popsuta, bo ojciec daje jej wszystko, czego zapragnie, a pani cały swój wolny czas spędza z Tobym. Ona ze wszystkich sił stara się zwrócić na siebie uwagę matki, ojca używa zastępczo - skoro pani chciała usłyszeć moje zdanie. - Zanim Lily zdążyła otworzyć usta, panna Hemmings wyszła z pokoju i pospieszyła na górę, aby się spakować. Nigdy w swej długiej i chlubnej karierze tak wyraźnie nie powiedziała, co myśli, i choć cierpiała z powodu rozstania z Maxi, była z siebie dość zadowolona.

Angielska niania Toby'ego, pani Browne, była ulepiona z surowszej gliny niż panna Hemmings. Przejęła opiekę nad Maxi, którą nazywała "naszą dwulatką", w sposób nie pozostawiający niejasności. Lily, dotknięta uwagami panny Hemmings, starała się teraz czytać dziewczynce prawie co wieczór przed jej obiadem. Pozwalała też Maxi w niedzielę rano sadzić się boso w swej obszytej starymi koronkami pościeli i przez pół godziny bawić się biżuterią. Nikt mi nie będzie mógł zarzucić, że zaniedbuję macierzyńskie obowiązki, myślała, wściekle zirytowana i znudzona głośną lekturą.

Wkrótce po swych czwartych urodzinach Tobias zaczął wypadać z łóżka.

Przez dwa lata budził się czasem w nocy i szedł do łazienki, ostrożnie przemierzając znaną sobie trasę, aby nikogo nie budzić.

- Czy mógłbym dostać nocną lampkę? - zapytał pewnego dnia Lily.

- Och, mój skarbie, nie masz jej, odkąd przestałeś być maleńki. Śniło ci się coś złego? O to chodzi?

- Nie. Ale kiedy się budzę, nic nie widzę. Nie wiem, jak daleko jestem od brzegu łóżka, a jak jestem blisko, to spadam. Po ciemku nie mogę znaleźć lampy obok łóżka. Zdarzyło się to parę razy i boli, jak spadam.

- Może w twoim pokoju naprawdę jest za ciemno.

- Nie... nigdy nie było. Wystarczało światło z ulicy, żeby widzieć... ale, nie wiem, chyba po ciemku nie widzę.

- No, na pewno nie ma powodu do zmartwienia - powiedziała Lily z mocno bijącym sercem.

- Wezmę cię jednak do doktora Stevensona na kontrolę.

Musisz przypuszczalnie jeść więcej marchwi, mój mały.

Pediatra dokładnie zbadał Toby'ego.

- Chłopiec jest zdrowy, proszę pani. Jeśli chodzi o wypadanie z łóżka, moim zdaniem to nic poważnego, ale dla wszelkiej pewności należałoby zrobić badanie wzroku.

- Przecież dosłownie przed chwilą zaglądał mu pan w oczy - wykrzyknęła Lily.

- Badanie specjalistyczne. Tylko dla pewności.

- Dla pewności?

- Proszę się nie martwić. Dzieci miewają różne przemijające objawy, zwłaszcza jeśli rosną tak szybko jak ten młody człowiek; zawsze jednak warto się nimi zainteresować, nawet gdyby to się okazało zbyteczne.

Słynny okulista, doktor David Ribin, do którego skierował Tobiasa doktor Stevenson, dokładnie zbadał mu wzrok. Lily siedziała w poczekalni próbując czytać jakieś czasopismo, a czas płynął. Nagle podniosła oczy i zobaczyła, że przy jej krześle stoi Zachary.

- Nie! - wrzasnęła. Ledwie ujrzała męża, wiedziała już, że lekarz wezwał go telefonicznie.

- Lily, Lily. - Zachary otoczył ją ramionami. - Cokolwiek to jest, medycyna znajdzie lekarstwo. Z oczami potrafią zrobić wszystko. W tej dziedzinie dokonał się największy postęp, Lily. Nic się nie martw, ja tego dopilnuję. Chodź, doktor chce z nami pomówić. Toby jest pod opieką pielęgniarki, widziałem ich wchodząc.

- Bardzo mi przykro, że muszę to państwu powiedzieć - rzekł doktor Ribin, kiedy naprzeciw niego usiedli. - Ale Toby ma barwnikowe zwyrodnienie siatkówki. Nie znamy przyczyn tej choroby. Pierwszym objawem bywa często ślepotą zmierzchowa.

- Choroba... co za choroba? - zapytał Zachary i ujął dłoń Lily.

- Po pierwsze, proszę pana, powinienem wyjaśnić, że siatkówka jest cienką wewnętrzną błoną oka. Zawiera światłoczułe pałeczki i stożki. Stożki są receptorami używanymi w przyćmionym świetle i dlatego wszelka zmiana w ich funkcjonowaniu, jak w przypadku Toby'ego, powoduje najpierw ślepotę zmierzchową.

- Czym się coś takiego leczy, panie doktorze? - Lily do szafu doprowadzało to długie wyjaśnianie.

- Nie ma na to lekarstwa, proszę pani. Uszkodzonych komórek nerwowych siatkówki nie można zastąpić.

- Nie ma lekarstwa? Myśli pan o leku?

- Niestety nie - A zatem operacja? Będzie musiał mieć operację? - wykrzyknęła Lily.

- Nie umiemy chirurgicznie usuwać barwnikowego zwyrodnienia siatkówki - odparł doktor Ribin z powagą.

- To niemożliwe! Nigdy w to nie uwierzę! Każdego można leczyć! Ma zaledwie cztery lata, jest dzieckiem, małym chłopczykiem - zaciekle powiedziała Lily, nadal bardziej zbuntowana niż zboleła.

- Co się stanie z Tobym? - Zachary ścisnął jej rękę aż do bólu.

- To choroba postępująca, proszę pana. Z początku atakuje zazwyczaj siatkówkę z boków i choć przez wiele lat Toby może nieźle widzieć środkiem oka, z wiekiem jego pole widzenia będzie

się stopniowo zawężać. W końcu, nie wiemy dokładnie kiedy, będzie widzieć tylko punkcik. Ale przedtem może upłynąć sporo lat. Mam nadzieję, że potrwa to długo, nie mogę jednak obiecać, jak długo.

- Przepraszam, panie doktorze, ale czy nie może to być coś innego? - Zachary musiał zadać to pytanie, choć z miny lekarza odgadywał odpowiedź.

- Chciałbym, żeby było. Dla większej pewności radzę państwu zasięgnąć opinii innego specjalisty, aczkolwiek tak się niefortunnie składa, iż chorobę, wprawdzie rzadką, bezbłędnie i szybko można rozpoznać. Na siatkówce rozsiane są zlepki pigmentu, a naczynia jej są zwężone. Przykro jest być tak pewnym. Wolałbym uważać, że się mylę, proszę pana.

- Ale jak on mógł się tego nabawić? - wykrzyknęła w udręce Lily. - Proszę powiedzieć, jak, och, jak to się stało?

- U dzieci ta choroba, przeciwnie niż w przypadku starczego zwyrodnienia, może być tylko dziedziczna, proszę pani.

6.

Cutter Amberville niemal uległ pokusie pozostania po dyplomie w Kalifornii. W Stanford zawarł wiele wpływowych przyjaźni i zaczął podzielać miejscowy pogląd, iż pod względem doskonałości Harvard ustępuje Stanfordowi. Sara Amberville kilka razy do roku odwiedzała najmłodsze dziecko, lecz święta i letnie wakacje Cutter spędzał na Zachodnim Wybrzeżu.

Po studiach uczył się w Stanfordzkiej Szkole Biznesu, a kiedy ją ukończył, podjął na parę lat pracę w San Francisco, w firmie Booker, Smity i Jameston, której prezesem był ojciec jego współlokatora, Jumbo Bookera, szczupły, drobny, wysportowany mężczyzna, zapalony tenisista, z wielką przyjemnością wygrywający czasem kilka gemów z młodym Amberville'em.

Z początkiem 1958 roku dwudziestoczteroletni Cutter postanowił jednak przenieść się na Manhattan. Odkrył, że nawet w Kalifornii nowi znajomi na ogół zapytują go o brata. Może, myślał, w Chinach nie padałoby to nieuniknione pytanie, nigdzie indziej natomiast nie dało się ukryć tego związku. Skoro już zachodził, Cutter równie dobrze mógłby go wykorzystać w Nowym Jorku, centrum bankowym, gdzie bycie Amberville'em nie mogło zaszkodzić jego karierze. Zamierzał zrobić wielkie pieniądze. Zachary nie musi być jedynym bogatym Amberville'em.

Cutter przesiąkł tradycjami Stanfordu i San Francisco, jeśli idzie o sposób bycia, kulturę i arystokratyczne podejście nawet do świata interesu.

Trudno mu było przystosować się do manhattańskiego zbiorowego szaleństwa.

Kim są wszyscy ci ludzie? Dlaczego biegają zamiast chodzić? Dlaczego nie potrafią prowadzić rozmowy na cywilizowanym poziomie decybeli? Czy rzeczywiście czegoś dla wszystkich nie wystarcza, czy też oni po prostu tak się zachowują?

Po tygodniu postanowił ignorować większą część miasta, nie podejmować prób zrozumienia go w jego przykrych przejawach. Odkrył, że przecież na niektórych ulicach mieszkają ludzie tacy jak on, a przyjaciele z Andover, Stanfordu i San Francisco natychmiast wprowadzili go do takich domów na Manhattanie, gdzie mógł się czuć dobrze.

Cutter Amberville wszędzie spotykał się z więcej niż ciepłym przyjęciem.

Był wysoki, bo mierzył sześć stóp i dwa cale, dobrze zbudowany, a dzięki uprawianiu sportów wyrobił sobie te długie, eleganckie mięśnie, na których widok krawiec mruczy z zadowolenia. Charakterystyczna uroda, jaką się wyróżniał w latach chłopięcych, dojrzała z wiekiem i Cutter stał się niezwykle przystojnym mężczyzną. Opalony na brąz, włosy miał wyblakłe od kalifornijskiego słońca, nos duży, idealnie uformowany, oczy niebieskie jak morze wokół Sycylii, zimne jak woda fiordu, ascetycznych zaś, ostro zarysowanych ust żadna kobieta nie mogła przeoczyć. Uderzała w nim nie masa, lecz siła, a gdy wchodził do pokoju, nasuwał myśl o "lekkonogim matadorze" Byrona. Mimo iż jasny blondyn, surowością i zaciekłością przypominał

torera, poruszał się tak pewnie i z takim wrodzonym poczuciem godności, jakby nie zawdzięczał tego wysiłkowi woli, równie wielkiemu jak ten, którego wymagało nadanie uśmiechowi pozorów ciepła i szczerości.

Jego istotą i rdzeniem stał się teraz bezsprzeczny urok w sposobie bycia; był miły, pochlebny, nieodzownie czarujący jak każdy zazdrośnik, który przez całe życie stara się pozyskać uwagę i miłość, w jego mniemaniu niesprawiedliwie odmawiane mu w dzieciństwie.

Cutterowi, jedenaście lat młodszemu od Zachary'ego, zaczęło się wydawać, że różnica wieku równa się raczej pokoleniu. Choć za nic nie wyrzekłby się głębokiej, dojmującej nienawiści do brata, który rzucił cień na jego młodość, choć żadne osobiste sukcesy nie mogłyby mu wynagrodzić tego, co we własnym przekonaniu mu się należało, a co bezpowrotnie utracił, tak się zżył z nienawiścią, że czasami potrafił prawie nie pamiętać o litanii krzywd, prawie dopuścić, aby usnął robak toczący mu serce.

Ale nawet jeśli chwilowo zdołał ignorować Zachary'ego i jego olbrzymie sukcesy, następujące jeden po drugim jakby po to, aby go dręczyć, nie mógł ich przyjąć za rzecz oczywistą, pogodzić się z tym, że jest młodszym bratem Zachary'ego Amberville'a. W głębi duszy zawsze czuł, iż sukces Zachary'ego pozbawia go czegoś istotnego. Wiczyście, niesprawiedliwie go pomniejszano, czemu winien musiał być Zachary. Cutter mimo swego wyjątkowego uroku, urody graniczącej z pięknnością, przepojony był niedostrzegalną goryczą, tak stała, jakby ją miał wytatuowaną w sercu. Pielęgnował tkliwie swą nienawiść, gdyby ustąpiła musiałby przebudować swój świat, inaczej go wytłumaczyć. Ale taka szansa nie istniała, bo periodyki Amberville'a pojawiały się co tydzień i co miesiąc na stoiskach z gazetami, wabiły lśnącymi nowymi okładkami, z miesiąca na miesiąc puchły od ogłoszeń, a "Tydzień w TV" odruchowo kupowały miliony Amerykanów, leżał przy telewizorze w każdej bibliotece, do jakiej wchodził Cutter.

Cutter przyjechał do Nowego Jorku w rok po rozpoznaniu choroby Tobiasa, który jeśli nie liczyć nocnej ślepoty, zdaniem Lily widział nie gorzej niż przedtem. Ani ona, ani Zachary nie powiedzieli nikomu, nawet niani, o wizycie u doktora Ribina. Radzili się innego specjalisty, który potwierdził diagnozę. Skoro jednak nic się nie dało zrobić, zachowywali milczenie. Nie mogli omawiać przyszłości Tobiasa nawet we dwoje. Zwłaszcza we dwoje.

Choroba dziedziczna. Co do tego zgodzili się obaj lekarze. W rodzinach Amberville'ów, Andersonów, Dale'ów ani Cutterów nie było ociemniałych. Lily natomiast ze strony matki miała niewidomego dziadka markiza i niewidomego wuja. Nie, nie mogli dyskutować o Tobym, bo słów, jakie im przychodziły do głowy, nigdy nie wypowiedzieliby na głos. Jej geny, myślał Zachary. Moja wina, myślała Lily. Niesprawiedliwe, z gruntu, absolutnie niesprawiedliwe.

Oboje wiedzieli, że są to słowa niesprawiedliwe, cisnęły się jednak same.

Ogromne milczenie, pustka wywołana tym milczeniem zapanowała w ich wspólnym życiu; tak wyraźnie uświadamiali sobie nie wypowiedziane słowa, jakby były czymś namacalnym, lodowcem nieubłaganie pokrywającym ich zawsze kruchą zażyłość.

Dwudziestoczteroletnią Lily uznano za najbardziej, od kilku pokoleń, frapującą przedstawicielkę nowojorskiego towarzystwa. Kobiety o trzydzieści lat od niej starsze, bogate, kulturalne, zajmujące wysoką pozycję, robiły wszystko, aby ją poznać, była bowiem nie tylko córką wicehrabiostwa Adamsfield, lecz także panią Amberville, żoną człowieka, który właśnie ofiarował milion dolarów na kolekcję malarstwa amerykańskiego w Metropolitan Museum i dał dwa miliony na ogólny fundusz stypendialny uniwersytetu Columbia. Dary te złożył w imieniu Lily.

Lily podejmowała tak dyskretnie, a zarazem tak wspaniale, tak doskonale szafowała pieniędzmi, że nie trafiała na łamy gazet, kiedy natomiast wyjeżdżała z Nowego Jorku do Londynu czy Paryża, odczuwano to jako stratę, jako przyćmienie manhattańskiego blasku. Po jej powrocie modne kwiaciarnie otrzymywały dziesiątki zleceń na powitalne kosze kwiatów, przesyłane w należnym jej hołdzie, a życie towarzyskie nabierało tempa, dzięki czemu duży krąg jej znajomych czuł, że wszystko znowu wraca do normy, że rozpoczął się okres zabaw.

Lily ze szczodrością patronowała zespołom baletowym i co rano przez godzinę ćwiczyła przy drążku. Odgrywała główną rolę w wielkich wydarzeniach kulturalnych, które przyciągały nowojorczyków z określonej sfery, rzadko natomiast zostawała członkiem jakiegoś komitetu; samo jej pojawienie się na benefisie czy premierze, z delikatną wyższością wschodzącego księżycyca, zawsze w sukni od Mainbochera, z włosami zaczesanymi do tyłu i upiętymi w ciężki kok, wystarczało, aby nadać wieczorowi piętno doniosłości.

Pełni życia nowojorczyki, szybcy w mowie i ocenie towarzyskich walorów, z uznaniem odnosili się do jej początkowej nieśmiałości, w której bystrze, dzięki wrodzonej spostrzegawczości, potrafili dostrzec tego rodzaju wyższość, jaką chętnie, wręcz z zadowoleniem się stwierdza. Jej wyższość tylko podkreślała ich wyższość. Sam fakt, że postanowiła nie używać tytułu, sprawiał im przyjemność, mogli bowiem mówić nie wtajemniczonym, iż jest córką wicehrabiego, córką dziewiętnastego baroneta. Wkrótce ci, co ją znali - albo sądzili, że znają - najlepiej, zaczęli się chlubić przemilczaniem tej sprawy.

Na długo przed wystąpieniem pierwszych objawów choroby Toby'ego przestała myśleć, że w końcu doświadczy jakiejś fizycznej rozkoszy. Widocznie tak już została stworzona i nie potrzebuje doznań seksualnych będących celem życia niektórych kobiet. Przecież wszystko jest stopniowane i jedne żyją dla czekolady, inne dla martini. Lily nie buntowała się z powodu braku pożądania, skoro życie oferowało tyle rozkosznych i osiągalnych przedmiotów, a ona wciąż miała na nie chętkę, niezależnie od tego, ile kupowała.

Zachary ze swej strony dochodził stopniowo do wniosku, że oziębłość Lily jest nieuleczalna. Ani na chwilę nie tracił łagodnej cierpliwości, lecz nic nie mogło jej rozbudzić. Nigdy się od niego nie odwracała, w nim jednak wygasła namiętność, w miarę jak pojmował, że nie zostanie odwzajemniona.

Darzył Lily tym większą miłością, bo zabarwioną współczuciem dla tej cudownej dziewczyny, która się nie skarżyła.

- Ten. - Maxi wskazała na słowo w programie wyścigów. Czterej mężczyźni, siedzący z nią w łoży w Belmont Park, popatrzyli na dziewczynkę ciekawie.

- Więc mała umie czytać, Zack? - zapytał Barney Shore ubawiony.

- Umiesz czytać, Maxi? - zwrócił się do niej ojciec. Ta trzylatka do wszystkiego była zdolna. Mogła się sama nauczyć.

- Ten - powtórzyła.

- Dlaczego ten? - chciał wiedzieć Nat Landauer.

- Ten mi się podoba, wujku - odparta Maxi.

- Dlaczego ten ci się podoba, moja panno? - cicho zagadnął Joe Shore.

Mężczyźni zamilkli w oczekiwaniu.

- Podoba mi się i już, wujku Joe - odrzekła Maxi niewzruszona. - Ten.

- Jak on się nazywa, Maxi... Możesz powiedzieć wujkowi, jak się nazywa?

- Nie, ale mi się podoba.

- Panienska nie umie czytać - autorytatywnie stwierdził Joe Shore.

- Ale może umie wybrać konia... może jest... wiecie, głupią mądrałą jak ci faceci, którzy potrafią powiedzieć, kiedy od dziś za tysiąc lat wypadnie czwartek - powiedział Barney Shore w podnieceniu.

- Bardzo proszę o trochę szacunku dla młodej damy - rozkazał jego ojciec.

- Jak można się tak wyrażać przy dziecku?

- Przepraszam, tato. Maxi, podoba ci się jakiś inny?

- Nie, wujku Barneyu, tylko ten.

- Górą czy dołem? - uporczywie pytał Barney.

- Górą - odpowiedziała natychmiast. Nie wiedziała, że są różne zakłady.

- Daj spokój, Barney, chyba nie traktujesz tego poważnie? - bez przekonania zaprotestował Zachary.

- Nie zaszkodzi posłuchać Maxi. Wszyscy czterej razem wzięci nie wymyślimy nic lepszego. Może potrzebny jest nam nowy punkt widzenia.

Kobieca intuicja, Zack. Ty zawsze byłeś wierzący.

- Ileż by to mogło kosztować? - dodał Nat Landauer.- Po dwa dolary na głowę to niewielka strata. W zeszłym roku przepuściłem z dziesięć tysięcy.

- Po dwa dolary na głowę, ja stawiam - zaproponował Zachary. To on przecież odpowiada za Maxi.

- Pójdę do kasy - zaofiarował się Barney.

- Mogę poprosić o hot dog, tato? - spytała Maxi. Zachary popatrzył na nią, opanowaną, usadowioną wygodnie, troszkę podobną do japońskiej lalki ze swą prostą czarną grzywką i gęstymi włosami równo podstrzyżonymi na karku.

Ubrana była w żółtą sukienkę z białym kołnierzykiem, z marszczonym karczkiem i krótkimi bufiastymi rękawami, w białe skarpetki i czarne lakierki. Pikantna, śmieszna słodycz jej buzi zawsze go zdumiewała, niezależnie od tego, jak często i długo na nią patrzył.

- Tato? Poproszę o hot doga.

Niania by go zabiła, gdyby się dowiedziała.

- Nie, kochanie, niestety te hot dogi nie są dobre dla małych dziewczynek.

- Tak pysznie pachną. - Obdarzyła go niepewnym uśmiechem.

- Smakują gorzej niż pachną.

- Tyle innych dzieci je zjada. - Uśmiech Maxi z jeszcze bardziej niepewnego przemienił się w łagodnie wzruszający uśmiech kogoś, kto rozumie, dlaczego nie może dostać szklanki wody, choć umiera z pragnienia, kogoś, kto wybacza osobie, która tej wody odmawia.

- Maxi, jedzenie hot dogów na torze jest niebezpieczne argumentował Zachary.

Maxi ujęła rękę ojca i przytuliła się do niego.

- Dobrze, tato. Żałuję... żałuję...

- Czego, złotko?

- Że nie zjadłam więcej na lunch - odrzekła cierpliwie i ze smutkiem.

- Jesteś głodna?

- Tak, ale już trudno, tato. Mnie to nie szkodzi. - Spojrzała na Zachary'ego z łezką w oku. - Naprawdę, nic nie szkodzi.

- Nie zniosę tego - oświadczył Nat Landauer. - Nie wytrzymam, ty nieludzki, bezlitosny, nieczuły sukinsynu! Wujek Nat kupi ci hot doga, Maxi.

- Nie, dziękuję, wujku. Tata mówi, że nie powinnam ich jeść.

Zapadło milczenie. Joe Shore zrobił zboląłą minę i westchnął głęboko.

Zachary Amberville z wściekłością wpatrywał się w szwagra, a Nat Landauer w niego. Maxi wstrzymując oddech spoglądała to na jednego, to na drugiego.

Dwie łzy spłynęły po jej policzkach.

- Dobrze, dobrze, ale bez musztardy! - wykrzyknął Zachary.

- Musztarda jest najlepsza, ty durniu. - Nat zazgrzytał zębami ze złości.

- Lubisz musztardę, panienko? - zapytał Joe Shore znów uśmiechnięty.

- Lubię hot dogi z keczupem.

- Keczup jest doskonały - pospiesznie zapewnił Zachary. Dzieci odżywiały się głównie keczupem, nawet niania go lubiła.

Podniósł Maxi do góry, żeby mogła śledzić gonitwę. Ładnie jadła swojego hot doga, podczas gdy jej koń wygrywał.

Barney Shore poszedł odebrać pieniądze. Wrócił rozpromieniony i wyciągnął z kieszeni zdumiewającą masę banknotów.

- Postawiłem za każdego z nas setkę i setkę za Maxi. Ostrożni z was gracze. Ktoś mógłby mi podziękować.

- Dziękuję, wujku - powiedziała Maxi. Ta gra naprawdę jej się spodobała.

Postanowiła dać buzi wujkowi Barneyowi w nagrodę za to, że jest taki miły...

- Oczywiście was dwojga nie muszę sobie przedstawiać - powiedziała Pepper Delafield i odeszła od Lily i Cuttera, aby powitać nową gromadkę gości.

- Dziwnie by wyglądało, gdybyśmy uścisnęli sobie ręce.- Cutter ujął i przytrzymał dłoń Lily. - Powinienem cię pocałować w policzek, ale to byłoby jeszcze dziwniejsze, skoro się nie znamy.

- Najdziwniejsze ze wszystkiego jest to, że spotykamy się po raz pierwszy. Ilekroć przyjeżdżałam z Zacharym do San Francisco, ciebie tam nie było. I nigdy nie pokazywałeś się w Nowym Jorku... - Głos Lily zamarł i cofnęła rękę. Nie miała pojęcia, że widząc jej fotografię w "Vogue" czy "Town & Country", Cutter zawsze z pośpiechem i złością odwracał kartkę, myślał o niej pogardliwie, że ma słodką typowo angielską buzię i że brat zapewne ożenił się z nią dla tytułu, tak jak ktoś kupuje w cukierni tę, a nie inną babeczkę, bo ma wiśnię na wierzchu. Oczywiście widywał Zachary'ego, gdyż brat go utrzymywał, dopóki sam nie zaczął zarabiać, ale nie chciał grać młodszego szwagra wobec utytułowanej Lily.

- Jestem tu teraz na stałe - powiedział. Wokół nich rozbrzmiewały odgłosy przyjęcia, uspokajające dla każdej, choćby najbardziej doświadczonej gospodyni, odgłosy żywej, przerywanej śmiechem, swobodnej rozmowy, ciągłej i podobnej do bulgotania potrawy w wielkim garnku na odpowiednio wyregulowanym ogniu, odgłosy, które pozwalały nie zauważyć, że między Lily a Cutterem zapadła chwila niezręcznej ciszy. Ta kobieta, nie dająca się zlekceważyć podobnie jak siła ciężenia, wprawiła go w osłupienie.

Dotychczas znał tylko młode Amerykanki, debiutantki albo dziewczęta po debiucie, z establishmentu Wschodniego i Zachodniego Wybrzeża, dziewczęta, które z miejsca rozumiał,

świadomie bądź nieświadomie wzorujące się na ideale, tym ideałem zaś była Lily. Cóż za wspaniała istota! Miała w sobie coś niesłychanie rzadkiego: każdy szczegół twarzy uwydatniony, jak na powiększonej fotografii, ale całość cechowała prostota, typowa tylko dla najczystszej piękna.

Niezbędna. Ta żarząca się kobieta jest dla niego niezbędna, ta spośród wszystkich kobiet na świecie wybrana przez jego brata. Nie mogła zapewne kochać Zachary'ego. Pojął to natychmiast nie miał cienia wątpliwości, bo gdyby kochała męża, nie patrzyłaby, nie mogłaby patrzeć na niego takim wzrokiem, z dziką ciekawością, z obawą, która napełniła jego uszy triumfalnym dźwiękiem tam-tamu, z obawą, od której zadrżały jej wargi, zgasł towarzyski uśmiech, wzrok wbił się w podłogę, a ciało zeszywniało, aby nie dygotać. Ta obawa mogła mieć jedną tylko przyczynę i Cutter doskonale ją rozumiał, gdyż sam czuł podobnie. Tak boi się ktoś, komu życie w ciągu minuty na zawsze się odmieniło.

- Cutter, na Boga, Cutter! Rozglądałem się wszędzie za tobą. Pepper mówiła, że tu jesteś. Niech to diabli, Cutter, miło cię widzieć! - Zachary nie mógł się powstrzymać i uściskał brata szybko, z zakłopotaniem. Od dawna cierpiał z powodu chłodnej, sztywnej rezerwy brata, ale nie umiał jej przełamać. Ich wzajemne stosunki zawsze cechowało pewne napięcie, dla niego niezrozumiałe. Wreszcie, nie znajdując innej rady, postanowił to złożyć na karb różnicy wieku, przepaści między pokoleniami. Ale ucieszył się na widok chłopca. Nie, poprawił się, mężczyzny, bo Cutter bezsprzecznie był już mężczyzną, miał dwadzieścia cztery lata i pod każdym względem prócz wieku przewyższał zebranych w pokoju.

- I mnie miło cię widzieć, Zack. - Cutter uśmiechnął się odruchowo. Jak on śmiał, jak mógł być na tyle bezczelny, aby się z nią ożenić? Nie miał do niej prawa, czyż o tym nie wiedział? Mógł ją obsypać brylantami i szafirami i nazywać, jak zechce, lecz ona nigdy do niego nie należała. Cutter popatrzył na Zachary'ego, dostrzegł zadatki brzuszka, tym wyraźniejsze, że Zachary od kilku lat nie znalazł czasu na obstalowanie nowego smokinga, zauważył pasma siwizny w jego ciemnych włosach. Na twarzy Zachary'ego pojawiły się zmarszczki, nowe dla Cuttera, rezultat długich nocy spędzanych w minionym roku pod drzwiami pokoju Toby'ego, gdzie teraz zawsze paliła się lampa.

- Świetnie wyglądasz, Cutter! Prawda, że świetnie wygląda, kochanie?

Słuchaj, jak z mieszkaniem? Bo jeśli go nie masz, możesz chwilowo zatrzymać się u nas.

- Dziś je wynająłem, Zack, na Sześćdziesiątej Siódmej Wschodniej, o parę przecznic od waszego domu. Jest umeblowane i dopóki nie znajdę czegoś na stałe, zupełnie mi wystarczy.

- Doskonale, w takim razie musisz przyjść do nas... może jutro, co, Lily... jutro jemy obiad w domu?

- Tak.

- Odpowiada ci to, Cutter?

- Szalenie.

- Przyjdź wcześniej, żebyś mógł zobaczyć dzieci. Zjemy o ósmej, ale gdybyś mógł być o wpół do siódmej, zobaczyłbyś oboje, zanim niania je porwie.

- Znakomicie. Liczę na to.

- Rodzina nie powinna stać i rozmawiać ze sobą. - Pepper Delafield podeszła do nich zamaszycie i rozstawiła całą trójkę w strategicznych punktach wśród innych gości, tak jak to tylko ona potrafiła zrobić.

Tej nocy Lily nie zmrużyła oka i w końcu o piątej wstała i zaczęła wędrować po wielkim domu, dotykając politurowanego drewna, podnosząc ciężkie srebrne puzderka i odstawiając je na miejsce, mnąc poduszki w aksamitnych pokrowcach. Kiedy przyłapała się na tym, że metodycznie niszczy bukiet, oskubuje płatki róż, trze w rękach, aż zwiotczeją i zwilgotnieją, po czym ze złością ciska je na stół, postanowiła przejść do sali balowej, gdzie tańczyła, i poćwiczyć przy drążku. Było to niezawodne lekarstwo na różne myśli, głęboko zakorzeniony rytm ciała i umysłu, na którym mogła polegać. Mimo to o świcie złamała dyscyplinę i po raz pierwszy w życiu nie dokończyła ćwiczeń ani się tym nie przejęła. Czekala, nasłuchiwała w ciszy, czy nie zdarzy się coś, czego nie umie nazwać, świadoma, że nie jest zdolna w tym dniu stawić się na umówione spotkania. Odwoła je i posiedzi w domu.

Ranek spędziła na bezmyślnym przerzucaniu stosu świeżych czasopism w swoim saloniku. Od dwóch lat mieli z Zacharym oddzielne apartamenty i służba przywykła do tego, że czasami robi jednodniową przerwę w wyczerpujących zajęciach i tak jak teraz każe sobie podać lunch na tacy.

Wpatrzona w nie tknięte jedzenie liczyła godziny do szóstej trzydzieści. Co parę minut wstawała, aby się przejrzeć w lustrze, i za każdym razem widziała tylko dziwnie przerażone oczy i rozpalone policzki. Próbowala zadzwonić do paru osób, ale nie wykręcała numeru do końca, bo nie mogła sobie wyobrazić, o czym będzie rozmawiać z przyjaciółkami.

Wszystko zdawało się nieważne, pozbawione znaczenia. Jak gdyby nie miała przeszłości ani przyszłości. Podniósłszy rękę do gardła wyczuła wściekle przyspieszone tętno. Chodziła po pokoju i powtarzała tych parę zamienionych z Cutterem słów, banalnych, lecz pocieszających, bo powiedział, że jest w Nowym Jorku na stałe. Widziała oczywiście jego fotografie, zdjęcia rodzinne pokazywane jej przez teściową nie zapowiadały jednak, iż ten jasnowłosy chłopiec o surowych, regularnych rysach wyrośnie na tak wspaniałego mężczyznę, na którego widok zaniemówi w przypływie pierwotnego pożądania, bezradna, drżąca, oszalała z niepokoju, oszołomiona otwierającymi się przed nią nowymi horyzontami, widokiem burzliwego, nieuniknionego nieba. Raz po raz spoglądała na zegarek. Jeszcze pięć i pół godziny.

Rozległo się stukanie i wszedł pokojowy.

- Pan Amberville, madame - zaanonsował i przeciął pokój, aby zabrać tacę z lunchem. Cutter nieruchomo stał w drzwiach. Odważyła się raz tylko zerknąć na jego twarz, ale nie mogła się zmusić do napotkania jego wzroku ani do wstania z kanapy. Żadne z nich nawet nie drgnęło, dopóki służący nie zamknął za sobą drzwi. Wtedy Cutter podszedł do kanapy i dźwignął Lily bez wysiłku, postawił obok siebie drżącą, niemą, choć nie zaskoczona, rzecz dziwna, nie zaskoczona. Położył jej dłonie na rozpalonych policzkach, po czym z szalonym rozmysłem i powagą zaczął całować ją w usta, całować raz po raz, aż osunęli się na kolana, bo stać nie mieli siły. Nie wypowiedzieli ani słowa, ale wkrótce byli już nadzy, zdartą w milczeniu odzież rzucili na dywan, dyszeli z pośpiechu. On był gotów i miał tylko jeden cel. Ona się nie uśmiechała. Miała ten sam cel. Przywarci do siebie, wzdychając, sapiąc, dopełnili się nawzajem. Bez powitań, obietnic, wymienili jedną samotność na drugą, swoje niespełnione ja, swoje samotne, spragnione dusze. Później, niemal natychmiast, wziął ją ponownie i tym razem świat się dla niej odmienił, Lily odkryła tę dotychczas nie znaną tajemnicę ludzkiej namiętności, odkryła swój własny rytm, czekający w ukryciu jej ciała na tę właśnie chwilę. Cóż by się stało, gdyby on nie żył? Jak zdołała tak długo bez niego wytrzymać?

- Nie wiem, co począć - rzekła wreszcie, obojętna na wszystko, prawie niezdolna formułować słów.

- Muszę cię teraz zostawić, ukochana. Robi się późno i ktoś niechybnie tu zajrzy. Przepraszam w moim imieniu, że nie będę na obiedzie. Nie mógłbym patrzeć na was dwoje... rozumiesz to, prawda? Przyjdę jutro o tej samej porze, jeśli zechcesz. Kochasz mnie, Lily? Kochasz?

- O Boże, tak!

Cutter głęboko zanurzył w niej palce. Znów była gotowa na jego przyjęcie, nie zamknęła się jak kobiety, kiedy mają dość.

- Jutro - powtórzył i wyszedł.

Lily nigdy nie potrafiłaby wytłumaczyć, jak spędziła popołudnie po wyjściu Cuttera. Pewnie się wykapała, poczytała dzieciom, dopilnowała ich w czasie kolacji, zjadła obiad i usprawiedliwiła nieobecność Cuttera. Ale do końca życia miała pamiętać sekundy tego pierwszego dnia; zapach swoich rąk po jego wyjściu; podartą odzież, którą ukryła w głębi szafy; okna pootwierane w saloniku, aby wywietrzyć zapach ich miłości; krem powoli, w rozmarzeniu wcierany w policzki, które lekko podrapał zarostem; dywan pod rozrzuconymi nogami; godzinę w łazience, gdzie za zamkniętymi na klucz drzwiami szlochała niepowstrzymanie i wylewała łzy straszliwej radości; wydobywające się z jej ust dźwięki, podobne do kwilenia noworodka.

Po obiedzie, świadoma, że nie potrafi normalnie funkcjonować, gdy nie będą się przy niej kręcić dzieci czy służba, powiedziała Zachary'emu, że odczuwa potrzebę szybkiego spaceru. W zamyśleniu skinął głową, więc zostawiła go w bibliotece nad przyniesionymi z biura papierami.

Dwa czy trzy razy obeszła kwatera uliczny, zastanawiając się, czy dotrwa do końca wieczoru, jeśli nie pójdzie do Cuttera. Wreszcie pojęła, że to beznadziejne, i prawie pobiegła o trzy przecznice dalej, do jego mieszkania. Nacisnęła dzwonek. Co zrobi, jeśli go nie zastanie? Wstrzymała oddech, dopóki drzwi się nie otworzyły, i potykając się na schodach wpadła do mieszkania. Nie wiedziała, co mu powie. Stał w drzwiach, na sobie miał tylko szlafrok.

- Ściągnąłem cię siłą mej woli. Odkąd się rozstaliśmy, o niczym innym nie myślałem - rzekł. Weszła do środka, nie zwróciła uwagi na byle jakie umeblowanie, na zniszczone skórzane obicia i krzesła w musztardowym kolorze. Cutter zagroził jej drogę.

- Robiłaś to przedtem? Z kimkolwiek? - zapytał surowo.

- Oczywiście, że nie - odparła w zdumieniu, z twarzą zaróżowioną od wiatru, rozplomienioną odwagą.

- Tak sądziłem, wiedziałem, że to powiesz. - Rozpiął jej palto i wprowadził ją do małej sypialni, gdzie czekało posłane łóżko. Zadarł spódnicę Lily do pasa i ściągnął figi. Miała na sobie pas do podwiązek i pończochy; poniżej pasa, nad majtkami widoczna była platanina blond włosów.

Cutter pochylił się i powoli wsunął język między delikatnie zaciśnięte wargi. Wrzasnęła. - Zamknij się, kochanie - szepnął i tym razem głębiej zanurzył język, aż wargi się rozchyliły i napotkał wilgoć. Bezlitośnie w tę i z powrotem przesuwając językiem po łechtaczce. Lily rozchyliła nogi, na ile pozwalały opuszczone do kolan majtki, wygięła się, otworzyła usta i oddychała płytko, całkowicie skoncentrowana na wędrówce jego języka, świadoma w swym uniesieniu, że nic go nie powstrzyma. Uniosła biodra, aby ułatwić mu dostęp, przycisnęła wznórek łonowy do jego twarzy, zataczając kręgi, ale Cutter na to nie pozwolił. On rządził, był szefem i przytrzymawszy ją łokciami cofnął język, aż zakwiliła, zaczęła prosić, błagać o to na głos. I znów zanurzał w niej język jak najgłębiej, zanurzał i wyciągał, za każdym razem trzepiąc w łechtaczkę, a choć krzyczała, nie ustawał, dopóki w końcu nie umilkła.

- Należysz do mnie? - zapytał.

- Należę do ciebie.

- Musisz należeć zawsze, prawda? Nic tego nie może zmienić, prawda?

- Nigdy. Nic. Nikt.

- Dotknij mnie - rozkazał.

Położyła dłoń na jego członku, twardym jak wtedy po południu w jej pokoju.

- Wczoraj, kiedy cię pierwszy raz zobaczyłem - szepnął ochryple - stanął mi natychmiast. I tak już było w czasie całej naszej grzecznej rozmowy na przyjęciu. W nocy spuściłem się przez sen, a dziś rano, po przebudzeniu, na myśl o tobie znów musiałem to zrobić, w rękę, bo taki był twardy, że bolał.

Teraz chcę ci go włożyć do ust.

- Tak - powiedziała. - Tak. O tak.

Ryzykowali, jak robią to tylko szaleńcy. Stawali ubrani w kabinie telefonicznej w L'Aiglon, on ręką przytrzymał drzwi i podczas gdy Zachary i towarzyszka Cuttera pili kolejnego drinka przed obiadem, on przez spodnie pocierał ją o swój twardy jak skała członek, aż zaciskała w orgazmie zęby, aby nie krzyknąć. Chodziła do niego do biura, gdy zaczął pracować na Wall Street, a kiedy sekretarka jadła lunch, on klękał na dywanie, ona siadała na kanapie, z odrzuconą do tyłu głową i zamkniętymi oczami, on zaś samymi palcami wilgotnymi od jej soków doprowadzał ją do dzikiego orgazmu, obserwując wyraz jej twarzy.

Często, bardzo często, w swoim mieszkaniu nie pozwalał się dotknąć, choć o to błagała. Doświadczał gwałtownej radości, gdy sam nie pozwalał sobie na przyjemność, gdy stwarzał sytuacje, w których ona miała orgazm, a on nie.

Lily przestała nosić majtki. Nigdy nie wiedziała, kiedy w nią wejdzie, a on jej nie mówił.

Od niechcenia brał ją za łokieć na przyjęciu i rozmyślnie powoli prowadził do łazienki, zamykał drzwi na klucz i kazał jej kłaść się na dywaniku. Nie rozbierając się zadzierał do pasa jej szeroką spódnicę i bezlitośnie ssał ją do skutku, po czym natychmiast wychodził. Następnego wieczora, na innym przyjęciu, rozpinał w łazience rozpiorek i wchodził w nią zaabsorbowany wyłącznie sobą, kończył szybko i nie czekał na jej orgazm.

Pierwszy przyłączał się do gości i obserwował ją przez cały wieczór, patrzył, jak się porusza po pokoju, wilgotna od jego spermy pod suknią, wilgotna z własnego pożądania, ale spokojna, bo go omija spojrzeniem.

Podczas przerwy w komediach muzycznych na Broadwayu, kiedy Zachary czekał w kolejce po lemoniadę, oni stawali w kącie unikając swego wzroku. - Chcę cię ssać - szeptał, lizał kciuk i wciskał go w jej dłoń. - Chcę cię ssać wolno, godzinę, wolno, wolniutko, i nie pozwolić ci na orgazm. - Sięgał pod klapę jej wieczorowego płaszcza, wyciągał z głębokiego dekoltu jedną pierś i trzymał w ręce, pocierając sutek wilgotnym kciukiem. Wstrząsał nią szybki dreszcz rozkoszy, po którym oczy miała jeszcze bardziej błyszczące, rozkoszy niepełnej, zgodnie z przewidywaniem Cuttera, toteż przez cały drugi akt usychała z pożądania, a nie mogła go dotknąć.

Lily przestała się malować, co tłumaczyła uczuleniem na szminkę; stale nosiła w torebce małą szczotkę do włosów, flakonik perfum i starannie zwinięty plik ligninowych chusteczek, a także miniaturową szczoteczkę i tubkę pasty do zębów, które myli, ilekroć się dało. Jeśli byli z dala od łazienki, zaraz po przyłączeniu się do towarzystwa wypijali trochę brandy.

Mimo szaleńczej żądz nie oszaleli na tyle, aby nie wiedzieć, że muszą pachnieć seksem.

Lily nałogowo polubiła odwlekanie chwil spełnienia; szczyła się tym, że nie wie, co Cutter zamierza jej zrobić. Odmawiała sobie zaspokojenia, niezależnie od tego, jaki jej sprawiał zawód,

toteż się rozplęwała, drżała z pożądania o każdej porze, zwłaszcza kiedy się przebierała przed pójściem na jedno z tych licznych przyjęć, na jakie zapraszano ich troje, bo Cutter prędko znalazł się w gronie osób, z którymi Amberville'owie spotykali się niemal co wieczór w tym nowojorskim sezonie wiosennym. Za każdym razem, gdy skrzyżowała nogi, wstrząsał nią krótki, szybki dreszcz orgazmu.

Lily pod byle pozorem wykręcała się od pracy w komitetach i odrzucała wszystkie zaproszenia na lunch, aby zawsze mieć czas na spotkanie z Cutterem w jego mieszkaniu. Mógł przyjechać i wrócić metrem na Wall Street, i jeszcze spędzić z nią w środku dnia długie pół godziny. Tylko wtedy zupełnie nadzy leżeli w łóżku. Ale dawkował tę przyjemność twierdząc, że ma służbowy lunch, znacznie bowiem wolał ryzyko w miejscach publicznych od bezpieczeństwa w łóżku; wolał mieć nad nią władzę, dotykać tylko jej łokcia i odrywać od grupki osób, zwłaszcza jeśli w tej grupce był Zachary. Czasami stał obok Lily, po królewsku wystrojonej w jedwabie i klejnoty, z włosami luźno opadającymi na plecy, bo nie chciała się teraz czesać inaczej, i przez trzy kwadranse rozmawiał z Zacharym o interesach, świadomy, że ona czeka na jego znak. Potem pod byle pretekstem podchodził do kogoś innego.

To były najlepsze chwile, te wieczory, kiedy obojgu im odmawiał, kiedy ledwie muskał wargami jej policzek po towarzyskim spotkaniu, wiedząc, że w ciągu minionych godzin bratowa w każdym momencie gotowa była klęczeć u jego stóp z ustami otwartymi na jego przyjęcie.

Od urodzenia Maxi Amberville'owie mieli letni dom, wielką, krytą gontem rezydencję położoną wysoko nad wydmami Southampton, z widokiem na Atlantyk.

Lily lubiła te leniwe miesiące. Było coś niemal angielskiego w całkowitym nieróbstwie, picciu herbaty, ścinaniu róż, grze w krykieta, w codziennych wizytach w klubie Maidstone, gdzie grało się w tenisa w atmosferze strzeżonego, ściszonego, grzecznego oddalenia od nowojorskich tłumów. W lecie znajdowała więcej czasu dla dzieci, a w dni powszednie, kiedy Zachary z rzadka mógł przyjeżdżać na obiad, niejednokrotnie wołała nikogo nie widzieć i sama siadać do stołu. Po obiedzie odbywała czasem samotne spacerunki po plaży, czując pod bosymi stopami ciepło piasku i nie myśląc w ogóle o niczym, prawie szczęśliwa.

Teraz, w 1958 roku, miała w perspektywie rozłąkę z Cutterem na lipiec i sierpień, jeśli nie liczyć weekendów, toteż zapamiętała usiłowała znaleźć powód do pozostania w mieście. Żaden powód jednak nie istniał: nie mogła przecież wysłać Toby'ego i Maxi samych ze służbą na plażę i koczować w domu z resztką służących pod pretekstem, że nie chce opuszczać Zachary'ego... wszystkim, a już najbardziej Zachary'emu, wydałoby się to niezwykle i zbyteczne.

Była dopiero połowa czerwca, lecz Lily prawie wyłącznie zaprzętało to nieznośne lato. Udawała, że prowadzi normalne życie, i nie zdradzała, czym jest zaabsorbowana, tak jak niegdyś tańczyła z krwawiącymi stopami i przylepionym do twarzy promiennym uśmiechem. Aż raz w środku wiosennej nocy obudziła się zaniepokojona koszmarem, którego już po ułamku sekundy nie mogła sobie przypomnieć. Serce waliło jej tak mocno, że przycisnęła rękę do piersi, aby zdławić trwogę, niezdolna uporządkować myśli. Serce uspokajało się powoli, w miarę jak przypominała sobie sen. Co mogło ją tak przestraszyć? Leżała nieruchomo, zadumana, z dłońmi wciąż pocieszająco złożonymi na piersiach, gdy wtem dłonie odebrały sygnał, a serce znów załomotało gwałtownie. Tylko dwa razy przedtem miała takie piersi: wrażliwe, cieplejsze niż zwykle, z zadatkiem przyszłej pełni.

Nie ulegało kwestii, czyje to dziecko. W minionych miesiącach jak najrzadziej pozwalała Zachary'emu na zbliżenia, tylko tak często, aby zapobiec ewentualnemu konfliktowi, i za każdym razem zachowywała wszelkie środki ostrożności. Z Cutterem zapomniiała o ostrożności, jak i o wszystkim innym.

Ogarnęła ją radość niebaczną na problemy rzeczywistości. Zniknął strach, z jakim się obudziła, i Lily, nieoczekiwanie głęboko uszczęśliwiona, powtarzała sobie: "Dziecko Cuttera, nasze dziecko." Podniecenie poderwało ją z łóżka jeszcze przed świtem. Podeszła do okna i spojrzała na miasto, przez tych kilka minut chyba najcichsze i najciemniejsze w ciągu doby, już nie dziwną, samotną cytadelę z surowymi jasnymi wieżami, na miasto teraz przeniknięte barwą jej jedynej miłości, jej wiecznej miłości. Tu poznała Cuttera, tu poczęła jego dziecko, tu się stała kobietą.

Cutter siedział na brzegu łóżka, troskliwie, opiekuńczo otoczywszy ramieniem jej nagie plecy. Lily przypominała bombę, która lada chwila może wybuchnąć i zburzyć jego życie. Odkąd mu powiedziała, że jest w ciąży, trwał tak odrętwiały z przerażenia, że prawie niezdolny do jakiegokolwiek reakcji.

Dosłownie zaniemówił i pozwalał jej bełkotać w przyływie szaleńczej radości, sam zaś łamał sobie głowę nad znaczeniem tego, co usłyszał.

Po pierwszych jej słowach zamknął się w sobie, bo nagle i z całkowitą jasnością pojął, że ich myśli i uczucia zawsze będą się rozmięły. Cutter kochał Lily tak, jak potrafiłby pokochać kobietę. Posiadała wszystkie te cechy, które podziwiał, a jej wrodzone poczucie arystokratycznej wyższości schlebiało jego złaknionej naturze. Zdawała się stworzona dla jego prywatnych uciech. Była cudowną przygodą dla zmysłów, pożądał jej zaś nie tylko dlatego, że umożliwiała wywarcie potajemnej, rozkosznej zemsty na Zacharym. Ale publicznie stanowiła tabu. Była jego bratową, męczatką z dwojgiem dzieci, a fakt, że zaszła w ciążę, wystarczył, aby ulotniło się wspomnienie o miesiącach oczarowania i namiętności. Obecnie Cutter tylko się bał i za wszelką cenę pragnął się z tego wyplątać.

- Co zamierzasz zrobić, kochanie? - zapytał ze spokojem.

- "Zamierzam"... nie mam żadnych zamiarów. Sądziłam, że ty... że my razem...

- Jakoś się pobierzemy i będziemy żyli długo i szczęśliwie? - Słowa brzmiały łagodnie, lecz dłonie zacisnęły się w pięści.

- Mniej więcej tak to sobie wyobrażałam. Och, Cutter, nie mogę myśleć... zbyt jestem szczęśliwa. Zanadto cię kocham, więc nawet nie próbuję.

- Posłuchaj, kochanie, jedno z nas musi być rozsądne. Chcę mieć z tobą dziecko, Lily, chcę mieć z tobą gromadę dzieci, ale co z Tobym i Maxi? Czy wzięłaś ich pod uwagę?

- Toby'ego i Maxime? Cóż, oczywiście będą ze mną. Wszyscy będziemy razem... one nie ucierpią, Zachary nigdy by ich nie opuścił i w końcu wszystko jakoś się ułoży, tak jak układa się w tym kraju. - Lily beztrząsliwie wzruszyła ramionami.

Cutter patrzył na nią z coraz większym strachem. Ta chorobliwie romantyczna, infantylna wariatka mogłaby go zniszczyć, jeśli nad nią nie zapanuje. Głos miał jednak nadal spokojny.

- Zachary, którego znasz, zaślepiony, pobłażliwy mąż, z górą dziesięć lat od ciebie starszy, daje ci wszystko, czego zapragniesz, moja droga. Ale nie sposób przewidzieć, jak się zachowa, kiedy się dowie. Na jego miejscu chyba próbowałbym cię zabić. Z pewnością próbowałbym odebrać ci dzieci.

Wyobrażasz sobie, że tak wysoko zaszedł, bo pozwala sobie różne rzeczy odbierać? Wyobrażasz sobie, że pozwala robić z siebie durnia? Naprawdę nie znasz swojego męża, ukochana,

ale ja go znam... znam tego zachłannego drania od mego urodzenia. Mógłby ostatecznie zgodzić się na rozwód, gdyby zobaczył, że cię nie zdoła przy sobie zatrzymać, ale ciągnęłoby się to długo i byłoby trudne.

Lily gwałtownie potrząsnęła głową. Cutter nie ma racji. Nikt jej nie przeszkodzi mieć tego, co zechce. Cutter nie rozumie Zachary'ego tak dobrze jak ona... nie wie, że Zachary nie potrafił w niej wzbudzić miłości.

Wszystko to wina Zachary'ego - długie lata bez miłości, te bezpłodne, jałowe, beznamiętne noce. Taka była cierpliwa, taka niewinna. Dała Zachary'emu z siebie dosyć, myślała z goryczą, a teraz to się skończyło.

- Posłuchaj mnie, Lily. Mamy tylko dwa wyjścia. Albo będziesz musiała zaczekać z rozwodem do urodzenia dziecka, albo teraz zrobić skrobankę... nie, przestań, Lily, przestań i posłuchaj! Możesz pojechać do dobrej, całkowicie legalnej kliniki w Porto Rico czy w Szwecji bądź też pójść do jednego z kilkunastu lekarzy na Park Avenue, tych samych, do których chodzą twoje przyjaciółki. Bóg raczy wiedzieć, złotko, jak nieznośna jest dla mnie myśl, że będziesz musiała się poddać zabiegowi, ale nie ma alternatywy.

- Nie chcę skrobanki - oświadczyła Lily z wyrazem niewzruszonej, bezbrzeżnej pogardy i upor.

- Rozumiem cię, ale...

- Nie, nie rozumiesz. W przeciwnym razie nie mógłbyś tego proponować. To wykluczone. Nikt mnie nie może zmusić. Urodzę nasze dziecko.

Cutter wstał nagle, przeszedł przez pokój i spojrzał na zegarek leżący na komodzie. Gdyby minutę dłużej posłuchał, jak ustanawia prawo, tak pewna siebie w swej egoistycznej, krótkowzrocznej, dziecinnej głupocie, byłby ją uderzył. Nie da się przewidzieć, do czego jest zdolna, jaki skandal mogłaby wywołać, o jednym natomiast jest przeświadczony, a mianowicie, że potrafi mu złamać karierę nie wiedząc nawet, co robi. W pięć minut zostałby na bruku, gdyby to dotarło do jego firmy, w swoim środowisku okryłby się hańbą, budziłyby pogardę wszystkich znajomych mężczyzn, byłby obarczony odpowiedzialnością za mężatkę i jej szczeniaka w wieku lat dwudziestu czterech, na progu życia, bo ta cholerna dziwka nie miała dość rozsądku i nie używała spirali.

- Już jestem spóźniony, kochanie - powiedział. - Muszę pędzić. Wracaj do domu, odpręż się i zostaw to mnie. Znajdę sposób, abyśmy mogli być razem.

To równie ważne dla mnie jak dla ciebie. A teraz się ubierz... mam pięć minut na golenie i prysznic.

- Kiedy cię zobaczę?

- Dziś mam ten obiad z biznesmenami, o którym ci mówiłem, jutro spotkanie mojego roku

w Klubie Uniwersyteckim.

Do licha... nie mogło to wypaść w gorszej porze, bo mam wygłosić przemówienie. Posłuchaj, urwę się z tego obiadu, jak będę mógł najszybciej, i tu się spotkamy. Zachary nie zdąży jeszcze wrócić z Chicago, więc całą noc spędzimy razem. Po prostu otwórz drzwi swoim kluczem i czekaj na mnie.

Lily z uśmiechem wysliznęła się z pościeli. Nie martwiło jej to przymusowe rozstanie. Rozkosznie będzie mieć trochę czasu dla siebie i sycić się swoim szczęściem. Mężczyzn tak pochłaniają szczegóły.

Nazajutrz wieczorem na zasłanym łóżku Cuttera czekał na nią list.

Moje kochanie!

Gdybym tak bardzo Cię nie kochał, może potrafiłbym zburzyć Ci życie po to, abyśmy mogli być razem, tego jednak nie mogę Ci zrobić. Chroniono Cię, choć jeszcze nie zaczynasz sobie uświadamiać, w jakim stopniu. Prosto z domu ojca przeszłaś do domu męża, nikomu nigdy nie sprawiając zawodu i sama go nie doznając. W Twoim życiu nie było miejsca na wstyd, obmowę, zwłaszcza na hańbę i ja nie mogę Cię na nie narażać.

Mógłbym dumnie znieść hańbę miłości do własnej bratowej, bo znam głęboką prawdę o naszym wzajemnym uczuciu. Ale w oczach świata, w oczach Twoich nowojorskich przyjaciół Ty ponosiłabyś winę. Ty byłabyś tą, która wzięła od męża wszystko, co mógł jej dać, po czym go zdradziła. Złamani byłiby zwłaszcza Twój rodzice. W takich sprawach winą zawsze obarcza się kobiety, chyba że mężczyzna jest znanym łobuzem - to niesprawiedliwe, ale wiesz, że prawdziwe. Mężczyźni uchodzą za szczęśliwych łajdaków, a dama za dziwkę.

Nie mogę dopuścić, aby Cię wzięto na języki, w Twoim przypadku zaś chodziłoby o coś znacznie gorszego niż języki, bo o nagłówki w gazetach, tutaj i w Anglii.

Od chwili rozstania z Tobą tylko myślę. Tobi zawsze będzie wymagać najdroższej specjalnej nauki, którą mu potrafi zapewnić jedynie Zachary.

Wiesz, jak przywiązany jest Tobi do ojca. Jakże mogę żądać, abyś oderwała ślepnące dziecko od tego, co zna, od własnego domu, od własnego ojca? Maxi zdołałaby się przystosować niemal do wszystkiego, lecz Tobi to przypadek specjalny i nie stać mnie na wyrządzenie mu krzywdy, ponieważ my się kochamy.

Tobie na pewno nie zrobiłoby różnicy, gdybyś musiała żyć z moich zarobków, na pewno nie zależy Ci na domach, służbie i tym, co Ci daje Zachary, ale ja strasznie bym się przejmował, gdybyś musiała oszczędzać, opiekować się trójką dzieci, pomagać w pracach domowych, martwić się o pieniądze. Nigdy nie rozmawialiśmy o mojej sytuacji majątkowej, ale ja naprawdę dopiero

zaczynam. Kiedyś, wiem, że niebawem, zarobię dosyć na Twoje utrzymanie, chwilowo jednak nie dalibyśmy sobie z trojgiem dzieci rady, chyba że bralibyśmy pieniądze od Zachary'ego, co oznaczałoby niezdrową zależność, która doprowadziłaby między nami do rozłamu.

Moja ukochana, moja Lily, jesteś jedyną kobietą, jaką kiedykolwiek będę kochał, ale czy przyszło Ci do głowy, że mam dopiero dwadzieścia cztery lata?

Boże, ile bym dał, żeby być starszy, mieć pozycję, móc Cię od niego zabrać, dać Ci wszystko i machnąć ręką na to, co powiedzą ludzie. Lecz musimy poczekać. Jeśli się tego nie boisz, i my możemy mieć przed sobą wspólne życie. Ty musisz zdecydować o dziecku. Cokolwiek zrobisz, będzie słuszne i dobre.

Wracam do San Francisco. Kiedy przeczytasz list, będę już w samolocie.

Jestem za wielkim tchórzem, aby Ci to powiedzieć w oczy, za bardzo się wstydzę, że nie potrafię tego naprawić, że nie znalazłem sposobu na bycie razem. Proszę Cię, ukochana, nie czuj do mnie nienawiści. Sam nienawidzę się za nas dwoje. Zawsze będę Cię kochać i pewnego dnia się połączymy, jeśli potrafisz być cierpliwa, silna, dzielna i wybacząca. I jeśli potrafisz czekać, czekać.

Cutter Lily przeczytała list. Złożyła go, schowała do torebki i dumnie wyszła z pustego pokoju. Jak bardzo Cutter musi ją kochać, myślała, skoro zastanawia się tylko, w jaki sposób dziecko odmieni jej życie. Gdyby tu był, powiedziała mu, że nie ma powodów do wstydu. Nienawidzić go? Jak by go mogła nienawidzić? Każde słowo jego listu świadczyło, ile dla niego znaczy.

Czyż on nie pojmuje, że dziecko połączyło ich na wieki? I och, jak ona umie czekać.

W każdą środę po południu odbywało się zebranie osób, które z ramienia Zachary'ego Amberville'a kierowały Wydawnictwami. Grupa ta nie miała oficjalnej nazwy, ponieważ tak jak w wielu prywatnych spółkach, bez akcjonariuszy, w Wydawnictwach nie było zarządu. Zachary z wielką rozważą wydawał zaproszenia, a rozumiano, że kto przyszedł na jedno spotkanie, brał odtąd udział we wszystkich. W branży, gdzie najlepszych redaktorów dość często podkupuje konkurencja, a numery planuje się na pięć miesięcy z góry, szczególnie chodzi o zachowanie tajemnicy, toteż Zachary długo czekał z zaproszeniem pracownika na środową sesję.

Zelda Powers, redaktorka naczelna "Stylu", zatrudniała około osiemdziesięciu osób, w tym zaledwie garstkę takich, które odpowiadały za jasno określoną dziedzinę, na przykład za modę, urodę, przybory, obuwie - wszechmocne, szalenie reklamowane obuwie - i za artykuły. Do nich zaliczały się wszystkie główne artykuły drukowane w "Stylu" i doniesienia o nowościach w świecie filmu, sztuki, telewizji, muzyki i literatury, pod wspólnym nagłówkiem "Czy słyszeliście?" Pracownia tego działu, płatna gorzej niż szanująca się ekspedientka u Macy'ego, dostępowała

takiego zaszczytu jak Jean Lannes, księżę Montebello, jedyny z dwunastu marszałków Napoleona, któremu wolno było się zwracać do cesarza w poufalej formie “wy”.

Biedna dziewczyna nie mogłaby sobie pozwolić na pracę w “Czy słyszeliście?”, a bogata, ale nie za bystra, nie miałyby szansy jej dostać.

Musiała mieć dodatkowe źródło utrzymania i wielkie walory umysłowe, gdyż o trzy stanowiska młodszych redaktorek wcześniej zaczynały się ubiegać studentki siedmiu siostrzanych college'ów zrzeszonych w Ivy League. Te redaktorki angażował kierownik działu, John Hemingsway, bardzo ważny, on to bowiem decydował, czyje sylwetki przedstawi się w głównej części pisma; który Amerykanin dojrzał do tego, aby go ukazać na kolorowych zdjęciach i opisać w trzech tysiącach słów; to John stwierdzał, że ktoś zasługuje zaledwie na tysiąc słów i białą-czarną fotografię albo że na jakiś temat warto nagle napisać dla “Stylu” artykuł.

Posady swoich trzech asystentek Hemingsway proponował tylko niezamężnym kobietom przed trzydziestką, dobrze ubranym i niższego niż on wzrostu, jeśli bowiem po trzydziestce pozostawały niezamężne, znerwicowanie musiało się odbijać na ich pracy; i tylko chętnym siedzieć w redakcji po nocach, bo te, co miały za dużo wielbicieli, bardziej - jak wiedział - interesowały się małżeństwem niż jego rubryką. Niezależnie od tego, jak się przykładały do pracy, angażował wyłącznie dziewczęta za mało ambitne, aby pragnąć jego stanowiska, gdyż wcale kobietom nie ufał.

Dziesiątki dziewczyn zdołały się zakwalifikować na te trzy stanowiska.

Dwie zatrudnione odpowiadały wyobrażeniom Hemingswaya, trzecia zaś, skrycie ambitna, a zatem najbystrzejsza, zdołała pracować do późna i mimo to nie wypuszczać ze swej sieci kilku wielbicieli. Na szczęście Nina Stern potrzebowała bardzo mało snu i szybko pracowała.

Miała dwadzieścia pięć lat, czyli zdecydowanie najwięcej ze wszystkich pięknych, bogatych, niezamężnych Żydówek w roku 1958. Nikt nie poruszał już tej sprawy z jej matką. Liczni przyjaciele rodziny Sternów zgodzili się, że Ninie musi czegoś brakować, choć nie wiadomo czego. Najdelikatniejsza wzmianka na ten temat byłaby okrutna, a co gorsza bezskuteczna. Biedactwo nie mogło się nawet szczycić tym, że zerwało zaręczyny. Po co się mieszać, jeśli nie można pomóc? Większy sens miało mieszanie się tam, gdzie rokowało to jakieś nadzieje.

W przekonaniu Niny Stern małżeństwo oznaczało koniec. Flirtowała zapewne z lekarzem, który przyjmował ją na świat, a potem niewątpliwie z każdym napotkanym stworzeniem. Nie знаła innej formy komunikowania się, lecz oskarżona o flirciarstwo nie wiedziała, o co chodzi. Flirtowała z dziećmi, młodzieżą, dorosłymi obojga płci, homoseksualistami różnej maści i każdym napotkanym zwierzęciem. Nigdy nie flirtowała z kamieniem, ale zdarzało jej się flirtować z drzewami i kwiatami. To flirtowanie niczym się nie odznaczało, nie miało cech erotyzmu ani romantyzmu, po prostu w ten sposób instynktownie podchodziła do każdej sytuacji, w jakiej się

znalazła, ogólnie, stale, niezmiennie zalotna. Nie było jej flirtowanie w sensie francuskim “poprawne”, czyli stosowne; było wspaniałe, wręcz szlachetne. I z gruntu nieszkodliwe, dlatego też, podobnie jak zdrowej firmie, która w czasie kryzysu nie odczuwa braku zamówień, Ninie Stern nigdy nie zabraknie mężczyzn. Tak jak to, że na imię ma Nina, wiedziała, że zawsze będą dla niej mężczyźni, a zanedbto przepadała za różnorodnością, aby brać pod uwagę możliwość zadowolenia się jednym.

Lubiła podczas lunchów z koleżankami uniwersyteckimi podziwiać zdjęcia ich coraz liczniejszych rodzin; szczery zachwyt budziły w niej o wiele młodsze siostry tych przyjaciółek demonstrujące pierścionki zaręczynowe, lecz ręczniki z monogramami przypominały jej kaftany bezpieczeństwa, a nowe prześcieradła - całuny. Jedynym miejscem w Nowym Jorku, gdzie nie znosiła robić sprawunków, było drugie piętro Tiffany'ego. Tam często musiała kupować prezent dla kolejnego niemowlęcia. Dekoratorzy, korzystając z mnóstwa towarów na składzie, prześcigali się w oryginalnym układaniu porcelany, kryształów i sreber na stołach. Po wyjściu z obitej szarym aksamitem windy Nina stawiała przed tymi lśniącoymi, fantastycznymi stołami i miała przed oczyma tylko obrazy kobiet, które u Gristede'a czekają, aż obsłuży je rzeźnik, obrazy nie sprzątniętych kuchni i brudnych naczyń.

Nigdzie indziej nie miała tak makabrycznych fantazji, chyba że musiała zrecenzować najnowszy horror filmowy dla “Stylu”.

Na pierwszy rzut oka Nina wydawała się wcieleniem udanej przeciętności, choć nie było w niej nic przeciętnego. Jej długie do ramion jasnobrązowe włosy miały ten śliczny, trudny do określenia odcień marron glace, kandyzowanych kasztanów. Wzrost, pięć stóp i pięć i pół cala, w tajemniczy sposób wystarczał do wszystkiego prócz zawodowej koszykówki. Twarz, niewyraźnie w kształcie serca, ani okrągła, ani owalna, cieszyła każde oko.

Podobnie dobre były rysy, figura i głos Niny, a to w tym sensie, że gdyby cokolwiek w nich zmienić, byłyby złe. Oksfordzki słownik języka angielskiego na siedmiu stronach podaje definicje słowa “dobry”, ale wystarczyło raz bacznie spojrzeć na Ninę, aby wiedzieć, co ono oznacza.

Ta wielka flirciarka, dobra w sposób nie poddający się definicji, musiała czasem pracować w sobotę, jeśli przez cały tydzień szczególnie często opędzała się od kandydatów do swej ręki. Pewnej czerwcowej soboty 1958 roku, gdy szanujący się nowojorczyk mógł jedynie otwierać sezon letni w domu nadmorskim albo malować okiennice w okręgu Fairfield, gdy żaden mieszkaniec Manhattanu nie powinien przebywać w swojej dzielnicy, Nina Stern musiała dokończyć ostatnią szpalte “Czy słyszeliście?” Windę, od niedawna automatyczną, pojechała na piętnaste piętro. Gdzieś między dziesiątym a jedenastym piętrem winda stanęła z dziwnie ostatecznym zgrzytem.

- I co teraz? - zapytała Nina nieznanego mężczyznę, jedynego prócz niej pasażera.

- Jest telefon... wezwę pomoc - odparł Zachary Amberville.

Dyżurny wyszedł widocznie na lunch. Jedyńm dźwiękiem, jaki odpowiadał na ustawiczne próby Zachary'ego, była muzyka Muzaka.

- Nie miałabym nic przeciw temu - rzekła lustrując go Nina - gdyby nie ten hałas. Uśmierceni przez Muzaka. Znajdą nas tu w poniedziałek rano, a my, pomyleni, do końca życia będziemy śpiewać: "Rudolf, czerwono-nosy renifer".

- Lubi pani żytni chleb? - spytał Zachary.

- Zwykły czy z kminkiem?

- Zwykły. Po drodze kupiłem u Reubena kanapkę. - Rozwinął olbrzymią, chrupką, owalną kanapkę z trzech skośnych kromek przełożonych grubymi warstwami pastrami, sera szwajcarskiego, konserwy wołowej, sałatki z kapusty i własnej musztardy Reubena.

- Ma pan nawet marynatę - zdumiewała się Nina.

- To pobudza umysł - stwierdził ze znanstwem Zachary. - Lepiej niż ryba.

Może usiądziemy?

- Gdyby się tak dało wyłączyć Muzaka.

- Da się. Musi pani tylko wleźć mi na plecy i nacisnąć ten mały przełącznik z lewej strony nad drzwiami.

Nina przyjrzała się nieznajomemu. Na pewno nie szaleniec i gwałciciel, bo dawno by ją zgwałcił. Widocznie pocziwiec, skoro chce się podzielić wyśmienitą kanapką, choć może ich czekać półtora dnia w zamknięciu. Nie bała się, że to handlarz żywym towarem, mimo przestróg słyszanych w dzieciństwie. Matka nie pozwalała jej w soboty po południu chodzić do innego kina niż Trans-Lux na ulicy Osiemdziesiątej Piątej, gdzie dozorczyń patrolowała przejścia z latarką elektryczną, gdyż powszechnie było wiadomo, że każdej miłej dziewczynie, samotnie oglądającej film, musiał coś wstrzyknąć jej sąsiad, po czym traciła przytomność i odzyskiwała ją w tydzień później jako żywy towar w Tangerze. Nina sądziła, że w razie czego nieźle by ją traktowano w Tangerze, a zresztą on nie wyglądał na takiego typu. Miał na sobie drogą nie najlepiej leżącą, tweedową marynarkę i buty szyte na zamówienie. Jego czarne, bardzo czyste włosy wymagały strzyżenia.

Ruchliwe usta uśmiechały się życzliwie, ciemne oczy jarzyły się wesołością.

Skinieniem głowy wyraziła zgodę, Zachary pochylił się, ona zdjęła pantofle i stanęła mu na ramionach. - Proszę się podnosić bardzo powoli - poleciła. - Nigdy czegoś takiego nie robiłam. - Zachary dźwigał się cal po calu, a Nina trzymała go za włosy. Szybkim ruchem wyłączyła muzykę, on zaś ostrożnie postawił ją na podłodze. Usiedli oboje. Winda była czysta i nie mieli wyboru.

- Nabrałam apetytu - powiedziała Nina.

- Proszę wziąć środek - zaproponował wielkodusznie Zachary, rozpościerając srebrną folię. Środkowa część kanapki Reubena była zawsze najbardziej soczysta.

- Dziękuję. - Przez całe życie mężczyźni dawali Ninie to co najlepsze, tak jak zawsze dawano jej pierś kurczęcia, najbardziej chrupki kawałek bekonu czy samicę homara z wysmienitym koralem, co zawsze przyjmowała z wdzięcznością, ale nie większym zdziwieniem niż Morgan Le Fay. Uśmiechnęła się do Zachary'ego. Ze wszystkich dobrych rzeczy Nina Stern najlepszy miała uśmiech. Z wszystkiego, co zalotne, najzalotniejszy miała uśmiech. Cóż za miła dziewczyna, pomyślał Zachary.

- Gdzie pani pracuje? - zapytał.

- W "Stylu", w "Czy słyszeliście?". A pan?

- W dziale handlowym. - Z lekceważeniem wzruszył ramionami.

- Mało podniecające? Potwornie nudne? Ponure i nieciekawe? - Była pełna współczucia.

- Niezbędne - ze stoicyzmem stwierdził Zachary. - Ale pani to nie zainteresuje. Wracam właśnie z trzydniowego zjazdu handlowców w Chicago i całkiem mi wystarczy.

- Och, proszę mówić dalej, proszę mnie nudzić. Proszę mi opowiedzieć o ponurym handlu, o nudnym, nieciekawym, mało zajmującym, monotonnym, ale niestety potrzebnym handlu. Proszę przerwać, jak zapadnę w śpiączkę.

- Nigdy umyślnie nie zanudzam damy - rzekł z uśmiechem. - Proszę mi opowiedzieć o "Czy słyszeliście?".

- Jeśli mnie nie chce pan nudzić, ja nie będę nudzić pana... to takie gadki, z gruntu nieistotne. Zresztą może woli pan jeść niż rozmawiać? - Praca była dla Niny zbyt ważna, aby stanowiąc temat rozmów z licznymi w jej życiu mężczyznami. Nina zaś przed chwilą uświadomiła sobie, że ten nieznajomy na pewno zajmie miejsce w jej życiu. Zwykle podejmowała taką decyzję w ułamku sekundy, ale do dziś tak się bała utknąć w windzie, że miała spóźniony refleks.

- Moglibyśmy robić jedno i drugie - zauważył Zachary.

- Spróbujemy przedłużyć jedzenie, na wypadek gdyby pomoc się odwlokła, czy też zjemy od razu...? - zastanawiała się Nina.

- Dużymi kęsami. Nie można się delektować kanapką, a zarazem przedłużyć jedzenia.

- Zapamiętam to sobie... taki pan mądry.

Rzeczywiście bystra dziewczyna, myślał Zachary. Wyjątkowo bystra. Chyba zaproszę ją na następne śródowe zebranie. Ten rodzaj umysłowości nam się przyda. I ma w sobie coś miłego, nie umiem dokładnie określić co.

Kończyli właśnie kanapkę, kiedy ruszyła winda. Nina wysiadła na swoim piętrze. Wyciągnęła rękę, ponownie się uśmiechając.

- Nina Stern - powiedziała.

- Zachary Amberville.

- To nieuczciwe! - Drzwi się zamknęły, a ona wybuchnęła śmiechem. Śmiała się jeszcze

otwierając drzwi swojej redakcji. Nina, mówiła sobie, zmarnowałaś właśnie jedyną w życiu okazję.

Jak na inteligentną dziewczynę, potrafiła czasami być strasznie głupia.

- To wielkie miasto jest cudowną zabawką stworzoną dla dziewcząt i chłopców - wyśpiewywał na głos Zachary, kiedy po skończonej pracy wracał tego dnia do domu. Jak zawsze fałszował przy słowie "chłopców".

Nieprzepisowo, ale z wprawą przedostał się na drugą stronę alei Madisona, gdy dotarł do ostatniej linijki: - Zmienimy Manhattan w wyspę radości.

Uprzytomnił sobie, że dawno się tak nie czuł. Nie śpiewał tej piosenki od wielu miesięcy, od lat. Jak się właściwie czuje? - z tym pytaniem zwolnił.

Czy to rześki, wiosenny powiew niesie zapowiedź czegoś szalenie podniecającego, co tylko nowojorczyki potrafią wyczuć w powietrzu? Czy jest zadowolony z popołudniowej pracy nad kształtem nowego czasopisma, o którym jeszcze nikt nie wie? Czy po prostu upaja go Nowy Jork, ośrodek galaktyki, gdzie zrodziły się i spełniły jego ambicje? Dobrze. Czuje się dobrze.

Dlaczego, u licha, nie miałby się czuć dobrze? Każdy mężczyzna wart tyle milionów, że nawet ich ostatnio nie liczył, obdarzony taką władzą, tak świetnie się bawiący... czułby się dobrze. "Dział handlowy", przypomniał sobie i wybuchnął głośnym śmiechem. Handel, boski handel!

Ile lat może mieć taka Nina Stern? Głupstwo, on się czuje młody! Ma trzydzieści pięć lat, czuje się jak dziewiętnaście lat temu na uniwersytecie Columbia, kiedy usługiwał do stołów, aby zarobić na metro i hot doga... nie było to aż tak dawno temu, przed wojną, przed małżeństwem, ale zaledwie przed dziewiętnastu laty, z których sześć przeżył w małżeństwie. Zmarszczył brwi i nagle oklapł jak dziurawy balon. Jeśli tak młodo się czuje, to dlaczego od paru tygodni nie kochał się z Lily? Skoro już się nad tym zastanawia, dlaczego tak rzadko to robią? Jego szwagier Nat powiedziałby: kto liczy te razy?

Otóż on liczy. Lily nigdy nie była namiętna, co w niej akceptował... taka już jest... ale zawsze chętna. Słodka, delikatna, uległa. Musiał się tym zadowalać, aczkolwiek nieraz marzył o żonie dorównującej mu temperamentem.

Przez sześć lat jednak nie zrobił skoku w bok. Dziwne są te skoki w bok: tylu mężczyzn je robi, choć kochają swoje żony, a one są jego zdaniem bardziej osiągalne niż Lily. Wydało mu się, że duchowo, jeśli nie fizycznie, odwracała się ostatnio od niego i gdy wchodził do jej pokoju, subtelnie, z wdziękiem, bez słowa dawała do zrozumienia, że naprawdę go nie chce, nie dziś wieczorem, nie teraz. Czy w jej życiu rozgrywa się jakiś wewnętrzny dramat, którego on się nie domyśla?

Osiągalna. Tyle w tym mieście jest osiągalnych kobiet. Ale nie wszystkie.

Na przykład takie dziewczęta jak Nina Stern. Ona nie byłaby osiągalna. Ma albo męża, albo

narzeczonego, albo tasiemcową listę kandydatów do swej ręki. O takie dziewczęta jak Nina, miłe i bystre, mężczyźni zabiegają, to zrozumiałe. I ma zdrowy apetyt, u kobiety zawsze pociągający. - Na Coney Island zjemy hamburgera; będziemy się przechadzać po Central Parku... - śpiewał. Ktoś popatrzył za nim, a on zdał sobie sprawę, że znów śpiewa na głos. Nie zapomni polecić Hemingswayowi, aby ją przyprowadził na następne środowe zebranie. Dobrze dziewczynie zrobi, jak zobaczy powstawanie czasopisma z nieco innego punktu widzenia niż "Czy słyszeliście?" Jeszcze lepiej, sam prześle jej notatkę, specjalne zaproszenie. Oczywiście powodowany jej wielkim zainteresowaniem sprzedażą. "To nieuczciwe" - powiedziała... i naprawdę nie było uczciwe. Powinien jej to wynagrodzić. Z uśmiechem otworzył frontowe drzwi i wszedł do holu, który właśnie przecinał główny lokaj. Ogarnęło go niedowierzanie... czy to jego dom, czy istotnie do niego należy? Znów czuł się równie młody jak wówczas, gdy z uniwersytetu wypuszczał się do centrum, przemierzał ulice i nawet się nie zastanawiał, co kryją za sobą drzwi takich jak ten, niewyobrażalnie wspaniałych domów. Z wesołym pozdrowieniem minął lokaja i ruszył na górę do swojej prywatnej biblioteki, bo wolał tam pracować niż w dużej bibliotece na dole.

- Lily? - powiedział zdziwiony. Stała przy oknie zapatrzona w ogród, kiedy zaś wszedł, odwróciła się niecierpliwie.

- Czekałam na twój powrót, kochanie. Chciałabym, żebyś nie musiał pracować w soboty, zwłaszcza po prawie tygodniowej nieobecności - przemówiła swoim srebrzystym, najbardziej kochającym głosem.

- Musiałem coś przemyśleć, a lepiej myślę w biurze. I piętrzyły się sprawy do załatwienia, na które nie będę miał czasu w poniedziałek. Ale miło widzieć cię tutaj. Co to? Szampan? Czy o czymś zapomniałem? To nie nasza rocznica ślubu, nie urodziny, więc jaka okazja? - Otworzył butelkę i zgrabnie nalał do wysmukłych kieliszków stojących na srebrnej tacy pośrodku jego biurka.

- Toast, kochanie - powiedziała, kiedy się stuknęli. - Najlepsza z możliwych wiadomości... Spodziewam się dziecka.

- Spodziewasz się dziecka! Wiedziałem, że zdarzy się coś cudownego! - wykrzyknął z radości i chwycił ją w ramiona, a inne myśli uleciały mu z głowy.

Lily, z oczami pełnymi łez, pozwoliła się objąć. Odwagi, powiedział Cutter, i męstwa. Zrobi dla niego wszystko. Najtrudniejsze ma już za sobą.

Teraz zaczyna się czekanie.

8.

Tylko otępienie, wywołane silnym szokiem, i warstwa ogłady pozwoliły Maxi i Toby'emu złożyć Lily i Cutterowi życzenia z okazji ślubu. Wypowiadano słowa, ale nikt nawet nie próbował się uśmiechnąć. Zupełnie, myślała Maxi, jakby we czworo usiłowali przyzwoicie pogrzebać bezimienną ofiarę wypadku drogowego, której ciało było ciałem Zachary'ego Amberville'a.

Dzięki konsternacji i zdziwieniu nadal panującym w sali konferencyjnej brat i siostra mogli się wycofać do pośpiesznej windy, podczas gdy Lily i Cutter rozmawiali z członkami wydawnictw nie dotkniętymi śmiercią czterech periodyków, więc zdolnymi złożyć najlepsze życzenia z naturalnością, na jaką Maxi i Toby nie umieli się zdobyć. Elie odwiózł ich do miejskiego domu Toby'ego przy cichej uliczce nie opodal Siedemdziesiątej Wschodniej. Toby bez słowa, sztywno ruszył do baru obok basenu pływackiego, który zajmował cały parter i ogród wąskiego domu z piaskowca, i przyrządził im duże drinki.

- Co to jest? - zapytała Maxi.

- Brandy. Nigdy tego nie piję, ale jeśli już...

- Ja po prostu nie wierzę... nie mogę zrozumieć - zaczęła Maxi, lecz jej przerwał.

- Zamknij się, wypij i chodź popływać. Na rozmowę o tym jest za wcześnie.

- Rozebrał się i zanurkował szybko, niegłęboko, dzięki czemu wielokrotnie wygrywał na mistrzostwach pływackich. Maxi poszła jego śladem, tylko z czarną perłą na szyi; okrążali basen, dopóki emocje nie ustąpiły miejsca zwykłemu zmęczeniu. Usiadła na brzegu basenu, a wreszcie i Toby wynurzył się i łatwo wydźwignął do góry. Miał wspaniale rozwinięte mięśnie, szerokie barki, ale w pasie był niemal wąty jak tyłu innych wielkich pływaków.

- Lepiej? - mruknął.

- O tyle lepiej, o ile to możliwe. Czyli niewiele. Czuję się jak rozerwana przez granat... na drobne kawałki.

- Ciekaw jestem, czy mnóstwa rzeczy nie przeoczyliśmy, czy nie byliśmy naiwni, że tak nas to zaskoczyło.

- Chcesz powiedzieć, że widocznie matka czuła się osamotniona po... o Boże, po śmierci taty... więc zwróciła się do Cuttera, że są mniej więcej rówieśnikami i choć ja go nie cierpię ani mu nie ufam, obiektywnie jest zabójczo przystojnym mężczyzną, a przecież życie ani seks nie kończą się pod pięćdziesiątkę? I że naturalnie małżeństwo z własnym szwagrem wprawiało ją w zakłopotanie, więc wzięła ślub po kryjomu, bez uprzedzenia? Zresztą nie przypadkiem powiedziała nam o tym przy ludziach. Jednego nie mogę sobie wyobrazić, a mianowicie, aby działali pod wpływem nagłego impulsu. To nie Romeo i Julia.

- Zgadza się z tym wszystkim - rzekł Toby - ale zauważyłem jeszcze coś, nad czym właściwie się nie zastanawiałem... oni ze sobą współdziałają... zawsze to robili, w mniejszym lub

większym stopniu, od powrotu Cuttera z Anglii. A kiedy w zeszłym roku tata odszedł tak nagle, to się zaczęło stopniowo nasilać.

- Współdziałają? Co to dokładnie ma oznaczać... współdział w zbrodni?

- Nie, jakieś głębokie zaangażowanie, silne wzajemne zainteresowanie swoimi potrzebami i pragnieniami, zgodność przekraczającą własne granice, tak że wytwarza więź mocniejszą i trwalszą niż jego uroda albo jej zapotrzebowanie na mężczyznę, albo któraś z tych oczywistych rzeczy.

- Skąd się tak na tym znasz? - buntowniczo zapytała Maxi.

- Ja to słyszę. Wiesz, że słyszę w ludzkich głosach więcej niż ty. Słyszę to po sposobie, w jaki się poruszają, kiedy są razem. Człowiek niewidomy, Złotowłosa, uczy się słyszeć sto różnych sposobów poruszania, a każdy coś innego oznacza. Oni ściśle ze sobą współdziałają. Słyszę to i, na Boga, czuję... pod wszystkimi perfumami i mydłem, i płynem po goleniu, ja to u obojga czuję.

Maxi skrzyła się z obrzydzenia.

- Czemu uparcie nazywasz mnie Złotowłosa? - spytała próbując zmienić temat.

- Bo podoba mi się to słowo. Gdybyś miała włosy zupełnie siwe, widywałbym od czasu do czasu pasemko, więc cię nazywam jak chcę. Tylko nie wyłysiej. A teraz, wracając do matki i Cuttera. On robi z nią wszystko, cokolwiek zapragnie. Nigdy nie wydawała mi się taka, tak zdominowana, tak zależna.

Dopóki żył tata, wyczuwałem pewien układ, kiedy z nim była, coś całkiem odmiennego. Odnosili się do siebie serdecznie... przypuszczałem, że się pogodzili. Panowała między nimi przyjaźń, bynajmniej nie wrogość, ale ze sobą nie współdziałali.

- Jesteś wstrętny.

Roześmiał się i klepnął ją po nagim udzie.

- Miłe i świeże - oszacował. - Powinnaś być dobra jeszcze dziesięć, piętnaście lat, zanim twoje mięśnie zaczną tracić tę szczególną elastyczność.

- Łapy przy sobie, ty degeneracie.

- Kochasz mnie, Złotowłosa?

- Kocham cię, Gacku. - To był ich rytuał. Najwcześniejsze wspomnienie Tobiasa wiązało się z dotykaniem policzków maleńkiej Maxi, pierwsze zaś, co ona zapamiętała, to jak ją podnosił, kiedy się pośliznęła na oblodzonej ulicy.

- Och, gdybyś mógł widzieć tych biedaków na zebraniu, Toby. Niektórzy mieli takie miny, jakby sędzia właśnie skazał ich na stryczek.

- Słyszałem ich. To wystarczyło.

- Czy możemy się zgodzić, aby on rzekomo występował w jej imieniu? Wiesz, że matka nie mogłaby zapewne sama powziąć tej decyzji... nigdy się nie mieszała do zarządzania spółką. Ona nie myśli o zyskach, na litość boską!

To wszystko zrobił Cutter, Bóg raczy wiedzieć dlaczego. Ale nie można dopuścić, żeby nagle uśmiercił cztery czasopisma! Nie możemy na to pozwolić! Ojciec nigdy by czegoś podobnego nie brał pod uwagę, chyba że całkiem by zbankrutował. Toby, Toby! Pamiętaj o tacie! To nie eutanazja, to zwykłe morderstwo! - Głos Maxi z każdym słowem stawał się donośniejszy.

- Ale jaką mamy na to radę, mała? Najwyraźniej matka może narzucić swoją "decyzję", niezależnie od tego, kto na nią wpłynął. Przysługuje jej pełne prawo robienia ze spółką, co zechce.

- Zadziałajmy perswazją moralną - odezwała się Maxi powoli, jakby zaświtał jej pomysł, którego nie była pewna.

- Perswazją moralną? Widać, że zbyt długo przebywałaś z dala od ojczystych brzegów. To Nowy Jork, mała, i perswazję moralną znaleźć można tylko na pierwszej stronie "Timesa".

- Specjalnym rodzajem perswazji moralnej, Toby. W stylu manhattańskim.

Jeśli poczęstujesz mnie lunchem, będę miała siły złożyć naszemu stryjowi wizytę w biurze.

- Niech mnie kule biją, jeśli wiem, do czego zmierzasz.

- Niech i mnie biją... bo jeszcze nie wiem. Ale musimy się dowiedzieć... - zachichotała głośno.

- Za lepszy Nowy Jork - dodał. Tym zwrotem tłumaczyli wszelkie niedogodności napotykanne w mieście, które dla obojga było pępkiem wszechświata.

- Ten bardzo nierozsądny krok, Maxi, do niczego by nie prowadził - przemówił Cutter zza biurka w swoim gabinecie na Wall Street. - Niezależnie od tego, co czujecie z Tobiasem, a wiercie, że świetnie was rozumiem i współczuję...

- Nie baw się w sentymenty - warknęła Maxi. - Przejdźmy prosto do rezultatów, bo to chyba wolisz. - Od przyjazdu nie była jeszcze w domu i nie przebrała się, lecz pływając z Tobym i wyśmienity lunch, jaki dla niej ugotował, przywróciły jej nieustraszoną odwagę, a po drodze obmyśliła sobie, co zrobi, jak zaatakuje.

- Niezależnie od tego, czy to spółka prywatna, czy nie, Cutter, nadal liczy się opinia publiczna. Zwrócimy się z Tobym do prasy, zamierzamy to zrobić, i jako właściciele mniejszościowego pakietu akcji powiemy, że w naszym przekonaniu wywarłeś niewłaściwy wpływ na naszą matkę, a twoją żonę, zadziwiająco świeżo poślubioną, po czym uśmierciłeś cztery czasopisma bez uprzedniego porozumienia z Tobym, Justynem czy ze mną, choć wszyscy jesteśmy akcjonariuszami, szalenie tym zainteresowanymi. - Maxi wyzywająco wyciągnęła nogi w botkach i rozparła się w fotelu z wszelkimi oznakami pewności siebie i odprężenia.

- Może sam jesteś na tyle gruboskórny, aby lekceważyć opinię publiczną, ale czy pomyślałeś o swoich klientach? - podjęła. - Co powiedzą twoi rozmyślnie powściągliwi współpracownicy? Czy pomyślałeś o ludziach z branży, o Newhouse'ach, Hearstach, Annenbergach i innych? Jak się ustosunkują, co o tobie powiedzą, Cutter? Wiedzą, że nie jesteś, nigdy nie byłeś i nigdy nie

będziesz wydawcą. Zrobi się z tego barwna, głośna, paskudna historia dla środków przekazu... cztery magazyny zlikwidowane za jednym zamachem, setki ludzi wyrzuconych na bruk, a wszystko na podstawie oceny kogoś, kto pięciu minut w tym nie przepracował, kogoś, kto swą skromniutką pozycję zawdzięcza żonie.

Cutter obrócił nóż do rozciniwania kartek, przestawił kałamarz, poprawił stojący zegarek. Zapadło krótkie milczenie, które przerwała Maxi, bo on nie zamierzał się odezwać.

- Wolałabym nie być w twojej skórze, kiedy zorganizujemy naszą konferencję prasową, Cutter. Jestem pewna, że Pavka się do nas przyłączy.

Wiem, że nie ma udziałów w spółce, ale środki przekazu go uwielbiają, mają go za geniusza, którym w istocie jest, i za wspaniałego starszego pana.

Pamiętasz, co pisali o przeglądzie jego twórczości w Muzeum Grafiki? Jest instytucją, a szansę zawdzięcza mojemu ojcu, nie mówiąc o tym, że "Długość Fali" to jego własny pomysł. Zachary Amberville wierzył w przyszłość tych pism, ludzie zaś wierzyli w niego - o tym chyba zapominasz. Mój ojciec był legendą. Jest nią nadal.

- Próbujesz szantażu, Maxi, co ci się nie uda. Te pisma przestały istnieć dziś rano. Decyzja należała do twojej matki i ona ją podjęła.

- Jesteś - wolno przemówiła Maxi - śmierzącym, wstrętnym, obrzydliwym łgarzem. Moja matka nie podjęła żadnej decyzji. Ty to zrobiłeś. Jeszcze nie wiem dlaczego, ale to twoja sprawa, Cutter.

- Jak śmiesz tak do mnie mówić?

Maxi nie widziała dotychczas Cuttera naprawdę rozgniewanego. Uśmiechnęła się patrząc mu prosto w oczy, lodowate, oszalałe z wściekłości. Gdyby decyzję rzeczywiście podjęła matka, nigdy by sobie nie pozwolił na takie słowa, nie on, zawsze tak bardzo, cudownie opanowany, zawsze układny.

- I nie godzę się z zarzutem szantażu. - Maxi uśmiechnęła się wyraźniej, bezczelnie jak kocur na własnym terenie łowieckim. - Nie umiesz się nawet poznać na perswazji moralnej!

- Perswazja moralna... w twoich ustach to nie śmieszne, to absurdalne.

Dobrze, no więc czego chcesz, Maxi?

- Pisma. Chcę jednego z tych czterech pism i chcę przez rok robić z nim, co mi się spodoba. Żadnego uzależniania, zagładania mi przez ramię, cięć budżetowych. Zwłaszcza cięć budżetowych.

- Chyba ci się zdaje, że odziedziczyłaś po ojcu smykałkę. Więc sama zamierzasz ocalić magazyn? Ty, która w całym życiu nie przepracowałaś uczciwie jednego tygodnia, wyjąwszy ten raz w czasie letnich wakacji, kiedy miałaś kilkanaście lat. Ale się nie kłóćmy - powiedział odzyskując spokój - to nieproduktywne. Jeśli zdołam przekonać Lily, aby ci dała pismo, bo to ona

musi wyrazić zgodę, ty i twoi bracia będziecie musieli zagwarantować, że nie wywleciecie sprawy rodzinnej na forum publiczne.

- I dać ci wolną rękę, jeśli idzie o pozostałe trzy pisma. - Maxi spochmurniała.

- Nie musicie mi dawać wolnej ręki, nie pochwalam ustępowania przed szantażem, czy jak to wolisz nazwać, i nie sędzę, aby konferencja prasowa zorganizowana przez dziewczynę, która jak wiadomo lubi używać życia, i mężczyznę niezdolnego wskutek kalectwa choćby zapoznać się z makietą czasopisma, spotkała się z bardzo poważnym przyjęciem. Ale dla zachowania zgody w rodzinie i dlatego, że bezsprzecznie potrafisz się naprzykrzać pytam, w razie gdyby Lily na to przystała, jaki magazyn próbowałabyś wskrzesić?

- "Guziki i Kokardy" - z miejsca odparła Maxi. Nie miała cienia wątpliwości, że gdyby żył ojciec, najbardziej troszczyłby się o swoje pierwsze pismo, o swój talizman.

- Postaram się przekonać twoją matkę, Maxi, ale niczego nie obiecuję, dopóki z nią nie porozmawiam.

- Bzdura. - Maxi poderwała się i ruszyła do drzwi. - Od tej chwili uważam się za naczelnego redaktora "Guzików i Kokard" - oświadczyła wychodząc z gabinetu. - Nie, nie musisz mnie odprowadzać do windy.

Zmęczona, ale z tętniącym w żyłach uczuciem triumfu Maxi dotarła do swego mieszkania na sześćdziesiątym trzecim piętrze Wieży Trumpa. Nie miała żadnej pewności, czy zdołała złamać Cuttera, cieszył się bowiem opinią rozsądnego, acz niezbyt szczęśliwego bankowca i mógł śmiało odeprzeć ten atak dzięki swemu rozeznaniu w interesach. W ostatniej dekadzie śmierć poniosło wiele czasopism i po krótkiej żałobie poszło w zapomnienie.

Przekręcając klucz w zamku Maxi pomyślała, że gdyby Cutter był kiedykolwiek członkiem kolegium redakcyjnego Wydawnictw Amberville'a, na próżno groziłaby konferencją prasową. Jak się właściwie "zwołuje" konferencję prasową? Chciałaby wiedzieć.

- Jauć!

Maxi runęła na podłogę pod ciężarem chudego, bosego, wrzeszczącego stworzenia, obładowanego plecakiem i trzema rakietami tenisowymi, stworzenia, które ścisnęło ją z wyciem, dopóki nie poprosiła o litość.

- Mama, moja mała mateczka, moja własna maleńka mateczka - wykrzykiwało z radością stworzenie. - Jesteś w domu! Właśnie weszłam i zajrzałam do lodówki. W tym mieszkaniu nie ma absolutnie nic do jedzenia, ale wiem, że nie dasz mi umrzeć z głodu, och, mateczko Wszechrosji.

- Angeliko, dziecino, proszę cię, puść - błagała Maxi. - Jej jedenastoletnia córka urosła o jard na obozie tenisowym. - Co tu robisz?

Miałaś wrócić dopiero w przyszłym tygodniu.

- Zwinęłam obóz, kiedy mnie wyeliminowano w jednej ósmej finałów.

Niestylowo jest odpaść w jednej ósmej... można nie dojść tak daleko i można odpaść w półfinałach, ale w ósemce, nie, Jose.

- Jak wróciłaś z Ojhi, Angeliko? Czy przypadkiem nie... o mój Boże, nie autostopem, co? - zapytała Maxi przerażona.

- Zadzwoiłam do taty po pieniądze. Przyleciałam, oczywiście, a on czekał na lotnisku. Ale nie miał czasu mnie nakarmić... to znaczy nakarmił niewystarczająco, zjadłam tylko kilka hamburgerów i wypłam parę mlecznych napojów... Widzisz, jak urosłam? Fajnie, co? Nie będę głupią osobą normalnego wzrostu jak ty. Może zostanę modelką. Myślisz, że potrzebna mi operacja plastyczna nosa, wszyscy uczestnicy obozu takie mieli, gdzie idziemy na obiad, czy tata dzwonił do Europy, żeby ci powiedzieć, że wracam? Mam przezwisko, odtąd musisz do mnie mówić Drzazga, a ja będę do ciebie mówić Maxi, to doroślejsze.

- Możesz mnie nazywać, jak zechcesz - jęknęła Maxi, kiedy Angelika wsparła się na niej czule - ale nie oczekuj, że ja będę do ciebie mówić Drzazga. Trzeba gdzieś zakreślić granicę. - Maxi położyła dłonie na ramionach córki, odsunęła ją o parę cali i bacznie się jej przyjrzała.

Jakiej szczególnej kombinacji genów było potrzebna, myślała, do powstania tych oszałamiających, klasycznych zadatków wyjątkowej urody?

Ambervilleowie, Adamsfieldowie, Andersonowie, Daleowie i Cutterowie złożyli się na dziwnie poetyczną, romantyczną mieszankę, która jest Angeliką Amberville Cipriani. A jednak w twarzy dziewczynki dominowały rysy jej ojca, Rocca Ciprianiego; wspaniałego Rocca, renesansowego Rocca, fascynująco zadumanego, mroczno-światlistego Rocca, którego przodkowie wyjechali z Wenecji - zapewne żadni inni Wenecjanie nigdy dobrowolnie tego nie zrobili - do Stanów Zjednoczonych przed niespełna stu laty.

- Zamierzasz wymyślić przezwisko także dla ojca? - spytała jak zawsze szczególnie grzeczna w stosunku do pierwszego byłego męża, wspólnie z nią sprawującego opiekę rodzicielską nad Angeliką.

- Och, Maxi, jesteś obrzydliwa, naprawdę. Ojcu nie nadaje się przezwisk.

Nie zawsze cię rozumiem.

- Widzę, że nadal obowiązują dwojaki kryteria - burknęła Maxi zrezygnowana. - I nie pytaj, co to znaczy, bo wkrótce się przekonasz.

- A co się tyczy obiadu... - Angelika rozrzuciła zawartość plecaka po pokoju. - Myślałam, że może coś tajlandzkiego albo sushi. Jedzenie obozowe było wyłącznie dla osób mieszkających na miejscu, a wiesz, co to znaczy... okropnie miękki biały chleb, pomarańczowożółty plastikowy ser w plasterkach, blad różowe kiełbasy... Od dwóch miesięcy nie miałam w ustach nic przyzwoitego.

- Angeliko, za sekundę powrócimy do twojego żołądka, ale może byś zapytała, jak się

czuję?

- Jak się czujesz, mamó? - powiedziała uprzejmie Angelika, próbując znaleźć parę czystych skarpet.

- Jestem nowym redaktorem naczelnym "Guzików i Kokard".

- Daj spokój... jak się miewasz? Poznałaś jakiegoś cudownego człowieka?

Ostatnio nie miałam ojczyma.

- Nigdy już, przenigdy nie będziesz mieć ojczyma, Angeliko. Mówiłam ci to tysiąc razy. Z "Guzikami i Kokardami" to nie żarty. Przejmuję pismo.

- Miesięcznik "Przybrania"? - Zdziwiona słowami Maxi Angelika zaniechała bezowocnych poszukiwań. - Czego chcesz od biednych, starych "Przybrań"?

- O czym ty mówisz?

- O "Guzikach i Kokardach"... Dziadek zawsze powtarzał, że właściwy tytuł to "Przybrania"... tak jest napisane na okładce maleńkimi literami. "Guziki i Kokardy" są nazwą nadaną przez jakiegoś zrozpaczonego redaktora, aby je nieco ożywić. Co zresztą niewiele pomogło. Dziadek mówił, że dalej wydawał magazyn z litości dla ludzi zatrudnionych tam tak długo... nie sądził, aby mogli znaleźć inne posady, a wielu z nich pracowało tam całe życie, jego jednak od niepamiętnych czasów to już nie interesowało. Mówię poważnie, mamó, kiedy ostatni raz widziałaś egzemplarz? Właściwie to rzecz dla zbieraczy. Nakład musi wynosić najwyżej dwieście dziesięć egzemplarzy.

Nuda.

- Skąd ty to wszystko wiesz, Angeliko?

- Dziadek rozmawiał ze mną o interesach... Twierdził, że ja jedna w całej rodzinie mam do nich głowę. Nie możesz przypadkiem pożyczyć mi skarpetek, Maxi?... Hej, mamó, dobrze się czujesz? Wyglądasz dość dziwnie. To może być różnica czasu.

Czy leciałaś zwyczajną linią? A może po prostu jak ja umierasz z głodu?

Słuchaj, mamó, kiedy jedziemy do Wenecji?

- Do Wenecji? - obojętnie powtórzyła Maxi.

- Mamy spędzić dwa tygodnie w Venezu, mamó... wiesz, tej we Włoszech... przed rozpoczęciem roku szkolnego - tłumaczyła Angelika cierpliwie i powoli jak komuś bardzo staremu.

- Nie mów "Do Wenecji?", jak gdybyś nie miała biletów i rezerwacji na powrót, bo wszystko jest zaplanowane od wielu miesięcy.

- Nie możemy pojechać.

- Ale mówiłaś!

- Nie będzie Wenecji. Żałuję. Wynagrodzę ci to. Muszę się zabrać do pracy. W miesięczniku "Przybrania".

- Jezu! Mówisz serio. Straciłyśmy wszystkie pieniądze?

- Wygłupiłam się.

- To gorzej czy lepiej?

- Gorzej, o wiele gorzej, stokroć gorzej. O cholera !

- Ach, mamó, nie miej wyrzutów sumienia. - Angelika o mało nie pogruchotała jej kości z uścisku. - Możemy zjeść obiad w Parioli Romanissimo... i co z tego, że nie ujrzę kraju mych przodków... restauracja niemal się równa Wenecji, tyle że bez kanałów... gołębi... Piazza San Marco... Gritti... - w głosie jej zadźwięczała nuta przejmującego żalu.

- Nie mogę nawet zjeść dzisiaj z tobą obiadu, Angeliko. Zadzwoń do Toby'ego, on cię zabierze, gdzie zechcesz. - Maxi była na siebie wściekła.

- Masz randkę? - rozpogodziła się Angelika.

- Dałam słowo. I nie mogę go złamać. Nazwij to długiem honorowym do spłacenia. Muszę być u P.J. Clarke'a punktualnie o ósmej. - Maxi padła na fotel i zwinęła się w żaloszny kłębek.

- Może lubisz czarne perły, Angeliko? Bo jeśli tak, to przywiozłam ci jedną z Europy.

- Ach, daj mi spokój, Maxi... nie musisz się poczuwać do winy. To nie w twoim stylu - pobłażliwie rzekła Angelika.

Inspektor celny bez wątpienia umie się obchodzić z kobiecym ciałem, myślała wesoło Maxi usiłując przebudzić się następnego rana. Czy jakiś inny mężczyzna na świecie potrafił kochać tak jak naprawdę szczyry Irlandczyk w szczytowej formie? A O'Casey był w rozkwicie. Jej drugi mąż, Australijczyk, kochany Zły Dennis Brady, uroczy chłopak, jak powiedzieliby w Starym Kraju, miał irlandzkich przodków, ale i niefortunny zwyczaj mieszania pół na pół mrożonej tequili z zubrówką i pochłaniania kilku dużych szklanek, zanim bez pomocy sternika próbował wprowadzić swój jacht do portu w Monte Carlo.

Małżeństwo może by się i nie rozleciało, gdyby nie był tak do szpiku kości rozleniwiony albo gdyby łódź nie była jachtem oceanicznym z zagłami o powierzchni osiemdziesięciu metrów i z własnym lądowiskiem dla helikoptera.

Może gdyby helikopter był odpowiednio przymocowany, rozbicie się - czy też zatonięcie? - nie byłoby aż tak żenujące. Maxi zeskoczyła z tego statku szaleńców po sześciu miesiącach, co przypomniała sobie sennie, smutniejsza, lecz niewiele mądrzejsza.

Mądrzejsza! Słowo to echem rozbrzmiało w jej głowie i przerażoną poderwało z łóżka. Mądrzejsza? Kto jest mądrzejszy? Która to godzina? Musi natychmiast brać się do roboty. Personel "Guzików i Kokard" na pewno już wie o wczorajszym zebraniu, bez wątpienia wszyscy siedzą niepewni i łzawi i czekają, aż spadnie oficjalny topór. Trzeba się tam dostać, nie wiadomo gdzie, dodać im otuchy, przejąć ster i zrobić... zrobić... co należy. Tak, zrobić, przystąpić do akcji, podjąć

decyzje, dokonać oceny, przejąc, zrobić coś, cokolwiek. Biegała w tę i z powrotem, próbując odsłonić okna, znaleźć zegar czy zegarek, była jednak zdezorientowana, niepewna, jak odsunąć ciężkie draperie i gdzie są kontakty.

Nie zdążyła nawet przenocować w nowym mieszkaniu przed wyjazdem do Europy. Wtedy, przed dwoma miesiącami, podobnie jak wiele innych mieszkań w Wieży Trumpa, nie było ono jeszcze wykończone, choć kupiła je kilka lat wcześniej na podstawie planów od swego kumpla Donalda Trumpa, gdy miał jedynie wizję tego, co da się zrobić w niemal bezcennej nowojorskiej kubaturze. Wreszcie namacała odpowiednie sznury i rozsunęła morelowe jedwabne zasłony na podszewce.

Stała w oknie nieruchoma ze zdumienia. Czy to Manhattan, miasto dobrze znane, ukochane i zienawidzone, czy też w czasie, gdy spała, jej nowe mieszkanie delikatnie przeniesiono na inną planetę? Słońce, które właśnie wstawało na wschodzie, za jej plecami, opromieniało Central Park, częściowo pograżony w mroku, i rozjarzało szczyty, iglice i wieże, jak daleko okiem sięgnąć: na północ do Harlemu; na zachód, przez rzekę Hudson, do New Jersey; na południe, za Centrum Handlowym, do Atlantyku. Boże, zmiłuj się, pomyślała, to Manhattan, a ja kupiłam całe cholerne miasto! Przepelniała ją radość uchodząca za bezbożną. Manhattan należy do niej! Ona jedna wstała tak wcześnie, ona jedna ma taki widok, wykrojony z nieba. Może tam na dole są taksówki, autobusy i wozy strażackie, ale na sześćdziesiątym trzecim piętrze Maxi ich nie słyszy. Unosiła się, lecz nie dryfowała, zakotwiczona w gnieździe, które ją kosztowało ponad cztery miliony dolarów, w gnieździe zawieszonym niemal równie wysoko jak pasemka białych chmur w stylu Fragonarda, różowiejących nad parkiem. Patrzyła, tymczasem zaś słońce wspinało się wyżej i zaczynało się odbijać w oknach, a one kolejno przesyłały jej wiadomości, zapowiedź nowego dnia, wieść o nowym poranku, co jej uświadomiło, że to szczęście mieć widok, który odmienia ducha.

- Zdobędę Manhattan, Staten Island i Bronx - śpiewała i tańczyła w rytm piosenki nauczonej przez ojca.

- Nie mam nic takiego, w co mógłby się ubrać wydawca, Angeliko - stwierdziła Maxi przy śniadaniu.

- Sądziłam, że jesteś nowym redaktorem naczelnym, mamó. Czy już awansowałaś?

- Zbudziłam się w środku nocy i nagle przyszło mi do głowy, że "Guziki i Kokardy" muszą już mieć redaktora naczelnego, a nie zdobyłabym popularności, gdybym wkroczyła i na wstępie odebrała komuś posadę, więc zrobiłam się wydawcą. Od śmierci dziadka wydawnictwa nie miały wydawcy.

- Jak powinien się ubierać wydawca? - zapytała Angelika zjadając cztery smażone jajka, obficie podlane masłem, prosto z patelni, jak to lubiła najbardziej.

- Jak ktoś obdarzony władzą, przywódca, ktoś, kto zagrzewa wojska do boju, ktoś, kto feruje

wyroki niewątpliwe, sprawiedliwe, niepodważalne.

- Więc to nie możesz być ty. - Angelika pokryła jajka stosownie grubą warstwą tabasco.

- Zgoda. Ale oni o tym nie wiedzą, a jeśli ubiorę się dynamicznie, zareagują odpowiednio, tak przynajmniej dawano mi do zrozumienia. Garderobę mam jednak na inne pory, począwszy od lunchu, bardzo szykownego lunchu w Le Cirque, w Cote Basque, nie na poważny, pracowity poranek wydawcy.

I... jest tego za wiele... na koktajle, obiady, bale, jachty, domki wypoczynkowe i plaże. Plus botki i spodnie, w których podróżuję.

- To brzmi jak test charakterologiczny. Zajrzyj do mojej szafy, a przekonasz się, kim naprawdę jestem - zauważyła jej córka.

- Wolałabym mniej szczerości, Angeliko. Czy nie mogłabyś okazać trochę więcej taktu?

- Sama poruszyłaś ten temat. A co powiesz na dwurzędowy czarny spodniem od Saint Laurenta, kupiony w zeszłym roku, którego nigdy na sobie nie miałaś, bo tak okropnie wyglądał?

- Wcale się nie zmienił - posepnie stwierdziła Maxi.- Upodabniał mnie do niskiego, przysadzistego mężczyzny w damskim stroju. Nie widać w nim talii i zakrywa nogi. Mam, musisz przyznać, najlepsze nogi w Nowym Jorku.

- Wszyscy o tym wiemy, mamó. W komplecie od Saint Laurenta i w szpilkach wyglądałabyś na mężczyznę średniego wzrostu w damskim stroju. A ramiona są rzeczywiście onieśmialające.

- Może z jakąś fantazyjną bluzką? - rozpogodziła się Maxi.

- Z surową bluzką i wąskim szalikiem przerzuconym niedbale przez jedno ramię. Viva Zapata.

- Nie cierpię tego stylu, a szalik zawsze spada.

- Nie masz wyboru - orzekła Angelika w zadumie. - Słuchaj, mamó, byłaś kiedyś naprawdę zakochana?

Nie odpowiadam na tego rodzaju pytania tak wcześnie rano.

- Czy myślisz, że Woody Allen byłby dla mnie za stary, gdyby zdarzyło mi się go poznać.

- Właściwie nie. Ale chyba nie chciałby się angażować.

- Nikt nie chce - odparła Angelika ze smutkiem.

- To choroba stulecia. Cokolwiek to oznacza - wyjaśniła Maxi.

- Cokolwiek - zgodziła się Angelika. Wiedziała prawie, co to oznacza. - Więc idziesz do pracy dziś rano? To straszne. Cóż, życzę powodzenia, Maxi.

- Dziękuję kochanie. A ty co dzisiaj robisz? Zakupy?

- Tak, przed powrotem do szkoły. Najpierw sprawdzę, co ma Armani, Krizia, Rykiel, Versace, Kamali i w końcu kupię, domyślasz się.

- Chciałabym być równie wysoka jak ty - westchnęła Maxi.

- Myślę, że tak dobrze się prezentujesz. Odpowiada mi matka średniego wzrostu. Pozwala
czuć się dorosłą.

- Nie wiedziałam, że się nie czujesz - mruknęła Maxi.

9.

Redakcja miesięcznika "Przybrania" nadal mieściła się na Czterdziestej Szóstej ulicy, między alejami Szóstą a Siódmą, tam, gdzie Zachary Amberville wynajął lokal na swe pierwsze biuro. W okresie powstawania pisma budynek był lekko podniszczony, nie bardziej jednak od sąsiednich, a znajdował się o krok od zakładów, gdzie produkowano przybrania. Nie zmieniło się nic poza tym, że ze stanu zaniedbania popadł w ruinę. Maxi nie zwróciła na to uwagi, gdy szukała redakcji i przedstawiała się recepcjonistce.

- Nazywam się Amberville. Czy może pani powiadomić redaktora naczelnego, że tu jestem?

- Spodziewa się pani?

- Proszę mu tylko powiedzieć. Maxime Amberville.

Po upływie paru sekund w małej recepcji zjawił się Robert Frederick Fink.

Ten okrągutki, różowy, żywotny elegant, między sześćdziesiątką piątką a siedemdziesiątką, był absolutnie zachwycony jej odwiedzinami.

- Maxi! - wykrzyknął. - Daj wujkowi Bobowi buzi! Założę się, że pamiętasz, jak postawiliśmy na fuksa i wygraliśmy dwanaście kawałków. Chodź do mojego pokoju i opowiedz mi o sobie... kopę lat.

- Ze dwadzieścia - na chybił trafił powiedziała Maxi, którą dławili w uścisku. Nie pamiętała wujka Boba, pamiętała natomiast tę gonitwę.

- Zupełnie jakby to było wczoraj. Uważaj na drzwi, nie otwierają się do końca.

Maxi wcisnęła się do gabinetu i stanęła jak wryta. Powierzchnię średniej wielkości zajmowało osiem biurków zawałonych stertami najrozmaitszych papierów, starannie poukładanych, tak że jakoś trzymały się bez podparcia.

Między tymi wysokimi ścianami można było gęsiego dojść do dziewiątego biurka, należącego do Boba Finka. Tam papiery osiągnęły wysokość zaledwie ośmiu cali. Bob troskliwie usadowił Maxi na jedynym krześle dla interesanta, po czym przepchnął się za biurko i usiadł wygodnie.

- Nie mam przekonania do segregatorów, Maxi, nigdy go nie miałem. Włóżysz tam coś, zapomnisz, że włożyłeś i nigdy już tego nie zobaczysz. Równie dobrze możesz to spalić. Zapytaj mnie o jakiś dokument, jakikolwiek dokument.

- Co? - Maxi obiema rękami chwyciła za kraciasty szal i skrzyżowała ramiona na piersiach. Pomyślała, że gdyby kichnęła, odkopywano by ją przez tydzień.

- Każ mi coś znaleźć... na przykład rachunek czy voucher, czy zestawienie wydatków, cokolwiek.

- Egzemplarz "Guzików i Kokard", powiedzmy, z roku 1954.

- Niece. To za łatwe.

- Zestawienie rachunków za... papier... od czerwca 1961.

Bob Fink wstał, surowo lustrował swe włosy przez dwie minuty, przecisnął się do jednego z biurka i z największą delikatnością wydobyl kilka papierków spod wysokiego minaretu.

- Proszę bardzo. Spójrz tylko! W sześćdziesiątym pierwszym papier kosztował nieporównanie mniej.

- Nie do wiary. - Maxi obrzuciła go promiennym spojrzeniem. - Myślisz, że mogłabym zobaczyć numer "Guzików i Kokard", ten ostatni?

Bobowi Finkowi mina zrzęda.

- Jest tutaj, ale nie napawa mnie dumą. Wszystko się zmieniło, odkąd popuszczono wodze "Blouson Noir".

- Komu?

- Johnowi Fairchildowi. Francuscy projektanci nazwali go "Blouson Noir", co oznacza zbira z gangu motocyklowego w czarnej skórzanej kurtce... bo taki był na nich cięty. Ale to, co zrobił dla nakładu "Women's Wear"!

Bomba, kochanie. A kiedy nasi klienci to zobaczyli, oczywiście postanowili tam zamieszczać wszystkie ogłoszenia. Na domiar złego Fairchild co tydzień wydaje "Footwear News", przez co straciliśmy reklamy klamerek i pasków.

Razem wzięwszy... cóż, mamy jeszcze trochę prenumerat na parę lat i drobne ogłoszenia od ludzi, których podnieca widok własnych zdjęć na okładce; ale, Maxi, spójrzmy prawdzie w oczy, "Guziki i Kokardy" są... no, mówiąc bardzo oględnie, w tarapatkach. Jeśli jesteś w tarapatkach, jeszcze żyjesz, "Guziki i Kokardy" natomiast są na oddziale intensywnej terapii, lecz szpital właśnie zamknięto.

- Czy mimo to mogę je zobaczyć? - spytała Maxi wcale nie odstraszona.

Podał jej cienkie pisemko w śmiałej czerwonej okładce z fotografią Johna Robinsona, producenta wstążek, prawie wyłącznie poświęcone jego karierze.

Parę stron zajmowały wiadomości ze świata wstążek i galonów, jeden artykuł traktował o zastosowaniu guzików w kostiumach Adolfa, a zilustrowany był rysunkiem mankieta z trzema guzikami. Dwa największe spośród kilku drobnych ogłoszeń reklamowały spółkę Robinsona i inną, która sprzedawała guziki Adolfowi.

- Czy słyszałeś o wczorajszym zebraniu, wujku Bobie? - Maxi złożyła na pół żaloszny strzęp czasopisma i zaborczo schowała je do torebki.

- Oczywiście doszły mnie plotki. No, miałem z dziesięć telefonów. Zgoda, dwadzieścia. To bardzo ładnie z twojej strony, że osobiście przekazujesz mi wiadomość. Twój tata, niech odpoczywa w spokoju, zachowałby się tak samo.

Wiedziałem, że to musi nastąpić.

- Ale nie nastąpi, Bob! Ja zostałam nowym wydawcą "Guzików i Kokard" i razem zapewnimy pismu ponowny sukces, tak jak zrobiłby to mój ojciec! - Maxi o mało nie zwała sobie na głowę tony papieru, gdy poderwała się w podnieceniu.

- Jeśli to ma być druga nagroda, kochanie, nie chciałbym wygrać. Siadaj, na litość boską!

- Ja nie żartuję. Mówię poważnie! Do licha, Bob, możliwości są nieograniczone, możemy zrobić wszystko to co Fairchild. Wywrócimy tu wszystko do góry nogami... oczywiście nie twój gabinet, ale...

- Maxi - przerwał jej łagodnie Bob Fink - przemysł odzieżowy nie potrzebuje więcej niż jednego poważnego pisma, a potrzebuje gazety, "WWD", nie miesięcznika. Nie zamierzasz wydawać drugiego dziennika, prawda?

- No, nie, właściwie nie. Ale co z "W"? Moglibyśmy robić coś takiego jak "W", ale lepszego.

- Kłopot polega na tym, że "W" wykorzystuje materiał już sfotografowany i opisany dla "WWD"... czasami wydają numer trochę obszerniejszy i kolorowy, nic ich to jednak nie kosztuje... pieniądze w banku dla Fairchilda i zaledwie dziesięć tysięcy prenumeratorów. "W" to po większej części ogłoszenia, wszystkie te olbrzymie ładne fotografie - westchnął. - Chyba się starzeję... nie jestem przygotowany na szałowe dziewczyny w chłopięcej bieliźnie. Co się stało z majtkami?

Maxi skrzywiła się w swoich slipach od Calvina Kleina. Nadały jej życiu seksualnemu nowy wymiar. Czy jest zboczona, czy zna samych zboczeńców, czy też Bob Fink jest staroświecki?

- Jak może "W" mieć tylko dziesięć tysięcy prenumeratorów? Czytają to wszyscy moi znajomi - oświadczyła.

- W tym rzecz... każdy numer czytają dziesiątki osób, a większość z nich ma wysokie dochody, co jak się domyślam, tłumaczy sprawę ogłoszeń. Nie możesz rywalizować z Fairchildem, Maxi. Założyli tę spółkę w roku 1881 i specjalizowali się w pismach handlowych jeszcze przed urodzeniem twojego taty, niemal przed urodzeniem mojego taty. I dlaczego, u licha, miałyby ci na tym zależeć? Nazywasz się Amberville.

- Słyszę, co mówisz, Bob, lecz jestem przekonana, że potrafię dokonać zwrotu w "Guzikach i Kokardach". Z twoją pomocą, naturalnie. - Jak, zastanawiała się, mogłaby się pozbyć takiego kochanego staruszka? Gdyby nie ten jego pesymizm.

- Z moją pomocą? Maxi, od dawna marzę o emeryturze. Siedziałem tutaj, bo byłem to winien pamięci twojego taty, na szczęście jednak we właściwym czasie inwestowałem w nieruchomości. Większość byłych prezydentów Stanów Zjednoczonych pobudowała swoje domy na terenach, które im sprzedałem w Palm Springs. Nie udało mi się tylko dostać gruntów Annenberga, z torem golfowym i całą resztą, choć bardzo tego chciałem. Przeszły mi koło nosa, ale nie można zdobyć wszystkiego.

- O emeryturze? Zamierzasz przejść na emeryturę?

- I przenieść się na zachód. I patrzeć, jak rosną moje palmy. Może nauczyć się konnej jazdy.

- A... twoje biurka? - Maxi wskazała je ostrożnym gestem.

- Spal je. Choć usunięcie tych śmieci będzie kosztować majątek, na twoim miejscu zdecydowanie tak bym postąpił i je spalił.

- A co z resztą personelu? - w oszołomieniu zapytała Maxi. - Z tymi ludźmi, których nie chciał zwalniać mój ojciec?

- Zastanówmy się... od pomysłów i pisania artykułów jest Joe, stroną graficzną, makietami i produkcją zajmuje się Linda, ja odpowiadałem za ogłoszenia. Oczywiście nie ma działu handlowego. Recepcjonistka obsługuje również centralkę telefoniczną i pisze na maszynie. Joe'ego i Lindę urządziłem w nieruchomościach... a recepcjonistka wszędzie mogłaby dostać posadę. Bardzo uzdolniona młoda dama, strasznie jej się tu nie podoba.

Muszę ją przepłacać, żeby nie odeszła.

- Trzy osoby? Tylko trzy? Jakże to możliwe? - Poczula zawrót głowy, ale nie wolno jej zemdleć.

- No, najmujemy jeszcze faceta z tego budynku, opróżnia kosze ze śmieci i co jakiś czas sprząta, na dole jest ksero, więc możemy robić odbitki, i raz po raz drukarz przysyła kogoś, kto nam sprzedaje papier, lecz poza tym, tak, trzy osoby. I mimo to przynosimy straty. Czujesz, pensje, zaopatrzenie, wszystko to kosztuje. Oczywiście jest lunch; każdy musi dostać lunch.

- Spółka płaci za lunch? - pisnęła Maxi z niedowierzaniem.

- Zapoczątkował to twój tata jeszcze w dawnych dobrych czasach. Zależało mu na tym. Rzecz jasna wtedy otwarty był Lindy. Lunch to już nie to samo, odkąd go zamknęli.

- Kiedy - słabym głosem zapytała Maxi - zamierzaliście odejść? Choć nie chcę sprawiać wrażenia, że się spieszę...

- Co dziś mamy? Czwartek. Moglibyśmy się wynieść w piątek. Za nic jednak nie zostawię cię z tym bałaganem. Nie martw się, umówię śmieciarza, żeby to zabrał, a Hank, ten z budynku, chętnie bierze godziny nadliczbowe, więc uprzątnie się to mniej więcej do poniedziałku, może do wtorku.

- Na pewno nie chcesz zostać? - Maxi nie mogła się zdobyć na nic prócz grzeczności.

- Już siedzę w samolocie, moja droga. I posłuchaj, jeśli pozwolisz dawnemu wielbicielowi wtrącić dwa grosze, ten strój nie jest... może coś bardziej... ach... mniej groźnego? Złakłbym się, gdybym cię spotkał w ciemnej ulicy, Maxi. Jak zechcesz, to cię obkupię... może u Beene'a albo u Ralphi Lauren. Nic ci nie brakuje i wystarczy zmienić wygląd.

- Masz czelność nazywać tę grudkę mączystej papki Golden Deliciousem? - ryczał Toby. - Ugryź je, ty draniu, i powiedz mi, ile miesięcy temu zostało zerwane i złożone w chłodni.- Jedną

ręką chwycił hurtownika za kołnierz koszuli, drugą podał mu jabłko. - Jazda, gryź!

- Obrabowano mnie, panie - klął się mężczyzna. - Właśnie kupiłem dwadzieścia skrzynek na północy stanu i przysięgali, że są zerwane w tym tygodniu prosto z drzew.

Toby puścił go z obrzydzeniem.

- Pewnie, że tak. Cóż, mam za swoje, bo próbowałem znaleźć nowego dostawcę. Nie zdajesz sobie sprawy, że wiem wszystko o tym owocu?

Wystarczyło mi dotknąć skórki i już wiedziałem, że jest zeszloroczny. Nie pachnie jak świeże jabłko i wyrzygałbym się, gdybym go spróbował. Postaraj się to sprzedać D'Agostinowi.

Odwróciwszy się powiedział do Maxi:

- Większość tutejszych facetów mnie zna i nie próbuje wycinać takich numerów. Nigdy od niego nie kupowałem, więc pomyślałem, że spróbuję.

- Ostatni raz usiłował obrabować niewidomego - stwierdziła Maxi. - Przynajmniej jednego z nas w tym tygodniu nie obskubano.

- Głowa do góry i przestań narzekać. - Toby ruszył przejściem między stoiskami, jak zawsze na niebezpiecznie zatłoczonym targowisku Hunt's Point posługując się laserową laską. Trzy wiązki niewidocznej podczerwieni powodowały wibracje sztyftu, którego dotykał palcem wskazującym, i w ten sposób informowały, czy z przodu albo nad głową nie znajduje się coś, czy stopy nie napotkają na spadek terenu. Toby swobodnie zataczał łuk laską, czego nauczył się przed laty. Teraz zaczął po kolei brać na próbę jabłka z różnych skrzynek; dotykał ich, wahał, ze znanstwem obracał w długich palcach, jakby każde uważał za martwą naturę, a wszystko to robił w zawrotnym tempie.

- Ja nie narzekam - odparła Maxi z goryczą. - Tylko jestem na siebie wściekła. Joanna d'Arc ratująca skórę właściciela Rancho Mirage... że nie wspomnę o darmowych lunchach przez trzydzieści lat. Gdybym tak sądziła, że Cutter jest zdolny umrzeć ze śmiechu.

- Słuchaj, nadal masz czasopismo, redakcję i przez rok możesz robić, co ci się spodoba. Cierpisz jedynie z powodu zranionej dumy, Złotowłosa.

- To nie czasopismo, to lekarstwo na próżność. Redakcja... cóż, nawet ty musiałbyś to zobaczyć, żeby dać wiarę. Twoja laska wpadłaby w furję. Ile jabłek kupujesz, na litość boską?

- To okres szarlotki Tatin, mała, co oznacza tysiące.

- Czemuż, u diabła, nie miałam dość rozumu, aby spytać Pavkę czy Ninę Stern, zanim wybrałam magazyn? Mogłam wziąć każdy z nich! Dlaczego akurat w to musiałam się wpakować?

- Och, na tym polega tajemnica ludzkiej osobowości. Gdybyś zachowała odrobinę rozważli, nie byłabyś Maxi, a gdybyś nie była Maxi, cały świat byłby smutniejszy.

- Ale mądrzejszy.

- Może. Istnienie jednak nie polega wyłącznie na mądrości. Mądrość przypomina celibat...

odkładaj ją, póki się da. - Tobias zamówił jabłka i wyprowadził siostrę z olbrzymiego, paskudnego kompleksu budynków, zaopatrującego Manhattan przynajmniej w połowę żywności. Sam już nie robił codziennych zakupów i wyręczał się pomocnikami, ale od czasu do czasu sprawdzał, co nowego znajdzie w Hunt's Point dla swoich miejscowych restauracji. Oprócz nich miał jeszcze dwie w Chicago i cztery na Zachodnim Wybrzeżu, wszystkie równie dochodowe.

Tobias odkrył kuchnię przed ukończeniem ósmego roku życia. Był to dla niego teren zakazany, chociaż w dzień widział jeszcze stosunkowo dobrze.

Irracjonalny lęk Lily, że syn się zbliży do ognia, tym bardziej utwierdzał go w chęci wtargnięcia do tajemniczego pomieszczenia.

Pewnej nocy zaczekał, aż cały dom uśnie, po czym schodami i znanymi przejściami dotarł do dużej, kuszącej kuchni. Zapalił światło i cał po calu jął pięcioma zmysłami ją badać, począwszy od szafek i szuflad. Wzrok miał już na tyle osłabiony, że dziwne przedmioty poznawał innymi zmysłami.

Przybory kuchenne, puste garnki i patelnie, pniaki rzeźnicze, noże, widelce i łyżki przytykał do nosa, macał czubkami palców. Wąchał noże, dotykał ich koniuszkiem języka, lizał tępe krawędzie, ostrzami delikatnie przesuwając po dłoni, przyciskał je do policzków. Potrząsał każdym przedmiotem, słuchał, jaki robi hałas, ważył go w rękach i porównywał ciężary różnych rzeczy, które kolejno odkładał na miejsce. Następnej nocy otaczany przesadną troskliwością chłopczyk zapuścił się dalej, do lodówki, i tam w ciągu długich, cichych godzin zakochał się na dobre. Jajko było dla niego światem, karczoch galaktyką, kurczę wszechświatem.

Noc po nocy spędzał w kuchni, aż poznał ją na wylot, aż spróbował każdy zwiędły kawałek natki, choć posłuszny zakazowi matki nigdy nie rozpałił w piecu, tylko się na niego wspinał, obmacywał z zewnątrz i od wewnątrz, dopóki nie utrwalił go sobie w pamięci.

Pewnej nocy nie potrafił się powstrzymać i ostrożnie stłukł jajko nad miską. O ile z wierzchu było fascynujące, o tyle środek absolutnie go oczarował. Po pierwszym poszło następne, aż wreszcie tuzin ich pływało w dużej brązowej misce, a powtykane jedna w drugą skorupki schludnie piętrzyły się na brzegu kuchennego stołu. Najwyraźniej należy je wymieszać widelcem, powiedział sobie Toby. Już je prawie ubił, porządnie, metodycznie i z energią, kiedy drzwi się otwarły i nakryła go kucharka. Ta pierwsza próba gotowania dowiodła jedynie, że nie da się ubijać jajek w całkowitej ciszy.

Zachary nalegał, aby Tobiasa uczono gotowania, więc zaangażowano kuchmistrza ze szkoły Cordon Bleu, który przychodził na lekcje co dzień po południu.

Wkrótce Tobias po odgłosie kapania poznawał, czy oliwę z odpowiednią prędkością dodaje się do majonezu. Z dokładnością co do sekundy określał, kiedy omlet należy wyrzucić z patelni,

wyczuwał węchem moment przyrumienienia się cebuli, jajka gotował bez zegarka, a do krojenia owoców i warzyw na najcieńsze plasterki wystarczał mu ostry nóż.

Ale od jedenastego roku życia nasiliły się jego kłopoty z oczami. Mimo naturalnego wdzięku wydawał się niezdarny i niezręczny, wciąż wpadał na ludzi i sprzęty, choć powinien je widzieć.

Lily nadal nie umiała pogodzić się z faktem, że pewnego dnia Toby prawie, jeśli nie całkowicie straci wzrok, toteż jakoś nie zwracała na to uwagi, natomiast Zachary, który w sobotnie popołudnia często zabierał dzieci do kina, zdawał sobie sprawę, że od chwili zgaszenia świateł do ich ponownego zapalenia Toby jest bezradny. Wkrótce stało się oczywiste, że nie dla niego są zespołowe gry sportowe, bo źle widzi na boki, nie może śledzić lotu piłki w koszykówce ani krążka hokejowego, i choć Lily zdecydowanie sprzeciwiała się uprzedzaniu syna, co go czeka w przyszłości - czemu ma się dowiedzieć, zanim to jest bezwzględnie konieczne, mówiła - Zachary postanowił go przygotować.

W latach sześćdziesiątych nie prawie nie wiedziano o barwnikowym zwyrodnieniu siatkówki i doktor Eliot Berson ze Szkoły Medycznej Harvarda, do którego Zachary zaprowadził Toby'ego na badanie ERG, aby zmierzyć siłę sygnałów nadawanych przez komórki nerwowe siatkówki, nie potrafił podać prognozy, stwierdził tylko, że przy odrobinie szczęścia Toby zachowa pewną czynnościową zdolność widzenia do trzydziestki.

Nawet Zachary nie mógł się zdobyć na dokładne powtórzenie tych słów Toby'emu, starał się natomiast tłumaczyć, dlaczego chłopiec powinien się skoncentrować na sportach niezespołowych, takich jak pływanie i gimnastyka; wolał mówić o sportach niż o życiu, o pałeczkach i siatkówce niż o widzeniu lunetowym.

- Czy ja oślepnę, tato? - zapytał Toby po krótkim milczeniu, jakie zapadło po beładnej wypowiedzi Zachary'ego.

- Nie! Nie, Toby! Niezupełnie, nigdy zupełnie, jeszcze przez wiele lat. - Serce się Zachary'emu krajało, kiedy możliwie najobjętniej wymawiał te słowa.

- Mimo to powinienem się nauczyć brajla, prawda? - rzekł Toby przerywając kolejną chwilę milczenia. Zachary nie mógł wydobyć głosu, nie mógł zaprzeczyć. - A zatem brajl i pisanie na maszynie czarnodrukowej. - Toby wstał i poszedł do swojego pokoju. Nikt się nigdy nie dowie, ile tam wycierpiał, ale powziął mocne postanowienie, że nawet jeśli nie zdoła przezwyciężyć losu, nie zmarnuje życia.

Brajla - choć na razie nie był mu potrzebny - najlepiej się uczyć w możliwie młodym wieku, toteż niebawem Toby rozpoczął regularne lekcje.

Pływał z prywatnym instruktorem w krytym basenie, który zbudowano dla niego w nowojorskim ogrodzie Amberville'ów, z taką samą energią, z jaką nadal uczył się gotować. Wiódł

jakby podwójne życie, jedno w jasności, drugie w mroku, i przez kilkanaście lat, jak to się często zdarza, choroba na pozór nie czyniła postępów. Do czasu ukończenia szkoły hotelarskiej na uniwersytecie Cornella Toby przez osiem letnich wakacji praktykował u wielkich kuchmistrzów we Francji, Włoszech i Hongkongu, zanim się przygotował do otwarcia własnej restauracji.

Przez lata, niczym rycerz ostrzący broń i oliwiący zbroję na wypadek dalekiej bitwy, poznawał niezliczone mnóstwo pomocy kuchennych dla ludzi o słabym wzroku, ilekroć zaś znalazł coś, co mu się spodobało, jak cudowny nóż Magna, stosował to, choć jeszcze nie zachodziła potrzeba. Kuchnia jego pierwszej restauracji była niezwykle, jeśli idzie o nienaganną organizację.

Żadna obsesyjnie porządna pani domu nie zdobyłaby się na tak absolutną pedanterię, z jaką Toby, kierując się zdrowym rozsądkiem, układał swoje przybory. Jego wiernym rumakiem była para wag piekarskich; na jednej, wyposażonej w urządzenie elektroniczne, mógł ważyć przyprawy od zera do szesnastu uncji, na drugiej inne składniki do tysiąca funtów, obie zaś miały podziałki zaznaczone brajlem w półcalowych odstępach.

Za rękawice służyły mu te do pieca, długie na siedemnaście cali i chroniące przed poparzeniem palce, wierzch i spód dłoni; zamiast mieczów używał nie przewodzących ciepła drewnianych łyżek, dwustronnych kopystek, miarek wsadzanych jedna w drugą, tak że mógł je wyczuwać palcami, bez potrzeby odczytywania podziałki na szkle. Jego kopię stanowiła elektryczna miarka do płynów, hełmy zaś - donice z gumowymi krążkami u podstawy, co zapewniało stabilność.

Pod trzydziestkę, już jako właściciel dwóch dochodowych restauracji, Toby zdał sobie sprawę, że ciemne plamy coraz bardziej przysłaniają mu świat; ludzi i przedmioty raz widział, raz nie widział, niewyraźnie, fragmentarycznie, coraz mniej kolorowo. Choć nauczył się ukrywać swoje kłopoty, teraz dostrzegł, że potrzebuje bardzo fachowej pomocy.

Przez cztery miesiące ćwiczył się w Ośrodku Rehabilitacyjnym św. Pawła w Newtown, stan Massachusetts. Tam, niezależnie od tego, ile kto widzi, wszyscy uczą się z zawiązanymi oczami najróżniejszych rzeczy począwszy od tak prostych, jak zachowanie przy stole i liczenie pieniędzy, a na najtrudniejszej technice posługiwania się laską skończywszy. Pobierał lekcje szermierki, pomocne w lokalizowaniu dźwięku, i "wideacji", czyli orientowania się według prędkości wiatru, ciepła słonecznego na twarzy, faktury tego, po czym stąpa, i w ogóle poznawania odgłosów przyrody, dźwięków wydawanych przez ludzi i samochody. Ośrodek opuścił z uczuciem, że jest możliwie najlepiej przygotowany na przyszłość.

Po powrocie do Nowego Jorku nadal eksperymentował z różnymi systemami opracowanymi dla ociemniałych zatrudnionych w kuchni. Kuchnia w każdej jego nowej restauracji była identyczna jak w poprzednich. Widzących kuchmistrzów uczył gotować po swojemu, używać jego broni i niebawem nauczyli się, w razie potrzeby, gotować po ciemku.

Sam Toby gotował jeszcze od czasu do czasu w pierwszej restauracji i wymyślał nowe dania, pozostałe prowadzili jednak kuchmistrze. Bez zapowiedzi wpadał do Chicago czy Los Angeles i po dwudziestominutowej inspekcji wiedział, że przestawiono najmniej potrzebną kompotierkę na niewłaściwe miejsce. Biada podkuchmistrzowi skąpiącemu grzybów; biada temu, kto źle ocenił dojrzałość brie; kto nie upiekł kurczaka tak, aby był soczysty po czubek skrzydełka; kto dodał do sosu o jedną ósmą szczypty soli za dużo. Biada, biada kierownikowi restauracji, jeśli kryształ w dotyku nie przypominał satyny, jeśli obrusy okazały się za mało sztywne, świece o cal za krótkie czy kwiaty o godzinę za stare. Po jednym takim nalocie przezwano go "Tobias Groźny", lecz później personel wielbił go jeszcze bardziej.

Toby trącił łokciem zadumaną Maxi.

- Lepiej bym się ubawił z Angeliką na zakupach. Słuchaj, pokpiłaś sprawę, ale to nie koniec świata. Weź się w garść i daj sobie z tym spokój. Olej to. Zapomnij o wszystkim. Nie możesz widocznie ocalić "Przybrań", tak jak nie możesz przywrócić mody na trzewiki, więc nie trać czasu na zwalczanie Cuttera. Pogódź się z jego wygraną. Nie myśl o tym, nie bądź taka przegrana i znów zachowuj się jak Maxi.

- Choć jesteś gackiem, mówisz jak baranek - ze złością odparła Maxi.

- Jako znakomity biznesmen codziennie muszę stawiać czoło rzeczywistości.

Powinnaś mi okazać odrobinę szacunku, bo jestem zapewne najlepszą partią w Nowym Jorku, kawalerem trudnym do zdobycia, któremu nie zależy na wyglądzie dziewczyny, a jeszcze nie znalazł takiej, z którą do końca życia chciałby obcować duchowo.

- Zarozumiała, nietaktowny, skąpy baranek, na tyle bezmyślny, że nie proponuje drinka, kiedy najbardziej mi tego potrzeba - ponuro stwierdziła Maxi.

- Jest raczej pora na sobotnie śniadanie, mała, nie zauważyłaś?

- Kłopot z tobą, Tobias, polega na tym, że wszystko bierzesz zbyt dosłownie, czego tobie matka nigdy by nie powiedziała - rzuciła Maxi zagniewana.

- Śniadanie wymaga drinka, nie mam racji?

- Skoro o tym wspominasz, czemu nie?

India West niezycziwym wzrokiem obrzucała swe odbicie w lustrze na toaletce w sypialni w Beverly Hills. W jej umyśle zachodziły minimalne zmiany, a oczy, w tym specjalnym odcieniu rzadkich perskich turkusów, jakby na zamówienie ciemniały albo jaśniały. Ruchy niesłychanie delikatnych mięśni pod skórą wyrażały dość, aby zapłacić stronicę "Les Cahiers du Cinema". Zakochała się po uszy, przeżyła lekką depresję, dręczył ją potajemny strach, rozpogodziła się, z kobiety swawolnej przeobraziła się w zakonnice i promieniała łagodnym oczekiwaniem ekstazy.

Wszystko, zauważyła ponuro, nadal działa zgodnie z nakazem woli mimo fatalnego kaca.

Kiedy tak patrzyła, całkiem obojętna na swój wygląd, nieporuszona tą niezwykłością rysów, których perfekcja nudziła wyłącznie ją samą, uznała za do głębi, zasadniczo głupie to, że uchodzi za najpiękniejszą aktorkę filmową na świecie. Cóż to za zajęcie dla dorosłej osoby? Kto sobie wyobraża, co to za granda? Przypomniała sobie choćby film z Gretą Garbo, tę boską twarz o prawie niezmiennym wyrazie i reakcją uwarunkowaną widowni, która dopatrywała się w niej silnych uczuć. Czy Garbo miała do siebie taki stosunek jak ona? India podejrzewała, że tak i że się wycofała, zanim inni się połapali.

- Nie jesteś Meryl Streep, ty idiotko - odezwała się na głos do swego ślicznego odbicia - ale jak to mówią, potrafisz grać.

- Przewiązała drżące fale bursztynowych włosów i z obrzydzeniem spojrzała na szklanę krwawej mary. Nigdy prawie nie piła, lecz wczoraj wieczór zrobiła straszny wyjątek i tylko tak mogła skłonić wątrobę do pracy.

Przełknęła trunek, bogini pogodzona z chwilową śmiertelnością, zadygotała i na niepewnych nogach wróciła do łóżka.

Wszystkie siły zużyła na otwarcie soku pomidorowego i znalezienie sosu tabasco, gdyż niedziele spędzała samotnie. W dużym domu nie było pokojówek, sekretarek, kucharki, milczały telefony, bo wielcy przemysłu filmowego spali, bądź niejasno przemyśliwali o śniadaniu patrząc, jak ludzie, którzy muszą żyć gdzie indziej, grają na ekranie telewizyjnym w piłkę nożną. Mimo to, zreflektowała się India, gdyby nie niedziela, miałyby normalne zajęcia z nauczycielem gimnastyki, największym arbitrem w jej życiu, Mike'em Abrumsem. Gdyby zaś on zaczął ją podejrzewać o kaca, a Bogu wiadomo, że przed nim nic się nie ukryje, gorzko by pożałowała. Mógłby nawet nie umawiać się z nią na lekcje.

Wbrew pogłosce o jego złotym sercu, która nie była pozbawiona podstaw, Mike Abrums narzucał uczniom żelazną dyscyplinę, do czego przywykł w piechocie morskiej, gdzie uczył zabijać ludzi gołymi rękami. Teraz utrzymywał starannie dobrane i bezwzględnie posłuszne ciała hollywoodzkie w idealnej formie, na co czekała setka chętnych. Mike zabronił Indii jeść czerwone mięso, cukier, sól, tłuszcze i pić alkohol w jakiegokolwiek ilości czy postaci. Poprzedniego wieczora, zbuntowana, obficie uraczyła się wszystkim, co figurowało na liście zakazów.

- Gdybym nie była taka piękna - żałośnie przemówiła do sufitu - mogłabym co dzień jeść hamburgera. Gdybym nie była gwiazdą, nie musiałabym być doskonałością. Gdybym nie była bogata, nie mogłabym sobie pozwolić na sześć lekcji tygodniowo u tego wspaniałego dyktatora. Gdybym nie była sławna, nikogo by to nie obchodziło. Wystarczy mi problemów, które inni, jak mówią szyderczo, chętnie by mieli, bo nawet jeśli wszyscy marzą o moich problemach, mnie one nie muszą odpowiadać. To nie majątek. Banalna myśl, przyznaję, że w tym stanie nie potrafię się

wznieść wyżej.

Choć India przemawiała wyłącznie do sufitu, jej głos swym nieskończonym bogactwem odcieni i gamą przypominał wino: od ciemnego, mocnego burgunda do lodowatego, skrzącego się szampana; od ciepłego, łagodnego bordeaux do nieziemsko słodkiego sauternes. Po sześciu latach gwiazdorstwa w Hollywood India uważała za naturalne, że mówi do siebie na głos. Ludzie na ogół nie zdają sobie sprawy, z jak niewieloma osobami na świecie gwiazda może być szczerą. Chęć pławienia się w sławie powiernicy jest prawie nieodparta, więc gdyby zwierzyła się komuś spoza wąskiego grona zaufanych, przypuszczalnie przeczytałaby o tym nazajutrz w gazetach.

- Gdybyż sufit był bardziej interesujący - zauważyła. Kac szalenie ograniczał możliwość wyboru. Nie mogła znieść głośnej muzyki, nie miała sił skupić się na słowie drukowanym, a co najgorsze, nie chciało jej się z nikim pogadać przez telefon. Na tę myśl oczy wezbrały łzami. Z trudem dźwignęła się z łóżka i otulona szlafrokiem powoli ruszyła w stronę basenu.

Każda rzecz jest lepsza od leżenia i litowania się nad sobą.

Szła ścieżką przez ogród na tyłach domu. W zamierzeniu projektanta zieleni miał być tropikalny, lecz za cenę dwustu tysięcy dolarów powstał nierzeczywisty krajobraz jak z płócien Rousseau, z szalenie egzotycznymi roślinami, które Indii, w jej obecnym nastroju, wydawały się groźne i groteskowe. Z niepokojem pomyślała o tygrysach, śpiących Cyganach i węzach.

Nagle, po serii złowieszczych, głuchych odgłosów, ożyła sieć podziemnych spryskiwaczy. Miały rzekomo działać tylko nocą. Kiedy tam stała, polewana dziesiątkiem biczów, trzy olbrzymie owczarki niemieckie z wściekłym ujadaniem wyskoczyły z wysokich paproci i omal nie obaliły jej na ziemię.

- Siad! Siad, wy potwory! - wrzasnęła usiłując nadać głosowi władcze brzmienie. Łasiły się do niej dwuznacznie.

- Bonnie-Lou! Sally-Ann! Debbie-Jane! Siad, mówię! - Były to wprawdzie psy, ale wołała udawać, że to suki. Choć bała się wielkich zwierząt, po naradzie z miejscową policją jej impresario i agent uznali, że powinna je mieć. Widocznie płoty i elektrycznie kontrolowane furtki, kamera telewizyjna przy końcu podjazdu włącznie ze wszystkimi skomplikowanymi elektrycznymi oczami i promieniami zainstalowanymi wszędzie w domu nie były warte tyle, co jeden owczarek niemiecki, jeśli idzie o prawdziwą obronę.

Rozdygotana India zmierzała dalej w stronę basenu, z mokrymi włosami, w ociekającym szlafroku, a oślinione, wilgotne psy deptały jej po piętach i lizały ręce z miłości, jak miała nadzieję. O Boże. Czy dostały jeść? Coraz bardziej niepokoiły ją perspektywy na tę właśnie niedzielę.

Wreszcie przedarła się przez las tropikalny i przystanąła z okrzykiem niedowierzania i złości. W ciągu nocy woda w basenie zabarwiła się paskudnie na ciemnozielono. Zabójcze psy, zabójcze spryskiwacze, a teraz zabójcze algi. Tego już za wiele. Uciekła do domu i naciągnęła koc

na głowę, klnąc faceta, który nie przyszedł oczyścić basenu.

- Ludzie nie powinni mieszkać w Beverly Hills - jęczała w wilgotnej teraz pościeli. - To pustynia, a kwitnie tylko dzięki wodzie skradzionej uczciwym, zaharowanym farmerom przez złych ojców założycieli Los Angeles.

Obrzydliwością jest w oczach Bożych. Czyńcie pokutę, grzesznicy.

Wytknęła głowę spod kołdry i zastanawiała się, czy nie wypić kolejnej krwawej mary. Nie. Za nic. Jedna ma działanie wyraźnie lecznicze, ale dwie?

Zamiast tego policzy otrzymane dary, jak uczyła ją matka. Pierwszy, jak zawsze, zdrowie. Jedyne dar naprawdę ważny. Kace nie zaliczają się do chorób, bo przechodzą. Drugi to prześcieradła z najładniejszej czystej bawełny z Pratas, obrzeżone muszelkowym haftem, po sześćset dolarów para. Miała ich pełną szafę, stanowiły źródło jej dumy i radości - czy można nałogowo lubić prześcieradła? Ale na pewno przyjemność jest nieszkodliwa, skoro nie można ich zjeść ani wypić. Czy też stanowią przypadek przeniesienia?

W ciągu minionego roku z doktor Florence Florsheim, psychoanalityczki gwiazd filmowych, przeczuciła się na bieliźniarkę. Czy można to uznać za postęp? Wątpliwe, trzeba jednak zapytać doktor Florsheim. Jakie jeszcze otrzymała dary? Jest piękna, bogata, sławna i utalentowana. To przyznawał nawet John Simon, a jego opinia podtrzymywała Indię w chwilach zwątpienia.

Coraz mniej jednak znajdowała w tych wyliczeniach pociechy. Lecz mimo wszystko to sześć darów. Kochankowie? W chwili obecnej nie miała żadnego, ostatni zaś dowodził tak fatalnego gustu, że zarumieniła się na samo wspomnienie. Brak kochanków może być darem utajonym. Jeśli policzyć go za połowę, będzie ich w sumie sześć i pół, nieźle przy takim kacu. Młodość?

Niedawno skończyła dwadzieścia siedem lat. Tak, młodość, gdy się nie pamięta, że do trzydziestki brakuje zaledwie trzech lat. Trzy lata to wieczność. Z górą tysiąc dni. Tysiąc dni to chwilka! Nie należy o tym myśleć. Chryste, trudno jest być najpiękniejszą aktorką filmową na świecie, to ogromny stres, co musi przyznać nawet doktor Florsheim.

Indii przypomniawszy się odpowiedź Niżyńskiego na pytanie wielbiciela, czy trudno jest tak jak on prawie wisieć w powietrzu. Wielki tancerz odparł, że nietrudno. "Chodzi tylko o to, aby się tam wdrapać i przez chwilę pozostać." Nie słyszała chyba lepszego określenia kariery filmowej, a biedny Niżyński przed śmiercią zwariował. No, do czego jeszcze jest zdolna?

Pragnęła tej kariery, ciężko na nią zapracowała, a teraz musi pozostać na wyżynach wbrew sile ciężkości. Raz jeszcze uzalała się nad sobą. Już miała wstać z łóżka i pocieszać się widokiem powłoczek, gdy zadzwonił telefon.

- Panna West? Tu Jane Smith z "Sześćdziesięciu Minut". Postanowiliśmy zbadać syndrom

Indii West i w przyszłym tygodniu zjawię się z ekipą, z którą będę za panią chodzić mniej więcej przez miesiąc. Szczególnie interesuję się zagadnieniem gwiazdorstwa, poczynając oczywiście od krosty na pani siedzeniu...

- Maxi! Aniele, darze niebios... jak mogłaś wyjechać na tak długo... skąd dzwonisz?...

Naprawdę przyjeżdżasz? Jestem całkiem sama i strasznie samotna.

- Nie, siedzę w Nowym Jorku, skąd nie ruszę się pewnie do końca życia.

Mam takiego kaca, że chyba go nie przeżyję. Zadzwoiłam, żeby cię na zawsze pożegnać.

- Ty także? Ja go lecę krwawą mary. Idź i przyrządź sobie... nie odkładam słuchawki.

- Obrzydliwy pomysł... boję się wymiotów.

- Słuchaj, skład chemiczny soku pomidorowego to w połowie sól, w połowie potas.

Dokonuje wymiany elektrolitów szybciej niż transfuzja, a wódki nie czuć, jeśli się doda dostatecznie dużo tabasco. Zalecił mi to najlepszy internista w Beverly Hills, słowo honoru.

- Dobra... ale nie odchodź. Pośpieszę się.

India czekała przy telefonie jak odrodzona. Skoro Maxi powróciła na ten kontynent, nawet ponura niedziela w Beverly Hills wydaje się pełna obietnic. Maxi wszędzie wnosi ze sobą świąteczny nastrój.

Maxi wróciła do aparatu pobrzękując kostkami lodu.

- Ja wiem, dlaczego się upiłam, a ty?

- Wybrałam się wczoraj wieczorem na przyjęcie. Poszłam sama i nie znalazłam nikogo, z kim miałabym ochotę porozmawiać. Potem zjawił się zdecydowanie fascynujący facet i byłam ożywiona, dopóki nie zbliżył się na tyle, że przeczytałam napis na jego koszulce.

- India, ostrzegałam cię, żebyś nigdy nie czytała napisów na koszulkach.

To czysta agresja. Jaki był ten napis? - Maxi zatkało z ciekawości.

- Życie to gówno, a potem umierasz.

- Musisz się stamtąd wynieść! Kiedy koszulki zaczynają cię popychać do picia...

- I jedzenia - złowieszco dokończyła India. - Wszystkiego, co popadnie.

- Pomyśl o tym tak - poradziła Maxi. - Od jednego razu nie przytyją ci uda, a jeśli za nic nie zechcesz się przyznać Mike'owi Abrumsowi, on się nie domyśli. Natomiast możesz się zwierzyć ze wszystkich tych okropieństw doktor Florsheim, bo ona nigdy nie wydaje sądów.

- Och, Maxi, masz rację! Kiedy ciebie tu nie ma, nie umiem spojrzeć na siebie z perspektywy.

- Perspektywa wymaga dwóch osób.

- Może to byłby dobry tytuł dla mojej powieści - powiedziała India podniecona.

- Pisziesz powieść?

- Zamierzam zacząć od razu, jak tylko wymyślę odpowiedni tytuł. Mam wrażenie, że

właśnie to powinnam robić. Zawsze chciałam pisać, a połowa ludzi w mieście coś wydaje... więc czemu nie ja?

- Zamiast być najpiękniejszą gwiazdą filmową na świecie?

- Otóż to. Co sądzisz o: "Jeśli piekło to inni ludzie, czyż niebo jest rybą wędzoną?"

- India - prychnęła Maxi. - Daj spokój, bo piję.

- Podoba ci się?

- Tytuł boski, ale trochę zanadto ezoteryczny. Coś bardziej pod masowego odbiorcę?

- Co powiesz na powieść z gatunku science fiction? Dość mi się podoba "Chateau Margaux 2001".

- Nie, India, nie.

- No więc "Żonaci mężczyźni nie miewają snów erotycznych".

- To trudno udowodnić.

- A "Hamlet był jedynakiem"?

- Co to znaczy?

- Chyba mówi samo za siebie - odparła India z godnością.

- Słuchaj, India, martwię się o ciebie... poważnie. Sama chodzisz na przyjęcia, upijasz się, wymyślasz tytuły powieści, tylko patrzeć, a znów zaczniesz liczyć prześcieradła. Wiesz, co to znaczy. Nie służy ci samotność w tym potwornym domu. Co się stało z tą boską gospodynią, która wróżyła ci z kart do tarota?

- Doktor Florsheim nie pozwala mi polegać na płatnych przyjaźniach, więc musiałam zrezygnować z gosposi na stałe.

- Na pewno jesteś dość znerwicowana, aby się pogodzić z takim wyrzeczeniem? - zapytała niespokojnie Maxi.

- Jeśli nie byłam początkowo, teraz jestem.

- Myślę, że powinnaś zażądać od doktor Florsheim zwolnienia lekarskiego i przyjechać do mnie. Strasznie cię potrzebuję.

- Zrobiłabym to z miejsca, ale jestem w połowie filmu.

- Tego się bałam. - Ton Maxi wyrażał bezbrzeżną rozpacz.

- Czy to mężczyzna?

- Coś dziesięć razy gorszego od najgorszego mężczyzny, jakiego znam czy nawet poślubiłam. To gorsze od Chłopczyny Kirkgordona.

- Nic nie może być gorsze... nie jesteś chora, co? - zapytała India.

- Nie, jeśli głupoty nie uważać za śmiertelną chorobę. I zadufania w sobie, fałszywego wyobrażenia, braku informacji, zachowywania się jak idiotka i wskakiwania do pustego basenu z tego końca, gdzie jest głęboko.

- Wszystko wskazuje na to, że się zakochałaś. Wiedziałam, że chodzi o mężczyznę - upierała się India, wykurowana z kaca dźwiękiem głosu Maxi i radością, z jaką zawsze słuchała o nieprawdopodobnych kłopotach przyjaciółki.

- Jeśli chwilę zaczekasz, zrobię sobie następną krwawą mary - rzekła Maxi z rezygnacją - i opowiem ci całą tę paskudną historię.

- Pysznie! - wykrzyknęła India i przygotowała się na rozkoszne długie słuchanie.

10.

Powrót Cuttera Amberville'a do San Francisco po stosunkowo krótkim pobycie w Nowym Jorku nie wywołał większego zdziwienia. Jego przyjaciele, tu urodzeni i wychowani, uznali to za potwierdzenie wartości, jakie wyznawali. Zanim wyjechał przepowiedzieli, że nigdzie na Wschodzie życie nie wyda mu się tak miłe, więc odtrąceniem Manhattanu dowiódł ich racji.

Chociaż niektórzy ludzie uparcie nazywali San Francisco Wall Street Zachodu, a inni Paryżem Stanów Zjednoczonych, oni tego wyjątkowego miasta nie chcieli porównywać z żadnym miejscem na ziemi. Zwykła duma obywatelska zapewniała mu odrębną pozycję, bowiem ta spokojna hiszpańska osada rozkwitła z chwilą odkrycia złota w Sutter's Mill w roku 1848. Odtąd w kolejnych dobrych okresach miliony, raczej miliardy dolarów wpłynęły do kieszeni szczęśliwców kierujących miastem, mężczyzn, których świeżo zarobione pieniądze wdzięcznie się spatynowały w ciągu niespełna stulecia.

Żaden z przyjaciół Cuttera - z Bohlingów, Chatfield-Taylorów, Thieriotów, de Guignesów i Blythów - nie wiedział, że powodem ucieczki z Nowego Jorku była Lily. Powitali go jak jednorożca, upragnione legendarne zwierzę, którego róg miał rzekomo właściwości magiczne - bo czyż kawaler do wzięcia nie jest czymś niemal równie rzadkim jak jednorożec?

Miesiące spędzone na Manhattanie dodały Cutterowi nieodpartego uroku, zaostrzyły kontrast między jasnymi włosami a mroczną dumą i zdecydowaniem.

Wyglądał starzej niż na dwadzieścia cztery lata i groźniej; był tajemniczo groźny, ale uwodzicielski dzięki doskonałym manierom i nieoczekiwanie ciepłemu, rzadkiemu uśmiechowi, który całkowicie odmieniał wyraz jego twarzy, nadawał temu powściągliwemu mężczyźnie ludzki wymiar. Cutter pochodził z dobrej rodziny, zaczynał sobie zaskarbiać szacunek starszych bankowców, ale zdaniem mieszkanek miasta nad Zatoką nie zamierzał się żenić. Pozostawał stanowczo, niepojęcie niezdojbyty, fascynująco, irytująco, dręcząco wolny. Żadna z kobiet plotkujących na jego temat nie podejrzewała, iż nie wiąże się z którąś z eleganckich tutejszych panien w obawie przed kłopotami, jakich mogłaby narobić Lily na wiadomość o nowym romansie.

Cutter był wyśmienicie uodporniony na najrozkoszniejszą nawet dziewczynę - jeśli groziła mu uwikłaniem. Choć znacznie lepiej niż ogół mężczyzn potrafił trzymać uczucia na wodzy, nie mógł jednak zapanować nad silnymi, brutalnymi potrzebami seksualnymi. Musiał mieć kobiety, i to często, a po Lily musiało się to wiązać z ryzykiem. Nie dla niego były łatwe, stosunkowo bezpieczne podboje w biurze czy w barach. Całkiem logicznie zakładał, że są w towarzystwie kobiety z jego świata, równie jak on niespokojne, trawione tym samym pragnieniem, które mógłby osiąść, gdyby zechciał. Ale jego pociągały tylko wtedy, gdy miały za dużo do stracenia, aby mu zagrozić publicznie. Nigdy nie gonił za kobietą, która mogłaby zgłaszać do niego prawo, nie podchodził kobiety zdolnej go skrzywdzić, jeśli zaś wyczuwał w kobiecie tę co u Lily szaloną,

lekkomyślną obojętność na konwenanse, trzymał się od niej z daleka.

Lecz tyle było innych! Mężczyzna z otwartymi oczami, otoczony przez pary małżeńskie, wszędzie dostrzegał możliwości podbojów. Potajemnych, szybkich podbojów, dokonywanych bez rytuału zalotów, podbojów będących jakby wzajemnym uznaniem nieskomplikowanej żądzy. Cutter należał do najprzebieglejszych kochanków. Umiał obracać niebezpieczeństwo na swoją korzyść, chwycić w lot okazje zgoła nieoczekiwane, wyczuwać za obowiązującą w ich świecie fasadą kobietę równie jak on rozpaloną. Na pierwszy rzut oka odróżniał zwykłą flirciarkę od kobiety roznamiętnionej i robił ruch bez zwracania niczyjej uwagi.

Z każdym rokiem utrzymywała się reputacja Cuttera jako najbardziej nieuchwytnego kawalera w mieście. Bywał gdzieś niemal co wieczór: u Erniego obaj bracia Gatti wiedzieli, że lubi zaczynać obiad od miejscowego kraba przyrządzonego możliwie najprościej; u Kana sam Johnny Kan podchodził do telefonu, kiedy Cutter chciał zarezerwować stolik; w Trader Vic dostawał zawsze stolik w kajucie kapitańskiej, lecz na ogół zapraszano go do domów, nie do restauracji.

Cutter rozumiał, że w San Francisco najprędzej zostaje się w pełni zaakceptowanym towarzyszem dzięki muzyce. Bywał w operze mniej więcej na dwudziestu z dwudziestu sześciu przedstawień w programie, chodził też na koncerty symfoniczne, i te "modne", i te "do słuchania". Po paru latach zaproponowano mu, aby się zapisał do Cyganerii, klubu założonego w roku 1872 w celu popierania sztuk pięknych. Od roku 1900 klub ten stał się ważnym ośrodkiem sprawowania władzy i zapraszał najważniejszych Amerykanów na doroczne obozowiska nad Rzeką Rosyjską.

Cuttera poznali wkrótce czołowi bankierzy, tacy jak Richard P. Cooley, prezes banku Wells Fargo; George Christopher przewodniczący rady Narodowego Banku Wspólnoty, i Rudolph A. Peterson, prezes Banku Amerykańskiego. Cutter pieczołowicie podtrzymywał również nowojorskie kontakty bankowe. Miesiące spędzone na Manhattanie nadały mu taki szlif, jaki po roku w najlepszej szwajcarskiej szkole dla panien zdobywa debiutantka ze średniego miasta amerykańskiego. Nie nauczył się niczego, co miałoby wymierną wartość, zanurzył się natomiast w oceanie wielkich finansów.

Po powrocie podjął pracę w swej dawnej firmie, Booker, Smity i Jameston, niebawem jednak przeniósł się do innej, większej. Jako trzydziestoletni mężczyzna zdobył dostateczną zaprawę, aby zostać młodszym wspólnikiem firmy Standingsa i Alexandra, jednej z najbardziej wpływowych w mieście.

Jej szef, James Standings III, był w piątym pokoleniu mieszkańcem San Francisco. Jak na obywatela republiki miał znakomite pochodzenie i w pełni zaaprobował Cuttera. Zapraszał go na golfa do klubu podmiejskiego Hillsborough; na polowania do Woodside; na swój czterdziestoosmiometrowy jacht do Sausalito Harbor. Zgłosił też jego kandydaturę na członka swego klubu miejskiego, Union League na Nob Hill, gdyż James Standings, podobnie jak pan

Bennett z Dumy i uprzedzenia, miał córki na wydaniu. Nie pięć, za co często dziękował Bogu, tylko dwie, a choć z bólem musiał to przyznać, jego pierworodna, Candice, bynajmniej nie była piękną.

San Francisco słusznie się chlubi widokiem na Zatokę, swym urokiem, kulturą i restauracjami, a także urodą swych mieszkanki. Dziewczęta w rodzaju Patsy McGinnis, Penny Bunn, Mielle Vietor, Frances Bowes, Mariany Kean i Patrycji Walcott, choć śliczne, nie stanowiły na początku lat sześćdziesiątych wyjątku, lecz regułę. W porównaniu z przeciętną miejscową ślicznotką Candice Standings nawet w oczach zwariowanego na jej punkcie ojca była zaledwie... średniej urody. Nie strasznie brzydka, zważcie, ale choć bardzo ją kochał, musiał przyznać, że wcale nieładna. Nikomu nawet do głowy nie przyszło nazywać ją Candy. Wprawdzie on i jego żona Sally, też w piątym pokoleniu mieszkanka San Francisco, nie wyróżniali się wyglądem, sądzili jednak, że ich starsze dziecko, już szóste tutejsze pokolenie, powinno wbrew wszelkim prawom genetyki urodzić się piękne. Przecież młodsza córka, zaledwie czternastoletnia Nanette, zdradzała już wyraźne oznaki urody.

Candice miała Isniące włosy i wreszcie, po latach leczenia u ortodonta, idealne zęby. W następstwie uprawiania odpowiednich sportów dobrze rozwinęły jej się mięśnie rąk i nóg, lecz ciało niestety pozostało chłopięce. Skończyła szkołę panny Hamlin i Finch, nosiła najlepsze perły od Gumpa, brakowało jej natomiast czegoś, co cechowało nawet dziewczęta z pospolitszego miasta zwanego Los Angeles, a mianowicie tego nieodzownego czegoś, co budzi pociąg u mężczyzn.

James Standings III był szalenie bogaty i coraz bogatszy. Sally Standings nie posyłała wprawdzie samolotem do Paryża garderoby do czyszczenia na sucho jak żona pana W.W. Crockera, nie miała chińskiego kucharza z trzydziestosiedmioletnią praktyką jak pani Cameron, ale i tak mieszkali - gdy nie byli w podróży lub na wakacjach - w trzydziestopięciopokojowej rezydencji w położonym o osiemnaście mil na południe od miasta patrycjuszowskim Hillsborough. Dom, odziedziczony po rodzicach Sally, z tarasami i francuskimi ogrodami niemal równie imponującymi jak Strawberry Hill pani Blyth, niestety dla Candice nie był największy w Hillsborough, tak jak jej ojciec nie był najbogatszy. Za wiele dziewcząt - mniej brzydkich, nieskończenie, bezspornie mniej brzydkich niż Candice - musiało wyjść za mąż, aby wydać na świat siódme pokolenie mieszkańców San Francisco.

Jeśli James Standings III dostrzegał istnienie rynku nabywcy, to w te liczne wieczory, kiedy siedząc z Sally i dwudziestopięcioletnią Candice przy obiedzie, z równą jak córka niecierpliwością oczekiwał dzwonka telefonu. Telefon odzywał się coraz częściej, zawsze jednak był do Nanette.

Cutter miał lat trzydzieści jeden. Nigdy już nie darzył nikogo uczuciem takim jak Lily i z perspektywy czasu ten okres życia uważał za szalony. Ale coś Lily obiecał. Napisał do niej tamten

list, który w jego przekonaniu musiał ją zobowiązać do milczenia. Później pisywał inne listy, nie kompromitujące, nie za często, aby nie wywoływać w Nowym Jorku komentarzy, o wiele, wiele rzadziej niż ona do niego. Chytrze formułował w nich słowa, aby powstrzymać Lily od nierozważnych kroków, bo bardziej zdecydowanie niż dotychczas pragnęła się z nim wkrótce połączyć. Czekali siedem lat! Zachary ma kochankę, pisała - wszyscy o tym wiedzą, dziewczynę zatrudnioną w "Stylu", nazwiskiem Nina Stern - więc nie mógłby zatrzymać przy sobie dzieci. Lily strasznie się niecierpliwiła. Nie znosiła dwuznacznych listów Cuttera, jego ostrożność uważała za wariactwo. On w każdym jej liście wyczuwał wzbierający gniew, gdy pytała, na co czeka, aby się o nią upomnieć.

Bynajmniej nie zamierzał się ożenić z Lily, zamieszkać z nią i jej dziećmi i krok po kroku, jak zwyczajny człowiek, osiągać swój cel. Znał swoją wartość i postanowił dobrze się sprzedać. Myślał o ożenku, który mu przyniesie największe korzyści. Zdecydował się mianowicie na małżeństwo z Candice Standings, córką swojego szefa. Chciał jako jej mąż bez wysiłku odcinać kupony.

Była dość brzydka, to prawda, ale nie aż tak, żeby ludzie bez zastanowienia mówili, iż ożenił się wyłącznie dla pieniędzy. Miała chyba miłe usposobienie, dobrze jeździła konno i na nartach, dobrze grała w tenisa i brydża i doskonale nadawała się na żonę. Zawsze będzie mu nieskończenie wdzięczna. Staną się kolejnym przykładem małżeństwa przystojnego mężczyzny z mniej atrakcyjną kobietą, akceptowanego od stuleci. Candice ładnie się przecież uśmiecha, a sądząc po matce, nie powinna utyć.

Kłopot był tylko z Lily. Co potrafi o nim powiedzieć, kiedy się dowie o jego zaręczynach z Candice Standings, wydarzeniu towarzyskim, którego się nie da utrzymać w tajemnicy? Wprawdzie ta historia z Lily, niezależnie od tego, jak niesmaczna, już przebrzmiała i nie dawała jej do niego prawa, lecz chłopiec? Justyn. Jego syn. Nawet James Standings III dobrze by się zastanowił, zanim oddałby mu rękę brzydkiej córki, gdyby od rozwścieczonej Lily usłyszał o Justynie. Cutter od urodzenia dziecka starał się o nim nie myśleć. Nigdy nie widział syna, którego Lily, niech ją diabli, postanowiła mieć powodowana arogancją, próżnością i egoizmem. Za istnienie Justyna ona ponosiła wyłączną odpowiedzialność, choćby we własnym wyobrażeniu mogła sobie rościć prawo do jego ojca.

Cutter zaczął się dyskretnie zalecać do Candice Standings, tak dyskretnie, że rzadko widywał ją samą, nie w otoczeniu przyjaciół czy rodziny; okazywał jej jednak szczególną serdeczność, którą dało się zauważyć, ale której nie traktowano na tyle poważnie, aby o tym plotkować.

Wiedział, że Candice darzy go nieśmiałą, pokorną miłością i jest całkowicie zdana na jego łaskę. Nie ma innej szansy, myślał, jak postawić Lily wobec faktu dokonanego, uciec z Candice na

weekend do Vegas, a potem niech się dzieje, co chce. Będzie już wtedy zięciem i następcą Jamesa Standingsa, czego mu nikt nie odbierze. Lily może się przeciw niemu posłużyć tylko tym listem, lecz nawet gdyby była na tyle szalona, to napisał go chłopak, którym Cutter już nie jest... Żaden inny prawdziwy dowód nie istnieje.

Standingsowie jeździli na nartach w Squaw Valley i w Klosters w Szwajcaru, ale ostatnio kupili domek w Aspen. Wszyscy dobrze sobie radzili i na stromych otwartych stokach, i na leśnych szlakach. James i Sally woleli jeździć w słoneczne popołudnia, natomiast Cutter i Candice zawsze zjawiali się na górze z samego rana, nie zważając na mróz i niebezpieczeństwo odmrożeń na dużych wysokościach, bo zależało im na pierwszym zjeździe. W stroju narciarskim i goglach Candice prezentowała się równie dobrze jak wszyscy, myślał Cutter, a umiejętnościami na ogół ich biła. Mogła zjeżdżać za nim wszędzie, on zaś nigdy nie musiał się martwić, czy na wąskich szlakach biegnących gęstym lasem potrafi kontrolować prędkość.

Miłość do nart była zapewne najsilniejszym uczuciem Cuttera - po nienawiści do brata. Jedynie ten sport dawał mu poczucie absolutnej swobody, na parę minut zjazdu uwalniał od troski o ludzką opinię, od własnej przeszłości, od przyszłości, od siebie samego, zwłaszcza od siebie, i przenosił w czystą, jasną teraźniejszość.

Pewnego ranka, sunąc po zmrożonej warstwie świeżego śniegu, rozkoszując się nietkniętą powierzchnią przed oczami, uświadomił sobie nagle, że nie słyszy za plecami nart Candice. Zatrzymał się i obrócił. Nigdzie żadnego jej śladu. Z przekleństwem na ustach zaczął się wspinać z powrotem po szlaku tak wąskim, że ledwie mógł schodkować. Na próżno wołał ją po imieniu. Nie pojawiali się inni narciarze. Parę minut później wypatrył jej nieruchome ciało w bok od trasy w gałęziach dwóch blisko siebie rosnących sosen, o stopę nad ziemią, jakby rzucono nią z góry. Musiała widocznie zakantować i zrobić młynka, myślał, gdy wykorzystując wszystkie umiejętności przedzierał się przez gęstwinę. Zakantować i zrobić młynka.

Zadrzał, ledwie to sobie uświadomił. W szalonym locie mogła połamać wszystko. Wreszcie do niej dotarł. W swej wieloletniej karierze narciarskiej widział dość wypadków, aby z nienaturalnej pozy Candice wywnioskować, że mogła złamać kręgosłup. Ściągnął jej rękawicę i namacał puls. Żyła, niczego więcej nie mógł być pewien, bo straciła przytomność, a nie należało jej ruszać. Zostawił ją tam, z twarzą na posłaniu z oblodzonych gałęzi, i pomknął po pomoc.

Oczywiście nie była to jego wina. Nikt nie mógł mieć do niego pretensji.

Ludziom wciąż zdarzały się takie wypadki. Wszyscy wiedzieli, że Candice jest dobrą narciarką. Zimny ranek, stroma wąska trasa. Nie, nikt, nawet jej rodzice, nie mogli go obarczać odpowiedzialnością. Ale on mógł się do odpowiedzialności poczuwać. Mógł mówić, że się poczuwa, że to jego wina, bo powinien wiedzieć, że śnieg jest zbyt zmrożony, zbyt niebezpieczny.

Mógł, powinien powstrzymać Candice. Tak, mógł się poczuwać do odpowiedzialności.

I mógł się ożenić z Candice Standings, jeśli wyjdzie z tego żywa. Mógł mieć wszystko, co ona może mu dać, i nawet Lily powstrzyma się od wymówek, jeśli się ożeni z kaleką, kaleką z jego winy.

Uwiedzenie Zachary'ego zajęło Ninie Stern nadspodziewanie dużo czasu. Po urodzeniu Justyna, trzeciego i ostatniego dziecka Amberville'ów, Lily długo i ciężko chorowała. Maxi, która stwierdziła, że w rodzinie jej najmniej poświęcają uwagi, prześcigała samą siebie w pomysłowości i niegrzeczności.

Nawet Mary Poppins nie umiałyby sobie z nią poradzić, stękał Zachary, a serce mu miękło na widok jej szczerych łez skruchy, gdy przyłapana wreszcie na gorącym uczynku ponosiła karę. Dzięki Bogu za wynalazek telewizji. Zakaz oglądania ulubionych programów był jedyną karą, jaką ojciec mógł stosować.

Nie zdobyłby się na wymierzenie Maxi klapsa czy zamknięcie jej na klucz w pokoju. Jak ludzie karali dzieci przed wynalezieniem telewizji?

Zachary, zanadto czym innym zaabsorbowany, na środowych zebraniach nie interesował się Niną. Miał kłopoty domowe i zawodowe, bo w tym czasie wszystkie jego magazyny musiały albo nastawić się na wzrost, albo splajtować. W końcu jednak, zgodnie z jej przewidywaniami, nadeszła klasyczna chwila: nieoczekiwane zaproszenie na obiad, rzucone lekko, kiedy w redakcji pozostały już tylko dwie osoby, po ciężkim, długim, lecz zadowalającym dniu. Nina nie po to całe życie się na nią przygotowywała, aby przepuścić okazję, a Zachary, gdy nazajutrz rano obudził się w jej łóżku, pojął wreszcie, dlaczego uganiają się za nią inni mężczyźni, pojął to w najdrobniejszych, oszałamiających szczegółach i zrozumiał, że nic mu nie przeszkodzi być z nią razem.

W pierwszych miesiącach ich romansu był nazbyt opętany przez Ninę, aby się poczuwać do winy wobec Lily i dzieci. Ale pewnego dnia pojął, że nie zdoła zażądać od Lily rozwodu, że po prostu nie może tego zrobić tej prześlicznej, dzielnej, utalentowanej dziewczynie, którą zdobył w ciągu miesiąca jeszcze jako nastolatkę, dziewczynie, która dla niego wyrzekła się pewnej, wspaniałej kariery primabaleriny, która nie znała innego życia niż to, do jakiego ją zachęcał, która dała mu dzieci, Lily, która była cudowną matką dla Toby'ego i małego Justyna i której nawet Maxi nie umiała wytrącić z równowagi. Lily Amberville została w Nowym Jorku królową i on powinien nadal utrzymywać ją na tej pozycji. W wyniku jej choroby prawie nigdy się już teraz nie kochali, nie dlatego, aby się bała znów zająć w ciążę, ale dlatego, że narodziny Justyna dokonały w jej psychice jakiejś głębokiej zmiany. Tym bardziej nie może jej porzucić.

Z bólem tłumaczył to wszystko Ninie, świadomy, że nie będzie chciała utrzymywać stosunków z mężczyzną, który nie może jej zapewnić przyszłości.

- Więc według ciebie tak sobie wyobrażam przyszłość: że się rozwiedziesz i ożenisz ze mną? - zapytała, gdy z trudem określił swoje stanowisko.

- Cóż. Ach. Tak. Chyba rozumiem, o co ci chodzi. Chcę powiedzieć, że nie rozumiem, o co ci chodzi! Przecież taka jak ty dziewczyna mniej więcej tego powinna oczekiwać... no nie? Do diabła, Nina, czy nie chcesz... nie chciałabyś... "przyzwoita" z ciebie dziewczyna... twoi rodzice... każda inna... niech to kule biją, chyba za wiele uważałem za pewnik. Myślałem, czułem, o cholera.

- Nie w tym rzecz, że cię nie kocham - odparła, z całych sił próbując się powstrzymać od śmiechu.

- Jeśli mnie kochasz - chwycił ją w objęcia zdumiony, że doznał aż tak ogromnej ulgi - dlaczego nie chcesz wyjść za mnie?

- Stanowię dziwny przypadek. Nie odpowiada mi małżeństwo, jest nazbyt oczywiste, zawiera je każdy, a potem ono staje się czymś, co trzeba robić dzień po dniu, tak jak myć zęby. Mnie odpowiada to, co my robimy: kochamy się i widzimy na zebraniach, i wiemy, że o sobie myślimy, i spotykamy się potajemnie, i wyjeżdżamy na weekendy, i znów się kochamy, kiedy wszyscy sądzą, że jesteśmy gdzieś indziej, i zachowujemy się tak banalnie. Lubię z tobą rozmawiać, ale niekoniecznie co noc.

- Na pewno jesteś Żydówką?

- Mówisz jak moja matka. Lepiej znowu mnie kochaj, szybko, żebym zapomniała o tej uwadze - rzuciła groźnie, śmiejąc się do łez z jego zaskoczenia.

Nina Stern tak ceniła sobie wolność, jak coraz większe wpływy w "Stylu", które, co wszyscy musieli przyznać, zawdzięczała własnym zaletom, a nie sypianiu z szefem. Przepadała za ciężką pracą i wykonywała ją znakomicie, lubiła pracować po nocach i nie mieć na głowie rodziny, zdecydowanie chciała tylko sobie robić przyjemność. Każdy dzień przynosił jej tyle zaproszeń, że starczyłoby ich dla więcej niż trzech osób; ją i kilka jeszcze wolnych kobiet w Nowym Jorku tak samo chętnie zapraszano na przyjęcia jak wyjątkowo atrakcyjnych kawalerów. Do trzydziestki zabiegali o jej względy mężczyźni w każdym wieku, teraz jej tajemniczy, nieodparty urok się spotęgował, a nadal pozostała flirciarką. Ponieważ Nina była wierna Zachary'emu jej zalotność, nie prowadząca do niczego, tym bardziej intrygowała i dla większości mężczyzn stanowiła wyzwanie; Ninę otaczała aura kobiety kochanej, kobiety sukcesu, głęboko szczęśliwej, która ma własne, prywatne życie. Na utyskiwania matki, że nie ma męża ani dzieci, odpowiadała tylko, że żadna z jej znajomych nie prowadzi tak ciekawego życia, a choć pani Stern tę uwagę uważała za płochą i całkiem niestosowną, Ninę ona w pełni zadowalała.

Cutter i Candice Standings pobrali się, ledwie minęło niebezpieczeństwo.

Stopień jej rekonwalescencji nadal był wątpliwy, lecz po dwóch latach intensywnej

fizykoterapii niemal przyszła do siebie po wypadku. Miewała wciąż kłopoty z kręgosłupem i częste bóle, nie został jednak złamany.

Musiała zrezygnować ze sportów, lecz chodziła normalnie.

Przez te dwa lata Cutter zaskarbił sobie nie tylko niewiarygodną wręcz wdzięczność teściów, lecz także miłość Candice graniczącą z uwielbieniem. W obawie przed śmiesznością Candice kryła się z uczuciem tak żenująco silnym, które zupełnie nią zawładnęło, a z biegiem lat przekształciło się w obsesyjną, tyrańską, chorobliwą zazdrość. W głębi serca nie potrafiła uwierzyć, że Cutter naprawdę ją kocha. Czy to dowód miłości, że się z nią ożenił, kiedy groziło jej dożywotnie kalectwo? Czy tylko poczucie winy?

Klął się, że tak, że poczuwa się do winy za wypadek, ale najsilniejsze poczucie winy nie zmusiłoby go do ożenku bez miłości. Powtarzał to dziesiątki razy, dopóki nie zauważyła jego zniecierpliwienia i nie postanowiła udawać, że mu ufa.

Opanowała się siłą woli, o jaką nikt jej nie podejrzewał, i na wszystkich, włącznie z Cutterem, robiła wrażenie jednej z wielu bogatych młodych mężatek, z którymi się przyjaźniła, a które zachowywały się tak, jakby miały do mężów zaufanie. Mimo to dręczyła ją wieczysta niepewność zrodzona w ciągu długich lat, kiedy mężczyźni nie zwracali na nią uwagi.

Tłumiona zazdrość była tym gwałtowniejsza, że nie znajdowała ujścia w słowach. Cutter stał się wyłączną treścią życia Candice i gdy uczestniczyli w obrzędach towarzyskich San Francisco, na co skazywało ją urodzenie i zajmowana pozycja, śledziła go ukradkiem, sprawdzała, czy nie rozmawia z ładną kobietą. Nie wypowiedane słowa zazdrości zamieniły się w szkło o nierównej powierzchni, przypominały brudny, żółty filtr zatkany niewymownym paskudztwem, przez który świat przywilejów ukazywał się jej jako miejsce wyłącznej niedoli.

Candice Amberville co dzień wcześniej zaczynała pić, aby przebijając się na przyjęcie czy do opery móc swobodnie przeglądać się w lustrze, bez robienia porównań z innymi kobietami, ale to nie pomagało. Wydawała majątek na stroje i stała się jedną z najlepiej ubranych kobiet w mieście, ale to nie pomagało. Co drugi dzień chodziła do fryzjera i ładne włosy zawsze miała idealnie uczesane, ale to nie pomagało. Płaciła kucharzowi dwa razy więcej niż inni i wydawała najlepsze, najelegantsze obiady w gronie znajomych, ale to nie pomagało. Cierpiała na nieuleczalną chorobę. Kiedy Cutter leżał między jej nogami, nawet kiedy w niej pulsował, myślała, jak to samo robi z inną kobietą, więc i trudny orgazm nie na długo pomagał.

Zazdrość zabijała Candice Amberville i choćby Cutter pozostawał jej wierny, nic by to nie pomogło.

Była tak skalana zazdrością, jakby cierpiała na jakąś brzydką chorobę skórą, jakby coś sączyło się z niej wszystkimi porami - samej sobie wydawała się nieczysta, skażona, pokryta ranami i strupami, wciąż rozdrapywanymi, aż wyciekała z nich niedostrzegalna, obrzydliwa krew i ropa.

Podejmując szaleńczą próbę wypełnienia życia czymś innym niż myślami kupiła parę psów myśliwskich rasy golden retriever. Przyniosły jej ulgę, krótkie wytchnienie, bo przed nimi mogła wylewać podejrzenia, słowa nienawiści do znajomych, które siedziały obok Cuttera przy stole, żartowały z nim, prosiły, aby wystąpił w deblu albo wziął udział w którychś klubowych regatach. Bez śladu udreki zachęcała go do uprawiania wszystkich niedostępnych dla niej sportów. Niby to chętnie wyjeżdżała z nim na narty, gdyż jak twierdziła, lubiła zmianę, spacerować po śniegu i czytanie, kiedy on jest na stoku.

Gdyby to od niej zależało, Cutter grałby jedynie w polo, bo obserwując go z trybuny, przez kilka godzin miałyby pewność, że nie należy do żadnej innej. Ale gdy nie grał w polo, wyobrażenia podsuwała jej scenariusze:

Cutter, wciąż jeszcze spocony po meczu tenisowym, znajduje w klubie pusty pokój, rozbiera się i już gotowy wchodzi w aż nazbyt gotową partnerkę; Cutter w unieruchomionej przez ciszę żaglówce leży nago na koi, z członkiem już na pół nabrzmiętym, a kobieta klęczy przed nim i wykonuje jego krótkie, dokładne polecenia; Cutter wraca wcześniej ze stoku i przez nikogo nie zauważony zjawia się w sypialni jednej z kobiet, z którymi jeździł na nartach, patrzy, jak ona się rozbiera, tłumaczy, co ma mu zrobić, czego od niej oczekuje, a członek twardnieje mu z każdym słowem.

Candice powiększała swoje psiarnie, kupowała kolejnych medalistów i zaczęła hodować retrievery. Piła coraz więcej, trzymała w psiarniach butelki, więc miała gdzie pójść, miała gdzie pić potajemnie i opowiadać psom różne rzeczy, z których nigdy nie mogłaby się zwierzyć ludziom, bo uznaliby ją za wariatkę. Nie mogła się pogodzić z sytuacją, powoli pograżać się w rezygnacji, zawrzeć rozejmu. Jałowe poczucie wartości nakazywało jej udawać, że nic nie wie, żyć tak, jakby w małżeństwie dobrze się działo, ukazywać doskonale wypielęgnowaną, świetnie ubraną, pewnie uśmiechniętą osobę świata, w którym - jak była przekonana - wszyscy wiedzieli o niewierności jej męża.

W rzeczywistości Candice Amberville myliła się. Ten i ów wprawdzie podejrzewał Cuttera o liczne romanse, lecz powszechnie nic o nich nie wiedziano. Dobrze dobierał partnerki, kobiety jak on wyjęte spod prawa, we własnym interesie usiłujące nie dać mężom nic do myślenia; kobiety z podziemia, jakie istnieją w każdym mieście świata.

Ojciec Candice, z roku na rok rozszerzający zakres odpowiedzialności Cuttera, nigdy by nie uwierzył, że żona jednego ze współników firmy Standings i Alexander dwa razy tygodniowo spotyka się z Cutterem w hotelu.

Matka Candice zadałaby kłam każdemu, kto by jej doniósł, że zięć ma inne kobiety, dziesiątki kobiet. W rodzinie Standingsów bezbłędnie oceniała Cuttera tylko Nanette, w chwili jego ślubu z Candice piętnastolatka, obecnie dwudziestoczwolletka, nadąsana, rumiana, pozbawiona

skrupułów, amoralna i gotowa na wszystko; Nanette, która zażywała kokainy i rozkoszy z innymi kobietami z taką samą wyzywającą ciekawością. Czemu tego nie robić, skoro to istnieje? Życie jest tak nieinteresujące, San Francisco tak prowincjonalne, a małżeństwo - bo była mężatką - takie nudne i łatwe do przewidzenia, że warto przynajmniej raz wszystkiego skosztować.

Z każdego podziemia, nawet otoczonego największą tajemnicą, są przecieki, a świat rozpusty nie stanowi wyjątku. Nanette tyle się nasłuchiwała aluzji na temat działalności Cuttera, że inaczej zaczęła patrzeć na tego blondyna, tak opanowanego i zdeterminowanego, tego mężczyznę, który zawsze traktował ją wyłącznie jako młodszą siostrzyczkę Candice.

Jak zdoła ją przekonać, że nie dostrzega jej seksualizmu, tak wyraźnego dla mężczyzny, za jakiego teraz go miała? Czy uważa ją za nieatrakcyjną? - zadawała sobie pytanie, do głębi urażona. Ile z tego, co o nim słyszała, jest prawdą? Mężczyzna zawsze podniecony, zawsze gotów, który zaspokajał każdą kobietę budząc w niej nowy apetyt - pirat seksualny. Czy mógł nim być Cutter? Czy jej starsza siostra, taka spokojna i opanowana, taka nadęta, pełna dezaprobaty snobka, tak zajęta tymi psimi medalistami i swoimi słynnymi obiadami - czy Candice jest tak zadowolona z siebie, bo dostaje dość od takiego mężczyzny? - z rozdrażnieniem, irytacją pytała Nanette.

Cutter opierał jej się, jak długo mógł. Jest za blisko domu, mówił sobie, bo nie chciał przyznać, że to po części stanowi o jej powabie. Pragnął jej od lat, odkąd z jeszcze jednego podlotka wyrosła na zmysłową kobietę, która zalatywała ciekawością i tak silnym animalizmem, że podczas spotkań rodzinnych podniecał się wbrew woli i nakazom rozsądku i niczego na ziemi nie pragnął bardziej, niż posiąść ją natychmiast, bez uśmiechu i bez słowa, tak jak by sobie tego życzyła, brutalnie, gwałtownie. Ile razy w domku narciarskim w Aspen zagłębiał się w niepociągającym, uległym, stęsknionym ciele żony, a jednocześnie myślał o rozkosznej, ciemnej, soczystej i płomiennej Nanette, która spała za trzecimi drzwiami.

Podchodzili się jak w dżungli, każde z nich było myśliwym, każde zwierzyną, aż pewnego dnia pozostało tylko pytanie: kiedy? Szybko, musiało to być szybko. A później, gdy sycili się sobą, jedynym pytaniem stało się: kiedy znowu? Na takie jak u Nanette niewyczerpane zasoby umiejętności nie natrafił u żadnej innej kobiety. Była nienasycona jak rosomak i dwakroć tak rozpustna. Przebiegle dała mu doświadczyć czegoś całkiem nowego: oszałamiającej, zakazanej rozkoszy posiadania dwóch kobiet równocześnie.

Mądra Nanette, która rozumiała, że tylko w ten sposób na pewno zatrzyma przy sobie Cuttera, dopóki zechce; Nanette gotowa dzielić się nim z kobietą, którą już posiadała; Nanette, która odczuwała specyficzny, silny dreszczyk, gdy mu pokazywała, jak jedna kobieta bierze na jego oczach drugą, gdy pozwalała, aby ją wziął, aby wziął tę drugą, wziął obie.

Obojętne.

Ale sekret znany trzem osobom nie wychodzi na jaw tylko pod warunkiem, że dwie z nich

nie żyją. Ten zaś był za dobry, aby go ograniczać do ustnych przecieków, był zbyt smakowity, aby nie rozkoszowali się nim ludzie znający rozwiązłość wyłącznie ze słyszenia, którzy nigdy nie ośmielą się takie marzenia zrealizować. Zaczęto coś podejrzewać, prawie - choć nie całkiem - dowiedziano się, a potem, jak słowa napisane sympatycznym atramentem stają się czytelne pod wpływem ognia, tak i wiadomość nieuchronnie dotarła do uszu Candice.

Niemal od początku małżeństwa wyobrażała sobie Cuttera z innymi kobietami, lecz nigdy nie miały one twarzy. Przez całe lata wszystkie siły i zasoby uczuciowej energii zużywała na nieuznawanie faktów, pociechę znajdując w alkoholu, psach i dumie. Teraz duma przestała być oparciem, bo ta kobieta miała już twarz, twarz Nanette. Nanette sama się przyznała, nie zdradziła jednak, jak wielką przyjemność sprawia jej ta niby - spowiedź.

Candice zachowywała tak doskonale pozory wyniosłości, że Nanette nie mogła, nie próbowała się oprzeć pokusie zaszokowania siostry, wyrwania jej ze stanu samozadowolenia. Złośliwie, jakby przez przypadek, zostawiła na wierzchu zdjęcie swoje i Cuttera z twarzą wykrzywioną orgazmem.

Candice uświadomiła sobie, że więcej już nie znieśie. Nie można z tym żyć. Z tą wiedzą nie ma przed sobą żadnej wstrętnej przyszłości. Nigdy nie przestanie widzieć tej fotografii. Ona nigdy nie stanie się wspomnieniem.

Będzie żyć przed oczami, zadawać najstraszniejszą męczarnię. Do pokoju wdarło się piekło i rozproszyło wątpliwości, bez wątpliwości zaś nie ma nadziei.

Candice ubrała się w piękny kostium, uczesała lśniące włosy, zrobiła makijaż, poszła do hotelu po drugiej stronie Union Square, wzięła pokój na piętnastym piętrze, wypila pół butelki whisky i wyskoczyła oknem na pustą uliczkę na tyłach hotelu.

Uznano by to za przypadek chwilowego szaleństwa, manii samobójczej tak dobrze skrywanej, że nie domyśliła się jej nawet matka, ale pijąc alkohol, aby sobie ułatwić otwarcie okna, Candice pomyślała o psach i nabazgrała list ze wskazówkami, jak należy się nimi opiekować, list chaotyczny, w którym chęć ukarania siostry wzięła górę nad chęcią zachowania do ostatka pozorów, że nie wie, jakim mężem jest Cutter. W liście tym oskarżyła Nanette.

Detektyw go znalazł i oddał Jamesowi Standingsowi III. Ten nie miał wyboru, musiał uwierzyć, że Candice myliła się co do Nanette, pozostało mu już bowiem tylko jedno dziecko. Całą zemstę wyładował na Cutterze, obecnie zastępcy prezesa jego firmy. Aby uniknąć dalszego skandalu i wciąż stwarzać pozory tragedii, James Standings III mógł najwyżej wylać Cuttera z pracy i przysiąc, że nie zatrudni go żaden z licznych banków w San Francisco, w których miał spore wpływy.

James Standings III nie zdawał sobie sprawy, jak skuteczna była ta bezkrwawa zemsta: pozbawił mianowicie Cuttera widoków na prezesurę firmy Standings i Alexander, do której tak

uparcie zmierzał różnymi sposobami od dnia, kiedy poznał Candice.

Jumbo Booker nie przestawał się cieszyć zastępczą sławą, jaką zapewniała pozycja najlepszego przyjaciela Cuttera. Sam w okowach wygodnego małżeństwa, łudził się, że uczestniczy w grzesznym, podniecającym życiu, o jakie posądzal Cuttera gdyż ten się nigdy nie chwalił - ale nie ma problemów związanych z rzeczywistym uczestnictwem. Teraz, gdy Cutter tak nagle i niezrozumiale wyleciał na bruk, Jumbo starał się coś przyjacielowi znaleźć, rad, że sam nadal jest w położeniu lepszym, choć nie tak olśniewającym.

Jumbo, z racji zbierania funduszy powiązany z administracją Nixona, załatwił Cutterowi pracę w Belgii, w skomplikowanym systemie biurokratycznym Agencji Międzynarodowego Rozwoju. Bruksela, gościnna, acz wyjątkowo ponura ze swą niemal wieczystą mgłą, odpowiadała Cutterowi w jego obecnym stanie ducha, szybko też wciągnęło go życie dyplomatyczne tej ruchliwej, sytej stolicy. Z czasem wierny Jumbo umożliwił mu przeniesienie się do banku inwestycyjnego w Londynie, skąd po paru latach ściągnął go ponownie do Nowego Jorku, do tamtejszego biura firmy Booker, Smity i Jameston. Był rok 1981 i Cutter uznał, że czas wracać do domu. Ani życzliwość pań z NATO, ani przyjazny stosunek Brytyjczyków nie dorównywały korzyściom, na jakie wciąż mógł liczyć Amberville na ojczystej ziemi.

W roku 1969, na dwanaście lat przed powrotem Cuttera na Manhattan, Nina Stern skończyła trzydzieści pięć lat. Romans z Zacharym utrzymywała w takiej tajemnicy, że stał się częścią mozaiki życia manhattańskiego, czymś oczywistym dla osób poinformowanych, dla reszty rzeczą nie do pomyślenia.

Fale plotek, niewątpliwie towarzyszące mu przed dekadą, opadły, a Lily i Zachary bez dramatów trwali w małżeństwie. Nina i Zachary przypominali niewielką, mało znaną instytucję, towarzystwo historyczne o nieokreślonym profilu, z siedzibą przy bocznej ulicy, które nie zbiera funduszy i nie zatrudnia dociekliwych uczonych. Tylko oni dwoje wiedzieli, jakie skarby kryją się za wzniesioną przez nich fasadą, i Zachary nie pragnął większego szczęścia.

Trzydziestopięcioletnia Nina Stern nie była już jednak tym samym wolnym duchem co dziesięć lat wcześniej. Nadal otoczona miłością, z każdym dniem odnosiła coraz większe sukcesy i niewątpliwie miała objąć po Zeldzie Powers stanowisko redaktorki naczelnej "Stylu", lecz jej niechęć do spraw domowych nie oparła się atakowi hormonalnego dziedzictwa. Osiągnęła wiek, kiedy niezamężna pracująca kobieta musi sobie zadać nieuniknione, klasyczne pytanie: teraz albo nigdy? W wilię swoich trzydziestych piątych urodzin Nina zrobiła obrachunek, zastanowiła się, gdzie będzie za dziesięć lat, i nie zadowolila się odpowiedzią: dokładnie w tym samym miejscu co teraz, nadal na stanowisku, nadal z Zacharym, ale o dziesięć lat starsza.

Pięćdziesiątka będzie za pasem. Rozbrzmiały w niej atawistyczne głosy: teraz albo nigdy. Czy zdoła się pogodzić z nigdy? Czy musi spojrzeć inaczej na to, czego w swoim mniemaniu pragnęła, tylko dlatego, że piasek przesypuje się w klepsydrze? Nina Stern długo, uczciwie przyglądała się sobie. Nie łudziła się, niestety, że jest inna od reszty kobiet. Pragnęła teraz - nie mogła się czepiać nigdy. Nawet jeśli małżeństwo i dzieci nie okażą się w końcu szczęściem, sama musi to stwierdzić. Rozczarowało ją to potwierdzenie jej zwykłej, ludzkiej natury, lecz i przyniosło pewną ulgę.

... Może eksperyment okaże się ciekawy.

Zerwała z Zacharym tak szybko, ładnie i miło, jak potrafiła, i wkrótce wyszła za najlepszego z kandydatów, którzy latami nie przestawali się o nią starać.

Tylko jej córka Nina, opowiadała z triumfem pani Stern przyjaciółkom, mogła urodzić bliźniaki w pierwszym roku po ślubie i nie rzucić pracy.

Tylko Nina, myślał Zachary, mogła tak przyzwoicie i uczciwie zerwać romans, że potrafił uczestniczyć w weselu i - prawie - czuć się ze względu na nią szczęśliwy. Tylko Nina, myślała Nina, mogła zachować dla Zachary'ego tak głębokie uczucie, a mimo to darzyć nowego męża wyłączną - prawie wyłączną - miłością, na jaką zasługiwał. Mimo wszystko można osiągnąć to, co dwa światy mają najlepszego... chodzi tylko o właściwą synchronizację.

Lily Amberville dostrzegła okazję i nie omieszkała z niej skorzystać. Z zaproszenia na ślub mogłaby wywnioskować, że Zachary nie ma już kochanki, nawet gdyby nie potrafiła wyczytać w jego oczach dotkliwej samotności. Od ożenku Cuttera przed sześcioma laty żyła w pozłacanej, przystrojonej, przesadnie przyozdobionej pustce. Teraz Zachary był równie samotny jak ona i powoli zbliżyli się do siebie, zawarli pokój, w milczeniu - bo nigdy nie doszło do formalnego zerwania - pokój z biegiem lat coraz trwalszy, przynoszący oschłe, pełne rezygnacji, ale jednak jakieś zadowolenie. Każde z nich przeżyło swój wielki romans. Teraz mieli siebie nawzajem i dzieci, co było lepsze, o wiele lepsze od samotności.

11.

Pewnego wiosennego dnia 1972 roku Zachary Amberville i Nina Stern Heller śmiało umówili się na lunch do jednej z restauracji często odwiedzanych przez nich w latach romansu, restauracji niemodnej, gdzie nie zachodziło prawdopodobieństwo spotkania kogoś ze znajomych. W tamtym okresie odkryli dziesiątki podobnych miejsc na Manhattanie, knajpek lokalnych, wygodnych i ciepłych, z dość przyzwoitym jedzeniem. Teraz nie było już powodu ani do unikania ludzkiej uwagi, ani do omijania lubianych restauracji. Jeśli tym lunchom towarzyszyła nuta nostalgii, jeśli w pamięci redaktorki naczelnej "Stylu" i szefa Wydawnictw Amberville'a odżywał przelotnie ból czy radość, to dodawały one uczucie specyficznego gorzko-słodkiego posmaku.

- Musisz przyznać - Nina starannie dobierała słowa - że Maxi ma utajone możliwości.

- Mieli je Bonnie i Clyde.

- Daj spokój, Zachary, nie bądź dla niej zbyt surowy. Myślę, że musi mieć jakąś motywację, skoncentrować się na czymś, żeby wykorzystać wszystko, co posiada. Przecież kiedy w szkole zainteresuje ją jakiś przedmiot, dostaje pełną piątkę...

- A kiedy jej nie zainteresuje, nie zwraca sobie głowy nauką, co daje średni wynik niedostateczny z plusem. Jaki college przyjmie ją z takim świadectwem? - pytał nieszczęsny Zachary.

Nina zastanowiła się nad Maxi i westchnęła. Strasznie kłopotliwa psotnica, do głębi, z gruntu sympatyczna, ale zawsze w jakichś tarapatkach, zdolna nawet w tym permissywnym społeczeństwie wylatywać z kolejnych szkół i letnich obozów, nie za narkotyki, kradzież czy oszustwa, ale za organizowanie grup rówieśników i płatanie pomysłowych, efektownych figli.

- Zawsze ją wybierają na gospodynię klasy - przypomniała mu Nina pogodnie.

- Zazwyczaj tuż przed wylaniem jej ze szkoły. Jedyna przyjemność, jaką dla niej widzę, to tytuł najsympatyczniejszej dziewczyny roku, ale takich jak ona nie dopuszczają do konkursu piękności.

- Gdyby tylko - zaryzykowała Nina i urwała.

- Tak. - Oboje wiedzieli, że nie chcą ponownie roztrząsać nieporozumień między Maxi a Lily, w rezultacie których niemal całkowita odpowiedzialność za córkę spadała na Zachary'ego.

Odkąd Lily dowiedziała się o nieuleczalnej chorobie Tobiasa, jak gdyby porzuciła niepohamowaną, zdrową córkę dla potrzebującego jej chłopca. Maxi miała wtedy zaledwie trzy lata i mimo upływu czasu nigdy nie przestała z całego serca pragnąć nieosiągalnej miłości matki. Na Toby'ego Lily przelała zaborcze, czujne, niespokojne uczucie.

Justyn, najmłodsze dziecko, też stał się przedmiotem uwielbienia i przesadnej namiętności. Skoncentrowana na dwóch synach, którzy jak kochankowie odmieniali barwy jej świata i wymagali niewierności, Lily nawet nie próbowała znajdować czasu na czytanie natrętnej dziewczynce czy

pozwalanie, aby bawiła się jej biżuterią.

Maxi ma ojca, usprawiedliwiała się przed sobą Lily, gdy córka starała się zwrócić jej uwagę. Oszałałaby, gdyby musiała się uporać z Maxi. Dziewczynka jest niespożyta, zapewniała siebie, wydając krótkie, stanowcze, bezowocne polecenia jednej z niezliczonych nianiek najmowanych do opieki nad nią, i szybko powracała do spraw związanych z nauką Toby'ego i zdrowiem Justyna, który jako wcześniak długo po urodzeniu był szalenie delikatny.

Maxi jednak przez całe dzieciństwo nie przestawała tęsknić do miłości Lily ani jej potrzebować. Zabiegała o względy matki na wszelkie psotne sposoby, jakie jej przychodziły do głowy, lecz osiągała tylko tyle, że karał ją ojciec, choć dobrze wiedziała, że niechętnie.

Nigdy nie usiłowała być "grzeczną dziewczynką", gdyż rozumiała, że im jest grzeczniejsza, tym mniejsze ma szanse zostać dostrzeżona. Mimo to od urodzenia przestrzegała reguł gry. Ogromnie i niezmiennie ceniła sobie namacalną rzecz zwaną "sprawiedliwością" i z biegiem lat starała się uwierzyć, że takie zaabsorbowanie matki Tobym i Justynem jest "sprawiedliwe". Nie udało jej się to mimo wielkich wysiłków i dość wcześnie zaczęła tracić nadzieję na pozyskanie miłości Lily. Choć nigdy nie wyzbyła się jej ostatecznie, z biegiem lat nadzieja słabła, aż wreszcie została pogrzebana tak głęboko, że to prawie przestało boleć.

Nina oderwała się od osso buco i zwróciła do Zachary'ego.

- Jednego nigdy nie próbowałeś. Co lato wysyłasz gdzieś Maxi... na obóz tenisowy, teatralny, jeździecki, pionierski... i co roku odsyłają ci ją pocztą lotniczą. Czemu nie rzucić jej prawdziwego wyzwania... załóż się, że mu sprostasz.

- Oprócz miliarda innych rzeczy kocham w tobie optymizm. - Zachary uśmiechnął się do niej. Piękna, życzliwa, cudowna kobieta, niech diabli wezmą tego jej męża.

- Praca, praca w lecie - ciągnęła w podnieceniu Nina.- Spożytkowałyby całą tę swoją szaloną energię na coś, w czym mogłaby być dobra, czym mogłaby się wykazać.

- Kto by ją przyjął? - spytał Zachary. Nie wyobrażał sobie kogoś, kto z rozmysłem angażuje Maxi.

- Ty, Zachary, ty.

- O nie! Nie ja! Nie Maxi!

- Wiesz doskonale, że zawsze zatrudniasz w lecie dzieci, które mają plecy, dzieci najlepszych klientów. To zrozumiałe. Tylko u mnie będzie tego roku kilkoro: panna Lepsza Odzież, panna Rajstopa, i jeszcze czworo, a każde mniej bystre od Maxi.

- Plecy to jedno, nepotyzm drugie.

- To wyjście z sytuacji. Pogadam z Pavką i sami coś dla niej znajdziemy.

Przynajmniej spróbuj... nie masz nic do stracenia.

- Nic do stracenia? - Zachary'ego ubawiło jej skautowskie szaleństwo.

- Czym to grozi? - chciała wiedzieć Nina.

- Tym, że naknoci - odparł.

- Ale warto spróbować, prawda? - nalegała Nina patrząc na niego ze szczególnym rodzajem miłości, jakiej mąż nigdy nie widział i nie miał ujrzyć w jej oczach.

- Pytasz mnie czy informujesz?

- Informuję.

- W takim razie warto spróbować.

Do Wydawnictw Amberville'a należały teraz trzy nowe poczytne periodyki: "Savoir Vivre" poświęcony sztuce dobrego życia, którą się osiąga przez wyrabianie coraz lepszego smaku; "Tydzień Sportowy", nieodzowny tym amerykańskim mężczyznom, kobietom i dzieciom, którzy zniszczyli choć jedną parę trampek, wreszcie "W Domu", wspaniały miesięcznik dla zamożnych masochistów, wywołujący w czytelnikach, niezależnie od stopnia ich bogactwa, uczucie, że żyją jak świnię, atrakcyjny dla gromady amatorów, którzy zdjęcia w każdym numerze oglądali przez lupę, aby nie przeoczyć żadnego upokarzającego szczegółu w domu innych ludzi.

Pavka Mayer, kierownik artystyczny i tych pism, siedział w swoim gabinecie i z upodobaniem przyglądał się Ninie. Nawet jej ostatni pomysł wcale go nie zdziwił. Uważał Ninę za zdolną do wszystkiego.

- Rzecz sprowadza się do tego, gdzie Maxi może wyrządzić najmniejsze szkody - stwierdził w zadumie.

- "Styl" odpada, bo to moda, moda prowadzi do fotografów. A oni do seksu - smętnie zastanawiała się Nina.

- Nie możemy jej ukryć w "Tygodniu w TV"... tamci gangsterzy jej nie zniosą. I mogliby dla żartu zlecić jej wywiad z Warrenem Beatty - dodał Pavka.

- W "Siedmiu Dniach" pozna za dużo młodzieży. Nie zamierzamy rozbudzać skłonności przywódczych naszej pieśszoszki, a redaktorzy "Tygodnia Sportowego" to sportowcy, byli sportowcy albo przyszli sportowcy, ja zaś nie uważam za wskazane tak nagle pokazywać Maxi tyłu starszym mężczyznom.

- Nie sądzisz chyba, że jeszcze jest dziewicą? - spytał zaskoczony Pavka.

- Nie wiem. Umyślnie nie zadawałam tego pytania. To nie mój interes, Pavka. Wszystko jest możliwe, choćby było całkiem nieprawdopodobne - odparła Nina.

- Więc pozostaje tylko "Savoir Vivre" i "W Domu" - uświadomił sobie Pavka. - Ty zdecyduj.

- Nie, ty zdecyduj. Nie chcę ponosić całej odpowiedzialności.

- Ani ja - upierał się Pavka. Nacisnął guzik i połączył się z sekretarką.

- Panno Williams, czy wolałaby pani pracować w “Savoir Vivre”, czy w “W Domu”?

Po długiej przerwie sekretarka wybąkała:

- Czy zrobiłam coś nie tak, proszę pana?

- Nie, chcę tylko usłyszeć odpowiedź na moje pytanie. Niech pani będzie taka dobra.

- Czy to znaczy, że zostałam zwolniona? - Głos jej się załamał.

- O mój Boże. Chodzi o zakład.

- Wygrał pan czy przegrał?

- Błagam, panno Williams. Niech pani rzuci monetę, jeśli nie ma pani własnego zdania.

- Wolałabym pracować w “Savoir Vivre”, bo wolałabym widzieć fotografię pieczeni wieprzowej niż czyjejs jadalni.

- Dziękuję pani. Doskonale.

- Och, chętnie służyć. Zawsze.

Pavka promiennie uśmiechnął się do Niny.

- Czy to moja wina, że kobiety mnie uwielbiają?

Maxi była w siódmym niebie. Każdego lata zsyłano ją na wieś na banicję.

Plaże, jeziora, drzewa, świeże powietrze, zespołowe gry sportowe uważano za absolutnie niezbędne dla jej dobrego samopoczucia. Jej samej za kontakt z przyrodą wystarczał krótki wypad do Central Parku.

Z rzadka będąc latem w Nowym Jorku, przez kilka godzin uświadamiała sobie, że istnieje inny Manhattan, gorąca, tropikalna wyspa, gdzie wszystko porusza się w innym rytmie, miasto tętniące jakoś inaczej i w tym przeobrażeniu ospałe, tajemnicze, bardziej podniecające niż zwykle. Choć na pozór tyle samo ludzi wpadało do biur i z nich wypadało, ludzie ci wyglądali inaczej. Byli inaczej ubrani i częściej się uśmiechali. W dzielnicy biurowej panował świąteczny nastrój, w powietrzu wisiała możliwość zabawy, dzielnice mieszkaniowe natomiast ziały leniwą pustką, bo dobrze ubrane panie domu, dzieci i nianie znikły zupełnie, jakby ulicami przeszła zaraza.

Teraz ten nęcący, pulsujący Manhattan w swej letniej szacie miał należeć do niej, z wyjątkiem weekendów, na które będzie z ojcem jeździć do Southampton, do rodziny. Rano będzie się z nim udawać do pracy, a potem - rozkoszny spisek - bez pożegnania wjeżdżać inną windą do redakcji “Savoir Vivre” i tam występować pod nazwiskiem Maxi Adams. Zarówno Pavka, jak Nina uważali, że jedynie Carl Koch, redaktor naczelny, może wiedzieć, kim ona jest. Gdyby do jej kolegów doszło, że jest córką Zachary'ego Amberville'a, w najlepszym razie braliby ją za rozpaskudzoną bogaczkę, która wkręca się do wydawnictw, w najgorszym - za donosicielkę nasłaną przez kierownictwo, aby zobaczyć, co oni knują, i składającą ojcu raporty. “Savoir Vivre” wydawano zaledwie od dwóch lat i paru miesięcy, toteż nikt z pracowników nie znał Maxi; Nina z

Pavką postanowili umieścić ją w pracowni graficznej, gdzie mogłaby robić makiety.

- Powinna dokazać cudów klejem i gumą arabską, taśmą samoprzylepną i linijką - zapewniła Pavkę Nina.

- Maxi i słoik kleju? Dwa dni to nie potrwa - wymamrotał Pavka. - Ale jest lepsze niż gotowanie na próbę czy, Boże broń, dział win. Klej zawsze można zmyć.

W ten pierwszy lipcowy poniedziałek Maxi zbudziła się wcześniej i zaczęła się przygotowywać do wkroczenia w świat wielkiej odpowiedzialności.

Zachwycała ją myśl o pracy, pracy dorosłych. Postanowiła postarzyć Maxi Adams o niezbędne dwa lata i podawać się za dziewiętnastolatkę.

Chodziła po swojej największej garderobie w poszukiwaniu najstarszych, najbardziej poplamionych farbą dżinsów, które najdobitniej świadczyłyby o prawdziwej pracy. Malowała w nich dekoracje w swojej przedostatniej szkole i miała wrażenie, że rozciągają aurę artystyczną, stosowną w pracowni graficznej. Do nich włożyła czystą, jasnoniebieską, ale też znoszoną drelichową koszulę, na pozór świadczącą o życiu spędzonym bardzo produktywnie, koszulę jej zdaniem praktyczną, zwyczajną i dorosłą, nade wszystko dorosłą. Szalenie chciała wyrzucić na wstępie dobre wrażenie. Swą osiemnastowieczną talię ścisnęła szerokim indiańskim paskiem ze srebra i turkusów. Przecież po najskromniejszej nawet pracownicy działu graficznego oczekuje się jakiegoś zmysłu artystycznego. Pantofle? Nie. Włożyła jedną z wielu par ukochanych kowbojskich butów na wysokim obcasie, zamawianych pocztą u Tony'ego Lamy za czterysta pięćdziesiąt dolarów, butów, które w jej przekonaniu podwyższyły ją o trzy cale.

Zadowolona ze swego ciała, zaatakowała twarz i włosy. W roku 1972 każdej kobiecie wydawało się, że ma za mało włosów. Maxi zapuściła je poniżej ramion i chętnie odrzucała do tyłu, często też przypinała jedną z rozlicznych tresek nagromadzonych w ciągu paru ostatnich lat. Ale dzień dzisiejszy wymagał powagi i godności. Zaczesała wszystkie włosy do tyłu, aby odsłonić siwe pasmo. Makijaż? Maxi umiała go robić tak biegle jak każda demonstratorka na parterze u Bloomingdale'a. Dziś chciała wyglądać staro.

Im mniej umalowana, tym wydawała się młodsza, więc z wprawą przystąpiła do rozprowadzania podkładu, pudru, różu. Posługiwała się szminką i cieniami do oczu, tuszem, kredką pewnie, co zawdzięczała wielogodzinnym ćwiczeniom w samotności. W uszach zawiesiła kolczyki z dużymi turkusami i badawczo przyjrzała się produktowi końcowemu. Ołówkiem do brwi przyciemniła pieprzyk nad górną wargą.

Nie, wciąż jeszcze nie dość stara, uznała, dała nurka do garderoby i wyciągnęła duże okulary w rogowej oprawie, w których zawsze grała w pokera.

Miały zwyczajne szkła, ale jako maska, niezależnie od tego, jak przezroczysta, pomagały blefować. Jeszcze czegoś brakuje, martwiła się Maxi spoglądając w potrójne lustro. Oczywiście te

włosy. Na nic siwe pasmo z przodu, jeśli reszta opada na plecy. Ściągnęła je w schludny koczek i mocno upięła. Idealnie, pomyślała. Portret artystki z czasów nieomal dojrzałości.

Zachary jak najobojętniej powitał Maxi przy śniadaniu. Może, wyrażał w duchu pobożne życzenie, ona nie różni się od swoich rówieśnic... nie oglądał się za nimi, więc nie wie. Ale czy jej koszula i dżinsy nie są za obcisłe w sposób prawie... wyuzdany? Czy Maxi nie zdaje sobie sprawy, że w tych cholernych dżinsach wygląda seksowniej, niż gdyby płaśała w czarnych koronkowych majtkach? Czy dziewczyna tak cienka w talii i z takimi... dobrze rozwiniętymi... cyckami, z braku mniej ojcowskiego określenia, powinna nosić miękką drelichową koszulę oblepiającą jej obfite kształty? A te okulary? Od kiedy musi chodzić w okularach? Nadawały tylko reszcie osoby coś bardziej... co to go zaniepokoiło? A co zrobiła z twarzą? I z włosami?

Nie miał pewności, ale dziś było w jego córce coś innego niż zwykle. Czy oszalał, czy też ona wygląda na niemal... dorosłą? Nie, nie Maxi. Nie dorosła, to niemożliwe. Dojrzała. Na Boga, dojrzała!

- Maxi, wyglądasz dojrzałe, niech to licho.
- Dziękuję, tato - rzekła z przesadną skromnością.
- Nie uważasz, że powinnaś... może... włożyć sukienkę?
- Nikt już nie nosi sukienek, tato - powiedziała z łagodnym wyrzutem.

Rzeczywiście, uzmysłowił sobie Zachary. Nina nosi spodnie, tak jak i jego sekretarka i wszystkie redaktorki. Ostatnią kobietą, jaką widział w sukience, była Lily, a ona nosiła się modnie, do pół łydki. Westchnął w nadziei, że wkrótce powróci moda na sukienki, i znów zabrał się do jajek.

- To Maxi Adams, będzie odbywać u ciebie letnią praktykę - zwrócił się Carl Koch, redaktor naczelny "Savoir Vivre", do swojej bystrej, zdolnej kierowniczkii artystycznej, Lindy Lafferty. - Rób z nią, co chcesz. - Ulotnił się pospiesznie i z wyraźną ulgą, pozostawiając praktykantkę na głowie Lindy.

Carl Koch miał nosa i natychmiast utwierdził się w przekonaniu, że Maxi będzie trudna. Nie wiedział tylko, do jakiego stopnia. Z tymi dzieciakami zawsze był w lecie kłopot. Pavka jednak wydał mu stanowcze, bezapelacyjne polecenie, no i "Savoir Vivre" się w nią ubrał. Ale teraz to zmartwienie Lindy.

Linda przyglądała się Maxi z coraz większym zdumieniem. Ta młoda osoba wyglądała na początkującą intelektualistkę, która jakoś trafiła w Santa Fe pod latarnię, czy może na terminatorkę Simone de Beauvoir, która zabląkała się na męską bibliotekę.

- Cześć - przemówiła wreszcie Linda.

- Cześć, panno Lafferty.
- Skąd... przybywasz?
- Ze Wschodu. - Maxi zręcznie uniknęła odpowiedzi na to zasadnicze pytanie.
- Ze Wschodu? - nie dawała za wygraną Linda. - Dalekiego czy Bliskiego?
- Z wschodnich ulic Siedemdziesiątych - przyznała się Maxi.
- Och. Masz jakieś przygotowanie artystyczne?
- Tylko ze szkoły i obozu.
- Obozu?
- Obozu letniego - wymamrotała Maxi, nagle niezdolna znaleźć innego słowa, które lepiej

by zabrzmiało.

Dlaczego do mnie, pomyślała Linda Lafferty. Dlaczego do mnie?

Żadne z dotychczasowych zajęć, uznała po tygodniu Maxi, nie było tak zabawne jak obecna praca. Sposobności do żartowania w pracowni graficznej "Savoir Vivre" przechodziły jej pojęcie. Dlaczego nigdy nie podejrzewała, że ludzie chodzą do pracy po to, aby wystawać i opowiadać sobie znacznie lepsze, nieprzyzwoite kawały niż te, które słyszała w szkole, aby się obijać, zaprzyjaźniać ze sobą, zbijać baki, przemycać do ubikacji papierosy z marihuaną i zawzięcie plotkować o seksie? Wyglądało na to, że wszyscy robią to ze wszystkimi. Zajmować się tym przez cały dzień i jeszcze dostawać forszę - tego sekretu dorośli nigdy nie zdradzali, kiedy z taką powagą mówili o czymś, co nazywali "pracą". Praca to zabawa na wielką skalę.

Wszyscy jej nowi przyjaciele zatrudnieni byli przy makietach, co przypominało przedszkole, naklejanie obrazków na grubym papierze. Ogromnie lubiła im pomagać, pochylać się nad nimi, prostować brzegi stronic, podawać markery, ostrzyć ołówki i rozśmieszać ich, kiedy jakaś fotografia irytująco nie chciała pasować. Pokazywała kolegom rzeczy, które nigdy nie przyszły im do głowy - na przykład artykuł o gęszej wątróbce, z fotografiami siedemnastu różnych jej kawałków z różnych francuskich restauracji - nikt nie potrafił powiedzieć, gdzie jest góra, a gdzie dół każdego kawałka, kiedy skończyła na nowo je rozmieszczać.

Maxi najbardziej lubiła moment, kiedy zajeżdżał wózek z bajglami i pączkami, a wszyscy przestawali udawać zajętych i zbierali się dokoła niczym nomadzi opychający się przed wyruszeniem na pustynny szlak. Skracała nawet przerwę na lunch, żeby zdążyć na przyjazd wózka z bajglami o trzeciej. Zresztą wcześniej nikomu nie była naprawdę potrzebna. Lunch to taki fajny wynalazek! Trzy wolne godziny na sprawunki. Była na diecie, więc nie troszczyła się o jedzenie. Zamiast tego systematycznie przeczesywała sklepy, butiki i domy towarowe.

Maxi od lat ubierała się sama, ale jak dotąd zawsze musiała czekać z zakupami do września. Teraz jednak w mieście pełno było towarów na wczesną jesień i Maxi przymierzała wszystko po

kolei. Co dzień po powrocie z takiego wypadu, którego kosztami obciążała rachunek Lily, przynosiła stosy paczek do swego dobrze oświetlonego kącika, wyciągała z pudełek zakupy i demonstrowała je na sobie współpracownikom obdarzonym takim doskonałym gustem, jeśli idzie o kolory i linię, służącym licznymi wskazówkami, jak się ubierać. Przestała chodzić w okularach i wygłupiać się z włosami, kiedy uznano, że skończyła lat dziewiętnaście i należy do paczki.

Myśl o podjęciu za dwa miesiące nauki w ostatniej klasie szkoły średniej była aż nazbyt odrażająca, więc Maxi postanowiła się zapisać do szkoły sztuk plastycznych i wszyscy jej doradzali, do której. Tacy byli fajni, wracali do jej pokoju, zasiadali w krąg, opowiadali o swoich latach szkolnych i wywoływanych drakach. Nie cierpiała wieczorów, bo musiała odrzucać wszystkie zaproszenia na drinki w okolicznych barach i znikać w domu, choć zazwyczaj udawało się jej naciągnąć ojca, żeby ją zabrał na obiad.

Linda Lafferty wrzała letnim gniewem. Wydajność w pracowni graficznej - w jej dziale! - wyraźnie spadła z chwilą pojawienia się Maxi. Podwładni Lindy, na których w najlepszym razie i tak nie do końca mogła polegać, zamienili się w jurne capy i większość czasu spędzali na obmyślaniu wymówek, aby jeszcze raz wdać się w długą pogawędkę z tą... tą... nie potrafiła znaleźć odpowiedniego słowa. Maxi nie mieściła się w dotychczasowych doświadczeniach i żadne znane słowo nie określało trafnie tej seksownej, zabawnej, absolutnie samowolnej, niszczyielskiej istoty. A jednak, mimo wszystko - przyznaj się, Lindo, sama też lubisz z nią rozmawiać, mówiła sobie z obrzydzeniem. Ta dziewczyna to codzienne bachanalia. Musi być panną Seagram, panną General Foods czy panną Coca-Cola, że wolno jej tak załazić Lindzie za skórę, bo Carl Koch nie chciał po prostu słuchać skarg na nową praktykantkę.

Ale Linda Lafferty musiała prowadzić dział, gdzie zawsze było najwięcej roboty. Dużą część grubego czasopisma zajmowały fotografie, resztę - reklamy przedmiotów zbytku. Czytelnicy "Savoir Vivre", ludzie bogaci, czuli się jeszcze bogatsi na widok bogactw wizualnych drukowanych na lśniącym, grubym papierze. Odpowiedzialna za jakość i oryginalność tego comiesięcznego rogu obfitości była wyłącznie pracownia graficzna. Tekst się właściwie nie liczył, choć artykuły na temat jedzenia i wina wychodziły spod pióra najwybitniejszych pisarzy, którym w porównaniu z dziennikarzami płacono olbrzymie sumy.

Potrzebny jej nowy zastępca, stwierdziła zrozpaczona Linda Lafferty, ktoś szybki i dobry, kto się okaże na tyle twardy, aby podgonić robotę. Mnóstwo tęgich kopniaków znakomicie ostudziłoby zapaly wzbudzone przez Maxi, myślała, ale przy swoim wzroście nie mogła celnie wymierzać kopniaków. Nie rozstrzygnęła, czy nie robi tego, bo chce być lubiana, czy boi się kogoś zabić, ale wiedziała, że przynajmniej musi mieć wsparcie.

Przedstawiwszy zapotrzebowanie Carlowi Kochowi zauważyła ze zdziwieniem, że szybko

się zgodził, aby zaangażowała nowego starszego asystenta. Choć “Savoir Vivre” był oczywiście maszynką do robienia pieniędzy, Carl Koch, podobnie jak większość redaktorów, nie lubił bez potrzeby powiększać personelu. W swoim poprzednim miejscu pracy Linda poznała młodego człowieka równie zapalonego, jak utalentowanego. Od dłuższego czasu chciała go zatrudnić, a teraz dzięki Maxi Adams, królowej gumy arabskiej, Lorelei wyklejania, czarodziejce linijki, zaoferuje Rocco Ciprianemu pensję, jakiej się nie oprze, bo zawsze mawiał, że od Conde Nasta odszedłby tylko dla wielkich pieniędzy. Maxi Adams posłuży pewnemu celowi, wbrew sobie wniesie jakiś wkład.

Linda Lafferty surowo popatrzyła na Rocco Ciprianiego.

- Biorę urlop. Od przyścia do “Savoir Vivre” nie miałam jednej wolnej minuty. Nie będzie mnie jutro rano, kiedy się weźmiesz do pracy. Nie chcę, żeby ludzie przychodzili ze skargami na ciebie. Masz tu wszystkim kierować.

Zostawiłam im notatki tej treści.

- Potrzebujesz nowej szczotki, kapitana Queega i chłosty dla paru osób?

- Właśnie. Żaden z moich leni nie robi tyle, ile powinien. Mam poważne problemy z dyscypliną. Bezwzględnie liczę na to, że biciem, popędzaniem i kuksaniem przywołasz ich do porządku, podczas gdy ja przez trzydzieści dni będę cierpieć na załamanie nerwowe, do którego zdaniem Carla mam prawo. Po powrocie chcę zastać rzeczy zrobione z wyprzedzeniem... bo inaczej... - Postanowiła nie wskazywać na Maxi jako źródło kłopotów. Niech się sam przekona. Szkolenie w miejscu pracy.

- Miła jesteś jak wszyscy diabli, Linda, kiedy zaczynasz straszyć.

- Właśnie dlatego cię najęłam, właśnie dlatego przez cały weekend odwalaliśmy te obrzydliwe zaległości. Uratujesz mnie, bo wcale nie jesteś miły.

- A myślałem, że mnie lubisz.

- Dobry z ciebie dzieciak. - Zrobiła skromną minę i przeklęła swą irlandzką zaciekłość, która wbrew nakazom zdrowego rozsądku nie pozwalała jej hamować złości na widok tego młodego i całkowicie niewzruszonego Rocco Ciprianiego. Przyjrzała mu się bacznie, usiłując dociec, jak mężczyzna tak absurdalnie przepiękny może mimo to budzić aż taki szacunek. Miał nieprzyzwoicie gęstą, czarną kędzierzawą czuprynę, pod ciężkimi powiekami oczy ciemne, marzycielskie, a zarazem rozjarzone żywym blaskiem, nos Medyceusza. Linda, mimo całej swej bystrości nie potrafiła się dopatrzeć ani jednej skazy w wyrazistych rysach. Nie ośmielała się nawet spojrzeć na jego usta. Dziewczyna umiała się zdobyć na tylko tyle opanowania. W Roccu wszystko współgrało, nieubłaganie, potężnie, natarczywie. Trudno było się od niego odwrócić. Uznała, że mógłby pozować wielkiemu renesansowemu malarzowi tworzącemu arcydzieło, wizję dumnego

świętego Sebastiana.

Brakowało jedynie strzał wbitych w ciało w tych interesująco wrażliwych miejscach. Rocco Cipriani rzucał takie samo światło na szczytowy okres rozwoju sztuki włoskiej jak wycieczka do Metropolitan Museum.

Zaledwie dwudziestotrzyletni, tak dobrze sobie radził u Conde Nasta, że wkrótce, jako człowiek trochę bardziej dojrzały i doświadczony, zostanie kierownikiem artystycznym własnego pisma. Linda doskonale wiedziała, że Rocco nie pozostanie u Amberville'a. To po prostu takie zdecydowanie strategiczne posunięcie, jakie robią niektórzy najlepsi, najambitniejsi kierownicy artystyczni, gdy dla przyspieszenia awansu zmieniają pracę...

Sama postąpiła podobnie. Zaskarbiają tym sobie większe uznanie niż bezwzględną lojalnością, a ryzykują, jeśli nie są rzeczywiście świetni.

Rocco nie ma się czym martwić.

Na Manhattanie jest tyle rodzajów kierowników artystycznych, ile wydawnictw, agencji i audycji reklamowych. Rocco należał do bardzo specyficznego gatunku, bo interesowała go wyłącznie praca w periodykach.

Nie kusila go reklama, choć te biedaki, mówiące o sobie, że są "kierownikami twórczymi", zarabiały grubą forszę. Ale musieli się stosować do wymagań klientów, on zaś nie znał żadnych ograniczeń poza granicami własnej wyobraźni. Największą radość sprawiały mu niezliczone puste stronicie, czysta, wspaniała biała przestrzeń, przestrzeń bezkresna, odnawiana co miesiąc magią działu ogłoszeń, czekająca, aż ją zapełni makietami, o jakich nikomu się przedtem nie śniło, kombinacjami czcionek nigdy ze sobą nie łączonych od dnia wynalezienia druku, grafiką, która przejdzie do historii, fotografiami dotychczas niewyobrażalnymi, przycinanymi tak, jak nikt dotąd tego nie robił, rysunkami zamawianymi u artystów, o których myślano wyłącznie w kategoriach wystaw w galeriach i muzeach. Każda czysta stronica pisma była dla niego tym, czym płótno dla malarza: nową okazją narzucenia swojej wizji tego, co być może, i podobnie jak malarz nigdy nie czuł się w pełni zadowolony.

Rocco, jeszcze nienasycony Aleksander Wielki świata periodyków, wciąż napierał, nie wojskami jednak, lecz wezbraną falą talentu. Pracował co najmniej dziesięć godzin dziennie, po czym szedł do domu, wyjmował ze skrzynki na listy czasopisma z całego świata i kartkował je klnąc paskudnie, ilekroć natrafił na nowy pomysł, który nie przyszedł mu do głowy, wydierał z magazynów kartki w celu przestudiowania i przyklepał je taśmą do ścian swego dużego poddasza w Soho, aż sięgały od podłogi do poziomu oczu; czasem zakrywał je innymi stronicami, tak że pokój przypominał collage najlepszej międzynarodowej grafiki.

Rocco Cipriani zazdrościł tylko dwóm ludziom na świecie: Aleksandrowi Libermanowi,

genialnemu dyrektorowi artystycznemu u Conde Nasta, i Pavce Mayerowi. Nie wątpił, że pisane mu będzie zająć kiedyś miejsce któregoś z nich, ale że musi się jeszcze dużo nauczyć, więc propozycja Lindy Lafferty dodatkowo go pociągała: pierwszy raz będzie pracował pod kierunkiem Pavki, wprawdzie nie bezpośrednim, co stwarza możliwość ukradzenia wielkiemu człowiekowi jakiegoś pomysłu.

Rocco rozpoczął pracę w "Savoir Vivre" w połowie lipca, w poniedziałek. W piątek Linda nie wytrzymała i zadzwoniła, aby spytać, jak mu leci.

- Odwaliliśmy już z grubsza zaległości i w poniedziałek zabieram się do numeru listopadowego - powiedział.

- Już? Jesteś pewny?

- Cóż, nikogo nie podniecała praca do północy przez cały tydzień, ale pracowali.

- A problem Maxi?

- Problem Maxi? Chodzi ci o moją praktykantkę?

- Jeśli chcesz ją tak nazwać, owszem.

- Chryste Panie, Linda, nie ma z nią żadnego problemu. Nie do wiary, co to za pomocny dzieciak. Nie wychodzi nawet na lunch. Łyka jajko na twardo z papierowej torebki i zaraz bierze się do podmiatania, usuwania resztek gumki i zaopatrywania wszystkich w świeże materiały; kiedy wracają po przerwie. Robi wrażenie bardzo dorosłej jak na dziewiętnastolatkę. Co rano zjawia się punktualnie, wieczorem wychodzi ostatnia, nie obja się w czasie krótkich przerw, przynosi kawę, zanim ktokolwiek jej zapragnie, utrzymuje w należytym porządku moje markery, właściwie nigdy i nigdzie nie miałem tak poukładane na biurku. Nie pali, ubiera się w te skromne sukieneczki, nie pozwala sobie na pogawędki i chyba nie traci czasu nawet na siusianie. Może to mormonka? Jest zawsze pod ręką, kiedy jej potrzebuję... a mimo to nigdy się nie naprzykrza. Dobra sztuka. I niebrzydka, jeśli się nad tym zastanowić... właściwie... całkiem niebrzydka...

- Och, bzdura.

- A cóż to takiego?

- Mniejsza z tym. Po prostu mniejsza z tym. Rób swoje, Rocco. Wracam na plażę, wejdę do wody i będę szła, dopóki nie utonę.

- Jeśli zamierzasz pracować przez cały weekend, Rocco, może przydam się do pomocy? - od niechcenia zaproponowała Maxi i wstrzymała oddech. Umarłaby dla niego, nie tylko stapałaby po rozżarzonych węglach, ale przysypała się nimi i leżała spokojnie, czekając na koniec. W leksykonie ludzkiego zachowania nie było rzeczy, której nie zrobiłaby dla Rocco Ciprianiego, począwszy od porzucenia domu i przemierzania pieszko kontynentów, i umierania z głodu na pustyni. Wystarczyło, aby poprosił.

- Nie chcę ci pokrzyżować planów - odparł.

- Właściwie nie mam żadnych. A mogłabym się masę nauczyć doglądając twoich rzeczy.

Wiesz, jak makiety znikają ci jedna pod drugą, kiedy ciężko pracujesz. I... mogłabym chodzić po pizzę - dodała, zacerpnawszy tę myśl z posiadanych zasobów mądrości.

- Świetnie. Na ogół zapominam o jedzeniu. A tuż obok jest pizzeria, tyle czasu zabiera im jednak dostawa, że ser zawsze stygnie. Okej. Wpadnij w sobotę około dziewiątej rano. Dam ci adres.

Wzięła kartkę papieru i schowała do torebki na wieczną pamiątkę.

Wiedziała już, gdzie mieszka, znała numer jego telefonu, zebrała informacje o jego dużej rodzinie w Hartford, o stypendium w szkole sztuk pięknych, o zdobytych przez niego nagrodach, o jego awansach. Przybycie Rocca wywołało burzę domysłów w pracowni graficznej "Savoir Vivre'u", a Maxi słuchała pilnie, nic nie mówiąc, lecz zbierając każdą okruszynę, odrzucając sprzeczne bądź niedopasowane szczegóły, aż wreszcie wyrobiła sobie obraz dość prawdziwy. Wiedziała, że ma mnóstwo dziewczyn, ale żadnej stałej, znała jego wrogów i przyjaciół, wiedziała tyle o tym mężczyźnie, poznanym przed pięcioma zaledwie dniami, ile można się dowiedzieć i odgadnąć intuicyjnie. Ta intuicja była czymś znacznie lepszym niż rozmyślanie, poznanie czy rozważanie. Sięgała głębiej niż definicja filozoficzna, która przypisuje intuicji poznanie duchowe i natychmiastową wiedzę o kimś, jaką mają aniołowie bądź duchy. Jej definicja sięgała dalej i była znacznie krótsza. Była to definicja Hawthorne'a: "Cudowne wycucie tego, co powinno się zrobić, akurat w odpowiednim do działania czasie."

Pierwszą sobotę i niedzielę na poddaszu Rocca spędziła Maxi pracowicie.

Ilekoć widziała Rocca pogrążonego nad stołem kreślarskim w zadumie, chodziła po pokoju tak cichutko, że wcale jej nie słyszał, i sprawdzała, gdzie trzyma domowe zapasy. Zmieniła mu pościel, zawinęła całą brudną bieliznę i koszule w węzełek i wybrała się do pralni, po raz pierwszy w życiu pewna, że ją znajdzie i że potrafi zrobić pranie. Po raz pierwszy umyła brudne naczynia spiętrzone w zlewie i odstawiła na miejsce; przetrząsnęła spiżarnię i sporządziła listy najniezbędniejszych rzeczy, których brakowało; nie zdążyła natomiast zajrzeć do szuflad i szaf w ścianie. Pochłonięta tymi boskimi zajęciami nie spuszczała go z oka, ilekoć zaś podniósł wzrok, bo czegoś potrzebował, już miała to przygotowane jak doskonała instrumentariuszka. Przynosiła pizzę i kanapki, on oczywiście się dzielił, ale połykał w milczeniu, bo myślał o nowych projektach. Teraz, po odwaleniu zaległości, chciał narzucić własny styl "Savoir Vivre'owi" przed powrotem Lindy Lafferty z urlopu.

Natychmiast zainteresowały go problemy pisma poświęconego jedzeniu i winom. Tak długo pracował z modelami i odzieżą, że pokazywanie przedmiotów, na których widok czytelnik ma

łykać ślinkę, stało się wyzwaniem i kazało mu zapomnieć o całym świecie.

- Jedno ziarnko, tylko jedno ziarnko - mamrotał, kiedy Maxi kroїła kolejną pizzę w niedzielę wieczorem.

- Nie jesteś głodny? - spytała zmartwiona.

- Pojedyncze ziarenko złotego kawioru na całej rozkładówce. Oczywiście byłoby zamówienie fotografii u Penna, lecz Penn oznacza Conde Nasta, a zresztą nie chcę nic oczywistego. Fotografia laserowa? Fotomikrografia? Nie można narysować kawioru - czy można? Może, taak, może... pokryć złotą folią obie strony i zamówić rysunek kawioru u Andrew Wyetha... może... Czy to pepperoni?

- Prosiłam o wszystko na wierzchu.

- Dobrze. - Znów zamilkł. Widząc, że zaraz przerwie pracę, Maxi wysłała niepostrzeżenie.

W następnym tygodniu każdy, kto wchodził do pracowni graficznej "Savoir Vivre'u", mógł myśleć, że znajduje się w skrytorium średniowiecznego klasztoru, bo pracownicy pochylali się nad biurkami pilnie i w skupieniu, wypróbowując pomysły, jakimi zarzucał ich Rocco w pogoni za coraz nowszymi i coraz bardziej podniecającymi rozwiązaniami.

Zachary z przejęciem słuchał o skromnym, acz nieodzownym udziale Maxi w tej pracy, a jeszcze bardziej cieszył się z pytań świadczących o tym, jak bacznie córka obserwuje proces tworzenia czasopisma. Trochę go jednak niepokoiło jej szalone zainteresowanie... Czy zapal szybko nie ostygnie przy tak silnym zaangażowaniu? Ten entuzjizm nie budził w nim zaufania.

Doznał ulgi, że Maxi przynajmniej weekend spędziła u szkolnej przyjaciółki Indii West w Connecticut i że wybiera się tam znowu w najbliższą sobotę.

W niedzielę po południu Rocco odłożył przybory, przeciągnął się i ziewnął.

- To jest to! To powinno być to - zwycięskim tonem oznajmił Maxi, która właśnie poukładała jego świeżo uprane, wysuszone i zwinięte skarpetki szeregami w szufladzie, gdzie ich nie mógł przeoczyć. Doprowadziła poddasze do nieskazitelnego porządku, jaki się dało zrobić bez ruszania czasopism, książek i aktówek.

- Czas na pizzę? - spytała.

- Nie znowu. Nie na kolejną pizzę. Tego bym nie zniósł.- Uśmiechnął się do Maxi. Najlepsza z dotychczasowych asystentek, pomyślał. I mógłby przysiąc, że zrobiła coś, nie wiedział co, co ułatwiało poranne ubieranie.

- Zrobię stek, przyrządzę sałatę i wsadzę kartofel do piekarnika - zaproponowała Maxi.

- Skąd to wszystko weźmiesz w niedzielę po południu?

- Stąd. - Maxi otworzyła lodówkę zapełnioną dzień wcześniej. Program obozów na odludziu

obejmował początki gotowania.

- Świetnie. Jestem wykończony. Zdrzemnę się, zanim upieczesz kartofla.

Obudź mnie na obiad, dobra?

- Pewnie.

Rocco niemal natychmiast zapadł w głęboki sen. Było tak późne popołudnie, że zachodzące słońce ledwie docierało na poddasze, letnia jasność jednak nadal wypełniała pokój. Maxi podkraśla się do łóżka i ostrożnie przy nim ukłękła. Musiała zacisnąć pięści, aby nie dotknąć włosów Rocca. A gdyby zbudził się równie nagle jak zasnął? Nigdy dotąd nie miała okazji patrzeć na niego wprost dłużej niż parę sekund, chyba że z kimś rozmawiał w pracowni, ale nawet wtedy zdawała sobie sprawę, że gdyby podniósł wzrok i przyłapał ją na tym, oblałaby się ponizającym rumieńcem. Przez dwie soboty i niedziele spędzone na poddaszu zachowywała szczególną ostrożność, bo wiedziała, że gdyby mu w jakiś sposób przeszkodziła, byłby ją wyrzucił.

Maxi tak kochała i tak bała się Rocca, że nie reagowała normalnie. Odkąd go zobaczyła, przestała być sobą, to wiedziała, nie wiedziała natomiast, jak znów stać się sobą w obecności tego mężczyzny, na którego na pewno nie działała tak jak na innych poznawanych mężczyzn czy chłopców. Pod wpływem uczucia skłonna była każdy najzwyklejszy postępek Rocca uznać za absolutnie uroczy. Kiedy drapał się w głowę, była oczarowana. Kiedy w zamyśleniu gryzł kłykcie palców, była oczarowana. Kiedy nucił pod nosem, była w siódmym niebie. Jej oczy z mieszaniną czci i straszliwej tęsknoty śledziły doskonały zarys jego ust. Serce Maxi wyrывało się do niego, lecz trwała bez ruchu, usychając z tęsknoty tak silnej, jakiej do końca życia - to wiedziała - nie wzbudzi w niej żaden mężczyzna. Ogarnęło ją nieopisane pomieszanie i szczerza namiętność pierwszej miłości. Gdybyż mogła unieść jeden z miękkich czarnych loków i dotknąć, tylko dotknąć skóry na jego czole. Gdyby wierzchem dłoni mogła go pogłodzić po policzku. Ale nie śmiała. Ryzykowała za wiele.

Kłęcząca sparaliżowana pożądaniem, gdy wtem przypomniały jej się słowa Rocca. "Cóż, to powinno wystarczyć" - powiedział i przerwał pracę. Znała go dość dobrze, aby wiedzieć, że skończył z numerem listopadowym. Oczywiście w przyszłym tygodniu weźmie się za numer grudniowy, ale nie będzie już musiał tworzyć nowej koncepcji graficznej, co skłaniało go do pracy przez siedem dni. Nigdy dotąd nie myślała o tej chwili. Jakoś sobie wmówiła, że te weekendy na poddaszu będą trwać dalej... ale praktykę letnią skończy już za pięć tygodni. Wpadła w panikę. Jutro wróci do pracowni graficznej, będzie jeszcze jedną osobą w tłumie, będzie podawać, nosić, pamiętać o kawie, a ta właśnie minuta, której nie potrafiła sobie dokładnie wyobrazić, nigdy nie nadejdzie, ta absolutnie nieodzowna minuta, kiedy Rocco wreszcie ją dostrzeże.

Pod wpływem przerażenia Maxi znów stała się sobą. Rozwiązał się zachwyty powodujący bezwład i nieporadność, czar prysł. Jej mottem, odkrytym na lekcji francuskiego, były słowa

Dantona: “Śmiałość, śmiałość i jeszcze raz śmiałość”. W milczeniu przechadzała się po poddaszu, wkrótce jednak szepnęła pod nosem: “Śmiałość”, ściągnęła bawełnianą koszulkę, dzinsy i bieliznę paroma cichymi, stanowczymi ruchami. Rozwiązała espadrille i stanęła naga, różowa i zmysłowa jak z obrazu Bouchera, z pełnymi piersiami przedzielonymi głębokim rowkiem, tak młodymi, że mimo swego ciężaru sterczały sztywno na wąskiej klatce piersiowej. Poniżej cienkiej, jędrnej talii, z odcisniętymi na białym ciele śladami paska, który właśnie poleciał na podłogę, biodra zaokrąglały się rozkosznie, tworząc idealną, choć wydatną krzywiznę.

Nagość była dla Maxi czymś tak naturalnym jak dla Ewy w raju. Świetnie zbudowana, bez ubrania wydawała się wyższa niż w ubraniu. Przeczesła palcami długie włosy, nieznacznie potrząsnęła głową, przez sekundę niezdolna się poruszyć. Śmiałości, pomyślała, śmiałości! Na palcach podeszła do łóżka i pochyliła się uspokojona, bo Rocco spał głębokim snem.

Ostrożnie, lekko jak kwiat ułożyła się przy nim, znajdując wygodne miejsce dla swych delikatnych, choć bujnych kształtów. Uniosła się tak, że zawisła nad jego twarzą. Śmiałości, błagała, gdy zaczęła go budzić pocałunkami, tak cicho, słodko i łagodnie, że dopiero po kilku minutach poruszył się z żalonym mruknięciem. Rozpięła mu koszulkę i obsypywała pocałunkami pierś i szyję, aż się ocknął, kiedy zaś spostrzegła, że otwiera oczy, wreszcie pocałowała go w usta, raz, a potem już nie przestawała całować, podsuwając się wyżej, dopóki piersiami nie spoczęła na jego obnażonym torsie i nie przytrzymała go za ramiona, gdy zupełnie rozbudzony spróbował usiąść.

- Maxi? Maxi? - odezwał się ze zdumieniem.

Przekreśliła się na plecy i przez płataninę włosów popatrzyła prosto w jego zdziwione oczy. Wybuchnęła swoim głośnym, niskim, swobodnym, radosnym śmiechem, którego nigdy dotąd nie słyszał.

- Mam nadzieję, że nie spodziewałeś się kogoś innego - odparła, gdy pochylił się nad nią i skwapliwie przygarniał ją do siebie.

12.

- Jak zwykliśmy mawiać w RAF-ie - zauważyła w zadumie India West - leżysz, Maxi.

- Co to właściwie znaczy? - spytała zaniepokojona Maxi. India West nigdy, przenigdy się nie myliła. Miała zaledwie piętnaście lat, była od Maxi o dwa lata młodsza, ale odkąd poznały się w szkole, gdy jak zwykle próbowały się urwać z gimnastyki, zostały najlepszymi przyjaciółkami. Doceniały siebie nawzajem od pierwszej chwili, a między innymi i to, że obie lubiły upiększać prawdę. Czasami uchodziły za kłamczuchy, jak to kiedyś Maxi wytłumaczyła Indii, choć tylko wprowadzały do życia poprawki, aby uczynić je ciekawszym dla wszystkich, więc jakby oddawały ludziom przysługę.

- Rozbiłaś samolot - z roztargnieniem odparła India, przeglądając się w lustrze. - Staję się chyba dość... no, dość piękna. Jak myślisz?

- Wiesz, że jesteś piękna. Kiedy nie byłaś bosko piękna? Nie zmieniaj tematu. Rozmawialiśmy o mnie.

India wróciła właśnie z Saratogi, gdzie spędzała z rodziną wakacje. Lily Amberville, chłopcy i służba mieli przyjechać z Southampton pod koniec sierpnia. Maxi miała wreszcie komu się zwierzyć. Rocco jest zadurzony, zafascynowany, szaleje z miłości, leży u jej stóp. Spędzili razem całe lato, w pracy i po pracy, od tego pierwszego lipcowego wieczora. Jest w niej zakochany, naprawdę, na serio. Tak powiedział, a Rocco, w przeciwieństwie do Maxi, nigdy nie mija się z prawdą. W swym uniesieniu Maxi nie potrafiła zrozumieć, dlaczego India, zazwyczaj tak beztroska, widzi problemy w jej nieskazitelnej miłości.

- Siedemnaście to nie dziewiętnaście. Amberville to nie Adams - powiedziała India.

- Jutro są moje urodziny. Kończę osiemnaście lat, a jestem dokładnie tą samą osobą, w której się zakochał - zaprotestował a Maxi.

- Właściwie nie.

- Twoim zdaniem przestanie mnie kochać, jak się dowie? India! To śmieszne.

- Nie, mam na myśli co innego, a ty doskonale wiesz co. Tylko dlatego, że chodzimy do szkoły, co się grzecznie nazywa "alternatywną formą wykształcenia", nie musimy być idiotkami - surowo stwierdziła India.

- Więc zgoda. Mój ojciec jest bogaty.

- Ha!

- Jest jednym z najbogatszych ludzi w Ameryce, proszę bardzo. A jednak nie uczę się w Vassar, tylko wciąż w szkole średniej. Czy z powodu marnych dwóch lat i ojca z górą pieniędzy mam być trędowata?

- Okłamałaś go.

- Okłamuję każdego.

- Ja również... ale według ciebie Rocco zawsze mówi prawdę. To oznacza, że przestanie ci ufać. Jak może szanujący się, ciężko pracujący młody człowiek z miłej konserwatywnej włoskiej rodziny, z silnie wyrobionym poczuciem własnej wartości, w dalszym ciągu romansować z nieletnią panną Amberville, córką swojego szefa? Jak on w tej sytuacji wygląda? Masz rzekomo być jego "praktykantką". Jak to wpływa na jego karierę?

Najwyraźniej temu człowiekowi szalenie zależy na wykonywanej pracy. Czy będzie mógł ci jeszcze kiedyś zaufać? Nabiłaś go w butelkę, biednego frajera, a gdyby to się zaczęło rok temu, groziłaby mu ciupa. Bóg raczy wiedzieć, jakie będą następstwa, kiedy dowiedzą się papa i mama Amberville.

India posługiwała się głosem jak najlepszy dzwonnik, wydzwaniała zmiany tonu tak, że nikt, niezależnie od wieku, nie mógł obojętnie jej słuchać.

Nawet Maxi poczuła się pokonana, choć przywykła do zjawiska zwanego Indią.

- Wolałabym, żebyś tak do mnie nie mówiła. - Maxi chwytła palcami pasemko siwych włosów i szarpnęła, aż zabolalo. Mimo całej swej zuchowalosci pojmowała, że zapędziła się w ślepą uliczkę, tym razem naprawdę bez wyjścia.

- India, jesteś mi potrzebna - podjęła nerwowo. - Mam straszny kłopot.

Moja rodzina wraca za tydzień i skończy się wolność. Rocco wie ode mnie, że oni nadal są w Europie. Jeśli mu powiem, że wrócili, zechce ich poznać... w takich sprawach jest staroświecki.

- Ach, tak - odparła niewzruszona India.

- Szkoła zaczyna się dopiero za trzy tygodnie - ciągnęła Maxi. - Mogę mu powiedzieć, że wracają dopiero wtedy, jeśli mnie będziesz kryła. Im będę mówiła, że jestem z tobą, kiedy będę z nim, a w te wieczory, kiedy po prostu będę musiała się pokazać przy obiedzie, jemu powiem, że jestem z tobą. Tak będzie mądrze?

- Jeśli jest taki staroświecki, czy nie będzie oczekiwać, że go przedstawiś swojej najlepszej przyjaciółce?

- Powiem mu, że... że masz fobię. Boisz się wychodzić z domu. Agorafobię, to rzecz znana.

- Dlaczego nie miałby przyjść do mnie? Mówiłaś, że umie okazać litość.

- Boisz się zawierać nowe znajomości. To twoja kolejna fobia. Może porozmawiać z tobą przez telefon. Uspokajająco.

- Z nim sprawa załatwiona. Ale z papą i mamą? Od kiedy stałyśmy się prawie nierozłączne?

- Powiem im, że ci pomagam w nauce, żebyś się mogła przenieść do mojej klasy.

- Ty mnie pomagasz w nauce?

- Oczywiście. Wiedzą, że jeśli chcę, to potrafię. Byłby to dobry uczynek.

A gdyby tu do mnie dzwonili, wymyśl jakiś powód mojej nieobecności. - Maxi nawet się nie spodziewała, że zdoła być kiedyś równie pomysłowa jak India.

- Co oznacza, że przez najbliższe trzy tygodnie mam wisieć przy telefonie - gderać India. - A co będzie, gdy szkoła naprawdę się zacznie? I naprawdę będą zadawać? Nie wymkniesz się z domu tak łatwo.

- Pozwól mi tylko spędzić z nim te trzy tygodnie... przez ten czas zdążę coś wykombinować.

- Zawsze pozostaje powiedzenie prawdy.

- Proszę cię, India - błagała Maxi przerażona. - Ty chyba nie rozumiesz.

To najważniejsza rzecz, jaka przydarzyła mi się w życiu. Nic podobnego już mnie nigdy nie spotka... Muszę coś z tym zrobić. Prawda... proszę cię, nie myśl nawet o tym słowie. Za późno na... wiesz na co.

- Najwyższą formą porozumienia z drugim człowiekiem jest: "Niechaj zawsze panuje między nami prawda" - zaintonowała India.

- Czemu mnie dręczysz?

- To Emerson, Ralph Waldo. Czytam go. Cóż poradzę na figle pamięci?

- Nie mogłabyś pamiętać rzeczy bardziej aktualnych?

- Powiedział również: "Zachowaj spokój; za sto lat będzie wszystko jedno."

- Pocieszasz mnie, India, naprawdę. Dlaczego muszę się przyjaźnić z przedwcześnie rozwiniętą smarkulą?

- "W jeździe na łyżwach po cienkim lodzie bezpieczeństwo zależy od prędkości."

- Znowu Emerson?

- Czy on cię nudzi?

- Nie, wprawia mnie w nerwowy nastrój. - Zielone jak jodełki oczy Maxi, rozszerzone niepokojem, zdawały się skupiać w swych zwodniczych głębiach całe światło wpadające przez okna.

- Słuchaj, Maxi, czy naprawdę bałamucenie jest takie zabawne? - zapytała India, nagle onieśmielona.

- Bałamucenie - odparła Maxi - to najlepsza zabawa.

- Cholera, bałam się, że to powiesz.

Maxi zorientowała się dopiero w początkach października. Lawirowanie pośród kłamstw opowiadanych przez nią i przez Indię coraz większej liczbie osób wymagało tyle wysiłku umysłowego, że przeoczyła coś, o co normalnie troszczą się prawie wszystkie kobiety, które kochają się tak często, jak to jest możliwe. Przynajmniej od miesiąca, może od dwóch, spodziewała się dziecka, jak delikatnie ujęła to India, gdy razem obliczały tygodnie od ostatniego okresu Maxi. Przez jakiś czas patrzyły na siebie bez słowa, z powagą, grozą i przerażeniem. Po raz pierwszy, odkąd zawarły znajomość, nie próbowały przerywać sobie nawzajem. Nagle coś jakby uśmiezek,

co zawsze nadawało kształt dolnej wardze Maxi, przeobraziło się w szeroki uśmiech, a jej delikatna, psotna, dowcipna twarzyczka rozbłysła zachwytem.

- Zabawa - westchnęła - co za boska, fajna, fantastyczna zabawa.

Niewiarygodna zabawa. Och, co za zabawa! - Podskoczyła, podniosła do góry Indie, już o cal od siebie wyższą, i rozradowana wirowała z nią po pokoju.

- Zabawa? - pisnęła India z oburzeniem. - Postaw mnie na ziemi, ty cholerna idiotko. Zabawa?

- Niemowlę. Kochane maleństwo. Mały chłopczyk zupełnie taki jak Rocco.

Bambino całe różowe i białe, pyzate, z czarnymi loczkami. Och, nie mogę się już doczekać! Nauczę się robić na drutach, będę chodzić na lekcje naturalnego porodu, chciałabym, żeby mógł się urodzić jutro... A nie mówiłam, że coś się stanie i wszystko będzie dobrze? W dodatku taka zabawa... Ależ jestem szczęśliwa!

- Boże, zmiłuj się. - India opadła na krzesło pełna niedowierzania.

- I to wszystko? Co ci jest? - zapytała Maxi. - Myślałam, że umiesz się bawić.

- Może ja inaczej zapatruję się na zabawę - słabym głosem odrzekła India.

- "I, panienko Scarlett, nic nie wiem o rodzeniu dzieci."

- To moja wina - stwierdziła Nina Stern. - Ja uważałam, że powinna pójść do pracy.

- To moja wina - upierał się Zachary. - Ja wyraziłem zgodę.

- To moja wina - sprzeciwił się Pavka. - Ja umieściłem ją w pracowni graficznej. A zdaniem Lindy Lafferty wina leży wyłącznie po jej stronie.

- Prawdę rzekłszy - zauważyła Nina - winna jest twoja sekretarka, Pavka, ta, co cię wielbi. To ona wybrała "Savoir Vivre".

- Posłuchajcie, wy dwoje, wina leży wyłącznie po stronie Maxi. Bogu wiadomo, że nie sposób winić Rocca... biedak nie miał żadnej szansy, skoro Maxi powzięła decyzję - rzekł Zachary.

- Co sądzi Lily? - zapytał go Pavka.

- Przygotowania do ślubu nie pozostawiają jej czasu na myślenie. Jej zdaniem osiemnaście lat to dobry wiek do zamążpójścia, jeśli nie chce się robić w życiu nic innego. Była niewiele starsza, kiedy wyszła za mnie. Ale upiera się przy ślubie w stylu angielskim, ze wszystkimi rzeczami nieistotnymi, jak druhny, dziewczynki sypiące płatki róż, paziowie w aksamitnych spodenkach, dom przewrócony do góry nogami na przyjęcie. Jedyna trudność to czas... powinni się pobrać jak najszybciej. Już byłoby po ślubie, gdyby nie plany Lily. Ale Maxi to obojętne... za dobrze się "bawi", aby się martwić terminem urodzenia dziecka. Zaczynam miewać wizje, w których w rytmie fokstrota idzie przez kościół z niemowlęciem zamiast bukietu.

- A Rocco? - ciekawie zagadnął Pavka.

- Co on? Zdaniem Lindy Lafferty oboje jesteście bardzo zadowoleni z jego pracy - lekko

defensywnym tonem odparł Zachary.

- Nie chodzi mi o pracę... tylko o rodzinę.

- Rodzicom podoba się wszystko, co on zrobi - odrzekł Zachary. - Wreszcie ściągnęliśmy wszystkich na obiad i jak na pierwsze spotkanie przyszłych teściów, było całkiem przyjemnie. Joe Cipriani służył w lotnictwie w Korei, więc opowiadaliśmy historie wojenne, Anna zaś, matka Rocca i Lily omawiały wzory sreber i porcelany oraz stroje na ślub, podczas gdy Maxi siedziała z taką miną, jakby dokonała cudu i zdobyła Nagrodę Nobla w dziedzinie reprodukcji, a Rocco nie miał nic do powiedzenia. Wyglądał na człowieka, który dostał pałką po głowie albo wpadł pod pociąg czy też jedno i drugie.

- Więc dlaczego - zdziwiła się Nina - my troje siedzimy tu i zamartwiamy się czymś, co pozostali uważają za znakomite?

- Bo wszyscy znamy Maxi - ponuro skonstatował Zachary.

Angelika Amberville Cipriani przyszła na świat w kwietniu 1973 roku, w sześć miesięcy i parę dni po ślubie Maxi i Rocca, w terminie absolutnie przyzwoitym dla każdej sfery, odkąd zaczęto liczyć na palcach. Po weselu Rocco otrząsnął się z katatonicznego osłupienia, a Maxi rada zrezygnowała z nauki w ostatniej klasie, aby przygotować poddasze Rocca na przyjęcie dziecka.

Zarówno Lily, jak Zachary próbowali ich namówić, aby po urodzeniu dziecka przenieśli się do wygodnego mieszkania, gdzie Maxi mogłaby mieć niańkę do pomocy, kogoś do gotowania i jeszcze kogoś do sprzątania. Oczywiście rodzice kupiliby i urządzili mieszkanie i opłacaliby służbę, ale Rocco zdecydowanie odmówił przyjęcia czegokolwiek prócz tradycyjnego prezentu ślubnego w postaci sreber stołowych. Zarabiał trzydzieści pięć tysięcy dolarów rocznie i miał silnie zakorzeniony nawyk całkowitej niezależności finansowej. Rodzice nie dawali na jego utrzymanie, odkąd zdobył pierwsze stypendium do szkoły sztuk plastycznych, i teraz też się nie martwi, że nie zdoła zarobić na żonę i dziecko. Maxi miała już osiemnaście lat, a w świecie, w którym dorastał, wiele jej rówieśnic potrafiło wychowywać dzieci i prowadzić skromne gospodarstwa.

Maxi podchodziła do przyszłości z radosną energią. Uczyła się gotować w trzech różnych szkołach, aby Rocco miał do wyboru jedzenie francuskie, włoskie i chińskie; na dwóch różnych kursach przygotowywała się do porodu, w razie gdyby nagle postanowiła go odbyć inaczej; kupowała u Saksa i Bloomingdale'a, wypuściła się nawet do Macy'ego po wyprawkę. Rozsądnie złożyła dziesiątki pak z prezentami ślubnymi na składzie, wyjąwszy garnki i patelnie, zastawę, sztucce z nierdzewnej stali i niedrogie kieliszki.

Na szczęście poddasze Rocca było na tyle przestronne, że z pomocą dwóch stolarzy z sąsiedztwa zdołali je podzielić na trzy odrębne części: kącik dziecinny, kuchnię i spizarnię oraz pomieszczenie, w którym mieli żyć, jeść, spać, a Rocco pracować. Rocco proponował dalszy

podział tego trzeciego pokoju, aby zyskać oddzielne miejsce do pracy, ale okazało się to bezsensowne bo Maxi zamierzała dalej pomagać mu w razie potrzeby.

Spodziewała się takiej samej idealnej harmonii jak zeszłego lata i dodatkowej radości w postaci bambina błogo uspięnego w swoich niewielkich włościach.

Maxi siedziała na twardej ławce w pobliskim małym parku z dwoma mizernymi drzewkami i kołysała angielskim wózkiem, znacznym ze względu na rozmiary, jaskrawoniebieskie wykończenie, duże, eleganckie koła i frędzle przy brezentowym daszku chroniącym oczy Angeliki od słońca. Był sierpień, upalny i wilgotny, jak potrafi być sierpień na Manhattanie. Miasto spowijała olbrzymia masa czegoś dusznego, smrodliwego, szarżółtego, co mogłoby być powietrzem, ale uśmierciłoby większość Indian znad Amazonki. Maxi miała na sobie szorty, opalacz i sandały na płaskim obcasie. Chociaż włosy upięła wysoko, aby nie opadały na szyję, wilgotne od potu pasemka nie przestawały się wymykać. Na próżno się wachlowała egzemplarzem "Rolling Stone", starając się nie pnieć, nie wyć jak pies i nie żądać szczegółowego wyliczenia.

Będę myśleć o rzeczach zabawnych, mówiła sobie surowo. Rocco jest zabawny, kiedy nie pracuje nad tym podwójnym gwiazdkowym numerem. Angelika jest zabawna, kiedy się nie drze i nas nie budzi. Małżeństwo jest zabawne, kiedy Angelika śpi, a Rocco nie pracuje. Gotowanie jest zabawne, kiedy... nie, gotowania nie można właściwie nazwać zabawnym. Nie jest zabawne, kiedy później trzeba pozmywać. Wychodzi mniej więcej godzina zabawy na dwie doby.

Co najmniej godzina, która mogłaby być zabawna, gdyby nie ten upał i wilgoć. Nic w Nowym Jorku nie jest zabawne w sierpniu, pomyślała wściekła, jeśli ta pieprzona klimatyzacja nie działa.

Ich dwa kiepskie klimatyzatory okienne rozleciały się ze starości, kiedy przed trzema tygodniami nadeszła fala upałów, a dostanie nowych w środku najgorętszego od bardzo dawna lata okazało się niemożliwe. Dzień po dniu Maxi spodziewała się, że zgodnie z obietnicą zostaną dostarczone, i dzień po dniu spotykał ją zawód.

Co rano Zachary błagał przez telefon, aby pojechała z małą do Southampton, co wieczór Rocco oświadczał, że to szaleństwo zostawać w mieście, że doskonale da sobie radę w ciągu tygodnia, a weekendy będzie spędzać z nimi, ale uparła się jak nigdy, a przez całe życie lubiła stawiać na swoim.

Pierwsze lato, myślała, to czas próby, egzamin, który zgodnie z powszechnym oczekiwaniem powinna oblać. Ona jednak wytrwa w mieście; nie ucieknie do rodziców jak dziecko i nie porzuci zaharowanego męża, nie pozostawi go bez żony, dziecka i czulej opieki. Nie chce mieć męża weekendowego, który nie będzie widział, jak dziecko rośnie przez tych parę cennych miesięcy. Podać tyły i uciec tam, gdzie wieją chłodne wietrzyki, nad ocean, do służby, która

przynosi szklanki zimnego, świeżo wyciśniętego soku owocowego... Nie! Wilgotnym plikiem ligninowych chusteczek starła z szyi strużki potu.

Dlaczego wciąż myśli o czymś białym? Biała pościel, biały piach, kłębki białych chmur na błękitnym niebie nad błękitnym morzem, dziewiczo białe pieluszki, białe tenisówki, pokojówki w białych fartuszkach, duże białe drewniane domy, białe wiklinowe stoły nakryte sztywnymi białymi koronkowymi obrusami i biała porcelana z Limoges. Biel zdawała się czymś, czego Manhattan w tym właśnie miesiącu nie mógł zaoferować, jeśli nie liczyć brudnych, niegdyś białych papierów walających się pod nogami.

Angelika obudziła się z wrzaskiem. Maxi wyjęła ją z wózka i zaczęła zapamiętane wachlować. Mimo ustawicznego wycierania gąbką i chłodnych kąpieli dziecko miało potówkę czerwoną lub zwykłą albo jakąś inną wysypkę w połowie fałdek. To pulchne, czteromiesięczne niemowlę było ładne, jeśli załośnie nie wykrzywiało buzi, co robiło przez prawie całe lato. - Biedne maleństwo - nuciła Maxi, a łzy zbierały jej się pod powiekami. - Biedne, biedne maleństwo. Tak mi cię żal, naprawdę - załkała w szyjkę Angeliki - och, biedne, nieszczęśliwe, dzielne maleństwo, jaka z ciebie grzeczna dziewczynka, i nikt nie przypisuje ci tej zalety, nikt, nikt, nikt! - Angelika uspokoiła się, otworzyła oczy, pociągnęła Maxi za luźny kosmyk włosów i uśmiechnęła się do niej. - Och - Maxi rozryczała się na widok tego uśmiechu - ty biedne maleństwo!

Zerwała się z ławki i popychając wózek przed sobą wybiegła z parku.

Machała ręką jak szalona, a gdy zatrzymała małą taksówkę, bez chwili zastanowienia, najzwyczajniej porzuciła na rogu importowany wózek, wart pięćset dolarów, i z Angeliką w ramionach wśliznęła się do środka.

- Hotel St. Regis - rzuciła kierowcy. - Prędko, to nagły wypadek.

Wydawnictwa Amberville'a stale wynajmowały w tym hotelu apartament dla zamiejscowych klientów i w recepcji natychmiast poznano Maxi. Odprowadzono ją do pięciopokojowego apartamentu z takim cmokaniem i troskliwością, jakby była rozbitkiem wciągniętym do łodzi ratunkowej. Maxi opadła na jedno z łóżek, z dzieckiem w ramionach, i przez pewien czas liczyło się tylko chłodne powietrze. Kiedy odzyskała trochę energii, napuściła letniej wody na kąpiel, rozebrała siebie i Angelikę, odpięła włosy i wraz z niemowlęciem weszła ostrożnie do dużej wanny. Wyciągnęła się w niej, trzymając Angelikę pod pachami i pocierając nosem o jej nosek. Nucąc pławiła córkę; syrena z dzieckiem.

Wkrótce odżyła i owinąwszy siebie i niemowlę wielkimi ręcznikami przypuściła szturm do telefonu. Najpierw zamówiła u Saksa dziecięce koszulki dzienne i nocne, łóżeczko, inny wózek, pościel dla niemowlęcia i bujak. Potem zadzwoniła do Bonwita po różne szlafroki, krótkie jedwabne piżamy, bawełniane koszulki i szorty dla siebie. Następnie z kwaciarni hotelowej kazała sobie przysłać dwanaście białych wazonów z białymi kwiatami. Z drogerii poleciła przynieść

oliwkę dla niemowląt, puder, pieluszki i szampon. Później u F.A.O. Schwarz zamówiła kręcącą się zabawkę do powieszenia nad łóżeczkiem i po drugim egzemplarzu tych wypchanych zwierząt Angeliki, które sama najbardziej lubiła. Za pośrednictwem recepcji rozesłała chłopców hotelowych na wsze strony, aby natychmiast przynieśli jej sprawunki. Wreszcie poprosiła o podanie lunchu do pokoju. Tak, mogą przetrzeć marchewkę i pierś kurczęcia, zapewnili. Na koniec zadzwoniła do Rocca do pracy.

- Kochanie - oznajmiła podniecona - właśnie odkryłam najwspanialsze dla nas miejsce na lato, za ledwie o parę przecznic od twojej redakcji.

Sierpniowe fale upałów są w Nowym Jorku zjawiskiem normalnym, ale jak wiedzą wszyscy mieszkańcy miasta, potrafią być niemal równie uciążliwe we wrześniu. Jesień w Nowym Jorku to piosenka, która powinna wyraźnie mówić o październiku, tak jak piosenka Kwiecień w Paryżu powinna napomykać o konieczności zabierania parasoli, płaszczy nieprzemakalnych na ciepłej podpince i kaloszy. Maxi, Rocco i Angelika przez następne pięć tygodni znajdowali schronienie w przyjaznych ścianach hotelu St. Regis. Chociaż Rocco musiał sobie zdawać sprawę, że rachunki za jedzenie podawane do apartamentu są wyższe od jego tygodniowej pensji, starał się nie protestować. Obojętne, jak sam się czuje, rozumował, ale nie może narażać dziecka na spiekotę panującą na poddaszu. Zdążą wrócić do domu, kiedy się ochłodzi.

- Chyba dziś wieczór powinniśmy się przeprowadzić - powiedziała pod koniec września Maxi, gdy rano wychodził do pracy.

- Sądziłem, że wytrwasz tu do pierwszych śniegów. - Rocco uśmiechnął się na widok jej szczęśliwej, zarumienionej twarzy i uszczypnął ją w zuchwale zadarty nos.

- Mam dość jedzenia w pokoju - mruknęła i polizała jego pierś między dwoma guzikami koszuli, pod krawatem, co nauczyła się robić z dzieckiem na rękę.

- Spróbuję przyjść możliwie wcześniej i pomóc ci w pakowaniu.

- Nie zwracaj sobie głowy, kochanie, mam na to cały dzień, a służba hotelowa obiecała zrobić prawie wszystko... więc po prostu przyjdź po nas.

Tego wieczora, kiedy dotarł do St. Regis, Maxi z Angeliką czekała już na niego w holu.

- Wszystko gotowe - oznajmiła z triumfem. Wsiedli do taksówki, portier podał kierowcy adres i pomachał im na pożegnanie.

- Dlaczego jedzie w tę stronę? - zapytał Rocco.

- Chciałam najpierw wstąpić do rodziców - wesoło odrzekła Maxi.

- To dlaczego minął ich dom? - cierpliwie pytał Rocco, bo rozumiał, że Maxi zaplanowała jedną ze swoich ukochanych niespodzianek: na przykład nauczyła się robić tortellini, oparowała parę jego szkiców własnymi niedoświadczonymi rękami albo znalazła w sklepie ze starzyzną starą

sukienkę dla Angeliki i zademonstrowała niemowlę w kaskadach wiktoriańskiej koronki.

- Bo są z wizytą u Toby'ego - odpowiedziała niejasno.

- A Toby jest z wizytą u przyjaciela?

- Owszem. Bystry jesteś. Czy wiesz, że wyszłam za ciebie z uwagi na twoją wybitną inteligencję, nie tylko na niemożliwą, pełną zadumy urodę?

- Ja uważałem, że się z tobą żenię, bo zrobiłem ci dziecko. Przynajmniej taka panuje opinia.

- Rocca zachwycał psotny błysk w jej oczach. Uległ jej, tak jak uległby dziewczynie w najbardziej nieprawdopodobnym, szczęśliwym śnie. Czasami młoda żona tak jak dzisiaj ucieleśniała rozkoszną psotę.

- Nie przy dziecku! - szepnęła.

Taksówka zatrzymała się wreszcie przed ładnym blokiem mieszkalnym na Siedemdziesiątej Szóstej ulicy, między alejami Piątą a Madisona. Wjechali windą na czwarte piętro i szerokim korytarzem doszli do drzwi, do których zadzwoniła. Z powitalnym uśmiechem otworzyła im pokojówka.

- Nie ma nikogo? - Rocco rozejrzał się po dużym pokoju o białych ścianach i ładnych proporcjach, utrzymanym w kolorach brązu, terakoty i palonej umbry. Umeblowanie natychmiast mu się spodobało, choć nie wiedział właściwie dlaczego.

- Muszą gdzieś być - odparła Maxi i ruszyła w głąb mieszkania. - Jest tu kto? - zawołała.

- Nie sądzisz, że powinniśmy zaczekać w salonie?

- Chodź, najmilszy, muszą tu gdzieś być - odparła Maxi z holu, a Rocco ruszył za nią przez ślicznie urządzone, lecz puste pokoje: dziecinny, olbrzymią sypialnię z nakrytym antyczną kołdrą łóżkiem pod baldachimem, i lśniąca kuchnię, w której pilnie gotowała służąca. W małej jadalni o czerwonych ścianach, gdzie okrągły stół jak z francuskiej prowincji nakryto na dwie osoby, w końcu ją złapał i spróbował zatrzymać.

- Usiądź i zaczekaj. Nawet tobie nie wolno tak chodzić po cudzym domu.

Czy też ma to być jakaś niespodzianka? - wymknęła mu się, nadal z Angeliką w ramionach.

- Chwileczkę. Jest jeszcze jeden pokój. Może tam się schowali. - Otworzyła kolejne drzwi i Rocco znalazł się w jasnym pomieszczeniu z jego stołem do pracy, jego krzesłami i wszystkimi przyborami ułożonymi w idealnym porządku. Nie brakowało żadnej z dobrze znanych rzeczy.

Maxi odwróciła się do niego, zachwycona sobą.

- Nie myśl, że to się stało w ciągu nocy - rzekła z dumą.

- To...?

- Nasz dom. "Niespodzianka!" Jesteś mniej bystry, niż sądziłam - droczyła się z nim Maxi.

- Wiesz, co mówiłem: że nie przyjmę nic od twoich rodziców... Jak mogłaś, Maxi? - powiedział cicho.

- Szanuję twoją decyzję. Ale jedno nie ma z drugim nic wspólnego - odrzekła promieniejąc zadowoleniem.

- Więc skąd się to wzięło?

- To mój prezent. Prezent dla ciebie, dla mnie, dla Angeliki.

- Co przez to rozumiesz?

- Że to mój własny fundusz powierniczy. Stworzony przez tatę po moim urodzeniu. Od dnia dziewiętnastych urodzin mogę nim rozporządzać. Następny dostanę, kiedy skończę dwadzieścia jeden lat, a trzeci na dwudziestopięciolecie... Justyn i Toby oczywiście też je mają. W ten sposób za życia daje się coś dzieciom, żeby rząd nie dostał wszystkiego po śmierci - tłumaczyła Maxi, niepewna szczegółów.

- Ojciec, znając cię, dał ci dużą sumę? - W głosie Rocca zabrzmiało niedowierzenie.

- Och, skoro już fundusz powstał, nie można było nic zmienić. W przeciwnym wypadku chyba na tyle by mi nie ufał. Ale, jak widzisz, niesłusznie, prawda? To żadna dzika ekstrawagancja zważywszy...

- Zważywszy co?

- Że mam pięć milionów.

- Pięć milionów?

- Słowo daję, Rocco, wszystko razem włącznie z mieszkaniem kosztowało niespełna trzy czwarte miliona.

- Trzy czwarte miliona.

- Cóż, mieszkanie jest nieduże... w sam raz dla naszej trójki - tłumaczyła Maxi cierpliwie.

Dziś wieczór Rocco nie sprawiał wrażenia najbystrzejszego faceta. - Przeniesiemy się po urodzeniu drugiego dziecka.

- Spodziewasz się drugiego dziecka? - zapytał Rocco siląc się na obojętność. - Czy to kolejna niespodzianka na dzisiaj?

- Nie, na litość boską!

- Chodźmy.

- Dokąd?

- Z powrotem do Soho. Skoro nie chcę niczego brać od twoich rodziców, jak mogłaś sądzić, że przyjmę to... to mieszkanie... od ciebie? - mówił blady z wściekłości, dotknięty do żywego.

- Ale to nie ma związku z moimi rodzicami. To coś zupełnie innego... kupiłam i umeblowałam mieszkanie za własne pieniądze. Mam przecież prawo wydawać własne pieniądze, Rocco? Zresztą to dla nas, do wspólnego użytku.

- Nie mogę tego zrobić, Maxi. Bardzo mi przykro, ale żadną miarą nie mogę. To sprzeczne z moimi zasadami.

- Jesteś po prostu upartym, staroświeckim Włochem, typowym mężczyzną. - Sądząc po tonie traciła cierpliwość.

- Jestem sobą. Należało poznać mnie lepiej przed ślubem. Ja się nie zmieniłem.

- I ja także. - Maxi spojrzała na niego z wściekłym błyskiem w oku.

- Na tym - rzekł Rocco - polega cały kłopot. Jedno z nas musi się zmienić. - Zaciśnięła pięści. Powinien był wiedzieć. Lekceważył kolejne ostrzeżenia, głupi mięczak, nie chciał uwierzyć, że jest tak bardzo zepsuta, tak bezmyślnie rozkapryszona.

- Nie patrz tak na mnie, Rocco Cipriani! - krzyknęła Maxi.

- Do widzenia, Maxi - rzucił w obawie, że inne słowa byłyby nazbyt okrutne, okrutniejsze nawet niż to zerwanie. Od początku bał się tej chwili, usiłował jednak odsuwać od siebie niemiłe domysły na temat prawdziwego charakteru Maxi. - Przyślę po moje rzeczy.

Maxi z otwartymi ustami patrzyła w pustkę. Usłyszała ciche zamykanie drzwi frontowych. Zaczekała parę minut na dźwięk dzwonka, po czym zaniósła Angelikę do ślicznie urządzonego salonu i usiadła na jednej z dużych kanap krytych rdzawym pluszem. - On wróci, Angeliko - przemówiła do niemowlęcia.

- Musi tylko zrozumieć, że nie może tak mną rządzić. Zresztą za kogo się ma? Nikt się tak do mnie nie odzywa, nikt, słyszysz! - I rozplakała się ze strasznego żalu, bo już wiedziała, że żadne z nich się nie zmieni, żadne nie jest do tego zdolne. Jemu, temu upartemu draniowi, idiotyczna, niepotrzebna pycha nie pozwala choćby spróbować, a ona nie chce, zdecydowanie nie! Jest przecież Maxi Amberville. Więc dlaczego, u diabła, miałyby się zmieniać?

13.

Maxi nie spędziła ani jednej nocy w mieszkaniu, które urządziła z taką zgubną radością. Nazajutrz kazała odesłać stół i przybory Rocca, po czym zleciła pośrednikowi sprzedaż wszystkiego, do ostatniego miedzianego rondla, w możliwie najkrótszym terminie, za cenę, jaką zaoferuje pierwszy nabywca.

Zespół doradców prawnych firmy Amberville'a załatwił rozwód z taktownym pośpiechem i po cichu. Rocco uzyskał prawo do opieki nad Angeliką, po czym się zgodził, aby na stałe przebywała z matką, bo sam, po powrocie do Conde Nasta, mógłby najwyżej zostawiać na czas pracy dziecko z niańką, co byłoby głupie, skoro miało całkiem dobrą matkę. Możliwie często jednak zabierał Angelikę na weekendy i powiększył grono rozwiedzionych ojców w pobliskim parku, gdzie w wątpliwy sposób wyróżniał się tym, że jego dziecko było najmłodsze.

Maxi usiłowała przebrnąć przez okres rozvodu koncentrując się wściekle na wychowaniu córki. Nauczyła się wyrzeczeń; nie myślała, nie pamiętała, nie zadawała sobie pytań, nie zastanawiała się, "co by było, gdyby", konferując z sześcioma różnymi, równie cierpliwymi właścicielami sklepów spożywczych w alei Madisonsa w sprawie soczystości pomarańczy czy pochodzenia piersi kurczęcia. Mimo to straszny, dotkliwy ból zagnieździł się w jej wnętrzu i wibrował niczym kamerton, z wyjątkiem chwil spędzanych z Angeliką, rzadkich, bo to zdrowe niemowlę przespało większą część pierwszego roku życia. Maxi znosiła torturę w milczeniu, rozumiejąc, że nie ma wyboru. A tymczasem kąpała i karmiła Angelikę i schodziła z nią na dół, do Lily i Zachary'ego. Wróciła do domu tego wieczora, kiedy Rocco wyszedł z nowego mieszkania, bo musiała się schronić w najbezpieczniejszym miejscu.

Okres żałoby trwał przez jesień 1973 i zimę 1974 roku. Dopiero późną wiosną nadszedł wreszcie dzień, gdy dziewiętnastoletnia Maxi zrozumiała, że może się ważyć na zrobienie remanentu. Aby się do tego przygotować, spiętrzyła na łóżku górę poduszek, wsparła się o nie, a do piersi przyłożyła niczym gorczyczny plaster ciepłe, słodko pachnące ciało uśpionej Angeliki. Dziewczynka miała już ponad rok i była dość duża, by stanowić poważną osłonę dla osoby dorosłej na tyle nieszczęśliwej, że musi badać stan własnego umysłu.

W jakiej właściwie znalazła się sytuacji? - myślała Maxi. Jak powinna siebie określić? Ma córkę, jest rozwiedziona i za parę miesięcy skończy dwadzieścia lat. Przestała być podlotkiem, nigdy nie będzie debutantką, nie jest studentką ani panną z dzieckiem. Z drugiej strony nie pracuje zawodowo. Mieści się chyba w jednej tylko kategorii: interesującej, nie, powiedzmy fascynującej młodej rozwódki. Jeśli ludzie nadal używają tego słowa.

Co zatem ma robić ta młoda rozwódka z milionami stanowiącymi pierwszą ratę funduszu powierniczego? W zasadzie świat musi stać otworem przed kimś, kto ma tyle pieniędzy i czasu. Maxi może nadal mieszkać w wielkim szarym domu, bezpieczna, spokojna, otoczona opieką, i

korzystać z pełnej swobody, bo teraz jest raczej kobietą dorosłą niż uczennicą. Z bazy domu rodzicielskiego mogłaby dowolnie wyruszać i robić... co robić?

Po pierwsze mogłaby - i zapewne powinna - pójść do college'u na Manhattanie, dumiała Maxi, ale niech to diabli, najpierw należałoby skończyć szkołę. Lata błąkania się po zaułkach i bocznych drogach systemu edukacyjnego pozwalały sądzić, że zawsze do jakiejś szkoły średniej zechcą ją przyjąć, aby ukończyła ostatnią klasę. Tak więc college wchodził w rachubę. Ale czy rzeczywiście ma ochotę dźwigać brzemień dodatkowej nauki?

Czy nie jest i za późno, i zarazem za wcześnie na powrót do tych zajęć?

Skreślić college.

Oczywiście pozostają podróże. Mogłaby wziąć Angelikę, zaangażować niańkę i spędzić pół roku albo rok w Anglii, gdzie dziadkowie wprowadziliby ją w świat. Przymknęła oczy na myśl o tym, jak podbija Londyn. Kupowałaby najbardziej szalone suknie, jakie kiedykolwiek zaprojektowała Zandra Rhodes, wynajęłaby duże mieszkanie na Eaton Square, trzymałaby rollsa - nie, bentleya - nie, daimlera, taki samochód, jakim zawsze jeździ królowa, za szeroki na szosy amerykańskie, i korzystając ze stosunków dziesiętnastego baroneta i drugiego wicehrabiego Adamsfielda, rzuciłaby się w wir rozrywek towarzyskich Londynu, na których nie zależało jej matce.

Ach, gdyby to były lata sześćdziesiąte! Ale coś z nich musiało przetrwać, nawet jeśli dzisiaj nie tańczy się swinga. Tak... Londyn... Maxi uśmiechała się w cieniu perkalowego baldachimu, gdy wtem szeroko otworzyła oczy, zdziwiona i urażona, bo powróciła do rzeczywistości. Rocco, ten nieznośny, zwariowany włoski papa nie pozwoli jej zabrać Angeliki na całe sześć miesięcy. Nigdy. Więc podróż może trwać nie dłużej niż jeden, dwa tygodnie.

Skreślić podróże.

Praca? Gotowość wypełniania najskromniejszych zadań w pracowni graficznej doprowadziła ją do obecnego stanu. Może świat ludzi pracy jest nie dla niej? Zresztą musi się opiekować dzieckiem. Skreślić pracę.

Na pozór utknęła w tym miejscu, leży w domu na łóżku. A to wykluczone.

Wykluczone! Choć rodzice wyraźnie chcą ją zatrzymać, czuje, że jest w tym coś złego.

Ostrożnie dmuchnęła we włosy Angeliki i pociągnęła za ciemny loczek.

Rodzice nie wierzyli, że da sobie radę sama. Czytała to w ich oczach, choć nie napomykali o trwałości układu. Ale domyślała się, co ich niepokoi.

Chcieliby, żeby tu została do chwili pojawienia się innego, odpowiedniejszego mężczyzny i podjęcia na powrót życia rodzinnego, którego nie zamierzała ponownie próbować.

W drodze eliminacji pozostało jedno wyjście. Musi sobie znaleźć własne miejsce na Manhattanie. Wynieść się! Jeśli tego nie zrobi, znów będzie grać wygodną, swojską rolę córki,

mimo iż zdecydowanie z niej wyrosła. W Maxi na krótko zbudziła się obawa. Nigdy nie mieszkała sama. Prosto z domu ojca przeniosła się do domu męża, a stamtąd znów prosto do domu ojca.

Tym bardziej, myślała buntowniczo zaciskając wargi, trzeba coś z tym zrobić. Od jutra zacznie szukać domu. Chciała mieć dom w mieście, skoro Londyn nie wchodzi w grę, miły domek z brązowego piaskowca, gdzie mogłaby podejmować przyjaciół. Jakich przyjaciół? Od tego przekłętego dnia przed dwoma laty, kiedy weszła do pracowni graficznej "Savoir Vivre'u", pochłonięta dramatem własnego życia straciła kontakt ze wszystkimi rówieśnikami prócz Indii, która tak samolubnie zapisała się do college'u.

Ale musi przecież kogoś znać. Czyż słynna gospodyni nie powiedziała kiedyś, że aby przyciągnąć gości, wystarczy otworzyć puszkę sardynek i rozpuścić wieści? Maxi postanowiła kupić otwieracz do konserw i skrzynkę sardynek.

Jeśli się czegoś w życiu nauczyła, to tego, że każda rzecz ma następstwa.

Jeśli po drodze mogła się jeszcze czegoś nauczyć, przegapiła okazję.

Zdecydowana wydostać się spod rodzicielskiej kurateli, Maxi szybko znalazła idealny mały dom w mieście i odkryła projektantów, Ludwiga i Bizeta, którzy pomogli go zamienić w coś całkowicie niezależnego od chronologii. Nie był to dom impulsywnej dziewczyny, lecz pogodnej dziedziczki ze skłonnością do eklektycznych wnętrz, która sprytnie ogrzewała Ludwika XV akcentami weneckiej fantazji i łągodziła tę kombinację angielskim kretonem.

Po pierwszej nieśmiałej próbie introspekcji Maxi długo i często zastanawiała się nad swoją przyszłością. Kategorię młodej rozwódki odrzuciła niemal natychmiast. Tyle innych rozwiedzionych kobiet na Manhattanie tworzyło duży nie zarejestrowany klub, którego członkinią nie chciałaby zostać. Ze znacznie większym artyzmem i bardziej rygorystycznie niż przygotowywała się do pierwszego dnia pracy, teraz tworzyła nową Maxime Emmę Amberville Cipriani, łatwą do rozpoznania wdowę. Wdowieństwo - wczesne, okrutne, przypadkowe i tajemnicze wdowieństwo - było lepsze niż cokolwiek innego. Łączyło w sobie żałobną elegancję z odmiennością i aurą - poezji? - tak, poezji, jeśli się to dobrze robi, pomyślała, a usta jej zadrżały od tłumionego śmiechu.

Maxi zmierzała ku wdowieństwu przez smutne powściągnięcie uśmiechu; przez nagłe rozdygotane milczenia; przez subtelnie dostrojoną, pełną odwagi godność, w jaką się spowiła. Swą zwykłą energię skierowała do wewnątrz, tak że stało się oczywiste - choć nie zanadto czy boleśnie oczywiste - iż ma zmartwienie, o którym nie mówi i którym się nie dzieli. Stale ubierała się na czarno: w spokojną, poważną, kosztowną, nieprzyzwoicie twarzową czerń. Z biżuterii nosiła jedynie prezent ślubny od rodziców, wspaniałe podwójny sznur birmańskich pereł, od dwunastu do dziewiętnastu milimetrów średnicy, idealnie kulistych i lśniących niezrównanym blaskiem, a także

nieodzowną ozdobę wdowy, skromną, zwykłą obrączkę, którą chętnie wyrzuciłaby do śmieci. Ledwie znalazła się sama w domu, natychmiast wkładała stare dżinsy i znoszone trykotowe koszulki, ale wychodząc przywdziewała kruczą czern i nawet na wieś wybierała się w czarnych spodniach i czarnej jedwabnej bluzce. Dzięki umiejętności robienia makijażu osiągała rozkoszną bladość, odrzuciła bowiem róże i szminki, a skupiła się na poważnym przyciemnianiu miejsc wokół oczu przydymionymi szarościami. Gdybyż tak India była niedaleko i mogła docenić jej wysiłki, myślała tęsknie, wywołując te efekty artystyczne.

Maxi nie pozwalała sobie na serdeczny śmiech i z reguły nigdy nie mówiła o swojej osobie, natomiast zręcznie naprowadzała ludzi na ulubiony temat, czyli ich samych. Nauczyła się pomijać milczeniem pytania dotyczące jej prywatnego życia i odruchowo odrzucać dwa na trzy spośród licznych zaproszeń - bo sardynki doskonale zdały egzamin - aby zostać w domu z Angeliką.

Mimo silnej, ustawicznej pokusy, nigdy nie posunęła się tak daleko i nie powiedziała, że Rocco Cipriani nie żyje - że zszedł z tego świata - ale też nigdy nie napomykała o byłym mężu czy poprzednim małżeństwie.

Ponieważ na Manhattanie ludzie pamiętają szczegóły cudzego życia w zależności od tego, ile drew dorzuca się do ognia, Maxi w ciągu roku uznano za wdowę, zanim skończyła lat dwadzieścia jeden.

Nie było to wdowieństwo pozbawione rozrywek. W wielkiej dyskrekcji miała trzynastu kochanków w nie za krótkich odstępach czasu: mężczyzn bez zarzutu, wolnych, chętnych się ożenić i rozumiejących, że Maxi może wydawać swoje pieniądze, jak zechce. Ale żaden z nich nie wydał się na tyle niezbędny, aby romans trwał dłużej niż parę miesięcy. Maxi utwierdziła się w przekonaniu, że nigdy się już nie zakocha, a tę myśl, choć melancholijną, równoważyła zyskana swoboda. Maxi pochlebiała sobie, że stała się unowocześnioną bohaterką Henry'ego Jamesa, kobietą o niezbyt jasnej przeszłości, o terażniejszości spowitej dręczącą tajemnicą, a jednak opromienionej blaskiem niezależności, rodziny, majątku i - co tu ukrywać - twarzy; kobietą o przyszłości pełnej obietnic.

Pewnego wonnego sierpnia 1978 roku Maxi kierowała kroki do kasyna w Monte Carlo. Szła powoli w ciemnościach, odprężona, bo świadoma, że w księstwie na pięciu gości przypada jeden policjant i że kobieta może bezpiecznie pokazać się w całej biżuterii na najciemniejszej ulicy tego małego miasta.

Czuła przez skórę, że przy stoliku do chemin de fera czeka na nią szczęśliwe miejsce, lecz nie było jej spieszno do akcji.

Pierwszy wieczór spędzała w Monte Carlo i dosłownie pierwszy raz w życiu mogła robić absolutnie wszystko, na co jej przyjdzie ochota, sama i zdana na siebie, przez nikogo nie pytana,

przed nikim i za nic nie odpowiedzialna. Jej rodzice przebywali w Southampton. Rocco wreszcie zdołał tak ułożyć sprawy redakcyjne, że miał wolny sierpień i zabrał Angelikę do swoich rodziców na wieś pod Hartford.

Maxi nie przyjęła kilku propozycji spędzenia u kogoś wakacji albo odbycia z przyjaciółmi wspólnej podróży i po cichu zarezerwowała sobie apartament w Hotel de Paris w Monte Carlo, apartament narożny, o majestatycznych proporcjach, z przylegającym do salonu wielkim półokrągłym balkonem, z którego obserwowała zachód słońca. W dole widziała zatłoczony port; za nim, na skalistym cyplu, wznosił się pałac, dalej zaś niezwykle niebo stykało się z niezwykle morzem, a po nim dziesiątki jachtów płynęły w stronę portu. Widok z apartamentu Maxi nie wskazywał na to, że co tydzień burzy się następną z uroczych edwardiańskich willi, od tak dawna decydujących o wdzięku miasta, a na jej miejsce stawia się kolejny nowoczesny wysokościowiec; te każdą piędź ziemi Grimaldich wykorzystuje się z bezwzględnością o wiele bardziej szwajcarską niż śródziemnomorską.

Sierpień, choćby najupalniejszy, to w Monte Carlo sezon, miesiąc balów i sztucznych ogni, baletu i spotkań specyficznej często dziwacznej - zbieraniny bogatych i utytułowanych ludzi z całego świata, którzy ten raz w roku muszą być w Monaco. Sierpień to trzydziestojednodniowy okres premiowy, kiedy ci obywatele dziewięćdziesięciu dziewięciu krajów, uchylający się od płacenia podatków, którzy za radą prawników i księgowych chcą zostać stałymi mieszkańcami Monaco, mogą wynajmować drogie mieszkania i zarabiać na tym tyle, że im wystarczy na dalsze jedenaście miesięcy; sierpień to ten jeden miesiąc, kiedy cumowiska dla jachtów w porcie są na wagę złota, kiedy co roku odradza się mit Monte Carlo.

Maxi też czuła się oszałamiająco odrodzona. W przewidywaniu podróży skompletowała nową garderobę, która wypełniła siedem waliz, garderobę pozbawioną czarnych akcentów; uzbroiła się w okazałą akredytywę w miejscowym banku i właśnie tego popołudnia wymieniła tyle dolarów na franki, że o mało nie pękła wieczorowa torebka.

Wczesny okres swego wystawnego wdowieństwa ożywiała niekiedy pokerem, w którego o wysokie stawki grano co noc w nowojorskim Beekman Place, zawsze jednak marzyło jej się prawdziwe kasyno, w niczym niepodobne do Las Vegas.

Hazard, myślała, trochę przypomina sprawunki... nie można się tym zajmować we dwoje. Mówcie, co chcecie - że to kwestia wprawy, szczęścia czy nawet zwykłego wyboru cyfr - ale hazard sprowadza się do wyboru, wyboru zaś nie dokonuje się razem z kimś, kto ci zagląda przez ramię i doradza. Dobrze jej zrobi, myślała cnotliwie Maxi, jak się trochę wyszumi. Wdowieństwo nakłada tyle ograniczeń. Należy jej się rozrywka i najwyraźniej wszyscy w tłumie cisnącym się do drzwi kasyna byli w równie radosnym nastroju.

Rozczarowała się w pierwszych salach bogato zdobionego budynku. Na turystów w

dowolnych strojach, stłoczonych wokół automatów do gier, z wysoka spoglądały malowane sufity, jakby zasmucone tak niecnym procederem.

Ale po przejściu obok surowych mężczyzn, strzegących wstępu do sal prywatnych, Maxi stwierdziła, że legenda tutejszego kasyna jest wciąż żywa, tak bezwzględnie autentyczna, tak mocno osadzona w historii, jakby była czteromasztowym żaglowcem, który tu przyplłynął z przeszłości. Edwardiański przepych, zmysłowy i bezwstydnny, kapał połączanym bogactwem; rozlegny rytm walca zagłuszył szalone jazzowe tempo pierwszych pokojów, różowy blask zastąpił błyskające światła automatów do gier. Cisi, zdecydowani, dobrze ubrani ludzie przechadzali się tu i tam w atmosferze naładowanej prawie nieznośnym podnieceniem, wywołującej dreszczyk, jaki budzić może tylko przestrzeń poświęcona ryzyku, zakładom, grze, stawianiu, krótko mówiąc, hazardowi. Nikt nie był uodporniony na jego działanie, a już najmniej Maxi Amberville.

Wolniejszym niż w Nowym Jorku krokiem weszła do kasyna, z błogą równowagą i nie udawaną pewnością siebie pięknej kobiety, absolutnie swobodnej mimo braku asysty. Ubrana była w długą szyfonową suknię bez ramiączek, w kolorze zieleni o jeden odcień jaśniejszym niż oczy, przezroczystą do granic okrucieństwa. Czarnym włosom, surowo ściąganim do tyłu w Nowym Jorku, pozwoliła swobodnie opadać na ramiona. Z dwóch sznurów pereł zrobiła jeden długi, który zwisał na białe obnażone plecy, a między piersi zatknęła gałązkę małych białych storczyków. Nic w jej powierzchowności nie wskazywało na wdowieństwo ani na panieństwo... Wyglądała tak wyniośle, jak się czuła; piękna kocica wyruszająca na łowy.

Uznała, że jest za wcześnie na bakarata czy chemin de fera. Dla rozgrzewki i zyskania orientacji popróbuje ruletki. Nigdy w nią nie grała, ale to wydawało się głupie, dziecinnie łatwe, nie wymagające żadnych umiejętności.

Podeszła do kasjera i za dziesięć tysięcy dolarów kupiła sto dużych czarnych sztonów po pięćset franków każdy. Taki drobiazg nie narazi jej na duże straty, pomyślała zajmując miejsce przy najbliższym stole. Postanowiła postawić na swój wiek i poprosiła krupiera o położenie dziesięciu sztonów na czarnej dwudziestce trójce. Tarcza się zakreśliła, wreszcie przystanąła i Maxi była o tysiąc dolarów uboższa. Może następne urodziny? Czarna dwudziestka czwórka nic nie przyniosła. Mimo to, pomyślała Maxi, gdyby się udało, zgarnęłaby trzydzieści pięć tysięcy dolarów, płacono bowiem trzydzieści pięć do jednego. Gdzie szczęście początkującego gracza, do którego ma prawo? Z drugiej strony ruletka nie uchodziła za dobrą inwestycję, przypomniała sobie, zastanawiając się, na co teraz postawić.

Jej sąsiad odezwał się do krupiera:

- Dziesięć na zero. - Maxi nie potrafiła określić jego akcentu.

Przyjrzała mu się ciekawie. Siedział wsparty na łokciu, jakby tylko ta kość utrzymywała go

w pozycji pionowej, ubrany w najbardziej wytarty smoking, jaki zdarzyło jej się widzieć. Ciemne włosy mężczyzny wymagały ostrzyżenia, zapadłe policzki ogolenia, powinien też otworzyć oczy, bo powieki tak mu opadały, a czarne rzęsy miał tak długie, że chyba nic nie widział.

Przypominał stracha na wróble, znużonego, a mimo to dziwnie eleganckiego stracha na wróble, tyle czasu sterczącego w polu, że ptaki oskubały go niemal do czysta. Trochę się odsunęła. Widocznie to męt, dla którego ta szaleńcza próba jest końcowym epizodem nędznego życia w rozpuszcie.

Niewątpliwie jego szlachetny profil ma w sobie coś dekadenceckiego. A jednak tak piękne ręce, o nieskazitelnych paznokciach, należą do rzadkości.

Zawodowy szuler? Raczej nie, bo czyż szanujący się zawodowiec mógłby być tak zaniedbany, tak żałośnie obdarty?

Maxi w roztertaniu straciła dalszych siedemdziesiąt sztonów, wciąż taksując mężczyznę, który rzucał jej tylko krótkie spojrzenia. Po trzydziestce, stwierdziła, i zapewne Irlandczyk, bo kto inny miałby tak jasną cerę przy tak czarnych włosach? Niebieskie oczy stanowiły ostateczny dowód, lecz nadal pozostawały przysłonięte. Stracił swoich dziesięć czarnych sztonów i leniwie postawił równowartość kolejnego tysiąca dolarów znowu na zero. Nie zmienił wyrazu twarzy i na pozór nie interesował się swawolnym tańcem kulki, kiedy tarcza się obracała, najpierw szybko, potem coraz wolniej, aż wreszcie się zatrzymała. Maxi przegrała i tym razem, gdy zafascynowana odnotowywała, że mężczyzna jest w starych tenisówkach i rozciągniętych białych skarpetkach, a pod smokingiem ma białą trykotową koszulkę z nieodzownym krawatem, zawiązanym niedbale, jakby to był kawałek sznurka. I przypuszczalnie był to kawałek sznurka, w dodatku wystrzępionego.

Maxi uprzytomniła sobie, że zostało jej zaledwie dziesięć sztonów.

Skinęła na mężczyznę z obsługi krążącego wokół stołu i dała mu pieniądze na jeszcze pięćdziesiąt sztonów. Sąsiad podniósł wzrok na dźwięk jej głosu.

- Poproszę dziesięć dla mnie - rzekł od niechcenia, ale nie dał pieniędzy. Widocznie liczy na kredyt w kasynie, domyśliła się Maxi.

- Przykro mi, proszę pana - odparł człowiek z obsługi i nie spełnił prośby.

- Już nie?

- Niestety nie, proszę pana.

- Nie mój wieczór - skomentował sąsiad Maxi tonem całkowicie pozbawionym wyrazu.

- Nie, proszę pana - przyznał pracownik kasyna i poszedł po sztony dla Maxi.

A więc Irlandczyk, pomyślała. Klasyczny ciemny błękit jego oczu dało się zauważyć w czasie krótkiej wymiany zdań. Irlandczyk z nabrzeża, prawdopodobnie członek załogi jednego z zacumowanych w porcie jachtów, który wybrał się do kasyna w wypożyczonym smokingu i stracił

ostatniego franka, centa albo pensa, czy też co tam miał w kieszeni. Lecz w jego głosie nie było irlandzkiej śpiewności, tylko jakiś inny akcent - angielski, choć nie brytyjski, jeśli to coś znaczy, myślała w pomieszaniu.

Mężczyzna sięgnął w dół i ze skarpetek wyciągnął po pięć czarnych sztonów z miną tak absolutnie obojętną, że zdaniem Maxi musiał je oszczędzać na tę właśnie chwilę. Żal jej się zrobiło tego niedołągi. W sposób dzielny i wzruszający ukrywał skrajną rozpacz. Niewątpliwie jest u kresu. Kto wie, co go czeka, gdy straci ostatnie sztony? Pewnie gra za pożyczone pieniądze.

Albo nawet kradzione. Mimo to znów postawił wszystkie duże sztony na zero, nie zachował sobie nawet jednego, aby mieć szansę zagrania raz jeszcze.

Wstrzymała oddech, kiedy tarcza zwolniła, a kulka wreszcie się zatrzymała.

Na zerze. Maxi głośno zaklaskała z zadowolenia. Trzydzieści pięć tysięcy dolarów - to powinno go powstrzymać od strzelenia sobie w łeb. Uśmiechnęła się na znak uznania i ku swemu niezadowoleniu spostrzegła, że nawet nie uniósł powiek. Kuksnąć go? Czy nie widział?

Rozległ się szmer zainteresowania, gdy krupier przyjmował kolejne zakłady, ale sąsiad Maxi ani drgnął. W końcu krupier zapytał:

- Dalej na zero, proszę pana?

- Tak.

Zamierza przepuścić pieniądze, z przerażeniem uprzytomniła sobie Maxi.

Mało prawdopodobne, by dwa razy pod rząd wypadło zero. Jest szalony, pijany, odurzony narkotykiem czy nie ma pojęcia o grze?

Zapomniała postawić, tak usilnie powstrzymywała się od zrobienia jakiejś uwagi, a gdy krupier szczerknął: "Rien ne va plus", zrozumiała, że już za późno na rady. Z westchnieniem czekała na rzecz nieuniknioną, kiedy tarcza zawirowała, kulka zaczęła podskakiwać i podrygiwać, tarcza zwolniła i kulka się potoczyła. Na zero. Ludziom stojącym dokoła stołu dech zaparło. Strach na wróble wygrał trzydzieści pięć razy po sto siedemdziesiąt pięć tysięcy franków. Nawet ze swą kiepską znajomością tabliczki mnożenia Maxi wiedziała, że to ponad milion dolarów amerykańskich. Dobrze ponad milion.

To go powinno zmusić do otwarcia oczu, do przybrania nie tak beznadziejnej postawy, pomyślała i obróciwszy się, na sekundę napotkała jego wzrok. Czy na ustach zagościł mu uśmiech? Czy uniósł powieki? Czy się zarumienił? Nie.

Bynajmniej. Wciąż wsparty na łokciu, nie wyciągnął ręki po sztony, nie sprawiał wrażenia ani trochę mniej nieobecnego i obojętnego niż wtedy, kiedy mu odmówiono kredytu. Niewątpliwie pomylenieć.

- Zabierz te sztony - poleciła ściszym głosem.

- Dlaczego? - zapytał łagodnie.

- Bo stracisz wszystko, ty cholerny durniu. Nie sprzeczasz się. To jedyna w życiu szansa - wściekle syknęła Maxi.

- I mam grać bezpiecznie? - Wydawał się lekko rozbawiony.

Akcję przy stole wstrzymano, dopóki zwierzchnik nie pozwoli krupierowi przyjąć stawki. Urzędnik się zjawił, z niewyraźną miną popatrzył na stracha na wróble i niechętnie skinął głową krupierowi, polecając mu robić swoje.

Wokół stołu natychmiast zebrał się duży, gwarny tłum, a Maxi w podnieceniu znów zapomniała postawić. Ten człowiek jest wyraźnie stuknięty.

Niedopuszczalnie pomyłony. Teoria prawdopodobieństwa nie przestała obowiązywać ze względu na niego i nie zachodziła możliwość, aby kulka po raz trzeci zatrzymała się na zerze. Ci z kasyna wiedzieli o tym równie dobrze jak ona, bo inaczej nie pozwoliliby na dalszą grę. Ile osób rzeczywiście miało szansę rozbić bank w Monte Carlo? Krupier zajął się innymi graczami i dopiero kiedy wszyscy postavili, znów spojrzął na stracha na wróble.

- Pozostanie pan przy zerze?

- Czemu nie? - zapytał ten z nieznacznym ziewnięciem.

Oburzona Maxi patrzyła, jak krupier zaczyna puszczać w ruch tarczę. Tłum ucichł zupełnie. Krupier otworzył usta, aby wypowiedzieć słowa "Rien ne va plus", i w tym ułamku sekundy Maxi jak szalona rzuciła się na stos sztonów na zerze. Zgarnęła wszystkie ze stołu i rozsypała dokoła swego sąsiada, zanim je ostatecznie stracił.

Tłum wydał ryk zgorzonego niedowierzania. Popelniła czyn tak niewiarygodnie sprzeczny z obowiązującą tu etykietą, że wszyscy na nią zwrócili uwagę. Z oburzeniem patrzyła na widzów. Barbarzyńcy, pieniła się w duchu, czekają, aż ktoś zostanie rzucony lwom na pożarcie. Cóż, nie doczekacie się tego, wy dranie, nawet jeśli wyglądam głupio. Wpatrywała się w roztrajkotany tłum, pewna słuszności swego postępu, dopóki sobie nie uświadomiła, że strach na wróble nadal obserwuje tarczę, nie dotykając ocalonych dla niego sztonów. Oblał ją zimny pot. Przypomniała sobie coś jeszcze na temat teorii prawdopodobieństwa. Każdy obrót tarczy to początek czegoś nowego, coś, co się nigdy przedtem nie zdarzyło. O nie, błagała, nie, proszę. W martwej ciszy, jaka nagle zapadła, słychać było tylko ruch tarczy. Maxi zamknęła oczy. Otaczający ją ludzie wydali odgłos dziki, pełen niedowierzania. Zero. Znowu Maxi siedziała sztywno i czekała na śmierć.

Zasłużyła na nią. Śmierć z ręki mordercy będzie dla niej za dobra. Czyjaś dłoń wyciągnęła się i zacisnęła na jej ramieniu. Złamię je. Połamię jej wszystkie kości, jedną po drugiej. Ma prawo. Ona nie będzie się bronić.

- Nikt nie nazwie cię tanią babką - łagodnie zauważył strach na wróble, gdy wstawał unosząc ją z sobą, pozostawiając zgarnięte przez Maxi sztony do uprzątnięcia pracownikowi kasyna.

Maxi otworzyła oczy i zalała się łzami. Będzie żyć. To jeszcze większy pomylenieć, niż się jej zdawało, ale nie zbrodniarz.

- Nie lubię widoku płaczącej kobiety - stwierdził dobrotliwie.

Maxi natychmiast powstrzymała łzy. Nie śmiała zachować się inaczej. Podał jej zaskakująco czystą chusteczkę, pomógł wydmuchać nos i wytrzeć oczy.

- To tylko pieniądze - rzekł i pierwszy raz się uśmiechnął.

- Tylko pieniądze! Ponad czterdzieści milionów dolarów!

Wzruszył ramionami.

- Kiedyś musiałbym i tak je tu zostawić. Nie wyobrażasz sobie, że pozwoliliby mi grać, gdyby nie mieli tej pewności, co? Nie pracujesz przypadkiem dla kasyna? Nie, na to mi nie wygląda. Ale powinni postawić ci drinka. Chodź, siadaj, ja go zamówię. Szampana?

- Coś znacznie mocniejszego - poprosiła Maxi.

- Grzeczna dziewczyna. A więc tequila. Tequila z żubrówką. - Skinął na kelnera. - Dla mnie to co zwykle, Jean-Jacques, i to samo dla pani, podwójne.

- Pech, panie Brady - wyraził współczucie kelner.

Strach na wróble bacznie przyjrzał się Maxi.

- Niekoniecznie, Jean-Jacques, niekoniecznie. - Odwrócił się do niej. - Wypij, to odprowadzę cię do domu.

- O nie, tego nie musisz robić - zaprotestowała.

- Ale mogę. Zresztą jesteś teraz moją własnością. Tak czy inaczej wartą czterdzieści milionów dolarów.

- Och.

- Zgadzasz się? - spytał grzecznie.

- Tak. Oczywiście. To... sprawiedliwe. - I pomyślała, że mógłby ją spotkać gorszy los. O wiele, wiele gorszy. Bezwzględnie jednak trzeba będzie zrobić coś z jego ubraniem.

Dennis Brady jako pierwszy w Australii młody człowiek żyjący z zasiłków rodziny został odesłany do starego kraju. Przed stu laty jego przodek, Czarny Dan Brady, wyemigrował do Australii z Dublinu i zbił fortunę po odkryciu olbrzymiego złoża srebra w Wasted Valley, w głębi Nowej Południowej Walu. W ciągu następnych dziesięcioleci znaleziono tam ogromne ilości rudy żelaza, węgla i manganu. W roku 1972, prócz kopalń, majątek założonej przez niego spółki obejmował huty i przedsiębiorstwa naftowe, które dawały trzy procent australijskiej produkcji, a w gotówce przynosiły blisko miliard dolarów rocznie. Głównym ciężarem dla zarządu spółki był zbuntowany główny akcjonariusz i osierocony jedyny spadkobierca fortuny Bradych, Zły Dennis Brady, którego nudziło, nudziło, jakże nudziło Melbourne, nudziło, nudziło, jakże nudziło bycie

najbogatszym człowiekiem w Australii, nudziły, nudziły, jakże nudziły dyskusje o wierceniach w poszukiwaniu ropy u wybrzeży chińskich, o znajdowaniu miedzi w Chile albo wydobywaniu złota w Afryce Południowej. Dennisowi Brady'emu bynajmniej nie zależało na wydobyciu kolejnej uncji, grama czy kropelki czegokolwiek z tej planety. Strasznie natomiast lubił się zakładać. W Australii jednak hazard jest zabroniony, a najbliższe kasyno na Tasmanii naraził na takie straty, że na zawsze zakazano mu wstępu.

Nie mogą nazywać go czarną owcą, mówił na zwołanym przez siebie zebraniu zarządu, bo czarna owca nie płaci długów, ani utracjuszem, bo często wygrywał, a na dłuższą metę wychodził prawie na zero, choć wie, że dom gry zawsze będzie mieć większe szanse, z drugiej strony nikt go nie może nazwać cennym dla spółki. I to nie wymaga głosowania, panowie, bardzo dziękuję.

Próbował, Bogu wiadomo, że przez dwadzieścia dziewięć nieszczęśliwych lat próbował przynosić zaszczyt dynastii Brady'ch, ale na próżno. To takie cholernie nudne. Czy nie byłoby lepiej dla wszystkich, gdyby się wyniósł, wrócił tam, skąd pierwotnie przybyła jego rodzina, a im pozostawił prowadzenie interesu? Ci, co są za, niech powiedzą: tak, mniejsza o formalności - on pamięta, że ma dość akcji, aby mieć głos decydujący. Komu postawić pożegnalnego drinka?

- Co się stało potem? - spytała Maxi zafascynowana opowieścią.

- Powiedzieli, że jest za wcześnie na drinka, ale mój pomysł wydaje się niezły, i uścisnęli mi dłoń. Fajni faceci. Niewątpliwie nadal wiercą, wytapiają, kują i rozglądają się za nowymi spółkami do kupienia. Są pracowici jak mrówki... kierują się pobudkami, są rzeczowi, patriotyczni, dobrzy dla swoich matek, pożyteczni, ale tacy potwornie nudni.

- Wróciłeś do Irlandii?

- Nie, na Boga. Nigdy mnie nie interesowały wyścigi ani hodowla koni... jestem na nie uczulony i nie znoszę deszczu. Przyjechałem prosto tutaj, kupiłem ten śliczny jacht i od tej pory tu siedzę. Nie największy w porcie, choć nie ma się czego wstydzić, natomiast najweselszy.

- Ale co robisz, Dennis?

- Co robię? No cóż... ja po prostu... żyję, wiesz. To tu, to tam. Jeżdżę na nartach wodnych, trochę piję, dużo piję, słucham muzyki, żegluję, latam moim helikopterem... czasem nawet wypływamy na dzień, dwa. To pełne życie.

Niekiedy bywam taki zajęty, że nie zdążam do kasyna przed północą.

Ograniczyłem tam sobie kredyt... bo inaczej to mogłoby się stać nudne.

- I już nigdy się nie nudzisz?

- Powiedzmy, że nie nudzę się teraz. Nigdy jeszcze nie byłem właścicielem dziewczyny wartej czterdzieści milionów dolarów. Zastanawiam się, co najpierw powinienem z tobą zrobić.

- Może gdybyś pomyślał o mnie jak o zwykłej dziewczynie... - mruknęła Maxi usiłując dojrzeć jego twarz w mrokach na pokładzie. W czasie ich rozmowy na większości jachtów

pogaszono wszystkie światła prócz pozycyjnych i Zły Dennis Brady prawie zniknął w ciemnościach bezksiężycowej nocy.

Uświadomiła sobie, że nadspodziewanie dotkliwie odczuwa niemożność obserwowania na pół tragicznej, na pół szalonej twarzy Dennisa.

- Ale gdybyś była "zwykłą" dziewczyną, nigdy bym ci tego nie opowiedział - oświadczył.

- O czym rozmawiasz z dziewczynami, które nie są twoją własnością?

- O niewielu rzeczach - odparł smętnie.

- Jesteś nieśmiały - orzekła Maxi.

- Nie, tylko z gruntu australijski. W stosunkach z kobietami Australijczycy wolą działanie od rozmowy. Przynajmniej tak się na ogół uważa.

- Ale we własnym przekonaniu jesteś bardzo nietypowym Australijczykiem.

- Cóż, to prawda. Zła koordynacja ruchów, wiesz. Nigdy nie byłem dobry w sportach, zwłaszcza w piłce nożnej. Po śmierci rodziców opiekunowie na dość długo wysłać mnie do Anglii, więc nie mam nawet akcentu. Głupawy Australijczyk i niestety człowiek wszechstronnie nieprzystosowany. - Westchnął rzewnie w mroku i obiema rękami ujął dłoń Maxi. Ledwie jej dotknął, wiedziała, że przynajmniej w jednym sporcie Dennis Brady osiąga wyniki. Nieporadny, narwany, zdecydowany wałkoń, ale nie, bynajmniej nie nieszkodliwy. W jej systemie rozdzwoniły się sygnały ostrzegawcze.

- Och, biedny Zły Dennisie, to z pewnością smutna historia - mruknęła. - Przykro mi, ale muszę ci przypomnieć... że licznik bije.

- Licznik? Ach, oczywiście... niemal zapomniałem. Ile?

- Milion dolarów.

- Za tydzień? - zapytał z nadzieją.

- Nie, Dennis - odrzekła cierpliwie.

- Za dzień? - Spróbował nadać głosowi ton niedowierzania.

- Za godzinę... a ty już dwie przegadałeś.

- Boże wielki! Stawka wydaje mi się dość wysoka. Z drugiej strony to wolniejsze od ruletki.

Albo powinno być należycie robione. No, jeśli jesteś pewna?

- Jestem - lakonicznie odparła Maxi.

- W takim razie może... zechciałabyś zejść na dół? - Zerwał się na nogi.

- Słucham rozkazów - odpowiedziała Maxi.

- Podoba mi się ta gra - radośnie oznajmił Dennis Brady. - Choć nie można stawiać.

- Mogłabyś wyjść za kogoś takiego jak ja, Maxi? - pokornie zapytał Dennis Brady. Maxi zaskoczona obróciła się do niego. Leżał długi, chudy i nieoczekiwanie silny obok niej na łóżku w głównej kabinie jachtu. Bez tego oplakanego stroju był świetnie zbudowanym mężczyzną i całą

energię, jakiej nuda nie pozwalała mu wyładowywać na prawa do minerałów, zachował widocznie dla niej, sądząc po tym, co robił przez ostatnie półtora dnia.

- Kogoś "takiego jak ty"?... nie ma takich ludzi jak ty, Dennis, bo świat byłby inny... żadnej agresji, żadnej ambicji, tylko seks i kasyna... może tak jest w rajach. - Odczuwała rozkoszny ból w każdym mięśniu i była tak błogo wytrącona z równowagi, że z trudem mówiła, a cóż dopiero myślała.

- No, właściwie, bez owijania w bawełnę, miałem na myśli siebie, tak, siebie samego, Maxi.

- Czy mogłabym? Wyjść za ciebie?

- Z grubsza rzecz biorąc, tak.

- Która to godzina, Dennis? - wymamrotała Maxi, coś sobie przypomniawszy.

- Dziesiąta rano.

- Ile czasu spędziłam na pokładzie? - zapytała z szerokim ziewnięciem.

- Dokładnie trzydzieści cztery godziny. Och, Maxi kochana, proszę o odpowiedź.

Maxi zmusiła się do zastanowienia. To się wydawało ważne.

- Zaraz. Trzydzieści cztery godziny plus te dwie, które przegadałeś, czynią trzydzieści sześć, więc zostają ci tylko cztery... a zatem... jeśli zdołasz to załatwić przed ich upływem, nie będę miała wyboru.

- Nie traciłem nadziei, że tak do tego podejdziesz - radośnie stwierdził Dennis Brady, owinał się w pasie ręcznikiem i chwycił za słuchawkę stojącego przy łóżku telefonu.

- Kapitanie, jak szybko możemy wypłynąć na wody międzynarodowe? Co? Nic mnie nie obchodzi kapitan portu. Ilu członków załogi zeszło na ląd? No, postaraj się, człowieku, postaraj. Przy okazji, jesteś prawdziwym kapitanem, co? Wiem, wiem, oczywiście widziałem twój patent - udzielałeś kiedyś ślubu? Tylko pogrzeb na morzu? Cóż, jeśli potrafisz jedno, potrafisz i drugie. Wyciągnij Biblię, kapitanie, i wypływajmy w morze.

- Nie mam się w co ubrać - odruchowo powiedziała Maxi, krztusząc się ze śmiechu. Żona Złego Dennisa Brady. Co sobie ludzie pomyślą? Jakie to ma znaczenie? Strasznie jest słodki! Co to będzie za zabawa! Z jej strony to brak odpowiedzialności. Każdy rozumie, że dług honorowy należy spłacić, jeśli się nie chce stracić dobrej reputacji.

14.

- Biedny, kochany, poczciwy Zły Dennis - powiedziała w zadumie Maxi podczas obiadu, który jadły z Indią w Spago, ich ulubionej hollywoodzkiej restauracji. - Wciąż mi przysyła strasznie smutne kartki, a rozstałam się z nim z górą rok temu.

India nie doniosła do ust kawałka pizzy z kozim serem.

- Dlaczego mówisz jakby z odcieniem żalu? Doskonale pamiętam twoje słowa, że nie potrafisz żyć w Monte Carlo ani minuty dłużej. Pamiętam nawet, że cytowałaś Emersona. "Życie bez obowiązków jest nieprzyzwoite" - czy nie tak było?

- Owszem. I byłoby nadal. Bardzo boleję nad drugim rozwodem, ale nigdy nie zapomnę, jak budziłam się rano świadoma, że drogi chłopiec nie nudził się ani minuty przez te kilka miesięcy małżeństwa, ja zaś odchodziłam od zmysłów. Och, India, jakie nudne, nudne, nudne było życie z mężczyzną, który nic nie robi, tylko się objaja, jest absolutnie apatyczny, wesoły, nic dobrego - i nie odczuwa z tej racji najmniejszych wyrzutów sumienia! Chyba wciąż go porównywałam z moim ojcem, co oczywiście nie było uczciwe, bo Dennis mnie ostrzegł, jaki jest. Wiesz, ile mój ojciec osiąga codziennie, ile ma energii i zapału do pracy, jak zaraża tą energią i jak bardzo go podziwiam? To chyba jego wina, że nie nadaję się dla mężczyzny, który przynajmniej nie usiłuje czegoś zrobić, obojętne czego. Co więcej, przerzucanie biednej małej Angeliki i niani Grey w tę i z powrotem z Monte Carlo na Manhattan raz w miesiącu było nieznośne, ale ten drań Rocco pod żadnym pozorem nie chciał się zgodzić, aby więcej niż połowę czasu spędzała ze mną. Wynajął dużo większe mieszkanie, gdzie było pod dostatkiem miejsca dla Angeliki i dla niani, a ponieważ przysługuje mu prawo do opieki nad dzieckiem, nic nie mogłam poradzić. Zresztą mało brakowało, a dwudziestoosobowa załoga, znikowana na punkcie Angeliki, byłaby ją rozpaskudziła.

- Czy kochanie się też cię znudziło?

- Nie - westchnęła Maxi. - A szkoda. Ale całej przyszłości nie można budować na pociągu seksualnym.

- Ty nie możesz? - podejrzliwie spytała India.

- Mogę tylko do pewnego stopnia, a nie chciałam doczekać dnia, kiedy to się skończy, więc odeszłam wcześniej.

- Z pewnością nie jesteś w nim już ani trochę zakochana? - wyraziła powątpiewanie India.

- Właściwie nie byłam w nim "zakochana"... ja go po prostu kochałam... był w takiej potrzebie, taki zagubiony... pełen wigoru. Kochałam w nim Australijczyka. Gdyby nie ta jego programowa gnuśność. - Maxi westchnęła głęboko. - Zależało mi na nim, India, ale nie tak bardzo, nie aż tak bardzo. - Surowo popatrzyła na swego pieczonego łososia i pożałowała, że to też nie jest pizza.

Maxi przyleciała do Los Angeles odwiedzić Indię, która miała wolny weekend między

filmami. India została gwiazdą z tą samą irytującą łatwością, z jaką przeszła przez szkołę na samych piątkach, i w Maxi zazdrość budził przemysł filmowy, bo zgodnie z jego wymogami przyjaciółka przebywała tak daleko od Nowego Jorku albo jeździła na zdjęcia w niemożliwe miejsca. India budziła zazdrość, bo na pewno dobrze się bawi, choć narzeka, że kręcenie filmów to przykra harówka, w najlepszym razie porównywalna z pozycją uprzywilejowanego więźnia w najłżejszym więzieniu.

- Cóż, zapomnij o Dennisie Brady - poradziła India i zabrała się do olbrzymiej porcji makaronu z japońskimi grzybami i kiełbasą z kaczki.

- Zapomniałam dawno temu. To ty poruszyłaś ten temat.

- Zapytałam po prostu, czy są w twoim życiu nowi mężczyźni, a ty powiedziałas, że żaden nie umywa się do Złego Dennisa.

- India, jak to jest, że chodzisz do psychoanalityczki, a mnie udzielasz rad? - ostrym tonem zapytała Maxi.

- Mogę być znerwicowana, a mimo to służyć innym pomocą. - India poczuła się dotknięta. Ludzie nie mają pojęcia o psychoanalizie, nawet Maxi.

- Nie rozumiem, dlaczego zaczęłaś się uważać za znerwicowaną - odparła Maxi. - O ile wiem, jesteś taka sama jak dawniej... nad wiek rozwinięta, nierzetelna, o wiele za piękna i trochę dziwaczna. Ale teraz też sławna.

- Jestem do tego stopnia znerwicowana, że nie dopuszczę, aby jakiś mężczyzna stał mi się bliski, chyba że poznam faceta równie jak ja znerwicowanego - rzekła India w zadumie. - A sława jeszcze sprawę pogarsza.

- Co ta doktor Florence Florsheim zamierza z tobą zrobić?

- Zrobić? Ona nic nie ma robić... to ja muszę się zmienić. Najlepsze jest w niej to, że potwierdza.

- Chodzi ci o to, że cię podtrzymuje, że w ciebie wierzy? - podnieciła się Maxi.

- Nie, Maxi, ona potwierdza, że mam prawo parkować pod jej gabinetem - tłumaczyła India cierpliwie. - Ty mnie podtrzymujesz, ty we mnie wierzysz, bo jesteś moją przyjaciółką i nic więcej nie umiesz zrobić. Ona jest moją psychoanalityczką, nie kumpelką. Słucha, nie wydaje sądów, a mniej więcej raz na dwa tygodnie może zadać pytanie. Gwiżdże też na mój wygląd, co przynosi najcudowniejszą ulgę. Nie ma sensu zatajać przed nią prawdy, bo czyta w myślach i jeśli skłamię, stracę czas i pieniądze, skoro w końcu i tak muszę powiedzieć prawdę albo gra będzie nieuczciwa i nie uzyskam pomocy. Mogę jej powiedzieć, co zechcę, i być pewna, że jej nie zaskoczę, wszystko już bowiem słyszała. Gdybym powiedziała coś ważnego, niewątpliwie to zapamięta.

- Jesteś o tym absolutnie przekonana?

- Nie, to artykuł wiary. Trzeba wierzyć swojej psychoanalityczce, Maxi, a jeśli się zacznie

wątpić, trzeba jej o tym opowiedzieć, co potrwa kolejny rok. Najważniejsze jest chyba to, że mam w niej sprzymierzeńca. Prawdę mówiąc, płacę za to, lecz muszę mieć na co dzień wiernego sprzymierzeńca, zwłaszcza w tym mieście.

- Czy opowiedziała się po twojej stronie? Skąd wiesz, że jest twoim sprzymierzeńcem?

- Ja to czuję... i przestań żądać gwarancji, ponieważ ona ich nie wystawia. A teraz skończmy z próbami tłumaczenia rzeczy niewytłumaczalnych i porozmawiajmy o twoich planach. Co dalej zamierzasz zrobić z życiem zupełnie zmarnowanym poza tym, że wydałaś na świat Angelikę? - zyczliwie zapytała India.

- W przyszłym tygodniu jadę do Londynu. Od lat chciałam tam pobyć, a w tym roku Rocco zabiera Angelikę na cały lipiec.

- Gdzie się zatrzymasz?

- Oczywiście u dziadków. Strasznie by się obrazili, gdybym tego nie zrobiła. Choć mają już pod siedemdziesiątkę, są bardziej niż kiedykolwiek niepokojąco żwawi. Zaplanowali dla mnie różne zajęcia, w tym rozrywki i poznawanie ludzi, włącznie z kuzynami w drugim, trzecim i czwartym stopniu pokrewieństwa, zupełnie obcymi.

- Zapowiada się to... ciekawie - rzekła India.

- Chcesz powiedzieć, że strasznie.

- I to także, i to także - ochoczo zgodziła się India.

- Nie ma sensu temu przeciwdziałać - zwróciła się wicehrabina Adamsfield do męża ponurym tonem, który nie pasował do tej słabej próby filozoficznego podejścia.

- Ale ze wszystkich mężczyzn, ze wszystkich możliwych Szkotów, a Bogu wiadomo, że najbardziej na świecie ich lubię, twoja wnuczka musiała wybrać Kirkgordona! Ni mniej, ni więcej, tylko Chłopczynę Kirkgordona, i to po niespełna dwóch miesiącach znajomości! Jego rodzina straciła prawie cały majątek pod Flodden Field z górą czterysta lat temu i od tamtej pory wciąż się chyli ku upadkowi - warknął jej mąż.

- Jest również twoją wnuczką, a on to przecież Oswald Charles Walter Angus, hrabia Kirkgordon, zrujnowany czy nie.

- Oswald! Nic dziwnego, że przezywają go Chłopczyną - pinił się Evelyn Gilbert Basil Adamsfield. Miał szczęście, że po kilkunastu walkach na pięści jego imię zdrobniono w szkole na nędzne "Bertie".

- Oswald był królem Northumbrii od 635 do 642 roku. Widocznie to imię należy do tradycji rodzinnej - rzekła ze smutkiem lady Adamsfield. - Oswald panował zaledwie siedem lat, niestety, musiał być jednak bardzo świątobliwy, bo wysyłał tylu misjonarzy, żeby nawracali pogan, wiesz.

- Nie, nie wiedziałem. I nic mnie to nie obchodzi. Dlaczego Oswald nie pilnował własnego nosa? Chyba Maxi cię doksztalała? Czy ta dziewczyna tym razem stara się zostać świętą?

- Jest zakochana, Bertie. Sama ci powiedziała. Moim zdaniem paskudnie się do tego odnosisz.

- Nie zamierzam udawać, że mi się to podoba, Maxime, i koniec. Wybrałem dla niej znakomitego męża, jak ci wiadomo.

- Maxi twierdzi, że to kpiny.

- Żaden markiz nie jest kpina, zwłaszcza taki, który niebawem zostanie księciem. Jego ojciec nie pociągnie dłużej niż do końca roku. Choć może tępawy, nie jest kpina. Co więcej, jego rodzina zawsze dochowywała wiary koronie, a ci szaleni, narwani Kirkgordonowie nadal są lojalni w stosunku do Stuartów. Według nich na tronie powinien zasiadać potomek Maru Stuart.

Nic dziwnego, że są w skrajnej nędzy; cała ta idealistyczna, nieżyciowa, szalona, uparta zgraja notorycznych ekscentryków. A Chłopczyna jest najgorszy ze wszystkich.

- Według mnie Maxi właśnie to się w nim podoba. Mówi, że on ma silną świadomość swego przeznaczenia, cel życia i walki, coś, co nadaje jego czynom głębokie znaczenie, że namiętnie dąży...

- Oszczędź mi tego, moja droga Maxime. Ja też byłem na weselu i nie ulega wątpliwości, co Maxi w nim widzi.

- Musisz przyznać, że jest przepiękny - rozmarzyła się lady Adamsfield. - Jeśli chodzi o ścisłość, od bardzo, bardzo dawna nie widziałam nikogo tak przystojnego... ta szlachetna głowa, te niebieskie, bardzo niebieskie oczy, ta świeża, czerstwa cera, te rudawoblond, jak się zastanowić, prawie złote włosy, ten ogromny wzrost, te bary...

- Ten walący się zamek, te akry nieużytków...

- Te historyczne, grube na dwanaście stóp mury, ten widok, od którego dech zapiera...

- On nie ma ani szylinga, a ona mogłaby być księżną...

- Sama jest dość bogata, mój drogi, jest hrabiną, a on dosłownie ją uwielbia...

- Beznadziejna z ciebie romantyczka, Maxime - rzekł wicebrabia Adamsfield. - A zwykłem cię uważać za rozsądną kobietę.

- Cóż, liczę tylko, że tym razem się ustatkuje.

- Maxi? Ustatkuje się z Kirkgordonem? Bardzo w to wątpię, moja kochana.

Ustatkuje się, jeszcze czego!

- Co to jest, na litość boską? - zapytał cofając się Milton Bizet.

- Na co wygląda? - odparł z zadowoloną miną jego współnik, Leon Ludwig.

- Na telegram grubości książki telefonicznej. To na pewno od Maxi. Podaj go.

- Skoro wiedziałeś, Milton, czemu pytałeś, co to jest?

- Żeby wyrazić niepokój, ciekawość i gorączkowe zadowolenie. Właściwie dziwiłem się,

dlaczego nic od niej nie dostaliśmy prócz zawiadomienia o ślubie z tym absolutnie przepięknym Kirkgordonem. Nasza Maxi i jej nieprzyzwoicie męski hrabia musieli już do tej pory kupić cudowny dom w Londynie, powiedziałem sobie, i ona nie zamierza nas zdradzić i dopuścić, aby dostał się w łapy jakichś angielskich wnętrzarzy. Gdzie to jest? W Mayfair, oczywiście, ale gdzie w Mayfair? A teraz podaj mi telegram.

- To zamek - oznajmił Ludwig wręczając mu kartki.

- Zaufaj Maxi. Nauczyliśmy ją myśleć na wielką skalę.

- W Szkocji - odparł Ludwig złowieszczo.

- O nie.

- O tak. Gdzieś między Kelso a Ettrick Forest, pisze, jakbyśmy mogli wiedzieć, gdzie to jest.

Żadnego ogrzewania poza kilkoma kominkami tak dużymi, że można by w nich upiec całego barana, żadnych galerii dla minstreli, żadnych ozdób, żadnej wspaniałej boazerii, żadnej schedy rodzinnej, żadnych gobelinów, żadnych obrazów, prawie żadnych łazienek, malutkie okienka dla obrony przed najezdami rojalistów, cokolwiek to znaczy, Bóg raczy wiedzieć jak dawno temu. I całe to cholerstwo rozpada się od co najmniej tysiąca lat, a nawet w okresie świetności nie miało najmniejszych wygod... nie wspaniała rezydencja, Milton, o nie, to zakazana twierdza. Ona to nazywa Straszny Zamczyskiem. Chce, żebyśmy tam pojechali możliwie szybko, choćby jutro, i zaczęli mu nadawać przytulny charakter.

Wygląda na to, że ma potworny problem z grzybem, a wiesz, do czego grzyb może doprowadzić. Twierdzi, że ściany ozdobione są setką łbów jelenich i mnóstwem obrzydliwych wypchanych ryb, że nie ma nawet przyzwoitych sreber rodzinnych prócz jednego czy drugiego świętego kielicha. Biedna Maxi. - Ludwig zamilkł z cichym westchnieniem.

- Dlaczego "biedna Maxi", skoro pieniądze nie grają roli? - zapytał Bizet. - Pamiętam, jak musieliśmy polecieć do Monaco i zmienić wnętrza jachtu Błogosłego Dennisa... jemu było obojętne, ile wydajemy. Przepadałem za tą pracą. I dość lubiłem Dennisa, a ty? Przypominał Petera O'Toole'a w filmie Lawrence z Arabii.

- Tylko gorzej ubranego - wytknął Leon Ludwig z nostalgicznym uśmiechem.

- Czy zapomnisz kiedyś, co zrobiliśmy z drugim nowojorskim domem Maxi po tym, jak ją namówiliśmy, aby się pozbyła tego pierwszego małego z piaskowca? - podjął Bizet. - Naprawdę się na niego wykosztowała. Chyba zatrzyma nowe mieszkanie w Wieży Trumpa jako pied a terre, na wypadek gdyby ją znudziło podchodzenie jelenia czy co też tam zamierza robić w Szkocji, a ty jak uważasz?

- Jednego jestem pewien, a mianowicie, że pieniądze nie stanowią problemu. Nigdy nim nie były dla Maxi. To my... będziemy musieli spędzić wiele miesięcy w Szkocji. Z czym kojarzy ci się Szkocja, Milton? Poza podchodzeniem jeleni?

- Z kaszmirowymi swetrami, pledami, whisky, ach... swetrami z szetlandzkiej wełny, szkocką krata, drambuie, ach... z potrawą z baranich podrobów, kobzami, pstrągami... spódniczkami! Leon, czy to zgaduj-zgadula?

- Z deszczem, zimnem, mgłą, wiatrem, niewygodą, odludnymi wrzosowiskami, psem Baskerville'ów... jeśli w Straszonym Zamczysku nie ma centralnego ogrzewania i przyzwoitych łazienek, kto w sąsiedztwie będzie je miał?

- Leon, zabrakło ci wyobraźni. Zbyt łatwo wpadasz w panikę. Musi gdzieś być hotel, a jeśli nie, rozbijemy po prostu obóz u Clardige'a i będziemy wyskakiwać do Szkocji w razie absolutnej potrzeby. Chciałbym jednak bardzo, żeby u Claridge'a mieli lepsze oświetlenie w łazienkach. Żle tam widzę i nigdy nie mogę się porządnie ogolić, ale gdzie jeszcze moglibyśmy się zatrzymać?

- Nigdzie - westchnął Leon Ludwig. - Gdybyśmy to zrobili, ludzie mogliby pomyśleć, że odwiedzamy slumsy, a to niestety wyszło już w Londynie z mody.

- Każę mojej sekretarce natychmiast zarezerwować miejsca na samolot. Maxi sprawia wrażenie zdesperowanej. Twierdzi, że do przyszłego tygodnia musi mieć założone centralne ogrzewanie, z jakiegoś powodu nie potrafi chyba przekonać o tym miejscowego przedsiębiorcy budowlanego. To kryzys, Leon.

Jesteśmy jej potrzebni.

- Kiedy nie byliśmy Maxi potrzebni, Milton? Jesteśmy jej nieodzowni.

- Cóż, spodziewam się tylko, że tym razem się ustatkowała.

- Kto, Maxi?! Doprawdy, Milton, masz źle w głowie. Ustatkowała się, też coś!

Angelika jadła hamburgera bardziej zadumana, myślał Rocco, niż siedmioletniej dziewczynce przystało.

- Czy coś jest nie tak, złotko? - zapytał.

- Och nie, tato, zastanawiałam się tylko, czy polubiłam Chłopczynę tak jak Dennisa, nic więcej.

- Och.

- Dennis był taki zabawny, ale Chłopczyna umie grać na strunowej gitarze i śpiewać dawne pieśni; Dennis nauczył mnie pływać, ale Chłopczyna kupi mi szetlandzkiego kucyka i nauczy mnie jeździć konno; Dennis miał wielką, wspaniałą łódź, ale Chłopczyna ma ogromny zamek; Dennis nauczył mnie gry w rybkę i zawsze pozwalał się ogrywać, ale Chłopczyna dał mi małą czerwoną wędkę i kiedy się zacznie sezon na pstragi, pokaże mi jak...

- Wygląda na to, że obaj są po prostu wspaniali, że to absolutnie cudowni faceci - przerwał Rocco. - Jeszcze hamburgera, Angeliko?

- O tak, bardzo proszę, tato. Tego jednego nie umieją robić w Monte Carlo ani w Szkocji.

Brak mi hamburgerów.

- Rzeczywiście.

- Tak, i brak mi kanapek z tuńczykiem i indyka w żurawinowym sosie - powiedziała Angelika ze smutkiem.

- Czy tylko tego ci brak, Angeliko?

- No, chyba jeszcze trochę mi brak Dennisa. Nie zdążyłam na tyle poznać Chłopczyny, żeby już nie tęsknić za Dennisem, chociaż Chłopczyna jest taki okropnie wysoki i taki okropnie przystojny.

- Rozumiem.

- To nic nie szkodzi, tato - zapewniła go Angelika z powagą. - Może ludziom zawsze brak tych, których lubią, choć poznają nowe osoby, które im się podobają.

- Może.

- Poproszę o keczup, tato. Pamiętasz, jak mama była żoną Dennisa?

Pamiętasz, jak co miesiąc musiałyśmy z nianią latać helikopterem z Monte Carlo do Nicei, potem małym odrzutowcem z Nicei do Paryża, później Concorde z Paryża do Nowego Jorku, do ciebie? Ale wtedy byłam mała i nie musiałam się uczyć. Teraz chodzę do drugiej klasy i nie mogę co miesiąc zmieniać szkoły.

- Wiem, skarbie.

- Więc jak zacznę chodzić do szkoły w Szkocji, będę mogła cię odwiedzić dopiero w czasie wakacji na tyle długich, żebym mogła wrócić do Nowego Jorku - tłumaczyła Angelika z z troskaniem.

- Rozumiem, dziecino. Długo dyskutowaliśmy na ten temat z twoją matką i musiałem się zgodzić, że nie mogę ci przerywać nauki.

- Ale ja się o ciebie martwię, tato.

- Dlaczego, Angeliko?

- Bo będziesz do mnie tęsknić.

- Bardzo, niech to kule biją! Cholernie. Ale ty będziesz miała swoją matkę i tego, jak mu tam, Chłopczynę, i kucyka, i zamek i przypuszczalnie dziesiątki ładnych plisowanych spódniczek w kratkę do szkoły, więc do mnie nie zatęsknisz, kochanie.

- Tęsknię do ciebie przez cały czas, jak nie jesteśmy razem, tato - odparła z wyrzutem.

- Bardziej niż do Dennisa?

- Nie bądź głupi! To całkiem coś innego. Lubiłam Dennisa. Ciebie kocham.

- Tylko tak zażartowałam.

- No, nie uważam tego za zabawne. Bynajmniej! Odwołaj to zaraz - surowo poleciła Angelika.

- Odwołuję - wymamrotał Rocco.

- Okej. Mogę poprosić o lody z czekoladową krówką?

- Oczywiście. Możesz poprosić o wszystko, co zechcesz.

- No, mam nadzieję, że mama tym razem się ustakuje i zostanie z Chłopczyną. Nie chcę, żeby i jego było mi brak.

- Ustakuje się? Twoja matka? Ha!

- Co znaczy to "ha", tato?

- Odkaszlnąłem, Angeliko, zwyczajnie odkaszlnąłem.

- Posłuchaj, Zachary, co pisze moja matka - powiedziała Lily z niepokojem i odłożyła grzankę posmarowaną masłem.

- O co się martwi? - Zachary cierpliwie jadł jajko.

- O Maxi.

- Wiem, że o Maxi. Twoja matka jest widocznie zbyt rozsądna, aby się denerwować drobiazgami. Co Maxi zrobiła teraz? Zakładam, że ludzi przestał szokować kryty basen w lochach i łazienka przy każdej sypialni, choć zamek jest zabytkiem historycznym.

- To nie żadne głupstwo. Matka pisze, że Maxi wzięto na języki w Londynie, o co nie jest łatwo, kiedy się mieszka na pograniczu. Podobno wydaje parotygodniowe przyjęcia.

- Czemu nie, u diabła? - Zachary przestał jeść, aby pójść córce na odsiecz. - Zmodernizowanie i urządzenie starego baraku zajęło jej co najmniej rok i niewątpliwie kosztowało miliony. Oczywiście chce to sobie zamortyzować, a najlepiej jest otoczyć się przyjaciółmi.

- Pewnie masz rację, Zachary, ale te jej przyjęcia nabrały chyba rozgłosu. Podobno hoduje duże ilości marihuany w cieplarni i wciąż napelnia Kielich Kirkgordonów, w piętnastym wieku ofiarowany rodzinie przez arcybiskupa Glasgow, robionymi w domu, Boże wielki, matka pisze "skrętami" - nie myślałam że zna to słowo - codziennie, nawet w niedzielę, gra wysoko w pokera, w sali z trofeami nieboszczyka hrabiego... na litość boską, kochanie, odłóż ten nożyk do masła... i rozpala ogromne ogniska na szczycie zamkowej wieży dla uczczenia dnia św. Patryka, dnia Kolumba, dnia Kościuszki i wszystkich innych świąt amerykańskich, czego miejscowa straż pożarna nie może jej zabronić. Nadal z uporem jeździ swoim ferrari po złej stronie drogi i co najgorsze, Zachary, zaproszona przez sąsiadów, księstwo Buccleuch z Bowhill House, powiedziała, że nie dałaby głowy, czy ich Leonardo to oryginał! Stwierdzenie niewybaczone, Zachary, i oczywiście nieprawdziwe, o czym musiała wiedzieć. - Lily w rozdrażnieniu cisnęła listem.

- Ona jest nieszczęśliwa, Lily. Wszystko to wskazuje, że w małżeństwie jej się nie układa, czemu się nie dziwię. Zawsze uważałem tego bydlaka Kirkgordona za zbyt urodziwego, nie ufam takim mężczyznom, a teraz ją unieszczęśliwił. Maxi bywa niekiedy dość rozpieszczona, przyznaję, ale nigdy nie dążyła do samozagłady. - Zachary w roztargnieniu zdjął okulary i kiwał głową

stroskany. - Jedno w tym liście naprawdę mnie martwi, a mianowicie to, że jeździ złą stroną drogi. Zadzwoń do niej i wybadam, co i jak. Miałem nadzieję, prawdziwą nadzieję, że może tym razem Maxi wreszcie się ustatkuje.

- Wiem, że jesteś zwariowanym ojcem, ale twoje pobożne życzenia muszą mieć jakieś granice. "Ustatkuje się"? Twoja córka? Maxi? Doprawdy, Zachary!

- Co właściwie nie udało się tym razem, Maxi? - pytała z zapartym tchem India. - Opowiedz mi wszystko po kolei.

- Gdybyś mnie mogła kiedyś odwiedzić, nie musiałabyś zadawać pytań. Ale ty byłaś taka zajęta, że nie mogłaś wpaść nawet na weekend - odparła Maxi oskarżycielskim tonem. - Więc oto tu jestem, z powrotem na wybrzeżu, tylko po to, aby cię zobaczyć.

- To fałszywy zarzut. Nie miałam czasu na odsypianie podróży w obie strony, o czym wiesz doskonale. Nie mieszkasz w San Francisco. Dalej, nie zwlekaj.

- Zasadniczo to był dreich.

- Jasne, że tak - przyznała India uspokajająco. - Jaki on jest, ten dreich?

- To szkockie słowo, India, i oznacza bardzo, bardzo dużo wilgoci, bardzo, bardzo dużo ciemności, bardzo, bardzo nikłe światło i bardzo, bardzo niską temperaturę. Pogoda, India, była cholernie dreich. - Wyciągnęła rękę i poczęstowała się pizzą z talerza Indii. Była teraz na tyle chuda, że mogła zaryzykować wszystko, a pizza w Spago miała smak przepyszny.

- Więc rozwiódłaś się po raz trzeci z powodu pogody? Ciekawe. O tym jeszcze nie słyszałam. Oczywiście, kiedy człowiek obejrzy dość filmów Bergmana, zaczyna rozumieć, że posepna pogoda wywołuje chorobliwe nastroje i melancholię, ale w niespełna dwa lata? Maxi, zostaw mój talerz. Nie chciałabyś zamówić pizzy dla siebie? A co z tymi zainstalowanymi przez ciebie tonami rur centralnego ogrzewania?

- India, a co z wielkodusznością nakazującą się dzielić? Ja ci dałam połowę mojego makaronu, prawda? Gdybym ci tak powiedziała, że przypuszczalnie mam najgorszy na świecie gust, jeśli idzie o mężczyzn, więc nie powinno się mnie wypuszczać bez stróża, jak byś na to zareagowała?

- Musiałabym zaprzeczyć. Rocco należał, co dobrze pamiętam, do tych wspaniałych, Zły Dennis Brady był na swój sposób absolutnie rozkoszny, a sądząc z twoich listów, Chłopczyna Kirkgordon po prostu niebiański. Cytuję:

"Łączy w sobie najlepsze cechy króla Artura, Tarzana i Warrena Beatty." Czy jego tytuł hrabiowski niczego nie tłumaczy?

- Spróbuj obudzić się w środku nocy i powiedz sobie, że jesteś hrabiną, a zobaczysz, czy to robi różnicę - warknęła Maxi.

- Właściwie dlaczego budziłaś się w środku nocy i mówiłaś do siebie?

- Dobrze, India, już dobrze. Poddaję się. Widzę, że pobierałaś lekcje u doktor Florence Florsheim i umiesz dotrzeć do sedna, co?

- Mniej więcej. - India mówiła głosem rozmyślnie monotonnym.

- Chłopczyna to kompletny wariat. - Maxi zamilkła.

- Naprawdę? I nic ponadto? Mężczyźni to na ogół wariaci, Maxi. To zwariowani, zupełni szaleńcy. Ale nie rozwodzisz się z nimi dlatego, uczysz się z nimi żyć. Zapewne z tego powodu nie wyszłam za mąż. Za dużo wiem z góry. Chłopczyna nie był po prostu twoim typem wariata.

- Racja, nie był. Chyba tak się przejawiała reakcja na biednego Dennisa, ale z początku rzeczywiście się na to nabrałam: ta świetna tradycja przekazywana z pokolenia na pokolenie; cel w życiu; sens bycia Szkotem; kult przodków; królewski ród Stuartów, patriotyzm, nabrałam się na to wszystko. Ale kiedy sprawy łóżkowe przestały mnie tak pochłaniać i mogłam posłuchać uważniej, czyli po roku, stwierdziłam, że mam w sobie nadspodziewanie dużo z Amerykanki. Gadanie Chłopczyny wydało mi się obsesyjne i w końcu pojęłam, że jest zdecydowanie szalony, stuknięty, że żyje w innym stuleciu. Nie chciał mieć do czynienia z prawdziwym światem, wyjąwszy jedno: chciał zdobyć Srebrną Strzałę Selkirk - chyba tylko na tym mu zależy.

- Hm?

- To najstarsze trofeum łucznicze i co siedem lat walczą o nie łucznicy ze straży przybocznej królowej. Chłopczyna co najmniej sześć godzin dziennie ćwiczył się w strzelaniu z łuku i nie mów mi, że to zwykłe hobby.

On tym żył, choć robił to dla innej królowej, nie dla Elżbiety Drugiej.

Przy lepszej pogodzie poświęcałby temu więcej czasu, ale ten dreich i w ogóle...

- Czemu wcześniej nie dałaś nogi? Nie rozumiem, dlaczego mimo wilgoci i strzelania do celu wytrwałaś tak długo?

- Zanadto wstydziłam się przyznać do kolejnej omyłki. Żadnego z moich trzech mężów nie znałam dłużej niż miesiąc czy dwa przed ślubem... biednego, słodkiego Złego Dennisa znałam zaledwie trzydzieści parę godzin, India. Czego to dowodzi? Nie musisz odpowiadać. Nie mów ani słowa, to nie było pytanie.

- Co sądziła Angelika?

- Och, ona za dobrze się bawiła, aby zauważyć, że dziedzic jest troszkę dziwaczny. Przepada za krytym basenem, strasznie lubiła miejscową szkołę i naprawdę całkiem niezłe nauczyła się obchodzić z łukiem. Chłopczyna udzielał jej lekcji, to muszę mu przyznać. Na szczęście wyrwałam ją w porę, nim zaczęła sobie wyobrazać, że piękny księżę Charlie wynurzy się z mgieł na siwym rumaku i zabierze ją ze sobą. Moim zdaniem Angelika dobrze by prosperowała pod wodą. To ja nie potrafię się przystosować.

- Jesteś tylko impulsywna - rzekła India czule.

- Sądzisz, że powinnam pójść do doktor Florence Florsheim? - spytała Maxi ze zrozpaczoną miną. - Nie można powiedzieć, że żyję w pasie szybkiego ruchu... mam wrażenie, że najeżdżają na mnie samochody.

- Tak się składa, że tej jednej rady nie mogę ci udzielić. Ludzie, którzy poddają się psychoanalizie, nie powinni na nią namawiać przyjaciół. Zresztą doktor Florsheim ciebie by nie przyjęła, bo za dużo o niej słyszałaś, ona za dużo wie o tobie, a w dodatku jesteśmy najlepszymi przyjaciółkami. To byłoby bardzo niewłaściwe.

- Rozmawiasz z nią o mnie? - Maxi była zachwycona. - O tym nie wiedziałam!

Co mówisz?

- Kiedy próbuję uniknąć rozmowy na jakiś temat, skłonna jestem dyskutować o tobie, i owszem. Ale ty nie zaliczasz się do moich problemów, więc to dla mnie kolejna strata czasu i teraz już wiem, że ilekroć o tobie wspomnę, to dlatego, że nie chcę powiedzieć czegoś naprawdę strasznego.

- Och.

- Nie staraj się zrozumieć.

- Nie będę, India, obiecuję, że nie.

- Co teraz zamierzasz robić, Maxi?

- Po pierwsze złożę na twoje ręce, India, uroczyste i wiążące zobowiązanie. Przysięgnę, biorąc ciebie na świadka, że nigdy, przenigdy nie wyjdę za innego mężczyznę. Nigdy, przenigdy, za innego mężczyznę, słyszysz, India?

- Słyszę, lecz nie wierzę. To, że nie zamierzasz ponownie wyjść za mąż, nie oznacza, że nie wyjdiesz. Za młoda jesteś na takie śluby. Przestrzegam przed ich składaniem.

- Mnie pozwól decydować, India, jeśli wyjdę za innego mężczyznę, dam... dam całostronicowe ogłoszenie, że nie odpowiadam za moje czyny, że jeśli idzie o mężczyznę, jestem nierozsądna, że robię to wbrew przekonaniu, że działałam w pośpiechu i w wolnej chwili będę tego żałować, że z góry zakładam omyłkę i że ciebie, Indię West, biorę na świadka, bo ty jedna na całym świecie wiesz, co sobie ślubowałam, co ślubowałam uroczyście: że nigdy, przenigdy nie wyjdę za innego mężczyznę.

- W jakim piśmie zamieścisz to ogłoszenie? - spytała India w przystępie wesołości.

- W "New York Times",... w "Women's Wear Daily", w "New York Post", w "London Times", w "Le Figaro"... to mniej więcej powinno objąć wszystkich moich znajomych, nie uważasz?

- I w "Weekly Variety" - podsunęła India. - Poznałaś parę osób z branży.

- Zrobione. Traktuję to ze śmiertelną powagą, India.

- Wiem. Och, Maxi, taką miałam nadzieję, że tym razem na dobre się ustakujesz.

- Ja, India? Powinnaś być mądrzejsza!

15.

Chociaż krótko w czasie weekendu i rozmowy telefonicznej z Indią pławiła się w zniechęceniu, w poniedziałek Maxi zbliżała się do redakcji "Guzików i Kokard" z dreszczykiem podniecenia. Po długiej terapeutycznej rozmowie z najlepszą przyjaciółką przekonała samą siebie, że poprzedni redaktor, Bob Fink, był po prostu za stary, aby dostrzec możliwość zrobienia czegoś z tak podupadłego pisma. Stracił w nie wiarę, jeśli ją miał kiedykolwiek, brakowało mu ducha współzawodnictwa i wyobraźni, zbił za dużo pieniędzy na nieruchomościach, aby odczuwać głód ulepszeń, wyjąwszy porę codziennego darmowego lunchu, zapewniała sobie Maxi gdy otwierała drzwi do redakcji, które postanowiła jak najszybciej pomalować.

Weszła do środka i obrzuciła spojrzeniem niemiły pokój, gdzie przyjmowano interesantów. Na ścianach wisiały oprawione okładki z czasów rozkwitu i świetności "Przybrań", pisma, na którym Zachary Amberville zbudował swoje imperium. Staromodne okładki z lat czterdziestych i pięćdziesiątych utwierdziły ją jedynie w mniemaniu, że periodyk odżyje, jeśli ona posłuży się wyobraźnią. Cienki najnowszy numer "Guzików i Kokard" który schowała do torebki i zabrała do domu, miał okładkę w zasadzie podobną do tych na ścianach. Niewątpliwie coś tak ważnego jak okładkę można i należy w ciągu czterdziestu lat całkowicie zmienić!

- Witamy w ciężkich czasach, panno Amberville.

Maxi obróciła się na pięcie. To recepcjonistka, która zaanonsowała ją w zeszłym tygodniu.

- Jeszcze tutaj? Bob Fink mówił, że nie możecie się doczekać chwili, kiedy stąd odejdziecie.

- Ja dostaję pobory w końcu tygodnia, a nie mam jeszcze tylu lat, aby przejść na emeryturę.

- Jak się nazywasz?

- Julie Jacobson.

- Mów do mnie Maxi. - I Maxi usiadła przy obdrapanym biurku. - Czy w sprawie twej garderoby mam wyłożyć karty na stół, Julie?

- Chyba tak byłoby najlepiej - ostrożnie odpowiedziała Julie.

Miały na sobie identyczne komplety: jaskrawoczerwone spódniczki mini z marszczonymi białymi bluzkami i przesadnie długie czarne męskie krawaty na szyjach. Obie były w czarnych rajstopach i czarnych czółenkach na wysokim obcasie. Wcięty wełniany płaszcz w kolorze spódnicy wisiał za biurkiem recepcjonistki. Maxi miała na sobie identyczny. Właśnie ten komplet, najnowszy, najświeższy i najweselszy z kolekcji Stephena Sprouse'a, włożyłaby na siebie nałogowa miłośniczka mody ze świetnymi nogami tego dnia, tego miesiąca i tego roku. Dwie młode kobiety, mniej więcej tego samego wzrostu, były zatem od brody w dół bardzo do siebie podobne.

- Moim zdaniem powinnyśmy unikać takich spotkań - powiedziała Maxi - albo o to się starać. - Bob Fink napomknął, że recepcjonistka jest przepłacana, lecz ten kostium z bluzką kosztował ponad tysiąc dolarów, nie licząc pantofli. Jak bardzo jest przepłacana?

Julie, choć tego wzrostu co Maxi, miała drobne piersi i wąskie biodra, więc w tych samych rzeczach zawsze musiała się wydać wyższa. Krótkie włosy farbowała na kolor nie z tej ziemi, coś pośredniego między bordo a pomarańczowym, niemal jak punk, i z całą bezwzględnością zaczesywała do tyłu, odsłaniając twarz impertynenckiej łani: duże, wyzywające oczy, obwiedzione czarną jak węgiel linią i cieniami; cienki nosek o tak wrażliwych nozdrzach, że wyglądały, jakby miały lada chwila zadrgać; delikatne wargi umalowane jaskrawym szkarłatem; brodę na tyle małą, że wywoływała wrażenie potulności leśnego zwierzęcia, a zarazem na tyle mocno zarysowaną, aby całemu światu dać do zrozumienia, iż Julie Jacobson nie pozwoli sobą komenderować.

- Ale o garderobie pomówimy później - podjęła Maxi. - Teraz rozejrzę się po moim gabinecie. Może potem pokazałabyś mi resztę?

Julie zerwała się i plecami zasłoniła drzwi do dawnego pokoju wuja Boba Finka.

- Nie wydaje mi się, abyś naprawdę chciała tam wejść - powiedziała.

- Ja nie chcę?

- To nie najlepsze na początek dnia.

- Nie mów, że się nie pozbył tych śmieci - wybełkotała Maxi. - Obiecał, niech to diabli.

- Nie, wszystko zostało wywiezione.

- Więc o co chodzi? - pogodnie spytała Maxi i weszła do środka, gdzie stanęła jak wryta.

Pokój świecił kompletną pustką, jeśli nie liczyć starego czarnego skózanego fotela, zapadniętego pośrodku. Dywan pokrywała wielocalowa warstwa na pół zbutwiałych skrawków papieru, coś dziesięć razy gorszego niż na Broadwayu po paradzie z taśmami telegraficznymi. Pajęczyny, pomyślała w oszołomieniu, najprawdziwsze pajęczyny wisiały w kątach. Czy w Nowym Jorku są pająki? Ściany, teraz nie przesłonięte przez dziewięć biurków wujka Boba z górami papierzysk, były brudne i poplamione. Latami zaciekało i długie zygzakowate pasma farby poodpadały ze ścian na inne śmiecie. Brudne okna prawie nie przepuszczały słońca, które rozjaśniłoby tę scenę, ale światło przedostające się przez brud było smętne.

- Pani Havisham z Wielkich nadziei miała przynajmniej meble do podtrzymywania pajęczyny - odezwała się Maxi odzyskawszy głos.

- Ostatnie biurko, to, przy którym pracował, zawałiło się, kiedy spróbowali je ruszyć - wyjaśniła Julie.

- Żadna szczotka, żaden odkurzacz, żaden przyrząd znany człowiekowi nie zdołałby uprzątnąć tego... nie wiem nawet, jak to nazwać - słabym głosem stwierdziła Maxi.

- Zawsze pozostaje motywacja. - Julie mówiła tak, jakby przemyślała tę sprawę.

- Motywacja? - przeraziła się Maxi. - Nie masz na myśli mnie!

- W naszym stroju? Miałam na myśli Hanka z tego budynku. Wiadomo, że silną motywacją jest dla niego, jeśli coś dostanie. Masz pięćdziesiątka?

- Gotówką... chyba nie. Przyjmie kartę kredytową?

- Ja ci pożyczę. Możesz zwrócić mi jutro.

- Niech cię Bóg błogosławi, Julie! Wynosimy się z tego ponurego miejsca.

- Ty jesteś szefem.

- Tak? Tak! No więc gdzie może usiąść szef i podyskutować o przyszłości “Guzików i Kokard” z pracownikami?

- Nie masz pracowników, Maxi.

- A ty?

- Nie ma mowy. Mogę ci pożyczać pieniądze, ale nic więcej. Jestem tu czasowo, Boże broń nie na etacie.

- Nie mogłabyś poudawać? Do końca tygodnia. Mogłabyś to zamieścić w wykazie swoich miejsc pracy, jak będziesz szukać posady.

- Nie zamierzam nawet wspomnieć “Guzików i Kokard”. Ale dla lepszego samopoczucia możesz mnie nazywać swoją konsultantką i przyjąć zaproszenie na kawę, która obie nas rozweseli. Nie szukaj czajnika, stłukł się.

- Najbliższa kawiarnia?

- Tutaj.

- Julie - przemówiła Maxi poważnie, pochylając się nad stolikiem - czy brałaś pod uwagę możliwości? Każda grupa rockowa na świecie ma bzika na punkcie przybrań, zużywają tony złotych galonów, ich mundury, wszystko, co noszą, kapie od ozdób. Wróciła moda na medale. Naramienniki nigdy nie były ważniejsze. Claude Montana. Pomyśl o jego naramiennikach! Szał na punkcie bawełnianych koszulek. Czymże jest moda punk, jeśli nie natchnionym zastosowaniem przybrań? A przyjrzyj się tegorocznym sukniom wieczorowym... muszą błyszczeć. Rzeczy Soni Rykiel - same przybrania. Przecież cały numer moglibyśmy poświęcić... bufiastym rękawom Joan Collins!

- Hmm.

- Co to oznacza?

- Jestem tu zaledwie od dwóch tygodni, bo w ostatniej chwili nie dostałam obiecane stanowiska asystentki redaktora w “Mademoiselle”, ale wiem, kto nadal prenumeruje “Guziki i Kokardy”. Głównie wasz pan Lucas, który ma kłopot ze sprzedażą pięciu tysięcy jardów pasmanterii, i wasz pan Spielberg, którego główny interes to frędzle. Nie sądzę, aby ich zafascynowały rękawy Joan Collins. Joan Collins mogłaby się ukazać nagusieńka na okładce pisma, a oni by chyba tego nie zauważyli. “Guziki i Kokardy”, jeśli już czegoś dotyczą, to paru podstawowych zagadnień przemysłu odzieżowego. O modzie Spielberg i Lucas czytają w “WWD”. Ty tego nie zmienisz.

- W takim razie musimy rozszerzyć krąg prenumeratorów, przemówić do kogoś innego niż Lucas i Spielberg.

- Nie my, Maxi, ty - sprostowała Julie. - Ty.

- Zresztą to sprawa na jutro - odsunęła ją Maxi. - Powiedz mi o sobie.

To, co chcesz.

- Mam dwadzieścia dwa lata. W zeszłym roku skończyłam Smith College.

Matka zawsze chciała, żebym na wszelki wypadek zdobyła kwalifikacje sekretarki. Od trzech pokoleń kobiety w mojej rodzinie je miały, a ja pierwsza musiałam się do nich uciec. To mi się nie podoba. Za dwa tygodnie podejmuję w "Redbook" pracę jako asystentka asystentki redaktorki działu mody.

- Pochodzisz z Nowego Jorku? - spytała ciekawie Maxi. Julie była szalenie rzeczowa, miała nie lada tupet.

- Z Cleveland, z Shaker Heights. Mój ojciec jest neurochirurgiem, a matka wykłada literaturę angielską na uniwersytecie. Specjalizuje się w Virginii Woolf i grupie z Bloomsbury. Siostra robi podwójny doktorat z francuskiego i z filozofii, żeby móc wykładać Pascala, Montaigne'a i Woltera Bóg raczy wiedzieć komu, a brat jest urbanistą, prawą ręką burmistrza Cleveland.

Tylko ja nie udałam się rodzicom.

- Czym zawiniłaś? - Maxi przyglądała jej się z otwartymi ustami. Chyba kolorem włosów. Bo pod każdym innym względem jest imponująca.

- Mam bzika na punkcie mody. Nikt w rodzinie Jacobsonów nie uważa, aby jedyne życie, jakie się posiada, należało poświęcić modzie. To rzecz błaha, źle płatna i nic nie wnosi do wiedzy ogólnej.

- To czwarty czy piąty pod względem wielkości przemysł w kraju.

- Na nich przemysł też nie robi wielkiego wrażenia.

- Brzmi to trochę tak, jakby byli... bostończykami.

- Inna gałąź rodziny od wieków mieszka w Bostonie. Przy nich Jacobsonowie z Cleveland wyglądają na producentów gier telewizyjnych.

- Ja nie skończyłam nawet szkoły średniej - wyznała Maxi.

- I dlatego zesłali cię do "Guzików i Kokard"... ma to służyć za naukę, co się dzieje z ludźmi niewykształconymi?

- To był mój własny pomysł. I wcale z niego nie rezygnuję - ponuro stwierdziła Maxi.

- Nie rozumiem dlaczego, skoro tyle jest innych wydawnictw Amberville'a, tobie miałyby zależeć na żalonych starych "Guzikach i Kokardach". Na twoim miejscu migiem znalazłabym się w "Stylu".

- Porozmawiajmy o odzieży - zaproponowała Maxi. Polubiła Julie, lecz nie zamierzała dla zaspokojenia jej ciekawości wywnętrzać się i opowiadać o swej stracie. Powody były zbyt emocjonalne, zbyt związane z miłością do ojca.

- Odzieży mediolańskiej? Odzieży Bendela? Odzieży projektantów amerykańskich? - Oczy Julie rozbłysły wyczekiwaniem.

- Ty stawiasz kawę, więc ty wybierz - łaskawie pozwoliła Maxi.

Tego popołudnia Maxi kilka godzin spędziła w dawnej pracowni graficznej, gdzie dwa gołe stoły w kształcie litery L, na których wyklejano makiety, i kilka chwiejnych krzeseł stało na brudnym, - To jest co? - Rocco z niedowierzaniem wpatrywał się w plik czerwonych kartek.

- Już słyszałeś. Chcę, żebyś coś z tym zrobił i żeby z tego powstała najpiękniejsza pieprzona makietka pod słońcem - odparła Maxi rzeczowo.

- Ja już nie robię makiet, Maxi. Chyba zdajesz sobie z tego sprawę. - Dygotał z gniewu. Tej zdemoralizowanej dziwce należy się porządne lanie. Na samą myśl o tym zabolaly go zęby. Że też się ożenił z osobą tak złą, tak podłą, tak absolutnie nikczemną. Tak samolubną, tak skoncentrowaną na sobie, tak... w dodatku ordynarną szantażystką. Jeśli Angelika jest tak sympatyczna, tak idealna, choć ma taką matkę, należy to przypisać cudownej przewadze jego własnych genów. Nic dziwnego, że nie miał ochoty ponownie się ożenić. Ona... ona wstyd przynosi własnej płci i każdego mężczyznę zdolna byłaby na całe życie zrazić do małżeństwa.

- Dlaczego, u diaska, ja? - spytał. - Mogę ci polecić dziesiątki facetów, którzy potrafią z tego zrobić makietę. To żadna sztuka.

- Ale ty ją zrobisz lepiej. - Maxi pozostała niewzruszona.

- Może trochę lepiej, cóż to jednak za różnica? Liczy się zawartość, nie wyłącznie makietka. Ludzie nie nabiorą się na ładną stronicę, oni szukają treści.

- Ta jest dobra. Nie prosiłam, żebyś się zajął treścią, tylko jej zaprezentowaniem.

- Ot, po prostu, co? Dobra? I wszystko z własnej główki? Może cię zainteresuje wiadomość, że Time, Inc. ma świetną grupę rozwojową, która opracowuje nowe pomysły? Osiemnaście osób, sama śmietanka, włącznie ze Stolleyem, twórcą "People" i Fierem "Rolling Stone", a do tego siedemnastu dziennikarzy nieetatowych i piętnastu typów z biznesu, wszyscy pracują jak szaleni, mając do dyspozycji ponad trzy miliony rocznie. Pięćdziesiąt osób pod kierunkiem Marshalla Loeba, któremu powiodło się "Money", najtęższe głowy, jakie Time mógł kupić. Już przygotowali makietę czegoś zatytułowanego "Tydzień Kobiet" i jeszcze czegoś, "Tygodnika Inwestora", oraz sporo innych z twardymi i miękkimi okładkami. Co ty na to?

- Nic. Nie wierzę w komitety. Henry Luce też w nie chyba nie wierzył. Ani mój ojciec. Masz całą noc na gadanie o sprawach zawodowych, Rocco, czy też chcesz się zabrać do mojej makiety? - zapytała Maxi równym głosem. Jej zwichrzone, umyślnie potargane włosy sterczały

nieruchomo i Rocco nie widział, jak pod nimi skóra jej cierpnie ze strachu. Co będzie, jeśli w tym truście mózgow ktoś wpadł na jej pomysł?

- Wychodzę, ale najpierw chcę porozmawiać z Angeliką o pigułce i szkodliwości zażywania jej w zbyt młodym wieku.

- Nie fatyguj się - rzekła Maxi z oburzeniem. - Nie pozwoliłabym jej tego tknąć, ty ośle. Nigdy nie umiałeś się poznać na żartach, na tym polegał twój problem. Jeden z wielu. Zresztą dziś wieczór Angelice wolno do późna oglądać telewizję i nie będzie zadowolona, jak jej przeszkodzisz.

- Maxi zgarnęła makietę i wepchnęła Roccowi w ramiona tak szybko, że odruchowo ją przyjął.

- Gówno!

- Wiem, dlatego jesteś mi potrzebny. Siadaj i czytaj.

- Daję ci trzy minuty, ty kłamczucho. I tylko dlatego, że Angelika wie o mojej obecności, a ty byś mnie obsmarowała, gdybym na to nie spojrzał. Co to, u diabła, jest "G&K"? Śmierdzi każdemu, kto otworzy pismo. To nazwa firmowa likieru wyrabianego przez mnichów, nie czasopisma - sapał Rocco zmagając się z masą wiotkich kartek.

Usiadł przy biurku Maxi, rozłożył makietę i zaczął prędko ją kartkować.

Maxi wstrzymała oddech, bacznie wypatrując jakiejś reakcji. Nie widziała Rocca od czterech lat z górą. Od siódmego roku życia Angelika była na tyle duża, że albo zabierał ją Rocco, albo podrzucała mu ją Maxi czy Elie, przy czym dorośli wcale się ze sobą nie kontaktowali. Chryste, pomyślała Maxi, ależ dziewczynę potrafi wprowadzić w błąd niesłychana uroda mężczyzny. On się właściwie nie zmienił, odkąd go poznałam, ale to bez znaczenia... dla mnie pozostaje jakby niewidoczny. Równie mało pociągający jak butelka dżinu dla członka Anonimowych Alkoholików z dwudziestoletnim abstynenckim stażem.

Ciekawe, kiedy zacznie tyć i łysieć. To nieuniknione, jest tylko kwestią czasu. Zresztą czegoś musi mu brakować, skoro widuje tyle dziewczyn, jak wynika z relacji Angeliki, a z żadną się nie związał. Stuknęło mu już przecież trzydzieści sześć lat. Wkrótce stanie się smutnym, samotnym starym kawalerem... to źle ze względu na Angelikę, bo starzy kawalerowie młodo umierają. Czemu nie reaguje? Przejrzał artykuł o Kissingerze z tymi rozkosznie snobistycznymi zdjęciami Nancy i nawet okiem nie mrugnął, łobuz.

Po prostu nie chce, bym miała satysfakcję. Cóż, nie zależy mi na jego zdaniu... "G&K" jest dla kobiet, nie dla sprzedajnych mężczyzn, którzy się zniżyli do programów reklamowych. Cieszą mnie jego sukcesy z uwagi na Angelikę, ale facet najwyraźniej nie potrafi korzystać z życia, sądząc po ściągniętej, poważnej twarzy.

Rocco przerzucił makietę do końca, zamknął stanowczo, walnął dłonią i odepchnął od siebie.

- Ile to ma kosztować?

- Rocco! A więc widzisz szansę? Och, Rocco! Nie zadałbyś tego pytania, gdyby twoim zdaniem to nie było dobre. - Maxi zaczęła podskakiwać z uczuciem niespodziewanej ulgi.

- Ma to pewną... wartość. Bogu wiadomo, nie chcę powiedzieć, że jest "wartościowe", ale że ma w sobie coś pociągającego... stanowi odbicie twoich spaczonych pojęć. Parę egzemplarzy można by sprzedać.

- Chcę brać po dolarze pięćdziesiąt.

- Bredzisz. O wiele za tanio.

- Tyle kosztuje numer "People" i ma mnóstwo nabywców.

- Maxi, doprawdy nie chcę cię o tym informować, lecz mówisz o jednym z najwyżej nakładowych pism w kraju, sprzedawanym przy kasach supermarketów, gdzie kobiety odruchowo wkładają je do wózków.

- Tam też będzie leżeć "G&K" - spokojnie odpowiedziała Maxi. - Są adresowane do tych samych czytelniczek, plus czytelniczki "Cosmo" i "Good House". Do kobiet, Rocco, do kobiet. Mnóstwo kobiet w tym kraju kupi magazyn, który je lubi takimi, jakie są, magazyn, który je zabawi, zagwarantuje przyjemne spędzenie czasu.

- Gdzie skradłaś ten pomysł? - zapytał Rocco.

- Och, sama na niego wpadłam. Pewnego dnia. Ni stąd, ni zowąd.

- Za dolca pięćdziesiąt trzeba mieć olbrzymi nakład - najmniej cztery - nie, powiedzmy pięć milionów, żeby zrobić pieniądze.. I ogłoszenia, jeszcze raz ogłoszenia. Żyjesz we śnie. Założę się, że nie masz nawet dystrybutora.

- Nie przyjąłabym zakładu - odparła Maxi z godnością. - Jestem w pełni świadoma, że to gra w kości, lubię jednak hazard. Nie interesują mnie grupy specjalne; nie jest to "Bon Appetit"... chcę trafić do masowego odbiorcy, a jeśli się nie uda, cóż, z powrotem na rysownicę.

- Przechwałki, czcze przechwałki. Czyje pieniądze będziesz tracić? Lily?

- Nie zamierzam tracić. A teraz przestańmy się kłócić. Chcę, żebyś temu pismu za dolara pięćdziesiąt nadał taki wygląd, jakby kosztowało milion.

Można tego dokonać graficznie nawet na papierze gorszym niż w "Town &

Country", nawet jeśli oprawa jest miękka, a nie luksusowa. Potraktuj to jako szansę ponownego robienia sztuczek z białą przestrzenią, robienia rzeczy, które zwykleś robić bez ingerencji General Foods i General Motors.

Swoboda, Rocco. Daję ci pełną swobodę artystyczną! Możesz znów być uczciwy.

To przysługa, Rocco, choć chyba sobie tego nie uświadamiasz. Właściwie mógłbyś okazać odrobinę wdzięczności.

- Dziwka!

- Ale nie możesz się oprzeć wyzwaniu, co?

- Z łatwością. Przyślę ci pierwszorzędnego specja. Obsługuję czterdziestu poważnych klientów. Co za megalomania podsuwa ci myśl, że mam czas bawić się makietą nowego pisma... to wielka praca.

- Nie, chcę ciebie.

- Nadal uważasz, że możesz mieć wszystko, czego zapragniesz, prawda? To zaiste niezwykle, niemal godne podziwu, gdy ktoś tak tkwi w przeszłości niczym prehistoryczne zwierzę, które wciąż oddycha, choć po uszy zanurzone jest w mule.

- Rób, jak chcesz - westchnęła Maxi. - Tylko przyślij mi kogoś naprawdę dobrego. Och, ale zanim pójdziesz, chcę ci pokazać informatory.

- Informatory? O czym?

- O szwajcarskich szkołach z internatami. Jest kilka dobrych. Już czas wysłać Angelikę do szkoły. Nie tylko ze względu na francuski i narty. W mieście ulega różnym złym wpływom. Nie muszę ci mówić, że na boiskach sprzedają marihuanę, LSD i PCP. A znane jej dzieciaki są zbyt uświadomione. Naprawdę powinna pojechać do Szwajcarii. Możesz widywać ją w lecie - kiedy nie będzie na obozie - a nawet odwiedzać w okresie Bożego Narodzenia, jeśli za nią zatęsknisz.

- Ty... ty... - Słów mu zabrakło z wściekłości. Gotów był ją zabić.

- Och, tak się cieszę, że zmieniłeś zdanie - gruchała Maxi. - Kiedy mogę oczekiwać gotowego produktu?

- Jak rak świnię, a ryba zaśpiewa - syknął przez zaciśnięte zęby.

- Co to właściwie znaczy? Za tydzień? Dwa?

- Pokażę ci - wrzasnął Rocco, przewrócił ją na łóżko i z całej siły przetrzepał po pośladkach. - Raz! - krzyknął. - Dwa! - Uderzył ponownie. - I trzy!

- Tchórz - dyszała Maxi próbując pięścią walnąć go w jądra. Chrząknął, wymierzył kolejnego klapsa, po czym padł na łóżko, powalony silnym ciosem w kolano. Maxi chwyciła go za włosy i ciągnęła zawzięcie, on zaś usiłował znaleźć punkt oparcia na materacu, aby ją wytrząść za wszystkie czasy.

Wyśliznęła się, nim ją złapał za ramiona, zgięła we dwoje jak scyzoryk i obiema rękami mocno uczepiła się jego członka. Rocco zastygł w bezruchu.

Bóg raczy wiedzieć, co ona może zrobić, poczynając od kastracji. Żadnemu z nich nie drgnął ani mięsień, czekali na następne posunięcie w milczeniu, które przerywał tylko ich oddech. Milczenie się przedłużało i Rocco poczuł ze wstrętem, jak w bezlitosnym uścisku Maxi twardnieje mu członek. Coraz bardziej i bardziej. Żadną miarą nie mógł tego draństwa powstrzymać.

Spróbował się wyrwać, ale za mocno trzymała. Po upływie pół minuty uwolnienie się straciło nieco na ważności. Ledwie zaś ona uświadomiła sobie, jaka w nim zaszła zmiana, jedną ręką rozpięła mu rozporek, a drugą, już nie jak strażnik więzienny, tylko jak kobieta, jąła rozwierać

i zaciskać w rytmie, któremu nigdy nie potrafił się oprzeć.

- Dziwka - burknął.

- Zamknij się - odparła.

Kiedy w końcu Rocco zdołał niepewnie stanąć na nogi, z trudem wepchnął koszulę w spodnie, zapiął je i zaczął się błąkać zdezorientowany.

- Zapomniałeś o makiecie - mruknęła Maxi. Podniósł ją bez słowa i chwiejnie ruszył do drzwi.

- Na ile stron ogłoszeń mogę liczyć od CL&K? - zawołała, gdy szukał gałki u drzwi.

- Boże, dopomóż mi - wymamrotał podejmując nieudaną próbę zatrzaśnięcia ich za sobą.

Maxi leżała na łóżku i toczyła wzrokiem po suficie. Każdy mężczyzna ma słaby punkt, myślała, zawsze jeden i ten sam. Zrozumienie tego prostego faktu pozwala za każdym razem zdobywać przewagę. Co więcej, odkryła lekarstwo na pocięte papierem palce.

18.

- Stop. I... kończymy! - Pożegnalny ton reżysera obwieścił ostatnią sekundę ostatniego ujęcia w najnowszym filmie Indii West.

India niemal biegiem wypadła do garderoby, uradowana wolnością i bezprecedensowym faktem, że jej psychoanalityczka, doktor Florence Florsheim, pojechała na urlop pod koniec kręcenia filmu. Zbieg okoliczności niespotykany, odkąd została gwiazdą. Może pomknąć na pomoc Maxi, której ostatni telefon tak ją zaniepokoił. Musiało zajść coś naprawdę złego. Maxi milczy od dwóch tygodni, a od tamtej niedzieli, ilekroć India próbuje ją złapać, słuchawkę podnosi zawsze Angelika, która zdradza ciekawą umiejętność przekonującego łgania. "Mama pracuje i pod żadnym pozorem nie wolno jej przeszkadzać" - mówi za każdym razem i gdyby India nie znała przyjaciółki na wylot, byłaby uwierzyła. Cóż, ten talent do łgarstwa jest zapewne dziedziczny. Słowa Angeliki brzmią tak wiarygodnie jak słowa samej Maxi.

Ale jeśli tam "na wschodzie" - jak mawiała; podobna w tym do Anglików tkwiących przez całe życie w indyjskim mieście garnizonowym, którzy "domem" nazywają Wielką Brytanię - dzieje się coś groźnego i tajemniczego, przekona się o tym osobiście. Jutro leci do Nowego Jorku, jest już spakowana, cholerne psy oddała na przechowanie za niewiele mniej, niż kosztowałby hotel Beverly Hills, i przed wieczorem się dowie, co słyhać u jej najstarszej i jedynej przyjaciółki.

Maxi nie traktuje przecież poważnie tego absurdu planu wydawania pisma poświęconego... zamkom błyskawicznym? Trudno było zrozumieć jej opowieść, przerywaną oskarżeniami pod własnym adresem i gwałtownymi atakami na nieszczęsnego stryja. Poza Lily, tak często fotografowaną, niełatwo jest wyobrazić sobie rodzinę Maxi, pomyślała India. Wiele lat temu, kiedy obie dziewczynki miały po kilkanaście lat i razem odrabiały lekcje, widywała przelotnie Toby'ego i Justyna. Po pierwszym ślubie Maxi kontakt Indii z rodziną Amberville'ów ograniczył się do tego, co mówiła jej przyjaciółka.

Gdyby Maxi przez te ostatnie sześć lat nie przyjeżdżała czasem do Kalifornii, przestałyby się widywać po pierwszym rozwodzie Maxi, kiedy India opuściła Manhattan, bo zapisała się do college'u. Zdołała dopaść Maxi i spędzić parę dni na pokładzie jachtu w Monte Carlo, gdy jej przyjaciółka zdecydowała się wyjść za boskiego Złego Dennisa Brady, ale nieszczęsny okres szkocki umknął jej całkowicie. Wstyd, gdyż hrabina Kirkgordon, źle obsadzona w tej roli, musiała stanowić bezcenny, niezapomniany widok.

Teraz Maxi to jej rodzina, dumiała India. Rodzice zmarli, natomiast Maxi stanowi jedyny stały punkt w jej życiu. Choć ich kontakty w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach ograniczały się do telefonu, przyjaciółki mogły za jego pośrednictwem czytać sobie w myślach. Co więcej, India była matką chrzestną Angeliki i rekompensowała swój brak troski wspaniałymi prezentami. Trudno sobie wyobrazić, aby grzeczna dziewczynka tak okłamywała najmilszą, ukochaną, hojną

chrzestną matkę, prawda? Trzeba będzie pogadać z dzieciakiem o Emersonie i znaczeniu prawdy. Córka takiej osoby jak Maxi mogła nabrać nie wiadomo jak złych nawyków, mówiła sobie India i z powątpiewaniem kiwała głową. Ona sprowadzi dziewczynkę na dobrą drogę. Wykorzysta to, czego się nauczyła od doktor Florsheim, kupi jej parę przyzwoitych prześcieradeł.

Maxi urządziła obławę. Wszyscy znajomi, figurujący w spisie telefonów, zostali zaproszeni i zaproszenie przyjęli. Przez cały ranek ani na chwilę nie oderwała się z Julie od aparatu z czystej radości na myśl o tym, że Rocco przerabia jej bezcenną makietę, i zorganizowała przyjęcie tak, jak lubiła najbardziej. - Przyjęcia powinny wyskakiwać ni stąd, ni zowąd na ten sam wieczór - objaśniła Julie. - Jeśli zostawisz ludziom czas na obmyślenie, co na siebie włożą, na zrobienie fryzury i na zastanowienie się, kogo spotkają, pozbawisz różę uroku. Jeśli zaś mają inne plany, zawsze mogą przyprowadzić przyjaciół. To cudowna niespodzianka.

Sprosiła zoo, bardzo doborowe, same najlepsze gatunki. Gazele, pawie, jelenie z porożem, wspaniałe pantery, ulizane foki, zadowolone z siebie lwy, a do tego delikatne małpki. Wyłącznie z Manhattanu, mówiące tak głośno, że żadne zbiorowisko ludzkie w większym mieście nie mogłoby ani nie chciało osiągać wyższego poziomu decybeli.

Drzwi frontowe pozostały szeroko otwarte, bo wewnątrz nie było słycać dzwonka. India przystanęła na progu oszołomiona, a za nią windziarz z jej walizkami. Zaczęła się zbierać do wyjścia. Pora widać jest niestosowna na nie zapowiedzianą wizytę. Pojedzie do apartamentu wynajmowanego w Palace przez jej studio i jutro zadzwoni. Na przyjęciach bywała znacznie bardziej onieśmielona niż zazwyczaj.

- Matka chrzestna! - Angelika z możliwie największą czcią uniosła ją na wysokość sześciu cali i oglądała w oszołomieniu. - To ty! Ty sama, we własnej osobie. Absolutna zgroza! Mama próbowała zadzwonić, ale nie było cię w domu. Skąd wiedziałaś o przyjęciu?

- Ty... jesteś... Angelika?

- Wiem, urosłam. Zaraz cię stawiam. Nie zrobiłam ci krzywdy, co?

- Oczywiście, że nie. Po prostu... mnie... zaskoczyłaś. A teraz posłuchaj, Angeliko, mówiłaś, że twojej matce nie wolno przeszkadzać, bo pracuje, a ja wkraczam do domu wariatów. Co się dzieje?

- Ona pracowała, matko chrzestna, do wczoraj wieczór. Makabra! Teraz się odpręża.

- A dlaczego w każdym uchu przekłute masz trzy dziurki, Angeliko? I dlaczego nosisz w nich kolczyki z piórkami? Zostałaś członkinią sekty religijnej? - pytała India możliwie najsurowiej, zakłopotana nieoczekiwaną urodą Angeliki. Czy ona sobie wyobraża, jaka będzie?

- Strasznie tego chciałam, matko chrzestna - wyjaśniła Angelika. - Uważasz, że to błąd? Prawdę powiedziawszy, czuję się dziwnie. A podobają ci się moje wymarzone drelichy? Bomba,

co? Chyba uszyte gdzieś w kolonii trędowatych. Makabra!

- Do mnie przemawiają - rzekła India ostrożnie, sięgając pamięcią do lat siedemdziesiątych w poszukiwaniu stosownej odpowiedzi. - Dziurki w uszach zarosną, jak wyjmiesz kolczyki, i proszę, nie mów do mnie matko chrzestna.

- Jeśli sobie życzysz - zgodziła się Angelika, nieco speszona. - Zaniosę twoje rzeczy do pokoju gościnnego... India. - Bez wysiłku dźwignęła torby i poprowadziła Indię w głąb mieszkania.

- Nie. Daj spokój. Nie mogłabym się tu chyba zatrzymać. Jest tłoczno. - India gotowa była uciec.

- Rzecz w tym, India, że w pięć sekund opróżnię ci pokój. Ty jesteś gościem honorowym. Kapujesz?

- Czy zawsze tak mówisz, Angeliko?

- Staram się. Staram. - Angelika podniosła bagaże Indii i utorowała jej drogę.

To dziecko potrzebuje pomocy, myślała India przebijając się szybko za zamkniętymi na klucz drzwiami. Jakie szczęście, że przyjechała. Może jeszcze nie jest za późno. Widocznie Maxi nie dba o jej wykształcenie.

India wypłynęła z pokoju gościnnego w sukni od Judyth van Amringe, uszytej z białych koronek i białego szyfonu, tak zwiewnej, jakby szepionej tylko broszką, starożytną monetą grecką w oprawie z kulistych szafirów i szmaragdów, którą zapięła tuż nad kością biodrową. Piękność Indii była zmienna jak pory roku, wyjąwszy jedynie zimę; wywierała hipnotyczny wpływ, mieniła się gdy India z wcielenia czarownicy wiosny wkraczała w pełnię lata i dojrzałość jesieni, zgodnie z wymogami reżysera czy scenariusza. Dziś, gdy decyzja należała do niej, wyobrażała wiosnę ze wszystkimi jej obietnicami, z całą świeżością.

Mimo swej nieśmiałości, India pozostała realistką. W żadnej sukni nie zniknie na przyjęciu, więc równie dobrze może wyglądać na gwiazdę. Tego po niej oczekują i mniej zwracają uwagę niż na niedbały strój Diane Keaton, który budzi tylko zaniepokojenie i wrogość. Z kolei w roku błyszczących strojów nie usłucha nakazu mody, bo czułaby się jak prezenterka w czasie wręczania nagród Oscara, a przecież taką nagrodę zdobyła.

Ruszyła na poszukiwanie Maxi, umyślnie dając się unosić z prądem.

Technikę tę opracowała na przyjęcia, aby wciąż pozostawać w ruchu.

Zatrzymana, nadal sugerowała ruch, bo tak odchyłała się od rozmówcy. Nigdy nie brała szklanki, więc gdy ją ktoś zagadał, mogła powiedzieć: "Och, muszę pójść po drinka, zaraz wracam", i tak się ulotnić. Albo poprosić mężczyznę, z którym gwarzyła - kobiety chyba nigdy nie miały jej nic do powiedzenia - żeby zechciał być aniołem i przyniósł jej drinka, a następnie uciec w przeciwnym kierunku. Jeśli rzeczywiście chciała się napić, podchodziła do baru, brała coś od barmana, wychylała duszkiem i natychmiast zwracała szklanę.

Zawsze patrzyła w górę nad głowami ludzi, by nie napotkać ich wzroku, płynęła lekkimi zakosami, stanowiąc ruchomy cel, i miała taką minę, jakby bardzo pragnęła podejść do dobrego znajomego po drugiej stronie pokoju.

Dzięki temu wszystkiemu mogła uczestniczyć w obowiązkowych przyjęciach hollywoodzkich i rozmawiać wyłącznie z wszędobylskimi agentami, którzy nie dostrzegali tych gier i wciąż ją ściskali. Jako klientka wcale ich nie onieśmiała, bo jak by to mogła zrobić kobieta, choćby najślynniejsza piękność, skoro jej urodę mieli na sprzedaż, a dochód automatycznie zmniejszali o swą prowizję?

Właściwie, myślała India płynąc z prądem w nadziei, że manieryzmy zapewnią jej odosobnienie, nigdy nie czuła onieśmienia w towarzystwie swoich agentów czy ludzi zaangażowanych w tworzenie filmów. Odkąd zakończyli okres terminatorstwa i osiągnęli stanowisko drugiego asystenta czyjś tam drugiego asystenta, uważali ją za jedną z wielu dziewczyn.

Doktor Florence Florsheim twierdziła, że nie ma różnicy między nieuchwytną gwiazdą filmową a zwykłą panną pietruszkującą pod ścianą, myślała India zwalczając początki paniki.

“Co by się stało, gdyby cię wciągnięto w rozmowę?” - pytała zawsze doktor Florsheim. India nie potrafiła tego wytłumaczyć w sposób dla siebie zadowalający. Doznawała zaćmienia od samej konwersacji. To było najgorsze.

Coś w jej wyglądzie sprawiało, że ludzie milkli, a ciężar wymiany poglądów spadał na jej nieuleczalnie niechętnie barki. Doktor Florsheim miała ten najlepszy zwyczaj, że nigdy nie patrzyła na Indię, poza momentem jej wejścia i wyjścia z gabinetu, i nigdy nie pozwalała na towarzyską rozmowę o głupstwach.

Zmierzając do pozornie wytkniętego celu, lecz nabierając prędkości, India przechodziła z pokoju do pokoju, coraz bardziej przerażona, że nie widzi Maxi. Wkrótce będzie musiała popatrzeć na ludzi, nie nad ich głowami, co się wiązało z ryzykiem napotkania czyjś wzroku.

- Przepraszam! - Wpadła na mężczyznę, który oblał się zawartością dwóch szklanek trzymany w ręku. - Mój Boże, co za niezdara ze mnie, zagapiłam się, proszę pozwolić, to wytę, ojej - paplała zarumieniona pod wpływem zmieszania.

- To tylko wódka, proszę się nie martwić. Nic się nie stało - zapewnił, a coś w dźwięku jego głosu, coś dostrzeżonego już w pierwszych słowach całkowicie rozproszyło jej panikę. Zapewne panowałby nad sytuacją, gdyby to on ją oblał, myślała zdumiona, że tak łatwo ją uspokoił. Zaledwie paru reżyserów, tych wielkich, potrafiło tego dokonać mówiąc tak niewiele.

- Pani zdaje się kogoś szukać - zauważył. - Czy mogę pomóc?

- Nie - usłyszała India własną odpowiedź. - Ot, tak sobie łąziłam. - Maxi może zaczekać, uznała i odważyła się spojrzeć na mężczyznę, którego zaledwie przed chwilą oblała. Był od niej

prawie o głowę wyższy, chyba też po trzydziestce, a kiedy stał spokojnie, nie zwracając uwagi na swój wilgotny smoking, zaczęła się zastanawiać, jak by wyglądał, gdyby się zakochał. Minął ich kelner i odebrał puste szklanki. Chwyliła garść serwetek.

Czy nie mogłabym... kapie z pana na dywan. - Ze śmiechem spróbowała osuszyć plamę. Wziął od niej serwetki.

- Wódka paruje i nie pozostawia śladu. Ludzie w tym pokoju wydzielają tyle ciepła, że plama zniknie za minutę. - Wypowiadał słowa dość proste, lecz z taką zadumą, jakby śnił, i to o miłostce. India, tak zafascynowana, że zapomniała o swej zwykłej obawie przed obcymi, przyglądała mu się podobnie jak wyjątkowo wścibskie i nietaktowne osoby czasami jej się przyglądały, jakby z samego układu jej rysów mogły się czegoś dowiedzieć.

Cechuje go dworność, pomyślała, coś związanego z dobrocią, stanowczością i pewnością siebie, ma usta ukształtowane do... nie, przez męstwo. I równocześnie jest niecierpliwy. Wywiera swoisty wpływ... czy skutek skupienia? Jest na swój sposób elektrokinetyczny. Miała nadzieję, że odejdzie do tego kogoś, komu niósł drinki, nie chciał się jednak ruszyć.

Pośrodku gwarne, rojnego pokoju tworzyli wysepkę: dwoje ludzi wysokich, odizolowanych. Zajrzała mu w oczy i odniosła wrażenie, że patrzy na nią natarczywie, bacznie, a mimo to jakby jej nie poznawał, bez szacunku czy oszołomienia, do których przywykła.

- Podoba mi się twój głos - powiedział.

- Dziękuję. - Pierwszy raz w życiu nie czuła, że musi się usprawiedliwiać. Jego pewność siebie jakby się udzielała.

- Pieści powietrze - dodał.

- No, zawsze istnieje możliwość, że to sztuczka - odparła, w nagłym, nieoczekiwanym przypływie dawnej przekory mówiąc z akcentem, jakiego się nauczyła, gdy kreowała rolę Blanche Dubois; połykając zaimki, bez zastanowienia akcentując czasowniki i przy końcu zdania lekko podnosząc głos.

Uśmiechnął się jak do osoby rozkosznie, dziecinnie głupiej, India zaś poczuła śmieszny dumę.

- Głos plantatorki - powiedział. - Zawsze podobały mi się dziewczyny z takim głosem, ale on nie najlepiej do ciebie pasuje. Jesteś zbyt nieśmiała jak na mieszkankę Południa... na tym polega ich urok... nigdy nie okazują onieśmienia, więc i nie budzą go w innych.

- A ja je okazuję? - spytała przygnębiona. Wciąż jej się zdawało, że nie była naprawdę dobra jako Blanche, wbrew powszechnej opinii.

- Natychmiast. Przynajmniej ja je dostrzegam. I to mi się podoba.

Przedstawiciele rodzaju ludzkiego bywają czasem nieśmiali, lecz w tym mieście ludzie stają się agresywni, a ich wrodzona, normalna, nieunikniona nieśmiałość nie wychodzi na jaw. W

rezultacie - zrobił gest ręką - właśnie to słyszysz. Słuchanie jest męczące, a zwalczyć to trudno. Połowę czasu mówię szeptem... łatwiej go usłyszeć niż takie przekrzykiwanie hałasu.

- Mówił mi to kiedyś instruktor.

- Instruktor? - Mężczyzna pochylił się nad nią i jeszcze baczniej się jej przyjrzał.

- Instruktor... od głosu - rzekła oszołomiona.

- Jesteś śpiewaczką?

- Kiedyś śpiewałam. - Indię kompletnie to zaskoczyło. Od tylu lat nie spotkała nikogo, kto by jej nie poznał, że nie bardzo wiedziała, jak zareagować. W jej oczach zabłysła podejrzliwość. O Boże, niech to nie będzie jeden z tych, co niby jej nie poznają. Są gorsi od gapiów. Nie, kimkolwiek jest, po prostu nie chodzi do kina i nie czytuje magazynów. W jego domu widocznie nie znano jej nazwiska.

- Co jeszcze robisz? - Nie zostawił jej czasu na zadawanie pytań.

Przywykł rozkazywać, uświadomiła sobie, gdy udzielała odpowiedzi.

- Ja... pracuję... i, no wiesz, żyję jak inni. Karmię moje psy, ćwiczę, bardzo dużo czytam i pływam, a czasem chodzę na przyjęcia, i to mniej więcej tyle. Życie na pozór niezbyt pełne...och, i oczywiście bywam u mojej psychoanalityczki, doktor Florence Florsheim... proszę się nie śmiać! Nie widzę w tym nic zabawnego, to nazwisko jak każde inne, nie ma na to rady, chociaż... z imieniem Florence nie powinna może... wyjść za pana Florsheima. - India nie potrafiła opanować chichotu. - Musiała się śmiertelnie zadurzyć albo to jej panieńskie nazwisko.

- Pytałaś ją kiedyś?

- Ona rzadko odpowiada na pytania. Zresztą jest w tej sprawie bardzo konwencjonalna.

- Mój psychoanalityk odpowiada na pytania.

- Zatem nie jest freudystą - orzekła z miną pełną wyższości.

- Mówił mi, że jak wszyscy inni korzysta z teorii Freuda, ale odrzucił to, w co nie wierzył... jeśli twierdzisz, że nie znosisz swojej matki, on zakłada, że ze starszej pani musiał być niezły numer, dopóki nie udowodnią czegoś innego, a nie że w wieku trzech lat chciałeś się z nią kochać.

- To mi się podoba. Ale muszę się trzymać doktor Florsheim...bo za dużo wie - tajemniczo odpowiedziała India.

- Cudzy psychoanalityk zawsze sprawia lepsze wrażenie niż własny. To pierwsza zasada analizy. Zgadzam się jednak, że masz nie bardzo pełne życie. Co z mężem i z dziećmi?

- Nie mam. A ty?

- Nieżonaty, bezdzietny.

- Brak zainteresowania czy czasu? - zapytała India ostrożnie. Coś musi być nie w porządku. Jak zawsze.

- Na razie nieżonaty, ale tylko na razie. Tymczasem jestem do dyspozycji, bezwstydnie

osiągalny, i chciałbym się wynieść z tego piekła, a ciebie zabrać na obiad. Pójdziemy?

- O tak - odparła India.

- India! Co ty tu robisz? - Maxi aż pisnęła ze zdziwienia.

- Jak się masz, moja droga. Później ci powiem. Teraz muszę iść na obiad - rzekła z całą stanowczością India, usiłując jednym spojrzeniem wyrazić miłość, upór i stanowczą prośbę, aby Maxi pozwoliła jej się urwać z tym mężczyzną, tym absolutnie boskim mężczyzną, zanim upłynie sekunda i ktoś - może ta osoba, której niósł drinka - zjawi się i spróbuje go zabrać. India nie chce, nie może tak ryzykować.

- Ależ, Toby, nie możesz po prostu ulotnić się z Indią - jęknęła Maxi rozwścieczona. - To moja przyjaciółka, u licha, nie twoja, i nikt mi nawet nie powiedział, że tu jest.

- Toby? - szepnęła India głosem pełnym zdumienia, zaszokowana, ale już dokonująca wyboru.

- India? Ta przyjaciółka? Najpiękniejsza dziewczyna na świecie? - Toby urwał, a na jego twarzy odmalowały się różne uczucia, po pierwsze wahanie.

- Och, zamknij się! - India wyzbyła się nieśmiałości. - Powiedziałeś cztery razy, że ci się podobam. Więc nie zachowuj się jak... dureń. Zresztą już jest za późno, prawda?

- No, no - gruchała Maxi. - Chyba będzie to wasza pierwsza kłótnia. Och, jak dobrze! Mogę posłuchać?

19.

Cutter Amberville przechadzał się po dywanie od okna do biurka, starając się nie zboczyć z drogi, co przypominało chodzenie po własnych śladach na wilgotnej plaży. Założone z tyłu ręce zaciskał tak mocno, że hamował krążenie, wskutek czego czubki palców były znacznie czerwiejsze niż one same. Maxi obserwowała go przycupnięta na poręczy fotela, który sobie wybrała. Kiedy Cutter wskazał jej inny, niski, nieśpiesznie przyciągnęła ten z dość szerokimi poręczami na miejsce, gdzie chciała się znajdować, zbyt odległe od biurka, aby stryj czuł się swobodnie.

Machała nogami w wyglansowanych sztylpach i brązowych welwetowych bryczesach sznurowanych do kolan. Bawiła się żabotem koronkowej wiktoriańskiej bluzki noszonej pod brązowym aksamitnym żakietem z szalowym kołnierzem i zaszewkami w pasie, fantazyjnym tworem Chantal Thomass, nie przeznaczonym do konnej jazdy.

- Cutter - powiedziała przerywając jego wściekle milczenie - mój kierowca zastawił kogoś na dole. Może zechcesz wyrzucić z siebie to, o czym mnie chciałeś tak pilnie poinformować, zanim wlepią mu mandat?

Cutter obrócił się i wreszcie przystanął, obiema rękami wsparty o blat olbrzymiego biurka.

- Widzę, że cię nie doceniałem, Maxi.

- Nie mogłeś mi tego zakomunikować przez telefon? Jestem zapracowana, a przez tę wyprawę do miasta zmarnowałam cały ranek. Czas to pieniądz, Cutter, czas to pieniądz!

Rocco ukończył cudowną makietę przed wielu tygodniami, dziesiątki drogich osób figurowały na liście płac Maxi, praca nad skompletowaniem pierwszego numeru i przygotowaniem następnych posuwała się w błyskawicznym tempie, a wszystko to rozkręcała Maxi, w przypiływie energii pracująca bez wytchnienia.

Drzwi jej gabinetu zawsze stały otworem, gdyż zgodnie z jej instrukcją w ogóle nie było tam drzwi ani biurka. Na dużym stole pośrodku pokoju, obok skrzynek z zimnymi napojami bezalkoholowymi i dzbanków kawy, herbaty i Sanka, zawsze pełnych, nad czym czuwała specjalnie wynajęta kobieta, leżały na tacach ciasteczka zwykłe i czekoladowe z orzechami oraz góry grubych, pysznych kanapek, ciągle dokładanych. Dokoła rozmieszczono parę wysokich okrągłych stolików z zachęcającymi stołkami barowymi. Stoliki łatwo dawały się zesunąć, gdy zebrało się więcej osób. Jej biuro, możliwie najbardziej zbliżone do osiemnastowiecznej kawiarni, w jakiej czułby się dobrze Samuel Johnson, zgodnie z zamiarem przyciągało inteligentnych, młodych, coraz liczniejszych, dobrze płatnych pracowników, którzy wstępowali tu przynajmniej raz albo dwa razy dziennie ze świadomością, że zawsze są mile widziani i zostaną po królewsku nakarmieni. Ludzie ze wszystkich działów kręcili się tutaj, rozmawiali o "G&K" i poznawali się nawzajem; a z tych ciągłych kontaktów najbardziej utalentowanych przedstawicieli branży wydawniczej, z tych pełnych podniecenia okrzyków "czemu nie, u licha?" rodziły się nowe pomysły i nie ginęły,

wszystkie bowiem spisywała Maxi, dyskretnie przycupnięta na którymś ze stołków. Kiedy była zajęta lub rozmawiała przez telefon, na zmianę zastępowały ją trzy sekretarki. Maxi tylko dlatego zgodziła się przyjechać do Cuttera, że nie chciała, aby on zobaczył jej redakcję. Byłby ją splugawił.

- Nigdy bym nie uwierzył, że cię na to stać - ciągnął Cutter. - Nie, nawet ciebie.

- Nie widziałeś przecież pierwszych makiet - odparła Maxi z irytacją. Czy ktoś mu je pokazał? Czy nasłał jej szpiega?

- Nie mówię o magazynie, Maxi, obojętne, jaki jest. - Cutter spojrzął jej w twarz i pojęła, że jest czerwony, niemal purpurowy z tłumionej wściekłości. - Podsunął jej plik papierów. - Mówię o tym, o tym! O rachunkach na miliony dolarów, rachunkach, które ci głupi księgowi regulowali odruchowo, bo podpisał je ktoś z rodziny Amberville'ów, regulowali nie pytając mnie, nie kwestionując ich, o rachunkach za papier, wynajem lokalu, umeblowanie, o pensjach, honorariach za artykuły, zdjęcia, o pokrywaniu wydatków i...

- Jedzeniu - przerwała Maxi. - Na początku płaci się zawsze więcej, niż człowiek przewidywał - dodała z opanowaniem. - Koszty zmaleją po ukazaniu się "G&K", a gdy zaczniemy zarabiać, cały obraz oczywiście się zmieni.

- Nie, nie ze mną te sztuczki. Wiem, i ty, Maxi, wiesz, na co się zgodziliśmy. "Guziki i Kokardy"! Tego pisma chciałaś i to dostałaś. Magazyn poświęcony przybraniom, prawie bez budżetu. To coś, te "G&K", czymkolwiek są, nie mają absolutnie nic wspólnego z naszą transakcją.

- Przeciwnie - chłodno odparła Maxi. - Są tak samo "Guzikami i Kokardami", jak "Guziki i Kokardy" były miesięcznikiem "Przybrania". Jest to nawet zaznaczone w nagłówku. Nigdy nie mówiłaś, że nie mogę magazynu uwspółcześnić, Cutter. Ani słowem nie wspomniałaś, że nie wolno mi go przekształcić w coś bardziej zdolnego do życia. Dałaś mi rok i ja z tego korzystam, a rok dopiero się zaczął.

- Nigdy nie dałem ci prawa do trwonienia milionów - wybuchnął Cutter waląc pięściami w biurko.

- Mam nadzieję, że biurko nie jest cenne - skomentowała to Maxi z lekkim ziewnięciem. - Wygląda na oryginał, ale dziś tak dobrze potrafią je podrobić.

- Milionów dolarów... Nigdy nie mówiłem...

- Och, ale nie mówiłaś, że mi nie wolno, prawda, Cutter? - Maxi przesłała mu leniwy uśmiech, wdzięcząc się poprawiła koronkę pod szyją i strzepnęła z buta drobinę kurzu. Brwi uniesione w wyrazie rozbawienia skryły się pod grzywką. - Widzisz, teraz jest już za późno. Zdążyłam - osobiście - sprzedać dziesiątkom poważnych klientów miejsce na ogłoszenia na sześć miesięcy z góry, po specjalnych cenach. Wszyscy oni zamieszczają reklamy i w innych wydawnictwach Amberville'a, więc nie bez racji zakładają, że jeśli ktoś z rodziny przychodzi do nich ze wspaniałą koncepcją nowego magazynu i absolutnie bombową makietą, nie stracą

pieniędzy. Wydawnictwa Amberville'a mają zobowiązania w stosunku do "G&K", Cutter, bezwzględne zobowiązania, jeśli idzie o kręgi biznesu i firmy, które się ogłaszają. Dopóki magazyn wychodzi, musimy zamieszczać te reklamy albo zwrócić pieniądze i sprawić wrażenie lekkomyślnych, nieodpowiedzialnych. Zwłaszcza odkąd ty sam zdecydowałeś się zlikwidować trzy inne pisma. Wszyscy wiedzą, że "G&K" mają twoje specjalne błogosławieństwo, Cutter. Postarałam się, aby to do nich dotarło. Nie możesz tknąć mojego magazynu, bo zaczną podejrzewać, że cała spółka wkrótce splajtuje.

- Czy wiesz, jak twoje wydatki wpłyną na nasz bilans? - zapytał.

- Wyobrażam sobie, że zrobią w nim olbrzymią dziurę. A co do tych rachunków, Cutter - Maxi wstała i ruszyła do drzwi - muszę cię uprzedzić, bo według mnie masz za wysokie ciśnienie, że te na twoim biurku to dopiero początek. Przez pierwsze półrocze znajdowałam się w szalenie delikatnej sytuacji - trzeba wydać pieniądze, aby je zarobić, a ja nie mogę ryzykować, że rozczaruję czytelników. "Najpierw ich złap, potem zatrzymaj", jak mawiał mój ojciec. - Maxi dotarła do drzwi i otworzyła je, a tymczasem znieruchomiały z wściekłości Cutter siedział za biurkiem. - I coś jeszcze.

We wszystkich głównych magazynach i gazetach czytanych przez ludzi ze środków masowego przekazu zamieściłam informację o "G&K" i naszych planach na przyszłość, jakby zapoznając czytelników z najnowszym tytułem Wydawnictw. Te rachunki zaczniesz dostawać niebawem. Nie fatyguj się i nie wstawaj... sama trafię do wyjścia... jak zwykle. Przy drzwiach odwróciła się, obrzuciła go przelotnym spojrzeniem, potrząsnęła głową i chrząknęła zatroskana. - O mój Boże, Cutter, naprawdę wydajesz się wzburzony. - Cicho zamknęła drzwi, najpierw jednak spytała: - Czymś, co powiedziałam?

- Lily, kochanie, chodź i usiądź przy mnie. - Cutter wskazał miejsce obok siebie na kanapie. Lily posłusznie wstała z fotela i zajęła je, przytulając się do Cuttera całym gibkim, szczupłym ciałem.

Westchnęła z zadowolenia głębszego niemal niż miłość. Te wspólnie spędzane chwile, kiedy przychodził z biura do domu, od dawna wyczekiwane, stanowiły w jej przekonaniu nagrodę za lata cierpliwości. Większą nawet niż zaspokojenie potrzeb seksualnych, choć bardzo się szczyciła trwałością i żywością ich fizycznej więzi. Długa rozłaka pozostawiła żar i wystarczył podmuch wiatru, zapalka, skrawek papieru, szczapka, aby płomień rozgorzał na nowo. Ale możliwość siedzenia razem pod koniec dnia i prowadzenia spokojnej rozmowy, czego nigdy nie lubiła robić z Zacharym... ach, to było jeszcze rozkoszniejsze. W podobnych momentach, gdy mogła sobie pozwolić na z dawna upragnioną, a wciąż odwlekaną zażyłość, a do tego nowym szczęściem napawał ją fakt, że jest żoną Cuttera, wiedziała, iż wreszcie osiągnęła to, czego zawsze

pragnęła, to na co zawsze zasługiwała.

- Kochanie, dzisiaj w biurze wydarzyło się coś, co nagle nasunęło mi myśl o tobie, o naszej wspólnej przyszłości - rzekł Cutter.

Zaniepokojona powagą jego tonu Lily uniosła głowę, którą lekko złożyła mu na ramieniu.

- Nie, nie - roześmiał się - nie ma powodu do zmartwień. To coś, o czym można pomarzyć, coś czego sam bym nie zainicjował, ale o czym ci muszę powiedzieć.

- Jakiś interes? - spytała Lily. - Obiecywałeś, że nie będziemy tracić czasu na rozmowy o interesach. Nigdy się na nich nie znałam i kiedy słuchałam głośnienia Zachary'ego, kończyło się to bólem głowy.

- Owszem, interes, a zarazem i nie interes. Nie nudny. Musisz posłuchać, kochanie.

- Każdy interes jest nudny - upierała się Lily - lecz ja należę do osób cierpliwych, co powinieneś wiedzieć.

- Miałem dzisiaj niezwykle telefon od kogoś ze Zjednoczonej Spółki Radiowej, człowieka zupełnie obcego. Chciał wiedzieć, czy mógłby się z tobą spotkać w celu przedyskutowania... pomówienia o ewentualnej sprzedaży Wydawnictw Amberville'a.

- Co?! Chyba zwariował! Za kogo się ma? Cóż za bezczelność! Na jakiej podstawie sądzi, że spółka jest na sprzedaż? Nie potrafię sobie wprost wyobrazić takiej niegrzeczności jak tego rodzaju niespodziewany telefon. - Lily oburzyła się, jakby na jej oczach okradziono ją z biżuterii.

Cutter roześmiał się pobłaźliwie.

- Ten facet z ZSR nie próbuje cię wykorzystać, moja najmilsza. On tylko robi swoje. Nie przypuszcza ataku. W rzeczywistości to wielki komplement.

Wystarczy, abym jutro zadzwonił i powiedział, że cię ta rzecz nie interesuje, że Wydawnictwa Amberville'a nie są na sprzedaż. Odczepi się albo może nie odczepi. Ale tak czy owak powinnaś się spodziewać częstszych propozycji tego rodzaju.

- Bo Zachary nie żyje?

- Nawet gdyby żył, byłoby tak samo. Zwracano by się do niego z tym samym pytaniem. Taka jest obecnie tendencja. Dużo spółek, zwłaszcza większych konglomeratów, chce kupować pisma.

- Cóż, mnie to nie interesuje. Bo i dlaczego miałyby interesować? Zresztą mam zaledwie siedemdziesiąt procent akcji. Wiesz, że każde z dzieci ma po dziesięć procent.

- Nie mogą sprzedać swoich akcji nikomu prócz ciebie, a ty jesteś główną akcjonariuszką. Wolno ci zrobić absolutnie wszystko, na co masz ochotę, Lily. Nie mają prawa ci tego zabronić. Sądziłem, że rozumiesz, kiedy tłumaczyłem, dlaczego musimy zaprzestać wydawania magazynów, które przynoszą straty.

- Rozumiałam. Przekonałeś mnie, że to konieczne. Ale sprzedaż... nad tym nigdy się nie

zastanawiałam. Zachary przez całe życie tworzył te pisma... nigdy żadnego nie sprzedał. Nie wiem, czy kiedykolwiek by to zrobił, obojętne w jakich okolicznościach i za jaką sumę.

- Och, Lily, wciąż musisz być lojalna, co? A czy pomyślałaś, ile wyrzeczeń musiałaś znosić dla tych magazynów? Ty, Lily? Wszystkie te rozmowy o interesach, dla ciebie nudne, wszystkie te wyjazdy służbowe, kiedy zostawałaś sama, wszystkie te razy, kiedy musiałaś sobie radzić z dziećmi i ich problemami, bo Zachary pracował, te niezliczone weekendy, które spędzał w biurze, całe to podejmowanie gości ze świata biznesu i czarowanie ludzi dla ciebie nieciekawych? Te magazyny zostały wzniesione na twoim życiu, Lily. Na całych latach jedyne go życia, jakie ci dano. A teraz wciąż myślisz, co zrobiłby z nimi Zachary, gdyby żył. On nie żyje. Żadnemu z dyrektorów nie możesz zaufać, tylko mnie. Czy powierzyłabyś swoje akcje Pavce? To stary człowiek, błyskotliwy, owszem, ale stary. Chyba niebawem przejdzie na emeryturę. A reszta kolegium redakcyjnego? Możesz liczyć, że utrzymają magazyny na powierzchni? To tylko pracownicy, jednostki twórcze, przyznaję, lecz nie menedżerowie. Zachary był menedżerem, nie wychował jednak swoich następców.

- Doprawdy... nie myślałam.

- Wiem, że nie, moja droga. Wszystko ciągnę, żebyś nie musiała się kłopotać. Odszedłem z firmy Booker, Smity i Jameston i otworzyłem własne biuro, aby czuwać nad twoimi sprawami. Mimo to w głębi serca wcale nie jestem przeświadczony, czy powinnaś pozostać w tej branży.

- Czy dzieje się coś, o czym nie wiem? Czy z jakiegoś powodu powinnam sprzedać? - Słyszając z lekka złowieszczą nutę w jego głosie Lily usiadła sztywno wyprostowana.

- Lily, chwilowo wszystkie magazyny prosperują... ale w 1985 roku bardzo wzrosną ceny papieru i wydatki związane z dystrybucją. Nie musi to oznaczać mniejszych zysków niż w roku bieżącym, ale cholernie utrudni sprawę. Teraz nasz rachunek strat i zysków, nasz bilans, jest jeszcze absolutnie dobry.

Nie potrafię sobie wyobrazić, ile mogłabyś dostać jutro za Wydawnictwa Amberville'a - bardzo dużo. Jednak za parę lat... kto wie? Nie mam kryształowej kuli i strasznie bym nie chciał widzieć cię uwiązanej do czegoś nieinteresującego, choć Maxi jest zaślepiona do tego stopnia, że...

- Maxi? - spytała Lily. - Czego ona teraz chce?

- Niczego takiego, że mogłabyś się martwić - jak zwykle przepełnia ją nadmierny entuzjazm. Dopilnuję Maxi, kochanie, żeby się nie sparzyła.

Oczywiście, gdybyś sprzedała, dzieci mogłyby dostać spadek.

- A ty, Cutter? Chcesz powiedzieć, że praca w Wydawnictwach ci nie odpowiada? Że wolałabyś zostać u Bookera?

- Jeśli tobie są one potrzebne, moje kochanie, gotów jestem wytrzymać.

Nigdy nie chciałem przystąpić do spółki z Zacharym, wiesz sama. Proponował mi to

wielokrotnie, lecz zawsze odmawiałem. Po tym dzisiejszym niespodziewanym telefonie z ZSR jednak zadaję sobie pytanie, czy nie był to znak... punkt zwrotny... coś, na co należałoby zwrócić uwagę.

- Znak? Znak czego?

- Nowego życia. Życia we dwoje, wolnego od comiesięcznych trosk o wzrost stawek za stronę i składek emerytalnych, i miliona innych rzeczy związanych z Wydawnictwami Amberville'a. Mogłabyś sprzedać, kochanie, gdybyś chciała.

A wtedy oboje bylibyśmy wolni. Miałabyś zupełną swobodę działania. Mogłabyś mieć własny zespół baletowy... nie?... najlepsze miesiące roku moglibyśmy spędzać w Anglii, moglibyśmy kupić najcudowniejszy dom na południu Francji, moglibyśmy na serio zbierać wszystko, co kochasz. Och, Lily, życie musi być czymś więcej niż siedzeniem w nowojorskim biurze, niż przebywaniem z tobą dopiero po całodziennej pracy. Ale to nie moje akcje, nie moja spółka, ty musisz zdecydować, czy cię ta możliwość w ogóle interesuje. Dlatego musiałem ci powiedzieć o tym telefonie. Interesy, "nudne" interesy, jeśli chcesz, nie mogłem jednak tego zachować w tajemnicy.

- Nie, nie mogłeś - wolno przyznała Lily.

- Pomyśl o tym, kochanie, albo nie myśl. To wyłącznie twoja sprawa. Dałaś z siebie Wydawnictwom Amberville'a wszystko, co tylko można, i kto wie, czy nie powinnaś dalej iść tą drogą. Ja chcę jednego: widzieć cię szczęśliwą.

- Pomyślę o tym. Obiecuję. To nie coś... o czym mogłabym zdecydować natychmiast... prawda? Nie, oczywiście, że nie.

- Ważne jest, abyś nic nie robiła w pośpiechu, Lily. To bardzo doniosły krok. - odparł Cutter i wstał, aby przyrządzić sobie następny dzin z tonikiem.

Wydawnictwa Amberville'a, myślał, ten olbrzymi twór jego znenawidzonego brata, staną się niebawem kolejną pozycją w bilansie gigantycznego konglomeratu; zatracą swoją tożsamość, ich kadra kierownicza się rozproszy, nieruchomości zostaną sprzedane, a co najważniejsze, sam Zachary Amberville szybko pójdzie w niepamięć, gdy zniknie jego nazwisko. Za parę lat na wzmiankę o nim z uznaniem pokiwać głowami tylko nieliczni ludzie z dobrą pamięcią. Dzięki Bogu on jest na tyle młody, aby zetrzeć Wydawnictwa Amberville'a z powierzchni ziemi, machnąć na nie ręką, odczepić się od nich, uwolnić się wreszcie od brata, zniszczyć to, co po nim pozostało.

Jutro zadzwoni do prezesa ZSR i umówi się z nim na lunch, wybada, czy naprawdę chcą kupić. Są dziesiątki potencjalnych nabywców. To jedno nie ulega wątpliwości. Przewidział ten dzień, gdy wstrzymał publikację wszystkich magazynów przynoszących straty. Wszystkich prócz jednego.

- Wiesz, Justyn, trudno jest redagować dział mody magazynu, który ma mówić kobietom, że wyglądają właśnie tak, jak powinny. Moda to coś, czego przedtem nie widziano, u licha. Stronice jej poświęcone muszą zachęcać do zakupów.

Mimo buntowniczego tonu głos Julie brzmiał niczym lekko naelektryzowana pieśń miłosna. Jej zadurzenie w Justynie osiągnęło punkt, w którym mogła wyliczyć każdą z osobna i właściwie identyczną sztukę jego odzieży, a nawet odróżnić każdy z trzech aparatów Nikon. Wiedziała, kiedy obciął paznokcie.

Wszystko w tym mężczyźnie poddawała ustawicznej, lecz niedostrzegalnej obserwacji, a fakt, iż nie odwzajemniał jej uczuć, tylko je potęgował.

Gdyby Justyn zdradził żywe zainteresowanie, coś w ich wzajemnych stosunkach musiałoby się zmienić, na lepsze czy gorsze. Byłaby nieszczęśliwa albo osiągnęłaby jakiś etap szczęścia. Przez wiele tygodni ich współpracy traktował ją jednak miłą, acz irytująco obojętną mieszaniną życzliwości i koleżeństwa, której Julie Jacobson z Shaker Heights, zawsze, od pierwszej klasy, zdobywająca upragnionego mężczyznę, nie traktowała już jak wyzwania.

Boleśnie tęskniła za jakimś znakiem, że mogłaby ich czekać wspólna przyszłość.

- Wolałabyś pracę w tradycyjnym periodyku? - zapytał leniwie Justyn. - Tę posadę w "Redbook"?

- Skądże. Ale sam pomyśl... Bo wyobraź sobie cały długi artykuł o modzie, w którym ci wmawiają, że nigdy, przenigdy nie powinnaś wyrzucić ulubionego kostiumu kąpielowego. Jak mam to wytłumaczyć Cole'owi i Gottexowi, O.M.O.

Kamali i pozostałym producentom kostiumów kąpielowych, którzy się u nas reklamują?

- Wyłóż im teorię Maxi, że kiedy kobieta jest zadowolona z siebie, po przeczytaniu numeru "G&K" pozytywnie zareaguje na ogłoszenia, choć materiał redakcyjny nie budzi w niej przekonania, że powinna pognać i wydać pieniądze, jeśli chce dożyć do końca tygodnia.

- Czy ty w to wierzysz? Czy tylko Maxi?

- Właściwie ja także. Wrodzona ludzka zachłanność zatroszczy się o instynkt kupowania, a "G&K" wprawia kobiety w nastrój odpowiedni do zainteresowania się ogłoszeniami.

Justyn rozglądał się po swojej pierwszej w życiu pracowni z dobrze ukrywaną konsternacją. Jak dotąd zawsze fotografował w terenie, podróżując zaledwie z dwoma lekkimi workami i aparatami w futerałach, ale do pracy zamówionej przez Maxi wynajął pracownię z całym różnorodnym wyposażeniem i zaangażował pomoc do odbierania telefonu, pracy w ciemni i obsługi światła i rekwizytów. Oczywiście koszty pokrywał magazyn, lecz Justyn dopiero teraz odniósł wrażenie, iż jest związany z określonym miejscem, gdzie wykonuje swoją robotę. Choć krępowało go to i niepokoiło, będąc zainteresowany sukcesem "G&K", nie mógł po prostu znów zniknąć, dopóki nie stwierdzi, że Maxi wystartowała i dalej sobie poradzi. Albo że splajtuje. I jedno, i

drugie, myślał, nie jest wykluczone. Przywykł do nowych projektów Maxi, obserwował gorączkowe tempo jej życia, nieustanne poszukiwanie czegoś zabawniejszego niż rzecz poprzednia, ale bynajmniej nie wierzył, że starczy jej wytrwałości na coś więcej niż wydanie pierwszego numeru. Znudzi ją to zapewne po pół roku.

Często myślał, że nikt nie rozumie jej lepiej niż on, bo jest taki sam.

Też nie potrafi znaleźć czegoś, co by go przykuło do miejsca. Też jest niestały i z rzadka na dłużej się przywiązuje. Bardzo kochał ojca; jego śmierć stała się dla niego tragedią. Zawsze będzie odczuwać brak Zachary'ego, choć nieczęsto prowadził z nim szczerze rozmowy. Unikał ich, a wyrozumiały ojciec nie dążył do nich, nie zmuszał. Obaj zgodzili się bez słów, że należy uszanować skrytość Justyna.

Z drugiej strony, myślał ponuro, matka od dnia narodzin jakby próbowała zawładnąć jego duszą. "Justyn, chodź ze mną porozmawiać." Co dzień po powrocie ze szkoły słyszał z saloniku ten głos, pełen nieodpartego uroku, taki poważny, taki chwytający za serce. Nie miał wyboru, musiał iść i całować nadstawioną twarz, pozwalać, aby przyglądała mu włosy i bez skręcania się z niechęci udzielać wyczerpujących odpowiedzi na zadawane z uporem pytania. "Jak ci poszła klasówka z matematyki, Justyn? Czy nie zmarzłeś w samym swetrze? Dlaczego nie wzięłeś płaszcza? Kto jest w tym roku twoim najlepszym przyjacielem? I kto jeszcze? Jak tam ten nowy, który przyjechał z Chicago? Lubisz go? Kiedy masz oddać wypracowanie z angielskiego? Jeśli będziesz potrzebował pomocy, zawsze możesz mi je pokazać, wiesz o tym, prawda?" Jej wiecznie nagabujący, łagodny, pełen miłości i poezji głos, ciekawość wszystkiego, co syn robił, co myślał.

Nigdy jej nie powiedział, że nie ma najlepszego przyjaciela ani nikogo innego, ani właściwie żadnych przyjaciół, na których by mu zależało, bo to prowadziłyby tylko do dalszych pytań, do zatroskania, do próby zrobienia czegoś w tej sprawie, a on tymczasem pragnął jedynie, aby mu dano spokój, gdy będzie usiłował się uporać z lękami okresu dorastania, nauczyć się życia ze świadomością, iż nikt prócz niego samego nie rozwiąże jego problemów, więc nie ma na co liczyć. Mimo to nigdy nie odmawiał swej obecności, nie miał serca odwrócić się tyłem do matki, wyczuwał bowiem, w jak wielkiej była potrzebie, jakby w żałobie, niczym młoda wdowa, mimo swej urody, klejnotów i nieustannego życia towarzyskiego. Wiedział bez słów, że w swym oddaniu Lily w istocie błaga, aby się nią zaopiekował. I robił wszystko, co w jego mocy.

Dopiero kiedy odkrył wschodnie sztuki walki i zaczął pobierać lekcje, mógł spędzać późne popołudnia wolny od brzemienia macierzyńskiej troski, której Lily nie okazywała jego siostrze; troski zabarwionej, wręcz skażonej czymś, czego nie potrafił dokładnie określić, ale co z czasem zniechęcił mimo miłości do matki. Było to coś w rodzaju... uwielbienia. Przypisał je temu, iż jest najmłodszym dzieckiem. Między Maxi a matką ustawicznie wybuchały zadrażnienia, a Toby był tak niezależny, tak wyjątkowy mimo powolnej utraty wzroku, że może tylko na niego mogła

przelewać uczucia... lecz to on, Justyn, musiał dźwigać ten szczególny ciężar, być dzieckiem wyróżnianym, ulubieńcem.

Z chwilą gdy się przekona o porażce albo sukcesie "G&K", znów gdzieś wyruszy, gdzieś, gdzie jeszcze nie był, powróci do jedynej roli, w jakiej nauczył się czuć dobrze: do roli niepozornego obserwatora wtapiającego się w każdą scenerię, cichego obserwatora, dzięki aparatowi zadomowionego wszędzie.

Justyn - wykrzyknęła Julie podnosząc kwieciste bikini, niewątpliwie z końca lat pięćdziesiątych - czy uwierzysz? I jest w tak idealnym stanie, że przypuszczalnie nigdy nie widziało wody.

- Może większość ulubionych kostiumów kąpielowych jej nie widzi - powiedział wzruszając ramionami.

- To samo mówi Maxi. "Jeśli kobieta znajdzie kostium kąpielowy, w którym naprawdę korzystnie się prezentuje, który ukrywa to, co ona chce ukryć, a eksponuje to, co ona chce eksponować, nie zamoczy go bez absolutnej potrzeby i nawet będąc za gruba, aby go włożyć, schowa gdzieś z myślą, że jeszcze kiedyś się w niego wbije" - zacytowała Julie. - Maxi po prostu zachęca do magicznego myślenia, gdyby mnie kto pytał - dodała Julie z dezaprobatą.

- Niezależnie od tego, co myślisz, moja droga, mamy jeszcze ten tuzin starych kostiumów do sfotografowania. Ilu zamówiłaś modeli?

- Trzy dziewczyny i dwudziestu czterech chłopaków.

- Oszalałaś. Po co tylu?

- To też pomysł Maxi. Każda dziewczyna będzie otoczona wianuszkami doborowych chłopaków, którzy będą ją obrzucać spojrzeniami pełnymi zachwytu - cierpko odparła Julie. Przez cały tydzień nie miała czasu się obkupić, bo musiała polować na stare kostiumy.

- W co ubierzesz chłopców?

- Mam czterdzieści osiem identycznych... egzemplarzy... od Ralphi Laurena w milionie różnych kolorów. Identycznych, ale właściwie nie staromodnych.

Nie wiem, czy to kostiumy kąpielowe, czy gatki, ale nie zużyto na nie dużo materiału, prawda? - Podniosła do góry coś, co zakrywało miednicę i miało dziury na nogi. - Miasto Pępka. To hańba. Zniechęcamy kobiety do kupna nowych kostiumów, a mężczyznom wolno paradować prawie nago.

- Gdzie pomieścimy ten tłum?

- Dziewczęta dostaną do dyspozycji garderobę... będą potrzebowały tyle miejsca, bo są jeszcze fryzjerzy i spece od makijażu... chłopcy muszą skorzystać z twojego biura, Justyn. Pracownia jest za mała.

- Jak często zamawiasz dwadzieścia siedem osób na tę samą godzinę? - zapytał rozsądnie.

- Robię to pierwszy raz, ale nadal uważam, że powinienś znaleźć coś z drugą garderobą.

- Pewnie znajdę - odrzekł Justyn wiedząc, że tego nie zrobi. Wybrał tę pracownię właśnie z uwagi na konieczność improwizacji. Wnętrze przeznaczone wyłącznie do pracy przyprawiało go o zdenerwowanie. Im było mniejsze, tym lepiej, bo nie wyglądało na zobowiązanie czy zapowiedź, że zamierza w nim zostać. Justyn wynajmował tę pracownię z miesiąca na miesiąc, choć Maxi dała mu wolną rękę. W jego biurze nie mieściło się prawie nic prócz biurka, krzesła, telefonu i kanapki, na którą mógł paść, by się odprężyć po skończonej sesji.

Dziewczęta przybyły razem i Justyn przyjrzał się im krytycznie. Julie wybrała je ze względu na neutralność urody. Były piękne, ale nie za bardzo.

Fryzury miały nowe - żadnej bujnej grzywy w stylu Farrah Fawcett - lecz nie niepokojąco krótkie, a dwóch specjalistów od makijażu poinstruowano, że mają nie robić nic horrendalnego z ich twarzami.

- Żadnych różowych powiek ani niebieskich szminek - zabroniła Julie. - Nie próbujemy sprzedać nic z tych strasznych kosmetycznych nowości.

Usiłujemy sprawdzić, czy przeciętna Amerykanka potrafi zrobić podstawowy makijaż.

Justyn zlustrował trzy dziewczyny, a gdy zaczęły się pojawiać anonimowi przystojni mężczyźni, modelki zaś przygotowywano do zdjęć, zajął się aparatami. Jak wielu fotografów zabraniał swemu asystentowi dotykać ich zawczasu, dopiero w trakcie pracy pozwalał zakładać nowe filmy. Wkrótce przygotowano pierwszą dziewczynę i choć przez następne pół godziny Justyn, Julie i modele pracowali wytrwale, nie zdołali osiągnąć pewnego rytmu, dzięki któremu każda dziewczyna wyglądałaby całkiem swobodnie w otoczeniu dwunastu prawie nie ubranych mężczyzn.

- Zmocz je, Julie - powiedział w końcu Justyn.

- Dlaczego?

- W dalszym ciągu są sztywne. Kostiumy kąpielowe w domu wyglądają nienaturalnie i to na nic. W ciemni jest kilka wiaderek. Chłopcy, niech paru z was pójdzie i nabierze wody. Popróbujemy w ten sposób.

- Mamy być mokre? - zapytała jedna z dziewczyn z niedowierzaniem. - Nikt w agencji nie wspominał o wodzie. Zaraz tam zadzwonię.

- Uspokój się, moczę tylko chłopców - uciął Justyn. Chciałbym się znów znaleźć na jakiejś nieznanej uliczce obcego miasta, gdzie wolno by mu było robić zdjęcie albo go nie robić, a nie tutaj, z dwudziestoma siedmioma najlepiej płatnymi ciałami w Stanach, nie chcącymi poruszać się naturalnie, jak prawdziwi ludzie w prawdziwym otoczeniu. Nad Gangesem, tam powinien je pstrykać. Właściwie z przyjemnością powrzucałby wszystkie do wody i przez chwilę przytrzymał pod powierzchnią. Tymczasem jakoś trzeba sobie poradzić.

Woda poskutkowała. Rozluźniła modeli lepiej niż cokolwiek innego, na powrót przemieniła ich w dzieciaki chlustające na sobie z wiaderek, starające się zmoczyć najbardziej. Wywoływało to złudzenie, że są na basenie lub na plaży, którego nie dałoby się osiągnąć za pomocą żadnych rekwizytów.

Jon, model ze zmierzwioną ciemnorudą czupryną i uśmiechem pełnym zwierzęcej witalności, wodził rej. To on wylał pierwsze wiaderko wody na jedną z modelek. - Ani się waż! - wrzasnęła i dostała drugą porcję na głowę. Potem cała dwudziestka siódemka włączyła się do zabawy; mokrzy, zupełnie zapomnieli o aparacie, a fryzjerzy stali kręcąc głowami, zadowoleni, bo i tak dostawali swoje siedemset pięćdziesiąt dolarów za godzinę. Po zrobieniu zdjęcia Justyn kiwał głową, na co Julie wyciągała dziewczynę i prowadziła do garderoby, aby zmieniła kostium, który trudno było włożyć na wilgotne ciało. Należało zamówić dwanaście dziewcząt albo przynajmniej przynieść ręczniki, myślała, któż jednak przewidywał śmigus?

Wreszcie pozowanie dobiegło końca, pozbierano kostiumy, dziewczęta osuszono papierowymi ręcznikami i suszarkami do włosów, całe zaś towarzystwo, włącznie z asystentami, odesłano do domów. Julie ze znużeniem rozejrzała się po pracowni, rada, bo wiedziała, że ta seria zdjęć będzie podniecająca.

- Nic się nie martw. Jutro każę posprzątać. Idź do domu, Julie - łagodnie powiedział Justyn.

Powinnam zostać, ale...

- Nie bądź głupia, jesteś wykończona. Idź, złotko, idź.

Kiedy w końcu został sam, odepchnął na bok płachty wilgotnego, brudnego papieru i starannie odłożył aparaty. Otworzył drzwi do swego biura ciekaw, jakiego tam chłopcy narobili bałaganu.

- Nie spieszyłeś się, Justyn. Myślałem, że zginąłeś. - Jon, z lekko jeszcze wilgotnymi rudymi włosami, siedział za biurkiem z taką swobodą, jakby do niego należało, a na widok Justyna uśmiechnął się szelmowsko.

- Nie mogłeś znaleźć ubrania? - zapytał Justyn cicho. Jego opanowany ton nie pasował do postawy człowieka wyszkolonego i gotowego się bronić.

- Jest dokładnie tam, gdzie po wejściu je zostawiłem.

- Przyjemnie ci siedzieć w wilgotnym kostiumie? - ostro rzekł Justyn.

- Wcale w nim nie siedzę. Zdjąłem go. - Jon znów się uśmiechnął i przeciągnął się leniwie jak duży kocur.

- Nie może ci być wygodnie - stwierdził Justyn z bardzo czujną miną. - A tak się składa, że to moje krzesło.

- Jeśli chodzi o ścisłość, wygodniej byłoby mi na kanapce - odparł Jon, ale się nie ruszył.

- Na pewno. - Justyn jakby w najgłębszym skupieniu rozszyfrowywał te słowa. - Na jakiej

jednak podstawie sądzisz, że pragnę twej obecności?

- Justyn - na poły z wyrzutem przedrzeźniał go Jon. - Czy sądzisz, że nie wiem, czego pragniesz? Czy sądzisz, że nie wiem, jak bardzo mnie pragniesz?

Na kanapce czy na podłodze, czy gdziekolwiek, gdzie będziesz mnie mógł wziąć? Czy sądzisz, że nie wiem, co chciałbyś mi zrobić, co ja muszę... i zamierzam... zrobić tobie? Masz mnie za głupca?

- Na jakiej podstawie wyrobiłeś sobie taki sąd o mnie? - zapytał Justyn, bardziej niż zwykle groźny w ruchach, choć nie musiał zrobić ani kroku.

- Nie na podstawie twoich słów czy wyglądu, chodu czy sposobu mówienia.

Nie “wyrobiłem” sobie takiego sądu... ja to wiem. Wyczuwam instynktownie.

- Czyżby? Jesteś całkiem pewien? Czy tylko tak ci się zdaje? Próbujesz z każdym fotografem, bo liczysz, że trafisz? I że coś z tego będziesz miał?

- Ja nie chcę niczego, Justyn, prócz tego samego co ty. Przepadam za tym jak ty, choć w przeciwieństwie do ciebie nie boję się prosić. Pożądam cię, odkąd tu wszedłem... w tym kostiumie trudno to było ukryć. Stoi mi, Justyn, jak jeszcze nigdy dotąd, i tobie też. Zza biurka widzę, jak bardzo mnie pragniesz. Więc chodź i skończ tę zabawę. Chodź, daj mi to, Justyn.

Obojętne jak, bylebyś był szczęśliwy. Jakkolwiek, cokolwiek... zniosę wszystko.

Justyn ruszył ku Jonowi w milczeniu i z gotowością.

20.

- Kłopot z tobą, Maxime, polega na tym, że jesteś zbyt impulsywna. - Opalowe oczy Lily zwały się, gdy popatrzyła na córkę ze znanym wyrazem hamowanego krytycyzmu.

- Wiem, mamó, że bywałam lekkomyślna, i wcale się tym nie chlubię, możesz być pewna, lecz "G&K" to całkiem co innego. Wychodzisz z niesprawiedliwego założenia, że to kolejna zabawka, nim zobaczyłaś, co chcę z tego zrobić.

Spójrz, przyniosłam ci makietę pierwszego numeru, żebyś się mogła przekonać. - Maxi skwapliwie podsunęła makietę matce.

- Nie, Maxime, nie mogę wydawać sądów na poczekaniu. Nigdy nie umiałam oceniać magazynów, zwłaszcza nowych. Nawet twój ojciec, choć niechętnie, musiał to przyznać. Schowaj ją do teczki, kochanie, żebyś wychodząc jej nie zapomniała.

- Proszę cię, mamó, zerknij tylko, może cię rozśmieszy - błagała Maxi.

Musi jakoś dotrzeć do Lily. Po powrocie z Europy rzadko ją widywała, bo była zbyt zajęta, aby czasami umawiać się z nią na lunch albo na popołudniowy występ baletu, co z biegiem lat uznały za najłatwiejszy i wywołujący najmniej tarć sposób podtrzymywania wzajemnych kontaktów. Dziś jednak musiała znaleźć wolną chwilę, gdyż została przez matkę wezwana na podwieczorek, jedyny zdecydowanie brytyjski rytuał, jakiego Lily przestrzegała od chwili przyjazdu na Manhattan przed z górą trzydziestu laty.

- Wolalabym nie, moja droga. Oczywiście przeczytam to, kiedy zostanie przyzwoicie wydrukowane, na razie jednak wolę poczekać. Liczę na miłą niespodziankę. Oderwałam cię dziś od pracy, Maxime, bo ostatnio zastanawiałam się trochę nad Wydawnictwami Amberville'a i byłam ciekawa, ile kosztuje ten twój nagły kaprys... to wyobrażenie, że jesteś wydawcą czy redaktorem, czy za co się tam uważasz.

- Więc Cutter ci nic nie powiedział? - zdziwiła się Maxi. Od jej ostatniej rozmowy z Cutterem upłynęło kilka dni i zakładała, że powtórzył już matce całą historię.

- Nie, w gruncie rzeczy mówił o tym bardzo niejasno. Jakby omijał ten temat. I właśnie dlatego zaczęłam się zastanawiać, co się dzieje, myśleć, czy nie zaistniało coś... coś między wami... o czym powinnam wiedzieć.

- Zaistniało? Chcesz powiedzieć, że mam problem z Cutterem? O to ci chodzi?

- Tak. - Lily naląła córce drugą filiżankę herbaty.

- Trochę się posprzeczailiśmy. On uważa, że wydaję za dużo pieniędzy, a ja wiem, że nie mogę wydać ani centa mniej i liczyć na sukces. Jeśli teraz przestanę wydawać, stracimy bezpowrotnie to co poszło na rozkręcenie pisma.

Trzeba albo robić tę rzecz dobrze, albo nie robić wcale, o czym nie zdołałam go przekonać. Ojciec wiedziałby dokładnie, co robię. Gwoli sprawiedliwości muszę przyznać, że nie byłam

bardzo taktowna w stosunku do Cuttera - właściwie wcale nie taktowna - ale on się nie zna na periodykach, ma mentalność z Wall Street. To naturalne, zważywszy że zawsze pracował w bankach, nie da się z nim jednak rozsądnie porozmawiać. Gdyby ojciec...

- Maxime, ojciec nie żyje. Twój problem z Cutterem polega na tym, że czujesz do niego urazę, że wbrew logice, że złości mu się przeciwstawiasz, co bardzo mnie martwi. Problem ten nie wynika z jego braku wiadomości czy zainteresowania...

- Nie o to chodzi, mammo...

- Chwileczkę, Maxime. Daj mi skończyć. Próbowałam zrozumieć, dlaczego tak... nieprzyjaźnie... odnosisz się do Cuttera. Wiem, że każdy, kto pojawiłby się w moim życiu po śmierci ojca, wzbudziłby w tobie te prymitywne uczucia. Zawsze byłaś ukochaną córeczką tatusia i nigdy o tym nie zapomnisz. - Dawna, dobrze znana gorycz zakradła się do głosu Lily, tego głosu tak delikatnie kontrolowanego; głosu mówiącego Maxi, że matka ma prawo do wszystkiego, czego zapagnie, i o nic nie musi prosić.

- Nie rozumiesz, czym jest dla mnie Cutter - podjęła Lily. - A nawet jeśli jakimś cudem rozumiesz, wcale cię to nie obchodzi. Mam pięćdziesiąt lat, Maxime, w styczniu skończę pięćdziesiąt jeden. Na pewno wydaję ci się tak stara, że nie przejmujesz się moimi uczuciami. Czym musi być pięćdziesiątka dla ciebie, która masz lat dwadzieścia dziewięć i prawie całe życie przed sobą, a za sobą przeszłość nie całkiem neurozmaiconą. W tym wieku co możesz wiedzieć o moich uczuciach?

- Na litość boską, mammo, pięćdziesiąt lat to nie starość! Nie jestem aż tak głupia, aby nie dostrzegać, że masz serce i ciało. Choć o to mnie nie posądzaj. Może kiedy ty byłaś w moim wieku, osoby pięćdziesięcioletnie wydawały ci się stare, ale czasy się zmieniły. - Maxi z takim oburzeniem odstawiła filiżankę herbaty, że Lily drgnęła, gdy porcelana stuknęła o stół.

- Czasy się zmieniły, lecz tylko w zasadzie. Natura ludzka pozostała ta sama - nieubłaganie ciągnęła Lily. - A w ludzkiej naturze leży zaliczanie własnej matki do bezkrwistych antyków. To nieuchronne, aczkolwiek Bóg raczy wiedzieć, że starałaś się tego uniknąć z Angeliką, jak dotąd z powodzeniem.

Robisz rzeczy tak szaleńczo nieoczekiwane, że po prostu uczestniczy w twoim życiu, co dla ciebie jest oczywiste... ona jest ogonem twojej komety.

Pewnego dnia jednak i ona ciebie sklasyfikuje, Maxime, zapamiętaj te słowa.

- Dlaczego rozmowa zeszła na Angelikę? - spytała mocno poirytowana Maxi.

- Sądziłam, że chodzi ci o pieniądze, jakie wydaję na "G&K".

- Kiedyś zrozumiesz, Maxime, co czuje człowiek wiecznie młody w pułapce ciała starzejącego się mimo wysiłków, które mają temu zapobiec - mówiła dalej Lily, jakby Maxi jej nie odpowiedziała. - Patrzę na modelki w magazynach mody i myślę, ach, tak, teraz... ale za

dwadzieścia lat te zdjęcia będą nie do zniesienia. Miniona piękność jest dożywotnim wyrokiem, nie błogosławieństwem. Utracona cudowność...

- Robisz się ponura, mamó. Jesteś piękna, byłaś piękna i zawsze piękna pozostaniesz. Jaki to ma związek z tym podwieczorkiem?

- Powinam była wiedzieć, że to beznadziejne. - Lily westchnęła i przebiegła rękami po gładkim, ciężkim koku. - Usiłowałam wyjaśnić ci coś, co dotyczy mnie i Cuttera, lecz jak zwykle utrudnia to twój brak wrażliwości. Cóż, Maxime, ile kosztuje to całe wydawanie pisma?

- Nie mogę na razie podać ci ostatecznej sumy. Bo będzie kosztować inaczej, jeśli się spodoba, a inaczej, jeśli go nikt nie kupi.

- Więc powiedz, ile wydałaś do tej pory?

- Blisko pięć milionów zostało w to zaangażowane na okres następnego półrocza.

- Czy normalnie tyle się wydaje, zanim się pozna wyniki przedsięwzięcia?

- Bezwzględnie tak. A właściwie nawet więcej. Weź na przykład Morta Zuckermana. Wpakował osiem milionów w "The Atlantic", a zysków nie spodziewa się przez rok z górą. Z kolei Gannett zainwestował olbrzymie sumy w "USA Today", mimo iż ma tak wspaniałego wydawcę jak Cathie Black, a rozkręcenie "Self" kosztowało fortunę...

- Oszczędź mnie, Maxime. Nie mogę znieść takiego rzucania przez ciebie liczbami. Mówisz, jakbyś naśladowała ojca, ale on przynajmniej wiedział, co robi. Więc od powrotu z Europy wydałaś pięć milionów dolarów, pięć milionów z pieniędzy Wydawnictw Amberville'a.

- Tak, mamó. Pięć milionów i nie zamierzam udawać, że to koniec.

Zapewniam cię, że nie pożałujesz. - Gdyby Lily obserwowała twarz Maxi, dostrzegłaby w niej taki sam jak u Zachary'ego zapał i także zdecydowanie.

- Ty zapewniasz. - Lily wzruszyła ramionami niemal zbyt lekko, aby dać wyraz ironii. - Cóż, nie mam zatem o co się martwić. Napijesz się jeszcze herbaty?

- Nie, dziękuję, mamó. Naprawdę muszę wracać do pracy.

- Rozumiem, kochanie. Ucałuj ode mnie Angelikę. Jeśli będzie wolna w przyszłym tygodniu, mam na sobotę po południu bilety na balet.

- Na pewno bardzo się ucieszy. - Maxi pocałowała Lily na pożegnanie.

Wszystko na nic. Zawsze było na nic. Kłopot z tobą, Maxime, polega na tym, że jesteś niewrażliwa, że nie doceniasz Cuttera, że jesteś córeczką tatusia, że chcesz mnie zainteresować swoją pracą. Kłopot z tobą, Maxime, polega na tym, że za wiele oczekujesz po matce.

Dzwoniąc na pokojówkę, aby zabrała tacę z herbatą, Lily myślała, jak mądrze zrobiła, że przeprowadziła rozmowę z Maxime. Córka postępowała, jak było do przewidzenia. Wydała pięć milionów, a za to może pokazać tylko makietę. Lily mogła nie lubić rozmów o interesach, ale wiedziała, że jeśli Maxi zapowiada dalsze wydatki, to trudno określić, ile wyniosą straty.

Niebezpieczna zabawka w rękach bezmyślnego ekstrawaganckiego dziecka, które nigdy w życiu nie musiało zarobić centa. Pięć milionów dolarów wyrzuconych w błoto w ciągu paru miesięcy. Nie warto się tym przejmować, skoro Cutter ręczy, że bilans jest jeszcze dobry. To tylko potwierdzenie, jeśli ona istotnie go potrzebuje, że po śmierci Zachary'ego rodzina Amberville'ów powinna zaniechać wydawania czasopism.

Nie chodzi o samą stratę pieniędzy, myślała Lily idąc na górę do swej garderoby, ale o Cuttera. Z typowym dla siebie brakiem egoizmu zataił przed nią straszne szczegóły szaleństwa Maxime. Musiał się wściekać, a jednak nie chciał jej niepokoić irytującą relacją o roszczeniach córki. Okazywał żonie przesadne względy. Powinien był jej powiedzieć. Maxi, szalony wydawca magazynu, a jakże! Lily krytycznie przejrzała swoje szafy. Odczuwa taki brak drogiego Mainbochera. A kto, zadawała sobie pytanie, potrafi powiedzieć, co Toby i Justyn, tak przez nią kochani, postanowią robić w przyszłości? We trójkę mieli trzydzieści procent akcji Amberville'a. Nie, dziękuję, ona nie chce spółki z dziećmi. Może i nie zna się na interesach - myślała z tym sprytem i nakierowanym na siebie zmysłem praktycznym, który potrafiła ukrywać przed wszystkimi, z samą sobą włącznie - tyle jednak wie.

- Wynoś się stąd - warknął na Angelikę mężczyzna zza ręcznego wózka.

- Dlaczego sprzedaje pan skórzane baty? - spytała ciekawie.

- Mniejsza z tym, mała, zjeżdżaj. - Przybory sadomasochistyczne nie pójdą, jeżeli w pobliżu będą się kręcić dzieciaki. Ta wysoka z tymi długimi włosami odpędzi klientelę. - Masz - powiedział i dał jej dolara. - Pójdź sobie kupić hot doga.

- Dzięki. - Angelika ruszyła w stronę wejścia do mieszkalnej części Wieży Trumpa. Będzie musiała złożyć jutro ze swoją bandą, Wojskiem z Wieży Trumpa, wizytę właścicielowi wózka. Darmowy hot dog dla każdego? Czemu nie?

Jedząc dokonywała inspekcji różnych wózków na Piątej alei. Portfele, paski, szaliki, biżuteria z najróżniejszych stron świata, rozłożone na niepokalanym niegdyś chodniku przed najpiękniejszymi sklepami detalicznymi pod słońcem. Wojsko nie widziało Piątej alei w dniach jej świetności. Ta banda włóczęgów, licząca od jedenastu do piętnastu członków, składała się z zamieszkałych w budynku jedynaków, dla których uliczni sprzedawcy stanowili ciągle źródło rozrywki i przedmiot zainteresowania, część ich świata, naturalny kontrapunkt mieszkań wartych miliony dolarów.

Wojsko wiedziało wszystko o Wieży Trumpa. Znało przejście przez ukrytą budkę, gdzie przez okrągłą dobę siedział strażnik, wiodące z dostojnego, małego, luksusowego holu, w tonacji głównie beżowej, do przestronnego, wysokiego na sześć pięter, wyłożonego różowym marmurem atrium ze sklepami, zaiste cudownym, magicznie zasilanym wodospadem i facetem we fraku, który

zawsze u wejścia grał na fortepianie. Zmęczeni nowojorczyki z wdzięcznością wchodzili, by przysiąść na chwilę, posłuchać ulubionych melodii i może zjeść kanapkę, gdy tymczasem w jednym z obłędnie drogich butików zaledwie o parę pięter wyżej sprzedawano kobietom z różnych krajów koszule nocne po cztery tysiące dolarów. Wojsko знаło każdy sklep, знаło piętro z pokojami dla zatrudnionych na stałe służących, знаło piękną blondynkę, panią Trump, i uzyskało od niej zgodę na odwiedzanie ogrodu należącego do jej trzykondygnacyjnego mieszkania, ogrodu z dużymi drzewami, zajmującego cały szczyt Wieży.

Angelika była hersztem bandy jako Amerykanka i lokatorka największego mieszkania. Prawie wszyscy inni byli cudzoziemcami, których rodzice traktowali mieszkania wyłącznie jako pioda-terre, gdyż ustawicznie przenosili się z jednej stolicy do drugiej. Ale dziś Angelika. nie miała ochoty szukać swych kumpłi. Martwiła się o matkę, choć nie bardzo wiedziała dlaczego.

Po pierwsze, dumiała, że własne pieniądze kupiwszy następnego hot doga, Maxi staje się tak dziwnie zorganizowana. Znalazła kucharkę i zanosilo się, że ta już zostanie, bo teraz Maxi sporządzała szczegółowe listy poleceń na każdy dzień, a do ciężkich robót najęła sprzątaczkę. Maxi - nigdy niczego nie planująca - zaczęła planować posiłki na tydzień z góry dla ułatwienia zakupów. W rezultacie Angelika była pewna, że w całej Wieży Trumpa jedynie ich kucharka nie dzwoni po prostu do Gristede'a, lecz sama wybiera produkty w alei Lexington. Co się stało z telefonicznymi zamówieniami robionymi w ostatniej chwili? - zastanawiała się Angelika.

Pamiętała improwizowane całymi latami dziwne uczyty, specjalności różnych kuchni, dawne niedbałe, beztroskie posiłki, często zjadane wprost z kartonów, w których je dostarczano. Posiłki w jej guście.

I rzecz nie tylko w tym, że co wieczór zasiadała z matką do obiadu. Maxi zaczęła też sprawdzać jej lekcje. Niekoniecznie po to, aby coś zrozumieć, bo dzisiejsza matematyka oczywiście była za trudna, podobnie jak wczorajsza, lecz dla pewności, że córka je odrobiła. Co więcej, Maxi zainteresowała się garderobą Angeliki i nie pozwalała jej nosić tego, co zechce, brać na rachunek w sklepach, jak to miała w zwyczaju od ukończenia dziesiątego roku życia. "Odpowiednia odzież - powiedziała przed paru dniami - niekoniecznie musi być zła." Cóż za makabryczne stwierdzenie w ustach mamy!

A jej sprawy sercowe. Jakby nie istniały, a mamie na tym nie zależało.

Czy może to być klimakterium? Angelika zastanowiła się i uznała, że dwadzieścia dziewięć lat to chyba za wcześnie. Ale jak daleko sięgała pamięcią, w życiu mamy zawsze był mężczyzna, jeden następował zaraz po drugim, a niekiedy, podejrzewała Angelika, trafiało się dwóch równocześnie.

Niczego sobie faceci, jak na starszych panów. Ale "G&K" nie pozostawiały jej czasu na nikogo, takiego czy innego. Kiedy nie była w biurze czy z Angeliką, co wieczór pracowała z

Justynem, z Julie albo z kimś z redakcji, albo też, rzecz zdumiewająca, często sama, naprawdę sama, pochylona nad żółtym blokiem, w swojej sypialni, gdzie od czasu do czasu wybuchała głośnym śmiechem, bo rozbawił ją własny dowcip, jak sądziła Angelika, skoro telewizor był wyłączony. Czy to nazywa się obsesją? I czy obsesja nie uchodzi za coś szkodliwego?

Nic jednak nie wskazywało na to, że Maxi zaczyna się gubić, dumiała Angelika. Wręcz odwrotnie; nad wszystkim panowała, była zdecydowana, absolutnie zdecydowana, co najgorsze, bo zdecydowana mama jest mniej zabawna od ładnej, szalonej mamy, którą należy nadzorować. Dorosła mama z mnóstwem dorosłych poglądów na to, jak różne rzeczy trzeba robić, była dla Angeliki przykrą niespodzianką. Mama się zmienia, na pewno, co Angelice się nie podoba. Nie. Ani trochę. Bo jeśli mama jest dorosłym członkiem tej rodziny, kimże jest ona?

Żaden jeszcze Cipriani nie przegryzł sobie dolnej wargi na wylot, pomyślał nagle Rocco i przestał zaciskać zęby.

- Najwyraźniej nie popełniłam klasycznego błędu - stwierdziła Maxi atakując dorsza w ostrym sosie, jakby to było łagodne puree z kartofli.

- Jakiego klasycznego błędu? - Rocco nie pojmował, dlaczego dał się namówić na ten wspólny obiad. Sądził, że z ciekawości. Po całej pracy włożonej w makietę, po znalezieniu Bricka Greenfielda, doskonałego młodego kierownika artystycznego, który miał się posuwać wytyczonym przez niego szlakiem, odczuwał niechętnie zainteresowanie przyszłością "G&K", lecz beztraska Maxi tak go rozpalala jak kreolska kuchnia Chez Leonie, gdzie uśmiechnięta haitańska właścicielka restauracji wzięła ich pod swe skrzydła i zamówiła dla nich dania.

Rocco słyszał już od nazbyt wielu osób, jak to Maxi osobiście odwiedziła prawie wszystkich najpoważniejszych klientów i posługując się jego - jego makietą - niczym wizytówką namówiła ich na ogłaszanie się w jej magazynie, z całą wrodzoną przebiegłością, zastosowawszy każdą sztuczkę i wykorzystawszy swój urok oraz nazwisko. Nawet on musiał przyznać, że zasadnicza koncepcja "G&K" mogła zabrzmieć przekonująco w ustach Maxi, jeśli ta wykorzystywała swój spryt, a ktoś nie miał z nią przedtem do czynienia. Jeśli na przykład jej nie znał i uwierzył, że pismo przyjazne czytelnikom jest potrzebne, aby uzupełnić absolutnie wystarczającą reklamę, jaką załatwiłaby czołowa agencja w rodzaju Cipriani, Lefkowitz i Kelly przy pomocy doskonale wyszkolonego zespołu specjalistów. Jeśli przypadkiem był cholernie głupi i naiwny, a pretensjonalna dziewczyna mieniąca się wydawcą i występująca w roli swego kierownika reklamy ominęła właściwą agencję reklamową i namówiła go na coś, do czego będąc przy zdrowych zmysłach nigdy by się nie zobowiązał.

- Rocco, co robisz z zębami? Ranisz się czy to tylko sos? - Zatraskana Maxi podała mu swoją serwetkę.

- Odłóż to, mam własną serwetkę, niech to diabli! Chyba rozgryzłem wielką ostrą paprykę.
Cholera!

- Mówiłam, żebyś uważał. - Maxi rozejrzała się po Chez Leonie, restauracji przy Pierwszej alei, tak małej, że mieściło się tam tylko sześć stolików, ale tchnącej rozkoszną atmosferą: stare płyty ze starymi karaibskimi melodiami puszczano gdzieś w głębi na starym gramofonie; z kandelabrow kapał wosk jak na filmie Cocteau; na stonowanych, niemal złotych ścianach tu i ówdzie wisiały rodzinne fotografie Leonie. Maxi miała tutaj uczucie, że spędza na którejś z wysp wakacje. Widocznie Rocco tak przywykł do alei Madisonsa, że obca mu jest poezja tego miejsca. I to jemu, który żył kiedyś ostrymi paprykami. Smutne.

- Jakiego klasycznego błędu? - powtórzył pytanie Rocco, gdy odzyskał poczucie godności.

- Polegającego na nieuświadomianiu sobie, że każdy numer ma dwóch klientów: czytelnika i tego, kto płaci za reklamę. Nie można zdobyć ogłoszeń bez czytelników, a czytelników bez ogłoszeń, bo cienki magazyn budzi podejrzenia. Dlatego właściwie za darmo przyjąłam ogłoszenia na pierwsze półrocze. No, nie całkiem, ale dużo, dużo taniej niż powinnam.

Absurdalnie tanio. Pierwszy numer będzie ładny, ciężki i uspokajający jak tłuste kurczę. Moja czytelniczka będzie go mogła brać do ręki ze świadomością, że za półtora dolara zrobiła interes. Rocco, zostaw trochę miejsca na główne danie.

- A to jeszcze nie ono?

- Zaczekaj - odparła Maxi ze szczególnie prowokującym uśmiechem, a pieprzyk nad idealnym łukiem jej górnej wargi poruszył się tak, że Rocco miał ochotę wymierzyć jej porządnego klapsa i zobaczyć, co z tego wyniknie.

- Chyba jednej tylko sprawy nie przemyślałaś do końca - rzekł. - A mianowicie dystrybucji. Magazyn może być najpiękniejszy pod słońcem, z czterokolorowymi reklamami na drugiej stronie, a mimo to będziesz musiała zdobywać te miliony czytelniczek, na które liczyłaś. Jeśli zaś ludzie nie znajdą "G&K", jakże je kupią?

- Rocco, czy słyszałeś o facecie nazwiskiem Joe Shore?

- Nie.

Maxi westchnęła.

- To był wspaniały staruszek, ale umarł, och, dobre piętnaście lat temu.

Do końca chodziłam z nim na wyścigi. Pozwalał mi jeść tyle hot dogów, ile mogłam zmieścić. Umarł tak, jak sobie życzył, w swojej łoży w Belmont Park, wygrany. Oczywiście postawił tylko dwa dolary, mimo to jednak wygrał.

- Maxi, o czym ty mówisz?

- O wujku Joem, ojcu wujka Barneya. Cóż, oczywiście nigdy nie zerwałam kontaktów z wujkiem Barneyem. Strasznie się przejął moim rozwodem z Chłopczyną Kirkgordonem... bardzo

mu odpowiadało, że jestem hrabiną.

Odwiedzali nas oboje z żoną w Straszonym Zameczysku i doskonale się bawili.

- Wujek Barney? J. Bernard Shore? Szef Półksiężycy? - Rocco skinieniem ręki kazał zabrać olbrzymi talerz z duszonymi żeberkami wieprzowymi, kurczęciem, żółtym ryżem i pieczoną kaczka. - Półksiężycy? - Głos mu się załamał.

- Jasne, że Półksiężycy. Trzeba mieć zapewnioną dystrybucję w całym kraju, Rocco - tłumaczyła Maxi ze słodką cierpliwością.

- Zdaję sobie z tego sprawę - rzekł ostrożnie Rocco. Ona próbuje go zabić. Kreolskie jedzenie i jątrzenie, ostra czerwona papryka i rozmyślna złośliwość. Zastanawiał się, czy już ma, czy zaraz będzie miał wrzód żołądka. Półksiężyc to najważniejszy krajowy dystrybutor w Stanach.

Oczywiście Wydawnictwa Amberville'a to dla firmy ważna pozycja, lecz z "G&K" tylko by się śmieli. Albo powinni się śmiać przy odrobinie rozsądku.

- Tak czy owak, poszłam do wujka Barneya i zwierzyłam mu się z kłopotu.

On wie, że od trzeciego roku życia zawsze potrafiłam wybrać zwycięzcę, więc podpisał ze mną umowę. Oczywiście dostają swoje zwykłe dziesięć procent od ceny wydrukowanej na okładce, nie mógł wziąć mniej, ale wyłożył mnie w pierwszym rzędzie. Rocco! Leonie! Prędko, chyba się zadławił. Mój Boże, Leonie, czy w tej rybie były ości? Rocco, podnieś rękę do góry, nie, Leonie, nie wal go w plecy. Rocco, chcesz, żeby cię ścisnęła? Wykonała manewr Heimlicha? Och, zdecyduj się! Masuj palcami szyję, jeśli nie możesz oddychać... no, nic ci nie jest... Chryste... napędziłaś mi stracha. Nigdy już cię tutaj nie przyprowadzę. Leonie, poproszę o ten twój haitański koniak. Słabo mi.

- W pierwszym rzędzie? - szepnął Rocco łapiąc dech po każdym słowie. - Na pewno tak powiedział?

- Na mur. Obiecał zrobić miejsce, nawet gdyby musiał sam powiększyć regały.

- Za ile?

- No, to już inna sprawa. Muszę za to płacić bezpośrednio detaliście.

Okolo pięciu dolarów co trzy tygodnie. To znaczy, od sklepu. Nie sądzisz przecież, że w supermarketach wykładają magazyny przy kasie z litości, Rocco? Czy w ten sposób "People" i "National Inquirer", i "Cosmo" trafiają na front, gdzie ich nie można przeoczyć? Zresztą interes to interes - żwawo stwierdziła Maxi i aby się otrząsnąć z wrażenia po zachłyśnięciu się Rocca, zjadła jego porcję żeberk przyprawionych chili na dodatek do własnej.

- Przepuścisz pieprzoną fortunę! - ryknął.

- Rocco, bądź łaskaw mówić ciszej... albo przynajmniej nie używać takich słów. Może przepuszczę fortunę, ale mam oczy otwarte i stawiam na siebie.

Wujek Barney też... będzie przez rok finansował mój pierwszy rząd. Kiedyś wybrałam mu

fuksa. Coś takiego przytrafiło mu się tylko raz w życiu... a ja miałam zaledwie trzy lata, nawet nie umiałam czytać. Och, Rocco, na litość boską, napij się mojego koniaku. Martwię się o ciebie. Czy pomyślałeś o zrobieniu sobie badań? Znam dobrego internistę, specja od nerwowych pracowników reklamy, jakby byli jacyś inni.

Poważna grupka osób wysiadła z samolotu w dniu oddawania pierwszego numeru "G&K" do druku w olbrzymich zakładach Meredith/Burda pod Lynchburgiem w stanie Wirginia. Po przyjeździe podzielili się, gdyż cała siódemka nie zmieściłaby się w jednym wynajętym samochodzie. Za kierownicą pierwszego siedział Justyn, który przyjechał udzielić siostrze moralnego wsparcia, obok niego Maxi, a z tyłu Julie i Brick Greenfield. Drugi samochód prowadził Allenby Winston Montgomery, kierownik produkcji zaproponowany przez Pavkę. Jego długa, posępna twarz miała zwykły wyraz, jakby z rezygnacją, godnie i cierpliwie wstępował na stopnie gilotyny, on sam zmienił się jednak nieco od dnia, kiedy Maxi uznała, że lepiej do niego pasuje przezwisko "Monty" niż "Generał". Raz nawet się do niej uśmiechnął, a choć nie powtórzyło się to już więcej, obserwatorzy nie wykluczali, iż przed końcem roku uśmiechnie się znowu. Towarzyszyła mu Angelika, która nie bacząc na szkołę nie zgodziła się puścić Maxi samej, oraz Harper O'Malley z kontroli wydawniczej, zaangażowany po to, aby co miesiąc nadzorować w drukarni proces produkcji, sprawdzać wydrukowane egzemplarze, kontrolować jakość druku i w razie potrzeby dokonywać natychmiastowych zmian.

Maxi jechała z cennym zwitkiem drugich kolorowych odbitek w ręce, na których ona, Brick Greenfield i Monty dokonali ostatecznych poprawek po zwróceniu ozalidów i pierwszej kolorowej korekty do drukarni. Nie widziała krajobrazu Wirginii, bo próbowała sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz czuła coś podobnego, czego wolałaby nie nazywać strachem, gdyby pozwalała jej na to uczciwość.

Tak, przypomina sobie. Zdarzyło się to już przedtem, na jakieś trzy dni przed urodzeniem Angeliki. Ona i Rocco poszli do kina i nagle, w trakcie filmu, poraziła ją świadomość, że dziecko, które od prawie dziewięciu miesięcy pogodnie nosi w brzuchu, może się stamtąd wydostać tylko jedną drogą. Ten absolutnie bezsporny fakt, do tej chwili jakoś ignorowany, objawił jej się z taką siłą, że myślała wyłącznie o tym, jak się z tej sytuacji wyplątać. Musi, po prostu musi być jakiś sposób na uniknięcie porodu. Ale na widok ogromnego brzucha nawet Maxi musiała uznać pewną niepodważalną logikę. Nie da się ominąć strachu. Musi przez to przejść.

Plik odbitek leżących na jej kolanach musi się znaleźć w drukarni, tak jak Angelika musiała się znaleźć na tym świecie. Z lekka odprężona Maxi czule poklepała odbitki. Niezależnie od tego, jaka je czeka przyszłość, ona dała im z siebie wszystko to, co najlepsze.

Sam ogrom drukarni Meredith/Burda wystarczył, aby napełnić strachem, jeśli nie wręcz przerażeniem, wszystkich prócz Harpera O'Malleya i Bricka Greenfielda, którzy bywali tu jako pracownicy innych czasopism. Gigantyczne skomputeryzowane maszyny wiły się wokół przestronnej hali, wysokiej na pięć pięter, gdzie paru czołowych drukarzy czekało, aby ich powitać. Potężny, ogłuszający, prawie niewiarygodny hałas uniemożliwiał rozmowę, wymieniali jednak uściski dłoni i robili miny, gdy Maxi wręczała im zaakceptowane próbne odbitki. Było zupełnie tak, jakby uwięźli w Nowych Czasach Chaplina, myślała, z udoskonaleniami z Wojen gwiazdnych. Tu i tam mrugały komputery, ustawicznie sprawdzające żółć, czerwień i błękit farb, a oni z "G&K" czekali, zbici w gromadkę, pełni napięcia i powagi, na zejście z maszyny pierwszego egzemplarza. Mimo automatyzacji i komputeryzacji nadal było i zawsze będzie potrzebne ludzkie oko, które przejrzy każdą stronę i stwierdzi jej zgodność z projektem. Kiedy pojawił się pierwszy egzemplarz, wszyscy stłoczyli się dokoła i zaczęli go kartkować.

Każde z nich, wyjąwszy Angelikę i Justyna, uważało, że wie, czego się ma spodziewać, setki razy bowiem zastanawiali się nad każdym słowem i zdjęciem, ale widok zszytego, oprawionego i przyciętego periodyku był czymś zupełnie innym niż oglądanie go w kawałkach i na rozkładówkach; jedno prawie tak się różniło od drugiego, pomyślała Maxi, jak wzgórek na jej kolanach, widziany w kinie, od niemowlęcia ujrzanego w sali porodowej.

Prawie, ale nie całkiem tak.

Kiedy ona, Monty, O'Malley i Greenfield wyrazili ostateczną aprobatę, pierwszy nakład "G&K" zaczął schodzić z prasy. Wielkie maszyny obwiązywały plastikowymi taśmami duże paczki, które na pasach wyjeżdżały na zewnątrz, na rampę, gdzie w pogotowiu czekała flotylla ciężarówek. W ciągu czterech dni egzemplarze nowego magazynu trafią na każde większe stoisko z gazetami, znajdą się w każdym dużym supermarkecie i drogerii w Stanach Zjednoczonych.

Maxi, a za nią cała reszta wyszła na rampę, aby patrzeć na odjazd pierwszych ciężarówek. Monty przerwał nagle milczenie, gdy niemal załamującym się głosem obwieścił: "No, jada". Wtem się uśmiechnął, jakby na widok stadka piskląt, które zrywają się do pierwszego lotu. Maxi westchnęła głęboko, a stojąca obok Angelika obróciła się, uniosła ją parę cali nad rampę, wyściskała z całych sił i pocałowała w oba policzki.

- Hej, mamó - powiedziała - co się dzieje? Ty płaczesz?

21.

Maxi grasowała po wschodnim stoisku z gazetami w budynku Pan Amu. Należy ono do największych i najlepiej zaopatrzonych na Manhattanie, ponieważ setki tysięcy osób mijają je każdego ranka i wieczora i rozglądają się za czymś do czytania. Mieści się przy jednym z głównych nowojorskich skrzyżowań, w budynku, przez który trzeba przejść, aby się dostać do setki różnych miejsc, włącznie z koleją podziemną i stacją Grand Central. Każdy wydawca, od Newhouse'a do Annenberga, od Forbesa do Hearsta, ma swoich przedstawicieli, którzy po kilkanaście razy dziennie sprawdzają, jak idzie sprzedaż, ilekroć nowy numer pisma trafia na półki. Po stoisku krążą bystroocy eksperci, ludzie zdolni przeliczyć egzemplarze na półce i po godzinie zrobić to samo, a następnie wyciągnąć wniosek, czy zdjęcie na okładce albo notki reklamowe przyciągnęły rzesze czytelników, okazały się niewypałem czy też podziałały jak zwykle.

Egzemplarze "G&K" zjechały z rampy w Wirginii już przed czterema dniami i Maxi do tego wieczora zmuszała się do czekania. Dziś, idąc na wschodnie stoisko z gazetami, nie chciała wziąć ze sobą nikogo z biura. Nie był to taki zbiorowy wysiłek jak oddanie pierwszego numeru do drukarni. To należało zrobić w pojedynkę. W ruletkę gra się w grupie, ale najlepiej po pieniądze się idzie albo nonszalancko wstaje się z krzesła, po przegraniu wszystkiego, bez towarzystwa i bez fanfar.

Krążąc powoli, zbliżała się coraz bardziej, zrazu oszołomiona samą obfitością periodyków i panującym przy stoiskach zgiełkiem. Stopniowo jednak obraz nabrał ostrości. Wujek Barney zostawił drukarni rozdzielnik uwzględniający hurtowników w różnych częściach kraju. Zwykle ci hurtownicy na podstawie dawnych doświadczeń decydowali, ile egzemplarzy przesłać każdemu z detalistów. W przypadku "G&K", nowusieńkiego magazynu, sam wujek Barney ustalał te liczby według własnego rozeznania. Stoisko z gazetami nie ma takich dobrych punktów jak supermarket, przez które ludzie przechodzą, ale zawsze skupia się tam wszystkie najpoczytniejsze pisma w jednym miejscu, aby klienci nie musieli ich szukać. "G&K" miano na początek - tylko na ten miesiąc, ponieważ nawet potężny wujek Barney nie mógł zrobić nic więcej - wyłożyć obok "Cosmo". "Cosmo" rozchodziło się w dziewięćdziesięciu dwóch procentach na poszczególnych stoiskach czy w supermarketach i samo sąsiedztwo dałoby "G&K" specjalną szansę zwrócenia na siebie uwagi kobiet.

Maxi zlokalizowała półki z "Cosmo", które wyszło przed paru dniami, i uświadomiła sobie, że są do połowy puste w porównaniu z innymi półkami, nadal zawalonymi większością kobiecych pism. Podsunęła się bliżej, niespokojnie spoglądając na prawo i lewo, nigdzie jednak nie mogła wypatrzeć jaskrawoczerwonej okładki "G&K", wybranej przez Rocca właśnie dlatego, że każdy prócz daltonisty musi zauważyć ten kolor znaku stop. A ona, u diabła, nie jest daltonistką, pomyślała. Czyżby pisma jeszcze nie dostarczono? To wydawało się niemożliwe. W ciągu czterech

dni egzemplarze miały docierać do każdego miasta i przystanku autobusowego w kraju. Na stoisko wschodnie niewątpliwie trafiły równie szybko albo i szybciej niż na każde inne.

Czy kierownik stoiska, zadawała sobie pytanie, mógł pozostawić paczki z "G&K" nie otwarte, tak zajęty towarem na pewno chodliwym, że się nie pofatygował zobaczyć nowego? Monty w swojej nieskończonej mądrości opowiedział jej kilka takich strasznych historii: ilekroć się zdarzały, niezależnie od przyczyny, oznaczały śmierć. Śmierć. Zatonięcie. Choćby wydawca jak najstaranniej przemyślał wszystkie szczegóły, jego los zależał w końcu od tego nie znanego człowieka, który otwiera paczki z czasopismami, książkami czy gazetami i wystawia je na sprzedaż. Jeśli ten człowiek dostanie grypy i zastępuje go ktoś mniej doświadczony, wydawca ginie. Jeśli jest zmęczony albo pokłócił się z żoną, więc się nie krząta jak zwykle... koniec. Do diabła z czynnikiem ludzkim, myślała Maxi, coraz bardziej podniecona. Takie rzeczy powinien robić komputer albo roboty.

Niezdolna się opanować, stanęła dokładnie na wprost sterty "Cosmo".

Wpatrywała się w półkę szeroko otwartymi oczami, z trudem łapiąc powietrze i mrugając. Wysoki stos "The New York Review of Books" piętrzył się tuż obok "Cosmo", tam, gdzie powinny leżeć "G&K". To należało przewidzieć!

Wystawiono ją do wiatru! Ohydny nowojorski sprzedawca gazet, jakiś zdziwaczały intelektualista z absolutnie fałszywymi pseudoliberalnymi pretensjami, którego syn przypuszczalnie pisuje wiersze albo nawet zamierza pisać krytyczne rozprawy o grze na klawikordzie - drań - uzurpował jej miejsce! Zdobywa za "NYRB" sprawności skautowskie dla swojego paskudnego dzieciaka. Już ona się tym zajmie! Przepchnęła się na środek stoiska, gdzie zaharowani chłopcy wpadali na siebie próbując wydawać resztę niecierpliwym klientom.

- Szukam szefa - zwróciła się do wszystkich. - Pokażcie mi go, ale już!

- Tu nie wolno wchodzić, panienko. I ja jestem szefem. Zechce pani wyjść.

- Duży mężczyzna odpędził ją gestem i niemal się odwrócił. W Nowym Jorku musi być pełno pięknych, pomyłonych dziewczyn z potarganymi włosami i wściekłymi zielonymi oczami.

- Diabła tam zechcę. - Maxi okręciła nim dokoła. - Gdzie wyłożyliście "G&K", do cholery? Dlaczego nie obok "Cosmo"? I proszę mi nie wmawiać, że nie dostaliście egzemplarzy, bo na pewno...

- Dostaliśmy. Taak, dostaliśmy i wszystkie się rozeszły, choć nie wiem, co to takiego. Dzwoniłem do detalisty, do jego przedstawiciela do spraw sprzedaży, i ma dostarczyć mi dalsze dwie setki. Więc proszę nie mieć pretensji, założyłem miejsce tym głupim pisemkiem, a to naprawdę boli.

- Rozeszły się? - szepnęła Maxi. - Ludzie je kupili?

- Proszę tak na mnie nie patrzeć, panienko. Nie wiem o nich nic więcej niż pani. Zwyczajnie

się rozplynęły. Czegoś takiego w życiu nie widziałem.

Hej, niech pani da spokój ! Nawet pani nie znam... niech mnie pani przestanie całować... no, dobrze, proszę mi nie płakać w koszulę... tusz, szminka... pewnie, zgadzam się, świetnie, że nie jestem robotem. - Szkoda, że to wariatka, z takimi nogami: ależ nóżce, prawdziwe staroświeckie nóżki, jak u Maryilyn i Rity, i Cyd Charisse. Szkoda, że jest dla niej za stary... tak czy owak, tamowała ruch.

Pavka Mayer i Barney Shore prawie się nie znali. Choć Półksiężyc zajmował się krajową dystrybucją wydawnictw Amberville'a od blisko trzydziestu siedmiu lat, wyrafinowany, szalenie elegancki dyrektor artystyczny rzadko się kontaktował z zadziornym potentatem, nadal czytującym głównie programy wyścigów. Mimo to w trzy dni po wizycie Maxi w budynku Pan Amu Barney Shore zaprosił Pavkę Mayera na lunch do Le Veau d'Or, małej francuskiej restauracyjki, gdzie obaj dobrze się czuli, restauracyjki otwartej, jeszcze zanim oni zaczęli pracować, tak wytwornej jak Pavka i tak zwyczajnej jak Barney, nie luksusowej, wyśmienitej restauracyjki znanej jedynie nowojorczykom.

- Musiałem to uczcić z kimś, kto czuje podobnie jak ja rzekł Barney.
- Rad jestem, że zadzwoniłeś - zgodził się Pavka z powagą.
- Upłynął tydzień, a rozeszło się we wszystkich większych miastach.

Czegoś podobnego nie widziano od wydania pierwszego numeru "Life'a". Moje komputery szaleją. Nie przyczyniły się do zakończenia wojny między Fort Worth a Dallas wyjazdy pań z Dallas do Fort Worth i pań z Fort Worth do Dallas w nadziei, że w tym drugim mieście dostaną egzemplarze. Nie dało się nawet przekupić sprzedawców na stoiskach przy wyjściu z supermarketów... nie mogli sprzedać tego, co już wcześniej sprzedali. Ta sama historia powtórzyła się w Chicago, Los Angeles, San Diego, Bostonie, Milwaukee... wszędzie. Źle obliczyłem, należało wydrukować pięć... nawet dziesięć... razy tyle. Namówiliśmy Meredith/Burdę na dodruk - wierzgałi, wrzeszczeli i zapłaciliśmy podwójnie - więc lepiej zachowaj swój egzemplarz jako pierwsze wydanie, okaz kolekcjonera. - Barney Shore uśmiechnął się szerzej.

- Nie masz przypadkiem zbędnych egzemplarzy, co? - zapytał Pavka.
- Niestety, żona łaskawie, choć bez pytania, obdzieliła nimi przyjaciółki... córki o mało jej nie uduszą - odparł Barney z chichotem zadowolenia. Boże, jak lubił kierować się przecuciem, a Maxi zawsze przynosiła mu szczęście.

- Bałem się, że to powiesz. Przyjaciółki mojej żony nigdy same nie robią sprawunków, a gdy się wreszcie zdecydowały wejść do supermarketu, było już za późno. Dziewczęta z biura, zbyt zblazowane, aby się zainteresować, przez całe życie po kolana brodzące w czasopismach, teraz na zmianę latają do stoiska z gazetami w naszym budynku, aby nie przegapić nadejścia następnej

partii. Nie sądzisz, że w drukarni mogliby się zatroszczyć o odłożenie nam specjalnej paczki? - Zadowolone oczy i triumfalna mina Pavki zadawały kłam jego narzekaniom.

- Moja sekretarka wpadła na pomysł i chciała skraść egzemplarz z teczki u fryzjera, ale właściciel zakładu wziął go już do domu i nie odniesie z powrotem. Mówi, że wszystkie klientki to niepoprawne kleptomanki, a zresztą im nie sprawi to tak wielkiej przyjemności jak jemu. No, Pavka, oto nasze drinki...

Dwaj mężczyźni stuknęli się wzniesionymi do góry szklankami. Ich oczy się spotkały, a uśmiechy zgasły.

- Za Zachary'ego Amberville'a - powiedział Pavka.

- Za Zachary'ego Amberville'a - jak echo powtórzył Barney Shore.

Rocco zadzwonił do swojej sekretarki.

- Gdzie są Lefkowitz i Kelly? - zapytał.

- W gabinecie pana Lefkowitza. Zadzwonić do nich?

- Nie, panno Haft, sam pójde.

Jego rudowłosi, niebieskoocy wspólnicy właśnie wrócili z lunchu i nie zdążyli jeszcze zdjąć płaszczy. Kelly, który sypiał z numerem "Gentleman's Quarterly" na nocnym stoliku, miał na sobie szyty na zamówienie ciemnoszary wcięty płaszcz z aksamitnymi wyłogami i kapelusz filcowy z rondem podwiniętym z boku, a opuszczonym z tyłu i z przodu. Lefkowitz, jako dwudziestoparoletni młodzieniec silnie naznaczony przez film z Belmondem, Stavisky, nosił borsalino z włoskiej firmy, o czym często przypominał Kelly'emu, Borsalino Giuseppe e Fratello w Alessandrii, a nie jakiś zwykły filcowy kapelusz z szerokim rondem. Rondo opuszczał tylko z jednej strony, żeby go brano za F. Scotta Fitzgeralda, i on też stał w swoim dwustronnym tweedowym płaszczu nieprzemakalnym od Cesaraniego.

- Zimno wam, chłopcy - zagadnął Rocco - czy to próba przed przeróbką Żądła?

- Spójrz na to, Rocco! - w podnieceniu powiedział Lefkowitz.

- O mało nie stratowaliśmy paru dziwek, ale złapaliśmy - rzekł z triumfem Kelly. - Popatrz, Rocco. Co sądzisz... nie warto było dać się prawie rozszarpać pazurami?

Zrobili mu miejsce, żeby widział, jak odwracają kartki "G&K", tak spostrzegawczy, jak potrafią być wyłącznie mężczyźni nastawieni na sprzedawanie ludziom rzeczy, których potrzeby ci nie zdążyli sobie uświadomić.

- Ładne - skomentował Rocco.

- Ładne? - parsknął Rap Kelly. - Dzięki Bogu zakupiliśmy te strony za odpowiednią cenę. "Ładne", Rocco nie ma nic więcej do powiedzenia. Czy to nie lekka zazdrość, kolego?

- Daj spokój, Rap. Czemu, u diabła, miałbyś myśleć o takiej głupocie? - chciał wiedzieć

Lefkowitz.

- Spójrzmy prawdzie w oczy, Man Ray, to pismo ma bardzo specjalny wygląd.

Nie widziałem nic choć odrobinę zbliżonego. Chryste, popatrz na to wykorzystanie białej przestrzeni, na tę typografię, grafikę, układ... może wam się wydaje, że umiem tylko zdobywać nowe zamówienia, ale nie jestem ślepy.

- Powiedziałem, że ładne - powtórzył Rocco gwałtownie, patrząc na strony zaprojektowane dla Maxi, strony, do których nigdy nie będzie się mógł przyznać, bo wyszedłby na skończonego durnia.

- Powiedział, że ładne, Rap, więc czego jeszcze chcesz? - pośpiesznie rzucił Lefkowitz. - Słuchaj, Rap, w czasach, kiedy Rocco to robił, bynajmniej nie ustępował temu facetowi, dorównywał mu z łatwością, każdy ci to powie.

- Taak - przyznał Kelly - jeśli jeszcze pamięta.

Justyn ubierał się szybko, strasznie spóźniony na urządzone w biurze Maxi obławanie sukcesu, jaki odniósł pierwszy numer "G&K", więc nie usłyszał, gdy pierwszy raz zastukano do drzwi jego skromnego mieszkania z wejściem wprost z ulicy. Drugie stukanie było głośniejsze, bardziej natarczywe.

- Otwierać, policja.

Co, u diabła, pomyślał Justyn i pośpieszył do drzwi. Stanęli w nich dwaj niedbale ubrani mężczyźni.

- Justyn Amberville?

- Tak. A bo co?

Pokazali mu swoje odznaki.

- Nowojorska policja miejska. Mamy nakaz przeszukania mieszkania.

- Przeszukania? Dlaczego? Co się dzieje? - zdziwił się Justyn i prędkim ruchem zagroził im wejście. Odepchnęli go sprawnie, a kiedy zaczął stawiać gwałtowny opór, wykorzystując całą swą siłę, we dwóch musieli przyprzeć go do ściany.

- Harry - zwrócił się jeden z nich do drugiego - ty się tu rozejrzyj.

Justyn uważa się za twardziela i ma zastrzeżenia, więc przetrząsnijmy mu mieszkanie, żeby popamiętał. Oto nakaz, Justyn, dziecińco. Spokojnie. - Pogarda w jego głosie, gdy wymawiał imię Justyna, była jawna, prowokująca, lecz na widok papierka Justyn zrozumiał, że opór jest bezcelowy, a zresztą nie miał nic do ukrycia.

Obserwował, na chwilę zaniemówiwszy z prostego niedowierzania, w milczeniu typowym dla marzyciela, jak pierwszy policjant szybko przeszukuje salonik, rozcina wszystkie poduszki kanapy i obicia foteli, zrzuca z półek książki, rozbiera kolumny stereo. Wciąż unieruchomiony pod

ścianą nasłuchiwał odgłosów gruntownego niszczenia sypialni. Wyszedł z niej Harry.

- Nie tam, Danny, chyba że pod podłogą. Spróbuję w następnym pokoju.

- To moja ciemnia. Są tam rzeczy wartości tysiący dolarów... na litość boską, ostrożnie.

- Pewno, Justyn. Po to tu jesteśmy, żeby być ostrożni - zadrwił Harry.

Szarpnął drzwi ciemni, zapalił światło i rozpoczął przeszukiwanie, ciskając wszystkim, co go nie interesowało. Justyn patrzył, jak jego aparaty po kolei lecą na podłogę, jak rozpryskują się obiektywy. Kiedy poszybował trzeci aparat, Justyn wyrwał się z silnego uchwytu Danny'ego i z łatwością obalił Harry'ego na plecy. Policjant stęknął z bólu, przez chwilę niezdolny się poruszyć.

- Łajdak! - Justyn splunął i prędko obrócił się do Danny'ego. Kopniakiem rozwalił mu łokieć. Wywiązała się bójka, krótka, paskudna, brutalna. Gdyby nie ich niedozwolone giętkie pałki z ciężkim zakończeniem, obaj detektywi znaleźliby się na podłodze, niezdolni oddychać, ale w końcu to Justyn na pół przytomny z pobicia dał sobie założyć kajdanki.

- Harry, przeoczyłeś ten mały schowek. - Danny z trudem łapał powietrze i trzymał się za łokieć. - Nasz elegancik musi gdzieś mieć towar. - Drugi detektyw, dysząc po razach zadanych przez Justyna, ściągnął z półki stos pudeł i przerzucił starannie poukładane w nich zdjęcia. Otworzył puste futerały do aparatów i cisnął nimi ze wstrętem. Wreszcie pociągnął za suwak worka, który Justyn odłożył po ostatniej podróży.

- Złotodajne błoto - mruknął, podniósł torbę i postawił ją na podłodze, aby kolega mógł zobaczyć jej zawartość. - Ile tego jest, twoim zdaniem, Danny? Co ty na to, Justyn, he, co powiesz, kreaturo? - Mocno kopnął Justyna w zębra. - Na moje oko ze trzy kilo prochów, cała pieprzona boczna kieszeń wypchana towarem. Na ulicy to warte miliony dolców. Uważał widocznie, że znalazł idealną kryjówkę. Zbyt oczywistą, aby do niej zajrzeć, co, Justyn? Chodź, Danny, wezmę go, wyłożę mu prawo. Zejdź tylko na dół. Wróć po torbę. Pewnie bardzo cię boli. - Złośliwym szarpnięciem za skute kajdankami ręce podniósł Justyna na nogi.

- Proszę, panie Amberville, mamy randkę w śródmieściu.

Kiedy Justynowi postawiono zarzut posiadania kokainy z przypuszczalnym zamiarem sprzedaży, kiedy zrobiono mu odciski palców i zdjęcia, pozwolono, aby do jednej osoby zadzwonił. Oszołomiony, zamroczony, obolały, instynktownie zwracając się do tej osoby, do której śmiał, wykręcił numer Maxi.

Telefon odezwał się, ledwie ułożyła do łóżka nieprzytomną Angelikę.

Usiadła przy biurku, potwornie zmęczona, lecz w takiej euforii, tak absolutnie zadowolona, że jej samej nie chciało się iść do łóżka i zakończyć oblewania, które do późna się przeciągnęło.

- Justyn! Dlaczego nie przyszedłeś? Wszyscy czekaliśmy... Co? Co! Nie, to niemożliwe... nie rozumiem... oczywiście, zaraz przyjeżdżam. O Jezu, Justyn, mam przywieźć lekarza? Więc adwokata? Nie? Jesteś pewien? Dobra.

Obiecuję nic nikomu nie mówić. Postaram się być jak najszybciej... tak, książeczka czekowa. Czekaj, już jadę.

Maxi dotarła na komisariat północny po jedenastej, zaledwie w kwadrans po wyjściu z mieszkania, ale kwadrans koszmarny: koszmarnych domysłów, koszmarnych ulic widzianych z okna taksówki; przez ten kwadrans koszmar się spotęgował; zaszło coś ohydneho, nie całkiem jasnego, od dawna jednak budzącego obawy. Było to coś więcej niż fakt aresztowania Justyna; uczucie, że tego się spodziewała, choć przymykała oczy na przyczyny; wstrętny posmak czegoś znanego, czegoś na poły zrozumiałego, na poły podejrzanego, niewidzialnego, ukrytego, trzymanego poza zasięgiem wzroku, umyślnie, wręcz skrupulatnie nie dostrzeganego, czegoś straszniejszego niż wszystko, co w świetle dziennym przychodziło jej do głowy. Myślom jej brakowało klarowności i choć miała na sobie futro, nie potrafiła opanować gwałtownych dreszczy. Książeczka czekowa. Jest w torebce, jedyny stały punkt odniesienia we wszechświecie. W rojnym komisariacie, gdzie trudno się było w czymkolwiek połapać, zdołała wreszcie umiejscowić dyżurnego sierżanta.

- Nie, proszę pani, nie ma mowy o wydostaniu go za kaucją. Kaucji jeszcze nie wyznaczono. Nie ma go tutaj, proszę pani, po postawieniu zarzutów przewieziono go do pierwszego komisariatu, gdzie ma czekać, aż go pozwą przed sędziego. Powinien był zadzwonić do adwokata, nie do siostry. Jaki zarzut? Posiadanie, piszą tu, i przypuszczalny zamiar sprzedaży. Ile narkotyku? Dosyć. O wiele za dużo. Tyle tylko wolno mi powiedzieć. Nie, oczywiście nie może go pani zobaczyć. Dopóki nie stanie przed sędzią. I niech pani przywiezie adwokata. Co? Nie chce adwokata? Cóż, proszę posłuchać, on potrzebuje adwokata. I to bardzo.

Maxi jeszcze przez pół godziny na próżno szukała w komisariacie kogoś, kto mógłby jej powiedzieć coś więcej, zanim ją zatrzymał nieznajomy młody człowiek.

- Panna Amberville? Rozumiem, że dziś wieczór aresztowano pani brata... - rzekł ze współczuciem.

- Kim pan jest? - zapytała Maxi.

- Może potrafię pomóc. Widziałem, jak go przywieźli. Zdecydowanie wymagał opieki lekarskiej i uznałem, że powinna pani o tym wiedzieć.

- Kim pan jest?

- Chyba znaleźli u niego w mieszkaniu dużo kokainy. Twierdził, że nie jest jego, że musi należeć do kogoś innego. Nie przychodzi pani na myśl, kto mógł ją tam złożyć? Czy mógł to być ktoś, komu on ufał, jakiś znajomy, przyjaciel, ktoś...

- Proszę odejść - wrzasnęła Maxi. Zbiegła ze schodów, zapamiętała wymachując na taksówkę. Przyjaciel? Znajomy? Ktoś, kto chował kokainę w tym mieszkaniu, do którego nawet ona nie miała wstępu, w którym Justyn strzegł swej tajemnicy, jakby była czymś kruchym i

nieskończenie cennym. Och, Justyn, jakich ludzi nazywasz przyjaciółmi? Któż zna cię lepiej niż ja?

Biedny, słodki, zagubiony Justyn... Tak usilnie starałam się niczego nie odgadywać. Czy nie tego pragnęłam, bardziej niż czegokolwiek innego na świecie, abyśmy się nie domyślili?

Trudna rada, myślała Maxi podnosząc słuchawkę telefonu przy swoim łóżku, aby zadzwonić do Lily. Sama mogła się natychmiast skontaktować jedynie z adwokatami wyspecjalizowanymi w rozwodach. Justyn zdecydowanie potrzebował pomocy najlepszej firmy prawniczej, do jakiej mogły się zwrócić Wydawnictwa Amberville'a, a zresztą Lily należało powiadomić możliwie delikatnie, zanim przeczyta o aresztowaniu Justyna w jutrzejszej gazecie.

- Jak się masz, mamó?

- Wiesz, która to godzina, Maxime? - odezwała się Lily sennym głosem.

- Tak, jest po północy. Bardzo mi przykro, że cię budzę, ale... coś się stało, coś... nie, nikt nie jest ranny ani pobity, mamó to coś innego.

Aresztowano Justyna.

- Poczekaj, przejdę do innego aparatu - szepnęła Lily. Po paru sekundach podniosła drugą słuchawkę. - Nie chciałam budzić Cuttera. Gdzie Justyn jest teraz?

- W areszcie. Zabrali go do pierwszego komisariatu.

- Za co go aresztowali, Maxime? Czy za... za nagabywanie? - spytała Lily cicho, z przerażeniem.

- O mój Boże, mamó !

- Obawiałam się tego od tak dawna. Czy o to chodzi, Maxime? Powiedz - błagała Lily.

- Nie, mamó, nie o to. Zaszła jakaś straszna pomyłka. Rzekomo znaleźli w jego mieszkaniu kokainę. Podejrzewają go o handel. To wszystko jest absolutnie niemożliwe. Zdołałam się dowiedzieć tylko tyle, że jak twierdzi Justyn, ktoś ukrył u niego narkotyki.

- Jeśli tak twierdzi, to tak było. - W głosie Lily zadźwięczała ulga i większy spokój. - Natychmiast dzwonię do Charliego Salomona. On będzie wiedział, co robić, jak z tym walczyć. Rano wyciągniemy Justyna z aresztu, to pierwsza rzecz.

- Mamó, Justynowi najbardziej zależało na tym, żeby nikt się nie dowiedział... nie domyślił. Ale był tam reporter i pstryknął mi zdjęcie... wiedział to, co istotne, o narkotykach.

- Musimy być na coś takiego przygotowani. - W poważnym, srebrzystym głosie Lily nigdy nie brzmiała podobna nuta ubolewania, nawet nad sobą.

- Och, mamó, tak strasznie mi go żal, biednego, czulego, nieszkodliwego Justyna. Dlaczego jemu się to musiało przydarzyć? - Maxi zdążyła zadać pytanie, zanim zrozumiała, jakie jest dziecinne.

- Maxime, coś... takiego... od dawna już groziło Justynowi. To nie jego wina, kochanie, ale musiało się tak stać. Spróbuj się nie martwić. Charlie Salomon to najlepszy adwokat w mieście i

dzięki Bogu mamy tu Cuttera.

Dobranoc, Maxime, i... dziękuję ci, kochanie. Dziękuję, że pojechałaś na pomoc.

Przed obudzeniem Cuttera Lily zadzwoniła do Charliego Salomona, głównego radcy prawnego Wydawnictw Amberville'a który był w domu i jeszcze oglądał telewizję. Bez żadnych prawie oznak wzruszenia zrelacjonowała mu, co się stało, na tyle dokładnie, na ile sama знаła fakty, i umówiła się z nim na spotkanie z rana w pierwszym komisariacie.

Następnie, otulając się po drodze szlafrokiem, wolno przeszła z saloniku do sypialni, którą dzieliła z mężem. Miał wyjątkowo ciężki dzień, a wiedziała, że musi wstać wcześniej, bo jest umówiony na śniadanie, lecz dłużej nie mogła zwlekać. Uspokoiwszy Maxi, krótko rozmówiwszy się z adwokatem poczuła, iż musi się znaleźć w ramionach Cuttera, usłyszeć, że wszystko będzie dobrze, że teraz on się tym zajmie, że nie jest już sama.

Popatrzyła na jego twarz, równie dystygowaną we śnie, jak na jawie, bo mimo rozluźnienia chudych mięśni czysta, piękna, arystokratyczna budowa kostna czaszki pozostała nie zmieniona. Znikła tylko mroczna, surowa zaduma, ta wieczysta czujność toreadora. Lily westchnęła z podświadomym zadowoleniem. Nawet w obecnych kłopotach, których od dawna się obawiała, jego widok napawał radością.

Delikatnie przebiegła czubkami palców po czole męża. Przewrócił się na bok, robiąc unik, lecz ona nie cofnęła ręki, więc w końcu się ocknął z głębokiego snu.

- Co? Lily? Co się dzieje? - wymamrotał nie całkiem przytomnie.

- Przebudź się, kochanie, jesteś mi potrzebny.

- Lily, zachorowałaś? - Usiadł w łóżku zaniepokojony.

- Nic mi nie jest. To jedno z dzieci, jedno z nich ma kłopoty...

- Maxi. Co znowu zmalowała?

- Nie, Justyn, nasze dziecko, Cutter. Och, Cutter, przytul mnie mocno, uściśnij z całej siły, tak się bałam, tak się bałam od dawna, a teraz to się stało. - Lily padła w ramiona Cuttera i próbowała się ukryć w bezpiecznym miejscu. On trzymał ją i całował w czubek głowy, przez chwilę pocieszał, potem jednak odsunął na tyle, aby widzieć jej twarz.

- Powiedz mi, Lily. Co jest Justynowi? Co się stało, na litość boską?

- Został aresztowany. Policja przeszukała jego mieszkanie i znalazła narkotyki... kokainę. Zabrali go do aresztu. Zadzwonił do Maxi, ale było za późno, aby jeszcze coś zrobić dziś w nocy. Rozmawiałam już z Charliem Salomonem i zaraz z rana go stamtąd wyciągnie.

- Zaczekaj. Ile znaleziono kokainy?

- Maxi nie wiedziała, nie chcieli jej powiedzieć, stwierdzili jedynie, że "dostyc" - dostyc, aby postawić mu zarzut jako podejrzanemu o handel.

- Chryste! - Cutter wyskoczył z łóżka i owinał się płaszczem kąpielowym.

- Chryste wszechmocny, jakby temu dzieciakowi brakowało pieniędzy!

Dlaczego, u licha, był taki głupi? Mógłbym go udusić gołymi rękami... podejrzany o handel kokainą? Amberville handlujący kokainą! Wyobrażasz sobie, co to za hańba? To równie podłe jak...

- Zaczekaj! On jest niewinny, Cutter! Justyn nie mógłby czegoś takiego zrobić. Nie jest zły, to nie kryminalista, jak możesz choćby tak myśleć? - Lily sapała z oburzenia. - Ktoś to zostawił, ukrył w jego mieszkaniu. On nie wiedział, że to tam jest. Tyle się Maxi dowiedziała.

- Och, Lily. Czy ten głupi dzieciak nie mógł wymyślić kłamstwa nieco bardziej przekonującego?

- Zakładasz, że to kłamstwo? - Lily podniosła głos.

- Justyn jest człowiekiem, który ma coś do ukrycia. Przekonałem się o tym, kiedy go pierwszy raz ujrzałem. Nigdy nie był szczery ze mną, z tobą, z nikim z rodziny. Przepada na całe miesiące nie wiadomo gdzie, ma mieszkanie, którego nawet nie widzieliśmy; wszystko to się do czegoś sprowadza, Lily. Wiem, że nie chcesz tego przyznać, ale to na coś wskazuje.

A teraz ładnie nas urządził. Justyn to wstrętny, bogaty dyletant i włóczęga, mało mu dywidend i funduszy powierniczych, więc na boku sprzedaje kokę i daje się złapać, kutasina.

Lily patrzyła na Cuttera, dużymi krokami przemierzającego sypialnię i bezlitośnie miotającego słowa jak kamienie pod jej nogi.

- Wysłuchaj mnie, Cutter. - Zmuszała się do zachowania spokoju. - Nie znasz Justyna, ale nawet mimo to powinieneś wiedzieć, że nigdy, przenigdy nie skrzywdziłby nikogo prócz siebie. Niestety, zna ludzi zdolnych schować u niego narkotyki. Kiedy zdałam sobie sprawę, że się ze sobą nie zgadzacie, kiedy nie potrafiliście się do siebie zbliżyć, kiedy nie zrobiłeś żadnego wysiłku, aby lepiej go poznać - twojego własnego syna, Cutter - przypisałam to temu, że wiesz, wyczuwasz, no... jakoś instynktownie domyślasz się w nim homoseksualisty. I sądziłam, że może siebie w jakiś szaleńczy sposób obwiniasz, sądziłam, że...

- Homoseksualisty? - Na moment zapadło głucho milczenie. To słowo jakby się odbijało od ścian sypialni wypełnionej konsternacją i niedowierzaniem Cuttera, a także zdziwieniem Lily, że on nie wiedział, nie widział, może nawet nie próbował być wrażliwy na syna, zastanowić się nad jego sposobem życia i postawić sobie pytania, dlaczego jest taki nieuchwytny.

- On nie może być homoseksualistą, Lily. To niemożliwe - zaprzeczył wreszcie surowo Cutter.

- Uwierzyłeś w handel kokainą. Natychmiast, bez zadawania pytań. Dlaczego nie możesz uwierzyć w homoseksualizm?

- Mój syn pedałem! Nie, nigdy. Gdyby to był Toby... ale nie mój syn. Do diabła, Lily, nie chciałem, abyś go urodziła, ale ty, nie, ty musiałaś postawić na swoim. Nie powinien był się

narodzić.

- Nie powinien się narodzić? - Lily jak echo powtórzyła słowa Cuttera, patrząc mu prosto w oczy. Zobaczył twarz, o jakiej istnieniu mu się nie śniło, wykrzywioną, twarz kobiety gotowej zadać cios, zdradzającej wzburzenie, jakiego nigdy nie widział.

Szybko podszedł do niej i przełamawszy opór wziął ją w objęcia.

- Lily, Lily, moja ukochana, przepraszam, o Jezu, to nieprawda, ani słowo, ani jedno słowo. Na chwilę wpadłem w szal... homoseksualiści budzą we mnie coś... chyba fobię. To jakaś prymitywna reakcja, po prostu nie mogłem znieść tego, co powiedziałaś, że Justyn... Lily, to brzmi głupio, ale na tym polega mój problem i ja się go wstydzę. Nie robię ci wyrzutów z powodu zdenerwowania. Wiesz, co zszokowani ludzie potrafią wygadywać, rzeczy nieprawdziwe. Lily, jestem szczęśliwy, że mamy syna - naprawdę, głęboko szczęśliwy. Tak bardzo szczęśliwy; moja Lily. - Poczul, że ona się odprężyła i zaczyna szlochać. - Już dobrze, kochanie? Tak cię Kocham. Proszę cię, powiedz, że mi wybaczasz. Słuchaj, przyniosę dla nas drinka i porozmawiamy o tym, jak przyjąć biedakowi z pomocą, co ja mogę zrobić dla mojego syna.

Schodząc do baru Cutter przeklinał swoją głupotę; najgorszym głupcem jest mężczyzna, który nie trzyma języka za zębami, gdy ma do czynienia z kobietą. Nie tłumaczy tego żaden gniew. Od pierwszego stosunku z Lily uczył ją podporządkowania i uległości, tak że teraz mógł nią dowolnie kierować.

Jeśli chce zrealizować swój zamiar i doprowadzić Wydawnictwa Amberville'a do upadku, Lily nadal musi w pełni mu ufać, pokładać w nim wiarę. Zdołał ją nakłonić do wstrzymania druku trzech magazynów, lecz pozostało jeszcze siedem, które trzeba możliwie najdokładniej pozbawić tożsamości. Omal nie położył sprawy. To się już nie powtórzy, przysięgał wracając ze szklankami na górę. Nawet jeśli będzie musiał ratować skórę Justyna, tego chorego, ponurego pedzia. Zawsze go nienawidził, a teraz wie dlaczego.

Od Pavki Maxi zadzwoniła do swoich księgowych i umówiła się z Lesterem Maypole'em z firmy Maypole i Maypole, swym osobistym księgowym od czasu, gdy zyskała prawo dysponowania własnym funduszem powierniczym. W drodze do śródmieścia myślała o pieniądzach. Temat ten zazwyczaj niezbyt ją zajmował.

Był czymś tak znajomym jak jeden ze zmysłów, tak oczywistym jak dotyk czy zapach. Matka mówiła o stu milionach dolarów, lecz Maxi nie pojmowała, dlaczego ją, która zawsze dostawała wszystko, czego zapragnęła, miałyby interesować taka niepojęta suma. Wynikłyby z tego tylko problemy. Bogactwo było dla niej teraz tym, czym palce u rąk i u nóg. Sto milionów dolarów to byłoby tak jak dwie głowy.

Urodziła się bogata, snuła refleksje, gdy limuzyna niczym długi granatowy wąż przemykała zatłoczonymi ulicami, i dorastała w bogactwie, a kiedy była biedna albo udawała biedną jako żona

Rocca, nie przypadło jej to do gustu, więc zwyczajnie z tym skończyła. Tak jakby zdjęła niewygodne nowe buty, w których trzeba odbyć konieczną wędrówkę; po prostu zrzuciła ubóstwo i znów korzystała z oczekujących ją wygod bogactwa. Naturalnie wczesne małżeństwo i wczesne macierzyństwo uchroniło ją od wpadnięcia w pułapkę zastawioną na bogate dziewczęta; ustrzegło od głupoty debiutantek i łowczyń majątków; albo od oczywistego rozwiązania, jakim byłby solidny związek z kimś odpowiednim, a potem pomnażanie liczby wiejskich domów, psów i koni. We własnym mniemaniu zaliczała się do kategorii, którą w nocnym kinie opatrzone by etykietą “postrzelonej dziedziczki”.

“G&K” nauczyły ją, ile kosztuje wydawanie periodyku, lecz nie wpłynęły na prywatne wydatki. Bezimienni ludzie w biurze Lestera Maypole'a regulowali wszystkie jej rachunki, skoro zaś nie narzekali, mogła zakładać, że aż nadto wystarcza na pokrycie wydatków, jakie pociągał za sobą jej styl życia; utrzymanie mieszkania; podróże; służący, którzy gotowali, prali, sprząтали, czyścili i wozili samochodem; garaż; przyjęcia urządzone przez firmy; kwiaty przysyłane dwa razy w tygodniu z kwiaciarni do ozdobienia każdego pokoju; stroje noszone przez jeden sezon, gdy były modne, po czym wyrzucane; wiadra biżuterii, której nie miała czasu dokupywać, odkąd zajęła się “G&K”. Była też Angelika. Rocco ponosił połowę kosztów jej ubrania i szkoły, bo na to należał, więc Angelika doprawdy stanowiła jedną z tańszych pozycji w życiu Maxi, zajmowała na liście miejsce między jedzeniem a kwiatami, o tyleż potrzebniejsza od pierwszego i o tyleż piękniejsza od tych drugich. No, i oczywiście kolekcje, przypomniała sobie Maxi. Antyki, cenne szkatułki, stare srebro; tyle zbiorów, że po przeprowadzce z dawnego domu w rejonie ulic Sześćdziesiątych Wschodnich do Wieży Trumpa musiała je złożyć na składzie.

Co, zadawała sobie pytanie, robią jej księgowi z tą masą otrzymywanych przez nią, a nie wydawanych pieniędzy? Czy reinwestują w akcje i obligacje?

Czy ryzykują na rynku, czy też kupują najbezpieczniejsze papiery wartościowe? Ona nie ma do tego głowy i nie potrzebuje się zmuszać do zainteresowania tymi sprawami. Za to właśnie płaci Maypole'owi. Zrozumiałe jednak, że siedzi na pieniądzach. A człowiek z pieniędzmi zawsze może ich dostać więcej, wiadomo.

Lester Maypole patrzył na Maxi, jakby była krzyżówką syreny z hipogryfem, mitologiczną istotą, która się zmaterializowała w jego biurze z listą pytań, w zasadzie całkiem rozsądnych, gdyby nie jedno: Maxime Amberville zawsze żyła w granicach swoich olbrzymich dochodów z funduszy powierniczych i dywidend wypłacanych przez Wydawnictwa. Nie przekraczała tych granic, akurat się w nich mieściła. I chyba nieświadomie, choć wypisane to miała u dołu comiesięcznych wyciągów z konta.

- Ale nigdy mnie pan nie ostrzegł, panie Maypole - zaprotestowała Maxi, pełna

niedowierzania i już trochę zła.

- My jesteśmy księgowymi, nie kuratorami. My tylko otrzymujemy pani pieniądze i regulujemy rachunki. Dopóki pani nie przekraczała salda, nigdy nie mieliśmy powodu sądzić, że pani nie wie, iż wydaje prawie wszystko.

Nigdy nie wyraziła pani zainteresowania inwestycjami, bo powiedzielibyśmy, że ich nie robimy. Dzieła sztuki, mieszkanie i biżuteria to oczywiście aktywa, ale co do reszty... - Zrobił znaczący gest ręką.

- Wszystko przepuściłam.

- Och, proszę siebie zbyt surowo nie oceniać. Przecież blisko trzy miliony dolarów kosztowały przeróbki zamku Kirkgordon...

- Chłopczyna Kirkgordon wyprzedził się właściwie ze wszystkiego prócz łóżka, aby zapłacić podatki spadkowe... uważałam, że tyle przynajmniej mogę zrobić... i nie było tam w ogóle żadnego centralnego ogrzewania - wyjaśniła Maxi wspominając te mroźne, utytułowane lata.

- A w Monte Carlo skradziono pani perły... dwukrotnie. Podwójne sznury warte prawie dziewięćset tysięcy dolarów, pani zaś nie miała ubezpieczenia.

Za każdym razem kupowała pani nowe perły.

- Tak naprawdę to nie w Monte Carlo. Policja działa tam bardzo sprawnie.

Ukradli je na morzu piraci... przynajmniej tak wyglądali. Nie mogłam wykupić polisy, panie Maypole. Każda żona Złego Dennisa Brady'ego, nawet krótkoterminowa, nie bez racji uchodziła za zbyt ryzykowną dla ubezpieczenia, ale dziewczyna musi mieć swoje ślubne perły - stwierdziła Maxi z oburzeniem. Nie były to przecież brylanty.

- Do tego mieści się pani w możliwie najwyższej klasie podatkowej, daje pani bardzo duże sumy na dobroczynność i straciła pani kilka krociowych fortun w kasynach. - Odkasznął, nieomal z dezaprobatą.

- Hazard to taka zabawa, lecz nikt rozsądny nie spodziewa się wygrać - wyjaśniła Maxi.

- O to mniej więcej mi chodzi - rzekł cicho Lester Maypole.

- Wszystko roztrwonione?

- Tego bym nie powiedział. Jest pani bardzo bogatą młodą kobietą.

Właścicielką dziesięciu procent dużej spółki. Dlaczego nie miałyby pani bez skrupowania wydawać pieniędzy?

- Przepuściłam je - wściekle powtórzyła Maxi.

- Mogła pani zaangażować kogoś wyspecjalizowanego w zarządzaniu majątkiem...

- Ale teraz jest już za późno, prawda?

- Jeśli chodzi o przeszłość, niestety tak, ma pani natomiast dość na rachunku, aby doczekać do następnych rocznych dywidend, które ogłoszą w czerwcu, chyba że właśnie kupiła pani coś, o

czym nie wiem.

- Ile wyniosą dywidendy? - Podskoczyła w nagłym przypiływie nadziei.

- To będzie zależeć od pani matki. Właściciel udziału większościowego w każdej spółce ogłasza wysokość dywidend według uznania.

- Zechciałby pan postawić na wysokość tegorocznych dywidend, panie Maypole? Mniejsza z tym. A co z moimi dziesięcioma procentami Wydawnictw?

Chciałabym maksymalnie dużo pożyczyć pod ich zastaw.

- Te akcje można sprzedać wyłącznie pani matce - powiedział Lester Maypole. Tyle to już ona musi wiedzieć.

- Mimo to nie przestają być akcjami - gwałtownie sprzeciwiła się Maxi.

Odnosiła wrażenie, że Maypole dręczy ją dla własnej przyjemności.

- Nie może pani pożyczyć pod ich zastaw. Ani centa.

- Chce pan powiedzieć, że one tak jakby nie istniały? Nie liczyły się?

- Proszę się tak nie denerwować, panno Amberville. Istnieją, liczą się, należą do pani. Po prostu nie może pani pożyczać pod ich zastaw, bo nie może ich pani sprzedać komuś z zewnątrz.

- Mówi pan, że nie mam żadnych pieniędzy.

- Można by to tak ująć, chwilowo tak, przypuszczam, że w tym momencie nie ma pani żadnych, no, żadnej gotówki.

- Dziękuję panu. - Maxi wypadła jak błyskawica, mignęła zbyt blisko i pozostawiła Lestera Maypole'a w siódmych potach ze strachu. Ona chyba nie dostrzega różnicy między pieniędzmi a gotówką i on, przynajmniej raz, też nie mógł się w tym połapać. Zajrzał do portfela. Dwadzieścia cztery dolary.

Zadzwoił do sekretarki.

- Linda - powiedział ze śmiesznie łomoczącym sercem - podaj mi natychmiast sumę moich wkładów. A potem zanieś czek do banku. Nie, chcę mieć trochę gotówki piątkami. I skocz na jednej nodze.

Maxi przepchnęła się przez tłum, który w holu Wieży Trumpa słuchał Niebieskiej szaty Alicji w wykonaniu pianisty i skrzypka. Nie zwróciła uwagi na wodospad spadający z wysokości osiemdziesięciu stóp z maksymalną z trzech możliwych prędkości, na marmurowe ściany i podłogę w kolorze krewetek i mango, nie spojrzała nawet na rozrośnięte palmy ani na zakochane pary całujące się na ruchomych schodach. Pierwszą windą z prawej strony pojechała prosto do dużego kompleksu biur zarządu budynku.

- Louise - zapytała zyczliwą blondynkę, wiceprezeskę Trumpa - czy mogę zastawić moje mieszkanie?

Louise Sunshine nie wydała się zdziwiona. Lata współpracy z niespokojnym, nieobliczalnym Donaldem Trumpem uodporniły ją na wszelkie wstrząsy.

- Zarząd nie lubi zastawów pod mieszkania, Maxi. Co się stało, dziewczyno, chcesz kupić Pentagon?

- Mniej więcej. Czy jest Donald?

- Dla ciebie zawsze. Sprawdzę tylko, czy nie rozmawia przez telefon.

Maxi czekała niecierpliwie, lecz serce jej się ścisnęło, kiedy wyjrzała przez okno. Stąd, choć ze znacznie mniejszej wysokości niż ze swojego sześćdziesiątego trzeciego piętra, oglądała widok tak bardzo ukochany, widok wynaleziony po to, aby budzić w ludziach zachwyt bądź nienawiść, widok miasta, które każdy odbierał po swojemu, jak afront, wyzwanie albo coś, co należy traktować obojętnie. Nowy Jork nigdy nie był zwyczajnie miastem, był miejscem, które musi do ciebie należeć albo zostać przegnane z twojej świadomości. A z żadnego innego punktu miasto tak nie porażało swym pięknem, nie było bliższe sennemu marzeniu niż rzeczywistości.

- Możesz wejść. - Louise Sunshine wyrwała ją z zadumy.

Donald Trump, błyskotliwy, ambitny młody właściciel nieruchomości, rozbrajająco naturalny nawet zdaniem swych wrogów, wstał na powitanie Maxi.

- Hej, ładna dziewczyno, o co chodzi?

- Potrzebuję gotówki, i to szybko.

- Zdarza się to w najlepszych rodzinach - rzekł z uśmiechem.

- Możesz sprzedać moje mieszkanie, Donald? W tym tygodniu?

- Chwileczkę, Maxi. Na pewno tego chcesz? - Nagle przybrał wyraz absolutnej powagi. - Zawsze miałem listę reflektantów na twoje mieszkanie... Zaraz po moim jest najlepsze i największe w całej wieży, ale jak raz pójdzie, to już na zawsze. I nigdy nie będzie drugiego tak dużego.

Jest duże i wysokie, ma prawie cztery tysiące stóp kwadratowych. - Szczerze się zatroskał. Normalnie istniał pewien obrót mieszkaniem w budynku, na ogół tymi, które kupowano jako lokatę. Maxi kochała swoje mieszkanie tak jak on swoje, uważała je za swą część, za spotęgowanie swojej zdolności do życia, więc nigdy by go nie sprzedała, chyba że znalazłaby się w poważnych tarapatach i nie miała już czego poświęcić.

- Możesz obiecać, że w tym tygodniu dostanę pieniądze?

- Ile właściwie ci potrzeba, Maxi? Może znajdzie się inny sposób...

- Nie znam dokładnej sumy, co najmniej sześć milionów dolarów... przypuszczalnie więcej.

- Aż tyle? I to zaraz? - Po chwili zastanowienia rzekł: - Nie, nie ma innego sposobu. Posłuchaj, znalezienie możliwie najlepszego kupca zajmie mi trochę czasu, ale jeśli zechcesz mnie przekazać mieszkanie, wypiszę ci czek na sześć milionów. Potem, jeśli zdołam sprzedać je za więcej, a tego się spodziewam, dołożę ci resztę.

- Gdzie się podpisać? - zapytała Maxi.

- Ale mam nadzieję, że to coś jest tego warte. - Potrząsnął głową i wyciągnął książeczkę czekową z szuflady.

- Warte jest próby, Donald, nawet jeśli się nie uda. Daj mi pióro, do diabła. I ligninową chusteczkę.

W porze śniadaniowej na skrzyżowaniu Park Avenue i Sześćdziesiątej Pierwszej ulicy zawsze tworzy się korek, ponieważ przed Regency policja pozwala limuzynom parkować w trzech rzędach, podczas gdy mniej uprzywilejowane taksówki muszą gęsiego przejeżdżać przed tym drogim, choć zasadniczo niczym nie wyróżniającym się hotelem. Z niejasnych przyczyn jego jadalnia stała się najpopularniejszym miejscem dokonywania przez potentatów transakcji przy kawie i suchej grzance. Plaza jest za daleko w stronę śródmieścia, Carlyle za daleko w drugą stronę, Waldorf za daleko na wschód, nowy hotel Plaza Athenee jest za nowy, więc w Regency gromadzą się tutejsi Tische'owie, Rohatynowie, Newhouse'owie i Sulzbergerowie, którzy często ubijają w ciągu godzinnego śniadania więcej interesów niż przez cały dzień.

Dwaj mężczyźni nigdy nie spotykają się na śniadaniu w Regency tylko po to, aby zjeść, chyba że są parą rzadkich tu, nieświadomych turystów, którym się nie chce czekać, aż posiłek podadzą do pokoju.

Cutter Amberville, dzięki konsekwentnie dawany, akurat odpowiednio wyższym napiwkom - nigdy tak wysokim, aby sprawiać wrażenie niepewnego, i nigdy tak niskim, aby przeszły nie spostrzeżone - zajął drugą ławę na prawo, na wprost okien od ulicy Sześćdziesiątej Pierwszej. Wybrał ten stolik przed trzema laty, po powrocie z Anglii, bo mógł przy nim siedzieć plecami do ściany. Nie rozumiał mężczyzn, którzy pozwalali się sadzać przy środkowych stolikach, na oczach wszystkich. Widocznie spodziewali się obserwacji, skoro śniadanie w Regency było deklaracją zalotów, możliwych lub przewlekłych, ale dlaczego, zastanawiał się, zabiegać o zwrócenie na siebie uwagi? Cutter umyślnie przybył parę minut wcześniej od swego gościa, Leonarda Wildera ze Zjednoczonej Spółki Radiowej, przez co podświadomie uzurpował sobie od początku rozmowy prawa własności. Skoncentrował się na mężczyźnie, którego miał spotkać, a żadnej myśli nie poświęcał Lily, która pojechała wydostać Justyna z aresztu.

Leonard Wilder służył z braku cierpliwości. Nosił dwa zegarki i ustawicznie na nie spoglądał; zazwyczaj umawiał się na dwa śniadania, jedno o ósmej, drugie o dziewiątej, i nie zwracał sobie głowy jedzeniem. Był ważny od zbyt dawna, aby przestrzegać grzecznościowych rytuałów czy dreptać w miejscu w interesach i miał takie ulubione powiedzonko: "Skończmy z głupim gadaniem, jaki jest dochód netto?"

Cutter wstał, kiedy szef sali podprowadził Wildera do stolika.

- Rad jestem ze spotkania - powiedział ściskając mu dłoń - a zwłaszcza z tego, że znalazł pan czas w tak krótkim terminie. Oglądaliśmy wczoraj z żoną wasz specjalny program muzyki synkopowanej i uznaliśmy go za doskonałą rozrywkę.

- Był niezły, udał się - odparł Wilder w swój szybki, niecierpliwy sposób.

- No więc co zamówimy? - Cutter krytycznie studiował menu, skupiając na nim całą uwagę.

- Ja zacznę od świeżych truskawek, Henry, a pan Wilder weźmie - nie, nic na początek? Potem angielska owsianka ze świeżą śmietaną.

Popatrzmy - ach, tak, dla mnie naleśniki z mąki gryczanej z kanadyjskim bekonem. Dopilnuj, żeby bekon był chudy i chrupki, i przypomnij kucharzowi, że moje naleśniki muszą być świeżo zrobione. - Zwrócił się do Wildera: - Na pańskim miejscu wziąłbym to samo. Nie? Robią całą porcję z rana, a potem je trzymają na podgrzewaczu, żeby nie wystygły... takie są do niczego, więc kucharz zawsze przyrządza mi nową porcję. - Wilder chrząknął. - I kawa, naprawdę gorąca. Możesz zaraz ją podać. A dla pana? Tylko kawa? We mnie odzywa się chyba przeflancowany mieszkaniec Zachodu, stwierdzam jednak, że po solidnym śniadaniu mogę wykonać przed lunchem dwa razy więcej roboty niż po filiżance kawy. Jest pan pewny? Dobrze, Henry, dla pana Wildera tylko kawa.

Leonard Wilder zerknął na szczupłego w pasie Cuttera. Cutter przechwycił to spojrzenie.

- Jedz śniadanie jak bogacz, obiad jak biedak. Zawsze słuchałem tej rady.

A jednak dieta nie wystarcza, trzeba dbać o figurę. Oboje z żoną z zapalem uprawiamy w czasie weekendów sporty, mamy też salę gimnastyczną w domu, więc co dzień możemy ćwiczyć. A pan co uprawia?

- Chodzenie do pracy.

- Ach, nie ma to jak spacer - zgodził się Cutter - lecz moim zdaniem chodząc nie ćwiczy się całego ciała, chyba że się biega, co w tym mieście jest niemożliwe, jeśli się nie chce zginąć pod taksówką.

Rozsiadł się wygodnie i pociągnął łyk kawy.

- Kelner, to nie jest naprawdę gorące. Poproszę o nowy dzbanek i czyste filiżanki. I o zabranie kawy pana Wildera. Jest ledwie letnia.

Leonard Wilder zgrzytnął zębami i popatrzył na zegarki. Cutter, odprężony, czekał na świeżą kawę.

- Znałem pańskiego brata - niespodziewanie oświadczył Wilder. - Wspaniały człowiek.

Cutter westchnął.

- Wszyscy odczuwamy jego brak. Ponieśliśmy wielką stratę.

- Sam jeden robił wszystko. Najlepszy w mieście. Teraz są kłopoty?

Cutter zachichotał.

- Cóż, proszę pana, to się może zdarzyć w prywatnej spółce. Obaj znamy zbyt wiele przypadków, gdy po śmierci założyciela firma się rozleciała. Ale na szczęście nie dotyczy to Wydawnictw Amberville'a. Henry, te truskawki nie są dojrzałe. Zabierz je, proszę, i przynieś mi kompot mieszany. - Ponownie zwrócił się do Wildera. - Kłopot z truskawkami poza sezonem jest taki, że nigdy nie można mieć pewności. Zwykle o tej porze roku są dobre z Algierii czy z Izraela,

ale tych naprawdę nie warto brać do ust.

- Więc Wydawnictwa są w dobrym stanie?

- Jeśli chodzi o ścisłość, nasze tegoroczne dochody znacznie wzrosną. Mój brat bardzo lubił się bawić magazynami. Dochód netto przestał go interesować przed laty. Z pasją tworzył nowe periodyki i dawał im mnóstwo czasu, aby się sprawdziły. Wie pan, jakie to bywa kosztowne. I ryzykowne.

Kiedy moja żona - główna akcjonariuszka - poprosiła mnie, żebym się tym zajął, postanowiłem zmniejszyć straty do minimum. Niestety musiałem podjąć niepopularną decyzję - nikt nie lubi stracić pracy - ale wyszło to na dobre. Henry, możesz zabrać owoce. Na pewno nie chce pan zjeść ze mną owsianki, panie Wilder? Tu podają wyjątkowo dobrą. Nie? Henry, przynieś drugi dzbanuszek śmietanki. Ten nie jest pełny. - Cutter ze smakiem zaatakował owsiankę, rozsądnie dodając masła i cukru do parującej miski.

- Dochody wzrosną, mówi pan?

- Zdecydowanie. Każde z naszych pism ma coraz większe wpływy z ogłoszeń, a jak panu wiadomo, na tym się robi pieniądze.

- "Wzrosną" może w prywatnej spółce oznaczać wszystko. - Wilder powstrzymał się od spojrzenia na zegarki.

- Nie będzie niedyskrecją, jeśli panu powiem. Mam na myśli czternaście, piętnaście procent, przypuszczalnie więcej.

- Hm. Nieźle.

- Tak, to doświadczenie sprawiło mi ogromną satysfakcję. Z drugiej strony Lily, moja żona, jest Angielką i tęskni za krajem. Właściwie od ponad trzydziestu lat siedzi w Nowym Jorku, wyjąwszy te błyskawiczne podróże do Europy, kiedy Zachary jeździł w interesach. To jeszcze młoda kobieta i chciałaby więcej czasu spędzać za granicą. Polowanie, teatr, takie rzeczy... zdaniem Lily życie nie powinno się ograniczać do wydawnictw. Pan jest żonaty, panie Wilder, prawda?

- Mów mi Leonard. Tak, żonaty od dwudziestu pięciu lat. Wspomniałeś o czternastu, piętnastu procentach, Cutter?

- Owszem. O, dziękuję, Henry. Te dobrze wyglądają.

Leonard Wilder skręcał się na ławie. Już był spóźniony na śniadanie o dziewiątej, a Cutter Amberville dopiero zaczynał naleśniki z mąki gryczanej.

- Moglibyśmy pomówić o okrągłych kwotach? - zapytał Wilder.

- Okrągłych kwotach? - Cutter polał naleśniki syropem klonowym. - Czemu nie? Znany jesteś z tego, że nie powtarzasz rzeczy usłyszanych. Około stu siedemdziesięciu milionów zysku przed opodatkowaniem.

- Około? To znaczy? Więcej czy mniej?

- Nie lubię przesadzać, Leonard, ale chyba więcej. Jeszcze tu i ówdzie trzeba skreślić jakąś martwą pozycję.

- Interes na sprzedaż, Cutter? Dlatego dzwoniłeś?

- Tak, właściwie istnieje taka możliwość. Jak mówiłem, żona tęskni za zmianą i zasługuje na spełnienie pragnień. Nalegałem, żeby nie podejmowała pochopnych decyzji, odradzałem pośpiech, ale ma się na wiosnę, a ona zawsze była impulsywna.

- Więc interes jest na sprzedaż.

- Nieuczciwie byłoby obiecywać... mógłby jednak być. To niewykluczone. Za odpowiednią cenę.

- Naturalnie.

- A teraz weź na przykład Billa Ziffa i jego spółkę - mówił Cutter nie przerywając jedzenia.

- Ubił właśnie ciekawy interes. Jeśli wybaczysz, że wspomnę o konkurencji, Leonard, CBS kupiło od niego niedawno dwanaście pism za trzysta sześćdziesiąt dwa miliony dolarów, rzeczy takie jak "Popular Photography" i "Yachting". Następnie sprzedał Murdochowi dwanaście tytułów handlowych, z jednej strony "Aerospace Daily", z drugiej "Hotel" i "Resort Guide", za dalszych trzysta pięćdziesiąt milionów. W sumie dwadzieścia cztery periodyki. My, jak wiadomo, mamy zaledwie sześć do sprzedania, ale każdy jest w swojej dziedzinie wiodący, klasyczny. Liczy się, Leonard.

Możemy pominąć "G&K" w dyskusji - to chwilowo nie sprawdzony eksperyment.

Ale reszta jest znacznie, i to znacznie bardziej dochodowa od pism Ziffa.

Więc musisz zrozumieć, że mówimy o ogromnej sumie, niewątpliwie bliskiej miliarda. Henry, poproszę jeszcze o gorącą kawę.

- My mamy gotówkę, Cutter. To żaden problem. Rozmawiałeś z kimś jeszcze? - zapytał Wilder, który kompletnie zapomniał, że był umówiony na śniadanie o dziewiątej.

- Nie. Chwilowo nie. Lily poruszyła tę sprawę zaledwie parę tygodni temu i nie widziałem powodu do pośpiechu. Lubię zostawiać nowym pomysłom czas na dojrzewanie. Każda rzecz we właściwej porze i bez późniejszych żalów.

- Cutter, ja nie lubię owijać w bawełnę. Jestem zainteresowany. Od lat szukam dużej grupy wydawniczej. Spółka Amberville'a zawsze mi się podobała.

Mam trzyosobowy komitet wykonawczy. Może złożyć zobowiązanie za zarząd. O jedno proszę, nie rozmawiaj z nikim, zanim się spotkamy, aby to przedyskutować.

- Tak będzie uczciwie, zwłaszcza że mnie się nie śpieszy. W rzeczywistości następny bilans mamy dopiero za prawie trzy miesiące, a jestem pewien, że wykaże ciekawy wzrost, więc wolałbym poczekać. Jeśli Lily się nie rozmyśli, wasi księgowi mogą przystąpić do pracy i sami oszacować wartość.

- Trzy miesiące... naprawdę chcesz czekać? Moglibyśmy zacząć o wiele wcześniej.

- Naprawdę, Leonard. Ale w tym czasie moglibyśmy zjeść obiad z naszymi żonami, co? Należy ci się ode mnie jakieś przyzwoite jedzenie. Straciłeś wysmienite śniadanie.

- Czy wie o tym ktoś jeszcze? - podejrzliwie zapytał Toby, przesuając palcami po brzuchu Indii.

- Mógłbyś wyraźniej sformułować pytanie? - odparła rozleniwiona, wyrwana z promiennego stanu wielkiej radości, w jakiej się nurzała, i skomplikowanej, przemożnej błogości, wywołanej dźwiękiem jego głosu.

- O tej małej bliźnie na prawo pod pępkiem.

- Wyrostek robaczkowy w wieku lat ośmiu. Nawet Barbara Walters o tym nie wie. Z drugiej strony nigdy nie pytała.

- To sto siedemnasta rzecz dotycząca ciebie, a mnie tylko wiadoma. Uszy masz zdecydowanie różnej wielkości; nos skrzywiony na prawo, zaledwie o włos, mimo to jednak nie można go nazwać prostym; rzęsy rzadsze nad lewym okiem niż nad prawym i odpowiednio mniej włosów pod lewą pachą niż pod prawą, choć się golisz; i małe pieprzyki pod włosami łonowymi z lewej strony...

- Toby !

- To chyba nie twoja wina, że nie jesteś doskonała. Obwołano cię doskonałością, lecz, mój Boże, to co znalazłem, wystarczyłoby na książkę, a dopiero zacząłem się rozglądać. Co do smaku, niech mi wolno będzie powiedzieć, młoda damo, że nie smakujesz tak samo przez dwa dni z rzędu.

Mężczyzna lubi u swojej kobiety trochę konsekwencji.

- Jestem twoją kobietą? - zdziwiła się India, świadoma, że nie powinna pytać, ale niezdolna się pohamować.

- Moją kobietą w danej chwili. Jedyłą kobietą w jedynej chwili. Wiesz jednak, co czuję... nigdy...

- Oszczędź mi tego... nigdy się nie zobowiązywałeś. Tchórz! Wstrętny, potulny tchórz. Chciałabym mieć tyle centów, ilu wrednych facetów kręci się po kraju, liczy włosy na cipce, ale bez zobowiązań. Wstydu nie masz?

- Nie liczyłem ci włosów na cipce, tylko pod pachami.

- Dobrze wiesz, że to na jedno wychodzi. Dlaczego mowa jest o kobietach?

Czemu ty możesz mnie rozkochać, a potem nie odwzajemniać miłości?

- Odwzajemniam ją - rzekł Toby cicho. - Wiesz o tym. Pokochałem cię pięć miesięcy temu, kiedy mnie oblałaś wódką, żeby zwrócić na siebie uwagę. Ale zobowiązanie to inna sprawa.

- W moich stronach, jeśli się kogoś kocha z wzajemnością, a wszystko wskazuje na to, że ta miłość nie wygaśnie, logicznym tego następstwem jest podjęcie stałego zobowiązania... zwanego

małżeństwem - odparła India z tym samym zaciętym uporem, który jej kazał latać z Los Angeles do Nowego Jorku prawie na każdy weekend, odkąd poznała Toby'ego. Stopniowo przeniosła pół swojej garderoby do jego szaf i teraz nawet łóżko, na którym leżeli, zasłane było jej własną ręcznie prasowaną pościelą.

- Czy małżeństwo nie pozostaje kwestią otwartą, skoro przypuszczalnie od początku świata ci, którzy je zawarli, chcą się z niego wyrwać, a ci, co są wolni, chcą tę wolność utracić?

India usiadła rozwścieczona.

- Ty się ośmielasz mnie cytować Emersona... ja wpadłam na pomysł z cytowaniem Emersona, ty nędzna kreaturo.

- Cytujemy wszyscy z musu, skłonności i dla własnego zadowolenia - zadeklamował Toby z iście emersońską godnością.

- To Maxi, wiem, że to musiała być Maxi. Mówiła ci, jak ją torturowałam Emersonem, prawda?

- Może coś o tym napomknęła dla zilustrowania dziewczęcej słabostki.

- A zatem rozmawialiście o mnie?

- Naturalnie. Zachowywanie dyskretnego milczenia, kiedy brat kocha się w jej najlepszej przyjaciółce, nie leżałoby w charakterze Maxi.

- Co ona sądzi?

- Sądzi, że będę musiał się zdecydować.

- Ładna z niej przyjaciółka - stwierdziła India z goryczą. Spłoszył ją dzwonek telefonu.

- Nie odbieraj - powiedziała.

- To może być któryś kierownik restauracji - westchnął Toby. - W tej branży nigdy nie ma spokoju. - Podniósł słuchawkę telefonu stojącego obok łóżka, słuchał przez chwilę, po czym ze złością, gwałtownie ją odłożył.

- Nie on? - niespokojnie zapytała India.

- Niestety tak, kochanie. Znów twój "największy wielbiciel". A zastrzeżony numer zmieniłem zaledwie przed miesiącem.

- Och, Toby, przepraszam. Ten wariat. Pisze do mnie trzy razy na tydzień i zamawia rozmowy międzymiastowe. Moja sekretarka mówi mu po prostu, że mnie nie ma. Zapomnij o nim, to cena sławy.

Toby wyciągnął wtyczkę telefonu i znów odwrócił się do Indii.

- Posłuchaj, kochanie, naprawdę posiadasz niezwykłą i godną podziwu umiejętność niepatrzenia prawdzie w oczy - podjął przerwana rozmowę. - Bądźmy szczerzy. Jestem ociemniały, nie możemy udawać, że nie.

- Nie całkiem - upierała się India. - Coś widzisz, mówiłeś mi, że twoje pole widzenia wynosi

niecałe pięć stopni, ale to jednak coś.

- Niecałe pięć stopni z normalnego pola, które dla każdego oka wynosi sto czterdzieści stopni, i to tylko wtedy, kiedy składam razem małe fragmenty tam, gdzie funkcjonuje jeszcze kilka stożków w mojej siatkówce. Wszystko jest w kawałkach, jest niczym, nawet nie czernią, jedynie przeblaskami, sporadycznie dostrzeganą rzeczywistością bez barwy, granic czy trwałości. A przypuszczalnie się pogorszy, na pewno nie polepszy. I nie ma na to lekarstwa, żadnej nadziei.

- Ale twoje umiejętności, wszystko, czego się nauczyłeś u świętego Pawła!

Tak dużo potrafisz zrobić, Toby, tyle się nauczyłeś, kiedy jeszcze widziałeś... przez całe te lata, przez z górą dwadzieścia pięć dobrych lat.

Sam mówiłeś, że masz mnóstwo wskazówek wizualnych, tysiące wspomnień pomocnych w łączeniu różnych rzeczy, w tworzeniu rozpoznawalnego wzoru, to nie tak, jakbyś był niewidomy od urodzenia. Zresztą mniejsza o procenty, skoro możesz funkcjonować. Skoro możesz pracować. Jaki to ma związek z nami dwojgiem? Co z tego, że nigdy mnie nie widziałeś? Kiedy się zestarzeję, pokryję zmarszczkami i stracę urodę, tobie będzie to obojętne. Nie kochasz mnie tylko dlatego, że jestem piękna. Nie rozumiesz, jak wiele to znaczy?

Oprócz Maxi ty jeden z moich znajomych nie żywisz do mnie uczuć wywołanych po części tym, jaką mam twarz, na tobie jednym mogę polegać, że będziesz mnie lubił ze względu na mnie samą. Czy ty nie dostrzegasz różnicy? Czy mówię bez sensu?

- Absolutnie z sensem, do pewnego momentu. Wciąganie cię w moje kłopoty nie jest według mnie uczciwe.

- Uczciwe? Uczciwe jest wziąć szczęście, które jak wiesz na ciebie czeka, wziąć teraz, w tej minucie, nie wyrządzając nikomu krzywdy, wziąć szczęście, które masz w zasięgu ręki - powiedziała India z drzeniem w głosie.

- Odznaczasz się niewiarygodną zdolnością nadmiernego upraszczania, Indio, słodka, niedoskonała Indio. Nie mogę do puścić, abys wybrała mężczyznę tak jak ja upośledzonego, bo to jest upośledzenie, cokolwiek byś twierdziła, nawet jeśli w tej właśnie chwili uważasz, że tego chcesz. Nie masz pojęcia, co przyniesie przyszłość, nie możesz wiedzieć, jak długo zdołam cię uszczęśliwić.

- Wiem, że jesteś mężczyzną, którego chcę - odparła India głosem pełnym przekonania.

- Co, jeśli wolno spytać, sądzi o nas doktor Florence Florsheim?

- Nie zmieniaj tematu, Toby.

- Musiała przecież coś mówić, niezależnie od tego, czy jest, czy nie jest psychoanalizytką.

- Powiedziała, że w czasie trwania procesu psychoanalizy zasadnicze zmiany życiowe są niewskazane.

- To wszystko?

- Słowo w słowo.
- Cóż, moim zdaniem ma rację.
- O cholera! - zawyła India i zaczęła pięściami okładać jego nagą pierś.
- Wiedziałam, że to powiesz. Cały czas się z niej wyśmiewasz, a nagle, kiedy ci to pasuje,

postanawiasz przyznać jej rację.

- Tylko dlatego, że jest twoją psychoanalityczką, nie musi koniecznie się mylić. Hej, a cóż to takiego? Och, och, India, biedactwo, to kurza łapka w najwcześniejszym stadium rozwoju. Zapewne na ekranie przez parę, może i pięć lat nie będzie widoczna, jeśli nigdy się już nie uśmiechniesz. Pozwól mi ją scałować i wygładzić.

- Jesteś wyjątkowym sadystą, Toby. Wiesz co? Pierwszy raz nie ulega dla mnie żadnej wątpliwości, że jesteście z Maxi rodzeństwem.

Tego rana, kiedy Cutter spotkał się na śniadaniu z Leonardem Wilderem, Charlie Salomon telefonicznie umówił się z Lily w sądzie. Użył swych sporych wpływów, aby sędzia zaraz po przyjeździe przesłuchał Justyna.

- Pójdę z tobą, najmilsza - rzekł Cutter - pozwól mi tylko odwołać spotkanie.

- Nie, to nie jest dobry pomysł - odparła Lily. - Co nie znaczy, że nie chcę cię tam widzieć, lecz według mnie Justynowi byłoby łatwiej, gdybyśmy to potraktowali... jak zwykłą... formalność. Zresztą obiecałam zawiadomić Maxi, kiedy będzie mógł się wydostać z tego straszego miejsca. Zadzwoń do niej i powiem, żeby pojechała ze mną.

- Maxi, która udziela moralnego wsparcia?

- No, wiesz, że jest mu bardzo bliska.

- Zgoda, Lily, jeśli jesteś pewna, ale...

- Jestem najzupełniej pewna. Zadzwoń do ciebie zaraz po powrocie do domu.

Lily zabrała Maxi po drodze do sądu. Tam spotkały się z Charliem Salomonem i dwoma przywiezionymi przez niego młodymi prawnikami z jego biura. Kiedy wprowadzono Justyna w kajdankach, Lily mocno ścisnęła rękę Maxi i spuściła oczy, aby przypadkiem na nią spojrzawszy, nie zobaczył, iż widzi go skutego. Jakaż upartą i wyzywającą ma minę, pomyślała Maxi. Choć przybrał groźną jak zawsze postawę, głowę agresywnie przekrzywił na bok, utykał lekko i pod żadną maską brutalności nie mógł ukryć ciemnych sińców wokół oczu, na czole i brodzie, śladów po pałkach detektywów. Szczeciniaste blond włosy miał w kilku miejscach zmierzwiłone. Maxi zerknęła na brata i napotkała jego wzrok. Pod wpływem impulsu mrugnęła porozumiewawczo i uśmiechnęła się, jak gdyby na wspomnienie ich prywatnego zarciku, ale Justyn obojętnie odwrócił oczy.

- Oskarżony jest bardzo bogatym człowiekiem, wysoki sędzie - usłyszeli słowa zastępcy

prokuratora okręgowego. - Detektywi znaleźli u niego prawie trzy kilo kokainy i stawiał opór, kiedy go aresztowali. Jeśli zostanie stwierdzone, że zamierzał kokainę sprzedawać, niewątpliwie czeka go wieloletnie więzienie. W danych okolicznościach istnieją wszelkie podstawy, aby sądzić, iż raczej wyjedzie z kraju niż stawi się na rozprawę.

Oskarżyciel żąda miliona dolarów kaucji.

Przynies książeczkę czekową, pomyślała Maxi. Och, Justyn, jacy naiwni byliśmy wczoraj wieczór. Reporter, który ją poprzedniego dnia zaczepił, siedział teraz za nimi i coś gryzmołił.

- To suma nie do przyjęcia, wysoki sędzie - powiedział Charlie Salomon. - Mój klient nie był dotychczas notowany.

Po parominutowym sporze sędzia podjął decyzję.

- Wyznacza się dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów kaucji.

Justyna, znów w kajdankach, odprowadzono do celi w gmachu sądu, gdzie miał czekać na doręczenie pieniędzy. Lily zadzwoniła do dyrektora swego banku i umówiła się, że goniec na motocyklu dostarczy czek potwierdzony przez kasjera. Po godzinie i piętnastu minutach czek wreszcie dowieziono i przekazano. Robota papierkowa związana ze zwolnieniem zajęła dalsze pół godziny.

- Z całego serca dziękuję za pomoc, Charlie - powiedziała Lily. - Ty i twoi koledzy powinniście już chyba pójść. My z Maxime pojedziemy z Justynem do domu.

- Według mnie powinienem zostać, dopóki nie wyjdzie. Zresztą muszę z nim porozmawiać, Lily.

- Jutro, Charlie - rozkazała Lily i prawnicy się wynieśli.

- Ten wczorajszy reporter znów tu jest, mamó, i dziś przyprowadził fotografa - ostrzegła Maxi.

- Justyn jest niewinny, Maxime. Jeśli chcą robić zdjęcia, nic na to nie poradzimy.

- Czy obie uśmiechniemy się do aparatu, mamó?

- Czemu nie, Maxime? Nie ma się czego wstydzić.

- Potrzebny mi tylko porządny gorący prysznic i coś do zjedzenia - upierał się Justyn, kiedy Lily zaproponowała, że wezwie swojego lekarza i poprosi o zbadanie go, gdyż mógł doznać ciężkich obrażeń czaszki w następstwie użycia pałek przez detektywów. Nic nie zdołało zachwiać go w postanowieniu, toteż we trójkę wrócili do wielkiego szarego domu i w końcu za namową Lily zasiedli do lunchu prowadząc rozmowę, jak gdyby nie chodziło o nic poważniejszego niż zwykły katar. Nawet Maxi była pod wrażeniem siły, z jaką Lily narzuca sobie absolutny spokój, a jednak, choć nie patrzyła na matkę i brata, czuła, że są głęboko zranieni. Po zupie szparagowej, przy pieczonym jagnięciu, napięcie w jadalni zaczęło narastać wraz z każdym wymijającym słowem przez nich wypowiedzianym, wraz z coraz większą liczbą istotnych słów dotąd nie

wypowiedzianych. Służba wchodziła i wychodziła.

- Czy moglibyśmy zrezygnować z deseru, mamó, i napić się kawy tylko we troje w twoim saloniku? - zapytała Maxi.

- Z pewnością, kochanie - odparła Lily, jakby to była najnormalniejsza prośba pod słońcem.

Poszli na górę. Justyn poruszał się z opanowaniem i powściągliwością człowieka, który zachowuje na później całą swą zdolność do akcji. Fizycznie tak się różnił od siostry i matki, jakby był toreadorem przebrany w swój kostium tuż przed corridą. Sprawia niemal wrażenie nieobecności, pomyślała Maxi.

- Cukru? - odezwała się Lily.

- Poproszę. - Wziął dwie kostki z taką uwagą, z jaką kardiochirurg mógłby otwierać klatkę piersiową.

- Jutro - powiedziała Lily tym samym tonem - zlecę Charliemu Salomonowi wyszukanie obrońców, możliwie najlepszych. Fakt twojej niewinności to niedostateczna obrona.

- Dziękuję, mamó - odparł Justyn z krzywym cieniem swego nonszalanckiego uśmiechu.

- Oczywiście zdajesz sobie sprawę - ciągnęła nerwowo Lily, bawiąc się rączką dzbanka do kawy i wyrzucając z siebie słowa w nietypowy sposób - że twój styl życia nam nigdy nie zrobi różnicy, że i tak cię kochamy... bardzo... mimo wszystko.

- Styl życia? Chcesz powiedzieć, że nawet gdybym był wegetarianinem albo zaczął popełniać oszustwa komputerowe? A gdybym został płatnym mordercą? - rzucał jej wyzwanie Justyn.

- O czym, u diabła, mówicie? - wybuchnęła Maxi. - Nie pora na dwadzieścia pytań, Justyn. Wiemy, że tylko z jednego powodu ta kokaina znalazła się u ciebie.

- Maxime - ostrzegła ją Lily.

- Nie możemy się bawić w ciuciubabkę, mamó. - Maxi wstała, odebrała Justynowi filiżaneczkę i postawiła na bocznym stoliku. Uklękła, otoczyła brata ramionami i z umyślnie głośnym cmoknięciem pocałowała go w policzek.

- Słuchaj, mały, jakiś facet musi mieć klucz do twojego mieszkania albo z tobą mieszkać, ktoś, kto to ukrył przed tobą, ktoś, z kim jesteś związany.

Czy nie możemy pomówić otwarcie, Justyn, i nie udawać już z mamą nieświadomych, że jesteś pederastą?

Justyn z wściekłością zerwał się na nogi, w milczeniu podszedł do okna i stanął do nich plecami. Maxi pobiegła za nim i objęła go w pasie.

- Pederastą, Justyn, czy jak to wolisz nazwać. Wiemy, wiedziałyśmy od dawna, mama i ja, i gównó nas to obchodzi! Wracaj na fotel. To nie koniec świata. Pederasta to jedno, głupiec - drugie, a w żadnym wypadku nie warto iść do więzienia. Więc się obróć, żebyśmy mogli rozsądnie o tym

podyskutować.

- Nic nie wiecie. Nie możecie wiedzieć. - Justyn mówił głosem zjadliwym, nadal zwrócony do nich plecami, z dłońmi zaciśniętymi na parapecie. Stał, jakby budziły w nim raczej pogardę niż silniejsze, bardziej osobiste uczucie.

- Ale ja wiem, kochanie - rzekła Lily, już spokojniejsza. - Wiem od lat.

Nie widziałam powodu, dla którego miałabym o tym rozmawiać. To było twoje życie prywatne, do tej pory.

- Nie miałam pojęcia, że mama coś wie, do wczoraj wieczór, kiedy musiałam do niej zadzwonić. - Maxi go nie puszczała. - Tylko osoby bardzo cię kochające i znające tak dobrze jak my, a Bóg świadkiem, starałaś się, żeby nas było cholernie mało, mogą coś podejrzewać. Trudno jednak prowadzić taką rozmowę z twoimi łopatkami. Słucham? - Delikatnymi pocałunkami obsypała tył jego szyi, przez cały czas mocno go trzymając.

- Jak myślisz, Justyn, kto włożył narkotyki do twojej szafy. O to przecież chodzi, prawda? - Lily mówiła tak, jakby go pytała, czy powinna wylać lokaja o lepkich rękach.

W końcu się odwrócił. Jedyne dwie czerwone plamy na wydatnych kościach policzkowych i długi, cienki mięsień poruszający się w szyi świadczyły o wzburzeniu.

- Nawet sobie nie wyobrażam. - Mówił tonem niemal ironicznym, oficjalnym.

- Ale jest ktoś, mężczyzna, który się może dostać do środka, kiedy ciebie tam nie ma? - nie ustępowała Maxi.

Skurecz wstydu wykrzywił mu twarz, wstydu tak przemieszanego z bólem, że wycisnęło to łzy z oczu Lily.

- Tak. - To słowo, wypowiedziane tak cicho, zawisło w powietrzu niczym przeciągłe westchnienie. Maxi szybko się odezwała, aby wszyscy nie pogrążyli się w milczeniu.

- Myślisz, że on to zrobił?

- Nie. Nie, nie mógłby. Wykluczone. On po prostu nie jest taki. To facet poznany w czasie seansu. Ale dużo osób u nas... bywało... ludzie wciąż wpadali... mógł to zrobić ktokolwiek. Ten worek leżał pusty od mojego ostatniego powrotu. - W jego głosie dźwięczała taka beznadzieja, że się złękły.

- Wiesz, gdzie on jest teraz? - spytała Maxi. - Jak się nazywa?

Wyjechał z Nowego Jorku - odparł Justyn. - To musiał być ktoś inny. I nic nikomu do jego nazwiska. Nie zacznę obwiniać kogoś, komu ufam, tylko po to, aby dowieść własnej niewinności. Chryste, nienawidzę tego miasta!

Kiedy Justyn wypadł z pokoju, zapanowało w nim milczenie.

- Dziękuję ci, Maxime. Gdyby nie ta twoja bezpośredniość ja bym go chyba nie skłoniła do

mówienia. Ale musiało wydawać się nieszlachetne to przypieranie go przez nas do muru - powiedziała Lily. - Jakoś mi wstyd, nie za niego, za nas.

- Nieszlachetne? Tak, gdybyśmy robiły to z ciekawości, nie po to, by go uchronić od więzienia. W danych okolicznościach jednak nie, na pewno nie. I teraz on musi odczuwać ulgę, skoro się to wydało i wie, że go kochamy tak jak dawniej, że to niczego nie zmienia. Całkiem sam strzegł tej tajemnicy o wiele za długo.

- Och, Maxime, widziałaś przecież jego twarz... wyglądał... och, jakby chciał się zapaść pod ziemię, jakby nikomu ani niczemu na świecie nie wierzył i nie miał już uwierzyć. Zawsze był taki samotny, taki daleki, zawsze się trzymał na uboczu. Choć przez całe jego życie tak się nim martwiłam, nie umiałam do niego dotrzeć.

- To nie twoja wina, mammo. Ani moja. Ani Justyna. Po prostu tak jest i trzeba się z tym pogodzić, To rzeczywistość nie dająca się zmienić.

- Chciałabym w to wierzyć - rzekła Lily ze smutkiem.

- Mammo, czy naprawdę sobie wyobrażasz, że pewnego dnia, kiedy Justyn był małym chłopcem, mogłaś mu powiedzieć: "Słuchaj, kochanie, jak dorośniesz, będziesz chciał dotykać jedynie dziewcząt", tak jak go uczyłaś zachowania przy stole?

Lily uśmiechnęła się powoli, niechętnie, żałośnie.

- To byłoby zbyt dobre, aby mogło być prawdziwe, ale cóż za wspaniały pomysł. Ty rzeczywiście umiesz trafić w sedno Maxime.

- Dziękuję ci, mammo - odparła Maxi prawie onieśmielona. - Muszę teraz pędzić do biura, ale co robimy dalej? Jak możemy pomóc Justynowi?

- Zaraz dzwonię do Charliego Salomona i powiem mu, czego dowiedziałyśmy się od Justyna. Tyle że, z jednej strony, nie powiedział nic, co mogłoby pomóc, tak jak ja to widzę, z drugiej zaś, czy nie byłoby lepiej tego nie wykorzystywać? Żywię taką desperacką nadzieję, że zdołamy tę część jego życia zachować w tajemnicy przed prasą... mężczyznę z kluczem do mieszkania, przyjęcia. Gdyby to przynajmniej się udało.

- Każda gazeta w kraju wydrukuje tę historię z narkotykami, mammo. A także "Star", "Inquirer" i magazyny informacyjne. Nie widzę, jak mogłybyśmy nie dopuścić do tego szumu. Za jakiś czas wywęszą resztę tego, co nam powiedział Justyn. W żaden sposób nie możemy go osłonić. Wystarczy jeden trop, jedna osoba, która powie jednemu reporterowi. Nie mam wielkiej nadziei.

- Myślałam... gdyby zdołał zachować tę resztkę godności. Tak strasznie mu zależy - trzeźwo stwierdziła Lily.

- Według mnie nie powinnaś liczyć na otoczenie tajemnicą prywatnego życia Justyna. Najważniejsze to udowodnić, że nie handlował narkotykami. Jest przecież Amberville'em i prasa rzuci się na niego, będzie go szarpać.

Lily westchnęła. Maxi wstała i dwie kobiety objęły się, dość niezdarnie, lecz z taką serdecznością, jakiej od niepamiętnych lat sobie nie okazywały.

Lily dobrze znanym gestem odgarnęła córce włosy z czoła.

- Wciąż jest źle, prawda, mamo? - kwaśno zapytała Maxi.

- Kłopot z tobą, Maxime, polega na tym, że wciąż pochopnie wyciągasz wnioski. Właśnie myślałam, jaką uroczą masz fryzurę. Nie byłabyś do siebie podobna w innym uczesaniu, prawda?

23.

Kiedy Maxi i Lily się zęgnaly, Cutter przyjmował w swoim biurze na Wall Street Lewisa Oxforda, wicedyrektora finansowego Wydawnictw Amberville'a.

Cutterowi łatwiej byłoby mieć gabinet w Budynku Amberville'a w innej części miasta, lecz przydatne wydawało mu się zmuszanie pracowników do czasochłonnych wypraw, jeśli się mieli z nim zobaczyć, wygodne też było oddalenie od tych, co chcieli mu zawracać głowę głupstwami.

- Niech pan przestanie, Oxford - wypalił Cutter.

- Przepraszam pana. To mi ułatwia zastanowienie - odparł Oxford i z żalem odłożył ołówek, którym stukał się w zęby.

- Nie ma się nad czym zastanawiać. Polecenia mojej żony są dość wyraźne.

- Wyraźne, całkiem wyraźne. Ale nie byłem pewien, czy nie lepiej wprowadzać je w życie przez pół roku albo i rok. Trzy miesiące to krótki okres i będę musiał narobić strasznych kłopotów.

- Dałem panu trzy miesiące, Oxford, a jeśli pan sobie nie poradzi, znajdę kogoś, kto to potrafi. Wie pan z pewnością, że bardziej miłosierne jest obcięcie psu ogona za jednym zamachem niż po kawałku. Każdy magazyn Amberville'a ma grubą warstwę tłuszczu i chcę, aby ten tłuszcz wycięto, poczynając od zaraz. Nasze następne zestawienie zysków musi odzwierciedlać tę zmianę. Według mojego szacunku koszty produkcji można zmniejszyć przynajmniej o czternaście procent. Może o więcej. Wolałbym o więcej.

Lewis Oxford potrząsnął głową.

- Nadal uważam, że takie szybkie posunięcie może być błędem.

- Mnie interesują tylko wyniki, Oxford. Pani Amberville chce o jedną klasę obniżyć gatunek, papieru każdego magazynu. Koniec z pięćdziesiątką dla "Stylu"... nie musi wyglądać jak "Town & Country", żeby się rozchodzić.

Wszystko, co drukowano na czterdziestce, od dziś będzie drukowane na trzydziestce czwórce, jak tylko zużyje się zapasy. "Tydzień w TV" spada do trzydziestki czwórki matowej. Zrozumiano?

- Tak, proszę pana.

- Co do przerostów w każdym magazynie: pensji, honorariów za teksty i zdjęcia, tu spodziewam się imponujących wyników. Natychmiast zredukować personel o piętnaście procent. Pani Amberville chce, aby wykorzystano każdy artykuł i reportaż znajdujący się w teczce. Zużyjcie te zapasy, Oxford.

Rzeczy warte setki tysięcy dolarów zwyczajnie się dezaktualizują. Co więcej, przestaną być akceptowane wypłaty dla droższych autorów. Ten artykuł Normana Mailera o gnieździe rozpusty w Miami... czy może mi pan podać choć jeden powód, dla którego mielibyśmy przepłacać Mailera zamiast ze zniżką dostać coś od nieznanego pisarza.

- To jest klasa, proszę pana, i może przyciągnąć czytelników, których normalnie byśmy nie mieli.

- W magazynie telewizyjnym z siedmioma milionami czytelników niepotrzebna nam klasa. Tylko dla zaspokojenia własnej próżności redaktor zamawia materiał u takich pisarzy.

- Proszę mi wybaczyć, ale to nie całkiem sprawiedliwe. Redaktor "Tygodnia w TV" jest przeświadczony, że Mailer i inni pisarze z nazwiskiem zrobią wrażenie w alei Madisona. Zamówił serię reklam w "Adweek" i "Advertising Age"...

- Wycofajcie je. Przez następne trzy miesiące Wydawnictwa Amberville'a nie będą się reklamować. Jesteśmy na rynku od prawie czterdziestu lat i świat reklamy dobrze o nas wie. Chcę skończyć z tą kampanią.

- Tak, proszę pana.

- Te rachunki za zdjęcia to wariactwo, Oxford. Wariactwo.

- Tyle dostaje obecnie każdy czołowy fotograf, proszę pana.

- Niech pan prześle notatkę redaktorom naczelnym wszystkich magazynów, że mają zrezygnować ze współpracy z fotografami, na których polegają od lat.

Kłopot z naszymi redaktorami polega między innymi na tym, że pozwalają fotografom wyręczać się w pracy koncepcyjnej. Niech poszukają nowych ludzi, możliwie najtańszych, zwłaszcza kobiet, ludzi, którzy będą pracować za znacznie mniejsze pieniądze, ale ciężiej. Chcę też, aby trzydzieści procent kolorowych ogłoszeń zastąpiono białoczarnymi, które mogą być równie efektowne, jeśli się je odpowiednio zrobi. Honoraria modeli są dla nas zabójcze. Ilekroć się da, chcę w charakterze modeli wykorzystywać sławne osobistości - one nic nie kosztują.

- Muszę wyrazić sprzeciw, proszę pana. Sławne osobistości można wykorzystywać tylko do pewnej granicy, bo po jej przekroczeniu wszystkie periodyki zaczęłyby przypominać "People". Pan Zachary Amberville nigdy...

- Nie interesuje mnie powtarzanie przeszłości, Oxford. Czytelnicy chcą widzieć sławy, a my im damy to, czego chcą. Nasze zyski za ostatni kwartał bardzo mnie rozczarowały. Muszą wzrosnąć, Oxford.

- Wzrosną, proszę pana.

- Czy ci, co się ogłaszają, nie będą darmo dostarczać tekstów i zdjęć za trąbienie o ich produktach? - spytał Cutter.

- Zdarzało się to, lecz nie u Amberville'a.

- No, to niech się zdarza, Oxford. Możliwie jak najczęściej. I jeszcze jedno, proszę popatrzeć na te koszty podróży naszych przedstawicieli do spraw reklamy i sprzedaży - ciągnął Cutter. - To absolutny skandal. Niech każdy z nich wie, że bacznie go obserwujemy i spodziewamy się trzydziestopięcioprocentowej obniżki wydatków w następnym zestawieniu.

- Do diabła, proszę pana, przedstawiciele żyją z delegacji... jak powszechnie wiadomo.

- Za dobrze żyją, Oxford. Na miejsce każdego przedstawiciela, który tego nie zmieni, weźmiemy kogoś innego. Koniecznie zamieść to w notatce.

- Ale oni muszą utrzymywać kontakty... - Lewis Oxford umilkł na widok wzbierającej wściekłości Cuttera.

- Wydawnictwa Amberville'a to nie jakiś cholerny worek z pieniędzmi, Oxford! Widzę, że dawno należało zrobić te cięcia. Twoja wina, że dopuściłeś do takiego stanu rzeczy. I jeśli zależy ci na posadzie, nie mów, że pan Zachary Amberville tego sobie życzył. Mój brat był wielkim redaktorem, Oxford, widzę jednak, że jak podejrzewaliśmy z panią Amberville, nie trzymał wszystkiego należycie w garści. Masz jeszcze jakieś sugestie, Oxford? O niczym nie zapomniałem?

- Są drobiazgi, rezerwacje stolików na obiady branżowe, podejmowanie lunchem najpoważniejszych klientów, takie rzeczy.

- To zostaw. Sumy są tak małe, że nie robią różnicy, chcę natomiast, aby nas widziano. Nic się nie martw, Oxford, kiedy wzrosną dochody, rozgłosimy to w środkach przekazu, podamy do publicznej wiadomości. Za trzy miesiące od dzisiaj.

Cutter odczekał parę sekund, Oxford zaś w nadziei, że rozmowa się skończyła, zaczął zbierać papiery i szykować się do wyjścia.

- Jeszcze jedno, Oxford. "G&K". Ile na tym tracimy co miesiąc?

- Potrzebowałbym czasu na dokładne obliczenie, proszę pana. Ale przekażę pani Amberville pańskie dyrektywy dotyczące obniżki kosztów.

- Nie, nie fatyguj się. Kiedy "G&K" wyjdą na swoje, zakładając, że każdy numer będzie się rozchodzić tak dobrze jak pierwszy?

- Obawiam się, że za wiele miesięcy. Jak panu wiadomo, rozruch zawsze kosztuje kupę pieniędzy. Ale to rzecz normalna. Z chwilą gdy znów dostaną kredyt, zyski powinny być ogromne.

- Wstrzymaj wydawanie "G&K", Oxford.

- Co?

- Nie rozumiesz po angielsku? Skreśl to, wyeliminuj, wykończ! Koniec z "G&K", Oxford. Wydaj drukarzom instrukcje, że mają nie drukować więcej egzemplarzy. Niech wszyscy wierzyciele wiedzą, że otrzymają tyle, ile im się obecnie należy, później jednak Wydawnictwa Amberville a przestaną honorować rachunki wystawiane przez pannę Amberville. Ostrzeż ich, Oxford.

Nie dostaną ani centa. I zwolnij cały personel z wyjątkiem panny Amberville. Ona nie bierze pensji.

- Ale magazyn odniósł sukces, proszę pana! Największy od czasów "Cosmo", "Life'u" czy "Siedmiu Dni".

- Był to udany eksperyment, Oxford. Ale nie możemy sobie pozwolić na straty w nadchodzącym roku, nawet w najbliższym półroczu, jeśli planujemy należyty wzrost dochodów. I ty musiałbyś przyznać, że cokolwiek zaoszczędzisz na czymś innym, nie zrównoważy to strat "G&K".

- No, tak, istotnie zakładałem, że z powodu tych strat podejmuje pan tak drastyczne kroki.

- Nigdy nie zakładaj, Oxford - powiedział Cutter z przyjemnym uśmiechem i wstał, aby odprowadzić go do drzwi. - Nigdy niczego nie zakładaj w prywatnej spółce.

Niepocieszona Angelika stała w Piątej alei, między ulicami Pięćdziesiątą Szóstą a Siódmą, podpierając wysoki słup z metalową tablicą. "Ani myśl tu parkować" - głosił napis, dla większego nacisku uzupełniony słowami:

"Strefa czerwona, koszt holowania minimum 110 dolarów. Nie wolno się zatrzymywać o żadnej porze." Za tym znakiem, wokół fontanny przy Budynku Steubena Glassa, rozsiadła się zwykła zbieranina wykolejeńców, pijaków i turystów. Niektórzy jedli falafel, sznycle czy kawałki kurcząt sprzedawane na pobliskich wózkach, inni moczyli obolałe nogi, a jeszcze inni badali zawartość toreb z zakupami, dopiero co napełnionych w sklepach wzdłuż alei.

Była to bogata północnoamerykańska wersja Kalkuty.

Surowy zakaz parkowania wskazywał ulubione miejsce, gdzie Elie miał zwyczaj czekać w limuzynie na Maxi. Doszedł do milczącego porozumienia z glinami i zapuszczał silnik, aby przesunąć się o parę symbolicznych cali, ilekroć pojawiał się patrol. Ale tego popołudnia spóźnił się z odwiezieniem Maxi do domu i Angelika niecierpliwie obserwowała sznur pojazdów.

W końcu długa granatowa limuzyna zahamowała i Maxi wyskoczyła na chodnik.

- Och, nie - jęknęła na widok Angeliki z egzemplarzem "New York Post" w ręku, otwartym na opisie aresztowania Justyna. Jak mogła nie wziąć pod uwagę możliwości, że Angelika zobaczy to w gazecie, zanim się od niej dowie? Lunch z Justynem i Lily, a potem parę gorączkowych godzin w biurze, odrabianie porannej pracy, przegnały myśl o tym, iż trzeba ostrzec córkę.

- Mamo? - Płaczliwy głos Angeliki brzmiał niewyraźnie.

- To wszystko bzdura, dziecino. Jedno wielkie nieporozumienie. Wujek Justyn nie ma absolutnie nic wspólnego ze sprzedażą kokainy. Nie martw się tym. Jest całkiem niewinny - pośpiesznie zapewniła Maxi.

- Wiem, że jest niewinny, mamó, na litość boską, nie musisz mi tego mówić. Ale dlaczego ty i babcia uśmiechacie się na tej fotografii? To chcę wiedzieć. Jak mogłyście być takie bez serca? Wyglądacie na dwie przyćpane królowe piękności - miss Północnej Karoliny i jej śliczna matka. Słowo daję.

- A jak, twoim zdaniem, powinnyśmy wyglądać? Na załęcznione, nieszczęśliwe, przerażone?

- Trochę opanowania by nie zaszkodziło. Chodzi mi o to, że przecież nie należy się przejmować fałszywym oskarżeniem. Przynajmniej wujek Justyn zachował się właściwie... wygląda fantastycznie, twardy, nieugięty, obojętny jak Żądło, tak, zupełnie jak Żądło.

- Angeliko, według mnie powinnaś się poważnie zastanowić, czy nie zostać rzecznikiem prasowym. No, chodźmy do domu.

- Mogę najpierw zjeść falafel?

- Nie zjesz obiadu. Ale proszę, jeśli potrafisz to wymówić, możesz też zjeść, ja się zgadzam - odrzekła Maxi, zbyt zmęczona, aby się spierać.

- Wymykam ci się z rąk - z ulgą stwierdziła Angelika - czemu się nie dziwię. Dziś odkryłam, że Cyndi Lauper ma trzydzieści lat. Jest starsza od ciebie, Maxi.

- Proszę, okaż mi trochę szacunku. - Maxi zdobyła się na stanowczość.

- Spróbuję - zapewniła pośpiesznie Angelika i poczuła się lepiej. Cyndi Lauper może być starsza, ale mama jest... jej matką.

Rocco otworzył "Post", głowa podskoczyła mu do góry i Angelo, fryzjer z hotelu St. Regis, który strzygł po czterdzieści dolarów doborowe kółko, o mało nie skaleczył go nożyczkami, choć miał szybki refleks dostosowany do dziwnych reakcji zestresowanych mężczyzn na kierowniczych stanowiskach.

- Hej, Rocco, chcesz stracić ucho?

- Muszę pójść do telefonu. Nie potrzebujesz kończyć.- Rocco wstał i zaczął zdejmować peniuar.

- Siadaj. Nie możesz tak wyjść, do połowy ostrzyżony.

- Diabła tam nie mogę. - Strzepując włosy Rocco wbiegł po schodach.

Wszystkie kabiny telefoniczne w holu były pozajmowane. Wypadł na ulicę i zobaczył, że nawet gdyby zdołał złapać taksówkę, utknęłaby w popołudniowych korkach. Gdzie tu może być telefon? Żaden z aparatów w budkach nigdy nie działał, niszczyli je wandy natchmiast po zreperowaniu. Do biura miał za daleko. Angelo! Pognał z powrotem do hotelu, zeskakując po trzy stopnie naraz zleciał na dół i bez pytania zawładnął prywatnym telefonem Angela.

Fryzjer, który mógł załatwić prezesowi spółki Fortune 500 nieosiągalną przedtem rezerwację w Hotel du Cap w Antibes na najruchliwszy dzień roku, uniósł jedynie brew. Rocco to pomylenie, ale przyjemnie się go strzyże. Ma włosy takie jak mieszkańcy Starego Kraju, gęste, kręcone, zdrowe, porządne włosy, które powinny mu wystarczyć do czasu, gdy już ich nie będzie potrzebował.

- Maxi, przeczytałem właśnie o Justynie. Jak mogę pomóc?

- Nie wiem. Matka zajmuje się mobilizowaniem utalentowanych prawników, ale Justyn nie

ma pojęcia, skąd się tam wzięła kokaina. Okazuje się, że dużo przyjmował... powtarza z uporem, że mogła ją zostawić każda z kilkunastu osób. Powiedział jednak, że był facet, który miał klucz do mieszkania, nie chciał natomiast powiedzieć nic prócz tego, że go poznał w czasie robienia zdjęć i że to nie mógłby być on.

- Dlaczego?

- Chyba jest zbyt doskonały - sucho odparła Maxi. - A Justyn za nic nie chciał podać nazwiska tego świętego. Co więcej, ten wspaniały przedstawiciel rodzaju ludzkiego wyjechał z miasta.

- Możesz pójść tym tropem?

- Właśnie to pytanie sobie zadaję. Do pierwszych zdjęć w kostiumach kąpielowych, jakie Justyn dla mnie robił, pozowało dwudziestu czterech modeli. Potem modzie poświęcony był artykuł: Szafy sławnych ludzi, czyli dodatnie skutki twórczego bałaganu, a w miesiąc później Bill Blass pokazywał trzydzieści różnych sposobów noszenia najstarszych swetrów. Poza zdjęciami do działu mody Justyn robił dla nas mnóstwo innych rzeczy...

Przeładam teraz fotografie.

- Dwudziestu czterech modeli? Z tej samej agencji?

- Nie, Julie zamówiła ich w czterech czy może nawet pięciu agencjach.

- Słuchaj, zdobądź rachunki. Muszą być w twoim biurze. Potem mi je daj i pozwól załatwić parę telefonów. Zawiadomię cię, jeśli coś z tego wyjdzie.

- Idę po rachunki.

- Jutro rano wystarczy. Muszę pogadać z ludźmi w biurach, z osobami, do których nie mogę dzwonić do domu.

- Dostarczę je wcześniej. Wiesz, Rocco, to strasznie miło z twojej strony i jestem ci szalenie wdzięczna. Nigdy tego nie zapomnę.

- Co, u diabła - rzekł Rocco nie zważając na jej uczucia. - Wiesz, że zawsze lubiłem Justyna. Biedak. Jak to znosi Angelika? - zapytał nagle zatroskany.

- Po swojemu.

- Co to ma znaczyć?

- Jeśli ktoś to przeżyje, tym kimś będzie moja córka - prychnęła Maxi.

- Ty jej nie rozumiesz - powiedział Rocco. - Moja córka jest wyjątkowo wrażliwą dziewczynką.

- Angelika jest pełna wzniosłych uczuć, których przypuszczalnie nie potrafię zrozumieć.

- Właśnie. Zapewne doznała szoku, a ty nawet nie umiesz się na tym poznać, cóż dopiero się z tym uporać.

- Mam pomysł, Rocco. Elie może ci ją podrzucić. Weź ją na obiad i pomóż jej

przewyciężyć szok.

- Uh. Dobrze. Właściwie jestem umówiony. Oczywiście Angelika mogłaby pójść z nami, ale to chyba nie byłoby najlepsze rozwiązanie. Nie, po zastanowieniu widzę, że raczej nie. Angelika spędza ten weekend ze mną.

Wtedy sobie pogadamy.

- Zrób to. I tak dziękuję, Rocco. Do usłyszenia. - Maxi delikatnie odłożyła słuchawkę i rozejrzała się za czymś, czym mogłaby rzucić o ścianę, za czymś, co się na pewno rozprysnie na milion kawałków i narobi piekielnego hałasu. Ale co nie jest nazbyt cenne. Ta nędzna kreatura na to nie zasługuje.

- Sue, tu Rocco Cipriani.

- Och, dzień dobry, panie Cipriani. Czym mogę służyć? - zaszczębiotała.

- Chciałbym ci zadać pytanie w związku z czterema twoimi facetami - lekkim tonem powiedział Rocco. Sue była najlepszą agentką pośredniczącą w wynajmowaniu modeli.

- Proszę. Który z naszych wspaniałych chłopców pana interesuje?

- Powiem ci za chwilę. To sprawa dość delikatna, Sue, ale niewątpliwie rozumiesz, że czasami muszę zadać, no, dość brutalne pytanie.

- Po to tu jestem - żywo oświadczyła Sue.

Rocco podał nazwiska modeli z jej agencji, którzy pozwali do zdjęć w kostiumach kąpielowych, i jakby pytał o ich obwód w klatce piersiowej, dorzucił: - Chciałbym wiedzieć, czy któryś zażywa kokainę.

- Czy to skarga, proszę pana? - zapytała po krótkiej przerwie.

- Nie, Sue, nic podobnego. Nie masz powodu do obaw. Pomyślałem jednak, że gdyby ktoś jeszcze miał z którymś kłopoty, gdyby ewentualnie były zażalenia, ty pierwsza byś wiedziała.

- Panie Cipriani, wie pan równie dobrze jak ja, że jeśli model się narkotyzuje, długo się nie utrzyma. Rezygnujemy z niego, jeśli są liczne zażalenia. - Wesołą nutę w jej głosie zastąpiła stanowczość, dzięki której Sue stała się potęgą w swoim zawodzie.

- Oczywiście, że tak. Z drugiej strony, Sue, nie jest wykluczone, że parę skarg ujdzie bezkarnie komuś naprawdę dobremu. Poszukiwanemu modelowi łatwiej można wybaczyć morderstwo niż zażycie paru dawek kokainy.

- Nie tutaj - stwierdziła z naciskiem. - To nie Hollywood.

- Twoja agencja stanowi wyjątek, Sue, zawsze o tym wiedzieliśmy. - Rocco wypowiedział komplement słodko modulowanym głosem. - Ciekaw też jestem, czy któryś z interesujących mnie facetów żyje na wysokiej stopie, wydaje więcej pieniędzy niż może zarabiać.

- Nadal nie rozumiem, do czego pan zmierza - odparła; udało jej się nie przybrać defensywnego tonu.

- Czy nie moglibyśmy tego tak sformułować? - uspokajająco rzekł Rocco. - Instynkt mi podpowiada, że paru modeli w tym mieście jest mocno uzależnionych albo handluje kokainą, albo jedno i drugie. Tak czy inaczej, rzeczywiście tej informacji potrzebuję.

- Żaden model od nas, proszę pana, to niemożliwe, absolutnie wykluczone.

- Może i nie. Jestem dość pewny, że masz rację. Ale coś się dzieje.

Chciałbym też w najlepszym interesie wszystkich tego rodzaju agencji po prostu zalecić kontrolę. Nazwijmy to akcją przedpolicyjną, bo jeśli, Sue, z tego czy innego powodu nie dostanę tych właśnie nazwisk, policja w dużej sile najdzie nowojorskie agencje - rzekł Rocco. - Możesz na to liczyć - dodał łagodnie.

- Postaram się pomóc - zapewniła Sue zdecydowanie rzeczowym tonem. - Niewątpliwie popytam.

- Dobrze. Oddaj mi tę drobną przysługę. A na marginesie, sprawdzałem, ile zamówień dostaliście w zeszłym roku od firmy CL&K. Na sumę czterystu tysięcy dolarów, prawda? Nie, w istocie dużo więcej. Wiesz? Wy rzeczywiście umiecie ich dobierać. Do widzenia, Sue, i och, gdybyś całkiem przypadkowo dowiedziała się czegoś interesującego, daj mi znać od razu, dobrze?

- Oczywiście, panie Cipriani.

- Dziś do trzeciej trzydziści albo czwartej, powiedzmy, właściwie nie później niż do końca urzędowania. I, Sue, tak naprawdę to szukam handlarza, nie jakiegoś tuzinkowego narkomana. Moim zdaniem jesteś o wiele za inteligentna, aby tego nie zrozumieć, co? Nie obchodzą mnie tak bardzo wasi zwykli narkomani - ale mimo to chcę mieć ich nazwiska na wszelki wypadek.

- Na wypadek?

- Na wszelki wypadek. Handlarz i jego klienci. Tego szukam, Sue, i byłoby lepiej, gdybym to znalazł. Jednakowo to nas wszystkich dotyczy, prawda?

Odezwiész się tak czy owak, co? - W głosie Rocca wyraźniej zadźwięczał śmiech.

- Na pewno. Bezwzględnie. Może pan na to liczyć. Tak czy owak. Och, i dziękuję za telefon, panie Cipriani.

- Zawsze miło jest z tobą porozmawiać - sympatycznie odpowiedział Rocco.

- Handlarz, Sue, i jego klienci.

Tego rana Rocco odbył cztery podobne rozmowy z czterema innymi agencjami, które dostarczyły modeli do zdjęć w kostiumach kąpielowych. Wszystkie robiły duże interesy z CL&K. Choć uzyskał te same zdecydowanie negatywne odpowiedzi, o piątej po południu miał już dłuższą listę nazwisk, niż przewidywał, a w pięciu agencjach wielu bardzo zatroskanych kierowników prowadziło ze sobą zakulisowe narady. Coś takiego nie powinno się zdarzyć, chyba że w innej agencji, mówili sobie. W razie czego stać by ich było na stratę takiego klienta jak CL&K, żaden

natomiast nie mógł dopuścić do skandalu w branży. Podali Roccowi wszystkie nazwiska modeli, których sami niejasno podejrzewali. Ale co właściwie rozumiał Cipriani przez “akcję przedpolicyjną”? - tego byli ciekawi. I czemu jego zachowanie było tak nietypowo przyjemne? Tak przerażająco łagodne?

Dwa dni później Rocco zadzwonił do Maxi do biura.

- Justyna oczyszczono z zarzutów, Maxi. Wydało mi się, że chciałabyś to wiedzieć.

Wycofano oskarżenie.

- Rocco! Jesteś pewny? Jesteś zupełnie pewny?

- Przed chwilą dzwonił Charlie Salomon. Potwierdził wiadomość.

- Co zrobiłeś? Jak to zrobiłeś? - W podnieceniu o mało nie upuściła słuchawki.

- Och, po prostu tu i tam popytałem.

- Rocco, nie doprowadzaj mnie do szaleństwa. Och, bzdura, jesteś taki wspaniały...

- Daj spokój, Maxi. Nie było to nic wielkiego. Popytałem o nazwiska, dostałem je, wykombinowałem, który to facet z twojej listy, podałem nazwisko Salomonowi, a dodatkowo nazwiska ludzi, którzy kupowali od przyjaciela Justyna i pod naciskiem... silnym naciskiem... swoich agencji zgodzili się świadczyć przeciw niemu... to samo potrafiłby zrobić przeciętny detektyw-amator, gdyby wiedział, gdzie szukać.

- Jesteś niewiarygodny, najwspanialszy... kto to był?

- Jakiś piękniś imieniem Jon, właściwie płotka przyłapana na interesach z dużo grubszymi rybami na Florydzie. Próbował się wykręcić zwalając winę na Justyna. Zostawił u niego towar, na jego nieszczęście. Jon to z gruntu niezbyt przyjemny facet. Jak powiedziałaaby Angelika, ma poważne trudności z postawą. Tak czy owak, gliny zdołały go capnąć. Podejrzewam, że było to stosunkowo proste, skoro wiedziały, kim jest.

- Dlaczego mam uczucie, że coś przede mną zatajasz?

- Byłaś zawsze podejrzliwa z natury. Szkoda, że Justyn jest inny. No, ale cóż robić? Cieszę się, że jest już po wszystkim. Do widzenia, Maxi.

- Zaczekaj, Rocco! Nie odkładaj słuchawki. Pozwól sobie podziękować - prosiła Maxi. - Nie masz najmniejszego wyobrażenia, ile to dla mnie znaczy.

Jestem po prostu... nie wiem, co powiedzieć... - Język jej się plątał z wdzięczności. Pod wpływem ogromnej radości jej słowa brzmiały niemal dziecinnie.

- Och, daj spokój. Zrobiłem to dla Angeliki i Justyna. I oczywiście dla twojej matki. Salomon właśnie do niej dzwoni. Justyn będzie w pracy w poniedziałek, jak zawsze. Prosił, aby ci to powtórzyć.

- Kiedy z nim rozmawiałeś? - spytała Maxi z niedowierzaniem.

- Parę minut temu. Sądziłem, że on pierwszy powinien usłyszeć dobrą nowinę.

- Co powiedział?

- Niewiele. Oczywiście mu ulżyło, przede wszystkim jednak nie chciał uwierzyć, że to Jon go tak zrobił. Miał co do tej dziwnej kreatury bardzo poważne złudzenia. Twój brat to jeden z ostatnich wielkich romantyków. Więc na twoim miejscu nie zachowywałbym się szampańsko, kiedy przyjdzie do pracy. Spróbuj potraktować to naturalnie, pokazać, że to nie koniec świata ani nic w tym rodzaju. Ułatw biedakowi sprawę.

- Postaram się - cicho odrzekła Maxi.

- I nie bądź zbyt łzawa, dobrze?

- Dobrze, Rocco. Wystarczy. - Maxi rozejrzała się za czymś dostatecznie twardym, co mogłaby zmiażdżyć czterocalowymi obcasami nowych czólenek od Mario Valentina. - Ładnie się spisałeś. Dobra robota. Rodzina docenia twoje starania i w koszyku gwiazdkowym znajdziesz indyka, mój dobry człowieku.

Zgoda, myślała Maxi, zgoda, może i zwracała się do niego jak przywiązana do szyn kolejowych Lois Lane do Supermana, może i nie panowała nad radością, ale czyż wdzięczność nie jest rzeczą normalną? Jak ktoś mógł, nawet tak absolutnie nieprzystępny i gderliwy jak Rocco Cipriani, nie chcieć podziękowań? Skąd się bierze w człowieku tyle pogardy? - zadawała sobie z wściekłością pytanie, skulona pośrodku łóżka, z brodą wspartą na dłoniach, a łokciami na kolanach, nieruchoma, zadumana pełna zapiekłej urazy. Nigdy nie pominął okazji, aby jej dać do zrozumienia, jaka jest ograniczona, nawet kiedy spełniał dobry uczynek. Teraz oskarżył ją o niewrażliwość, pouczając, jak ma traktować Justyna, tak jakby się spodziewał, że będzie nietaktowna i głupkowata. Zawsze cechowała go ta arogancja, ta niezmienna idiotyczna próżność, która kazała mu myśleć, iż tylko on ma rację. Kłopot polegał na tym, że się uważa za pępek świata. Nie zdarzyło się nic takiego, co by mu uświadomiło, że jest jedynie przystojniaczkiem z uzdolnieniami do rysunku. Pokora. Rocco powinien się nauczyć pokory. Wypowiedziała to słowo na głos, delektując się nim, napawając jego słodyczą. Przeciwnie niż Rocco jednak ona nie jest samolubna, małostkowa, zawistna, skąpa. Cieszy się, że ojciec jej dziecka wie, co robić w krytycznej sytuacji. Oddał ich rodzinie olbrzymią przysługę i zostanie wynagrodzony, czy chce, czy nie. Wynagrodzony po królewsku, aż go od tego zemdli!

W nagłym rozradowaniu sięgnęła po żółty blok, nieodmiennie teraz trzymany pod ręką, i zaczęła notować. Najpierw limuzyna alfa romeo spider. Cóż to szkodzi, że nie będzie jej miał gdzie zaparkować i że taki samochód to pokusa dla wandalów? Weźmie go w takim kolorze, w jakim obecnie je mają, choć wolałaby czarny, bo szybciej się brudzi. Następnie ten komplet delikatnie rzuconych starych kieliszków do wina, który widziała u Jamesa Robinsona. Trzy tysiące dolarów, a

trzeba je myć w ręku, najlepiej w misce wyłożonej gumą, i wycierać z największą ostrożnością. Przepuszczalnie potłucze wszystkie w sześć miesięcy. Co jeszcze? Czemu nie komplet zamszowych walizek z antylopy od Loewego? Na dole jest sklep z hiszpańskimi wyrobami skórzanymi, gdzie pożądliwie oglądała miękkie jasnoszare walizki z wykończeniem w kolorze burgunda, oczywiście za delikatne na samolot; zniszczyłyby się po jednej podróży. Najmniejsza torba podręczna kosztuje prawie sześćset dolarów - może tę potrafi przez jakiś czas utrzymać w przyzwoitym stanie. Aha, ma, te wspaniałe srebra najwyższej próby w stylu Art Deco i komplet do kawy od Puiforcata. Cóż, że kosztują czterdzieści tysięcy dolarów - trzeba je czyścić jak zwyczajne srebro, jeśli mają być do czegoś podobne. Ale trudno to nazwać prezentem nie przemyślanym.

Stadko kuców do polo? Nie, z żalem stwierdziła Maxi. Kosztują zaledwie po dziesięć tysięcy sztuka, ale nawet Rocco, choć taki niewyrafinowany, dostrzegłby niestosowność prezentu. Kuce wymagają stajennego, boksów i systematycznego karmienia - będzie musiała albo dorzucić na ich utrzymanie, albo nie dawać ich wcale. Wiedział zresztą, iż ona wie, że nie umie jeździć konno. Rozkosznie byłoby mu podarować małego Learjeta 23, lecz trzysta tysięcy dolarów to chyba trochę za dużo na wyrażenie dozgonnej wdzięczności. A jednak na liście czegoś brakuje. Jest niepełna. Czemu nie dwa bilety na długą wycieczkę statkiem po Morzu Karaibskim? Byłaby to dobra terapia dla takiego zwariowanego pracusia jak Rocco. Może dwa, nie, lepiej trzy tuziny tych ręczników kąpielowych, które robiąc ostatnio zakupy widziała u Barneya. Beżowych, oczywiście, albo jeszcze lepiej białych. Nie w wyraźnie kobiecym kolorze. Jeśli się uważnie rozejrzy, powinien znaleźć dobrą ręczną pralnię. I na dowód, że nie ma w sercu nic prócz prawdziwej szczodrości, skrzynka Glenfiddich, jego ulubionej słodowej whisky. To go powinno wprawić w niezłe zakłopotanie, pomyślała Maxi. Tak naprawdę to chciałaby mu dać tekę rysunków Leonarda da Vinci. Najwyraźniej by dostrzegł znikomość własnego talentu. Ale królowa angielska wykupiła najlepsze, a Biblioteka Morgana ma prawie całą resztę.

Rozległo się stukanie do drzwi i weszła Angelika.

- Dlaczego nie jesteś u ojca? - zdziwiła się Maxi. Ten weekend Angelika miała spędzić u niego. - Nie mów mi, że cię odwołał.

- Nie, mam, wiesz, że nigdy by tego nie zrobił. Ma najokropniejszy pod słońcem katar. Właśnie dzwonił i powiedział że na pewno jest zaraźliwy, zaatakowany przez bakcyle i że mam zapytać, czy może się z tobą zamienić weekendami.

- Oczywiście - odrzekła Maxi. Angelika miała jeszcze bardziej zbolaną minę niż przed chwilą. - A ty chcesz?

- No, wiesz, Wojsko zaplanowało na dziś coś specjalnego, bo są wiosenne wakacje i mnóstwo dzieci jest w domu. Za nic bym nie chciała, żeby mnie to ominęło. To się odbędzie teraz nie w przyszłym tygodniu, zresztą chcę mieć trochę czasu dla siebie, wiesz, żeby poimprowizować.

Nie zmyślam, mam, chcę tylko trochę poszaleć z moją paczką.

- To słowo brzmi jak gwałt i rabunek. - Włosy zjeżyły się Maxi na karku.

- Poszaleć?

- Mam na myśli - odparła Angelika z godnością - popołudnie w cyrku, a potem ubaw albo, jak ty byś to nazwała, przyjemne popołudnie z miłymi młodymi damami i dżentelmenami włącznie z poczęstunkiem.

- Rób, jak uważasz - zgodziła się Maxi. Pokładała absolutną wiarę w Wojsku i jego działalności. Angelika znikła w podskokach, z donośnym okrzykiem radości, uwolniona od rodziców, którzy w poczuciu winy, dla zadośćuczynienia za rozwód za bardzo pozbawiali ją życia prywatnego. Czyż nie wiedzieli, że prędzej czy później każdy się rozwodzi?

Maxi zaczęła się ubierać przed pójściem po prezenty dziękczynne dla Rocca. Może będzie jeszcze leżał chory w domu, kiedy je doręczą. Straszne przeziębienie może potrwać tydzień. Wiosenne wakacje? Czy Angelika nie wspomniała przed chwilą o wiosennych wakacjach? Maxi wyjrzała przez okno łazienki i stwierdziła, że wiosna zawitała do Central Parku bez uprzedzenia, zaskakująco szybko, w ciągu jednej nocy, jak w Mary Poppins.

Katar i wiosenne wakacje. Czemu wcześniej nie przyszło jej to do głowy?

Złośliwy katar sienny Ciprianich powalił Rocca, uparcie pielęgnującego tradycje, a on nie chce się do tego przyznać i jak co roku obstaje, że to nie do pomyślenia, aby mógł cierpieć na taką dziecianną dolegliwość, skoro nie przytrafiło się to żadnemu z Ciprianich. Jak można mieć katar sienny w Wenecji? - zapytała Maxi kiedyś, przed laty. Czuła, że pytanie nie straciło na aktualności.

Trzęsąc się ze śmiechu stała w bladolawendowej satynowej koszuli i już miała na prawą nogę wciągnąć przejrzystą czarną rajstopę, tu i ówdzie ozdobioną motylami, kiedy pod wpływem nagłego impulsu postanowiła być miłosierna i serdeczna. Podskoczy i pocieszy Rocca w niedoli jako lepszego rodzaju pielęgniarza. Właściwie anioł miłosierdzia.

Wiedziała, gdzie Angelika trzyma klucz od jego mieszkania, i знаła najskuteczniejszy lek na katar sienny Ciprianich. Pewnych rzeczy nigdy się nie zapomina. Po drodze zastanawiała się, jak Rocco urządził swoje dwupoziomowe mieszkanie, położone przy Central Park South. Nigdy nie zniżyła się do tego, aby zapytać Angelikę, jak ono wygląda. Pamiętała dawne ciągoty Rocca do czegoś klasztorowego, surowego i spokojnego, ciągoty japońskiego mnicha. Może zdążył już osiąść sztukę minimalistycznej dekoracji wnętrz, nauczył się usuwać wszystko, dzięki czemu dom nadaje się do zamieszkania, i wydawać pieniądze na głupie szczegóły, których nikt inny nie zdoła zauważyć. Albo też zdecydował się na ohydnie niewygodne krzesła Mackintosha i czarno-białe kafle z lat trzydziestych, wstrętne od początku i z wiekiem nic nie lepsze. Może otoczył się mnóstwem przedmiotów przemysłowych, kawałkami stalowych rur i neonami, a śpi na macie rozłożonej na podłodze. Z drugiej strony to wszystko już niemodne. Może więc zdecydował się na

styl nowomeksykański - na koszmar z obrazów Georgii O'Keeffe, z trzema znaczącymi kamieniami na półce nad kominkiem, których magicznego układu nie należy zmieniać, ze ścianami z suszonej na słońcu gliny, którym pozwala się łuszczyć, i jednym doskonałym, powoli umierającym kaktusem? Albo może mieszka po prostu tak, jak połowa znanych jej snobów, ściany pomalowane ma na biało, a meble potwornie nudne i drogie. Płonna nadzieja, aby to był prawdziwie ohydny styl lat pięćdziesiątych i laminowana sklejka. Przepuszczalnie, jak u większości starych kawalerów, musi u niego panować bałagan.

Kluczem Angeliki Maxi bezgłośnie otworzyła frontowe drzwi. Duży hol obejrzała z dezaprobatą. Jakie to dziwne, że ma piękny stary parkiet wyfroterowany do złocistego połysku. Co za niezwykły pomysł z ustawieniem tu naturalnej wielkości torsu Wenus dłuta Maillola, torsu pełnego siły, mrocznie połyskliwego, górującego, wspaniałego na tle ulotnej magii cofających się tęczowych fal na dwóch dużych płótnach Helen Frankenthaler na przeciwległych ścianach. Żadnych mebli, zauważyła, tylko wspaniały stół z czasów regencji pod trzecią ścianą, pełen wygięć, bogato rzeźbiony, na jej wprawne oko niewątpliwy autentyk. No, nie tak trudno kupować dobre dzieła sztuki komuś, kto ma pieniądze, pomyślała, cicho zamykając za sobą drzwi, z uczuciem dezaprobaty dla takiego stylu wnętrza. Na próżno nasłuchiwała odgłosów życia. Ostrożnie przeszła do salonu. Cóż, Rocco bez wątplenia zasmakował w luksusie, co było całkowicie sprzeczne z jego wzniosłym sknerstwem, w komfortowych warunkach jakby z boską niestosownością stworzonych w starej wiejskiej stodole, a nie przy Central Park South. Światło wlewało się do pokoju wysokości dwu pięter, czyniąc szalunek źródłem subtelnej informacji o pięknie, jakie może wydobyć z drewna pogoda. Głębokie, obite puszystym szarym pluszem kanapy, przedzielone stołem Parsonsa w kolorze czerwonej laki, stały pośrodku długiego pokoju, do siebie zwrócone tyłem, przodem zaś do wielkich bliźniaczych kominków w bocznych ścianach. Szalenie eleganckie fotele z okresu regencji pokryte były delikatną indyjską kaszmirową tkaniną z deseniem w odcieniach jasnego brązu, czerwieni i koralu; tu i ówdzie na starej ceglanej podłodze leżały chińskie jedwabne dywany w stonowanych, rzadko spotykanych barwach, które odbijały blask słońca.

Maxi prychnęła tak pogardliwie, jak tylko się dało. Zdecydowanie najcenniejszym przedmiotem była tu rzeźba egipska podarowana przez nią Roccowi na ich pierwsze wspólne Boże Narodzenie, wczesnoptolemejska statuetka Izydy, wysokości prawie dwóch stóp, z czerwonego kwarcytu. Każdy szczegół jej ciała rysował się wyraźnie, ponieważ egipskie boginie nosiły szaty bardziej przezroczyste od kreacji Boba Mackie'ego, ta zaś Izyda miała najrozkoszniejsze piersi i pępek, niemal równie ładne jak Maxi, lecz brakowało jej głowy. A Wenus Maillola brakowało ramion. Widocznie Rocco nie na tyle lubi kobiety, aby mieć przy sobie jedną, której nie brakuje niczego.

Podskoczyła na odgłos gwałtownego kichnięcia i uśmiechnęła się w przewidywaniu rozkoszy. Pod wpływem tego uśmiechu surowe usta taksatora przemieniły się w niebezpieczną broń, tego właśnie uśmiechu, o którym nawet Maxi w swej próżności nie sądziła, że doprowadza mężczyzn do szaleństwa.

Cicho wspinała się po schodach, kierując się kichnięciami, przekleństwami i dmuchaniem nosa. Nos będzie brzydki i spuchnięty, wiedziała, jak u skarykaturowanego W.C. Fieldsa w najgorszej formie.

Drzwi do sypialni były przymknięte. Widziała, że za nimi panuje mrok, niemal ciemności. Rocco musiał pozasłaniać okna, położyć się do łóżka i nakryć wszystkimi posiadanymi kocami i kołdrami. Żadnego mężczyzny nie powalał katar tak jak Rocca Ciprianiego. Zły Dennis Brady leczył przeziębienia przerzucając się z tequili na gorący grog, a Chłopczyzna, hrabia Kirkgordon, po prostu lekceważył wszystko mniej groźne od zapalenia płuc. To pogoda, tłumaczył. Jego przodkowie zawsze się przeziębiali, a co było dobre dla pięknego księcia Karola, było dobre i dla niego.

Maxi odkaszlęła, aby ostrzec Rocca. Nie ma sensu przyprawiać go o atak serca, skoro przyszła poprawić mu samopoczucie.

- Angelika, mówiłem, że masz się do mnie nie zbliżać.

- To tylko ja - uspokoiła go Maxi. - Angelika tak się o ciebie martwiła, że namówiła mnie do przyjścia i sprawdzenia, czy nie potrzeba ci doktora.

- Wynos się - warknął, z rozmysłem kichając w jej stronę. Dojrzała jedynie ponurą kupkę dickensowskiego grubiaństwa.

- Słuchaj, Rocco - rzekła uspokajająco - sam się zadreczasz.

Niepotrzebnie zachowujesz się tak, jakbyś stał na progu śmierci, tylko z powodu lekkiego przeziębienia.

- Proszę, naciesz się, ale spieprzaj z mojego domu.

- Czy to nie lekka paranoja? Dlaczego miałabym się cieszyć z ludzkiego cierpienia? Zwłaszcza z cierpienia ojca mojego dziecka? Przyszłam wyłącznie dla spokoju Angeliki. Ale skoro już tu jestem - powiedziała wesoło i ściągnęła zasłony - zrobię co się da dla poprawy twojego samopoczucia.

- Nie chcę poprawy samopoczucia. Chcę być sam! Po ciemku!

- Typowe, typowe, wszyscy wiedzą, jak bardzo mężczyźni lubią cierpieć.

Założę się, że nie zażyłeś nawet witaminy C. - Maxi przyjrzała się olbrzymim gałęziom forsycji, w pakach, ustawionym w pięknym florentyńskim dzbanie na stoliku obok łóżka. Renesansowa majolika, jeśli się grubo nie myli. Stąd ten katar, choć nigdy by w to nie uwierzył.

- Witamina C to bzdura. Nigdy nie udowodniono, że pomaga - sapnął Rocco, jeszcze dalej

wsunął się pod kołdrę i spróbował nakryć głowę poduszką.

- Ale nie mamy pewności, prawda? Zresztą nawet ty wiesz, że musisz pić.

Przygotuję ci dzbanek soku ze świeżych pomarańczy i zostawię pod ręką.

- Idź. Nie mam pomarańczy. Wynoś się!

Maxi znikła i zamknęła za sobą drzwi, zanim zdołał się podnieść i zastosować przymus fizyczny. Przyniosła z domu torbę pomarańczy w przewidywaniu tego żalostnego stanu zaopatrzenia. Jak nauczyło ją doświadczenie, mężczyźni nigdy nie mieli pomarańczy na podorędziu. Cytryny, owszem, czasami jabłka, ale nie pomarańcze. Na palcach zesłała na dół i znalazła kuchnię, na pierwszy rzut oka czterokrotnie większą od własnej i znacznie weselszą. Oczywiście okna nie wychodzą na Światowe Centrum Handlowe, powiedziała sobie wyciskając pomarańcze, ale jest lśniąca żeliwna kuchenka z ośmioma palnikami, podłoga ze złocistego trawertynu, wielki drewniany stół i wypolerowana chłodziarka z brązu, pełna szampana. Zajrzała głębiej. Zgodnie z jej przypuszczeniami mroziło się tam wiele butelek wódki, tak zimnej, że spływa gardłem niczym pocałunek przyjaznej góry lodowej. Po namyśle Maxi dodała trzy czwarte butelki do dzbanka soku i spróbowała napój. Wódki się nie czuło, tak słodkie były owoce. Wstawiła dzbanek do chłodziarki i wyruszyła na poszukiwania szafy z bielizną. Nic tak nie poprawia choremu samopoczucia jak czysta, świeża pościel. No! Więc w gronie jej znajomych nie jedna India jest zboczona na punkcie pościeli.

Rocco miał wszystko, co oferuje Pratesi, śnieżnobiałe, z surowymi geometrycznymi obramowaniami w ciemnym brązie, granacie i głębokiej purpurze. Dogadza sobie, co? Pratesi mógł być jeszcze droższy niż Porthault, choć gdyby się po to poleciało do Mediolanu, podróż by się zwróciła. Maxi zgarnęła czystą egipską bawełnę wartości tysiący dolarów, wróciła do kuchni po dzbanek i dużą szklanę, po czym ruszyła na górę.

Bezszelestnie otworzyła drzwi. Jak przypuszczała, Rocco spał mocnym snem.

Pogrzebała pod kołdrą i natrafiła na duży palec u jego nogi. To był najłagodniejszy sposób budzenia. Pociągała lekko za palec, dopóki Rocco się nie poruszył, i robiła to dalej, aż wreszcie wychynął spod poduszki.

- Pora na sok. - Jej głos zawibrował tak ładnie jak głos Julie Andrews.

- Nie wierzę, do cholery - stęknął i kichnął dziko.

Podawała mu czystą ligninową chusteczkę i pełną szklanę soku, którą trzymała z godnością. Wypił i burknął coś, co można by wziąć za podziękowanie. Ponownie napełniła i wręczyła mu szklanę.

- Jesteś odwodniony. To może być niebezpieczne - ostrzegła.

- Później. Odstaw to. I idź sobie.

- Pójdę, jak skończysz - obiecała.

Wypił szybko na dowód, jak bardzo mu na tym zależy, a następnie opadł na poduszkę i zamknął oczy. Maxi odczekała kilka minut, aż wódka podziała uspokajająco na jego system nerwowy.

- Rocco?

- Taak.

- Czujesz się lepiej?

- Może. Trochę.

- W takim razie proponuję, żebyś wziął porządny prysznic, a przez ten czas ja ci pościelę łóżko.

- Prysznic? Zwariowałaś. Zmiana temperatury w takim momencie mnie zabije.

Zabije.

- Niech woda nie będzie gorąca, ale w temperaturze pokojowej. Gwarantuję, że poczujesz się znacznie lepiej. Słowo honoru.

- Na pewno?

- Ręczę. A świeża, chłodna, śliczna pościel... nie będzie przyjemna?

- Nie może zaszkodzić. Skoro tu jesteś. A potem pójdziesz? Obiecujesz?

- Oczywiście. Jeszcze soku?

- Może... jeszcze szklankę. Jakby pomagał. - Na chwiejnych nogach, radośnie podążył do łazienki, zabierając ze sobą szklankę. Maxi krzątała się po pokoju. Jedno, co naprawdę umiała zrobić, to porządnie posłać łóżko.

Słyszała, jak Rocco puszcza prysznic, nie śpiewa, ale i nie kicha. Wyniosła forsycję do holu wraz z kupką brudnej bielizny i zaciągnęła zasłony prawie do końca.

Po dziesięciu minutach pojawił się Rocco, zastał sypialnię pustą i tylko na tyle widną, że mógł dostrzec świeżo posłane łóżko z podciągniętą do góry kołdrą, tak jak lubił. Z westchnieniem ulgi rzucił się na niebiańską pościel i przeciągnął się stękając z zadowolenia.

- Auuu! - Odskoczył od materaca. Stopą namacał coś żywego.

- Na litość boską, to tylko ja - szepnęła Maxi. - Myślałam, że widzisz.

Przepraszam.

- Co robisz w moim łóżku?

- Widocznie zasnąłam. To takie duże łóżko do ślania, tak trudno je obejść dokoła.

- Jesteś naga - stwierdził.

- Czyżby? - spytała sennie.

- Aha.

- Hmm... to dziwne, więc tak. - Ziewnęła. - Zdawało mi się, że jestem w domu. Wybacz.

- Nie strasz mnie już więcej. Bo tego nie cierpię.

- Oczywiście, że nie cierpisz - wymamrotała macierzyńskim tonem Maxi i przyciągnęła jego głowę do swych cudownych piersi, podobnych do nagrzanego słońcem owocu bogów.

- Oczywiście, że tak, biedactwo, biedny, biedny Rocco, to takie straszne mieć katar.

- Możesz się zarazić - westchnął i zaczął ssać jej sutek.

- Nie, nie, nic się nie martw, nigdy nie zaraziłam się twoim katarem. - Całowała go w ramię i w szczególnie wrażliwe miejsce u nasady szyi, gdzie, jeśli dobrze zapamiętała, lubił być całowany.

Zapamiętała doskonale. Błogie, słodkie i wkrótce nieodparte wspomnienie, ukołysane darem Rosji dla świata, wspomagane zwinnymi wargami, rękami i nogami Maxi, doczekało się wspaniałego ukoronowania.

Po wielu godzinach, przed świtem, Rocco obudził się z lekkimi zawrotami głowy i silnym poczuciem zaniepokojenia. Coś się stało. Nie miał pewności co. Nie miał pewności kiedy ani jak, coś się jednak stało. Odruchowo, ostrożnie, cal po calu przeszukał łóżko. Puste. Nadal coś jest nie tak.

Zapalił lampę na nocnym stoliku i rozejrzał się dokoła. Nikogo. Wstał i zaczął nasłuchiwać. Od razu się zorientował, że jest w mieszkaniu zupełnie sam. Co go tak trapi? Wrócił do łóżka i zapatrzył się w sufit. Odzyskał pamięć. O Boże. Och, nie. Ta suka. W pamięci odżywały szczegóły. Nie raz, nie dwa, lecz trzy. Wiedział na pewno. Usiłowała go zabić. Trzy razy z rzędu. Czym on niby ma być, pieprzonym czternastolatkiem? Zgwałciła go, dosłownie, czy też napastowała? Czy można twierdzić, że się zostało zgwałconym trzy razy w ciągu popołudnia? Uprzytomnił sobie ze złością, że się uśmiecha jak imbecyl. Zaczął okładać pięściami poduszkę, aż posypało się pierze. Jakie to do niej podobne, wykorzystać chorego. Wampir, to właśnie ona. Wiedziała, ta niewybaczalnie dokuczliwa, lubiąca się znęcać, zręczna, niewymownie zła kreatura, wiedziała doskonale, że katar zwiększa jego pobudliwość płciową.

- Więc, draniu - zwrócił się na głos do siebie - dlaczego nie kichasz?

24.

- Mogłabyś wpaść do mnie na chwilę, Maxi? - zapytał Monty łapiąc ją za ramię. - Twój pokój to dom wariatów, a musimy pomówić.

Tego dnia, w poniedziałek 15 kwietnia, z samego rana, Maxi zaczęła właśnie robić ostateczne poprawki we wrześniowym numerze "G&K", który za tydzień miał iść do druku. Artykuł Madonny pod tytułem łatwe do osiągnięcia rozkosze narcyzmu wymagał dodatkowych zdjęć, a Dana Rathera Nikt nie wie, jaki jestem nieśmiały przekształcił się w normalną rubrykę, gdzie znane osobistości prześcigały się nawzajem w ujawnianiu młodzieńczych lęków, do tej pory nie przewyżczonych. Te nieodzwonne kłamstwa: dlaczego nigdy nie wolno ci się poczuwać do winy Billy Grahama wywołały taką lawinę listów do redakcji, że trzeba ich było wydrukować nadspodziewanie dużo, natomiast wrześniowy artykuł Chciałbym być, w którym Johnny Carson chciałby być Woodym Allenem, Elizabeth Taylor zaś chciałaby być Brooke Shields, jakoś się poplątał i teraz wychodziło na to, iż Woody Allen chciałby być Brooke Shields. Co gorsza na oko Maxi, coś w "rozplanowaniu" numeru, rozwieszzonego strona po stronie na ścianach jej pokoju, było nie tak.

- Nie mogłabym po lunchu, Monty? - poprosiła. - To pilne.

- Proszę cię, teraz. - Kiedy Monty mówił coś tym zdecydowanie spokojnym tonem, Maxi wiedziała, że nie należy pytać dalej. Ruszyła przodem do jego pokoju w odległym kącie dodatkowej powierzchni, jaką wynajęła, gdy rozszedł się pierwszy numer. Mijając po drodze biały pokój zobaczyła Julie pochyloną nad telefonem. Julie próbowała jej unikać, odkąd w prasie ukazała się historia Jona i Justyna, lecz Maxi na widok skrywanego bólu redaktorki działu mody natychmiast odgadła jego przyczynę. Współczuła Julie z całego serca, gdyby jednak dała temu wyraz, okazałaby, że wie, co tak głęboko zraniło przyjaciółkę, postanowiła więc chwilowo zostawić ją w spokoju. Z czasem rana się zagoi, myślała Maxi idąc ruchliwym korytarzem i odpowiadając na powitania. To wyświechtany frazes, rzeczywiście słaba pociecha, ale tak się składa, że prawdziwy. Gdyby ona sama dowiedziała się w "Savoir Vivre", że Rocco jest pederastą, ile potrzebowałaby czasu, aby o nim zapomnieć? Pół roku? Nie. Więcej. Rok? Zapewne więcej. Z zadumy wyrwał ją Monty, który zdecydowanym ruchem zamknął za sobą drzwi swego pokoju i oparł się o nie plecami, aby nikt nie mógł wejść do środka.

- Przed sekundą dzwonił Lewis Oxford. Chyba oszalał, choć na to nie wyglądało. Zawiadomił, że Wydawnictwa Amberville'a likwidują "G&K". Cały personel zostaje z końcem dnia zwolniony. Już uprzedził drukarnię, że Wydawnictwa nie zapłacą za wrześniowy numer. Wszystkim naszym dostawcom mówi się przez telefon, żeby nam nie podwyższali kredytu. Działa na wyraźne polecenie Cuttera Amberville'a występującego z ramienia twojej matki.

- Ona by tego nie zrobiła. On się po prostu myli. - Maxi zachowywała opanowanie, jakby

znieczulona pod wpływem szoku.

- Kiedy ostatni raz z nią rozmawiałaś?

- Zaledwie w zeszłym tygodniu, gdy zwolniono Justyna. Od lat nie byliśmy w tak dobrych stosunkach. Słuchaj, Monty, to jakaś sztuczka Cuttera.

Wypróbuj nową taktykę, dla mnie niezrozumiałą, dopóki nie pomówię z matką. Nie rozpowiadaj o tym absurdzie, zanim się z nią zobaczę... ranki zawsze spędza w domu. I buzia na kłódkę. - Oczywiście. Martwi mnie jednak drukarnia. Jeśli stracimy nasz czas na maszynach, jeśli już wzięli coś na przyszły tydzień, nie zdążymy z numerem, choć wyjaśnisz sprawę. Sprzedają swój czas na wiele miesięcy z góry.

- Zadzwoń do Mike'a Mullera, tego faceta z Burdy, i powiedz, że osobiście gwarantuję zapłatę. Ja, Maxime Amberville.

- Zadzwonię. - Monty miał taką minę, jakby chciał zadać więcej pytań.

Maxi wypadła z redakcji i zbiegła po schodach na dół, gdzie czekał na nią Elie.

Wtargnęła do Lily konferującej z kucharzem o proszonym obiedzie.

- Mamo, musimy natychmiast porozmawiać.

- Maxime, usiłowałam cię złapać przez cały weekend. Jean-Philippe, dokończę to menu później. Gdzie się podziewałaś, Maxime? Tak mi zależało na rozmowie z tobą.

- Nie było mnie w domu - odruchowo odpowiedziała Maxi. - Mamo, dzwonił właśnie Lewis Oxford z wiadomością, że nie mamy już kredytu, że "G&K" przestają istnieć.

- Och, do tego właśnie nie chciałam dopuścić! Ten dureń Oxford!

Uprzedziłam Cuttera, że najpierw chcę się spotkać z tobą, Tobym i Justynem, ale widocznie Oxford nie sprawdził, czy doszło do spotkania.

- Co znaczy "najpierw"? Dlaczego chcesz porozmawiać z nami trojgiem? Jaki to ma związek z G&K?"

- Przestań krzyżeć, Maxime. O Boże, tak chciałam, żeby to się odbyło spokojnie, a teraz wszystko się popsuło - lamentowała zrozpaczona Lily.

- Mamo, doprowadzisz mnie do obłądu. O czym ty mówisz, do jasnej cholery?

- Rozumiem, że się zdenerwowałaś, kochanie, kiedy w ten sposób to do ciebie dotarło. Chciałam powiedzieć wam wszystkim razem. - Na kilka sekund zamilkła, po czym podjęła zdecydowanie: - Postanowiłam sprzedać Wydawnictwa Amberville'a Zjednoczonej Spółce Radiowej, ale teraz podano to do wiadomości w możliwie najgorszej formie. - Lily uknęła kwiat róży stojącej w srebrnym pucharze.

- Mamo! Mnie nic nie obchodzi forma, w jakiej się dowiaduję o tej decyzji! Jak możesz sprzedać? Ja... ja nie rozumiem, co mówisz. Sprzedać nasze przedsiębiorstwo? Sprzedać przedsiębiorstwo ojca? Sprzedać Wydawnictwa? To... to - po prostu nie możesz tego zrobić - to - to

- nie do pomyślenia. - Maxi usiadła naprzeciwko matki, bo nogi odmówiły jej posłuszeństwa, a serce w niej zamarło na widok uporu malującego się na twarzy Lily, poruszonej jedynie formą powiadomienia o decyzji, już nieodwołalnej.

- A teraz, Maxime, zechciej mnie wysłuchać i nie mów pierwszej rzeczy, jaka ci przyjdzie do głowy. To wcale nie jest nie do pomyślenia. Jest bardzo rozsądne. Po śmierci twojego ojca spółka została bez założyciela.

Wszystko toczy się siłą rozpędu, ale ten rozpęd nie może trwać wiecznie.

ZSR jest zainteresowana kupnem, a w przekonaniu Cuttera za trzy miesiące, kiedy dojdzie do sprzedaży, cena wyniesie blisko - no, mniej więcej miliard dolarów. Taka okazja może się już nie trafić i naturalnie muszę z niej skorzystać. Maxime, ty, Toby i Justyn otrzymacie po sto milionów. W żaden inny sposób nie możecie dostać swoich dziesięciu procent, chyba że sprzedam, nie wyłącznie tym się jednak kieruję.

- Mamo...

- Nie, zaczekaj, Maxime, wysłuchaj mnie do końca. Ja nie potrafię zarządzać spółką wydawniczą, Cutter nie chce ponosić odpowiedzialności i nie winię go za to, Toby najwyraźniej ma własne życie, Justyn także, a choć ciebie bawi wydawanie magazynu w oczywisty sposób nie jesteś stworzona na szefa dużego przedsiębiorstwa. Jeśli spółka w ogóle ma zostać sprzedana, to teraz nie później. Wiem, że "G&K" są w miłym okresie koniunktury, ale musisz przyznać, że spółka wydaje na nie fortunę. Cutter, choć niechętnie, musiał mi powiedzieć, ile wynoszą miesięczne straty "G&K", i byłam przerażona. To za droga zabawka nawet dla ciebie, Maxime, a ZSR kupi Wydawnictwa na podstawie tego, co Cutter nazwał bardzo niekorzystnym bilansem, jeśli nadal będziemy je wydawać.

- Więc Oxford dzwonił na twoje polecenie?

- Tak, naturalnie, lecz zamierzałam wszystko wam wyjaśnić, zanim którekolwiek z was dowie się od niego. Nikt prócz rodziny nie powinien wcześniej wiedzieć o sprzedaży. Taka jestem strapiona, że przeżyłaś ten szok. Gdybym mogła się z tobą porozumieć w czasie weekendu...

- Nie było mnie w domu - powtórzyła Maxi. - Czy nie rozumiesz, mamo, że nowy magazyn automatycznie przynosi straty, obojętne, jaki odniesie sukces, dopóki nie zacznie zarabiać na reklamie? W dosłownym sensie prawie za darmo zamieszczałam ogłoszenia, żeby rozkręcić interes, a druk numeru kosztuje więcej niż wynoszą wpływy ze sprzedaży na stoiskach.

- Chyba mądrze zrobiłaś, chociaż nie mnie sądzić... wygląda na to, że świadomie wzięłaś na siebie duże ryzyko. Ale mniejsza z tym, Maxime, skoro ja muszę zdecydować o sprzedaży i już to zrobiłam. Cutter mi doradza, jak załatwiać sprawy Wydawnictw do czasu oficjalnego ogłoszenia sprzedaży, i on dość twardo obstaje przy natychmiastowym zaprzestaniu druku "G&K". Przykro mi, że doznałaś rozczarowania, moja droga...

- Rozczarowania - powtórzyła Maxi bezbarwnym głosem. Nad przepaścią między stosunkiem jej a matki do, "G & K" żadne słowa nie mogły przerzucić pomostu, żaden kładziony na nie nacisk nie robił różnicy. Nigdy nie zdołałaby matki przekonać, że "G&K" to nie tylko zabawka, lecz także jedyny hołd, jaki może złożyć Zachary'emu Amberville'owi, i dowód jej ogromnej miłości do ojca.

- Cóż, wiem, jak dobrze się bawiłaś, i naprawdę jestem dumna, że pismo tak dobrze się rozchodzi, ale przecież bez pieniędzy spółki nie byłoby to możliwe, mam rację? - ciągnęła Lily.

- Nie, istotnie nie - zgodziła się Maxi.

- No więc sama widzisz. Nie przypomina to prawdziwego magazynu, co, kochanie? Jest subwencjonowane, nie pokrywa własnych kosztów.

- Nie, mylisz się, mamo. To prawdziwy magazyn. Miliony kobiet płacą za niego co miesiąc po półtora dolara. Mam wspaniały personel, całym sercem zaangażowany w pracę. "G&K" istnieją, rosą jak szalone, wrześniowy numer ma dwieście pięćdziesiąt stron, jest w nim mnóstwo reklam, zdjęć i artykułów, dostajemy tysiące listów od naszych czytelniczek, magazyn jest równie prawdziwy jak każdy inny, tyle że młody - z pasją mówiła Maxi.

Lily roześmiała się pobłaźliwie. - Maxime, Maxime, ciesz się, że tak długo wytrwałaś, i gdyby twój ojciec żył, byłby zachwycony, ale musisz się pogodzić z faktem sprzedaży. To w naszym interesie.

- Posłuchaj, mamo. Czy jeśli przed sprzedażą potrafię ci udowodnić, że Wydawnictwa Amberville'a nie ponoszą strat z powodu "G&K", jeśli spółka jest warta tyle, ile byłaby warta bez "G&K", czy wtedy ponownie rozważysz swoją decyzję? - cicho zapytała Maxi.

- Po pierwsze nie wiesz, jak się do niej ustosunkują Justyn i Toby. Znasz stanowisko Cuttera i moje. Nie, Maxime, nie mogę ci obiecać, że ją ponownie rozważę.

- Jeśli nie poproszę, abyś mi to "obiecała"; jeśli przed upływem trzech miesięcy przyjdę do ciebie i tylko poproszę, abyś się jeszcze raz zastanowiła... - błagalnie pytała Maxi.

- Obawiam się, że odpowiedź nadal będzie przecząca, kochanie, lecz oczywiście zawsze możesz przyjść i poprosić - łagodnym głosem odparła Lily.

Trudno było zdecydowanie odmówić Maxime, której w widoczny sposób tak bardzo zależało i która zachowywała się tak rozsądnie. Nie zaszkodzi, jeśli pozwoli jej "poprosić" po raz wtóry, skoro, rzecz jasna, Maxime nie zdoła dokonać tego, co niemożliwe, i wydawać bez pieniędzy. A jeśli Lily nie będzie nalegać, aby córka natychmiast pogodziła się z jej decyzją, ta denerwująca rozmowa zakończy się o tyle szybciej i przyjemniej. Lily będzie miała czas na dokończenie menu przed lunchem.

- Gdzie teraz, panno A.? - spytał Elie.

- Do Budynku Amberville'a - odrzekła Maxi. Musi porozmawiać z Pavką. Do niego jednego mogła się zwrócić o radę. W redakcji "G&K" wszyscy będą się na nią oglądać, ale ona sama jak nigdy dotąd potrzebuje pomocy. Modliła się, żeby był w biurze, a nie w restauracji; długie lunchy stały się częstszym grzechem w wydawnictwach niż w Hollywood.

- Jest u siebie? - zapytała niespokojnie sekretarkę, hamując przed jej biurkiem.

- Jest w gabinecie pani ojca - odparła sekretarka, a Maxi zauważyła, że się temu dziwi. - Już od pół godziny. Prosił, aby go z nikim nie łączyć.

Naturalnie panią zechce zobaczyć... może jeśli zapukam... - Zanim zdążyła wstać, Maxi prawie pobiegła korytarzem do drzwi pokoju nie używanego i nie zmienionego od śmierci Zachary'ego Amberville'a.

- Pavka? - odezwała się cicho. Stał w oknie plecami do niej, z pochyloną głową, obiema rękami wsparty o parapet, w pozie, w jakiej nigdy dotąd go nie widziała, postawą wyrażając bezradność. Obrócił się, ona zaś nie dostrzegła w jego czujnej twarzy dandysa tego rozbawienia i mądrości, do których tak przywykła. Miejsce ich zajęła powaga równa jej powadze i coś, w czym Maxi rozpoznała głęboki smutek. A jednak nie mógł przecież wiedzieć o zamierzonej sprzedaży. Lily mówiła, że teraz dowie się tylko rodzina.

- Pewnie też to dostałaś. - Pavka bez powitania pokazał jej kartkę papieru.

- Nie, nikt mi niczego nie przysyłał... w każdym razie nie na piśmie. Nie pocałujesz mnie?

- Pocałować? - zapytał z roztargnieniem. - Nie całowałem cię? - Musnął wargami jej policzek, choć zawsze ścisnął ją serdecznie i z uznaniem. Po raz pierwszy od rozmowy z Lily Maxi poczuła prawdziwe przerażenie.

- Przeczytaj to. - Podał jej notatkę z biura wicedyrektora do spraw finansowych, z wyszczególnieniem wszystkich zmian i cięć, jakie Cutter zlecił Oxfordowi. Kopie rozesłano redaktorom, kierownikom produkcji i kierownikom artystycznym sześciu wydawnictw Amberville'a. Maxi przeczytała ją w milczeniu. Nie było tam mowy o sprzedaży spółki.

- Zamierzam złożyć rezygnację - szorstko oznajmił Pavka. - Nie mogę zapobiec tym oszczędnościom, ale nie życzę sobie, aby kojarzono z nimi moje nazwisko; korzystanie z usług najtańszych pisarzy i fotografów, jakich da się znaleźć; mniejsza liczba stron kolorowych; wyłączne wykorzystywanie sławnych osobistości jako modeli, żądanie tekstów w zamian za zamieszczanie ogłoszeń; druk na gorszym papierze i wykorzystywanie dawnych zapasów, włącznie z licznymi projektami, które nie spełniały naszych wymogów. Ta notatka jest podła, Maxi, podła. - Dygotał z gniewu i frustracji.

- Proszę cię, Pavka, usiądź i porozmawiaj ze mną - błagała Maxi, która zapomniała o "G&K", zawstydzona tym, co przeczytała przed chwilą. Zasiadła w zniszczonych skórzanych fotelach, twarzami do biurka Zachary'ego Amberville'a, i umilkli. Choć gniewni i zatroskani, ledwie

przestali mówić, pojęli, że w gabinecie coś się dzieje. Wyczuli to natychmiast. Trwała tu jakaś działalność, która nie wymagała obecności człowieka, coś żywego, potężnego i radosnego odcisnęło swe piętno na ścianach, w powietrzu unosiło się wspomnienie Zachary'ego Amberville'a, tak krzepkiego i zapalonego, jakim widzieli go po raz ostatni. Pavka i Maxi odetchnęli głęboko i dopiero teraz uśmiechnęli się do siebie. Wciąż bez słowa rozglądali się po dużym, zawsze nieporządnym pokoju. Na ścianach wyłożonych boazerią wisały oryginały niektórych słynnych okładek oraz ilustracji publikowanych w ciągu lat, a tu i ówdzie opatrzone autografami zdjęcia amerykańskich prezydentów, pisarzy, fotografów i ilustratorów. Brakowało fotografii samego Zachary'ego Amberville'a, lecz wspomnienie jego podnieconego, rozbawionego, wibrującego, żywego głosu zdawało się rozbrzmiewać echem w gabinecie, jego perfekcjonizm, serdeczny śmiech, ryk aprobaty, kiedy współpracownik podsunął dobrą myśl, tryskająca energia, zapał i żarliwość w podejściu do każdego numeru każdego z wydawanych czasopism - wszystko to żyło dalej bez niego.

- Pavka - powiedziała Maxi - czy słusznie uważam, że cenę spółki oblicza się na podstawie jej zysków w momencie sprzedaży?

- Zazwyczaj tak. Dlaczego pytasz?

- Gdybyś - ciągnęła Maxi nie odpowiadając na pytanie - złożył rezygnację, a magazyny nadal się ukazywały, ze wszystkimi zmianami zaleconymi przez Oxforda, jak szybko byłby widoczny zysk z obniżki kosztów?

- W następnym bilansie, za trzy miesiące. Ale nie w tym rzecz, Maxi.

Pisma produkowane taniej nie byłyby już te same. Wiedzielibyśmy o tym od razu, w trakcie przygotowywania numerów, z czasem zaś i czytelnicy dostrzegliby różnicę, niezależnie od tego, jak sprytnie by to zrobiono.

Może nie potrafiliby dokładnie określić, czego brakuje "Siedmiu Dniom" czy "W Domu" albo innym periodykom, lecz nie oczekiwaliby nowych numerów z tym samym podnieceniem, nie czytaliby ich z tą samą satysfakcją, a wreszcie, mniej więcej po roku, albo by je zaakceptowali w ich okrojonej, potaniałej postaci - bo konsumenci akceptują tak wiele - albo w ogóle przestaliby je kupować. Nigdy nie zadowalaliśmy się czymś, co nie byłoby możliwie najdoskonalsze, ta notatka natomiast pluje na pojęcie doskonałości.

- Moja matka zamierza sprzedać Wydawnictwa Amberville'a na podstawie zysków wykazanych w następnym bilansie - bezbarwnym głosem oznajmiła Maxi.

- Ach. - W westchnieniu Pavki pobrzmiwał bezbrzeżny smutek i rozczarowanie. - To wyjaśnia sprawę. Powinienem był się domyślić. Co za dureń ze mnie, że o tym nie pomyślałem. To jedyne możliwe wytłumaczenie faktu, że się niszczy coś, co reprezentował twój ojciec. Dziwi mnie wszakże sposób, w jaki to załatwia. Można by sprzedać magazyny nienaruszone, nietknięte i

dumne. Wtedy sprzedaż, jeśli się na nią zdecydowała, nie byłaby haniebna.

- Ale mniej korzystna?

- O tak, niewątpliwie trochę mniej korzystna, każdej rodzinie jednak i tak wystarczyłoby po wsze czasy - rzekł z goryczą. - Dostanie moją rezygnację w ciągu godziny. Przepowiadam, że wiele innych osób też zrezygnuje. Schroniłem się tutaj przed telefonami oburzonych ludzi. Nie zdają sobie sprawy, że nawet ja nie mogę się temu przeciwstawić. Ci redaktorzy, którzy znali twojego ojca najlepiej i najdłużej, postacie kluczowe, stwierdzą niebawem, że nie chcą w tym uczestniczyć, jeśli już tego nie zrobili. I pracują dość długo, aby wiedzieć, że musieliby wylecieć wkrótce po sprzedaży. Nowi właściciele, kimkolwiek są, dostosują periodyki do własnych gustów, obsadzą swoimi ludźmi. Za parę lat nie poznasz, że wydawał je kiedyś Amberville, choć przypuszczalnie zachowają swoje tytuły.

Tylko to się teraz sprzedaje: nazwy firmowe.

- Skąd takie przekonanie, że nowi właściciele nie zechcą zatrzymać ludzi, którym magazyny zawdzięczają swą wielkość?

- Och, Maxi, może mimo wszystko spróbują. Może będą mądrzy. Ale dobrzy redaktorzy muszą wydawać pieniądze, co ta notatka uniemożliwia. Kiedy sprzedaje się spółkę stworzoną przez jednego człowieka, przestaje bić jej serce, jeśli wolisz, ulatnia się z niej dusza; ducha założyciela, wizji tego jednego człowieka nie da się przypuszczalnie zachować. Spójrz tutaj, w tej notatce już się to zaczęło. Przeraza mnie twoja matka, Maxi przeraza.

Dopóki żyły Wydawnictwa Amberville'a, dopóty żył twój ojciec. - Pokiwał głową z czymś o wiele głębszym niż smutek, gdy pomyślał o zapale i wielkich planach towarzyszących wydawniczemu przedsięwzięciu jego i Zachary'ego Amberville'a przed prawie czterdziestu laty.

Maxi wstała powoli, zrobiła parę kroków w stronę biurka i usiadła na krześle, którego nikt prócz ojca nigdy nie używał. Analizowała w myślach wszystko, co powiedziała jej matka. Przyszłość "G&K" to zaledwie cząstka zagadki. Świadomie niszczone teraz dzieło Zachary'ego Amberville'a, dzieło, które przetrwało po jego śmierci, coś, co żyło i kwitło przez rok i mogłoby, dzięki grupie lojalnych ludzi skupionych wokół niego, prosperować jeszcze długo. Zamierzano obniżyć wartość i jakość sześciu ogromnie poczytnych, potężnych czasopism, a potem je sprzedać, choć nie zachodziła taka konieczność. Niszczono dzieło życia, życia jej ojca. Dywidendy z Wydawnictwa Amberville'a do tej pory zapewniały rodzinie luksus i będą go zapewniać dopóty, dopóki ludzie będą umieli czytać.

Cutter. W interesie jednej tylko osoby leżało obalenie pomnika upamiętniającego jej ojca, jakim są Wydawnictwa Amberville'a. Cutter.

Wszystko, co Maxi wiedziała o Cutterze albo u niego zauważyła, wszystko, co wyczuwała, wszystko, co podszeptował jej instynkt, wszystko, co ona, Toby i Justyn czuli w stosunku do tego

młodsze go brata ojca, który ożenił się z ich matką, utworzyło chmurę, ta chmura zaś powoli gęstniała, przybierała kształt, kształt wielkiej nienawiści. Wielkiej zazdrości. Zazdrości silniejszej nawet niż nienawiść. Najpierw zabrał żonę brata. Potem zdławił ostatnie nowe twory Zachary'ego Amberville'a, te trzy pisma, które jeszcze nie nabrały rozmachu. A teraz niszczy te mocne olbrzymy i jak najszybciej je sprzedaje. Tylko zawiść może tłumaczyć jego postępowanie, tylko śmierci jej ojca zawdzięcza szansę okaleczenia, a później zaprzepaszczenia życiowych osiągnięć, których sam nigdy mieć nie będzie.

Ona do tego nie dopuści.

- Nie składaj rezygnacji, Pavka - powiedziała. - Proszę, zrób to dla mnie. Będę się tej sprzedaży przeciwstawiać. Sądzę, że zdołam wpłynąć na matkę. Jeśli potrafisz nakłonić wszystkich, aby zachowali spokój i pracowali przez parę najbliższych miesięcy, wprowadzali te piekielne zmiany tak wolno i pomysłowo, jak to jest w ludzkiej mocy, aby tu i ówdzie oszczędzali, ale nie kompromitująco dla numeru październikowego i listopadowego, aby grali na zwłokę w każdej absolutnie sprawie i Oxford musiał wywierać naciski w drobiazgach, aby zamawiali artykuły i fotografie u najlepszych ze znanych autorów, tak jak dotychczas - jeśli potrafisz to zrobić, Pavka, ja się przeciwstawię Cutterowi.

- Cutterowi?

- Ten pomysł nie zrodził się w głowie mojej matki. Ręczę, że podsunął go Cutter. Gdyby nie jego wpływ, nigdy by do tego nie doszło.

Pavka podszedł do biurka i przyjrzał się Maxi z powagą; nie było w tym nic ze znanego uwodzicielstwa, zabarwiającego zawsze ich wzajemne stosunki.

Siedziała tam, gdzie nigdy nie widział nikogo prócz Zachary'ego Amberville'a, z całą swobodą, pewnością, przekonaniem, że ma do tego prawo.

On nigdy by się nie ośmielił zająć tego krzesła, podczas gdy ona zrobiła to nieświadomie. I mówiła ze stanowczością, mądrze, chłodno, skoncentrowana na celu, zbierając siły, o które nigdy by jej nie posądzał. To nie dziewczyna od tyłu lat goniąca za zabawą, zachowująca się tak, jakby jej życie było gigantycznym workiem kolorowych lizaków, które można polizać na próbę i wyrzucić. Po powrocie Maxi rzadko ją widywał, jak sobie teraz uświadomił, a od tego szokującego zebrania zarządu przeobraziła się zupełnie. Nie postarzała się, pomyślał, nie, to złe słowo. Dorosła. Maxi Amberville stała się kobietą.

- Dlaczego zamierzasz się przeciwstawić Cutterowi? Jeśli pozwolisz, aby sprawy potoczyły się własnym biegiem, możesz się tylko jeszcze bardziej wzbogacić. - W jego głosie zabrzmiała nuta przestrogi. Maxi, choć dorosła, nadal nie mogła się mierzyć z Cutterem, który podporządkował sobie Lily. - Nie znosisz go, wiem, lecz to nie powód do wdawania się w walkę.

- To nie osobista vendetta, Pavka. Robię to dla mojego ojca - odparła Maxi z prostotą. -

Robię to, bo go kochałam bardziej niż kogokolwiek na świecie i jedynie tak mogę pokazać, czym był - czym jest - dla mnie.

- W takim razie i ja się postaram. Dla mojego drogiego przyjaciela, twojego ojca.

25.

Kiedyś Maxi, po dwóch godzinach intensywnego oglądania, zabrnęła na koniec pierwszego piętra Luwru, najdłuższej galerii malarstwa na świecie.

Doznała oszałamiającego wrażenia absolutnego wzrokowego przesytu.

Wiedziała, że jeśli zobaczy kolejne arcydzieło, nigdy już nie zechce pójść do muzeum, a jeszcze trzysta pięćdziesiąt jardów dzieliło ją od wyjścia.

Rozwiązała problem cofając się tak szybko, jak na to pozwalały zmęczone nogi, z głową tak nisko spuszczoną, że widziała wyłącznie podłogę. Kątem oka nie dostrzegłszy nawet krawędzi jakiejś ramy dotarła do skrzydlatej bogini zwycięstwa i marmurowymi schodami bezpiecznie doszła do wyjścia. Tak samo przemierzyła swoje mieszkanie, swoje byłe mieszkanie, i skierowała się prosto do telefonu obok łóżka, nadal jej łóżka. Umówiła się, że ekspert od Sotheby'ego przyjdzie w możliwie najkrótszym terminie i sporządzi spis wszystkich rzeczy wartościowych stanowiących jej własność, włącznie z przedmiotami pozostawionymi na składzie, po czym jak najprędzej wystawi je na licytację. Teraz, myślała po odłożeniu słuchawki, siedzi na swoim byłym łóżku, ponieważ rzeźbione i pozłacane osiemnastowieczne lit a la Polonaise, z oryginalną lekką narzutą z haftowanego jedwabiu, uzyska dobrą cenę. Czy siedzi na swoim byłym materacu? Przypuszczalnie tak, doszła do wniosku, nie całkiem pewna, czy widziała kiedyś materac wystawiony na licytację wraz z łóżkiem. Lepiej tego nie wiedzieć.

- Maxi? Gdzie jesteś? - usłyszała wołanie.

- Tutaj, w sypialni - odparła, nagle niezdolna ją nazwać swoją sypialnią.

W drzwiach pojawiła się Angelika, zarumieniona po przeżytych tego dnia przygodach.

- Uściskałaś dziś matkę? - zapytała Maxi cienkim głosem.

- Chyba nie to ci jest potrzebne - zauważyła Angelika, zbliżając się do niej ostrożnie. - Raczej intensywna terapia. Może transfuzja. Za bardzo się zharowałaś.

- Spróbuj mnie uściskać - poradziła Maxi. Angelika objęła ją mocno jak atletka, uniosła w górę, okręciła się z nią parę razy, po czym padła na łóżko, z matką wciąż w ramionach.

- Pomogło? - zagadnęła niespokojnie, bacznie wpatrzona w Maxi szczerymi, bezbronnymi oczami.

- Bardzo. Dziękuję, kochanie. Muszę ci powiedzieć coś niezbyt miłego.

- Jesteś chora! - Angelika poderwała się raptownie.

- Nie, do diabła. Wcale nie jestem chora. Jestem zdrowiusieńka. Ale musiałam sprzedać mieszkanie. Nie możemy już tu mieszkać.

- Dajesz słowo, że nie jesteś chora?

- Przysięgam... na co mam przysiąc, żebyś uwierzyła?

- Na moją głowę.

- Przysięgam na twoją głowę, że jestem absolutnie zdrową matką.

Wystarczy?

- Tak. Więc dlaczego sprzedałaś mieszkanie? - spytała Angelika z wyraźną ulgą.

- To długa, bardzo skomplikowana historia, ale przede wszystkim potrzeba mi pieniędzy.

Angelika zmarszczyła się próbując zrozumieć słowa, których nigdy w życiu nie słyszała z ust matki.

- Na jakiś zakup? - odezwała się w końcu.

- Tak... i nie.

Angelika okazała cierpliwość.

- Według mnie naprawdę byłoby lepiej, mamó, gdybyś mi opowiedziała tę historię niezależnie od jej długości. Jestem już w tym wieku, że zrozumiem.

Kiedy Maxi skończyła, zapadło milczenie, bo Angelika rozważała sytuację.

- Tak jak ja to widzę - rzekła wreszcie - postąpiłaś jak trzeba.

Przypomina to prawdziwe życie. Właściwie... jest prawdziwym życiem. To... ciekawe. Może nie zabawne, ale dające do myślenia. A teraz następny problem: gdzie zamieszkamy? Wybrałabym aleję Kolumba, ale wiem, że ty byś się nie zdecydowała. Zresztą nie powinnyśmy wydawać na życie, co? Więc czemu się nie wprosić do wujka Toby'ego? Nie weźmie pieniędzy, ma trochę wolnego miejsca, jedzenie będzie wyśmienite. Przypuszczalnie ucieszy się z towarzystwa. I jeszcze coś, zawsze po szkole mogę przychodzić do "G&K", robić coś pożytecznego, doręczać paczki, wysyłać listy albo pomagać w pracowni graficznej.

- Nie zbliżaj się do pracowni graficznej!

- Co tam jest, węże? Okej, nie będę, ale nie widzę powodu, dla którego nie miałabym się wziąć do roboty i pomóc, prawda?

- Żadnego. - Maxi poszukała wilgotnej chusteczki Donalda Trumpa, bo nie nosił w kieszeni nic tak pospolitego jak kleenex, i możliwie ukradkiem otarła załzawione oczy.

- Po trzecie i ostatnie, a nie dbam o to, że ci się nie spodoba mój język - oświadczyła Angelika - powiem szczerze, mamó, że Cutter to gówniarz.

Maxi popatrzyła dokoła i zastanowiła się, co znanego jest w jej otoczeniu. Toby natychmiast gościnnie przyjął ją i Angelikę, musiały się jednak pomieścić w dwóch małych pokojkach na trzecim i ostatnim piętrze jego długiego, lecz wąskiego domu. Na parterze znajdował się basen i kuchnia; całe pierwsze piętro to był duży salon, a na drugim królował Toby.

Maxi wyobrażała sobie, że dostaną drugą dużą sypialnię na tym piętrze, dopóki nie odkryła, że India spędza u Toby'ego co drugi weekend. Szafy w tej sypialni wypełniała jej garderoba i Boże, zmiłuj się, nawet pościel.

Maxi za nic na świecie nie chciałaby mieszkać na tym samym piętrze co para, która nieśmiało próbuje sobie uwić gniazdko. Właściwie, gdyby wiedziała, że India tyle czasu spędza w Nowym Jorku, w ogóle nie dzwoniłaby do Toby'ego, skoro jednak to zrobiła, nalegał, aby wprowadziły się z Angeliką.

Czy czuje się jak przyzwoitka? - myślała. Nie, nie tak dorośle. Jak uczestniczka obozu letniego! Otóż to. Zupełnie jakby spędzały z Angeliką lato na obozie, wyrwane ze znanego otoczenia, koczujące w obcym miejscu, z zaledwie kilkoma wypchanymi zwierzętami Angeliki, z jej podręcznikami i paroma oprawionymi w ramki fotografiami Maxi, aby mieć poczucie swojskości.

Garderoba Maxi wisiała na nieporęcznych metalowych stojakach, dokupionych, bo szafy nie wystarczały. Tak, krzyżówka letniego obozu z małym, zatłoczonym salonem wystawowym projektanta mody, zawyrokowała.

Dzięki Bogu kupiła wszystkie wiosenne i letnie kreacje, zanim spadł topór, myślała Maxi spoglądając na pełne stojaki. Zajmowały niemal całą powierzchnię pokoju. Musiała się prezentować bogato, pewnie i całkowicie beztrusko, bo co dzień przy lunchu czarowała potencjalnych klientów, ale na szczęście dla redaktorek wielu periodyków spece od reklamy, zatrudniani przez producentów gotowej odzieży "prywatnie" przynoszą rzeczy uszyte przez projektantów do biura, aby redaktorka mogła z nich wybrać, oczywiście po cenach hurtowych. Ale dziś wieczór może się odprężyć, pomyślała, włożyć workowate kaszmirowe spodnie od Zorana w kolorze kości słoniowej i takież pulower z dodatkiem jedwabiu, krótki, robiony ściągaczem, z dekoltem w łódeczkę. Te dwie rzeczy były trzy razy za drogie i zgodnie z nakazem mody o trzy numery za duże. Kaszmir, zauważyła Maxi zawiązując buty na gumowej podeszwie, jest równą osłodą życia jak mleko matki, ale znacznie łatwiej osiągalną. Nie zależało jej na tym, aby po deszczowej kwietniowej pogodzie nastąpiła ciepła wiosna. Gdyby mogła, nosiłaby sześć warstw kaszmiru, dopóki nie wygrałaby bitwy z Cutterem. Westchnęła ze świadomością, że najdroższa wełna nie rozproszy obecnych trosk. Zalała ją fala nieskończonej smutnej tęsknoty za wujem Natem i ciotką Minnie. Im najlepiej byłoby się zwierzyć, ale wuj zmarł na zawał zaraz po pięćdziesiątce, ciotka zaś przeniosła się do rodzinnego domu Landauerów w Palm Beach. Teraz nieładnie byłoby zakłócać jej spokój powikłaniami z "G&K", ale brak tych dwojga był taki dotkliwy.

Maxi cicho zeszła na dół i zatrzymała się przed drzwiami kuchnio-jadalni, gdzie Toby zajęty był gotowaniem. - To klops i doceń swoje szczęście, że kucharz poda ci coś równie skomplikowanego przy własnym stole. - Czy Toby już w tak młodym wieku mówi do siebie? Mieli zjeść obiad we dwójkę, bo Angelika była u Rocca, India zaś w Hollywood. Maxi ciekawie zajrzała do dużego pokoju o dwojakim przeznaczeniu. Wytarta skórzana odzież, porozrzucana tu i ówdzie w kuchni, natychmiast naprowadziła ją na trop Justyna.

Rzuciła się na brata rozradowana, bo tak pilnie opracowywała z Montym budżety przyszłych numerów "G&K", że od wielu dni go nie widziała.

- Chciałem ci zrobić niespodziankę - powiedział Toby zadowolony, że trafił z zaproszeniem.

- Kogo jeszcze chowasz w zanadrzu? - spytała Maxi.

- Nikogo. Jemy we trójkę. W takim składzie ostatni raz jedliśmy obiad chyba jako dzieci - odparł Toby. - Po moim wyjeździe do college'u i twoim ślubie zawsze byli jacyś inni ludzie, przeważnie któryś twój mąż. To wieczór dla kulturalnych dorosłych lubiących klops i zainteresowanych tym samym.

- Mianowicie? - chciała wiedzieć Maxi.

- Przyszłością Wydawnictw Amberville'a - rzekł Justyn. - Nie uważasz, że nie tylko tobie leży to na sercu, co?

- Oczywiście, że nie.

- Nie zwróciłaś się do nas o pomoc, Złotowłosa - stwierdził Toby z powagą. - Może należało to zrobić, zanim sprzedawałaś mieszkanie i postanowiłaś się огоłocić ze wszystkiego, co posiadasz?

- Nie, chyba nie - odparowała Maxi. - Tę walkę podjęłam na ochotnika. Co więcej, wcale nie jestem pewna, czy w razie wygranej nie będziecie rozczarowani. Może wolelibyście dostać gotówkę po sfinalizowaniu sprzedaży.

Tak naprawdę to o to powinnam była was zapytać.

- Choć powinnaś nas była o coś zapytać, nie zapytałaś. I mówiąc delikatnie, obaj jesteśmy źli. Ten obiad został ukartowany, jeśli się jeszcze nie zorientowałaś - miło wyjaśnił Toby, polewając klops sosem ze świeżych pomidorów i bazylii.

- Zaczynały się we mnie budzić podejrzenia. Więc wam by nie przeszkodziło, gdyby matka sprzedała spółkę? Chcecie, żebym dała za wygraną, zaniechała wydawania "G&K", nie robiła szumu i w ogóle zachowywała się tak, jakby nigdy nic?

- Zauważyłeś, Toby, że Maxi ma skłonność do szarżowania? - spytał Justyn.

- No, skoro już poruszyłeś ten temat, powiedziałbym, iż kłopot z Maxi polega na tym, że pochopnie wyciąga wnioski - odparł Toby.

- Albo - dodał Justyn - można by powiedzieć, iż kłopot z Maxi polega na tym, że wyskakuje za burtę nie sprawdzwszy, czy na pokładzie mają koło ratunkowe.

- Nie, to nie całkiem tak. Kłopot z Maxi polega na tym, że bierze siebie za generała de Gaulle'a. Wiesz, L'Etat c'est moi. Amberville c'est elle czy coś w tym rodzaju.

- To nie słowa de Gaulle'a, tylko Ludwika Czternastego - poprawił Justyn.

- On też lubił pompatyczność, lecz na tyle lat przed rewolucją, że można mu to wybaczyć, Maxi natomiast nie.

- Dla mnie wcale nie jesteście tacy zabawni, jak wam się wydaje - powiedziała zirytowana.

- Kłopot z Maxi polega na tym, że nie wie, kiedy ludzie próbują jej pożyczyć pieniądze - rzekł Toby.

- Ach, więc o to chodzi. Za nic nie zwrócę się do was o pieniądze! Macie własne życie, swoje odrębne interesy, więc dlaczego miałabym oczekiwać pożyczki na coś, na co wyłącznie ja się zdecydowałam? Utrzymanie magazynu na powierzchni, dopóki sam nie nauczy się pływać, to sprawa osobista i pieniądze muszą pochodzić ode mnie.

- Czy moja praca w "G&K"... nie daje mi prawa głosu? - zapytał Justyn.

- Słuchaj, Justyn, wiem, że nie cierpisz fotografii gazetowej i że ciagniesz to dla mnie. Nie mogłabym oczekiwać większego wkładu z twojej strony i w pełni zdaję sobie sprawę, ile cię kosztuje takie uwiązanie - surowo stwierdziła Maxi. - Więc nie licz, że na dodatek naciągnę cię na pożyczkę.

- A ja? Jestem twoim starszym bratem, Złotowłosa. Mogłabyś spróbować ze mną - nalegał Toby.

- Daj spokój, Gacek, nigdy nie zdradzałeś najmniejszego zainteresowania czasopismami - odparła Maxi. - Nie przekonasz mnie, że cię interesują. Nie, Toby, to moje dziecko. Zwykłą nieuczciwością byłoby polegać na którymś z was. Na pewno jesteście dość wrażliwi, aby zrozumieć, że choć raz w życiu chcę coś osiągnąć własnymi siłami, sama. Miałam łatwe życie i niewiele w nim dokonałam. Teraz to się zmieniło!

- Słuchajcie, słuchajcie. - Justyn patrzył na nią z ukosa, z miłością, ironią i zdziwieniem.

- Prawdziwy kłopot z Maxi - podjęła - polega na tym, że zawsze umiera z głodu, zawsze ma apetyt, zawsze chce jeść. Taka nudna dziewczyna. Wścieka się, kiedy jest głodna, więc nie wtrącajcie się do mnie, chłopaki!

Odczepcie się, nicponie. Kiedy ten przereklamowany, pewnie przepieczony klops będzie gotów?

- Może należało wziąć od nich pieniądze - z uporem powtórzył Monty po raz trzeci patrząc, jak Maxi podpisuje czeki. - A już przynajmniej mogłaś zapytać, ile ci proponują.

Maxi pokręciła głową. Nie mogła tłumaczyć Monty'emu, że Lily zamierza sprzedać całą spółkę. Tym samym nie mogła mu powiedzieć o nadziei związanej z przetrwaniem "G&K", o możliwości wpłynięcia na Lily. Niewielkiej możliwości, jak wiedziała, lecz jedynej. Gdyby teraz pozwoliła sobie zwątpić, wszystko byłoby bezspornie stracone. Zmieniła temat, aby odwrócić uwagę Monty'ego od pieniędzy swych braci.

- W ubiegłym miesiącu, Monty, nasz nakład wynosił około czterech milionów egzemplarzy. Jeśli zdołamy się utrzymać na tym poziomie, to po wygaśnięciu półrocznych umów będziemy mogli ponownie je zawrzeć i przyjmować ogłoszenia na znacznie korzystniejszych warunkach, prawda?

- Taak, jeśli wszyscy twoi klienci się na nie zgodzą, co wcale nie jest takie pewne, więc lepiej na to nie licz. Właściwie nie wiesz jeszcze, co to za cztery miliony pań, jakie mają dochody i w jakim są wieku. Demografia, Maxi, demografia. Aleja Madisona kupuje specjalnych odbiorców o określonych zapotrzebowaniach. Zakładając jednak, że odnowisz umowy, wyjście z sytuacji zaczniesz dostrzegać po siódmym numerze. Teraz każdy egzemplarz, sprzedany za dolara pięćdziesiąt, nas kosztuje dwa dolary pięć centów, nie licząc tego, co Barney Shore bierze za miejsce na stoiskach. Twój szalony sukces kosztuje cię pięćdziesiąt pięć centów od egzemplarza razy cztery miliony miesięcznie, co dla ułatwienia wynosi dwa miliony dwieście tysięcy dolarów miesięcznie.

Maxi uniosła brwi tak wysoko, że zniknęły pod zwichrzoną grzywką.

- Trzy kolejne numery to ponad siedem milionów... a jednak nadal lepsze to niż departament obrony. Na licytacji muszę pobić rekordy.

- Nie próbuj zwiększać nakładu - ostrzegł ją Monty. - Sukces jest zabójczy.

- Nic się nie martw. Tyle rozumiem. Czy to jedyny na świecie wypadek, że produkt kosztuje wytwórcę więcej niż nabywcę?

- Słyszałaś kiedyś o filmie? - smutno zapytał Monty. - Albo teatrze? O balecie, operze czy koncertach? Albo nieudanych programach telewizyjnych?

- Więc zasadniczo należymy do tej samej grupy co show business? - podsumowała Maxi.

- Tak, do licha - zasepił się Monty.

- Czy gdybyś miał pieniądze, zainwestowałbyś w show business?

- Nie - lamentował Monty. - Show business to dwa brzydkie słowa.

- Pomacam cię jak gęś, jeśli się nie rozpogodzisz - zagroziła Maxi.

Wykrzywił twarz w niewesołym grymasie, który miał uchodzić za uśmiech.

- Módlmy się lepiej, żeby nie podskoczyła cena papieru, druku czy dystrybucji - powiedziała w zadumie Maxi.

- I żeby Barney Shore nie padł trupem - podsunął usłużnie Monty.

- Mam nadzieję, że biegasz szybciej ode mnie, ty draniu - krzyknęła Maxi rzucając się na niego z wyciągniętym środkowym palcem. - Już leczę.

- Słowo daję, Maxi, moim zdaniem zwariowałaś, masz obsesję, zestarzałaś się - stwierdziła India rozpakowując dziewięć walizek przywiezionych na tydzień. - Gdyby ktoś chciał kupić mój rodzinny interes i dawał mi więcej, niż kiedykolwiek miałam, natychmiast skorzystałabym z okazji. Nie możesz nawet być pewna, czy twój ojciec nie skorzystałby z takiej oferty ZSR.

- Miał zaledwie sześćdziesiąt jeden lat, kiedy umarł. Ręcę, że nigdy by spółki nie sprzedał ani nie przeszedł na emeryturę. Co by robił z resztą życia? Żył dla swoich periodyków. One były jego kotwicą, a on moją. Nie rozumiesz?

- Ty się z nim identyfikujesz? Rodzaj przeniesienia?

- Domyślam się, że ktoś taki jak ty odczuwałby potrzebę posłużenia się tym szczególnym, naiwnym żargonem. Widzę, że omawiałaś to z doktor Florence Florsheim.

- Naturalnie - odparła India z godnością. - Usiłuję nie mówić o tobie, ale odkąd poznałam Toby'ego, coraz trudniej mi to przychodzi.

- I cóż powiedziała ta dobra kobieta?

- Powiedziała, że może nie chcesz stu milionów dolarów.

- Och, więc zaczęła wydawać opinie, co?

- O innych ludziach, pewnie że tak. Jest przecież człowiekiem. Nie ma opinii o mnie albo przynajmniej otwarcie ich nie wyraża. Pozwala mi samej wnioskować, co sądzi na jakiś temat.

- India, uwierzyłybyś, że ona ma rację? Nie chcę stu milionów dolarów.

- A to niby dlaczego?

- Odkąd zostałam gwiazdą, stale narzekasz, że piękność to kula u nogi.

Ile znanych ci kobiet zrozumiałoby ten problem? I miałyby dla ciebie współczucie? Wciąż jęczysz, że ten szczególny i wyjątkowy układ chromosomów zrobił z ciebie odmieńca; że nieznajomi wyobrażają sobie na twój temat różne rzeczy, bo pod takim właśnie kątem sterczą ci kości policzkowe, bo takie duże i takiego koloru masz oczy; że miliony osób składają na twoje wątłutkie barki swe nieziszczalne marzenia, bo taki masz zarys brody, taką długość nosa, taki kolor włosów i Bóg wie co jeszcze. Twierdzisz, że nikt nie potrafi dostrzec "prawdziwej ciebie" prócz starej przyjaciółki jak ja albo niewidomego Toby'ego, albo twojej psychoanalityczki, której jest to obojętne. Skarżysz się, że zastraszasz ludzi, bo taka przypadkiem się urodziłaś; że oni ciebie onieśmiałają, bo znasz ich myśli; że nie możesz się przyjaźnić z innymi kobietami z powodu ich zazdrości; że twoja uroda zwraca niepożądaną uwagę różnych stukniętych facetów, takich jak ten, co wciąż dzwoni i zasypuje cię tymi strasznymi listami. Nawiasem mówiąc, czy nadal je dostajesz?

- Niestety tak. Proszę cię, nie wspominaj o tym w obecności Toby'ego... mój "wielbiciel" dzwonił tu dzisiaj, z każdą minutą coraz bardziej szalony.

Ale nie mówmy o nim. Zresztą co takie dziwne typy mają wspólnego z pieniędzmi?

- Pieniądze zachęcają do snucia tego samego rodzaju fantazji, tyle że gorszych. Odznaczałaś się dawniej większą bystrością, Indio. Ludzie wyczytaliby o sprzedaży w gazetach - każda sprzedaż prywatnej spółki powoduje wywlekanie szczegółów na stronie poświęcone finansom i przecieki do zwykłej prasy i ja przestałabym przypominać człowieka. Powiększyłabym grono tych niesłychanie bogatych kobiet, których majątek wylicza się w magazynach, i straciłabym wszelkie szanse na normalne życie. Kiepsko jest i bez tego. Kiedy spotykam kogoś po raz pierwszy, widzę, jak mu się zmieniają źrenice, tak jakbym się jarzyła w ciemności, miała aureolę albo czymś emanowała. Ludzie tylko w ten sposób mnie postrzegają; to zabarwia każde ich słowo i każe im słuchać w

milczeniu moich najbanalniejszych uwag.

Pieniądze są czymś wspaniałym, ale i wielką barierą odgradzającą od reszty rodzaju ludzkiego. - Maxi z westchnieniem skrzyła siwe pasmo w palcach. - Niekiedy, zwłaszcza w biurze, naprawdę należę do paczki i to jest boskie.

Nazwisko Amberville oczywiście kojarzy się z bogactwem, nikt jednak nie wie dokładnie, jak wielkim, a ten właśnie szczegół, ta liczba, ta wartość w dolarach, naprawdę podnieca Amerykanów. I nie tylko ich. Wszystkich.

Doprowadza do szału. Choć dla mnie byłoby to złe, znacznie gorsze byłoby dla Angeliki, ponieważ ja przynajmniej jestem niezależna, o tyle, o ile wiem, kim jestem i kim są moi przyjaciele, natomiast Angelika byłaby tak bardzo wystawiona na pokaz w okresie dojrzewania, wszyscy tak by się nią interesowali. Teraz jest jeszcze zwyczajną dziewczynką.

- Może być zwyczajna, ale dziewczynką już nie jest. Nie była dziewczynką, kiedy ją ostatni raz widziałam, czyli dziś rano - powiedziała India.

- Ma zaledwie dwanaście lat z kawalkiem - defensywnie odparła Maxi.

- Zbliża się do trzynastu i uważaj! Szałość hormonów. Będzie bogata i nieprzytomnie piękna. Ten dzieciak przypomina Rocca. Ty nadal jesteś piekielnie ładna, Maxi, mimo trzydziestki za pasem. - India dokonała powolnej, fachowej, krytycznej oceny. - Z Angeliką jednak nie możesz się równać. Nie chciałam cię urazić.

- Nie uraziłaś, ty potworze. Przecież tylko dlatego wyszłam za Rocca, że był taki przystojny.

- O ile dobrze pamiętam, z trochę innego powodu również.

- Najgorsze u starych przyjaciółek jest to, że nie umieją nie pamiętać.

Rocco zawsze był paskudnym zrzędą i z wiekiem to się potęguje. Ma tyle wad, że nie wiadomo, która jest najgorsza, lecz zapewne niewdzięczność.

Wyleczyłam go z kataru, a on nawet nie zadzwonił z podziękowaniem.

- Umiesz leczyć katary? To mogłoby być cenne; nauka od lat poszukuje na nie sposobu - skomentowała India z powątpiewaniem.

- Tylko niektóre katary. Co więcej, o mało nie dostał furi prezentów za przysługę oddaną Justynowi. Nie dałam mu ich, bo akurat wtedy zabrakło mi pieniędzy, ale to prawie na jedno wychodzi. Ma z gruntu parszywe usposobienie.

- Zawsze go lubiłam - oznajmiła India stanowczo. - Musi przynajmniej nadal bosko wyglądać.

- Niektóre osoby mogłyby tak sądzić, uroda jednak wkrótce przeminie, wiesz, jak z nią jest - rzekła Maxi. - Nawet z twoją - dodała głosem pełnym współczucia.

- Opowiedz mi, Maxi, o swoim życiu seksualnym. - India bacznie wpatrzyła się w nią turkusowymi oczami. - Jakbyś się czymś gryzła. Wyczuwam lekką nadwrażliwość, pewien stopień

poirytowania. Znając ciebie, domyślałam się, że chodzi o nowego mężczyznę.

- Ha! Kto ma czas na życie seksualne? Ja o nim zapomniałam. Kiedy człowiek jest tak zajęty, traci apetyt na te rzeczy i nie odczuwa ich braku.

- A więc to tak, brak libido. Z drugiej strony to jedyne, co mi przychodzi do głowy, zdolne chronić cię od kłopotów. Pamiętaj, przysięgłaś nigdy nie wyjść za innego mężczyznę.

- Za kogo miałabym wyjść? A co ważniejsze, po co? Kto to powiedział:

“Byłem mężczyzną i byłem kobietą i musi być coś lepszego”? Podobny stosunek mam do małżeństwa.

- Według mnie coś ci się pomieszało. Czy nie Tallulah Bankhead powiedział: “Miałem mężczyznę I miałem kobietę i musi być coś lepszego”?

- Mniejsza z tym - odparła Maxi. - Wiesz, o co mi chodzi.

- Tak naprawdę, to nie. Nie przychodzi mi do głowy nic, czego bardziej bym pragnęła od małżeństwa - tęsknie wyznała India.

- Nie spróbowałaś tego, więc naturalnie cię kusi. Zresztą Toby jest sto razy lepszy niż każdego z moich mężów. Jeśli tylko zdołasz go nakłonić.

- Zostałybyśmy szwagierkami, a nie wiem, czy umiałabym się pogodzić z twoim pesymistycznym obecnie poglądem na świat. Głowa do góry. Jeśli “G&K” się rozleca, co dla ciebie będzie oznaczać dzikie, śmieszne bogactwo, będziesz mogła wszystko oddać na cele dobroczynne. Albo zapoczątkować swój własny kult. Czy może kupić Getty'ego - nie, na to by cię nie było stać.

Cóż, albo kupić studio filmowe i w ten sposób nadspodziewanie szybko pozbyć się pieniędzy.

- Czemu nie napiszesz powieści pod tytułem Nie proszona o radę? Albo Myję też okna? - zapytała Maxi uszczyplinawszy Indię w słynny nos. - Doceniam twoje myśli i komentarze, ale, widzisz, już jestem w show businessie.

Man Ray Lefkowitz i Rap Kelly, wspólnicy Rocca, siedzieli w Perigord Park i jedząc na lunch ikrę ze złotośledzia ukradkiem podsłuchiwali, jak przy sąsiednim stoliku Maxi urabia bardzo ważnego klienta od Seagrama. Jej głos docierał do nich, silny w działaniu niczym dawka nitrogliceryny, potulny, żarliwy, a mimo to rzeczowy, świadomie pozbawiony uwodzicielskich tonów.

- Wreszcie uzyskaliśmy dane demograficzne, George - mówiła Maxi. - Ty dowiadujesz się jako jeden z pierwszych. - Brzmiało to niemal poufnie, przy tym zaś szczerze. - Oczywiście zbierano je dość długo, lecz cztery miliony naszych czytelniczek to na ogół kobiety pracujące, a także żony i matki. W wieku od dziewiętnastu do czterdziestu czterech, z zeszłorocznymi zarobkami wysokości ponad dwudziestu sześciu tysięcy dolarów, co z grubsza daje dwadzieścia

dwa procent globalnego dochodu Amerykanek. I, George, z całą pewnością nie abstynentki. Kupują "G&K", ponieważ pismo poprawia im samopoczucie - to już wiesz. Ale czy wiedziałeś, że siedemdziesiąt procent naszych czytelniczek popija w trakcie lektury "G&K"? Może odprężając się po pracy, może czekając na przyjście swoich facetów, może gotując obiad - tego jeszcze nie wiemy, analizę powinniśmy jednak dostać niebawem. "G&K" nie czytują osoby na diecie, które postanowiły ograniczyć spożycie wina i innych trunków... nasze czytelniczki są nazbyt pochłonięte codziennym dogadzaniem sobie. Należą do gatunku tych, co świętują... a jeśli nie ma czego świętować, zdecydowane są i tak to robić.

- Jesteś pewna, że to nie alkoholiczki? - zapytał George. Maxi nieznacznie zwróciła się w jego stronę, z oszczędnością ruchów typową dla kobiety świadomej, że ma najlepsze nogi, najlepszy sposób eksponowania najlepszych piersi, najlepsze wátówki i najlepszą fryzurę na sali.

- Jak na tak atrakcyjnego mężczyznę odznaczasz się rozkosznym poczuciem humoru - stwierdziła Maxi, urocze pochlebstwo zaprawiając dość wyraźną nutką diabolicznego szyderstwa, aby się zastanawiał, o co naprawdę jej chodzi... przez całą tę noc. - Tylu sensacyjnym skądinąd mężczyznom brak poczucia humoru. Tak poważnie traktują samych siebie.

- Wiem, co masz na myśli - zapewnił ją George robiąc szaleńczy unik. Skąd właściwie ona się wzięła? - Ciekawe dane demograficzne. Bardzo ciekawe.

Cztery miliony kobiet popijają w trakcie lektury "G&K".

- No, George, tego nie powiedziałam. Robi to tylko siedemdziesiąt procent moich czytelniczek. Pozostałe zajmują się czym innym. Piją potem. Dlatego tak dużo producentów alkoholu chce na przyszły rok wykupić miejsce na ostatniej stronie.

Dwaj mężczyźni przy sąsiednim stoliku popatrzyli na siebie z minami, które były typowym przykładem rozmyślnej obojętności.

- Kelly, ten numer nie przejdzie - szepnął Lefkowitz. - George się nie nabierze. Nikt by się nie nabrał na tak ordynarne łgarstwo.

- Założysz się? - syknął Kelly.

- Wyobraź sobie, że nie. Tak jest, spójrz na nią, na litość boską. Oj.

- Zresztą co go to kosztuje? Nie wydaje własnych pieniędzy. - Kelly w końcu się roześmiał.

- Jak myślisz, skąd ona bierze dane demograficzne?

- Z "Prawdy"? - na chybił trafił strzelił Kelly.

- Oni bardziej dbają o ścisłość. Słuchaj, zróbmy dobry uczynek - zaproponował Lefkowitz. - Ostatnimi czasy Rocco jest strasznie mało twórczy. Odkąd Maxi zaczęła wydawać to pismo, dostaliśmy zaledwie dwa nowe zlecenia. Co prawda każde z nich opiewa na jakieś dwadzieścia pięć milionów rocznie, nadal jednak uważam, że on się czymś gryzie. Nie zdziwiłbym się, gdyby to miało związek z sukcesem "G&K"... Wiesz, jak to jest, kiedy była żona otwiera interes.

- Powiedz. Nie, nie mów, wiem - prędko poprawił się Kelly.
- Bądźmy dla niej mili.
- Rocco mówił, że mamy jej nie przyznawać klauzuli najwyższego uprzywilejowania.
- Powiedziałem tylko: mili - rzekł Man Ray Lefkowitz - bez przesady.

Uregulowali rachunek i w drodze do drzwi przeszli obok stolika Maxi.

- Nie zauważyłem pani, panno Amberville - odezwał się Kelly. - Och, cześć, George, szczęściarz z ciebie. Próbujesz ubiec konkurencję? Brzydko, ale nie mam ci tego za złe. Spodziewam się, że płacisz za lunch. Panno Amberville, niech mi wolno będzie powiedzieć, jacy radzi jesteśmy z powierzchni zakupionej w "G&K". To nasz najlepszy jak dotąd interes.

- Chwileczkę, Kelly. - Lefkowitz stwierdził bez zdziwienia, że Kelly jego obsadził w roli złego policjanta. - Jedną chwileczkę. Wydaje mi się, że "G&K" mają wobec nas zobowiązania. Kupiliśmy miejsce przed oddaniem pierwszego numeru do druku. To dowodziło zaufania i chęci poniesienia ryzyka związanego z nowym pismem. Sądzę, że jeśli wzrosną opłaty za ogłoszenia, my powinniśmy dostać zniżkę. Jakąś, nie wiem jaką, ale jednak, do diabła! Nie proponuję przedłużenia umowy po tych symbolicznych początkowych cenach... ale bardzo się zmartwię, jeśli nie zostanie nam przyznana jakaś klauzula najwyższego uprzywilejowania. Zresztą panna Amberville jest prawie członkiem rodziny.

- Hej, chłopcy, spokojnie - odparła Maxi słodko. - Może się dogadamy... przy jednej transakcji. Powiedźcie Roccowi, że nie mogę, absolutnie nie mogę teraz rozdawać za darmo powierzchni w moim magazynie. Pewnie mówił, że macie mi się naprzykrzać.

- Nie dosłownie. - Kelly zbaraniał.

- Nie, Rocco zawsze wyraża się o pani z szacunkiem. Mówił, że czas kupić miejsce, jeśli już pani sprzedaje, ale niczego nie uważa za oczywiste ze względu... no, na dawne czasy - delikatnie dokończył Lefkowitz.

- Gdzież - zapytała Maxi - są niegdysiejsze śniegi?

- Przysiądziecie się do nas czy będziecie stać dalej? - zapytał poirytowany George. - Mam tu mały interes do ubicia. Zobaczymy się kiedyś, co?

- Mam nadzieję, że licytacja odbędzie się niedługo - powiedział Monty pod koniec maja, patrząc, jak Maxi podpisuje czeki. Jutro byłoby dobrze.

Dziś... jeszcze lepiej.

- No, niezupełnie jutro. - Maxi siliła się na zdawkowy ton. - Wyobrażałam sobie, że wystarczy jeden telefon i urzędzą... coś w rodzaju lepszej wyprzedaży w garażu. Ale nie, mówią mi u Sotheby'ego, że biżuterię będą mogli sprzedać dopiero na jesieni, teraz jest po sezonie, w mieście nie ma tylu bogatych ludzi, na sprzedaż przedgwiazdkową jeszcze nie pora, podają różne głupie powody. A moje zbiory są po prostu zbyt zróżnicowane: obrazy muszą czekać do odpowiednio

dużej aukcji obrazów; za szkatułki dostanie się wyższą cenę, jeśli się je wystawi na licytację z innymi szkatułkami. Nudne.

Jedno właściwie mogą sprzedać w czerwcu, a mianowicie meble. Samo urządzenie licytacji zalicza się do sztuk pięknych i oni nie chcą być do niczego ponaglani. Widocznie mam za mało rzeczy na specjalną licytację, robioną tylko dla mnie; chyba że padłabym trupem, co wszystkiemu nadałoby piętno autentyczności i przyniosłoby więcej pieniędzy. - Maxi wzruszyła ramionami: drobiazg.

- Co? Do czerwca nie będzie już pieniędzy?

- Słyszałeś. A kto wie, ile ich dostanę po potrąceniu prowizji?

Najbardziej wartościowe okazało się mieszkanie, i to jednak Donald zdołał je sprzedać za niecałe sześć milionów. Przedtem dał mi sześć, więc zwróciłam różnicę. Ma to jakiś związek z nadmiernym wzrostem wartości dolara. Właścicielami niemal połowy Wieży Trumpa są cudzoziemcy i w zeszłym miesiącu nie wydawali pieniędzy. Ach, to strata czasu zastanawiać się nad gospodarką.

- Zanurzamy się głęboko... w odpadkach, Maxi.

- Osiemdziesiąt pięć procent klientów, a i może więcej podpisało umowy na nowych warunkach.

- Niektóre zostaną zrealizowane dopiero w lipcu, wiele w sierpniu lub wrześniu.

- Czemu nie weźmiemy w banku pożyczki pod ich zastaw? Reklamują się u nas same duże spółki. Wyplacalne. Nie, Monty, nie mów mi, że tego nie możemy.

Już wiem... próbowałam.

- Gdyby to ode mnie zależało, pożyczylbym ci każdą sumę, nie jestem jednak bankiem. Szkoda - westchnął Monty, jakby go miano za chwilę zabalsamować. - Nie uważasz, że już pora poprosić pracowników o zgodę na obniżkę pensji?

- Nawet gdyby w ogóle nic nie dostawali, ich pobory są kroplą w morzu innych wydatków. A gdyby taka pogłoska rozeszła się po alei Madisonsa, ludzie mogliby pomyśleć, że mamy kłopoty, i stopniowo powycyfywać ogłoszenia. Nie, żadnych cięć, żadnych oszczędności na lunchu, na zdjęciach i honorariach znanych pisarzy. Skutki byłyby fatalne. Pójdziemy na dno w chwale albo będziemy trwać w chwale, nie chcę nic pośredniego.

Maxi z dzielnym zakrętasem podpisała ostatni czek i uśmiechnęła się tak zachęcająco, że Monty postanowił nie wyskakiwać oknem. Słońce majowe jakby kropelkami wody opadło z jej lśniących, ciemnych, potarganych włosów, kiedy się poruszyła, a choć wydawała już ostatni milion, nie chciała bez potrzeby zdradzać się przed Montym z rozpaczą. Każdy sprzedany numer "G&K" utwierdzał ją w przekonaniu o słusznej koncepcji pisma, którego treścią nie są wieczyste depresje kobiet, ich poczucie winy i niepokój.

- Przyznaj się, Monty, czy troszkę cię nie podnieca to, że jesteś na krawędzi? - zapytała ze śmiechem Maxi, a oczy miała tak zielone, że Monty zamrugał.

- Czego? - spytał, nieomal odwzajemniwszy uśmiech.

- Bankructwa.

Tydzień później, w pierwszych dniach czerwca, Maxi samotnie dojadła resztki w kuchni Toby'ego. Wszyscy realizowali gdzieś wiosenne projekty, ale jej mimo zmęczenia dokuczał brak towarzystwa. Choć w ciągu dnia pracy nadal potrafiła odgrywać pewnego siebie przywódcę, bez publiczności lub nawet w obliczu jednej osoby ulegała obawom. Po raz pierwszy, odkąd wydała wojnę Cutterowi, zastanawiała się, czy to nie śmieszna donkiszoteria, czy nie wypowiedziała walki, której nie sposób zakończyć i której zasięgu nie przewidziała, gdy po raz pierwszy próbowała działać na Cuttera perswazją moralną. No, bo i kto uczynił ją zarządcą majątku pozostawionego przez ojca? On zlecił kontrolę matce. Czy miało to oznaczać, że chciał, aby skrupulatnie spełniano życzenia matki, nawet jeśli ona zapragnie zniszczyć Wydawnictwa Amberville'a? Dlaczego w całej rodzinie tylko Maxi wie - albo tak sądzi - zupełnie jakby słyszała głos Zachary'ego Amberville'a, iż za wszelką cenę należy czasopisma zachować? Och, była ojcu szczególnie bliska, bliższa niż chłopcy. On jeden zawsze w nią wierzył, bronił jej niezależnie od tego, co przeskrobała, ale czy to oznacza, że teraz ona wie, czego by chciał?

Swymi troskami mogła częściowo dzielić się jedynie z Pavką i tego dnia jadła z nim lunch. Starala się go widywać przynajmniej raz na tydzień, aby na bieżąco śledzić wydarzenia w pozostałych periodykach Amberville'a. Pavka malował obraz w coraz czarniejszych barwach. Każde sprytne, pomysłowe posunięcie, jakie człowiek tak doświadczony mógł zrobić, aby po edykcje Cuttera utrzymać pisma na dotychczasowym znakomitym poziomie, wymagało niesłychanej przebiegłości i cierpliwości. Mimo to połowę jego prób wykrywał i udaremniał Lewis Oxford, pozostający z Cutterem w codziennym kontakcie. Tylko obietnica dana Maxi powstrzymywała Pavkę od rzucenia pracy, w której jego głos już się nie liczył, Maxi zaś, świadoma, jak niewiele jej pozostało czasu, poczuwała się do winy, że go skazuje na tę walkę. Mimo to żadne z nich nie powodowało się egoizmem czy ambicją; oboje robili to dla Zachary'ego Amberville'a, ściślej mówiąc, ku jego pamięci.

Uprzytomniła sobie, że dużo dłużej to nie potrwa. Sprzedaż, jeśli do niej dojdzie, nastąpi w końcu czerwca, kiedy znane będą zyski kwartalne. Tak czy inaczej więc walka może się toczyć najwyżej miesiąc. Pod koniec czerwca może jej zabraknąć pieniędzy na druk. Wszystko zależy od tego, jak pójdą meble na licytacji wyznaczonej na przyszły tydzień. Jeśli wyjątkowo dobrze, zdoła jakoś związać koniec z końcem, gdyby zaś była pewna, że potrafi wydać następny numer, mogłaby poprosić Lily o zrewidowanie decyzji.

Tego popołudnia Maxi postanowiła odebrać biżuterię i cenne szkatułki od Sotheby'ego, gdzie działano nieśpiesznie i z rozważą, i sprzedać je temu, kto się nawinie. Albo zastawić, jeśli nie znajdzie nabywcy, choć skąd weźmie na to czas? Nie miała pojęcia, jak i gdzie się to robi. Gdybyż kupowała nieruchomości zamiast pięknych zabawek. Gdybyż nosiła sztuczne perły. Gdybyż lokowała w najpewniejszych papierach wartościowych zamiast kupować stare meble o niepewnej wartości rynkowej. Gdybyż nie zakładała w Straszonym Zamczysku centralnego ogrzewania, tylko zamarżała na śmierć bez protestu. Gdybyż niczym wiewiórka z bajki chowała orzechy na zimę, a nie jak ten lekkoduch konik polny... Gdybyż. Gdybyż nie była sobą, pomyślała ze złością. Teraz jest już za późno i takie rozważania nie zdadzą się na nic.

Dzwonek u drzwi wyrwał ją z bezwocnej zadumy nad własnym życiem.

- Justyn? Cieszę się, że cię widzę! Czy mogę cię poczęstować pięcioma różnymi pasztetami, jeszcze bez nazwy, oryginalnymi i własnej roboty Toby'ego? Sama nie zaczęłam jeść... więc chodź, nakryję dla ciebie.

Justyn wszedł za nią do kuchni i usiadł, ale przyjął tylko kieliszek wina.

- Jakie wiadomości z frontu? - zapytał.

- Nie bierzemy jeńców.

- Tak słyszałem. Takie krążą pogłoski.

- Co się mówi? - Maxi zmarszczyła czoło.

- Och, ludzie powtarzają różne rzeczy, począwszy od plotek o sprzedaży, które mogły wyjść z ZSR, do pełnych oburzenia zaprzeczeń. Wszystko, cokolwiek powiesz. Zamieszanie w szeregach, wrzenie, ciemność w południe.

Posłuchaj. Nie chcę, abyś myślała, że unikam ostatecznej rozgrywki, ale muszę się wynieść z Nowego Jorku. To piekielne miasto. I dla mnie nie do zniesienia, Maxi. Nie wytrzymuję już w tych murach, odkąd pogoda zrobiła się taka piękna. Chciałbym być w tyłu miejscach. Lepszych. Wyruszam na szlak, mała, przed rozpoczęciem pory monsunowej. Lubię słuchać melodii Gershwina, lecz nie gdy czerwiec tu się zaczyna. Usiłował nadać głosowi beztroskie brzmienie, lecz minę miał pełną sarkazmu.

- Wiem, co czujesz, i naprawdę rozumiem. Przynajmniej jestem pewna, że prędzej czy później wrócisz.

- Żałuję, że nie będę na twoje urodziny.

- I cóż z tego, mój drogi? Nigdy cię nie ma. Ale słowo honoru, nie czuję się urażona. Och, martwisz się, że stuka mi trzydziestka, uważasz, że będę się chylić do upadku albo coś takiego. O to chodzi, prawda? Och, Justyn, cóż to jest trzydziestka? Cóż czterdziestka? Na litość boską, na czterdziestkę wygląda Betty Friedan.

- Gloria Steinem - poprawił ją Justyn.

- Widzisz, to bez znaczenia. A ja mam co innego na głowie, możesz mi wierzyć.

- Tak czy inaczej, chciałem z góry dać ci prezent urodzinowy, aby mniejszy był ból rozstania ze skandalicznymi, hultajskimi, rozpustnymi latami dwudziestymi twego życia. - Justyn od niechcienia wyciągnął kawałek papieru i położył go na stole. Maxi nie wzięła go do ręki.

- Odkąd to - spytała - daje się czek rodzonej siostrze?

- Odkąd jest na tyle dorosła - odparł Justyn - że wie, co z nim zrobić. - Wziął go i delikatnie ułożył na jej pustym talerzu. Przeczytała, na jaką opiewa sumę. Wystarczało na wydawanie "G&K", dopóki nie otrzyma pieniędzy za ogłoszenia, wystarczało na uratowanie pisma.

- Czy nie mówiłam, że nie chcę od ciebie pożyczać? Nie chcę, nie mogę i nie będę - przypomniała mu ponuro, biorąc czek i popychając w jego stronę po stole. - Muszę sama doprowadzić to do końca.

- Nie unosi się honorem, Maxi. Dumna z nas paczka, ty, Toby i ja... to zapewne wpływ matki. Pytam, czy gdyby ojciec miał trudności finansowe z magazynem, w który wierzył, nie uciekłyby się do każdego uczciwego sposobu, aby go ocalić? Niech duma cię nie zaślepi, Maxi. Zresztą to prezent, nie pożyczka. Podarunek niezwrrotny. Możesz jedynie powiedzieć: "Dziękuję, Justyn."

- Ale dlaczego? Nie rozumiem.

- Bo tylko tak mogę uczestniczyć w walce. Toczymy ją razem, jesteśmy rodziną i robimy to dla naszego nazwiska. Muszę w niej uczestniczyć!

Zachary Amberville był i moim ojcem, Maxi. Wiesz, nie ty jedna go kochałaś.

Jeśli nie wygrasz, nie będę przynajmniej czuł, że nie zrobiłem wszystkiego, co mogłem. Pozwól udzielić tej pomocy. To dla nas wszystkich. Proszę cię, Maxi, przyjmij ją - błagał, a Maxi nigdy jeszcze nie widziała tylu uczuć malujących się na twarzy brata, ironicznego, powściągliwego, pełnego rezerwy.

Chwyciła czek, tak pełna oczekiwań i podniecenia, jakby obserwowała lot komety.

- Dziękuję ci, kochany, drogi Justynie! A skoro już jesteś tak hojny, czy nie mogłabym dostać dziesięciu dolarów do wypłaty?

26.

- Naprawdę nie możesz pojechać do Kanady beze mnie, Cutter? - zapytała Lily. - Odkąd poznałeś Leonarda Wildera, jedliśmy z nim i Gerry obiad co najmniej trzy razy. Czy nie wystarczy tego zabiegania o względy, nawet jeśli macie zawrzeć dużą transakcję? Czemu ja mam uczestniczyć w tej wyprawie?

- Myślałem, że lubisz Gerry.

- Owszem, to całkiem sympatyczna kobieta, ale ta dwudniowa wyprawa z nimi do lasów będących w posiadaniu spółki... czy nie zdajesz sobie sprawy, że budzi we mnie trudne wspomnienia?

Wyraz twarzy Cuttera się zmienił, pod powierzchnią oglady i niemal absolutnego uroku coś jakby się działo, wzbierało postanowienie.

- Trochę sobie pobłażasz, moja droga, skoro tak w ostatniej chwili zmieniasz decyzję, prawda? Fakt, że Zachary umarł w Kanadzie, nie powinien uniemożliwiać wyjazdu w tamte strony - nigdy tam nawet nie byłaś. Nadal mieszkasz w domu, który dzieliłaś z nim przez wszystkie te lata, i to nie jest dla ciebie zbyt bolesne. Więc dlaczego tamto miałyby robić różnicę?

Wiesz, że zaplanowałem ten wyjazd przed wielu tygodniami. Gerry liczy na twoje towarzystwo, podczas gdy ja z Leonardem będziemy oglądać lasy.

- Och, doprawdy - poskarżyła się Lily - tak się to wlecze.

- Tego rodzaju weekend zacieśnia więź bardziej niż wszystkie obiady zjedzone w Nowym Jorku - tłumaczył Cutter. - Kiedy za dwa tygodnie przyjdzie pora zasiąść i pomówić w ZSR o interesach, moje osobiste stosunki z Leonardem zaważą na pertraktacjach. On się do tego nie przyzna, nie będzie nawet tego świadomy, ale wiem, że to prawda. Tak wiele zależy od ciebie. Jesteś gwiazdą naszej grupki. Właścicielką Wydawnictw, a ja tylko występuję w twoim imieniu. Bądź dorosła, moja kochana. Taka jesteś ważna w końcowej rozgrywce. Pamiętaj, żadna transakcja nie jest zakończona przed podpisaniem papierów.

Lily westchnęła. Chciała tę trudną, znacznie opóźnioną sprzedaż mieć już za sobą. Tak ją zmęczyły oczy zwrócone na nią jak na symbol własności, tak znużyła konieczność ustawicznego kontrolowania siebie, bycia własnym najsurowszym sędzią, ciągła świadomość, że Cutter wyznaczył jej miejsce pośrodku sceny, gdzie nieustannie musi być wdzięczną solistką. Wiedziała, że Gerry Wilder, choć przyjemna, nadal odnosi się do niej z odrobiną lęku i z takim szacunkiem, z jakim członkini zespołu baletowego odnosiłaby się do primabaleriny. Przywykła jednak, że musi grać tę główną rolę, niegdyś nad wszystko pożądaną, a Cutter wyraźnie postanowił włączyć ją do wycieczki.

- Dobrze, pojedę. Będzie mi potrzebny ciepły płaszcz czy wystarczą swetry?

- Zabierz wszystko, co uznasz za potrzebne. Lecimy odrzutowcem ZSR, więc nie będzie

kłopotu z bagażem.

- Dobrze. To już coś. Pójdę i powiem pokojówce, co ma spakować.

Wnętrze odrzutowca ZSR tak było urządzone, że nie przypominało latającej sali konferencyjnej. W obu końcach kabiny dało się prowadzić poufne rozmowy. Cutter i Leonard Wilder siedzieli z tyłu, a ich żony gwarzyły z przodu.

- Te lasy, tysiące akrów, to jedna z ostatnich rzeczy, jakie mój brat kupił przed śmiercią - rzekł Cutter. - Uważał, że im bardziej Wydawnictwa uniezależnią się od producentów papieru, tym lepiej. Do licha, w następnej kolejności kupiłby drukarnię, a potem sieć kolportażu. ZSR mogłaby się nad tym zastanowić.

- Nie dwie rzeczy naraz - zachichotał Leonard. Teraz, kiedy zdecydowanie zamierzał kupić Wydawnictwa Amberville'a stracił nieco na zwykłej szorstkości. - Skoro już mowa o tym, nad czym warto się zastanowić, dużo myślałem o "G&K". Kiedy się poznaliśmy, dyskusja dotyczyła tylko pism z już wyrobioną marką. Dawałem "G&K" najwyżej miesiąc życia. Potem to twoje niezwykle eksperymentalne niemowlę zaczęło mnie fascynować. Zrazu sądziłem, że zmniejszy wam zyski, później zorientowałem się, jak się rozchodzi, a ostatnio zacząłem sobie zadawać pytanie, czy z miejsca nie wpakować w to masy pieniędzy albo w ogóle nie zrezygnować z wydawania. Co byś sugerował, Cutter?

- Zadawałem sobie te pytania dziesięć razy częściej, Leonard. Sam trochę się bawiłem magazynem, wykonałem całą delikatną robotę i ręczę, że punkt krytyczny mam już za sobą. Osobiście podjąłem wyzwanie. Ale wyrok jeszcze nie zapadł. Tak jak z każdym nowym projektem, poluzowałem tylko do pewnego momentu, nie dalej. To mobilizuje ludzi i jest dobre dla spółki.

- Słyszałem wystąpienie córki Lily podczas obiadu dla kobiet-wydawców i wywarła na mnie ogromne wrażenie. Czy transakcja i ją obejmuje?

- Maxi jest cudowna. Nieodrodna córka swojego ojca. Musiałbyś się z nią osobno dogadać, Leonard, ja nie mogę się wypowiadać za nią... ale nie jestem pewien, czy długo wytrzyma. Jednak kto wie?

- Czy początkowe straty nie zniekształcą obrazu zysków?

- Mniej niżbyś sądził. Osobiście nadzorowałem Maxi i chyba będziesz mile zdziwiony. Mnie zadowala bilans Wydawnictw. Przypuszczam, że ciebie też zadowoli.

- Liczby opowiedzą całą historię, prawda? - Leonard przeciągnął się rozkosznie. - Ach, miło jest wyjechać. Nigdy nie byłem w kanadyjskiej głuszy.

- Dla bardzo ważnych osobistości mamy toalety z bieżącą wodą.

- Tak sądziłem.

- My z Leonardem nigdy nie mieliśmy dzieci - powtórzyła Gerry to, co za każdym razem

mówiła Lily. - Tak ci zazdroszczę. Masz nie tylko troje dzieci, ale i wnuczkę. Musisz być bardzo dumna.

- Jestem... ale ostatnio zaczęłam sobie z czegoś zdawać sprawę. Nie mogę się nimi szcycić, kiedy są wspaniali, więc nie powinnam też się winić, kiedy sprawiają... trudności. Doszłam do tego wniosku dopiero po wielu latach. Zawsze uważałam, że muszą być doskonali, bo w przeciwnym wypadku będzie to oznaczać moją niedoskonałość. Cóż, żadne z nas nie jest doskonałe. Jesteśmy po prostu ludźmi.

Gerry Wilder próbowała ukryć zdziwienie. Nigdy dotąd nie słyszała Lily tak szczerze mówiącej o sobie. Skorzystała z okazji, aby dalej badać charakter kobiety, która swoim sposobem bycia i wychowaniem nieodmiennie nasuwała większości kobiet w Nowym Jorku myśl, że jest inna niż one.

- Czy z którymś z dzieci jesteś bliżej związana niż z pozostałymi?

Lily uśmiechnęła się łagodnie. Tylko kobieta bezdzielna mogła sobie wyobrazić, że na to pytanie da się udzielić prostej odpowiedzi albo że da się jej w ogóle udzielić.

- Każde z nich jest inne i z każdym jestem blisko inaczej - stwierdziła Lily rzecz oczywistą i zadowolającą.

- Na pewno to cudownie mieć córkę - tęsknie odezwała się Gerry.

- Teraz z większym niż kiedykolwiek przedtem optymizmem patrzę na Maxime.

- Lily zdziwiła się słysząc własne słowa.

- Optymizmem? - Gerry Wilder była zdumiona.

- Och. - Lily rozśmieszyła ta impulsywna uwaga. - Wiesz, miała trzech mężów. Matki trochę się czymś takim martwią. Wreszcie jakby się ustatkowała. Na szczęście bez męża.

- Och, tak, Leonard zabrał mnie na obiad dla kobiet-wy dawców i wydała mi się cudowna. Taka rzeczowa. To połączenie inteligencji z urodą kompletnie nas zaskoczyło. Przepadam za tym jej pismem. Chodzę je nawet kupować... nie mogę czekać, aż je przeczytam u fryzjera. Zawsze napęnia mnie takim... no, zadowoleniem z siebie. Chyba pokazuje ci je co miesiąc, zanim się ono ukaże?

- Właściwie dość się z nim kryje. Muszę też po nie chodzić.

- Wielkie nieba - powiedziała Gerry zaintrygowana światem wydawniczym.

Przecież Lily Amberville jest właścicielką spółki. Można by sądzić, że dostaje egzemplarze sygnałne każdego pisma. A to brzmiało zupełnie tak, jakby wiedziała o nich nie więcej niż Gerry o programach pilotowych na kolejny sezon. Leonard nie pozwalał żonie ich oglądać, bo nie potrafiła zwalczyć nawyku porównywania ich z "Arcydzielami Teatru". No ale ona nie jest właścicielką ZSR.

Mały odrzutowiec wylądował wkrótce na pasie wyciętym w środku lasu.

Pasażerowie wysiedli i włożyli zabrane w podróż ciepłe palta. Dzień był wietrzny i pogodny, lecz w tej części północnego Ontario jeszcze zimny. W nowym jeepie czekał na nich wysoki, mimo gęstej rudej brody niewątpliwie młody człowiek. Nieśmiało podszedł do grupy.

- Pan Amberville? - rzekł i pytająco popatrzył na mężczyzn.

- To ja - odparł Cutter. - A ty niewątpliwie jesteś Bob Davies.

Przypominasz tatę.

- Tak, proszę pana. Miło mi pana poznać.

- To pani Amberville i nasi goście, państwo Wilderowie. Bob właśnie przyucza się do pracy, Leonard. Jego ojciec był tu zarządcą, ale w zeszłym roku przeszedł na emeryturę i przeniósł się na Florydę. Prosto z college'u, co, Bob? Jak się ma tata?

- Znakomicie, proszę pana. Dziękuję. Nie zechcą państwo wsiąść do jeepa, kiedy będę ładował bagaże? Wolę nie trzymać państwa na tym wietrze. Do domku gościnnego jedzie się mniej więcej pół godziny.

Leonard Wilder niechętnie wsiadł do jeepa. Chciał się napić w obliczu ciemnozielonych, wysokich drzew, które jak morze wzbudzały w mieszczechu lęk. Telewizja sieciowa nigdy nie wywoływała takiego oszałamiającego poczucia kontaktu z realnym światem, z rzeczami, które rosną. Właśnie ta zdumiewająca część majątku Wydawnictw Amberville'a stanie się jego prywatnym lennem, zdecydował. Następnym razem przyleci tu nie jako gość, lecz jako gospodarz. Niezależnie od tego, w jakim stanie jest domek gościnny, pozwoli Gerry urządzić go na nowo, żeby przestała narzekać, iż nie ogląda z nim razem programów pilotowych. Nie chciała zrozumieć, jakie to dla niej szczęście.

Tej samej soboty, kiedy Cutter z Lily polecili na północ, Toby z Indią przebierali się w Nowym Jorku przed pójściem na Broadway, na premierę sztuki Sama Sheparda, który grał z Indią w jej ostatnim filmie. Zaprosili do teatru Angelikę i Maxi, Maxi obiecała jednak spędzić wieczór z Julie, która robiła masę szumu i z coraz większym uporem twierdziła, że pismo pełne aprobaty dla kobiet takich, jakimi są, w ogóle nie potrzebuje redaktorki działu mody, a powinno mieć raczej stałą handlarzkę narkotykami.

Ponieważ został jeden bilet, powiedziano Angelice, że może zabrać przyjaciółkę, jeśli dziewczynka się odpowiednio ubierze, bo to ważne wydarzenie teatralne niewątpliwie przyciągnie tłum zwykłych ciekawskich i stadko fotografów.

India zniecierpliwiona zmieniła suknię w ostatniej chwili. Wpadła w pułapkę zastawioną właśnie tej wiosny i kupiła kilka sukni z drukowanego perkalu, bosko prezentujących się na wieszakach, a z kobiet robiących żywe angielskie kanapy.

- Róże stulistne na człowieku wyglądają gorzej niż na poduszce - na głos powiedziała do siebie India. Przetrzęsawszy szafy wyciągnęła w końcu wieczorową satynową piżamę od Saint-Laurenta, w zielonym odcieniu Nilu, z błędnym różową szarfą w pasie i ciemniejszym różowym satynowym płaszczem nieprzemakalnym do kompletu, którego nie należało wkładać, jeżeli się zanosilo na deszcz.

- Słyszałem dzwonek, to przyjaciółka Angeliki - oznajmił Toby.

- Jak wyglądam? - zapytała India.

- Zbliź się. Taak, jak niebo nad Norwegią w tej chwili między zachodem a wschodem słońca w dzień letniego przesilenia.

- Skąd wiesz?

- Poznają to po szeleście tkaniny, widzę kolor w malutkim tunelu, słyszę twoje kroki, czuję zapach, chwytam ton głosu. Nawiasem mówiąc, kiedy zejdziemy na dół, postaraj się nie palnąć, co ci ślina na język przyniesie, o przyjaciółce Angeliki.

- Nie bądź tajemniczy, Toby. Usłyszałeś wyraźnie jej głos, prawda?

- Tak. Ten nietoperz ma niesłychanie wyostrzony słuch. Nie cofaj się. - Dotknął jej warg. - Szminka. I tak cię pocałuję, ale jej nie rozmażę... specjalizuję się też w tym niesłychanie delikatnym, ponaddzwiękowym, laserowym całowaniu.

- Dalej, rozmazuj - zachęciła. - Bo inaczej nie będę wiedziała, że mnie dotknąłeś.

- Będiesz wiedziała... wiesz, co? O tak, wiesz. A teraz chodź, bo się spóznimy. - Razem zeszli do salonu, gdzie czekała Angelika.

- Och, jakie śliczne stulistne róże, Angeliko - odruchowo powiedziała India. Była to prawda, choć zatkało ją ze zdziwienia. Na Angelice pokrowce przypominały rozkwitający ogród.

- Dziękuję, chrzestna matko - szalenie oficjalnym tonem odparła Angelika.

- Niech mi wolno będzie przedstawić Henry'ego Eaglesona, kolegę ze szkoły.

Moja chrzestna matka, India West, i mój wuj Toby.

- Jak się pani ma - powiedział młody człowiek.

- Koszykówka - palnęła India. - Musisz grać w koszykówkę.

- To najwyższy chłopiec w ósmej klasie, chrzestna matko - oświadczyła Angelika z nutką triumfu w drżącym głosie.

- Grasz jako środkowy? - zapytał Toby.

- Tak, proszę pana, ale będę musiał zrezygnować, jeśli nie przestanę rosnać.

- Ile masz lat? - odważyła się wreszcie zadać pytanie India.

- Czternaście, proszę pani.

- Dlaczego miałbyś przestać rosnać w tym wieku? - zdziwił się Toby.

- Już mam ponad sześć stóp i trzy cale, proszę pana. Muszę kiedyś przestać, a przynajmniej

na to liczę.

- Niekoniecznie - Angelika obiema rękami uczepiła się tego neutralnego tematu. - Mógłby rosnać do dwudziestego pierwszego czy drugiego roku życia, prawda? Co sądzisz, wuju Toby?

- Może lepiej zaczekać i zobaczyć. I może mów do nas Indio i Toby, dobrze, Henry?

- Fajnie. Jeśli wy będziecie mi mówić Kosz. Drzazga wie, że wszyscy nazywają mnie Kosz, ale dziś odpowiednio się zachowuje czy co. Co z tobą, Drzazga?

- Nic, nic - pośpiesznie wypełniła przerwę w rozmowie India. - Wiesz, Drzazgę wychowała bardzo staroświecka matka. Stara szkoła, vieille Nowy Jork.

- Przestrzega konwenansów, co? Moja matka też bywa taka. Dziś wieczór myślałem, że się kompletnie załamie, nim wyjdę z domu. Kazała mi trzy razy zmieniać krawat, dwa razy skarpetki. Słuchaj, mamó, powiedziałem, tylko dlatego, że to moja pierwsza randka, ty nie musisz się denerwować. Czasami nie rozumiem rodziców. Na ogół tak, ale nie zawsze.

- Moja matka zachowywała się tak samo, kiedy ja szłam na pierwszą randkę - stwierdziła Angelika. - Prawda, chrzestna matko? - Błagalnie spojrzała na Indię.

- Och, rzeczywiście, chrzestna córko. Myślałam, że zzielenieje. Czy zsinieje? Ale to było już tak dawno temu, prawda, wuju Toby?

- Przed laty. Musiało to być przed laty. Tak dawno temu, że chyba sobie nie przypominam. Idziemy? Robi się późno.

Toby pożyczył na wieczór limuzynę Maxi. Przetrwiała wielką czystkę jako jedyny praktyczny środek lokomocji w Nowym Jorku. W południe nigdy nie dało się złapać koło "G&K" taksówki, a Maxi musiała gnać gdzieś na lunch, po czym szybko wracać do pracy. Granatowa limuzyna składała się też na obraz kobiety, która odniosła bezsporny sukces.

Elie wskazał Angelice i jej pierwszemu chłopcu miejsce w dużym samochodzie z absolutnie kamienną twarzą. Zachowywał taką powagę, jakby wioził leciwą parę książeczką do kościoła. Nie wiadomo, myślał, co na to powie panna A. Według niego Angelika musi kiedyś zacząć flirtować, ale z olbrzymem? Może jest młodszy, niż na to wygląda. Mają przynajmniej przyzwoitki, choć panna West i pan A. są jego zdaniem tak zakochani, że nikogo prócz siebie nie dostrzegają. Co za straszna rodzina. Westchnął z czystego zadowolenia.

Przed teatrem zebrał się duży tłum.

- Robię to wyłącznie dla Sama - powiedziała India. - Na nikogo nie będę zwracać uwagi, dopóki nie znajdziemy się w teatrze. Nie puszczaj mego ramienia, Toby, bo będę szła prosto przed siebie, jakby nikt na mnie nie patrzył, dobrze?

- Zgoda. Drzazga może za ciebie zbierać ukłony. Elie, zorientuj się, czy możesz nas wysadzić przed samym teatrem.

- Tak, panie A. - odparł Elie. - Widać było, że Toby nie przywykł do dobrego szofera, skoro

zadaje tak idiotyczne pytania. Co on sobie myśli, że zostanie wysadzony przy sąsiedniej przecznicy?

Angelika i Kosz wysiedli pierwsi, wysoka, wspaniała, nieznana młoda para, którą tłum najpierw zlustrował, a następnie zignorował, jakby w ogóle nie istniała. Następnie wysiadł Toby i zaczął na Indię.

Kiedy szli do wejścia, rozbłysło tyle fleszów, że wraz ze światłami miejscowej telewizji oślepiły Indię. Rozlegały się powitalne okrzyki, lecz zdecydowana nie reagować, wcale ich nie słyszała.

- India, India, mam coś dla ciebie! - zabrzmiał jeden głos i niemal utonął we wrzawie, jaką wywołało jej przybycie. Szła dalej, lecz Toby natychmiast puścił jej ramię, obrócił się w tamtym kierunku i rzuciwszy się w ciżbę niczym obrońca, zwałił na chodnik mężczyznę. Zmagali się krótko i zanim ludzie podnieśli wrzask, rozległo się puknięcie i pomruk. Jak gdyby na zwolnionym filmie Toby nadal mocował się z nieznajomym, tłum zaś się kłębił, coraz bardziej rozhisteryzowany, zdezorientowany i do niczego nieprzydatny. Toby z całych sił przyciskał mężczyznę do ziemi i jednocześnie rozwierał mu palce, dopóki ten nie wypuścił pistoletu z ręki.

Dopiero wtedy India się odwróciła i wrzasnęła. Działo się to tak szybko, że jak zawsze w podobnych wypadkach, ledwie się zaczęło, już było po wszystkim. Tylko jasna krew tętnicza wypływająca z ramienia Toby'ego była prawdziwa. I naładowany pistolet, który Kosz podniósł ostrożnie i trzymał, dopóki nie odebrał mu go policjant.

- Skąd wiedziałeś, skąd wiedziałeś? - India ze szlochaniem ścisnęła dłoń Toby'ego, gdy karetka kołyszac mknęła ulicami.

- Poznałem jego głos... tego wariata, który wciąż do ciebie dzwonił, poznałem od razu. Wydało mi się, że nie zechcesz tego, co dla ciebie ma. - Toby, wciąż w szoku, jakby nie zauważał sanitariusza usiłującego zatamować krew.

- Chciał mnie zabić. Wiedziałaś, że jest szalony, ale nie przypuszczałam, że spróbuje mnie zastrzelić.

- Nikt ci nie zrobi krzywdy, kiedy ja jestem w pobliżu.

- Skąd wiedziałeś, gdzie on jest? Och, Toby, skąd wiedziałeś?

- Ćwiczenia, ćwiczenia w orientacji. Często się przydają...

- Czy nie przestanie pani mówić? Próbuję opatrzeć tego człowieka, zanim go dostarczymy do szpitala. Na pytania będzie czas później. Och, och! India West! Mogę poprosić o autograf, jak zajedziemy na miejsce? Dla mojej żony... nigdy bym głowy nie zawracał w tym momencie, ale jest pani wielbicielek, prawdziwą wielbicielek.

Lily zadowoliliby się spędzeniem poranka niedaleko domku gościnnego, ale Gerry

najwyraźniej zależało na rozejrzeniu się po okolicznych lasach.

- Pojedziemy konno? - zaproponowała Lily.

- Konie mnie przerażają. Jak myślisz, czy mogłybyśmy poprosić tego miłego młodego człowieka, aby nas zabrał jeepem? - spytała Gerry.

- Czemu nie? Cutter zostawił go tutaj na wypadek, gdyby nam był do czegoś potrzebny.

Niebawem wsiadły do jeepa z Bobem Daviesem, który przewyciężył pierwsze onieśmienie w stosunku do gości z miasta. Lily zorientowała się szybko, że akurat ten traper bynajmniej nie jest milczkiem. Nie dawało się go uciszyć, jeśli ktoś nie chciał być po prostu niegrzeczny. Raczył je więc opowieściami o miastach na obrzeżu tej dzikiej leśnej krainy, gdzie miejscowi robotnicy co sobota spijali się do nieprzytomności, a na zakończenie wieczora zwykle bili się na pięści.

- Ojej. - Gerry zafascynował ten brutalny aspekt jej nowych włości. - A ty biłeś się kiedyś, Bob?

- Nie, proszę pani. Mój ojciec nie pozwalał mi się zbliżać do tych barów, kiedy byłem w szkole średniej. Później pojechałem do szkoły leśnictwa, a stamtąd wróciłem prosto do pracy. Właśnie wtedy ojciec tak nagle przeszedł na emeryturę. Raptem zmarł jakiś krewniak, ktoś, o kim nigdy nawet nie słyszał, i dostał tyle pieniędzy, że mógł sobie kupić domek na Florydzie.

To było zawsze marzenie mojej matki - nie lubiła zimna. Więc spakowali manatki i wyjechali. Ojciec ma tam teraz mały interes, wypożyczalnię łódek, i żyją szczęśliwie jak nowożeńcy. Pan Amberville pozwolił mi objąć tę posesję bez wstępnej rozmowy. Naprawdę to doceniłem, proszę mi wierzyć.

Pierwszy raz mam przyjemność widzieć kogoś z rodziny Amberville'ów. Dawni właściciele stale się tu kręcili; przywozili przyjaciół na sezon łowiecki czy wędkarski, korzystali z koni, robili wycieczki połączone z przyrządzaniem posiłków na świeżym powietrzu, w ogóle świetnie się bawili.

Myśli pani, że teraz, po zapoznaniu się z terenem, będą państwo często tu wracać? - zwrócił się do Lily.

- Nie mam pojęcia - odpowiedziała mgliście.

- To brzmi cudownie - zauważyła Gerry w zadumie. Lily odgadywała jej myśli: natychmiast po dokonaniu transakcji ona i Leonard zaczną tu podejmować swoich przyjaciół. Sprawilo to Lily dotkliwą przykrość, jakby Gerry, tak wyraźnie zainteresowana, wdzierala się na jej teren. A przecież po wykupieniu Wydawnictw przez ZSR przestanie on do niej należeć. Więc czemu się z tym najzwyczajniej nie pogodzić? Jakież to ma znaczenie?

Jeep jechał powoli szlakiem w cieniu gęstwiny wielkich drzew. Dzień był słoneczny i światło wdzieralo się wszędzie, gdzie tylko mogło.

- Och, spójrz, Lily, przed nami jest jakby polanka. Może wysiadzimy i przespacerujemy się w tamtą stronę - zaproponowała Gerry. - To wstyd nie zażyć trochę ruchu.

- Mógłbyś tu na chwilę przystanąć, Bob? Pójdziemy na małą przechadzkę - zgodziła się Lily.

- Owszem, proszę pani. - Zahamował ostrożnie i zsunął się ze swego siedzenia; aby im pomóc w wysiadaniu. - Lepiej, żebym paniom towarzyszył.

Na skraju tej polanki jest wąwóz.

- To nie będzie potrzebne, Bob - chłodno odparła Lily. Pragnęła choć przez krótką chwilę tego rana nie wysłuchiwać historii jego życia.

Niechętnie pozwolił im odejść samym i dwie kobiety energicznie pomaszzerowały szlakiem, głęboko wdychając przesycone sosnową wonią powietrze. Kiedy dotarły do porośniętej trawą polanki, stwierdziły, że w słońcu jest niemal gorąco, więc zdjęły płaszcze i usiadły na kilka minut na trawie, rozkoszując się ciszą i spokojem.

- Chodźmy poszukać wąwozu - rzekła Gerry z błyskiem zainteresowania w oczach. Nigdy nie była właścicielką wąwozu i osobiście chciała go zobaczyć.

To coś typowego dla tego miejsca, jak konie i jezioro, rzekomo pełne ryb, które się pchają na haczyk wędki. Transakcja obejmowała samo powietrze, trawę, szlaki, dom gościnny. Gerry las obchodził wyłącznie jako tło przyszłych towarzyskich rozrywek.

- Wolałabym nie, jeśli pozwolisz - odparła Lily. Miała już dość Gerry Wilder. - Czuję lekkie zmęczenie. Ale ty idź. Zaczekam na ciebie.

- Na pewno nie chcesz pójść?

- Zdecydowanie.

Gerry się oddaliła, a Lily zapomniała o niej i o mało nie zasnęła. Nagle usłyszała przenikliwy krzyk. - O mój Boże! - Otworzyła oczy i w pewnej odległości ujrzała szybko cofającą się Gerry. - Lily! Jest tu najpotworniejsza rozpadlina. Nie wyobrażasz sobie. "Wąwóz", też coś! To przypomina wejście do piekieł... same poszarpane głązy i okropnie stromy spadek... i nawet tego nie widać, dopóki się nie stanie prawie na krawędzi.

Na litość boską, takie miejsca należy znakować. Otaczać barierkami.

- Cóż, ty to zrobisz, prawda? - wymamrotała pod nosem Lily. - Wracaj, Gerry. Wsiadajmy do jeepa. Już pewnie pora na lunch.

- Bob - odezwała się Gerry, ledwie ruszyli w drogę powrotną. - Uważam nieoznakowanie tego wąwozu za rzecz strasznie niebezpieczną. Dlaczego nie ma tam płotu?

- Tak dużo jest tych rozpadlin, proszę pani. To chyba skutek dawnego trzęsienia ziemi. Są dziesiątki podobnych wąwozów, ale żaden nie znajduje się aż tak blisko domu gościnnego. Wszyscy pracownicy tych lasów wiedzą o ich istnieniu. Dziwią się tylko obcy przybysze. Dlatego

panie ostrzegałem.

Właściwie... no, to nie jest historia dla pań... to się zdarzyło, zanim dawni właściciele wreszcie sprzedali to miejsce. Opowiadał mi ojciec, ale w tajemnicy...

- Och, Bob, mów - skwapliwie zachęcała go Gerry. Chciała wiedzieć wszystko o tej swojej przyszłej nowej zabawce, a jeśli otacza ją jakaś miejscowa tajemnica, to tym lepiej.

- No... nie wiem... - Najwyraźniej palił się, aby je uraczyć tą historią.

- Och, Bob, jakież to może mieć znaczenie? Opowiadaj! - nalegała Gerry.

- No, więc mój tata latał małym, jednosilnikowym samolocikiem, tak jak ten nowy pilot, który teraz zabrał waszych mężów. Tata leciał nim pewnego dnia, bo w obozie po drugiej stronie lasu zdarzył się wypadek... drwal odniósł naprawdę ciężkie obrażenia i trzeba go było szybko dostarczyć do szpitala. Tak czy owak, tata zobaczył dwóch facetów, gości z miasta, tak jak wy, panie. Nie powiedział mi, kim byli, ale jechali konno. Zsiedli z koni tam na polance i widocznie się posprzeczali. Zupełnie jak tutejsze chłopaki w sobotę wieczorem, bo zaczęli się okładać pięściami. Jeden z nich musiał zadać piekielnie mocny cios, gdyż ten drugi wylądował na dnie wąwozu.

- Co zrobił twój tata? - z zapartym tchem zapytała Gerry.

- Nie mógł się zatrzymać, rozumie pani, nie było dość miejsca do lądowania i naprawdę się martwił o tego drwala, o którym mówiłem. Wiedział zresztą, że wypadek zdarzył się całkiem blisko domu gościnnego, więc wyobrażał sobie, że ten drugi facet pogna konno po pomoc. Ale kiedy następnego dnia tu wrócił, tamtego biedaka jeszcze nie odnaleziono. Było dużo zamieszania, grupy ratowników rozchodziły się na różne strony z wyjątkiem tej właściwej. Jakby nikt tym nie kierował ani nie wiedział, co się dzieje. Taty o mało szlag nie trafił. Natychmiast poprowadził ich do wąwozu, ale było już... no, było za późno. Gość z miasta nie żył. Nikt się nigdy nie dowiedział, czy umarł na skutek upadku, czy z zimna. Tej nocy, kiedy się to zdarzyło, temperatura spadła poniżej zera. Zresztą...

- Zatrzymaj samochód! - wrzasnęła Gerry. Lily zemdląła i przechyliła się na bok; o mało nie wypadła z pojazdu i Gerry z całej siły musiała ją trzymać, aby nie runęła na ziemię.

Lily siedziała w półmroku głównej sypialni. Poprosiła Gerry Wilder o zasłonięcie okien i tonem nie znoszącym sprzeciwu zażądała, aby pozostawiono ją samą. Nie próbowała wytłumaczyć drugiej kobiecie, dlaczego na krótko straciła przytomność. - Daj mi odpocząć. Nie chcę jeść lunchu.

Proszę, nie przychodź na górę zobaczyć, jak się czuję - rozkazała tak stanowczo, że Gerry Wilder nie ośmieliła się zadać choćby jednego pytania.

Przez całe popołudnie Lily siedziała przy oknie na krześle z prostym oparciem, podczas gdy pamięć i wyobrażenia obracały się przeciwko niej. W ciągu paru godzin postarzała się, pochyliła, odarta z dumy i urody. Było jej strasznie zimno, jakby krew przestała krążyć w żyłach, a mimo to

nie umiała się zmusić do włożenia jeszcze jednego swetra. Chwilami mamrotała po parę słów na głos, po czym znów milkła. Niekiedy, zgięta we dwoje, do bólu zaciskała ręce na wargach, aby stłumić spazmatyczny ryk rozpacz, pohamować ataki wściekłości. Wszystkich jej sił wymagało uspokojenie tych rąk.

Chciały szarpać Lily, rozdrzeć na sztuki, powyrywać włosy, oszpecić na zawsze.

Wreszcie, gdy popołudnie zaczęło się chylić ku końcowi, zapanowała nad uczuciami i skupiła uwagę na drzwiach. Wkrótce, jak to przewidziała, Cutter otworzył je cicho, przekonany widocznie, że Lily będzie odpoczywać na jednym z bliźniaczych łóżek. Nie wydała żadnego odgłosu.

- Lily? - zapytał, bo nie dostrzegł jej w gęstniejących ciemnościach.

Postąpił parę kroków w głąb pokoju, po czym się obrócił, aby zapalić stojącą lampę. - Lily... gdzie jes... co ty tam robisz? - Zbliżył się i stanął jak wryty na widok brzydkiej kobiety z twarzą wykrzywioną grymasem jakiegoś uczucia, na które nie ma nazwy, na widok starej kobiety w ubraniu Lily, kobiety z jej włosami, wpatrzony w niego dzikim, bezlitosnym wzrokiem.

- Boże wielki, Lily, co się stało? - zapytał przerażony. - Gerry opowiedziała mi o wąwozie. Co to, u diabła, za wyczyn, iść i na to patrzeć, co za głupota. Jak mogłaś sama to sobie zrobić? Spójrz tylko na siebie...

- Nie. - Głos miała suchy i urywany od przelanych łez, ochrypliwy i stary.

- Nie musisz na mnie patrzeć. Mniejsza z tym, jak wyglądam. Spójrz w lustro, spójrz na siebie.

- Cóż to ma być za zagadka? - Obrzydzenie przemieszane było w tym pytaniu ze srogością. - Cholera! Nie należało cię przywozić do Kanady. Gdybym podejrzewał te chorobliwe myśli...

- Nie należało. Ale jeden raz w życiu nie przewidziałeś wszystkiego. Nie wiedziałeś, że się dowiem. - Głos Lily rozpląnął się w szepcie.

- Dowiesz się? Nie masz się tu czego dowiadywać. O czym ty mówisz?

- Jak... jak umarł Zachary! - syknęła.

- Lily - rozsądnie odrzekł Cutter - zawsze wiedziałaś, jak umarł Zachary.

Kochanie, wszyscy to wiedzą. Przeżyłaś szok spowodowany bliskością miejsca, gdzie to się stało, nic więcej. Chodź, pomogę ci wstać i wejść do wanny z gorącą wodą. Rozchorujesz się, jeśli...

- Morderca! - wrzasnęła.

- Lily! Przestań natychmiast! To atak hysterii! - Jednym susem dopadł do krzesła, poderwał ją na nogi, silną ręką przytrzymał za plecami wymachujące ramiona.

- Morderca!

- Zamknij się! Wilderowie są w pokoju obok, usłyszą cię...

- Morderca !

Cutter drugą ręką zatkał jej usta, a ona głęboko wbiła zęby w opuszkę jego kciuka. Odepchnął ją brutalnie, tak że padła na łóżko.

- Dość tego! Wystarczy. Nie panujesz nad sobą, czy tego nie rozumiesz, Lily? To tylko sprawa tego miejsca, ono przyprawia cię o histerię.

Lily gwałtownie pokręciła głową i stanęła naprzeciw niego.

- Ty tam byłeś, nad przepaścią, tak, byłeś tam. To byłeś ty! Straciłeś go do niej i zostawiłeś, żeby umarł. - Patrzyła na Cuttera w gorzkim zdumieniu, oskarżycielskim głosem stwierdzając fakty, którym przez wiele godzin musiała stawiać czoło.

- To największa... najczystsza, najzupełniejsza bzdura, jaką w życiu wypowiedziałaś, jesteś szalona, całkiem szalona...

- Możesz gadać, co chcesz, mnie to obojętne. - Lily wciąż patrzyła na niego, jakby z oddzielnych kawałków próbowała złożyć istotę ludzką, patrzyła w oszołomieniu, jakby na próżno usiłowała sobie wmówić, że to Cutter Amberville, mężczyzna, którego kochała. Mimo to ciągnęła stanowczo, bez zająknięcia, a jej głos docierał jak z oddali, z wnętrza trupiej główki, prymitywnej, pustej i pozbawionej życia. - Powiedział mi Bob Davies. Nie wiedział, co mówi. Teraz rozumiem, dlaczego jego ojciec mógł w wieku czterdziestu siedmiu lat przejść na emeryturę. Wiem, kto mu dał pieniądze na wyjazd na Florydę. Tylko jeden człowiek widział, co się stało, ale był równie gadatliwy jak syn. Słyszałyśmy to wszystko, Gerry i ja. Dwaj mężczyźni na polance, dwaj mężczyźni, którzy zsiadli z koni, dwaj mężczyźni, którzy wdali się w bójkę, jeden dostał pięścią - czy też go popchnięto? - i wpadł do wąwozu, drugi wrócił i nie posłał ludzi bratu na ratunek. Przy temperaturze poniżej zera. Wąwóz w najbliższym sąsiedztwie domu. Musiałeś być przerażony, kiedy następnego dnia wrócił Davies i opowiedział ci, że widział, co się stało. Ale nie dość szybko usunąłeś go z drogi. Opowiedział synowi i zeznałby przed każdym sądem na świecie. Upewnię się co do tego.

- Nie możesz temu wierzyć, Lily! Ten dzieciak opowiada niestworzone historie, kłamie...

- Mam zadzwonić do jego ojca na Florydę? To tylko jedna krótka zamiejscowa rozmowa. Potwierdzi wszystko, kiedy mu powiem, że jest współsprawcą morderstwa. - Lily sięgnęła po słuchawkę. - Mam numer jego telefonu. Poprosiłam o ten numer Boba, gdy Gerry nie słuchała. Pod pretekstem, że chcę ojcu pogratulować takiego miłego, usłużnego syna.

- Czeka! Odłóż słuchawkę. Mogę wytłumaczyć...

- Nie, chyba nie możesz. - Głos Lily przyprawił Cuttera o zimny dreszcz trwogi, odłożyła jednak słuchawkę. Głęboko zaczerpnął powietrza.

- Lily, coś rzeczywiście zdarzyło się tamtego dnia. Miałem nadzieję, że nigdy nie będziesz musiała się dowiedzieć. Istotnie byłem z Zacharym, kiedy wpadł do wąwozu. Istotnie doszło do

bójki, ale to był wypadek, Lily, wypadek!

- Więc dlaczego nie posłałeś ludzi na ratunek? - nieubłaganie pytała Lily.

- Do tej pory tego nie rozumiem. Byłem w stanie absolutnego szoku, Lily.

Nie pamiętam, co się działo przez wiele następnych godzin. Odchodziłem od zmysłów z rozpaczą. Popatrzyłem nad krawędzią i po pozycji ciała poznałem, że nie żyje. Nawet natychmiastowa pomoc nic by nie zmieniła. Jakoś trafiłem tu z powrotem i po prostu się wyłączyłem. Nie mogłem funkcjonować. Mój brat nie żył... mój brat... nie potrafiłem w to uwierzyć. Dlatego musiałem się pozbyć Daviesa - pewnie, że go przekupiłem. Wiedziałem, że nikt by nie uwierzył w to, co się stało. Och, ale ty, Lily, musisz mi uwierzyć! Wiesz, że nigdy umyślnie nie zrobiłbym Zachary'emu krzywdy. Czemu miałbym coś takiego zrobić? Dlaczego? To nie ma sensu. Przyznaj, że nie ma sensu. To byłoby szaleństwo. - Cutter urwał, z wzrokiem błagalnie wbitym w jej twarz.

- O co się pobiliście? - zapytała Lily.

- O ciebie. Nie wiem, skąd mu to przyszło do głowy albo dlaczego wybrał tę właśnie chwilę, aby poruszyć nasz temat, ale, Lily, on coś podejrzewał.

Uniósł się. Szalał ze złości. Oskarżył mnie, że w latach naszej młodości byłem twoim kochankiem. Powiedział, że zaczyna podejrzewać, iż Justyn jest moim synem, nie jego. Nie mam pojęcia, dlaczego wywahał nasze sekrety sprzed tylu lat, ale nie mogłem zareagować inaczej, musiałem się zachować tak, jakby znieważył ciebie. Ten pierwszy cios zadałem dla ciebie, Lily.

Wszystko to tak jakoś nie pasowało, że jedynie w ten sposób mogłem pokazać Zachary'emu, jak bardzo się myli. Zrobiłem to w twojej obronie. Zrobiłem to dla ciebie, moja najmilsza. Gdybym tego nie zrobił, kto wie, co by się stało? Jak mógłby się odegrać na tobie i Justynie? Przyznaję, że to zrobiłem, ale to było dla ciebie, tylko dla ciebie, Lily.

- Nie możesz skończyć z kłamstwami, prawda? - powiedziała głosem znużonym, bez odrobiny zdziwienia, z samą tylko pogardą.

- Z kłamstwami?... Lily, a cóż innego mogłoby mnie skłonić do bójki z własnym bratem?

- Powiedziałam mu o nas trzynaście lat temu. Wiedział o tobie, o mnie i o Justynie przez te ostatnie lata. Zawarliśmy z Zacharym pokój, ale zanim to nastąpiło, postanowiłam zacząć od nowa lub nie zaczynać wcale. Więc powiedziałam mu wszystko. Wszystko. Zupełnie mi wybaczył. Zawsze kochał Justyna jak własne dziecko i nie przestał go kochać do dnia, kiedy zginął z twojej ręki. Zabolalo go to, lecz sam też nie był święty. Więc, pogodzeni, dalej budowaliśmy razem dobre życie. Tobie ostatniemu na świecie przyznałby się, że wie. - Lily mówiła wprawdzie głosem martwym i bez wyrazu, ale z niezachwianym przekonaniem. W każdym jej słowie dźwięczała prawda. Cutter obrócił się do niej plecami.

- To obojętne, dlaczego zabiłeś mojego męża. U podłoża tego czynu leżały zazdrość i

nienawiść. One kazały ci wzbudzić we mnie miłość. Żebyś mógł mu coś zabrać. Byłam wtedy niemal równie zła jak ty. Ale nie jestem morderczynią. I nie kłamię. Już nie.

- Lily...

- Ani słowa więcej. Ani jednego kłamliwego słowa więcej. Wyjeżdżam teraz, wracam do Nowego Jorku. Możesz nakłamać Wilderom, jak zechcesz. Odeślę po nich samolot natychmiast po wylądowaniu. Zachary Amberville został zamordowany przez brata. Znam prawdę. Nikt inny jej nie pozna. Nie będę próbowała cię ukarać. Byłoby to bezcelowe. Nie zasługujesz na to. Chyba że...

- Chyba że? - powtórzył Cutter, wciąż niezdolny uwierzyć, że ona mówi poważnie.

- Chyba że będziesz się starał ponownie nawiązać kontakt z kimś z Amberville'ów. Jeśli to zrobisz, postawię cię przed sądem. Przysięgam na wszystko, co jest mi drogie.

- Zaczekaj, stój... - wykrzyknął, lecz już jej nie było.

W minionym roku Maxi zawsze przelatywała przez hol Budynku Amberville'a biegiem. Dziś zwlekała, miała aż za dużo niepożądanego czasu na oglądanie olbrzymich paproci, bujnie rozróżnionych w specjalnie zdrowym świetle; długie minuty naigrawała się z krzepkich bromeliad i lekceważąco liczyła rzędy olbrzymich palm, zadumana nad zielenieniem się Ameryki biznesu. Co się stało ojcom jej Manhattanu, którzy coraz większej rzeszy budowniczych zezwalają na ograniczenie dostępu światła słonecznego do ulic, pod warunkiem że każdy nowy, coraz wyższy gmach będzie miał wewnątrz dosłownie symboliczny teren zielony? Zieleńsze hole, ciemniejsze ulice, myślała sobie, świadoma, że ten nastrój rodzi się ze strachu, z jakim - wezwana przez Lily - idzie na rozmowę, na którą dzięki mistrzowskiej jeździe Eliego przybyła za wcześnie. A jednak, nawet gdyby zjawiała się punktualnie - nawet gdyby, co było nie do pomyślenia, się spóźniła - wynik tego spotkania z góry już przesądzono, myślała wsiadając do windy.

- Pani Amberville czeka w gabinecie pana Amberville'a - powiedziała recepcjonistka ledwie ją ujrzawszy. Oficjalne przyjęcie, uprzytomniła sobie Maxi, podparte autorytetem Zachary'ego Amberville'a. Dobre wiadomości nie wymagają tak ostentacyjnego demonstrowania prawowitej władzy, pełnego zakresu kompetencji.

Weszła do środka. Tu przynajmniej światło słoneczne mogło wpadać obficie i barszkować, stąd otwierał się widok na dwie rzeki, obejmujące Manhattan niczym ramiona olbrzymiego kochanka, jedną ciemniejszą od drugiej, zmierzające w tę samą stronę, do oceanu. Rozejrzała się dokoła, na chwilę oślepiąca, i nie mogła dostrzec matki, dopóki jej oczy nie przywykły do blasku. Lily siedziała na dolnym stopniu drabinki bibliotecznej, z tomem oprawionych numerów "Siedmiu Dni" z lat sześćdziesiątych otwartym na zdjęciach, które w czasie kampanii prezydenckiej Kennedy'ego i Nixona robili liczni fotografowie Wydawnictw, towarzyszący każdemu etapowi narodowego dramatu. Odłożyła ciężkie tomisko, gdy Maxi podeszła bliżej, i podniosła wzrok, prawie nie zmieniona w swej wciąż księżycowej urodzie i niesłychanie wyszukanej elegancji. Ciało wokół oczu miała jednak jakieś sponiewierane, przywiedle, czego Maxi nigdy przedtem nie zauważyła, niczym kwiat, z którego w ciągu nocy wyssano całą świeżość, więc zwiędł i oklapł bez siły.

- Kto się ubiegał o wiceprezydenturę przy Nixonie? - zapytała Lily.

- Do licha - odparła Maxi. Nie pamiętała, choć była pewna, że nie Spiro Agnew. A może i tak?

- Ja też nie wiedziałam, Maxime.

- To podnoszące na duchu. Jaki miałaś weekend? - dodała, ponieważ zanosilo się na to, że pierwszym punktem porządku dziennego będzie towarzyska rozmowa.

Pouczający. A ty?

- Okropny. Biedny Toby. Chyba nie zdążyłam się otrząsnąć z szoku - odrzekła Maxi.

- Pojechałam zobaczyć go wczoraj, ale ciebie z Angeliką jeszcze nie było w domu. Bogu dzięki będzie jak nowy, kiedy się rana zagoi. Powiedz mi, kto to jest Kosz i co to słowo znaczy?

- To pierwsza sympatia Angeliki. Ma lat czternaście, jest bardzo grzeczny, a wsuwa jak armia. Armia napoleońska. Ale maniery przy stole ma nienaganne.

- Toby i India wyrażali się o nim z uznaniem.

- Angelika nie jest ich córką. Niech ją tylko odpowiednio traktuje - powiedziała Maxi wojowniczym tonem, zaciskając pięści.

- Bo?

- Każę Roccowi się z nim rozprawić. Wyobraź sobie, że Angelika wymknęła się na pierwszą randkę, kiedy wiedziała doskonale, że nie będzie mnie w domu. Nigdy by się nie odważyła zrobić czegoś takiego ojcu. Nadal jestem wściekła.

- Kłopot z tobą, Maxime, polega na tym, że zapominasz, jak to jest być młodą - stwierdziła Lily, pomijając jej zarzuty milczeniem.

- Mamo! Nie mam jeszcze trzydziestki! Brakuje mi paru tygodni. A zaczęłam się umawiać z chłopcami w wieku... szesnastu lat.

- Och, ale jak już zaczęłaś...

- Pamiętam i tym się martwię.

- Angelika jest zupełnie inna niż ty w jej wieku. Rozsądna i zrównoważona. Na twoim miejscu wcale bym się o nią nie martwiła.

- Dziękuję - odrzekła Maxi z godnością, nie dając się sprowokować. Nie zamierzała bronić siebie jako nastolatki. Jeśli Lily wciąż ma o niej takie zdanie, nic na to nie poradzi.

- Oczywiście - ciągnęła Lily - z czasem się zmieni pod tym czy innym względem... wszyscy się zmieniamy, musimy się zmieniać, prawda? Ale charakter Angeliki jest dosyć dobrze ukształtowany. Mogę sobie właściwie wyobrazić, jaka będzie za dziesięć lat. Z tobą było inaczej, Maxime. Nigdy nie miałam pewności, co ci się przytrafi. Byłaś dość trudnym dzieckiem, wiesz, ale nie wyobrażałam sobie, że późno się rozwiniesz.

- Późno się rozwinę? A co to ma znaczyć?

- No, nie broń się, Maxime. Chodzi mi po prostu o to, że nie osiągnęłaś pełni możliwości... nie zaczęłaś jej osiągać... do niedawna. - Głos Lily był równie pozbawiony wyrazu jak czysta woda, a jej słowa trudne do zrozumienia.

- Ta życzliwa uwaga ma mi zapewne osłodzić gorzką pigułkę. - Maxi prawie nie słuchała matki, tak jej dopiekle określenie "trudne dziecko" i zawarte w nim porównanie z Angeliką, która zdołała uniknąć wszelkich ocen ze strony zwariowanej na jej punkcie babki. Co nie znaczy, że Angelika nie była ideałem. W mniejszym lub większym stopniu.

- Gdybyś zechciała usiąść, Maxime, wygodniej byłoby o tym pomówić - zauważyła Lily zajmując jeden z foteli przed biurkiem.

Maxi dotychczas stała, lecz teraz odruchowo usiadła na krześle ojca, tak jak wtedy, kiedy prosiła Pavkę, aby nie składał rezygnacji. Lily przez chwilę nie przerywała milczenia.

- Wygodnie ci tam? - zapytała w końcu.

- Och, przepraszam! - Maxi poderwała się zmieszana. - Nie pomyślałam.

- Wiem. Jestem tego w pełni świadoma. - Lily mimo woli uśmiechnęła się do niej. - Na tym krześle tak długo nikt nie siedział. Prawie do niego pasujesz.

- Mamo! - Co to za zabawa w kotka i myszkę, zadała sobie pytanie Maxi, wytrącona z równowagi.

- Powiedziałam ci, że zapominasz, jak to jest być młodą, naprawdę młodą, Maxime. Cóż, i ja także. Czasami bywam jednak na tyle bystra, że pamiętam.

Twój ojciec był młodszy niż ty obecnie, kiedy zaczął wydawać swoje pierwsze magazyny. Ty jesteś w tym wieku co on, kiedy go poznałam. Już stworzyłaś jeden miesięcznik i odniosłaś szalony sukces, jeśli przymkniemy oczy na twoje nietradycyjne metody finansowe. Dlaczego nie miałabyś przejąć pozostałych... i wydawać ich z pomocą wszystkich tych ludzi, którzy to robili po śmierci ojca? To znaczy, jeśli chcesz.

- Przejąć pozostałe? Ale... ale ja nigdy nie prosiłam o to, nigdy o tym nie marzyłam - wyjąkała pobladła Maxi.

- Niewątpliwie zdajesz sobie sprawę, że jeśli nie sprzedam Wydawnictw, ktoś z rodziny musi je przejąć? A tylko ty wchodzisz w rachubę, prawda? To wreszcie, po bardzo długim czasie, stało się jasne nawet dla mnie. Ja też się późno rozwinęłam.

- Nie zamierzasz sprzedawać?

- Nie myślałaś przecież, że sprowadzam cię po to, aby ci powiedzieć o sprzedaży? Boże wielki, Maxime, nie byłabym tak nieczuła. Powiadomiłabym cię, lecz nie tutaj, nie w gabinecie twojego ojca. Czasem odnoszę wrażenie, że ty w ogóle mnie nie rozumiesz. - Lily westchnęła z zakłopotaniem. - Lepiej nie mówmy już o tym... tej sprawy może nigdy nie rozstrzygniemy i nie ma ona związku z twoją odpowiedzią. Czy chcesz przejąć interes? Zostać wydawcą wszystkich periodyków?

- Ale co... nie rozumiem... co powie Cutter? - Żywy zwykle, sceptyczny ton Maxi teraz wyrażał absolutne pomieszenie i zdziwienie.

- Nigdy więcej nie będzie miał nic do powiedzenia na temat tego, jak należy wydawać magazyny twojego ojca. On... odszedł. Odprawiłam go.

Zamierzam się z nim rozwieść. Jego przyszłość mnie nie obchodzi. Żadne z nas już go nigdy nie zobaczy i ufam, że nigdy nie będziemy o nim mówić, nigdy nie wspomnimy jego imienia. -

Gładką powierzchnię głosu Lily wypowiedzianej te krótkie, urywane zdania, którymi skazywała Cuttera na absolutną banicję, po raz pierwszy, odkąd Maxi sięgała pamięcią, zamąciły wiry dotkliwego bólu.

Zapadło kolejne milczenie. Kobiety patrzyły na siebie, lecz wśród drobin kurzu, roztańczonych w smugach światła, pojawiały się pytania, odmawiano na nie odpowiedzi, wycofywano je i odkładano na zawsze.

Spośród wszystkich rzadkich i pożądanых luksusów, w jakich od lat pławała się dzięki pieniądзом Zachary'ego Amberville'a myślała Lily, ta możliwość wyrugowania Cuttera z jej życia okazała się w końcu najcenniejsza, najniezbędniejsza. Lily mogła też dzieciom narzucić milczenie, niczego nie musiała im wyjaśniać. Jednego natomiast nie mogły zapewnić pieniądze, jednego nie dało się kupić za żadną monetę, a mianowicie zapomnienia, jakim był człowiekiem. Jak mogła wybrać kogoś takiego? Gdzie leżał pierwszy jej błąd? Za jaką część powikłanej historii ona ponosi odpowiedzialność? Dlaczego trwała w tym szalonym, irracjonalnym związku, nie chcąc zmienić swego upartego wyobrażenia o nim, choć tylekroć sprawiał jej zawód? Jaki właściwie był zły? Czy kiedykolwiek naprawdę ją kochał? Co gorsza - jakie to jeszcze może mieć dla niej znaczenie? Pewna była jednej rzeczy, a mianowicie, że winni są w równym stopniu, tyle że, co istotne, Cutter nie ze względu na nią pozwolił Zachary'emu zamarznąć na śmierć. Ten fakt musi się dla niej stać źródłem siły, niezależnie od tego, jak trudne będą ją dręczyć pytania.

- No więc, Maxime - powtórzyła - czy chcesz tej pracy?

Maxi doznała zawrotu głowy, jakby szybko wspięła się na szczyt górski i głęboko wdychała rzadkie, rozweselające powietrze. Widziała tylko bezmiar rozjarzonej pokusy, rozległy horyzont, otwarte przed nią nieograniczone perspektywy. Przez chwilę, oślepią, pozostawała na tych wyżynach, po czym zmusiła się do powrotu do spraw praktycznych, do redakcyjnej rzeczywistości, spróbowała sobie wyobrazić, jak co dzień podejmuje wszystkie decyzje, spełnia żądania, rozstrzyga problemy i ponosi odpowiedzialność, co przypadnie w udziale każdemu szefowi Wydawnictw Amberville'a. Nagle pojęła, że zapewne nie zdoła przewidzieć, jak to będzie. Kiedy tak pogodnie domagała się od Cuttera biednej starej szmaty, miesięcznika "Przybrania", czyż miała pojęcie, jak to będzie naprawdę miesiąc w miesiąc wydawać "G&K"? Wydawca? Dyrektor spółki?

- O tak, mamó! Chcę! - wykrzyknęła z głębi serca. Chciała tej pracy i wiedziała, że ojciec też by sobie tego życzył.

- Dobrze. Cieszę się, Maxime. Bardzo się cieszę. Nie proponowałabym ci jej, gdybym nie uważała, że sobie poradzisz - rzekła Lily spokojnie, lecz z głęboką nutą tkliwości. - Sprzedać można zawsze. Jeszcze teraz. Wolałabym jednak zatrzymać Wydawnictwa Amberville'a w rodzinie. Kiedyś usłyszałam, że poświęciłam spółce życie, że pozbawiono mnie wolności, bo na różne sposoby musiałam pomagać twojemu ojcu, gdy te pisma wydawał. Uwierzyłam w słuszność tej

interpretacji. Uważałam się za odartą z praw należnych mi z tytułu urodzenia, cokolwiek to oznacza. - Urwała na moment, jakby się zastanawiała nad znaczeniem tych praw.

- Ojciec w ciebie wierzył - rzekła Maxi - bo inaczej nie pozostawiłby ci decydującego głosu w sprawach firmy. Nigdy by tego nie zrobił, gdyby nie uważał, że na to zasługujesz.

- Nie wiem, na co zasługuję, Maxime, ale dużo w ciągu ostatniego dnia rozmyślałam, za całe lata, i wiem teraz, że magazyny wzbogaciły moje życie.

To, że jestem ich częścią, stało się częścią mojego życia, zbyt ważną, abym mogła te pisma sprzedać, oddać w obce ręce. Jestem z nich dumna, Maxime, cholernie dumna i chcę, aby były lepsze niż kiedykolwiek przedtem...

- Mamo ! - przerwała Maxi. - Czy masz jakiś pomysł...

- Rzeczywiście mam, coś więcej niż pomysł. Ranek spędziłam z Pavką. Wiem, co się działo za moimi plecami. To raz na zawsze skończone. Wszystkie te haniebne zarządzenia odwołano, lecz nie wydano nowych. Czekałam na twoją decyzję. Tylko ty będziesz w przyszłości wydawać polecenia. Pavka może ci służyć radą, lecz wyobrażam sobie, że będziesz musiała zdobyć poparcie dawnego zespołu redakcyjnego. Niektórzy jego członkowie mogą być do ciebie nastawieni niechętnie. Nie będę się wtrącała... ale zawsze możesz mnie użyć... do dekorowania wystawy. To umiem doskonale.

- Nie mów tak! - zaprotestowała Maxi. - Zrezygnowałaś z kariery primabaleriny! Och, mamo... mogłaś mieć to.

- Niekoniecznie - wymamrotała Lily z tajemniczym, skrytym uśmiechem. - Niekoniecznie. Nigdy się nie dowiem, nigdy nie będę musiała wiedzieć.

Niewątpliwie o to chodziło? - Kręcąc głową powróciła do terażniejszości. - Ale jako dekoratorka wystaw byłam i nadal zamierzam być najlepsza. Każda wystawa wymaga dekoracji, gdyż w przeciwnym wypadku jest pustym, gołym kawałkiem szkła. Zawsze powinnaś doceniać wagę dekorowania wystaw. - Choć Lily mówiła teraz rzeczowo, na idealnym owalu jej twarzy malował się nowy wyraz zrozumienia, szarozielononiebieskie oczy patrzyły smutno, ze skrucą i tą zawsze skrywaną przenikliwością, gdy przekazywała swą wiedzę córce, którą po raz pierwszy w życiu uczyniła powiernicą.

- Angelika powiedziała mi kiedyś, że zdaniem ojca ona jedna w rodzinie ma głowę do wydawnictw - wyznała Maxi.

- Tu się mylił... nawet Zachary Amberville mógł się mylić. Nawet ja potrafię się czasem mylić - rzekła Lily z leciutkim uśmiechem, w którym ulga szła o lepsze z zadatkami autoironii.

- Kłopot z tobą, mamo, polega na tym, że w każdej sprawie lubisz mieć ostatnie słowo - powiedziała Maxi.

- Jak ty.

- Jak ja. Zupełnie jak ja. No, pocałuj mnie, mamo.

- Czy czułbyś się urażony, Toby - zapytała Maxi - gdybyśmy się z Angeliką wyprowadziły z twojego poddasza? Teraz, kiedy mam zapewnioną pracę i regularne pobory, mogę sobie pozwolić na płacenie czynszu za mieszkanie.

Nie ekstrawaganckie, po prostu trochę większe. Z większymi szafami i większym pokojem dla Angeliki, z miejscem, gdzie można postawić parę drobiazgów.

- Parę. Nigdy nie miałaś "paru" rzeczy - odpalił Toby.

- Cóż, będę miała - upierała się Maxi. - Wiesz, że nie zdołałam nic sprzedać na aukcji? Nawet meble jeszcze nie poszły. Postanowiłam zatrzymać tylko to, co najbardziej lubię. Skoro przywykłam do obywania się bez tych wszystkich przedmiotów, spróbuję przez jakiś czas się ograniczać... jedynie parę wspaniałych sztuk uwydatnionych przez ich związek z otaczającą przestrzenią. Oczywiście potrzebny mi będzie naprawdę znakomity projektant...

- Oszczędź mi, proszę, oszczędź mi swoich planów wnętrzarskich - błagał Toby. - Czy nie możesz tego omówić z Ludwigiem i Bizetem? Sądziłem, że zawsze ich angażujesz.

- Tak było, ale dojrzałam do zmiany.

- Czy rozsądnie jest podejmować się pracy, która cię całkowicie pochłonie, a równocześnie urządzać nowe mieszkanie?

- Nie, jeśli tak się to ujmie - odpowiedziała Maxi. Toby leżał w swoim ulubionym fotelu, z nogami do góry, a ramieniem na haftowanym temblaku, bezlitośnie wyciętym przez Indię nożyczkami z jednej ze świętych powłoczek, podczas gdy Maxi na próżno proponowała któryś z niezliczonych szalików. - A jednak musimy się przenieść, bo nie jesteśmy już w krytycznej sytuacji.

Angelika cierpi z tego powodu. Bardzo jej tu dobrze, a Wojsko przepada za twoim basenem.

- Mogłoby przynosić własne ręczniki, ale o tym jakoś nikt nie pamięta - rzekł Toby w zadumie.

Maxi pominęła uwagę milczeniem.

- Ja też się właściwie nie chcę wyprowadzać. Tak tu przytulnie, a resztki są jeszcze lepsze od posiłków i, o Boże, nie mylisz się co do pracy. Nie będę miała czasu porządnie rozejrzeć się za mieszkaniem. Na nic nie będę go miała, dopóki nie wciągnę się do roboty. Powinnam wcześniej chodzić do biura, zostawać do późna, pracować w weekendy i...

- Nie bądź niemądra. To atak - przerwał jej Toby. - Atak głupoty. Dostają go ludzie w obliczu zasadniczych zmian trybu życia, zwłaszcza ludzie tacy jak ty, bezkompromisowi, którzy robią wszystko lub nic, nie uznają półśrodków i posuwania się krok po kroku. Przedtem musiaś się bawić.

Teraz musisz robić karierę, co oznacza, że jeśli pracujesz, musisz pracować bez chwili

wytchnienia.

- To, że muszę robić karierę, jak to uroczo określiłeś, jest dziwnym trafem najcudowniejszą zabawą na świecie - wybełkotała rozwścieczona Maxi.

- Natychmiastowa analiza... obrzydlistwo.

- Czy mogę ci przypomnieć - powiedział Toby - że dobiegasz trzydziestki...

- Dlaczego wszyscy akurat teraz muszą mi nagle przypominać, ile mam lat?

- Trzydziestki - ciągnął Toby - pełni życia, z nieodłączną, jak sobie wyobrażam, wspominając twoją skandaliczną przeszłość, normalną potrzebą męskiego towarzystwa.

- Mężczyźni - parsknęła Maxi.

- Mówisz zupełnie jak tata - piskliwie odezwała się Angelika z podłogi, gdzie siedziała u stóp Maxi. - To samo on mówi, wypowiada słowo "kobiety" tym samym pogardliwym tonem. Już nawet z żadną się nie umawia. Pamiętasz tę dziewczynę, która jak mu mówiłam, pachniała wanilią? Cóż, znikła wiele miesięcy temu, a właściwie nie była zła, jeśli się nie zważa na dziwne zapachy. A do tej wyjątkowo ładnej, która jak mu mówiłam, była w moim odczuciu nieodpowiednią babką, nie dzwonił od wieków, choć naprawdę nie była taka zła, tyle że nie w moim guście. I mnóstwo innych latało za nim, bo ma ogromne osiągnięcia - przynajmniej ja byłam tego zdania - albo im się podobał. Powierzchowne panie. Zawsze mówiłam tacie, co o nich sędzę, więc nie groziło mu, że się da nabrać - cóż, teraz z żadną się nie spotyka.

Ciekawa jestem, czy nie nabawił się przeze mnie kompleksu?

- Wiek dojrzewania - stwierdziła India w zamyśleniu - został wynaleziony przez psychologa nazwiskiem G. Stanley Hall, który w roku 1905 napisał o nim książkę. Osiemdziesiąt lat temu, Angeliko, zanim dowiedzieliśmy się o wieku dojrzewania, ktoś by cię posłał do kąta albo kazałby ci sto razy napisać na tablicy coś w rodzaju: "Nie będę się wtrącać do spraw sercowych mojego ojca." Albo zamknąłby cię o chlebie i wodzie. Może nawet przywiązał do stołka. Nie wiem, co byłoby dla ciebie przykrzejsze.

- Ja się nie wtrącałam, tylko dzieliłam się spostrzeżeniami. Gdyby nie zwracał na mnie uwagi, jak zwyczajny ojciec, nic by sobie z tego nie robił.

A "sprawy sercowe" to takie staroświeckie określenie. On się z nimi po prostu spotykał.

- Spotykał - mruknął Toby z goryczą. - Dziś tym słowem określa się różne związki, od dorywczych do prawie zaręczyn. Nie dalej jak wczoraj któryś z waszych plotkarzy doniósł mi, że Julie Jacobson "spotyka" tego młodego kierownika artystycznego "G&K" - czy to znaczy, że co wieczór, co drugi wieczór, dwa razy w tygodniu? Zastanawiam się, co za cholerny głupiec wpadł na pomysł, aby nadać słowu taki nieszczęsny, spaczony sens?

- Ktokolwiek to zrobił, nic nie wiem o Julie i Bricku Greenfieldzie, ale tata spotykał się jedynie dorywczo - odpowiedziała mu Angelika, podczas gdy Maxi i India popatrzyły na siebie z

zakłopotaniem. - Nie tak, jakby któregoś uratował życie i naprawdę był zakochany, jak ty w Indii. Tak czy inaczej, muszę się ubrać. Kosz przychodzi po mnie za pół godziny. Idziemy na wznowienie Wichrowych wzgórz.

- Pomogę ci - rzekła Maxi pośpiesznie, nie zwracając uwagi na zdziwienie Angeliki. Na litość boską, przecież wie, jak się ubrać.

- Wiesz, że to zrobiłeś - po krótkiej pauzie powiedziała India.

- Wspominałaś o tym. Kilkakrotnie. Czy ratując ci życie stałem się twoim jeńcem?

- Gdybyś był Chińczykiem i uratował mi życie, byłbyś mi winien różne rzeczy, bo wzięłbyś za mnie odpowiedzialność czy coś w tym rodzaju.

- Nie jestem Chińczykiem.

- Nie, należysz do Biegających Rannych - rzekła India ze złością. - Spakuję manatki. Znudziło mi się, że mnie nie doceniasz.

- Co to, u diabła, jest... "Biegający Ranni"... co to ma znaczyć?

- Wiesz, co to są chodzący ranni... to ranni żołnierze, których nie trzeba znosić z pola bitwy. Ty jesteś inny... odniosłeś ranę, ale od niej uciekasz, biegasz zataczając bezsensowne kręgi, biegasz tak wytrwale, że nie czujesz bólu albo możesz udawać, że on nie istnieje. Miałam cię za innego. Pozornie pogodziłeś się ze ślepotą i umiesz zrobić więcej niż na ogół mężczyźni, którzy widzą. Zawsze będziesz mógł zrobić więcej. Ślepotą to rzecz skończona... już nie będzie gorsza. Ale ty postanowiłeś się odciąć od reszty życia. Może od jego trudniejszej części. Części ludzkiej. Części związanej ze mną. Nie interesują mnie już twoje racje! Interesuje mnie tylko to, jak się na mnie odbija miłość do ciebie. Miłość beznadziejna. Nie zamierzam się z nią pogodzić. Nie chcę też zostać Biegającą Ranną.

- Doktor Florsheim?

- Nie widziałam jej od wielu miesięcy. Skończyłam z psychoanalizą.

Odchodzę od ciebie, Toby. Na zawsze.

- Hej, zaczekaj chwilę.

- A bo co? - zapytała od drzwi India.

- Zabierasz swoją bieliznę pościelową? - Toby wyglądał na zadumanego, jakby już trochę zatroskanego.

- Oczywiście.

- Powłoczki? I wszystkie te małe jaseczki z obrąbkami w muszelki?

- O co chodzi? - warknęła India. - Tylko dlatego, że skończyłam z psychoanalizą, nie muszę rezygnować z mojej bielizny pościelowej. Jedno nie ma z drugim nic wspólnego.

- Chyba nie będzie mi się dobrze spało na nie wymagających prasowania tkaninach, w pięćdziesięciu procentach ze sztucznego włókna. - Toby uśmiechnął się, jakby rozwiązał ważki

problem, który od lat nie dawał mu spokoju.

- Och? - Serce Indii zaczęło łomotać tak głośno, że jej zdaniem nawet widzący mężczyzna musiał to usłyszeć.

- Więc ubijmy interes. Pobierzmy się, a ja obejmę pieczę nad twoją wyprawą. - Te zdawkowe słowa maskowały wytrzymałość upartego mężczyzny, który wreszcie zmienił zdanie.

- Moją wyprawą? Masz na myśli bieliznę pościelową? - India podeszła do niego wolno, ostrożnie, aby nie zdradzić nagłego podniecenia, szalonego drżenia rąk.

- Czy to nie jedno i to samo?

- Nie sądzę. Na pewno nie. Wyprawa, też coś! - India, na pozór głęboko urażona, grała najlepszą rolę w swej krótkiej, lecz wspaniałej karierze.

- Więc pobierzmy się i śpijmy w twojej pościeli. - Mówił swym zwykłym rozkazującym tonem, India potrafiła jednak wyczuć, że głos mu się załamuje.

- Czy tak sobie wyobrażasz oświadczyzny? - Spróbowała zadrwić, ale próba spелzła na niczym.

- Tak.

- Nie stać cię na nic lepszego?

- Uratowałem ci życie, prawda? - W swej niecierpliwości nie próbował być dworny.

- Nie możesz stale szermować tym argumentem, Toby Amberville - szepnęła, a słodycz jej głosu przeczyła słowom.

Toby wstał z fotela, podszedł do niej i mocno przygarnął ją zdrowym ramieniem. Wpatrywał się w nią bacznie, a ona nigdy jeszcze nie widziała większego szczęścia w jego bursztynowych oczach, pełnych bezgranicznej czułości. - Gdyby w pobliżu znajdowało się wrzosowisko, zaprowadziłbym cię tam, narwał ci naręcza wrzosu i powiedział, jak bardzo cię kocham, Cathy... ale jest tylko Central Park. Kocham cię, Cathy, chcę z tobą żyć zawsze i mieć gromadkę dzieci, i zdać się na los szczęścia.

- Heathcliff!

- Czy to oznacza zgodę?

- Będę musiała najpierw zadzwonić do mojego agenta, ale... chyba coś się da zrobić.

Dwa tygodnie później w San Francisco do Jumbo Bookera zadzwoniła jego sekretarka.

- Pan Amberville - powiedziała. - Telefonuje z Nowego Jorku. Mam przełączyć?

Jumba nie zdziwił ten telefon. Spodziewał się go, odkąd doszły słuchy, że Cutter nie pracuje już w Wydawnictwach Amberville'a. W ciągu dwóch lat, jakie upłynęły, odkąd Cutter zrezygnował z posady w firmie Booker, Smity i Jameston, jej obecny prezes Jumbo prawie stracił kontakt ze swoim byłym, przesadnie ambitnym pracownikiem. Mimo to niezwykle wieści o nie

zapowiedzianym, nagłym i niewyjaśnionym odejściu Cuttera z branży wydawniczej dotarły do niego kanałem biznesu, równie dobrym jak ten, którym przekazane zostały informacje o wyczynach seksualnych Cuttera w okresie jego małżeństwa.

Jumbo doskonale zdawał sobie sprawę, że Cutter nie może się zatrudnić w żadnym z banków działających na rynku papierów wartościowych. Przeprowadził kilkanaście rozmów, lecz nie przyniosły mu nic konkretnego i jeśli nawet on nie wiedział dlaczego, wiedział to Jumbo. Trzeci kanał działał powoli w najwyższych sferach towarzyskich San Francisco i do wielu wpływowych osób dotarło stopniowo, że Candice Amberville odebrała sobie życie. Spora ich liczba domyślała się przyczyny i strzały plotek doleciały na Manhattan; plotek zawsze ograniczonych do małej grupki ludzi; plotek, które nigdy nie wydostaną się z pewnych kręgów; plotek tak szokujących, tak ohydnych, że usłyszawszy je nikt już nie chciał mieć do czynienia z Cutterem Amberville'em.

Jumbo Booker nie potrzebował teraz zaspokajać poczucia wyższości oddawaniem przysług dawnemu współlokatorowi. Wolałby nigdy w życiu nie widzieć go na oczy, nie pozostawać z nim w żadnych związkach. Żenujące, nie, gorzej, wstydlive było uchodzić za jego przyjaciela.

- Proszę mu powiedzieć, że nie będę z nim rozmawiał, panno Johnson - polecił Jumbo sekretarce.

- Więc kiedy ma zadzwonić?

- Niech nie dzwoni - odparł Jumbo.

- Niezupełnie rozumiem, proszę pana. To znaczy, że nie będzie pana przez cały dzień?

- Nie, to znaczy, że nie chcę z nim rozmawiać przez telefon teraz ani w przyszłości. Przez telefon ani osobiście. Proszę mu to powiedzieć całkiem wyraźnie, panno Johnson.

- Och. - Była zakłopotana, zdziwiona i niepewna, co robić.

- Może pani być niegrzeczna. Proszę mu powtórzyć, co powiedziałem, i odłożyć słuchawkę.

Nie czekając na odpowiedź.

- Proszę pana?

- A gdyby jeszcze kiedyś zadzwonił, obojętne, w jakich okolicznościach, proszę mu powiedzieć to samo.

- Tak, proszę pana, będę o tym pamiętać.

Dziękuję, panno Johnson.

Cutter powoli odłożył słuchawkę. Mimo wszystkich doznanych ostatnio upokorzeń powstrzymywał się od tego telefonu. Przez cały czas liczył na Jumba. Miał pewność, że zostanie mile powitany i obejmie jeśli nie poprzednie, to inne równie dobre stanowisko. Zarabiał dla jego firmy pieniądze, zawsze kierował Jumbem, ale znudziło go protekcyjne traktowanie przez kogoś, kogo znał od zbyt dawna. Po tym, jak rozkazywał i zarządzał Wydawnictwami Amberville'a, wolał mieć do czynienia z obcymi niż wracać z wyciągniętą po prośbie ręką do Jumba; Jumba, tego

beztalencia, nudziarza, purytanina, który żył dzięki niemu tak długo; Jumba, który wszystko zawdzięczał wyłącznie dziedziczeniu; Jumba, który nawet teraz nie ośmielił się go znieważać i zrobił to za pośrednictwem sekretarki.

Cutter położył się na łóżku w swoim pokoju hotelowym. Wszystko to oczywiście wina Zachary'ego, jak zawsze. Winą Zachary'ego jest, że on po pierwsze pojechał do San Francisco; że Zachary ożenił się z Lily; że on musiał się ożenić z Candice; że Zachary był tak nieznośnie pobłażliwy, wyrozumiały i zadowolony z siebie, tak obrzydliwie nieporuszony, kiedy się dowiedział o Lily i Justynie. Koniecznie trzeba go było zniszczyć, zostawić, aby umarł. Tak, umarł. Tak, umarł wreszcie, bo w żaden inny sposób nie dało się od niego uwolnić, w żaden inny sposób nie dało się zemścić. Było to uczciwe, sprawiedliwe, zasłużone.

Justyn. Wyczytał wczoraj, w jakiejś rubryce towarzyskiej, że Justyn wrócił do Nowego Jorku, aby robić zdjęcia na ślubie Toby'ego z tą aktorką.

Co takiego napisał o nim dziennikarz? "Amerykański lord Snowden będzie pstrykać najwspanialszy z tegorocznych ślubów" - coś w tym stylu. Justyn.

Uwielbiane dziecko Lily, Justyn nieświadomy, że jego prawdziwy ojciec nie umarł, Justyn, który jemu zawdzięcza życie.

W godzinę później Justyn usłyszał dzwonek i kiedy podszedł do drzwi, ujrzał na progu Cuttera, który stał z tak pewną siebie miną, jakby był niecierpliwie wyczekiwany gościem. Justyn się cofnął, Cutter zaś skorzystawszy z tego wszedł do salonu i zamknął za sobą drzwi.

- Jak się masz, Justyn - powiedział wyciągając rękę. Justyn zrobił jeszcze krok do tyłu. - Dobrze, Justyn, rozumiem twoją wrogość, możesz mi wierzyć, że rozumiem. Wiem, co się działo od czasu tej awantury z twoją matką... nie chciała mnie widzieć, przypuszczalnie wszystkim wam opowiadała o mnie rzeczy nieprawdziwe, zatruchiła wasze umysły, szczuła na mnie, ale to nie jej wina, Justyn. Przeżyła paskudny szok, poważny wstrząs, bo nasłuchiwała się łągarstw w Kanadzie.

Justyn stał nieruchomo, nie patrząc na Cuttera.

- Postanowiłem zostawić ją na jakiś czas w spokoju, aby mogła zrozumieć, że nic z tego, co usłyszała, nie wytrzyma próby zdrowego rozsądku czy nawet dochodzenia. Bogu wiadomo, że gdyby chciała, mogła je przeprowadzić. Teraz posłuchaj, Justyn, przyszedłem z tobą pogadać, bo cię uważam za najrozsądniejszą i najwrażliwszą ze wszystkich dzieci Lily, a martwię się o nią.

Justyn cofnął się w głąb pokoju, niezdolny wydobyć głosu.

- Dobra, choć ty nie chcesz o tym dyskutować, ja chcę. Według mnie to zbyt ważne, aby sprawy tak pozostawić. Ta separacja jest równie zła dla twojej matki, jak dla mnie. Ona kocha mnie bardzo, Justyn, a ja kocham ją o wiele bardziej, niż sądzi. Czeka nas we dwoje długa, szczęśliwa przyszłość, jeśli ktoś zdoła ją nakłonić, aby to dostrzegła. Wiem, powiedziała, że nie chce mnie

widzieć na oczy, ale już, a znam moją Lily, zdążyła tych pochopnych słów pożałować. Ale jest dumna i nie zrobi pierwszego kroku.

Dlatego tu przyszedłem. Moim zdaniem ciebie jednego chętnie wysłucha.

Justyn odwrócił się i wyglądał przez okno, napinając mięśnie ramion z wysiłku, aby nie odezwać się do Cuttera, w żaden sposób nie uhonorować jego obecności.

- Rozważ sytuację, Justyn. Czy twoja matka nie będzie beze mnie bardzo samotna? Zawsze miała przy sobie mężczyznę, który nią kierował, troszczył się o jej szczęście, zapewniał osłonę. Zaraz po śmierci mojego brata zwróciła się do mnie w takiej potrzebie, w tak strasznym osamotnieniu, że serce mi się krajało. Nigdy, ani na chwilę nie sprawiłem jej zawodu. - Cutter postąpił w stronę okna i przystanął, bo zobaczył szczupłe, silne ciało Justyna sprężone w postawie, która świadczyła, że go bezwzględnie odtrąca.

- Posłuchaj, Justyn, ty bywasz w mieście najwyżej przez parę tygodni.

Toby się żeni i zapewne przeprowadzi się do Kalifornii, a Maxi, Bogu wiadomo, będzie zajęta kierowaniem spółką... Kto znajdzie czas dla Lily, jeśli nie ja? Justyn, przyszedłem cię prosić, abyś coś zrobił, nie dla mnie, lecz dla twojej matki. Pójdź do niej i poproś, żeby ze mną porozmawiała... tylko porozmawiała.

Justyn odszedł od okna, wziął aparat fotograficzny, usiadł i zaczął go oglądać.

- Nie mam do ciebie żalu, że mnie zbywasz milczeniem. Z jakiegoś powodu nigdy nie zdołaliśmy nawiązać przyzwoitych, zażyłych stosunków, choć od dawna powinniśmy być przyjaciółmi... więcej niż przyjaciółmi. - Cutter stanął nad Justynem i przemawiał cicho, jakby chciał ugłaskać dzikie zwierzę.

- Mam prawo do tej rozmowy z tobą, Justyn. Nigdy bym cię nie nachodził, gdybym go nie miał. Nigdy bym ci nie powiedział tego, co ci powiem, gdybym nie uważał, że nadszedł czas, abyś poznał prawdę, abyś wiedział, dlaczego czuję się upoważniony poprosić ciebie o zrobienie czegoś dla mnie i dla twojej matki, o co nikogo innego w rodzinie bym nie poprosił. Nie, nie kręć głową, Justyn, zechciej mnie wysłuchać, nie zamykaj mi ust.

Głos Cuttera zadźwięczał błagalną nutą. Justyn siedział w napięciu, wpatrzony tylko w aparat, z całą szaloną koncentracją, nabytą, gdy ćwiczył wschodnie sztuki walki, starając się wytrwać w absolutnym bezruchu.

- Nielatwo jest to powiedzieć, Justyn... Wiem, jak bardzo kochasz matkę.

Tej kobiety nie sposób nie kochać. Przed laty, kiedy ona i ja byliśmy bardzo młodzi, mieliśmy najwyżej dwadzieścia cztery lata, a więc byliśmy młodsi niż ty teraz, zakochaliśmy się w sobie.

Justyn upuścił trzymany w ręku aparat, wstał i odwrócił się twarzą do ściany, niczym więzień w celi.

- Zakochaliśmy się w sobie, kochaliśmy się tak, jak się kochają mężczyzna i kobieta, i mieliśmy dziecko... ciebie, Justyn. Jesteś moim synem.

- Wiem. - Justyn szybko wyrzucił z siebie to słowo.

- Co? Lily ci powiedziała?

- Przeczytałem ten list, który do niej napisałeś wyjeżdżając do Kalifornii. Wyliczyłem to sobie na podstawie daty listu i moich urodzin.

Byłem dzieckiem, zakradłem się i oglądałem rzeczy w jej biurku, jak to dzieci, i znalazłem schowany list. Po przeczytaniu odłożyłem go na miejsce.

Przypuszczalnie nadal tam leży.

- Ale... przecież, skoro wiesz... skoro wiedziałeś! Dlaczego nigdy... jak mogłeś... po prostu trzymać to w tajemnicy?

Justyn odwrócił się i podszedł do drzwi. W końcu podniósł wzrok na Cuttera.

- Moim ojcem był Zachary Amberville. Jedynym ojcem, jakiego chciałem, jedynym, jakiego kiedykolwiek miałem. Nadal nim jest i zawsze nim pozostanie. Proszę wyjść.

- Justyn! Znasz prawdę i nawet temu nie zaprzeczasz! Krew to krew. Ja jestem twoim ojcem, Justyn! I ja żyję... czy to nie ma dla ciebie żadnego znaczenia, na litość boską?

- Wynoś się stąd. Odejdź. - Justyn otworzył drzwi i wskazał je gestem drżącej ręki. Powoli, niechętnie Cutter ruszył w ich stronę, po czym, zrównawszy się z Justynem, na chwilę się zawahał. Nagle postawił wszystko na ostatnią kartę i objął syna.

- Nie ! - Justyn odsunął się instynktownie, szybko i kantami dłoni z całą swą niebezpieczną siłą walnął w przytrzymujące go ramiona. Cutter zatoczył się do tyłu, z bezużytecznie zwieszonymi połamanymi rękami, niezdolny złapać równowagi i pewnie stanąć na nogach.

Kiedy wrzeszcząc z bólu zjeżdżał na grzbiecie z wysokich, stromych schodów, drzwi nad nim zamknęły się na rygiel.

W parę dni później, kiedy podniecenie ślubem Toby'ego i Indii, zaplanowanym na przyszły weekend, osiągnęło punkt kulminacyjny, Maxi, przez nikogo nie zauważona, opuściła dom brata. India, Angelika i Lily były zbyt pochłonięte rozmową o strojach na tę okazję, aby zauważyć, jak się wymyka po obiedzie, Toby zaś schronił się w jednej ze swoich restauracji, aby uniknąć zamieszania.

Maxi ubrała się w stare dzinsy i białą, gładką trykotową koszulkę. Na bosc stopy wsunęła sandały bez obcasa i nie zrobiła makijażu. Wspaniała elf gotów do walki. W drodze do miejsca przeznaczenia zatrzymała się raz i wreszcie zjawiła się u Rocca, ostrożnie niosąc dużą, płaską paczkę.

- Co jest w tym pudełku? - podejrzliwie zapytał Rocco, kiedy otworzył drzwi, a ona wtargnęła do środka. - I dlaczego wpadłaś? Nowojorczyacy nie wpadają tak po prostu. Najpierw dzwonią.

- Najzwyczajniej musiałam się wynieść od Toby'ego... one tam powariowały, mówią o dziedzicznych koronkach i białych satynowych pantoflach, i podobnych bzdurach... zdaje się, że nawet rozsądne kobiety dostają pomieszania zmysłów z okazji wesela. Uznałam, że skoro jesteś w domu - Angelika mówiła, że dziś nie wychodzisz - nie zrobi ci różnicy, jeśli zajdę podyskutować o różnych sprawach. Na przykład o jej stosunkach z Koszem.

Chodzi mi o to, Rocco, że on będzie drużbą, na litość boską.

- Trudno to nazwać zobowiązaniem na całe życie. - Rocco pociągnął nosem.

- Czy to pizza?

- Och, malutka. Pomyślałam, że możesz być głodny. Czy mam ją zanieść do kuchni?

- Jaka pizza? - zainteresował się Rocco.

- Ze wszystkim na wierzchu. Czy mogłabym ci przynieść jakąś inną, Rocco? - zapytała Maxi. Jej oczy czarodziejki, jej proste ciemne brwi, nawet łuk jej górnej wargi, wszystko wyrażało niewinny wyrzut.

- Nie. Nie sądzę. Zawsze byłaś doskonałą specjalistką od pizzy. Skończoną artystką. A przy okazji gratuluję, serdecznie gratuluję. Uważam, że będzie z ciebie znakomity wydawca. Nie żartuję. Musiałaś znaleźć właściwe ujście dla twojej energii i w końcu to się stało. Cieszę się dla ciebie, Maxi.

Wykonasz wspaniałą robotę. Tylko nie bierz się sama za następną makietę.

- Dziękuję - skromnie odparła Maxi. - Czy zjemy ją zaraz, póki jest gorąca?

- A więc mamy ją zjeść razem, co? - Rocco wzruszył ramionami. - W takim razie wolę nie odgrzewać. Ser się robi gumowaty, a skórka zanadto wyschnie. Zresztą nie jadłem obiadu. Strasznie byłem zajęty. - Wprawdzie nakrył w kuchni do stołu i ukrajał dla każdego z nich po dużym

kawałku olbrzymiej pizzy. Przez chwilę jedli w nabożnym milczeniu i z wielkim apetytem, tak jak należy jeść naprawdę dobrą pizzę, roztropnie zachowując skórki na później, kiedy nie będą już mieli nic, bo żadnej pizzy, choćby najgorszej, Rocco Cipriani nigdy nie zostawił na talerzu, ta zaś była pierwszorzędna, przepyszna. Pili do niej butelkowane piwo i stos papierowych serwetek pośrodku stołu wciąż mała.

- Zabawne z tą pizzą - powiedział Rocco. - Człowiek czuje, jak żołądek mówi "dziękuję" reszcie ciała. To nie przypomina zwykłego jedzenia, raczej transfuzję. Chyba tak samo działa jedzenie soul... chociaż nie na mnie.

- Hot dogi na torze wyścigowym, to działa na mnie - stwierdziła Maxi w rozmarzeniu. - Z tonami obrzydliwej żółtej musztardy, te letnie białe bułeczki z tymi ciepławymi, sflaczałymi różowymi kielbaskami... są niezastąpione.

- Może to sprawa różnicy religijnej.

- Dzieciństwo, to się wiąże z dzieciństwem. Albo tak sobie wyobrażam - odparła Maxi.

- A jaki masz stosunek do zupy? - zapytał Rocco z powagą.

- Zupa? Choć nie mam nic przeciwko zupie, nie jest dla mnie najważniejsza...

- Gdybyś była chora, zmarznięta czy tylko potrzebowała pociechy? - upierał się Rocco.

- A pod ręką nie było alkoholu?

- Tak... gdyby z jakiejś tajemniczej przyczyny nie dało się dostać nic do wypicia. Wtedy miałabyś chęć na zupę?

- Tylko z puszkki - zdecydowanie odparła Maxi. - Musiałaby być prosto z puszkki, żadna tam zupa domowa, dobra dla ciebie. To zbyt europejskie.

- Jestem w nastroju do zupy - fałszując zaśpiewał Rocco na melodię Jestem w nastroju do miłości. - Tylko dlatego, że ty jesteś przy mnie, kochanie, i kiedy jesteś przy mnie, jestem w nastroju do zupy.

- O co chodzi? - Maxi wyczuła, że tworzy jakąś reklamówkę. Rocco nigdy nie śpiewał w kuchni.

- Zakochani, rozmaici zakochani, w różnym wieku, różnych rozmiarów i kształtów, biali, czarni, żółci, brunatni, czerwoni, mieszkańcy innych planet, zwierzęta, trzy sekundy dla każdej pary, całują się, ściskają, pieszczą, a Julio Iglesias śpiewa piosenkę.

- Widzisz produkt? - spytała Maxi.

- Nigdy. To dla Amerykańskich Zup Konserwowych. Pełna minuta. Podoba ci się?

- Moim zdaniem to doskonale. Ale nie Julio... lubię go, jego angielszczyzna jest jednak nieprzekonująca. Może Kenny Rogers? Nie, zbyt zachodni. To ballada, a Te niebieskie oczy są zbyt oczywiste - nie mówią o tym, że słono by sobie policzył - wiem - Tony Bennett !

- Doskonały! Romantyczny, ciepły, dobrze znany - doskonały. Więc pomysł ci się podoba?

Naprawdę ci się podoba?

- Poszłam do kuchni jak po praniu mózgu, otworzyłam puszkę jakiegokolwiek zupy, podgrzałam ją i wypila, zanim bym się zorientowała, co się dzieje - zapewniła go Maxi nakładając mu ostatni kawałek pizzy i wszystkie okruchy.

- Nad tym pracowałam - powiedział Rocco między jednym kęsem a drugim. - Nie byłem po prostu pewien, czy ludzie naprawdę lubią zupę; czy też uważają, że jest dla nich dobra.

- Jakie to ma znaczenie dla Amerykańskich Zup Konserwowych?

- Muszę się zaangażować uczuciowo w reklamówkę, zanim mi dobrze wyjdzie.

A moja matka zawsze sama robiła zupy. Nie pozwoliła nam tknąć niczego z puszek, więc nie mogłem zaufać własnemu żołądkowi.

- Twoja matka rzeczywiście robiła niewiarygodnie dobrą zupę. Dała mi kiedyś przepis na rosół, ale na początek trzeba było kupić całego kurczaka i nóżkę cielęcą. Na to nie byłam przygotowana. Więc poszłam i kupiłam zupę Campbella - przypomniała sobie Maxi ze smutkiem.

- No, miałaś wtedy zaledwie osiemnaście lat. Czy siedemnaście? Nigdy nie miałem absolutnej pewności.

- I ja chyba też nie. Tak czy inaczej, nadal nie umiem gotować.

- Moja matka nie umie prowadzić spółki wydawniczej. Każdej trzeba oddać sprawiedliwość - bezstronnie stwierdził Rocco wstawiając talerze do zlewu i wyciągając jeszcze dwie butelki piwa. - Ale, do licha, robiła też wino - mam problemy z rachunkiem u Galla, poradzę sobie jednak. Dzięki Bogu mama nie umiała robić piwa, samochodów ani mydła. Chodźmy do salonu. Co z tym Koszem? Wydał mi się niezły, kiedy Angelika go tu przywlokła. Nie wierzysz przecież, że mógłby ją uwieść.

- Zapewne nie. Moja matka podkreśliła, że Angelika jest inna, mądrzejsza niż ja w jej wieku. Powinam się chyba uspokoić.

- Czy ty dałabyś mu się uwieść, kiedy miałaś dwanaście lat? - zastanawiał się Rocco. Stał przy oknie i patrzył na rozpostarty w dole Central Park.

- Oczywiście, że nie. Czekałam na ciebie. - W tym prostym stwierdzeniu kryła się wielka sztuka.

- Nawet byś się z nim nie ścisnęła?... Kosz jest dość atrakcyjny.

- Nigdy się nie ścisnęłam. Z dziećmi. - Maxi wpatrywała się w odbity w szybie piękny, dobrze oświetlony pokój, w zawieszoną w powietrzu Izydę, ponadczasowo królewską; w majestatyczny zad konia z dynastii Han widoczny na stole. - Byłeś pierwszym mężczyzną, z jakim się w życiu pocałowałam - dodała po przerwie. - Trzepotała rzęsami, ale na niego nie patrzyła.

- Och.

- Od początku o tym wiedziałeś.

- Nie, nie wiedziałem. Myślałem, że jesteś doświadczona... nie naprawdę, ponieważ byłaś dziewicą, ale jakoś tam. Ostra była z ciebie babka, jak zwykliśmy mawiać w mojej dawnej dzielnicy.

- Tak się tylko zgrywałam - wyznała Maxi i zwiesiła głowę, zawstydzona swą wyzywającą płochością.

- Nie, ostra byłaś - upierał się Rocco.

- To doświadczenie było udawane. Ostry byłeś ty. - Podniosła głowę i zatrzymała na nim spojrzenie niesfornych, nieźrównanych zielonych oczu, jej usta czarodziejki lekko się rozchyliły, nagle dziewczęce, tajemnicze, jak gdyby każda minuta ich wspólnej przeszłości została wymazana, jak gdyby spotykali się po raz pierwszy.

- Och. Cóż, dzięki.

- Rocco...

- Nie, Maxi. Zdecydowanie nie!

- Nie? Skąd wiesz, co chciałam powiedzieć? - spytała Maxi w pięknym przypiływie oburzenia. - Jak możesz być tak negatywnie nastawiony, skoro nawet nie wiesz, czy zamierzałam powiedzieć coś, co wymaga odpowiedzi?

- Z wiekiem zmądrzałem. Kiedy wpadasz do mnie ubrana właściwie tak samo jak tamtego pierwszego lata na moim poddaszu, kiedy wyglądasz na nieletnią i jesteś tak cholernie ładna, że to wprost zbrodnia - chyba że ktoś zna cię tak dobrze jak ja - a potem przynosisz mi pizzę ze wszystkim na wierzchu i tak się wszystkim interesujesz, i jesteś słodka, i pomagasz mi z reklamówką, czy naprawdę uważasz, że nie domyślałam się podstępu? Wielkiego oszustwa? No, Maxi. Przyznaj się.

- Nie wierzysz, że ludzie dorastając potrafią się zmienić? - zapytała rozsądnie i pociągnęła za siwy kosmyk. - Nie uważasz, że mogłoby mi po prostu zależeć na lepszych stosunkach z ojcem mojego dziecka, na przyjacielskiej wymianie myśli między dwojgiem dorosłych, na puszczeniu w niepamięć gniewu i wrogości, które nas rozdzieliły? Na nowym początku, Rocco, abyśmy niezależnie od Angeliki i naszej miłości do niej - mogli w tym mieście współistnieć i okazywać sobie jakąś życzliwość i względy? Czy muszę tu przychodzić w innym zamiarze?

- Popraw się, Maxi. Kto... złośliwym szantażem... zmusił mnie do zrobienia makiety "G&K"? Kto mnie spił, kiedy miałem katar, i zgwałcił trzy razy? No, na pewno pierwszy raz.

- To absurd !

- Może nie da się tego udowodnić, ale ja wiem swoje. Nigdy nie zjawiasz się bez powodu. O co tym razem chodzi? Poczekaj, zgadnę. Pavka za parę lat przechodzi na emeryturę, więc chcesz, żebym się już przygotował do objęcia po nim miejsca. W tym rzecz, prawda? I ja bym to zrobił, gdybym nie musiał pracować u ciebie, niezależnie od stopnia przyznanej mi swobody. Więc się nie

zgadzam. Wykluczone. Co by to jeszcze mogło być? Może...

- Rocco! Masz absolutną rację, przyznaję. Jestem oszustka i krętaczka. To leży w mojej naturze, zawsze zabawniej było dojść do czegoś okrężną drogą.

Chyba nie mogę się oduczyć naginania prawdy do moich potrzeb, a co więcej, czasami się złościę, kiedy moje zachcianki nie zostaną spełnione.

- Trudno w to uwierzyć - mruknął.

- Ale się zmieniłam. W ciągu ubiegłego roku zmieniłam się bardziej niż przez całe moje dotychczasowe życie. Tyle się nauczyłam, Rocco, przekonałam się, że jeśli bardzo ciężko pracuję i mam szansę coś zrobić, i się nie poddaję, mogę osiągnąć to, czego chcę, w uczciwy sposób, doprowadzić coś do końca... z wielką pomocą ze strony przyjaciół.

- I chcesz, żebym ja był jednym z nich? - zapytał podejrzliwie.

Maxi stanęła naprzeciw niego i wreszcie powiedziała całą prawdę bez upiększeń, patrząc mu prosto w oczy, z determinacją, przekonaniem i żarem.

- Chcę, żebyś mnie znów kochał, Rocco.

- Dlaczego? - Nie przybliżył się do niej o ułamek cala. Czy ona myśli, że wystarczy poprosić, a on padnie do jej stóp?

- Nie masz pojęcia, jak ja za tobą tęsknię, prawda? Och, Rocco, to się zaczęło wtedy, kiedy cię pierwszy raz zobaczyłam, a teraz jest tysiąc razy gorzej niż wtedy, kiedy miałam lat siedemnaście. To taka tęsknota, taka potrzeba - nie da się tego wyrazić, nie sposób znaleźć właściwe słowa. Nie mogę już, Rocco, znieść tego, że mnie nie kochasz - wykrzyknęła głosem, w którym nie krył się żaden podstęp, nic prócz czystego uczucia. - Nigdy na żadnym mężczyźnie tak naprawdę mi nie zależało. Och, gdybym cię poznała trochę później! Nie byłabym taka niezdolna, nie popełniłabym wszystkich tych głupich błędów bogatej nastolatki. Nie popełniłabym tego jednego niewybaczalnego błędu - zrozumiałabym cię lepiej i wiedziałabym, jaki jesteś dumny. Moglibyśmy dać sobie radę, nadal być małżeństwem. Proszę cię, Rocco, proszę, daj mi przynajmniej jeszcze jedną szansę. Tylko szansę, o nic więcej nie proszę. Och, jak możesz tak na mnie patrzeć, jakbyś sobie nie wyobrażał, co czuję? Kocham cię tak bardzo, że to jest nie to zniesienia.

Rocco wciąż wpatrywał się w Maxi z kamienną twarzą, w zadumie obrzucał ją przeciągłym spojrzeniem, znajdując potwierdzenie tego, co już wiedział o tej fantastycznej istocie, niezapomnianej i niezastąpionej od dnia, w którym od niej odszedł. Ona, z rozmysłem oczywiście, wymazała z jego życia inne kobiety. Podejrzewał, że kto się raz zakochał w Maxi, to na amen.

Wiedział. Zawsze była wartościowa. Zawsze będzie przysparzać kłopotów, strasznych kłopotów, to pewne, ale on sobie z tym poradzi. Zresztą kogo tu oszukiwać, on ją uwielbiał. Czczył tę cudownie zaskakującą diabolicę z jej całym arsenałem sztuczek. Umierał za każdym razem, kiedy

wychodziła za tych durniów. Dla niego też nie istniał nikt inny. Ani w przeszłości, ani nie zaistnieje w przyszłości.

Radość zalała go tak gwałtowną falą, że oszołomiony ledwie potrafił się jasno wyrazić.

- Dobra. To dość ucziwe.

- Dasz mi jeszcze jedną szansę? - Maxi się zawahała, nagle niepewna. - Od czego zaczniemy? Od początku, tak jakbyśmy się w ogóle nie znali?

- Po co robić coś połowicznie? - odparł Rocco z szerokim gestem, nagle odzyskawszy głos. - Idźmy na całego... jeszcze raz się pobierzmy. Nie chodzi o to, że cię nie kocham jak skończony wariat. Nie chodzi o to, że kiedyś przestałem - chyba nigdy nie próbowałem. Tyle lat straciliśmy na dorastanie - czy też może tak musiało być? Wprowadzicie się tu do mnie, ty i Angelika, od razu. Ale bez szumu, bez wielkiego wesela, tym razem bez dziedzicznej koronki - dodał, z bezsprzeczną radością biorąc ją w ramiona, czego sobie od tak dawna, tak bardzo dawna odmawiał.

- Bez szumu - obiecała Maxi. - To nie tak, jakbym wychodziła za innego mężczyznę.

- Wychodzisz za mnie. Na dobre, do diabła, na lepsze, na zawsze! Za tego samego mężczyznę, od którego zaczęłaś - stwierdził Rocco zaborczo, zauroczony przez nią, nie cofając się myślą wstecz.

- Właśnie to powiem Indii... nie za innego mężczyznę - zanuciła czarownie Maxi.

- Powiesz Indii? - wymamrotał zdziwiony. - Nie zamierzasz najpierw powiedzieć Angelice?

- Angelice? Och, jej. Naturalnie, że jej powiem najpierw - mętnie odparła Maxi, rozradowana powrotem do domu, gdzie jest jej miejsce.

- Żebyś tak nie musiała jechać do Toby'ego po rzeczy. Nie możesz się wprowadzić w samych dżinsach i koszulce - mruczał Rocco kołysząc ją w niecierpliwych ramionach. Wziął ją na rękę i zaczął wnosić po schodach. - Zresztą jutro rano musisz iść do pracy. Moja maleńka Maxi, moja piękność, mój wydawca, moja żona.

- Nie szkodzi - zapewniła go Maxi bez tchu, kiedy obsypywał ją pocałunkami. - Robimy to nieoficjalnie. - Chwila wydała jej się niezbyt odpowiednia, aby go informować, że Elie czeka w limuzynie z całym bagażem.

Później - tak, dużo później wystarczy. A może... nigdy?